

NOWA POWIEŚĆ AUTORA BESTSELLEROWYCH
NIESPOKOJNYCH LUDZI I MĘŻCZYZNY IMIENIEM OVE

FREDRIK BACKMAN

ZWYCIĘZCY

MARGINESY

FREDRIK
BACKMAN
ZWYCIĘZCY

PRZEŁOŻYŁA ANNA KICKA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1. Opowieści

2. Burze

3. Strażacy

4. Dzikusy

5. Położne

6. Superbohaterowie

7. Dzieci

8. Myśliwi

9. Matki

10. Ptaki wędrowne

11. Maszty

12. Dach

13. Królowie

14. Czekoladowe kulki

15. Broń

16. Przemoc

17. Śmierć

18. Ciemność
19. Krzyk
20. Koty
21. Imię
22. Straty
23. Siostry
24. Marzenia
25. Frazesy
26. Plotki
27. Ojcowie
28. Słudzy boży
29. Hokejowi chłopcy
30. Motyle
31. Zmywarki do naczyń
32. Nienawiść
33. Powrót do domu
34. Rywalizacja
35. Kryjówki
36. Mięśnie
37. Osły
38. Radykalizm
39. Dziury po kulach
40. Groźba
41. Kłótnie
42. Bramkarze

43. Bracia
44. Wilki
45. Gniazdo os
46. Słudzy
47. Wojownicy
48. Złodzieje
49. Kryptopalacze
50. Rodziny
51. Prawdy
52. Chwile
53. Zdjęcia
54. Kłamstwa
55. Wrzask
56. Kumple z drużyny
57. Piekło
58. Strzał
59. Młodzież
60. Talenty
61. Dym
62. Idioci
63. Rzeźnie
64. Stukanie
65. Mieszkańcy dużych miast
66. Rozczarowania
67. Opowieści miłosne

68. Wrogowie
69. Przywódca
70. Gracze
71. Mordercy
72. Biwakowanie
73. Rysy
74. Szanse
75. Kanapki z dżemem
76. Objazdy
77. Plecy
78. Drużynowe psy
79. Płacz
80. Uderzenia
81. Ostrzeżenia
82. Łyżwy
83. Prowokacje
84. Adwokaci
85. Serca
86. Krew
87. Korzyści
88. Chuligani
89. Prawdy
90. Z pokolenia na pokolenie
91. Ślady
92. Wyspy

93. Kozły ofiarne

94. Kobiety

95. Piosenki

96. Pochodnie

97. Sprawcy

98. Kamienie

99. Ofiara

100. Szklanka soku

101. Groby

102. Najlepsze przyjaciółki

103. Pytania

104. Poczucie winy

105. Drzewa

Podziękowania autora

Przypisy

Tytuł oryginału *Vinnarna*
Przekład ANNA KICKA

Wydawca KATARZYNA RUDZKA
Redaktorka prowadząca KAROLINA WĄSOWSKA
Redakcja MARIA ZAJĄC
Korekta MAGDALENA WOŁOSZYN-CĘPA, MAŁGORZATA KUŚNIERZ
Projekt okładki JAMES IACOBELLI
Adaptacja projektu okładki DAWID GRZELAK
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK
Zdjęcia na okładce
© DEEPOL by plainpicture / Adam Woodworth
© Surawitch Sawathanon / Shutterstock
Zdjęcie autora © Linnéa Jonasson Bernholm / Appendix Fotografi
Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura**

Vinnarna

Copyright © Fredrik Backman 2021
Copyright © for the translation by Anna Kicka
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy

Warszawa 2023
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67790-63-5

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Dla każdego, kto mówi za dużo i śpiewa za głośno,
i płacze za często, i w życiu kocha coś bardziej, niż powinien.*

1

Opowieści

Wszyscy, którzy znali Benjaminą Ovicha, a w szczególności my, którzy znaliśmy go na tyle dobrze, by nazywać go Benjim, w głębi serca zawsze wiedzieliśmy, że nie było mu pisane szczęśliwe zakończenie.

Mimo to oczywiście nadal robiliśmy sobie nadzieje. Boże drogi, jakież my robiliśmy sobie nadzieje. Naiwne marzenia to ostatni bastion obronny miłości, więc wciąż sobie wmawiamy, że żadne okropne tragedie nie dotkną akurat tych, których kochamy, i że to właśnie nasi bliscy unikną złego. Ze względu na nich marzymy o wiecznym życiu, supermocach i wehikule czasu. Robimy sobie nadzieje, Boże drogi, jakież my robimy sobie nadzieje.

Prawdę mówiąc, bajki o chłopcach takich jak Benji prawie nigdy nie kończą się tak, że dożywają oni sędziwego wieku. Nie są im pisane długie historie, to nie oni pogodzeni z losem umierają w domu spokojnej starości, z głową na miękkiej poduszce.

Chłopcy tacy jak Benji umierają młodo. Tragicznie.

2

Burze

„Nie komplikuj”. To prosta rada zarówno w hokeju, jak i w życiu. Nie komplikuj rzeczy bardziej, niż trzeba, nie myśl za wiele, najlepiej wcale. Powinno to dotyczyć również tej historii, bo dzięki temu można by ją było opowiedzieć o wiele szybciej, trwa przecież niecałe dwa tygodnie, a ile może się wydarzyć w tak krótkim czasie w dwóch hokejowych miasteczkach? Zapewne nie za wiele.

Po prostu wszystko.

Najbardziej problematyczne tak w hokeju, jak i w życiu jest mianowicie to, że nieskomplikowane chwile występują niezwykle rzadko. Wszystko inne to walka. Ta opowieść nie zaczyna się dzisiaj, toczy się już od dwóch lat, to wtedy Maya Andersson się stąd wyprowadziła. Opuściła Björnstad i w drodze na południe przejechała przez Hed. Oba te leśne miasteczka leżą po sąsiedzku, a jednocześnie tak daleko od wszystkiego innego, że była to niemalże emigracja. Któregoś dnia Maya zaśpiewa o tym, że ludzi dorastających blisko dziczy niewiele dzieli od dzikości w nich samych. Będzie to zarówno przesada, jak i niedoszacowanie, prawie zawsze mówi się o nas właśnie w taki sposób. Jeśli jednak zawitasz w te strony i jakimś cudem zawieje cię aż do baru Futro, a na dzień dobry nie dostaniesz w dziób za głupie pytanie o wiek barmanki albo o plasterek cytryny w drinku, to może stojąca za barem Ramona wyjaśni ci coś ważnego: „Tutaj, w lesie, ludzie są od siebie o wiele bardziej zależni niż w dużych miastach. Tu trzymamy się razem, czy tego chcemy, czy nie, tak mocno, że gdy jeden z nas zbyt gwałtownie obraca się we śnie, to drugiemu brakuje kołdry w innej części gminy”.

Chcesz zrozumieć to miejsce? Najpierw musisz więc zrozumieć jego kontekst, jak wszystko i wszyscy pozostają ze sobą związani niewidzialną nicią relacji, lojalności i zobowiązań: hala lodowiska i fabryka, drużyna hokejowa i politycy, miejsce w tabeli i pieniądze, sport i możliwości pracy, przyjaciele z dzieciństwa i koledzy z drużyny, sąsiedzi, współpracownicy i rodziny. To wszystko trzyma

ludzi razem i pozwala im przetrwać, ale jednocześnie zmusza do nikczemnych przestępstw przeciwko sobie nawzajem. Ramona nie opowie ci wszystkiego, nikt tego nie robi, ale chcesz nas zrozumieć? Tak naprawdę? Musisz się w takim razie dowiedzieć, jak się tu znaleźliśmy.

Zimą dwa i pół roku temu Maya Andersson została zgwałcona na imprezie przez Kevina Erdahla, najlepszego hokeistę, jakiego do tamtej pory widziała ta okolica. Oczywiście nikt nie używa teraz słowa „gwałt”, raczej „skandal” lub też określeń typu: „to, co się wydarzyło” albo „to... no wiesz”. Wszyscy się wstydzą, nikt nie potrafi o tym zapomnieć. Łańcuch wydarzeń mający swój początek na tej imprezie wpłynął na polityczne decyzje i przesunął pieniądze z jednego miasta do drugiego. To z kolei doprowadziło do wypełnionych nienawiścią wiosny i lata, a następnie brutalnej zimy. Zaczęło się od zwykłej bójki w hali lodowiska, a skończyło prawie na ulicznej wojnie, w której mężczyźni w czarnych kurtkach, zwani przez policję „chuliganami”, a przez mieszkańców Björnstad po prostu „Grupą”, zaatakowali wroga z Hed, na co mężczyźni z Hed odpowiedzieli podpaleniem Futra. W pogoni za zemstą Grupa straciła w wypadku samochodowym Vidara, młodego chłopaka, którego jej członkowie uwielbiali ponad wszystko. Ta kropla przelała czarę, po latach agresji nikt już nie miał więcej siły. Vidara pochowano, dwaj mieszkańcy Hed trafili do więzienia, a pomiędzy chuliganami i miastami zapanował rozejm. Jakimś cudem udało się go dochować aż do teraz, chociaż z dnia na dzień wydawał się coraz bardziej kruchy.

Kevin wraz z rodziną się wyprowadził i nigdy już tutaj nie wróci. Nikt by się na to nie zgodził. Całe Björnstad ze wszystkich sił starało się wymazać Kevina z pamięci, a mimo że nikt się do tego nie przyznał, to wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy Maya również spakowała walizki i się wyniosła. Wyjechała aż do samej stolicy, zaczęła naukę w szkole muzycznej i niemalże stała się całkiem innym człowiekiem. A wszyscy, którzy zostali w lesie, coraz rzadziej wspominali o „skandalu”, prawie tak, jakby się nigdy nie wydarzył.

Benji Ovich, kiedyś najlepszy przyjaciel Kevina Erdahla, również spakował walizkę. Znacznie mniejszą od bagażu Mai. Ale za to jego podróż trwała o wiele dłużej. Maya wyjechała do czegoś, on natomiast po prostu wyjechał od nich. Ona szukała odpowiedzi w jasności, Benji w ciemnościach. Maya w sztuce, a on na dnie butelki. Obydwoje niewiele tam znaleźli.

W mieście, które za sobą zostawili, klub Björnstad Hockey chylił się ku upadkowi. Tam, gdzie do tej pory wszyscy marzyli o niemożliwych wręcz rzeczach, teraz nikt już nie miał siły na jakiegokolwiek marzenia. Peter Andersson, ojciec Mai, zakończył karierę dyrektora sportowego i na dobre odpuścił hokeja. Sponsorzy pouciekali, a w gminie zaczęto nawet przebąkiwać o zamknięciu całego klubu i przeniesieniu wszystkich środków oraz finansowania do Hed Hockey. Tak naprawdę klub udało się uratować w ostatnim momencie dzięki nowym pieniądзом i upartym miejscowym biznesmenom. Nowi zagraniczni właściciele fabryki dostrzegli w nim sposób na zdobycie akceptacji lokalnej społeczności, a oportunistyczny polityk Richard Theo szansę na nowych wyborców. Dzięki nim w odpowiedniej chwili zgromadzony został kapitał, który pozwolił uchronić klub od zagłady. W tym samym czasie wymieniono w nim starych członków zarządu, przeprowadzono spotkania dotyczące „marki” klubu i niedługo potem oczom świata dumnie przedstawiono całkowicie nową „deklarację wartości”. Rozesłano ulotki z hasłem: „Sponsoring Björnstad Hockey jest nie tylko możliwy, ale również właściwy!”. I wbrew wszelkim przeciwnościom losu udało się to wszystko odwrócić, najpierw na lodzie, a później i poza nim. Elisabeth Zackell, trenerka z Björnstad, starała się o pracę w większym klubie, ale jej nie dostała, zamiast niej stanowisko objął trener Hed, który natychmiast opuścił miasto, zabierając ze sobą najlepszych graczy. Hed zostało nagle bez przywódcy i podobnie jak inne kluby postawione w takiej sytuacji, szybko zakopało się w intrygach i walce o władzę. W tym samym czasie Zackell budowała w Björnstad nową drużynę, młodego mężczyznę o imieniu Bobo uczyniła trenerem pomocniczym, a na czele bandy rozrabiaków na lodzie postawiła szesnastoletniego Amata. Amat ma teraz osiemnaście lat i bez wątplenia jest największą gwiazdą hokeja, jaką widziała ta okolica, z tak ogromnym talentem, że całą ostatnią zimę plotkowano o tym, że wkrótce zostanie zdraftowany do NHL i będzie grał zawodowo w Ameryce Północnej. Zawodnik dominował w każdym meczu ostatniego sezonu, aż do wiosny, kiedy to nabawił się kontuzji. Całe miasto było przekonane, że gdyby nie to, Björnstad wygrałoby całą serię i awansowało do wyższej ligi. A gdyby w tym samym czasie jakimś cudem Hed nie udało się zdobyć punktów w ostatnich meczach, to spadliby na sam dół tabeli i tym samym do niższej ligi.

Tak więc wszystko, co jeszcze dwa lata temu, gdy Maya i Benji stąd wyjechali, wydawało się kompletnie niemożliwe, teraz nagle stało się tylko kwestią czasu:

zielone miasto pnie się w górę, podczas gdy czerwone spada. Każdego miesiąca do Björnstad przybywa więcej sponsorów, a do Hed coraz mniej, hala lodowiska w Björnstad została wyremontowana, a dach w Hed prawie się wali. Najwięksi pracodawcy w Björnstad, fabryka i sklep spożywczy, zatrudniają nowych pracowników. Największy pracodawca w Hed, czyli szpital, rok do roku obcina etaty. To w Björnstad są teraz pieniądze, to tu jest praca, to my jesteśmy zwycięzcami.

Chcesz to zrozumieć? Musisz w takim razie wiedzieć, że tutaj chodzi o coś więcej niż tylko punkt na mapie. Z góry możemy wyglądać jak dwa zwykłe leśne miasteczka, w oczach niektórych praktycznie wsie. Jedyne, co nas oddziela, to kręta droga między drzewami. Nie wygląda nawet na specjalnie długą, ale może się okazać, że zafundujesz sobie porządny spacer, jeśli postanowisz ruszyć nią w minusowej temperaturze i pod wiatr, bo tutaj nie mamy innej temperatury ani innych wiatrów. Nienawidzimy Hed, a oni nienawidzą nas. Jeśli przez cały sezon wygramy wszystkie mecze, ale na końcu polegniemy z nimi, to mamy poczucie przegranego roku. Nie wystarczy, że nam się powodzi, prawdziwe zadowolenie odczuwamy dopiero, gdy im się nie wiedzie. Björnstad gra w zielonych koszulkach z niedźwiedziem, a Hed w czerwonych z bykiem, brzmi to całkiem prosto, ale kolory nie powiedzą nam, gdzie kończy się jakiś problem dotyczący hokeja, a zaczynają pozostałe. W Björnstad nie ma ani jednego płotu pomalowanego na czerwono, a w Hed ani jednego w kolorze zielonym, bez względu na to, czy jego właściciel interesuje się hokejem czy nie, nikt więc do końca nie wie, czy kluby wzięły swoje kolory z płotów czy wręcz na odwrót. Czy to nienawiść stworzyła kluby, czy też kluby nienawiść? Chcesz zrozumieć hokejowe miasteczka? Musisz zatem wiedzieć, że tutaj sport znaczy o wiele więcej niż tylko sport.

Chcesz zrozumieć tych ludzi? Tak naprawdę zrozumieć? Musisz też w takim razie wiedzieć, że za chwilę nadejdzie okropna katastrofa naturalna, która zniszczy to, co kochamy. Może i mieszkamy w hokejowych miastach, ale przede wszystkim jesteśmy ludźmi lasu. Otoczeni drzewami, skałami i ziemią, które przez tysiące lat widziały, jak rodzą się i zanikają gatunki. Może i udajemy, że jesteśmy wielcy i silni, ale z ziemią nie wygramy. Któregoś dnia zacznie wiać, a następującej po nim nocy będziemy mieć wrażenie, że już nigdy nie przestanie.

Za jakiś czas Maya zaśpiewa pieśni o nas i dziczy bliskiej nam zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Zaśpiewa o tym, że miejsce jej dorostania definiują

tragedie, te, których doświadczyliśmy, i te, których byliśmy sprawcami. Zaśpiewa o jesieni, w której las z pełną siłą obróci się przeciwko nam. Zaśpiewa o tym, że wszystkie społeczności są sumą własnych wyborów i że to, co koniec końców trzyma nas razem, to nasze historie. Zaśpiewa:

Wszystko zaczęło się od wichury.

Najgorszej w tej okolicy od co najmniej pokolenia. Może i mówimy tak o każdej wichurze, ale ta była nieporównywalna z żadną inną. Przebakowano, że w tym roku śnieg przyjdzie pewnie później, ale wiatr nadciągnął szybciej. Sierpień zakończył się złowróżbną falą gorąca, lecz zaraz potem, na przełomie miesiący, jesień jednym kopnięciem wyważyła drzwi i temperatury spadły.

Przyroda wokół nas staje się nieobliczalna i agresywna, psy i myśliwi wyczuwają to jako pierwsi, niedługo po nich cała reszta. Dostrzegamy sygnały ostrzegawcze, mimo to wichura przychodzi z taką siłą, że pozbawia nas powietrza w płucach. Siecze las z korzeniami, gasi niebo, rzuca się na nasze domy i miasta niczym dorosły mężczyzna bijący dziecko. Prastare pnie drzew się uginają, do tej pory niewzruszone niczym skały, nagle pod stopą przypominają źdźbła trawy, wiatr dudni w uszach tak głośno, że nie słyhać, gdy któreś z nich zawala się obok nas. W mieście wśród budynków kawałki blachy i dachówki odrywają się i niosą ciężko z wiatrem, wyostrzone pociski polujące na każdego, kto za wszelką cenę próbuje się schronić w domu. Las zawala drogi, aż w końcu nie da się ani stąd wyjechać, ani tu dostać, przerwa w dostawie prądu oślepia miasta w nocy, telefony komórkowe działają tylko w niektórych miejscach. Wszyscy, którym udaje się dodzwonić do kogoś bliskiego, wykrzykują w słuchawkę tę samą wiadomość: „Zostań w domu, zostań w domu!”.

Ale jeden młody panicznie wystraszony mężczyzna z Björnstad pędzi swoim niewielkim samochodem po wąskich drogach do szpitala w Hed. Nie miał odwagi opuszczać domu, ale bał się również w nim zostać, jego ciężarna żona siedzi obok niego i nadszedł już jej czas, z wichurą czy bez niej. Kierowca modli się do Boga niczym ateści w okopach, żona wydaje z siebie okrzyk, gdy nagle drzewo przed nimi łamie się i bezlitośnie uderza w maskę samochodu. Blacha ugina się tak mocno, że kobietę aż rzuca na przednią szybę. Nikt ich nie słyszy.

3

Strażacy

Chcesz zrozumieć ludzi mieszkających w dwóch hokejowych miasteczkach? Tak naprawdę zrozumieć? Musisz w takim razie wiedzieć o wszystkich najgorszych rzeczach, do których jesteśmy zdolni.

—

Nad domami na obrzeżach Hed nie wieje, ale dudni. Fasady pękają, podłogi wibrują tak mocno, że czerwone bluzy Hed Hockey i proporczyki rozwieszane w pomieszczeniach się kołyszą. Czwórka dzieci znajdująca się właśnie w domu opowie później, że miały wrażenie, jakby wszechświat próbował je zabić. Tess jest najstarsza, ma siedemnaście lat, potem piętnastoletni Tobias, trzynastoletni Ted i Ture, siedmiolatek. Boją się, jak wszystkie dzieci, lecz nie śpią, przygotowane na każdą ewentualność, bo mimo wszystko nie są jak wszystkie dzieci. Ich mama pracuje jako położna, a tata jako strażak, czasem wydaje się wręcz, że sytuacje kryzysowe to jedyne chwile, w których ich rodzina naprawdę funkcjonuje. Gdy tylko do nich dotarło, co wkrótce się wydarzy, dzieciaki wybiegły na ogród, by poskładać meble ogrodowe, huśtawki i ścianki do wspinaczki, żeby podczas wichury, zniesione przez wiatr, nie uderzyły w jakieś okno. Tata Johnny pobiegł pomóc w ogrodzie kilka domów dalej. Mama Hannah zadzwoniła do wszystkich znajomych z zapytaniem, czy czegoś nie potrzebują. Odbyła wiele rozmów, bo znają tu wszystkich, urodzili się i wychowali w Hed, a teraz, gdy jedno pracuje w straży pożarnej, a drugie w szpitalu, nie ma chyba w okolicy nikogo, kto ich nie zna. To ich miasto, ich dzieci uczyły się jeździć na rowerze na tych samych przydomowych uliczkach co oni sami i wychowywane są według prostych zasad: Kochaj rodzinę, pracuj ciężko, ciesz się, gdy Hed Hockey wygrywa mecz, i ciesz się jeszcze bardziej, gdy Björnstad Hockey dostaje baty. Pomagaj tym, którzy potrzebują pomocy, bądź dobrym sąsiadem i nigdy nie zapominaj, skąd pochodzisz. Tego ostatniego rodzice uczą nie poprzez słowa, ale czyny. Pokazują im, że można

się sprzeczać o wszystko, lecz gdy sprawa jest naprawdę poważna, to trzeba się trzymać razem, bo samemu nie ma się żadnych szans.

Wichura za oknem wywołała kolejną, już w domu, rodzice znów się pokłócili, i to porządnie. Hannah to drobna i szczupła kobieta. Stoi teraz w oknie kuchennym i zagryza policzek, rozmasowując siniaki. Poślubiła idiotę. Johnny jest wysoki i barczysty, ma gęstą brodę i ciężką pięść. Jeszcze jako hokeista znany był z tego, że gotowy do walki pierwszy zrzucił rękawice, szalony byk z logo Hed Hockey równie dobrze mógł być jego karykaturą. Jest porywczy i uparty, staromodny i pełen przesądów, to jeden z tych stereotypowych zaczepnych licealistów, którzy nigdy do końca nie dorośli. Grał w hokeja tak długo, jak się dało, a potem został strażakiem, zamienił jedną szatnię na drugą, nadal konkurując we wszystkim: kto wyciśnie najwięcej na ławeczce, kto pobiegnie najszybciej w lesie, kto wleje w siebie najwięcej piwa na grillu. Od pierwszego dnia związku Hannah zdawała sobie sprawę z tego, że to, co w Johnnym takie czarujące, może też pewnego dnia stać się niebezpieczne, słabi przegrywający mogą być agresywni, a pełen pasji temperament doprowadzić do przemocy. „Długi lont, ale dużo prochu to najniebezpieczniejsza kombinacja”, zwykł mawiać jej teść. W korytarzu stoi wazon, dawno temu rozbity na drobne kawałki, a następnie starannie sklejonny, tak by Hannah już nigdy nie zapomniała.

Johnny wraca z ogrodu. Patrzy na nią ukradkiem, sprawdzając, czy nadal jest wzburzona. Kłótnie zawsze kończą się w ten sposób, bo wyszła za idiotę, który nigdy nie słucha. I zawsze coś się tłucze.

Hannah często rozmyśla o tym, że jej mąż pozwala wszystkim myśleć, że jest twardzielem, ale w rzeczywistości to niezwykle wrażliwy i łatwy do urażenia człowiek. Jeśli Hed Hockey dostaje baty, to tak jakby on sam oberwał. Kiedy wiosną zeszłego roku w lokalnej gazecie napisano, że „Björnstad Hockey reprezentuje nowoczesność, podczas gdy Hed Hockey symbolizuje to, co przestarzałe”, wziął sobie to do serca tak mocno, jak gdyby napisano co najmniej, że cała jego rodzina i wszystkie wartości w życiu były niewłaściwe. Klub to miasto, a miasto to jego rodzina. Jego lojalność jest nie do podważenia i zmusza go zawsze do tego, co najbardziej ekstremalne. Zawsze gra ostro, nigdy się nie boi, zawsze pierwszy biegnie do każdej katastrofy.

Kilka lat temu w całym kraju płonęły lasy. Ani Hed, ani Björnstad specjalnie nie ucierpiały, ale parę godzin jazdy stąd było naprawdę niebezpiecznie. Johnny,

Hannah i dzieciaki spędzali wtedy, pierwszy raz od dawna, wspólnie wakacje, jechali właśnie do parku wodnego na południu. W radiu usłyszeli wiadomość o pożarach. Kłótnia zaczęła się, jeszcze zanim zadzwonił telefon, bo Hannah dobrze wiedziała, że gdy zadzwonią, Johnny natychmiast zawróci. Dzieci kulily się na tylnych siedzeniach minibusa, bo już to wcześniej widziały: tę samą kłótnię, te same krzyki, te same zaciśnięte pięści. Wyszła za idiotę.

Każdego dnia walki Johnny'ego z pożarami lasów w telewizyjnych wiadomościach przedstawiano coraz to straszniejsze obrazy, każdego wieczoru, mimo że dzieci zasypiały z płaczem, Hannah udawała, że wcale się nie niepokoi, każdej nocy załamywała się w samotności przy kuchennym stole. W końcu wrócił, gdzieś tak po tygodniu, chociaż mieli wrażenie, że nie było go rok. Wychudzony i tak brudny, że zdawało się, że nigdy do końca nie będzie w stanie zetrzeć tego brudu ze skóry. Hannah stała w kuchni i dostrzegła go, jak wysiada z samochodu kawałek od domu, na skrzyżowaniu, i ostatnie kroki przemierza pieszo, człapiąc, tak jakby zaraz miał się rozsypać i zamienić w wielką stertę kurzu. Rzuciła się w stronę kuchennych drzwi, dzieci też już go zauważyły, zbiegły więc pędem ze schodów, przeciskając się koło niej i potykając jedno o drugie, a potem na zewnątrz. Hannah przystanęła przy oknie, obserwując, jak rzucają się Johnny'emu w ramiona, aż na końcu cała czwórka wisiała na nim jak małpki: Tobias i Ted wokół szyi, Tess na plecach, a mały Ture w ramionach. Ojciec był cały ubabrany, spocony i wyczerpany, ale podniósł wszystkie dzieci i wniósł je do domu, jakby ważyły tyle co piórko. W nocy spał na materacu koło łóżka Turego, skończyło się na tym, że pozostałe rodzeństwo również przytargało tam swoje legowiska. Hannah odzyskała Johnny'ego dopiero po czterech nocach. Dopiero wtedy poczuła jego ramiona i w spokoju mogła zasnąć, oddychając w jego koszulkę. Ostatniego ranka była już tak zazdrosna o dzieci, tak zła na samą siebie i zmęczona wstrzymywaniem własnych uczuć, że rzuciła tym cholernym wazonem o podłogę.

Skleiła go potem starannie, a nikt w rodzinie nie odważył się do niej odezwać, dopóki nie skończyła. Mąż usiadł później przy niej na podłodze i jak zwykle szeptał: „Nie bądź na mnie zła, nie zniosę tego, jeśli będziesz na mnie zła”. Czowała, że struny głosowe łamią się jej w gardle, gdy wyrzuciła z siebie: „To nawet nie był twój pożar, to nawet nie TU się paliło!”. Johnny pochylił się ostrożnie, czuła jego oddech na dłoniach, gdy je całował. „Wszystkie pożary to moje pożary”. Jakżeż ona nienawidziła tego idioty i jednocześnie go uwielbiała. „Twoim zadaniem jest

wracać do domu. Twoim jedynym zadaniem jest wracać do domu”, przypomniała mu, na co on odpowiedział z uśmiechem na twarzy: „No przecież jestem”. Z całej siły uderzyła go w ramię. Spotkała w życiu wielu idiotów, którzy wmawiali sobie, że jako pierwsi pobiegliby w ogień, by ratować innych, ale jej idiota jest takim idiotą, który naprawdę to zrobi. Kłóć się więc o to samo za każdym razem, gdy Johnny jedzie do pożaru, ponieważ za każdym razem Hannah jest tak samo zła na siebie, że się o niego boi. I zawsze kończy się tym, że coś rozbija lub tłucze. Wtedy był to wazon, tym razem padło na jej własne kostki dłoni. Gdy zaczęła się wichura i Johnny, by być w gotowości, natychmiast podładował telefon, uderzyła pięścią w zlew. Teraz rozmasowuje siniaka i klnie. Chce, żeby jechał, ale jednocześnie tego nienawidzi, i w taki właśnie sposób daje o tym znać.

Johnny wchodzi do kuchni, Hannah czuje jego zarost na karku. Zgrywa twardziela, ale w rzeczywistości jest najwrażliwszy z nich wszystkich, to właśnie dlatego nigdy jej nie odkrzykuje. Wichura uderza w okna i oboje dobrze wiedzą, że telefon zaraz zadzwoni i że Johnny będzie musiał jechać, a ona znów wpadnie w złość. „Martw się dopiero wtedy, jak przestanie się złościć, bo to będzie znaczyć, że już cię nie kocha”, powiedział Johnny’emu ojciec zaraz po tym, jak on i Hannah się pobrali. „Długi lont i dużo prochu w tej kobiecie, lepiej uważaj!”, dodał, uśmiechając się.

Hannah być może poślubiła idiotę, ale sama też, do cholery, jest zdrowo walnięta. Jej poczucie humoru potrafi doprowadzić Johnny’ego do granic wytrzymałości, a chaos, który wokół niej panuje, jest nie do zniesienia. On sam wpada w panikę, gdy rzeczy nie leżą na swoim miejscu i nie ma pewności, gdzie wszystko się znajduje, dotyczy to zarówno wozu strażackiego, jak i szaf i kuchennych szafek, a ożenił się z osobą, która nie uważa, że powinno się mieć swoją wyznaczoną stronę łóżka. Hannah kładzie się jednego wieczoru po jednej stronie, drugiego po drugiej, jak popadnie, a on nie wie nawet, od czego ma zacząć się wkurzać. Pokażcie mi kogoś, kto nie ma swojej strony w łóżku. Poza tym chodzi po domu w butach i nie spłukuje za sobą umywalki, i wciąż przekłada noże do masła i do sera, tak że każde śniadanie to jakaś cholerna wyprawa w poszukiwaniu skarbów. Jego żona jest gorsza nawet od dzieci.

Teraz jednak podnosi dłoń i gładzi go po brodzie, a on obejmuje ją ciasno i nic innego się nie liczy. Nauczyli się już siebie nawzajem. Hannah zaakceptowała, że życie ze strażakiem ma rytm, którego inni ludzie nigdy nie zrozumieją. Nauczyła

się na przykład sikać w ciemności, bo na początku, gdy ze sobą zamieszkali, a ona zapalała światło w środku nocy, Johnny się budził, myśląc, że to lampka alarmowa na stacji. Zrywał się z łóżka w północy, ubierał się i biegł do samochodu, zanim ona w samych majtkach zdążyła go dogonić, zastanawiając się, co, do jasnej cholery, wyczynia jej mąż. Minęło kilka chaotycznych nocy, nim zrozumiała, że Johnny już nigdy nie oduczy się tego zachowania i że w głębi duszy ona sama też by sobie tego nie życzyła.

To właśnie taki facet, który biegnie w ogień. Bez wahania, bez zbędnych pytań, po prostu biegnie. Takich jak on jest niewielu, ale gdy się ich zobaczy, od razu wiadomo, że to oni.

—

Ana ma osiemnaście lat. Wygląda przez okno w domu ojca na obrzeżach Björnstad. Lekko kuleje, bo niechcący uszkodziła sobie kolano na treningu sztuk walki, po tym, jak jakiś równolatek powiedział, że dziewczyny nie potrafią porządnie kopać. Skopała mu więc żebra i dołożyła jeszcze z kolana w głowę, ale niestety, jego czaszka – mimo że pusta – nadal była dość twarda, dlatego teraz kuleje. Jej ruchy są zawsze szybkie niczym błyskawica, nie to co ocena sytuacji, niezbyt dobrze rozumie ludzi, ale za to świetnie potrafi odczytywać przyrodę. Teraz widzi, jak za oknem poruszają się drzewa, już rankiem zwróciła na to uwagę, na długo przed innymi wiedziała, że nadejdzie wichura. Dzieci dobrych myśliwych uczą się wyczuwać takie rzeczy, a w okolicy nie ma lepszego myśliwego niż jej ojciec. Ten człowiek spędził w lesie tyle czasu, że niekiedy zapomina o tym, że telefon to nie myśliwskie walkie-talkie, i gdy ktoś do niego dzwoni, na końcu każdej wypowiedzi dorzuca „odbiór”. Ana uczyła się w lesie raczkować, a potem chodzić, bo to był jedyny sposób, by spędzać czas z tatą. Las był jej placem zabaw i szkołą, ojciec nauczył ją wszystkiego o dzikich zwierzętach i niewidzialnych siłach drzemiących w ziemi i powietrzu. To była jego metoda na okazywanie jej miłości. Gdy była mała, pokazywał jej, jak się tropi i strzela, gdy była starsza, zabierał ją na zleczone przez gminę poszukiwania potrąconej w wypadkach dzikiej zwierzyny. Życie w lesie uczy nie tylko tego, jak należy chronić przyrodę, ale również jak ona może chronić człowieka. Koniec końców poza tym, że wypatruje się tego samego co rośliny: wiosny i słońca, obawia się także podobnych rzeczy: oczywiście ognia, ale jeszcze bardziej wiatru. Bo jego nie da się zatrzymać ani ugasić. Wiatr nie zboczy

z kursu przed jakimś pniem czy skórą, po prostu zniszczy, połamie i uśmierci, co tylko zechce.

Ana słyszała niepogodę w czubkach drzew i przeczuwała ją w piersi, gdy jeszcze wszędzie było spokojnie i cicho. Nalała wody do wszystkich koszy i wiader, przyniosła z piwnicy kuchenkę gazową i wymieniła baterie w latarkach czołowych, przygotowała świece i zapalki. Na koniec jak w transie narąbała drewna i przyniosła je do pokoju dziennego. Teraz, gdy wichura nadciąga już nad Björnstad, zamyka wszystkie okna i drzwi i tłukąc się na całą kuchnię, zmywa naczynia w rytm ulubionej piosenki Mai puszczonej z wieży stereo. Głos przyjaciółki ją uspokaja, a najzwyczajniejsze na świecie kuchenne odgłosy uspokajają jej psy. To one ją chroniły, gdy była dzieckiem, teraz jest na odwrót. Jeśli zapytasz Mayę, kim jest jej przyjaciółka, odpowie: „Wojownikiem”. Nie mówi tego jednak dlatego, że Ana może pokonać w walce każdego, ale przede wszystkim dlatego, że życie już nie raz próbowało pokonać Anę i nigdy nie dało rady. Ana jest nie do pokonania.

Chodzi do ostatniej klasy liceum w Björnstad, lecz już od dawna jest dorosła, córki rodziców ukrywających się na dnie butelek dorastają szybciej. Gdy była mała, tata nauczył ją pilnować ognia w kominku, w odpowiednim momencie dokładać kilka dodatkowych szczap, tak by płomień nigdy nie zgasł. Teraz, w gorszych okresach, czasem dniach, a czasem miesiącach, w ten sam sposób podsyca swoje upojenie. Nigdy nie jest nieprzyjemny ani nawet głośny, po prostu nigdy nie jest do końca trzeźwy. Prześpi całą burzę, pochrapując na krześle w pokoju dziennym, otoczony pucharami zdobytymi przez Anę, z których jest tak dumny, i jej zdjęciami z dzieciństwa, z których pieczołowicie wyciął głowę matki Any. Zbyt pijany, by usłyszeć dzwoniący telefon. Ana zmywa i pogłaśnia muzykę w kuchni, psy leżą u jej stóp, one też nic nie słyszą. A telefon dzwoni i dzwoni.

W końcu, zamiast tego, ktoś dzwoni do drzwi.

—

„Nic się nie dzieje, to tylko wiatr”, szepcze Johnny. Hannah bardzo chce w to wierzyć. Tym razem nie będą gasić pożarów, jej mąż wraz z pozostałymi strażakami chwycą za piły elektryczne i pójdą oczyszczać drogi z połamanych

drzew, tak aby inne służby ratunkowe i opieka domowa osób starszych mogły się przedostać. Zawód strażaka w tych okolicach w dziewięćdziesięciu procentach oznacza pracę drwała w lesie, zwykł pohukiwać Johnny, ale Hannah doskonale wie, że jest z tego dumny. Należy przecież do tego lasu.

Odwraca się do niego przodem, staje na palcach i gryzie go w policzek, tak że aż uginają się pod nim kolana. Jest największy i najsilniejszy w prawie każdym pomieszczeniu, do którego wchodzi, ale bez względu na to, co myślą inni, wie, że jeśli dzieci znalazłyby się po drugiej stronie ściany ognia, to Hannah pobiegłaby tam po nie szybciej niż on sam. Jest skomplikowana, wybuchowa i pyskata, i, wierzcie mi, niełatwo jej dogodzić, ale Johnny kocha ją najbardziej na świecie za jej całkowicie bezkompromisowy instynkt obronny. „Pomagamy tym, którym możemy”, szepcze mu zawsze do ucha po najgorszych dniach, gdy on straci kogoś w pracy albo ona u siebie. Strażak musi być przygotowany na oglądanie śmierci na każdym etapie życia, ona jednak pracuje jako położna, zwykle widzi ją więc w tym pierwszym: w pierwszych sekundach życia. Wypowiedane przez nią słowa mają nie tylko przynieść ukojenie, ale również przypominać im o ich obowiązku. Pomagamy, jeśli możemy, kiedy możemy i tym, którym możemy. Taki rodzaj pracy, ale też taki typ człowieka.

Wolno wypuszcza ją z objęć, nigdy nie przyzwyczai się do tego, że ta niechlujna awanturnica wciąż potrafi tak na niego podziałać. Idzie sprawdzić, czy jego telefon się ładuje, Hannah długo za nim patrzy, nigdy się nie przyzwyczai, że nawet po dwudziestu latach, gdy ten marudny pedant rzuca jej tylko jedno spojrzenie, ma ochotę zerwać z niego całe ubranie.

Z korytarza dobiega dźwięk telefonu. Już czas. Zamyka oczy, klnie i obiecuje sobie, że nie będzie się już kłócić. Johnny nigdy jej nie mówi, że wróci do domu bez szwanku, bo to przynosi nieszczęście. Powtarza tylko, że ją kocha, raz za razem, aż ona w końcu mu odpowiada: „Masz szczęście”. Telefon dzwoni nieprzerwanie, Hannah przychodzi do głowy, że mąż jest pewnie w toalecie i dlatego nie odbiera, więc krzyczy na niego, bo szyby w oknach tłuką się niemiłosiernie od wiatru. Dzieci już czekają ustawione w szeregu na schodach, by pożegnać się z ojcem. Tess trzyma ręce na plecach trzech braci: Tobiasa, Teda i Turego. Tata uważał, że to głupie, że wszyscy mają mieć imiona na tę samą literę, ale dogadał się z mamą, że to ona wybiera imiona dla dzieci, a on dla psów. Jakoś nigdy nie sprawili sobie psa. Hannah zawsze była lepszym negocjatorem.

Ture popłakuje w sweter Tess, nikt z rodzeństwa nie nakazuje mu przestać. Sami płakali, gdy byli mniejsi, bo w rodzinie nie ma się strażaka, to tak nie działa, cała rodzina nagle się nim staje. Nie mają tego komfortu, że mogą powiedzieć: „To się nam nie przydarzy”, wiedzą, że tak może być. Rodzice ustanowili więc bardzo prostą zasadę: nigdy nie wystawiają się razem na niebezpieczeństwo. Dzieci zawsze muszą mieć jednego rodzica, gdyby drugiemu nagle coś się stało.

Johnny stoi w korytarzu i coraz głośniej mówi do telefonu, w końcu wręcz krzyczy, ale po drugiej stronie nikogo nie ma. Być może wcisnął zły guzik, sprawdza więc listę połączeń, ale okazuje się, że odkąd przed dziesięcioma minutami skończył rozmowę z własną matką, nikt do niego nie dzwonił. Mija kolejnych kilka dźwięków, zanim dociera do niego, że to nie jego telefon, tylko jej. Hannah podnosi go zdeorientowana, wpatruje się w numer i słyszy głos przełożonego po drugiej stronie słuchawki. Trzydzieści sekund później wybiega z domu.

Chcesz zrozumieć ludzi? Tak naprawdę zrozumieć? To musisz wiedzieć, do czego najlepszego są w życiu zdolni.

Dzikusy

Benjiego obudzi huk. Kac tak mocno przeskaluje mu odległości, że przez krótką chwilę, zrywając się ze snu, nie będzie nawet wiedział, gdzie jest, a całe pomieszczenie będzie mu przypominać domek dla lalek. Ciągnie się to od tak dawna, że właściwie już go nie dziwi. Każdego ranka otwiera oczy, zszokowany, że w ogóle jeszcze żyje.

To będzie dzień po burzy, mimo że Benji nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie jest również pewien, czy zapomniał, co mu się śniło, czy też jeszcze śni. Przydługawe włosy opadają mu na oczy, czuje ból w każdym stawie i mięśniu, jego ciało nadal nosi twardą muskulaturę z życia wypełnionego hokejem, chociaż od ponad dwóch lat nie miał na nogach łyżew. Jest przepalony i niedożywiony. Spróbuje wstać z łóżka, zataczając się i upadając na jedno kolano, puste butelki po alkoholu potoczą się po całej podłodze i w końcu zatrzymają na bibułkach do papierosów, zapalniczce oraz resztkach aluminiowej folii. Ból głowy będzie tak uciążliwy, że nawet z dłońmi przyciśniętymi do uszu nie rozróżni, czy hałas dochodzi z zewnątrz czy też z jego głębi. Nagle usłyszy jeszcze jeden huk, ściany zatrzęsą się tak, że Benji aż się skuli w obawie, że okno nad łóżkiem pęknie i przykryje go deszczem rozbitego szkła. W rogu pokoju nieprzerwanie dzwoni jego telefon.

Dwa lata temu wyjechał z Björnstad i od tamtej pory podróżował. Opuścił miejsce, w którym mieszkał całe życie, i ruszył przed siebie, pociągami, łodzią i stopem aż do miast, w których w końcu nie było hokeja. Nieraz celowo się gubił i poniewierał na wszystkie możliwe sposoby, ale też udało mu się czasem znaleźć coś, za czym, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, tęsknił. Spojrzenia i dłonie, i oddech na karku. Taneczny parkiet bez pytań. Do wyzwolenia niezbędny był mu chaos, a samotność do tego, by w końcu przestać się czuć samotnym. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zawrócić, ruszyć do domu, domem równie dobrze mogła być teraz całkowicie nieznaną planetą.

Czy jest szczęśliwy? Jeśli pytasz, to prawdopodobnie wcale go nie rozumiesz. Benji nigdy nie miał nadziei na szczęście.

Staje w oknie niewielkiego hotelowego pokoju, skacowany i ledwie dobudzony, i spogląda na świat za oknem, nie będąc nawet jego częścią. Na ulicy pod hotelem zderzyły się dwa samochody, to właśnie ten huk go obudził. Słysząc krzyk ludzi. Dzwoni mu w uszach. Dzwoni i dzwoni, aż w końcu dociera do niego, że to telefon.

– To ja – szepcze ciężko po drugiej stronie słuchawki najstarsza siostra, w głosie słysząc zmęczenie.

– Adri? Co się stało?

Benji jest za daleko, żeby mogła go przytulić, tak jak starsza siostra zwykła tulić młodszego brata, więc Adri starannie dobiera słowa, zanim przekaże mu to, co musi. Benji przyjmuje wiadomość w ciszy, całe życie trenował przecież, by nie dawać po sobie znać, kiedy coś w nim gaśnie.

– Nie żyje? – wydusza z siebie w końcu, a siostra powtarza wszystko jeszcze raz, tak jakby zapomniał niektórych słów we własnym języku.

Na koniec szepcze tylko „okej”, szelest jego oddechu w słuchawce to jedyny słyszalny dźwięk, gdy pęka mu serce.

Odkłada słuchawkę i pakuje walizkę. Nie zajmuje to wiele czasu, podróżuje bez większego bagażu, zawsze gotowy do pozostawienia wszystkiego za sobą.

– *What's going on? What time is it?*^[1] – słyszy szept z łóżka.

– *I have to go*^[2] – mówi Benji, już w drzwiach, nadal bez koszulki. Po kilku miesiącach w słońcu tatuaż niedźwiedzia na ramieniu nieco wyblakł, a liczne blizny, jak to u dzikusów, pobłyskują różowo na opalonej skórze. Więcej jest ich na kostkach dłoni niż na twarzy, bo Benji jest lepszy w dzikość niż większość ludzi.

– *Go where?*^[3]

– *Home*^[4].

W połowie schodów dobiega go jeszcze krzyk z pokoju. Mógłby odpowiedzieć, że zadzwoni do mężczyzny pozostawionego w hotelu, ale jeśli Benji nauczył się czegoś w rodzinnych stronach, to tego, że już nie ma siły nikogo więcej okłamywać.

Położne

Tej nocy burza przechodzi przez dwa hokejowe miasteczka i powala zarówno drzewa, jak i ludzi. Jutro dwoje z nich – chłopak z wytatuowanym na ramieniu niedźwiedziem i dziewczyna z tatuażem przedstawiającym gitarę i strzelbę – powrócą do domu, by wziąć udział w pogrzebie. Tym razem wszystko zacznie się w ten właśnie sposób. W miasteczkach w środku dziczy ludzi oprócz niewidzialnych więzów łączą również ostre haczyki, tak więc jeśli jeden z nich odwraca się zbyt gwałtownie, to drugiemu nie tylko koszula podchodzi pod szyję. Czasem każdemu z nas wyrwane zostaje serce.

—

Johnny dotrzymuje kroku żonie, gdy ta wbiega po schodach do sypialni, by spakować torbę do pracy. Po drodze udziela mu kilku lakonicznych informacji: młoda para z północnej części Björnstad oczekuje pierwszego dziecka, więc gdy kobiecie odeszły wody, ruszyli do szpitala w Hed, nie przypuszczając nawet, jak gwałtowna okaże się burza. Zamiast jechać główną szosą, wybrali drogę na skróty, pomniejszych trasami od wschodu. Utknęli w środku lasu pomiędzy dwoma miastami, próbując objechać tarasujące jezdnię zawałone drzewo. Nie zauważyli kolejnego, które spadając, uwięziło ich samochód w środku bezludzia. Udało im się zadzwonić do szpitala, ale w okolicy nie ma żadnej wolnej karetki, nikt też do końca nie wie, jak w całym tym chaosie, gdy leśne drogi nie są przejezdne, mógłby się do nich dostać. Kobieta i dziecko w samochodzie nie mogą liczyć na nic lepszego niż położną, która akurat ma dziś wieczorem wolne i mieszka na tyle blisko, by, jeśli to konieczne, ostatnią część trasy pokonać pieszo.

Johnny stoi w drzwiach sypialni i tak naprawdę ma ochotę zapytać żonę, czy już całkowicie oszalała, ale po dwudziestu latach wie, jaką dostanie odpowiedź. Hannah odwraca się nagle z impetem i uderza czołem o jego klatkę piersiową, Johnny czule obejmuje ją ramionami, tak że żona prawie w nich znika.

- Kocham cię, kocham cię tak bardzo, ty pieprzony idioto – szepcze Hannah.
- Masz szczęście – odpowiada Johnny.
- W skrzyni na strychu leżą dodatkowe koce, a latarki są...
- Wiem, nie martw się o nas, ale za to ty musisz, do cholery... Nie możesz przecież, do cholery... – zaczyna Johnny.

Hannah chowa twarz w jego swetrze i czuje, jak cały się trzęsie.

- Nie możesz się na mnie złościć, kochanie. To przecież ja się zawsze wściekam, ty musisz być tym rozsądnym – mamrocze z ustami przy jego klatce piersiowej.

Johnny się stara. Jak on się stara!

- Nie możesz jechać sama. Powinien jechać z tobą ktoś, kto zna las, kochanie, zaraz zrobi się ciemno i...
- Nie możesz ze mną jechać. Przecież wiesz. Nigdy razem w tym samym samolocie, nigdy razem w tę samą wicherę, dzieci muszą...
- Wiem, WIEM – szepcze ze smutkiem w głosie Johnny, który chyba nigdy nie czuł się tak bezsilny. Dla strażaka nie ma nic gorszego.

Za każdym razem, gdy wyjeżdża na akcję, jego głupie przesady powstrzymują ją od powiedzenia mu: „Wróć cało do domu”, dlatego wymyśla mu coś banalnego do zrobienia następnego dnia, tak by musiał jej obiecać, że będzie na miejscu: „Nie zapomnij, że jutro masz jechać na wysypisko śmieci” albo „O dwunastej jemy obiad u twojej mamy”. To ich mały sekretny zwyczaj.

Tak więc teraz Johnny nie mówi: „Wróć cało do domu”. Nawet nie próbuje jej przekonać, żeby nie jechała, bo wie, co sam by jej w takiej sytuacji odpowiedział. Może i ma sporo siły, ale nawet on nie jest w stanie powstrzymać wiatru. To ona asystuje przy porodach, to jej teraz potrzebują. Pomagamy, jeśli możemy, kiedy możemy i komu możemy. Toteż wychodząc z sypialni, łapie ją za ramię, chce jej powiedzieć coś banalnego i zwykłego, tak żeby pamiętała, że jutro też jest dzień. Ale jedyne, co przychodzi mu do głowy, to:

- Jutro mam zamiar się z tobą przespać!

Hannah wybucha śmiechem, prosto w twarz męża.

- Z tobą naprawdę jest coś nie tak.
- Jutro się z tobą prześpię, żebyś miała jasność!

Do oczu napływają mu łzy, jej również, z zewnątrz dochodzi do nich świst wiatru, a oni doskonale zdają sobie sprawę z tego, że żadne z nich nie jest nieśmiertelne.

– Znasz może kogoś, kto pomoże mi odnaleźć ich w tym lesie? – pyta Hannah, starając się zapanować nad głosem.

– Tak, takiego jednego, już do niego dzwonię i dam mu znać, że jesteś w drodze – odpowiada Johnny, drżącą ręką zapisując na kartce adres.

Hannah wsiada do minibusa, wyjeżdża prosto w noc i prosto w wichurę, która łamie w pól drzewa i zabija, kogo chce. Nie obiecuje, że wróci cała do domu. Johnny razem z dziećmi stoją przy kuchennym oknie.

–

W końcu to psy reagują na to, że ktoś stoi przy drzwiach wejściowych, raczej instynkt niż dzwonek do drzwi podrywa je do szczekania. Ana ostrożnie przechodzi przez korytarz i zerka przez szybę. Kogo tam, do cholery, lichu niesie? Na schodach stoi kobieta, kaptur kurtki przeciwdeszczowej zakrywa jej twarz, a szczupłe ciało prawie ugina się od wiatru.

– CZY TWÓJ TATA JEST W DOMU? – krzyczy, gdy Ana odryglowuje drzwi, cały las dudni, jakby znajdowali się co najmniej w puszczy kopanej przez jakieś olbrzymy.

Minibus, którym przyjechała kobieta, chybotnie się od wiatru, zaparkowany kilka metrów dalej na trawniku. Chyba tylko idiota, i to pod przymusem, wybiera się w wichurę takim pojazdem. A dodatkowo nieznamiona ma na sobie czerwoną kurtkę, co oznacza, że przyjechała tu aż z Hed. Czyżby była niespełna rozumu? Ana jest tak zajęta tą myślą, że prawie nie reaguje, gdy kobieta, krzycząc, podchodzi jeszcze bliżej:

– W lesie utknął samochód, a mój mąż twierdzi, że jeśli ktoś w taką pogodę jest mnie w stanie do niego doprowadzić, to tylko twój tata!

Wyrzuca z siebie słowa, Ana mruga, nadal zaskoczona całą sytuacją.

– Ale... co? To znaczy, mam na myśli, po co jakiś samochód miałby stać teraz w środku lasu?

– Jego pasażerka właśnie rodzi DZIECKO! Czy twój tata jest w domu, czy NIE? – syczy niespokojnie kobieta, robiąc jeszcze jeden krok do środka.

Ana próbuje ją zatrzymać, ale nieznajoma nie zauważa paniki w jej spojrzeniu. Puste puszki po piwie i butelki po alkoholu stoją w rzędzie na blacie kuchennym, starannie wyszorowane przez córkę, tak aby nie śmierdziały w kontenerach na śmieci i żeby Ana nie musiała się wstydzić przed sąsiadami. Ręce ojca zwisają beładnie z fotela w pokoju dziennym, ale klatka piersiowa unosi się i opada poruszana powietrzem wdychanym do nadwyreżonych przez uzależnionego płuc. Położna jest zestresowana i żołądek podchodzi jej do gardła, więc gdy nagle opada, to silniej, niż się spodziewała.

– Ro... rozumiem. Przepraszam... przepraszam, że przeszkadzam – mamrocze zawstydzona i szybko rusza w stronę drzwi, do ogrodu i prosto do samochodu.

Ana waha się przez sekundę, a następnie wybiega za nią. Uderza dłonią o szybę minibusa. Nieznajoma z wahaniem ją opuszcza.

– Dokąd się pani wybiera? – krzyczy Ana.

– Muszę znaleźć tę kobietę w lesie! – odkrzykuje Hannah, próbując zapalić silnik, ale ta kupa złomu tylko pokasłuje.

– Czy pani już kompletnie zwariowała? Wie pani, jak niebezpiecznie jest w lesie przy takiej pogodzie?

– ONA WŁAŚNIE RODZI, A JA JESTEM POŁOŻNĄ! – wyrzuca z siebie Hannah i w nagłym ataku złości uderza dłońmi o niedającą znaku życia deskę rozdzielczą minibusa.

Po fakcie Ana nie będzie w stanie opowiedzieć, co się wtedy dokładnie wydarzyło. Może coś poetyckiego, coś, co ludzie zwykle mówią w filmach, że poczuli, że „wzywa ich wyższy cel”. Głównie jednak chodziło pewnie o to, że ta kobieta wyglądała jak szalona, dokładnie tak, jak ludzie zwykli mówić o Anie.

Wbiega do domu, daje psom jedzenie, pogłównia ich ulubioną piosenkę Mai i w zbyt dużej kurtce, której poły rozwiewa jej teraz wiatr, wraca z kluczykami do podrdzewiałej półciężarówki.

– WEŹMIEMY SAMOCHÓD TATY!

– NIE MOGĘ CIĘ ZE SOBĄ ZABRAĆ! – krzyczy kobieta.

– PANI SAMOCHÓD TO KUPA ZŁOMU!

– MYŚLISZ, ŻE TEGO NIE WIEM? – ryczy położna.

– BĘDZIE PANI O WIELE BEZPIECZNIEJSZA, JEŚLI POJADĘ Z PANIĄ!

Hannah gapi się na tę szaloną osiemnastolatkę. Do takich przypadków nie przygotowują ich na kierunku położniczym. W końcu się poddaje i klnąc pod nosem, zabiera torbę i rusza w stronę samochodu ojca dziewczyny.

– MAM NA IMIĘ HANNAH! – krzyczy.

– ANA! – odkrzykuje Ana.

Chyba nie dziwne, że ich imiona są do siebie tak podobne. Przed nimi jeszcze wiele sytuacji, w których Hannah na przemian przeklnie i zaśmieje się z tego, jak bardzo ta szalona osiemnastolatka przypomina jej ją samą. Siadają z przodu, a potem długo się mocują, by porządnie domknąć smagane wiatrem drzwi. Wzrok Any pada na broń leżącą na tylnym siedzeniu. Czerwieni się ze wstydu, chwytą ją i wbiega z nią do domu. Po powrocie, nie patrząc Hannah w oczy, rzuca:

– Czasem zostawia ją w samochodzie, gdy jest... no wie pani. Opieprzałam go o to już z milion razy.

Położna niewyraźnie kiwa głową.

– Twój tata i mój mąż spotkali się kilka lat temu przy pożarach lasów. Myślę, że teraz zadzwonili po niego, bo wiedzieli, że zna się na lesie. Parę razy nawet wspólnie polowali. Wydaje mi się, że twój tata jest jedynym człowiekiem z Björnstad, którego poważa mój mąż. – Wyjątkowo żalosna próba podniesienia na duchu, sama to czuje.

– Tatę łatwo lubić, szkoda tylko, że on nie zawsze lubi samego siebie – odpowiada Ana z taką pewnością, że położnej aż zaciska się żołądek.

– Może powinnaś zostać z nim w domu?

– Po co? Jest pijany. Nawet nie zauważy, że mnie nie ma.

– Mąż poradził mi, że jeśli wybieram się do lasu, to mogę zaufać wyłącznie twojemu tacie, nie bardzo widzę, jak...

Ana prychnęła.

– Pani mąż to dureń, jeśli myśli, że tylko faceci potrafią się odnaleźć w lesie!

Położna uśmiecha się z rezygnacją.

– Jeśli myślisz, że mój mąż jest durniem tylko z tego powodu, to nie znasz zbyt wielu facetów...

Cały rok tłukła Johnny'emu do głowy, żeby zawiózł minibusa do porządnego warsztatu samochodowego, ale on tylko mrucał pod nosem, że wszyscy strażacy

potrafią sami naprawiać swoje pojazdy. Na co odpowiadała mu, że nie, wszystkim strażakom tylko się WYDAJE, że potrafią zreperować własne samochody. Zawsze uważała, że małżeństwo to pestka, trzeba tylko wybrać jeden temat kłótni, w którym jest się naprawdę dobrym, i już do końca życia powtarzać go przynajmniej raz w tygodniu.

– Gdzie znajduje się ta rodząca kobieta? – pyta niecierpliwie Ana.

Położna waha się, wzdycha, ale ostatecznie wyciąga mapę. Pojechała główną drogą z Hed do Björnstad, ale przejechała nią jako ostatnia. Widziała, jak zaraz za nią na jezdnię zawaliły się drzewa, powinno ją to śmiertelnie wystraszyć, ale adrenalina dodała jej sił.

– Są gdzieś tutaj. – Wskazuje na mapę. – Widzisz? Nie jechali główną trasą, tylko skrótami po starych leśnych drogach. Teraz jednak większość z nich jest pewnie zablokowana. Czy uda nam się w ogóle do nich dostać?

– To się zobaczy – odpowiada Ana.

Hannah odchrząkuje.

– Przepraszam, że pytam, ale czy ty masz wystarczająco dużo lat, by mieć prawo jazdy?

– Tak! To znaczy lat mam, ile trzeba! – mówi wymijająco Ana i rusza z piskiem opon.

– Ale masz... prawo jazdy? – dopytuje nieco zaniepokojona położna, gdy Anę zanosi przy wjeździe na drogę.

– Nie, to znaczy niezupełnie. Ale tata nauczył mnie prowadzić. Często jest pijany, więc wciąż muszę go gdzieś podwozić.

To nie bardzo uspokaja położną. Nie bardzo.

6

Superbohaterowie

Matteo ma czternaście lat. Nie jest ważny w tej historii, jeszcze nie. Na razie przemyka nam w tle, jedna z wielu tysięcy twarzy wśród mieszkańców danej społeczności. Nikt nie zwraca na niego uwagi, gdy na początku wichury jeździ rowerem po ulicach Björnstad, nie tylko dlatego, że wszyscy są zajęci jak najszybszym dostaniem się do domów, ale również dlatego, że Matteo to taki dzieciak, na którego nie zwraca się uwagi. Jeśli niewidzialność zaliczymy do supermocy, to nigdy nie była to jego wymarzona. Zamiast tego życzyłby sobie niewiarygodną siłę, by móc chronić rodzinę. Albo moc zmieniania przeszłości, by uratować starszą siostrę. Nie jest jednak superbohaterem, w swoim życiu jest tak samo bezsilny jak miasto, w którym mieszka, wobec przyrody.

Jest sam w domu, gdy wiatr zaczyna smagać drzewa, i wyłącza prąd w niewielkiej czynszówce, którą jego rodzice wynajmują dokładnie na skraju miasta, tam gdzie kończą się ostatnie domy, a zaczynają pierwsze drzewa w lesie. Pojechali za granicę, by sprowadzić jego siostrę. Matteo świetnie radzi sobie sam, nie ma jednak siły siedzieć w ciemnych pomieszczeniach, bierze więc rower i jedzie do miasta. Przekorny nastolatek w jego głowie nie chce prosić nikogo o pomoc, podczas gdy wystraszone dziecko w jego sercu ma nadzieję, że ktoś go zauważy i się nim zaopiekuje. Nikt jednak nie ma czasu.

Wysoki, gruby mężczyzna w garniturze mija go, biegnąc w przeciwnym kierunku. Matteo nic o nim nie wie, poza tym, że wszyscy mówią na niego „Frak” i że jest właścicielem dużego sklepu spożywczego oraz jednym z najbogatszych ludzi w mieście. Mężczyzna nie zwraca nawet uwagi na przejeżdżającego obok chłopca. Biegnie w stronę masztów ustawionych przed halą lodowiska, by w panicznym strachu spróbować spuścić flagi z namalowanym na nich niedźwiedziem, tak aby nie poniszczył ich wiatr. To jego pierwszy instynktowny odruch w obliczu niebezpieczeństwa: ratować flagi, nie ludzi.

Matteo sunie przez Björnstad i widzi sąsiadów pomagających sobie wzajemnie w usuwaniu z ogrodów luźno leżących przedmiotów, wnoszących do środka kije i bramki, ustawione na każdej większej wolnej przestrzeni. O tej porze roku dzieciaki grają piłeczkami tenisowymi na asfalcie, ale jak tylko spadnie śnieg, każdy ojciec w okolicy zamieni przydomowy trawnik w lodowisko do hokeja. Wielu sąsiadów zaśmiewa się, że „w tym mieście mamy dobrych przyjaciół i kiepskie ogrody”, na południu ludzie może i chwala się perfekcyjnymi trawnikami i starannie przystrzyżonymi rabatkami, ale tutaj, gdy topnieje śnieg, ceni się owalne konstrukcje z gruzu i krążki wystrzelone w grządki z kwiatami. Wtedy wiadomo, że zimowe miesiące poświęciłeś na ważne rzeczy.

Matteo zastanawia się czasem, czy w innych miejscach byłby równie dziwny i samotny jak tutaj. Czy ktoś by z nim rozmawiał, czy miałby przyjaciół, czy ktoś by go zauważał. To, gdzie się rodzisz i kim tam zostajesz, co jest właściwe w jakimś miejscu, a co nie, to loteria. Szaleństwo na punkcie hokeja niemal wszędzie na świecie uczyniłoby cię outsiderem, wyrzutkiem, ale nie tutaj. Tutaj to jak pogoda, wszystkie pogaduszki w każdej sytuacji dotyczą albo jednego, albo drugiego, w Björnstad nie unikniesz bowiem ani wichur, ani sportu.

Szybko robi się ciemno i zimno, śnieg jeszcze tu nie dotarł, ale wiatr przegryza się już przez mięso i tłuszcz, chłopiec nie ma na sobie rękawiczek i traci czucie w palcach. Dociska pedały, sam do końca nie wiedząc, dokąd się udać, jedną ręką puszcza kierownicę, by odzyskać przepływ krwi w dłoni, i na chwilę traci koncentrację. Zbyt późno zauważa samochód. Hamuje tak mocno, że rower wpada w poślizg i zatrzymuje się w poprzek drogi. Oślepiają go reflektory i teraz czeka tylko na uderzenie, które nie nadchodzi. Przychodzi mu na myśl, że może już jest martwy. W ostatniej sekundzie udaje mu się jednak jakoś przełożyć ciężar i rzucić się wraz z rowerem z drogi. Koziółkuje, ociera ręce i ramiona, krzyczy, ale przez wiatr nikt go nie słyszy.

W tej ciemności nie widzi go ani młoda kobieta za kierownicą, ani siedząca obok niej położna. To takie niewielkie zdarzenie, wszystko dzieje się tak szybko, ale gdyby zderzak choćby dotknął czternastolatka, rzuciłoby nim o drzewa z niewyobrażalną wręcz siłą. Chłopiec najprawdopodobniej straciłby przytomność, a jego martwe ciało odnaleziono by dopiero wiele dni później. Udałoby się wtedy przeciąć niewidzialne nici łączące go z tym, co właśnie miało się wydarzyć. Teraz jednak chłopiec podnosi się z trudem, poobijany, ale przy życiu.

Tak niewiele brakuje, byśmy nigdy nie usłyszeli o Matteo. Tymczasem wkrótce nigdy nie będziemy już mogli zapomnieć jego imienia.

Dzieci

Björnstad i Hed to stare miasteczka w jeszcze starszym lesie. Mówi się, że mądrość przychodzi z wiekiem, ale w przypadku większości z nas to nieprawda – starzejąc się, nabieramy tylko więcej doświadczenia w tym, co najlepsze i najgorsze. A co za tym idzie, często więcej w nas cynizmu niż mądrości. Kiedy jeszcze jesteśmy młodzi, nie wiemy nic o tych strasznych rzeczach, które mogą nas kiedyś spotkać. Na szczęście, bo inaczej nigdy nie wyszlibyśmy za próg domu.

A już na pewno nie wypuścilibyśmy tych, których kochamy.

–

– Wiesz... dokąd jedziesz? – pyta zaniepokojona Hannah.

Jako położna chciałaby oczywiście dotrzeć na miejsce jak najszybciej, jednak jako człowiek, który tym człowiekiem jeszcze chciałby pobyc, wolałaby, żeby Ana nie prowadziła, jakby co najmniej ukradła ten samochód.

Dziewczyna nie odpowiada. Ma na sobie o wiele za dużą kurtkę ojca, intensywnie pomarańczową, z odblaskami i dużym napisem na plecach: „Wypadki drogowe z udziałem dzikiej zwierzyny”. Ojciec nosi ją, gdy tropi potrącone zwierzę, cały samochód wypełniony jest sprzętem niezbędnym do nocnych wędrówek po lesie, Ana spędziła tam pół dzieciństwa, biegając z nim i psami. Zawsze wiedziała, że w ciemno znajdzie każdą drogę, mimo to burza najwyraźniej zamierzała ją sprawdzić.

– Więc... wiesz, dokąd jedziemy? – zapytała ponownie Hannah i znów nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Po podłodze przy stopach położnej turlają się dwie piłeczki tenisowe. Podnosi jedną z nich i uśmiecha się ostrożnie.

– Ile... ile macie psów?

Nadal żadnej odpowiedzi. Hannah odchrząkuje i mówi dalej:

– To znaczy, mam na myśli, że przecież nikt tu w okolicy w zasadzie nie gra w tenisa, jedyne znane mi zastosowanie piłeczek tenisowych w Hed i Björnstad to albo zabawa z psem, albo hokej, albo jeszcze suszenie kołder w suszarce bębnowej...

Ana w ciszy mruży oczy nad kierownicą i przyśpiesza jeszcze bardziej.

– Jaka rasa? – nie daje za wygraną położna, a Ana w końcu wzdycha:

– Pani to ten typ, który gada, gdy jest zdenerwowany, nie?

– No... – przyznaje położna.

– Ja też – mówi Ana.

Po czym milknie na dłuższy czas. Położna zamyka oczy i próbuje się powstrzymać. Nic nie mówić. Ale gdy serce zaczyna jej mocniej bić, usta już nie słuchają:

– Mój mąż chciałby mieć psy! Marudzi o tym, odkąd się poznaliśmy! Szczerze mówiąc, niezbyt lubię zwierzęta, ale pomyślałam, że może go zaskoczę na urodziny i pozwolę mu kupić takiego, z którym mógłby chodzić na polowania! Nawet już rozmawiałam z hodowcą! Podobno to ważne, żeby dobry pies myśliwski miał wyraźny „guzik włącz/wyłącz” i podczas polowania potrafił się nakręcić jak dziki, ale potem po powrocie do domu umiał się też uspokoić. To prawda? Zaśmiałam się, gdy to usłyszałam, bo byłoby super, gdyby działało to również w przypadku strażaków i grających w hokeja dzieci...

Samochód przyspiesza. Ana spogląda na Hannah z boku i mamrocze:

– Jak na kogoś, kto nie lubi psów, wie pani o nich całkiem sporo.

– Dziękuję! – woła radośnie położna i zakrywa dłońmi oczy, przekonana, że rozbija się o zwalone na drogę drzewo, które Ana omija w ostatniej sekundzie.

– Musi pani być odważna, skoro przyjechała pani do Björnstad w tej kurtce. Ja mam swoją, żeby nikt nas nie rozjechał, jeśli będziemy musiały stanąć na środku drogi, a pani taką, do której ludzie będą chcieli celować...

– Słucham? – Położna prawie krzyczy, gdy nagle dociera do niej, że niewiele myśląc, gdy wychodziła z domu, założyła kurtkę najstarszego syna, tę z czerwonym emblematem Hed Hockey na piersi.

Tobias już z niej wyrósł, mimo to na nią nadal była za duża. Tak szybko płynie życie.

– Jebane nieudaczniki – stwierdza Ana tak gwałtownie, że Hannah aż się podrywa.

– Uważaj no! To drużyna moich dzieci!

– To nie ich wina, że pozwala im pani grać z tymi jebanymi nieudacznikami – odpowiada niewzruszona Ana.

Położna gapi się na dziewczynę. Potem uśmiecha się z pewną niechęcią.

– A więc lubisz hokej?

– Nienawidzę! Ale jeszcze bardziej nienawidzę Hed – przyznaje Ana.

– W tym sezonie nasza drużyna pewnie przetrzepie waszą – mówi z nadzieją w głosie położna, wdzięczna za każdy temat do rozmowy, przy którym może zapomnieć o stresie.

Ana prychna i zwalnia na kilka sekund, tak by rozeznać się w mroku.

– Nie umielibyscie, kurwa, przetrzepać nawet dywanu. Do zmierzenia czasu waszych obrońców od strefy do strefy potrzebny byłby kalendarz... – mruczy i patrzy przez szybę.

Położna przewraca oczami.

– Mój mąż serio ma rację, nie istnieje większa pycha niż ta w Björnstad, jeszcze niedawno prawie doprowadziliście klub do upadku, a teraz nagle takie zadufanie? W zeszłym sezonie tak dobrze wam szło, bo mieliście tego, jak mu tam, Amata, nie? Bez niego już tak łatwo nie wygracie...

– Nadal mamy Amata – prychna Ana, ruszając wolno z miejsca.

– A on przypadkiem nie jest teraz w USA i nie gra w NHL? Lokalna gazeta donosiła o tym całą zeszłą wiosną. Jak zaawansowana jest praca z młodzieżą w Björnstad, jakie wychowujecie talenty, że reprezentujecie nowy hokej, a my ten stary...

Położna słyszy zgorzknienie męża we własnym głosie, zadziwia ją to, ale tak to właśnie jest mieszkać w tych czasach w Hed: człowiek wszystko traktuje osobiście. Każdy sukces Björnstad to przegrana po drugiej stronie lasu.

– Amat nigdy nie został zdraftowany. Jest w domu. Nabawił się kontuzji, tak mi się wydaje... – zaczyna Ana, lecz milknie, gdy nagle zauważa to, czego szukała: wąską ścieżkę między drzewami, prawdopodobnie niewystarczająco szeroką dla samochodu.

– Jak na kogoś, kto nie lubi hokeja, wiesz o nim zaskakująco dużo – mówi z uśmiechem położna.

Ana zatrzymuje samochód, mierzy wzrokiem ścieżkę i bierze głęboki wdech.

– Nie ma znaczenia, czy Amat będzie grał czy nie, i tak was pokonamy, wie pani dlaczego? – pyta.

– Nie?

Dziewczyna zagryza dolną wargę i puszcza sprzęgło.

– Bo jesteście jebanymi nieudacznikami. PROSZĘ SIĘ TRZYMAĆ!

Następnie szybko opuszcza drogę, tak by nie utknąć w rowie, i skręca prosto między drzewa, ścieżka jest wystarczająco szeroka, ale nie na tyle, by konary drzew nie odrapały lakieru. Położna traci oddech i nie może już wydusić z siebie ani słowa. Toczą się po nierównym podłożu, Hannah uderza głową w boczną szybę, ma wrażenie, że droga ciągnie się godzinami, aż nagle Ana gwałtownie hamuje. Opuszcza szybę, wystawia głowę na zewnątrz i cofa kilka metrów, żeby ustawić samochód w bezpiecznym miejscu, na wypadek gdyby zawaliło się któreś z drzew.

– Jesteśmy na miejscu! – stwierdza dziewczyna, wskazując głową na mapę, a potem za okno.

Gdy wysiadają z auta, jest tak ciemno, że położna nie widzi nawet własnej dłoni, ale Ana wskazuje na odblaskową kurtkę, którą położna chwytą, i prowadzona przez dziewczynę, skulona od wiatru pokonuje ostatni kawałek drogi. To niebywałe, że nastolatka wie, dokąd ma iść, tak jakby wyczuwała to węchem. Nagle docierają do samochodu i słyszą krzyżącą w nim kobietę.

– KOCHANIE, PRZYJECHALI! PRZYJECHAŁA KARETKA! – woła jej mąż.

Wpada w szal, gdy dociera do niego, że nie ma żadnej karetki, strach przemienia niektórych ludzi w bohaterów, ale większość z nas w jego obliczu ujawnia swoje najgorsze cechy. Położna nie może się pozbyć uporczywego wrażenia, że mężczyzna nie jest nawet zirytowany tym, jakim autem do nich przyjechały, chodzi bardziej o to, że wolałyby, żeby wysiedli z niego mężczyźni, a nie kobiety.

– Na pewno pani wie, co robi? – domaga się odpowiedzi, gdy Hannah wciska się na tylne siedzenie i zaczyna szeptać do jego żony.

– Czym się pan zajmuje? – odpowiada pytaniem na pytanie położna.

– Jestem malarzem pokojowym – mamrocze niechętnie mężczyzna.

– Co pan na to, że teraz ja zadecyduję, jak rozwiążemy poród pańskiej żony, a następnym razem pan zadecyduje, jak szpachlować ściany? – pyta położna, odsuwając go delikatnie na bok.

Ana siada z przodu, rozgląda się mechanicznie dookoła.

– W czym mogę pomóc? – pyta, łapiąc oddech.

– Mów do niej – rzuca położna.

– O czym?

– O czymkolwiek.

Zdezorientowana Ana kiwa głową, patrzy przez nagłówek fotela na rodzącą kobietę i mówi:

– Hejka!

Kobieta uśmiecha się między skurczami.

– Hej... Też jesteś położną?

Mężczyzna przerywa jej oburzony:

– ŻARTUJESZ sobie, kochanie? Przecież ona ma, kurwa, maksymalnie dwanaście lat!

– Idź sobie coś pomaluj, palancie! – odgryza się Ana, a położna wybucha gromkim śmiechem.

Przez chwilę mąż rodzącej czuje się tak urażony, że wysiada z samochodu, próbując zatrzaskać za sobą drzwi, ale wichura niweczy dramatyzm jego ruchów. Ledwie udaje mu się ustać prosto, jednak z wiatrem wiejącym w twarz łatwiej wmówić sobie, że po policzkach nie spływają łzy strachu.

– Jak masz na imię? – pyta kobieta na tylnym siedzeniu.

– Ana.

– Dziękuję... dziękuję, że przyjechałyście. Wybaczcie mojemu mężowi...

– Jest zły, bo cię kocha i boi się, że oboje z dzieckiem umrzecie, a on nic nie może z tym zrobić – wyrywa się Anie.

Położna patrzy na nią z lekkim niezadowoleniem, więc dziewczyna zaczyna się bronić:

– Przecież mówiła pani, że mam rozmawiać!

Kobieta na tylnym siedzeniu uśmiecha się z trudem.

– Jak na tak młodą osobę wiesz dużo o mężczyznach.

– Myślą, że chcemy, by cały czas nas chronili, tak jakbyśmy ciągle potrzebowały ich cholernej ochrony – prycha Ana.

Obie kobiety z tyłu wybuchają gromkim śmiechem.

– Masz chłopaka? – pyta rodząca.

– Nie, to znaczy tak. Ale on umarł.

Kobieta wlepia w nią wzrok. Ana pokasłuje przestraszona i dodaje:

– No ale pani przecież nie umrze!

Wtedy w rozmowę włącza się położna, stwierdzając, że chwila ciszy mimo wszystko nie zaszkodzi. Rodząca zaczyna krzyczeć, a jej mąż rzuca się z powrotem do samochodu, trzyma ją za ręce i sam też krzyczy, gdy żona prawie łamie mu palce.

–

Johnny całą noc siedzi przy kuchennym oknie, dla strażaka jest to nie do wytrzymania. Cała czwórka dzieci śpi na materacach wokół niego. Najmłodszy, Ture, usnął w objęciach najstarszej córki, Tess. Tobias i Ted, środkowi, początkowo daleko od siebie, ale po chwili tak blisko, jak to tylko rodzeństwo potrafi. W kryzysie nawet we śnie instynktownie szukamy tego, co jest dla nas naprawdę ważne: oddechu drugiego człowieka, pulsu, według którego możemy ustawić swój własny. Od czasu do czasu ojciec ostrożnie kładzie dzieciom dłoń na plecach, jednemu po drugim, żeby się upewnić, że oddychają. Nie ma ku temu żadnych sensownych przesłanek, ale w byciu czyimś rodzicem nie ma nic sensownego. Jedyne, co słyszał od wszystkich, gdy po raz pierwszy miał zostać ojcem, to: „Nie martw się”. Co za bezsens. Gdy słyszysz pierwszy krzyk własnego dziecka, twoją klatkę piersiową rozrywa ogrom miłości, każde uczucie, które kiedykolwiek poczułeś, zostaje podkreślone do granic absurdu, dzieci sprawiają, że puszcza nam wszystkie zawory – zarówno te pozytywne, jak i negatywne. Nigdy w życiu nie byłeś tak szczęśliwy i jednocześnie tak przerażony. Nie mów wtedy nikomu, żeby się nie martwił. Nie można kochać kogoś tak mocno, nie martwiąc się przy tym o wszystko. Czasem aż boli go w piersi, prawdziwie, fizycznie, tak że Johnny aż

zgina się wół, by złapać powietrze. Kości trzeszczą, ciało poboлева, miłość ma zawsze za ciasno. Powinien był wiedzieć lepiej, zanim sprawił sobie czwórkę, powinien był się nad tym zastanowić, ale wszyscy mówili mu: „Nie martw się”, a jego zawsze łatwo było przekonać. Na szczęście. Wmawiamy sobie, że jesteśmy w stanie ochronić tych, których kochamy, ponieważ gdybyśmy przyjęli do świadomości prawdę, nigdy nie spuścilibyśmy ich z oczu.

Johnny spędza całą noc przy oknie i pierwszy raz w życiu czuje to, co żona czekająca na niego każdej nocy, odkąd się w sobie zakochali: Co pocznę, jeśli nie wrócisz do domu?

—

Hannah wie, że coś jest nie tak. Instynkt to wynik treningu i doświadczenia, ale po tylu latach ma się jeszcze coś. Gdyby nie wiedziała lepiej, to pewnie by powiedziała, że to coś duchowego. Drobnostki, jak najmniejsza nawet zmiana koloru skóry albo mała delikatna klatka piersiowa, która unosi się i opada o mrugnięcie oka za wolno. Wie, kiedy coś się dzieje, zanim to się jeszcze wydarzy. Rodzenie dzieci powinno być niemożliwe, morze jest tak wielkie, a nasz statek taki kruchy, że nikt nie powinien tego robić.

Nawet Ana się teraz boi. Gdy jakiś metr od nich pod naporem wiatru łamie się drzewo, w samochodzie brzmi to jak wystrzał z pistoletu, opadające i omijające pojazd nie dalej niż na odległość dłoni konary rysują karoserię z takim piskiem, że dźwięk huczy w jej głowie jeszcze przez kilka minut. Ziemia się trzęsie, a gdy nadchodzą najsilniejsze podmuchy, wszyscy mają wrażenie, że spadło na nich jeszcze więcej drzew, coś nadlatuje, uderzając w szybę z taką siłą, że to cud, że jej nie rozbija, przypuszczalnie to tylko jakiś kamień, albo grubszy patyk, ale uderzenie ma taką siłę, że wydaje się, jakby zderzyli się z łosiem, jadąc co najmniej sto kilometrów na godzinę.

W całym tym chaosie i harmidrze głos położnej nadal jest spokojny, wzbudza zaufanie i stanowi obietnicę, że wszystko będzie dobrze. Poblady mężczyzna siedzi teraz na przednim fotelu obok Any. Nagle słyszą pierwszy krzyk dziecka i ziemia przestaje się kręcić. Hannah uśmiecha się wyrozumiale do matki i ojca i dopiero gdy rzuca okiem na Anę, dziewczyna zauważa, że coś jest nie tak. Położna pochyła się do niej i szepcze:

– Jak blisko możesz podprowadzić samochód taty?

– Blisko! – zapewnia Ana.

– Co się dzieje? Dlaczego szeptacie? – wybucha spanikowany mężczyzna, gwałtownie chwytając położną za rękę.

Ta wydaje z siebie okrzyk, a wtedy Ana reaguje instynktownie i uderza go prosto w szczękę.

Mężczyzna opada na boczną szybę. Hannah gapi się na niego, a potem na dziewczynę, która mruga zawstydzona.

– Sorry, nie chciałam go walnąć tak mocno. Lecę po samochód.

Świeżo upieczony ojciec kuli się z bólu, w pół na fotelu, w pół na podłodze, z wargi leci mu krew. Głos położnej jest miękkiej, ale słowa już ostrzejsze:

– Twoje dziecko i żona muszą jechać do szpitala. Natychmiast. Jestem prawie pewna, że nie wytapetuje nam pan drogi prosto na oddział położniczy. Ta małolata ma nierówno pod sufitem, ale jest, że tak to ujmę, wszystkim, co teraz mamy. Rozumie pan, co do pana mówię?

Zdesperowany mężczyzna kiwa głową.

– Czy nasze... proszę, czy nasze dziecko, czy ono...

– Musimy jechać do szpitala – powtarza szeptem położna, widząc, jak serce ojca właśnie przestaje bić.

Ana biegnie z rękami wyciągniętymi między drzewami, by koniuszki palców zapamiętały ich ułożenie. Następnie wycofuje samochód ojca na ślepo między pniami. Położna i świeżo upieczony ojciec ostrożnie, ostrożnie przenoszą noworodka i jego matkę między pojazdami. Zaraz potem Ana prowadzi na wyczucie przez mrok, widoczność jest tylko na parę metrów przed nią, ale to wszystko, czego potrzebuje, kilka metrów naraz i znów kilka kolejnych. Nie widzą największego drzewa chwiejącego się i pochylającego, które z niewyobrażalną siłą upada na samochód pozostawiony w ciemności. Może to i dobrze. Wiedza o tym, jak blisko byliśmy śmierci, nie zawsze jest dla nas błogosławieństwem.

Mama na tylnym siedzeniu próbuje coś powiedzieć, bezsilna i przerażona, położna musi się do niej nachylić, by usłyszeć, co mówi.

– Prosi, żeby ci przekazać, że jej przykro z powodu twojego chłopaka – tłumaczy położna, ostrożnie kładąc dłoń na ramieniu Any.

Mężczyzna na siedzeniu obok ma krew na kołnierzu i ze wstydu najchętniej zapadłby się pod ziemię.

– Co... się stało z twoim chłopakiem?

– No więc umarł, ale to było dwa lata temu, więc spokojnie, kochałam go, ale czasem był też nie do zniesienia! – wyrzuca z siebie Ana.

Wjeżdża pomiędzy dwa pnie i przez kilka sekund mają wrażenie, że wszystkie cztery koła oderwały się od ziemi, mężczyzna widzi za szybą jedynie czarny kosmos, aż nagle Ana skręca w coś, co wygląda jak ścieżka.

– JAK SIĘ NAZYWAŁ? TWÓJ CHŁOPAK? – wrzeszczy świeżo upieczony ojciec, głównie po to, żeby w ogóle móc krzyknąć.

– VIDAR! – odkrzykuje Ana i dodaje gazu, wszyscy w przerażeniu łapią się za drzwi, więc nie jest to pewnie najlepszy moment, by opowiedziała im więcej: – ZGINAŁ W WYPADKU SAMOCHODOWYM!

Myśliwi

– UWAGA! NOŻ KUR...

Samochód zatrzymuje się z piskiem, opony desperacko trą o asfalt, mężczyzna wrzeszczy przez spuszczoną szybę, zawieszając się na klaksonie. Ale młoda kobieta przechodząca przed nim wolnym krokiem przez ulicę nic sobie z tego nie robi. Wieczór tutaj na dole, w stolicy, jest niemalże bezwietrzny, nikt nie zdaje sobie sprawy z wichury w lasach na północy kraju. Nawet Maya Andersson. Chcesz zrozumieć Björnstad? Musisz w takim razie zrozumieć ją. Tę, która stamtąd uciekła.

Kierowca samochodu ponownie trąbi, teraz już bardziej zrezygnowany niż zły, początkowo Maya nawet nie zauważa, że to na nią. Przechodzi na czerwonym świetle, lekkim krokiem przemierza chodnik, wprawnie kluczy pomiędzy biurowcami i robotami drogowymi. W ciągu dwóch lat stała się nowym człowiekiem. Z dużego miasta.

Kierowca samochodu coś do niej krzyczy, Maya nie słyszy co, ale odwraca się i zauważa pierwszą część tablicy rejestracyjnej pojazdu.

ZZM.

Ma wrażenie, że minęło całe życie, odkąd ostatnio rozmyślała o tych literach, tak wiele się zmieniło. Kierowca samochodu się poddaje i z piskiem opon odjeżdża, zostawiając ją zamyśloną na środku chodnika, tak że mijający ją ludzie muszą się obok niej przeciskać. Nie wie, co się z nią dzisiaj dzieje, cały wieczór miała taki dobry humor, że aż poczuła się... lekko. Wybiera się właśnie na imprezę z kolegami z klasy ze szkoły muzycznej, niesiona oczekiwaniami, ma wrażenie, że właśnie nauczyła się nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Może być zadowolona, powtarzała to sobie wciąż przez ostatnie miesiące, może się dobrze bawić. Za kilka godzin będzie się za to nienawidzić. Zawsze ją zastanawiało, jak daleko zanieś ją

jej talent muzyczny, i odpowiedź jest następująca: tak daleko, że nawet nie wie, że wichura niszczy teraz Björnstad, podczas gdy ona idzie na imprezę.

Na telefonie widnieje nieodebrane połączenie, od Any, ale Maya postanawia, że oddzwoni do niej później. Mieszkają teraz od siebie tak daleko, że nie robi tego od razu. Nie są już tak powiązane.

Rusza znów przed siebie, żwawym krokiem, po przeprowadzce nie mogła pojąć, dlaczego wszyscy chodzą tak szybko, a teraz, gdy wraca do Björnstad, denerwuje ją to, że zarówno ludzie, jak i cały świat są tam tacy powolni. Tak się już wprawiła w mieszkaniu w dużym mieście, że dawno zdążyła zapomnieć o mężczyźnie w samochodzie. Tutaj nie da się pamiętać wszystkich, których spotyka się na swojej drodze, inaczej mózg nie będzie miał miejsca na pozostałe impulsy i nic nie będzie miało znaczenia.

W lasach na północy, gdzie dorastała, szaleje wichura, ale tutaj nie musiała nawet zapinać cienkiej kurtki. Nie ma najmniejszego pojęcia o wiatrach rozrywających domy i ludzi. Dostaje esemesa od kolegów z imprezy i po jego zapisie wnioskuje, że wszyscy są już pijani. Wybuchą śmiechem, bo od czasu do czasu dociera do niej, jakie to dziwne: w mniej niż cztery semestry udało jej się zbudować kompletnie nowy świat. Podczas ostatniego pobytu w Björnstad wymusnęło jej się nawet, że wraca „do domu”, gdy jechała z powrotem do stolicy. Zauważyła, jak bardzo zraniło to ojca, więc teraz panuje między nimi jeszcze jeden rodzaj ciszy. Nie był gotowy, by pozwolić jej odejść, rodzice nigdy nie są na to przygotowani, po prostu nie mają wyboru.

Maya wie, że wszyscy myślą, że się tu przeprowadziła, bo chciała być dorosła, ale jest dokładnie na odwrót. Kevin zabrał jej tak wiele, wiele więcej, niż potrafi wyjaśnić, dla niego gwałt trwał kilka minut, ale dla niej nigdy się nie skończył. Zabrał jej wszystkie jasne letnie poranki, całe rześkie jesienne powietrze, śnieg pod stopami, śmiech aż do bólu klatki piersiowej, wszystko, co było proste. Większość ludzi nie umie wskazać konkretnego momentu, w którym przestali być dziećmi, Maya jednak potrafi. To Kevin zabrał jej dzieciństwo, a dzięki przeprowadzce tutaj udało jej się wyrwać, wręcz wyszarpać i odzyskać dla siebie jego niewielki fragment. Nauczyła się znów być naiwna, nie chce jeszcze bowiem stawać się dorosłą, nie chce jeszcze życia bez iluzji. Nie chce się uczyć, że któregoś dnia nie będzie już mogła ochronić własnych dzieci. I że wszystkie dziewczynki mogą być ofiarami, a wszyscy chłopcy mogą być sprawcami.

Pod koniec czuła, że właściwie tylko mama rozumie, dlaczego musiała uciec. „Jestem na ciebie taka zła, że mnie zostawiasz, ale będę jeszcze bardziej zła, jeśli zostaniesz”, szepnęła jej do ucha ostatniego poranka w Björnstad. „Obiecuj mi, że będziesz ostrożna, zawsze, ale że... ach... że czasem też nie będziesz. Nie dorastaj, przynajmniej nie od razu, bądź też czasem głupia i nieodpowiedzialna. Ale nie za bardzo!” Maya wybuchnęła śmiechem, a potem płaczem i przytuliła ją przedostatnią, tatę ostatniego, bo wypuścił ją z objęć dopiero, gdy pociąg ruszał. Wskoczyła do środka, a las otoczył wagon i Björnstad przestało być jej domem.

Szybko przywykła do tłumów, ruchu ulicznego i wolności, jaką daje tu anonimowość. Czuła, że to odpowiedź na wszystko. „Jeśli nikt nie wie, kim jesteś, to możesz być, kim chcesz”, powiedziała do Any przez telefon pierwszej wiosny. „Wali mnie to, mi pasujesz taka, jaka jesteś, masz zamiar się zmienić?”, syknęła Ana. Żadnych komplementów od dziewczyny, która gdy były małe, spojrzała na Mayę próbującą po raz pierwszy rozpałcić ognisko i nie mogła uwierzyć: „Tyle milionów plemników i to TY wygrałaś? Niewiarygodne!!!”. Ana nigdy nie opuści lasu, jej korzenie wrosły głębiej niż korzenie drzew, Maya nie potrafi tego pojąć, ale jednocześnie jej tego zazdrości. Sama nie do końca już wie, gdzie jest jej „dom”, zaczęła, nawet w myślach, używać przy tym wyrazie cudzysłowu. Usiłowała wyjaśnić Anie, że czuje się teraz niczym nomada, ale Ana tego nie rozumie, nomadowie nie przeżyją zimy w Björnstad, jeśli nie znajdziesz tam domu, zamarzniesz na śmierć, zanim nastanie świt. W końcu Maya powiedziała: „Tutaj mogę być tym, co robię, w Björnstad jestem tylko tym, co mi się przydarzyło”. To Ana zrozumiała.

Jeden z kolegów z imprezy przysłał nowego esemesa. Maya przechodzi przez ulicę i rusza na skróty przez park, w głowie ma to, że tak będzie szybciej, a nie to, co może tam czyhać. Tak bardzo się już zmieniła.

ZZM.

Idzie wąską, wyłożoną żwirem ścieżką, w połowie parku litery z tablicy rejestracyjnej z hukiem wracają jej do głowy. Wspomnienia toczą walkę o to, które uczucia powinny nią zawładnąć, przychodzi jej na myśl Ana i prawie natychmiast wybucha śmiechem pomieszany z płaczem. Ma wrażenie, że nie myślała o niej

od wieków, ale przecież dopiero co rozmawiały przez telefon. A może minął już tydzień?

Odległości między latarniami w parku stają się coraz dłuższe, dywan dźwięku utkany z ruchu ulicznego i ludzkiego gwaru się wycisza, Maya zwalnia kroku, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Zapomina się rozglądać, nie zwraca uwagi na mężczyznę, który kawałek od niej również zwalnia. Gdy ponownie przyspiesza, rusza za nią.

Teraz, gdy mieszkają w innych miastach, powinna tak naprawdę tęsknić za Aną coraz mniej, ale jest dokładnie na odwrót. Pamięta szczegółowo wyraz jej twarzy, gdy krzyknęła: „No wiesz! Zastrzel... zakop... milcz? zzm!”.

„Co?”, zapytała Maya, na co Ana, jak zwykle skonfundowana tym wszystkim, czego Maya nie wie o świecie, prychnęła: „Serio nigdy tego nie słyssałaś!? To Toronto, w którym wcześniej mieszkałaś, leży chyba na planecie ZIEMIA, nie? Czasem mam wrażenie, że zostałaś stworzona w jakimś laboratorium, dlatego jesteś taka ładna, ale wszystkie kabelki jakoś nie do końca u ciebie stykają”, zaśmiała się, pukając Mayę w głowę.

Maya czuła się jak kosmitka. Pamięta, że cały pierwszy rok w Björnstad chodziła zagubiona i wystraszona, bała się zarówno przyrody, jak i ludzi. Po trosze dlatego, że to nowe miejsce zdawało się mieć smutek w sercu, a jednocześnie przemoc wisiała w powietrzu. Za nic w świecie nie mogła zrozumieć, jak można dobrowolnie osiedlić się właśnie tutaj – w niewielkiej garstce domów otoczonych mrokiem i zimnem, i drzewami, drzewami, drzewami, milionem drzew w każdym kierunku. Wąska droga przez las ciągnęła się w głąb pozbawionego horyzontu świata, tak odległego i głębokiego, jakby zapadał się w dół i znikał w otchłani. Maya była jeszcze dzieckiem i w każdej bajce, którą do tej pory czytała, w takich miejscach mieszkali wyłącznie wiedźmy. Myślała, że nigdy się nie przyzwyczai, ale dzieci przyzwyczajają się prawie do wszystkiego.

Podczas lat spędzonych w Björnstad jako dziecko, a potem nastolatka nie zdążyła zauważyć, jak miasto ją zmieniło. Dopóki się nie przeprowadziła, nie wiedziała nawet, że mówi dialektem. Tam w lesie Ana nabijała się z niej, że źle wymawia samogłoski, ale gdy nowi koledzy ze szkoły muzycznej chcieli pożartować, natrzęsali się z tego, że nigdy nie odmienia czasownika. Udawała, że

ją to bawi, mimo że w swoim naśladowaniu dialektu mijali się z nim o jakieś pięćset kilometrów.

Potem zaczęła śpiewać, tak jak chcieli tego nauczyciele, okrawając samą siebie do tego, co brzmiało jak wszystko inne. Większość jej kolegów z klasy od małego uczęszczała do szkół muzycznych i pobierała prywatne lekcje. Tajemne kody nie były im obce, wiedzieli dokładnie, czego się od nich oczekuje. Maya dostała się tutaj dzięki czystemu talentowi. Przez pierwsze miesiące dużo płakała nocami, początkowo z niepewności, a potem ze złości. Miała wrażenie, że wszystko, co pozostałe dzieciaki musiały zrobić, żeby dostać się do tej szkoły, to mieć bogatych rodziców i umieć w miarę dobrze śpiewać, podczas gdy ona, pokonując tę samą drogę, zawsze musiała być najlepsza. Absolutnie najlepsza.

W pierwszym semestrze jeden z nauczycieli, opowiadając o przemyśle muzycznym, mówił, że muszą sobie zdawać sprawę, że „mieszkają w małym kraju”. Maya pomyślała wtedy, że coś takiego może powiedzieć tylko ktoś, kto nie jest w stanie odczytać dwóch trzecich mapy. Zatkąło ją, gdy zrozumiała, że jej koledzy z klasy myślą, że mieszkają w centralnej części kraju, podczas gdy w rzeczywistości mieszkali całkiem na południu. Przyszedł jej wtedy do głowy ojciec Any, napotykający czasem w lesie turystów z południowej części Szwecji, zdziwionych, jak daleko można przejść, nie trafiając w okolicy na ani jedno domostwo, który po powrocie do domu zwykł potem mrużyć: „Wydaje im się, że rządzą tym krajem, a nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że siedemdziesiąt procent to drzewa? Zabudowa w tym kraju zajmuje trzy procent powierzchni! Trzy!!!”. Któregoś dnia krzyknął do Mai: „W tym kraju jest mniej terenów uprawnych niż torfowisk, ale oni pewnie nawet nie wiedzą, co to jest torfowisko”, i wtedy Ana szybko na ucho wyjaśniła przyjaciółce, co to torfowisko, tak żeby Maya mogła potakująco kiwnąć głową. Teraz sama znajdowała się w otoczeniu ludzi, którzy nie mieli o tym bladego pojęcia. W końcu jednak zrozumiała, że to nie ona, a jej koledzy z klasy – w drogich ubraniach i z przyklejonymi do twarzy uśmiechami obieżyświatów – są tymi niewykształconymi wieśniakami. Przestała płakać po nocach. Przestała czekać w miejscu, a zaczęła je zdobywać, nie naśladowała już ich głosów, tylko śpiewała swoim własnym. Wszystko się wtedy zmieniło.

Zeszłej zimy, wśród biurowców i ruchu ulicznego, odkryła niewielkie sztuczne lodowisko. Dzień później zabrała tam kilku kolegów z klasy i ku swemu

zdziwieniu odkryła, że większość z nich nie umiała jeździć na łyżwach. W Björnstad jeżdżą wszystkie dzieciaki, prawdopodobnie więcej z nich nie umie jeździć na rowerze, ale jak można nie umieć na łyżwach? Gdy nadeszła jesień, jej nowe koleżanki uskarżały się na zimno i wpadały „w depresję od tej ciemności”, a Maya wstydziła się za samą siebie, gdy dotarło do niej, jak szybko przestała je poważać ze względu na ich słabość. Depresja z powodu ciemności w mieście, w którym wszędzie pali się pełno świateł? Zimno? To nawet nie przypominało zimna!

Pamięta wręcz wyrzucane z siebie oddechy, gdy miała sześć lat i szła przez lód w Björnstad, gdzie samotnie jeździła po jeziorze. Wtedy to było zimno. Dopiero co się przeprowadzili, nikt nie wiedział, że poszła na jezioro, pewnie by umarła, gdyby nagle znikąd nie pojawiła się ta ręka i nie wytargała jej do góry. Ana, chuderlawa, jakby w domu nie dostawała nic do jedzenia, mimo to już wtedy silna jak nikt, siedziała obok niej na łodzi i z szeroko otwartymi oczami zastanawiała się, co Maya wyprawia. Nie widziała, jak zmienia się kolor lodu? Nic nie czaiła? Ana uważała, że Maya jest całkiem walnięta, Maya natomiast, że Ana to idiotka. W ten sposób w sekundę zostały najlepszymi przyjaciółkami. Ana nauczyła Mayę strzelać z broni, a tata Any pomrukiwał, że te dwie to „najmniejsza drużyna łowiecka w okolicy, i przypuszczalnie też najniebezpieczniejsza”. Czasami, tak tylko przez sekundę, udawało jej się sobie wmówić, że przynależy do Björnstad. To jednak nigdy nie trwało zbyt długo.

Któregoś razu, gdy były małe, nocowała u Any, w pozostałych przypadkach prawie zawsze w dzieciństwie było na odwrót, akurat tym razem miały nocować w lesie, ale pogoda się zepsuła, więc wróciły do najbliższego im domu. Późnym wieczorem usłyszały, jak tata Any rozmawia przez telefon. Ktoś widział w okolicy wilka. Tata przygnębionym głosem powiedział pytająco do słuchawki: „Chyba go jednak nie zgłosiliście?”.

Maya nie rozumiała, co to oznacza, więc Ana wytłumaczyła jej cicho: „Jest taka zasada, że wilki należy zgłaszać władzom, ale jeśli się to zrobi, to znaczy, że one tu są, rozumiesz?”. Maya nic z tego nie rozumiała, toteż Ana westchnęła tylko: „Jeśli wilki tu są, to władzom będzie ich brakować, jeśli znikną. Ale jeśli ich tu nie ma, to nie mogą też zniknąć. Więc... zzm”.

Niedługo potem po tatę Any przyjechał jakiś mężczyzna, na przednim siedzeniu jego samochodu leżała broń, a na pace łopaty. Gdy wrócili nad ranem, na butach

mieli ziemię i krew. Zastrzel, zakop, milcz. To właśnie wtedy Maya się tego nauczyła.

Gdy kilka godzin później przyjechała po nią mama, Maya udawała, że nic się nie wydarzyło, wiele lat zajęło jej zrozumienie, że Mira też wtedy udawała. Dobrze wiedziała, co się stało z wilkiem, wszyscy w Björnstad wiedzieli. Maya zastanawia się, czy mama czasem rozmyśla o tym, jak tamta cisza wpłynęła na całą pozostałą ciszę, którą wpajano dzieciom w Björnstad.

Jedyną właściwie osobą, która nie milczała, była Ramona. Aż do niedawna Maya tego nie pamiętała, to takie wspomnienie, które mózg po prostu archiwizuje, aż któregoś dnia nagle wypływa ono niespodziewanie w drugim końcu kraju. Niedługo po tym, jak Maya dowiedziała się, co znaczy zzm, musiała iść z Aną do Futra, by odebrać kluczyki do samochodu taty Any. Od czasu do czasu zdarzało się, że był tak pijany, że sprzedawał go za dwa ostatnie piwa, a Ramona mu na to pozwalała, ponieważ lepiej było, żeby wracał do domu pieszo po dwóch dodatkowych piwach, niż prowadził jeszcze przed nimi. Niestety na tylnym siedzeniu został plecak Any, a w nim książka do matematyki, której potrzebowała następnego ranka, więc nie pozostało im nic innego, jak się po nią pofatygować. Rodzice Mai chyba oszaleli, gdyby się dowiedzieli, że Maya poszła do Futra, pełno tam mężczyzn w czarnych kurtkach, bijących się po każdym meczu z kibicami drużyny przeciwnej, a między sobą w zasadzie w każdy inny dzień. Ramona podała Anie klucze przez bar i dodała, żeby Ana nie zapomniała schować broni, którą ojciec jak zwykle zostawił w samochodzie. Ana kiwnęła głową. Potem Ramona spojrzała na Mayę, ta starsza kobieta zbyt mocno przypominała jej czarownicę, by dziewczynka miała odwagę odwzajemnić jej spojrzenie.

„Słyszałam, że widziałyście łopaty. Te durne chłopcy mogły wam tego oszczędzić. Ale prędzej czy później musicie się też nauczyć, że z drapieżnikami trzeba się rozprawiać. Tak może nie jest wszędzie, ale u nas owszem”, syknęła Ramona, poczęstowała je ciastem czekoladowym i zakaszła tak mocno, że ledwie mogła dalej palić. Ale tylko ledwie.

Zaraz potem przy barze rozpętała się bójka między dwoma mężczyznami po szesnastu piwach, więc Ramona zaklęła i zamachnęła się miotłą, a przerażona Maya pociągnęła za sobą Anę do wyjścia. Oczywiście Any sama bójka nie wzruszyła, ale zdenerwowała się, bo po drodze wypadł jej z ręki kawałek ciasta.

Rodzice dziewczynek różnili się od siebie, stąd też i one same spodziewały się po dorosłych zupełnie innych rzeczy. Maya przyswajała wolniej, ale przyswajała.

Zastrzel. Zakop.

Ramona się myliła, pomyślała teraz Maya. Ludzie w Björnstad nie pozbywali się drapieżników, tylko problemów. Bo gdy wiele lat później Maya wybiegła z pokoju Kevina, to nie na drapieżnika wszyscy chcieli się rzucić, tylko na nią. Byłoby przecież cholernie łatwiej, gdyby to ona zniknęła, a nie on. To ona stanowiła problem.

Milcz.

Zwalnia kroku. W parku panuje taka cisza, że słycać każde ziarenko żwiru pod podszwami. Zerka przez ramię. Nie, nie wydaje się jej, ten mężczyzna za nią idzie. Kurwa. Nagle czuje się taka głupia, że przez sekundę zapomina o strachu. Jak mogła aż tak odpłynąć we wspomnieniach, że nie zauważyła niebezpieczeństwa? „Weź się w garść, Maya! Myśl!”, syczy sama do siebie w duchu. W parku zgasła jedna z latarni. Maya przemieszczała się od światła do światła, a teraz nagle zalał ją cień. „Co ja, kurwa, wyprawiam? Dlaczego poszłam przez park? Powinnam wiedzieć lepiej! Zwłaszcza ja powinnam wiedzieć lepiej!”, krzyczy teraz we własnej głowie. Tak bardzo się zmieniła, tak dobrze szła jej nauka bycia znów naiwną. Kątem oka widzi mężczyznę kawałek dalej, nieco bliżej niż chwilę temu, czarna kurtka i kaptur na głowie.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Jeszcze zdąży pomyśleć o mamie. I o tym, że chciałyby do domu.

Matki

„Dom”.

Powinno istnieć więcej słów do nazwania go – jedno określające miejsce, a drugie ludzi, ponieważ po pewnym czasie relacja z rodzinnym miastem przypomina raczej małżeństwo. Trzymają nas razem wspólne historie, drobne opowiadki, których nikt nie zna, śmieszne tylko dla nas żarciki i ten specyficzny śmiech, ten, którym śmiejesz się tylko do mnie. Zauroczenie miejscem i człowiekiem to powiązane ze sobą przygody. Początkowo chichocząc, biegniemy za róg i odkrywamy nawzajem każdy centymetr swojej skóry, z biegiem lat uczymy się każdego kociego łba, każdego kosmyka włosów i pochrapywania, w ten sposób czas zamienia namiętność w oddaną miłość, aż w końcu oczy, przy których budzimy się każdego dnia, i horyzont za oknem opisujemy tym samym słowem: „dom”.

Tak więc powinny w tej sytuacji funkcjonować dwa słowa, jedno na to, co potrafi cię przenieść przez najciemniejsze nawet chwile, a drugie, które potrafi cię przywiązać. Dlatego że czasem zostajemy w jakichś miastach i małżeństwach, bo inaczej pozbawiono by nas historii. Mamy ze sobą za wiele wspólnego. Myślmy, że nikt inny by nas nie zrozumiał.

—

Gdy wichura na poważnie przybiera na sile, Mira Andersson jest sama w biurze w Hed. Odesłała do domu wszystkich pracowników, gdy w radiu zaczęli raportować o pierwszych zwalonych na drogi drzewach. Nawet najlepsza przyjaciółka i współpracowniczka Miry w końcu się poddała i pojechała. Początkowo oczywiście odmawiała, twierdząc, że „tylko dziady z radia od razu popuszczają, jak zaczyna nieco wiać”, ale wtedy Mira zwróciła jej uwagę, że przed wichurą ludzie zwykle robią zapasy ważnych artykułów spożywczych i że w najgorszym wypadku

może się skończyć nawet wino. Wtedy współniczka wpadła w panikę i wsiadła w samochód.

Mąż Miry, Peter, również chciał zostać, ale ta nalegała, że powinien wrócić do Björnstad, żeby Leo nie był w domu sam. Jakby to miało jakieś znaczenie, przecież nastolatek i tak siedzi przed komputerem, w słuchawkach, i dopóki nie odetną mu prądu, nie zauważy nawet inwazji kosmitów. Mieszkają w tym samym domu, ale rodzice prawie go nie widują, ma czternaście lat, a dzieci w tym wieku to już nie dzieci, tylko lokatorzy.

Peter poddał się, zanim dyskusja w ogóle się rozpoczęła, Mira nie jest pewna, czy w jego oczach widziała zawód czy raczej ulgę. Przed dwoma laty mąż zwolnił się ze stanowiska dyrektora sportowego w Björnstad Hockey i zaczął pracować dla Miry, zamknął rozdział swojego życia związany ze sportem i teraz w domu jest jej mężem, a w pracy podwładnym. Czasem oboje przestają już widzieć różnicę. Od czasu do czasu Mira dopytuje, czy wszystko w porządku, a on się uśmiecha i kiwa głową. Mira widzi jednak, że jest nieszczęśliwy. Złości się na samą siebie, że złości się o to na niego.

Obiecała mu dziś, że skończy tylko kilka spraw i pojedzie do domu, ale odkąd wyszedł, nie włączyła jeszcze komputera. Na zewnątrz przyroda rozrywa się na kawałki, a po drugiej stronie szyby siedzi ona, z palcami głaszczącymi ramę zdjęcia przedstawiającego jej dzieci.

Psycholog zwrócił jej ostatnio uwagę, że często wraca do tego, jaką jest złą matką. Nie że czuje się złą, tylko jest. Odpowiedziała, że to prawda, bo przecież mogłaby mieć pracę, ale wybrała karierę. Pracę ma się ze względu na rodzinę, a karierę ze względu na siebie. Egoistycznie dysponuje własnym czasem. Mogłaby żyć dla nich, ale to jej nie wystarcza.

– Rozmawialiśmy już o twojej ekstremalnej potrzebie kontroli...

– Wcale nie jest ekstremalna!

Chodzi do tego psychologa dopiero od kilku miesięcy. Nikomu o tym nie powiedziała, bo to nic poważnego, po prostu znów przytrafiły jej się napady paniki. Płaci mu w gotówce, tak żeby Peter nie znalazł rachunków za wizyty i nie pomyślał, że może żona ma jakieś problemy. Bo nie ma.

– No tak. Ale twoja dwójka jest już duża. Leo ma... czternaście lat, nie? A Maya osiemnaście? Chyba już się nawet wyprowadziła z domu, prawda? – zapytał

psycholog.

– Wcale się nie wyprowadziła! Uczy się w szkole muzycznej i mieszka w akademiku, to nie to samo! – syknęła Mira i prawie się rozplakała, bo miała ochotę wykrzyczeć mu prosto w twarz, że nie ma dwójki dzieci, ale trójkę: Isaka, Mayę i Leo. Jedno w niebie i dwójkę, która prawie nie odbiera od niej telefonów. Zamiast tego wymamrotała: – Możemy się skupić na tym, dlaczego tutaj jestem?

– Na twoich atakach paniki? Myślę, że są one powiązane z tym, że jesteś...

– Kim? Mamą? Powinam przestać nią być tylko dlatego, że mam też na głowie firmę?

Psycholog się uśmiechnął.

– Myślisz, że twoje dzieci nazwałyby cię nadopiekuńczą?

Mira się skrzywiła. Chciała krzyknąć, że wiesz, co jest najgorsze w byciu nadopiekuńczą matką? Co? Że czasem ma się RACJĘ! Ale nie odezwała się ani słowem, bo nie opowiedziała również psychologowi o tym, co przydarzyło się Isakowi, ani o tym, co spotkało Mayę. Nie chce o tym rozmawiać, chce po prostu pozbyć się ataków paniki, dostać jakieś tabletki, czy też co tam miałyby jej pomóc. Nawet u psychologów czuje, że musi się pokazać z jak najlepszej strony, być efektywna i pilna.

Ale psycholog ma rację. Na fotografiach ustawionych na biurku w gabinecie dzieci są jeszcze małe, to pomaga jej nie myśleć o tym, jakie w rzeczywistości są duże. Leo to nastolatek. Maya niedługo już nastolatką nie będzie. Minęły dwa lata, odkąd przeprowadziła się do „stolicy”, by uczęszczać do swojej ukochanej szkoły muzycznej. Dwa LATA, to prawie tak samo nie do pomyślenia jak to, że sama Mira zaczęła używać zwrotu „stolyca”. Po przeprowadzce tutaj zawsze się obruszała, jak wieśniacko to brzmiało, gdy ludzie wokół niej tak mówili. Teraz była jedną z nich. Ludzi lasu. Takich, co to mruczą pod nosem, że „na południu to nawet łosie są leniwe”, i pół żartem, pół serio rzucają, że „stolyca nie jest zła, tyle tylko, że leży tak cholernie na uboczu”.

– Wszystkie nastolatki uważają, że ich mamy są nadopiekuńcze. Mogłabym siedzieć w więzieniu, a oni nadal narzekaliby, że widują mnie za często – mruknęła w końcu niechętnie do psychologa.

Mężczyzna złożył dłonie na kolanach, bo na tym etapie terapii wiedział już, że gdyby tylko pokusił się o jakieś notatki, to Mira natychmiast zażądałaby wglądu

w nie. Nie żeby ta kobieta miała potrzebę kontroli, nie, co to, to nie.

– Brzmisz jak moja matka – powiedział miękki głosem.

Mira aż zamruwała oczami.

– To dlatego, że nic nie jarzycie. Jesteśmy waszymi matkami. Pokochałyśmy was jako pierwsze. Pozostali może i kochają was teraz, ale my byłyśmy pierwsze.

– Czy to uczucie nie czyni cię dobrą matką?

– Raczej po prostu matką.

Psycholog zaśmiał się w głos.

– Pewnie masz rację. Mam ponad sześćdziesiątkę, a moja matka nadal się martwi, że nie odżywiam się porządnie.

Mira podniosła głowę, ale zniżyła głos.

– Jesteśmy waszymi matkami. Nie możecie nas powstrzymać.

W tym momencie psycholog naprawdę żałował, że nie może sobie tego zapisać.

– A twój mąż? Peter? Długo poświęcałaś wiele dla jego kariery, a teraz on od jakiegoś czasu odpuścił swoją karierę dla ciebie. Nadal masz z tego powodu wyrzuty sumienia?

Powietrze aż zaświzczało jej w nosie.

– Nie rozumiem, dlaczego musimy o tym rozmawiać. Przecież ci powiedziałam, że mam... że mam wyrzuty sumienia! Bo nie wiem, jak mam sprawić, żeby był szczęśliwy. To jedyne, czego przez te wszystkie hokejowe lata nigdy nie musiałam dla niego robić, zajmowałam się domem i dopasowywałam całe swoje życie do jego kariery, ale nigdy nie musiałam go uszczęśliwiać. Tym zajmował się hokej. A teraz nie wiem, czy potrafię.

– A czy to na pewno twój obowiązek, żeby go uszczęśliwić? – zapytał psycholog w sposób, w jaki zwykle pytają psychologowie.

Głos Miry mógł nieco drzeć, ale odpowiedź była stanowcza:

– To mój mąż. Nie może mnie powstrzymać.

Naprawdę tak myślała, nadal tak myśli, mimo to siedzi sama w biurze. Nadal ma czas, żeby jeszcze jechać do domu, ale tego nie robi. Patrzy tylko przez okno i widzi nadciągającą wicher. Nie boi się, mimo że powinna.

—

Wszystko, co trzeba wiedzieć o Anie, można wyczytać ze sposobu, w jaki tego wieczoru prowadzi samochód. Jedzie tak, jakby to miała być jej wina, jeśli wszyscy nie wyjdą z tego cało, jej wina, jeśli wszyscy nie będą szczęśliwi, jej wina, jeśli coś pójdzie nie tak. Cokolwiek. Położna to widzi, rozpoznaje od razu, wyciąga więc rękę, dotyka ramienia dziewczyny, odsuwa kosmyk włosów, tak żeby nie wpadał jej do oczu. Ana nawet tego nie zauważa, mruży oczy i skupia wzrok na przedniej szybie. Zbielałe kostki dłoni zaciśnięte na kierownicy, stopy tańczące na pedałach, gdy samochód pędzi przez las. Po fakcie prawie nikt nie będzie pamiętał, jak wydostali się z lasu. Nagle wyjeżdżają na drogę, a w oddali widzą lampy przy wejściu do szpitala.

Ana zatrzymuje się zaraz przy drzwiach, a potem wszystko dzieje się z prędkością światła: z każdej strony nadbiega personel medyczny i sprawnie ich przejmuje. Otwierają się wszystkie drzwi, wiatr huczy na zewnątrz, pielęgniarki się przekrzykują, a Ana siedzi w środku tego chaosu, czując, że zawadza, i nie ma odwagi ruszyć się z miejsca. Hannah, tata, mama i dziecko znikają wraz z falą przybyłych po nich białych fartuchów, drzwi zamykają się za nimi z trzaskiem i w końcu nastaje cisza. Nie do wytrzymania.

Ana wyciąga telefon i dzwoni do Mai. Chce o tym komuś opowiedzieć, ale nawet nie wie, od czego zacząć. Więc odpuszcza. Maya nie odpowiada. Ana odkłada telefon do schowka na drzwiach i opiera głowę na kierownicy.

Po godzinie mama i dziecko są już na tyle stabilni, że Hannah może ich zostawić. Dopiero wtedy zauważa siedzącą wciąż na parkingu Anę. Gdy wychodzi przed budynek szpitala, dziewczyna nadal trzyma głowę na kierownicy, jej oczy są szeroko otwarte. Położna siada na fotelu pasażera, z całej siły zaciąga za sobą drzwi, tak żeby wiatr nie rozerwał zawiasów i nie rzucił nimi w powietrze niczym rękawiczką. Samochodem trzęsie, nadchodzi deszcz, siedzą tak przez chwilę, wsłuchując się w jego odgłos.

– Świetnie sobie z tym poradziłaś – mówi położna.

Ana ciężko mruga oczami.

– Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

– Tak, wszystko będzie dobrze. Dzięki tobie. A czy z tobą wszystko okej?

– Tak, tak. To było... To znaczy, gdy odebrała pani poród w samochodzie i dziecko zapłakało po raz pierwszy, nie wiem, jak to opisać... czułam się, jakbym była na haju! Rozumie pani, co mam na myśli? To znaczy, nie że zażywam narkotyki! Ale wie pani, o co mi chodzi? Znaczą się... wie pani?

– Tak mi się wydaje.

– Czy tak jest za każdym razem?

– Nie za każdym.

– Bo człowiek się przyzwyczaja?

Prawie niewidoczne ślady wokół ust położnej to raczej oznaki ulgi niż zmarszczki spowodowane śmiechem.

– Bo nie zawsze wszystko kończy się dobrze – odpowiada. – Trzeba się cieszyć tymi szczęśliwymi zakończeniami, za każdym razem, gdy ma się ku temu okazję.

Cisza, która między nimi zapada, wciska je głęboko w fotele.

– Muszę wracać do taty – szepcze po chwili Ana.

– Twoja mama jest w domu?

– Mama z nami nie mieszka.

Dziewczyna mówi to tak oczywistym tonem, że położna więcej nie pyta. Mamy nie ma. Jest kobieta, która kiedyś ją urodziła, a teraz mieszka gdzie indziej i ma nowe życie, ale mamy już nie ma. Gdy położna ostrożnie kładzie dłoń na policzku Any, szok puszcza i po palcach ciekną łzy.

– Obiecuję pani, że z dzieckiem będzie wszystko w porządku?

– Obiecuję.

– Przykro mi, że walnęłam tego cholernego malarza. I że jechałam tak szybko. I że...

Położna uspokaja ją czule.

– Uratowałam dziś życie dziecka. Nie jesteś tylko trochę walnięta, co do tego nie ma wątpliwości. Gdyby nie wichura, nie dałabym ci poprowadzić nawet swojej maszyny do szycia, tego możesz być pewna. Ale jesteś też bardzo, bardzo odważna. Jesteś typem, który biegnie w stronę ognia. Uwierz mi, rozpoznaję to od razu.

Ana próbuje przytaknąć, tak jakby sama w to wierzyła. Po powrocie do domu zastaje ojca nadal śpiącego w fotelu, z butelką w ręku. Nawet nie zauważył, że za

oknem rozpada się świat. Ana kończy zmywać, sprawdza baterie w latarkach i kładzie się na podłodze pod kocem, przy kominku, z psami ułożonymi ciasno wokół siebie. Zapomniała zabrać telefon z samochodu, leży tam nadal w przegródce na drzwiach i dzwoni bez ustanku.

Następnego dnia Ana nie wspomina nikomu o tym, co przeszła. Nawet Mai.

—

Na szpitalnym łóżku leży kobieta. Nikt nigdy jej nie opowiedział, co to za uczucie być matką. Na szczęście. Od teraz już zawsze będzie się bać.

– Vidar to dobre imię – szepcze.

– Fantastyczne. – Tata pociąga nosem.

Dobre. Imię chłopca urodzonego głęboko w lesie, pomiędzy dwoma miasteczkami, które się nienawidzą, szalonej nocy, podczas najgorszej wichury, jaką ktokolwiek pamiętał. Dziecko wiatru, uratowane przez córkę myśliwego. Jeśli zacznie grać w hokeja, to stanie się bohaterem jednej z naszych najlepszych opowieści.

Będziemy takich potrzebować. To właśnie opowieści pozwalają nam przetrwać pogrzeby.

—

Hannah wraca do szpitala, do szatni, przebiera się i pochyla czoło do drzwi szafki. Dopiero w tym momencie daje sobie czas na małe załamanie, takie niewielkie, tylko przez chwilę. Nie opiera się, pozwala najjaśniejszemu światłu i najmroczniejszej ciemności, żeby przez nią przepłynęły. Potem zamyka wszystkie szczeliny i luki w ciele i otwiera oczy, tak żeby pozostawić te uczucia za sobą i nie zabierać ich do domu. Nikt nie jest w stanie ciągle czuć wszystkiego. Jest tylko kilka kilometrów od domu, ale gdy idzie w stronę parkingu, dociera do niej, że autobus nadal stoi u Any w Björnstad. Powrót do domu piechotą podczas wichury to stanowczo zbyt niebezpieczna opcja, zwłaszcza że jest wyczerpana, dzwoni więc do męża i ledwie ma siłę mówić: „Wszystko poszło dobrze, kochanie, ale nie mam samochodu, więc zostanę i zaczekam, aż wichura...”. Ale Johnny już odłożył słuchawkę, zaniósł całą czwórkę śpiących dzieciaków do sąsiadów i pożyczył od

nich samochód, by pojechać do szpitala i odebrać żonę. Nawet szalejący żywioł nie jest w stanie powstrzymać jej idioty.

—

Mira siedzi samotnie przy biurku w gabinecie i przygląda się swemu odbiciu w szybie. Po drugiej stronie panuje ciemność, niebo połknęło ziemię. Po raz setny przychodzi jej do głowy, żeby zadzwonić do córki, ale jest tak późno, że Maya zapewne poszła już na jakąś imprezę z kolegami z klasy. Mira nie chce jej niepokoić. Najbardziej jednak nie chce, by Maya usłyszała w jej głosie, jak bardzo się boi. I jak bardzo się pogubiła.

Wichura okazuje się silniejsza, niż podawano w wiadomościach. O wiele, wiele silniejsza. Mira nie jedzie jednak do domu. Powinna, ale tego nie robi.

Miasta i małżeństwa składają się z opowieści. Jedna zaczyna się tam, gdzie kończy się druga.

Ptaki wędrowne

W domu w Björnstad Maya wielokrotnie słyszała, że „w kryzysie człowiek dowiaduje się, kim naprawdę jest”. W hokejowych miasteczkach uwielbiają tego typu pieprzone frazesy. „Przyciśnięci do ściany dowiadujemy się, do czego jesteśmy zdolni”, pokrzykują, nie zastanawiając się nawet, co to właściwie znaczy. Większość nigdy się przecież nie dowie, do czego jest zdolna, większość nie wie, czy w głębi serca jest ofiarą czy drapieżnikiem, nigdy nawet o tym nie myśleli. Maya im zazdrości. Ależ ona im zazdrości.

Przyspiesza kroku, ale nie zaczyna biec, wie, że mężczyzna za nią dogoni ją wtedy w kilka sekund. Próbuje kupić sobie nieco czasu, dojść najbliższej wyjścia z parku, zanim ruszy pędem, zmylić go, by nie docenił jej możliwości.

Idiotka.

Dawniej Maya przyglądała się ptakom wędrownym przelatującym wiosną ponad lasem między Hed i Björnstad i zastanawiała się, po co to robią. „Rozumiem, dlaczego odlatują, ale nie dlaczego wracają”, powiedziała do Any, ale ta wzruszyła tylko ramionami, odpowiadając: „Omija je cały sezon hokejowy. Mądrale!”. Zawsze obracała w żart to, co bolało, lecz gdy Maya się wyprowadzała, by zacząć naukę w szkole muzycznej, szepnęła: „Teraz jesteś jak ptaki. Odlatujesz”. Maya tak bardzo chciała, by to było takie proste.

Pierwszej nocy, każda w swojej części kraju, rozmawiały przez telefon aż do wschodu słońca. Maya bardzo się starała udawać przed nowymi kolegami z klasy, że jest normalna, ale w słuchawce rozpadała się na kawałki. Wyznała Anie, że zastanawiała się, czy jest psychopatką, bo już nie żałowała, że przyłożyła lufę do skroni Kevina. Ana zawyła w odpowiedzi: „Boże, przecież ty byłaś psychopatką już dużo wcześniej!”. Maya się uśmiechnęła. Zawsze kończyły żartem po którejś stronie, tak żeby nie musieć dogrzebywać się zbyt głęboko. Maya nienawidziła samej siebie

za to, że była w tym pokoju z Kevinem, Ana natomiast za to, że jej tam nie było. Maya oszczędziła go na ścieżce do biegania, Ana nigdy by tego nie zrobiła. „Wszystkie zwierzęta najpierw walczą o przetrwanie, polują, jeśli to leży w ich naturze, zabijają, jeśli muszą”, powiedziała Ana i Maya zamyśliła się na chwilę, zanim odparła: „Wszystkie zwierzęta nie szukają jednak zemsty, tylko my to robimy, całą noc czekamy w ciemności wyłącznie po to, żeby się zemścić. Tylko my”. Ana prychnęła i opowiedziała jej o jednym z psów myśliwskich ojca, którego mama Any biła po pysku jako szczeniaka. Po wielu tygodniach wymknął się na zewnątrz i porwał całe białe pranie, które mama właśnie wywiesiła w ogrodzie. „Zemścił się”. Ana szeroko się uśmiechnęła.

Nadal rozmawiała przez telefon, ale coraz rzadziej, coraz mniej o zwierzętach. Maya naprawdę starała się o wszystkim zapomnieć. Nowi koledzy z klasy nic o niej nie wiedzieli, postanowiła więc stać się kimś innym – kimś, komu nic się nie przydarzyło. I prawie jej się to udało.

Idiotka idiotka.

„Nigdy nie opowiadasz nic o sobie, znamy cię od dwóch lat, ale mamy wrażenie, że ledwie coś o tobie wiemy!”, wybuchnął ostatnio jeden z kolegów z klasy, gdy uczyli się w bibliotece. Maya oniemiała, gdy wszyscy wokół stołu przyznali mu rację. Nie robili jej wyrzutów, po prostu byli ciekawi, nie mieli pojęcia, jakie drzwi próbowali właśnie otworzyć. Obróciła to w żart i wyjawiała im, używając do tego swojego najcięższego dialektu z Björnstad, że tak naprawdę jest mafijną zabójczynią, bo wiedziała, że to zawsze wywołuje salwy śmiechu. Bo co miała im powiedzieć? Od czego zacząć? Ich świat był zbyt mały, by mogli to zrozumieć, nadal byli dziećmi, upijali się na każdej imprezie, bo nie bali się stracić kontroli, bo nigdy nic się im nie przydarzyło. Nigdy nie nienawidzili się tak bardzo, że aż chcieli sobie odebrać życie, jedynie dlatego, że mając piętnaście lat, poszli na imprezę w mieście, w którym wszyscy potem marzyli o ich zniknięciu, bo ten, kogo nie ma, nie może zostać zgwałcony. Nigdy nie musieli się zastanawiać nad tym, co by się stało, gdyby nie poszli na policję, o niczym nie opowiedzieli, tylko po prostu żyli dalej, nie wywracając do góry nogami życia swoich bliskich. Nigdy nie śnili o lufie przystawionej do skroni ani nie budzili się z ulgą jak Maya, która woli już sny o tym, co ona zrobiła Kevinowi, niż o tym, co on zrobił jej. Nigdy nie

zastanawiali się nad tym, czy w sumie nie powinni byli zrobić tego, czego nauczyło ich miasto: Zastrzelić. Zakopać. Milczeć.

Jeden chłopak zapytał ją kilka miesięcy temu na imprezie, dlaczego nigdy nie pije więcej niż jedną, dwie lampki wina. Co miała mu odpowiedzieć? Ze względu na takich chłopaków jak ty? Bo jesteście wszędzie.

Jednak w tym mieście prawie udało jej się stać innym człowiekiem. Prawie udało jej się zmienić. Udało jej się do tego stopnia, że któregoś wieczoru, nawet o tym nie myśląc, wybrała drogę przez ciemny park.

Idiotka idiotka idiotka.

Przyspiesza na żwirowej ścieżce, tylko odrobinę, mężczyzna za nią również. Może się myli? Może tylko jej się wydaje? Zwalnia więc, a wtedy mężczyzna prawie przystaje. Gdy Maya ponownie rusza, nie ma już wątpliwości, czego chce od niej ten facet, i wtedy jest już za późno. Dłonią niezdarnie przeszukuje torebkę, ale palce się ślizgają i telefon wypada jej z ręki na żwir. Mężczyzna zbliża się szybko, Maya słyszy jego oddech, a w następnej sekundzie prawie czuje go na policzku.

W ostatniej chwili zalewa ją złość, wkurza się na wszystko i wszystkich, ale głównie na siebie. Bo już trzyma nóż w dłoni. To po niego sięgnęła do torebki, gdy wypadł jej telefon, dobrze wie, że i tak nie zdąży do nikogo zadzwonić, jedyne, co może robić, to się bronić. Ostrze jest cienkie i niezbyt długie, przychodzi jej jeszcze na myśl, że powinna celować w jego dłonie, mężczyzna nie ma rękawiczek, więc jeśli go w nie skaleczy, to ból może być wystarczający, żeby udało jej się uciec. Zdąży jeszcze pomyśleć, że jego dłonie są takie drobne. Ostatnie, co przelatuje jej przez głowę, to myśl, że szkoda, że nie zawiązała mocniej adidasów. Tak bardzo się zmieniła. Stała się dziewczyną, która wychodząc z domu, nie zawiązuje porządnie butów. Tak jakby świat nie był pełen mężczyzn.

Mężczyzna się rusza. Maya uderza.

Słyszy swój własny krzyk, nie ze strachu, ale ze złości. Dwa lata. Prawie udało jej się tu zostać innym człowiekiem. Ale w kryzysie dowiaduje się prawdy o samej sobie, przypomina sobie oddech Kevina, jego ostry uścisk, swoje walące serce. Pamięta też jego przyspieszony oddech, drżące palce, gdy zobaczył broń, zapach

moczu, gdy posikał się w panice. Czy nocami nadal jest tam na ścieżce do biegania, tak jak ona wciąż tkwi w pokoju, w którym ją zgwałcił? Czy kiedykolwiek wrócił z lasu do domu? Czy nadal boi się ciemności? Maya na to właśnie liczy.

Mężczyzna w parku wydaje okrzyk, żałosny cichy jęk. Czyżby go dźgnęła? Boże, miejmy taką nadzieję.

To Ramona dała jej ten nóż, rankiem ostatniego dnia przed wyprowadzką Mai z Björnstad. „Weź go i trzymaj w torebce. Tam na dole, w stolicy, ludzie są tacy drażliwi, że pewnie nie wolno nawet nosić ze sobą strzelby, gdy się idzie na miasto. Ale, do cholery, nie mów o tym...”, zaczęła, a Maya, nie zrozumiałwszy jej, natychmiast obiecała: „Proszę się nie martwić, nic nie powiem tacie!”. Po czym Ramona prychnęła tak mocno, że na drugim końcu baru zgasła świeczka: „Przecież ja się, do jasnego chuja, nie boję twojego OJCA! Ale twojej matki... Jeśli się dowie, że dałam ci nóż, to zapewne wsadzi mi go w dupę. Dosłownie”.

Ramonie niezbyt dobrze szło przytulanie, więc Maya przejęła stery i w końcu nawet jej się udało objąć barmankę. A noża miała się już pozbyć tysiąc razy, ale jakoś tak nadal leżał w torebce. „Wszyscy już pewnie zdążyli cię wypytać, co dobrego przyniesie ci ta wyprowadzka”, powiedziała na koniec Ramona, „dlatego nie będę ci tu więcej nic mówić, ale chcę żebyś wiedziała, że jedyni ludzie, którzy wyprowadzają się z Björnstad, to te pewne siebie kozaki, które myślą, że są kimś. I to jest dobre. Chcę, moja droga, żebyś wierzyła w to, że jesteś kimś”.

– Poczekaj! POCZEKAJ!

Do Mai na początku nie dociera, że to krzyk mężczyzny, głos jest zbyt młody, zbyt spięty. Odskoczył do tyłu i Maya w ostatnim momencie wstrzymuje nóż. Mężczyzna stoi z jedną ręką podniesioną do góry, a drugą wyciągniętą przed sobą, z jej telefonem w dłoni, która trzęsie się tak bardzo, że aparat o mało co znów nie upada na żwir. Mayę zalewa wstyd, gdy zauważa, że to nawet nie jest mężczyzna, to dziewczynka, może trzynastoletnia. Mała gówniara. Wbija wzrok w nóż w dłoni Mai, po jej twarzy spływają łzy.

– Przepraszam! Przepraszam!

– Co, do KURWY?! – krzyczy Maya i spanikowana wrzuca nóż do torebki. Teraz i ona się trzęsie.

– Mogłabym... mogłabym pójść razem z tobą? – pyta dziewczynka, jękając się. – Zabrały mi telefon, ale nie chciałam im dać PIN-u, więc zaczęły mnie gonić. Zobaczyłam ciebie i pomyślałam...

Dopiero teraz kawałek dalej Maya zauważa trzy pozostałe dziewczynki, w tym samym wieku. Serce bije jej tak mocno, że aż zatyka jej uszy. Teraz myśli jedynie o tym, co powiedziała jej kiedyś mama o przeprowadzce do małego Björnstad z kilkumilionowego Toronto: „W Björnstad, gdy wychodzisz nocą, boisz się tylko drapieżników, w dużym mieście boisz się wszystkiego”. Myliła się i zapewne już wtedy o tym wiedziała, było to kłamstwo, przeznaczone zarówno dla niej samej, jak i dla córki. Drapieżniki są wszędzie, tylko różnego gatunku.

– Proszę... twój telefon... – szepcze dziewczynka stojąca przed Mayą.

Maya widzi czerwone ślady na jej przegubach i wie, jak powstały. Dziewczynka się wyrwała, walczyła o życie. Bierze telefon, dziewczynki kawałek dalej widzą, jak ekran rozświetla jej twarz, i pewnie myślą, że dzwoni na policję, bo odwracają się na pięcie i tak szybko, jak się pojawiły, znikają.

– Chodź. Pośpiesz się – szepcze Maya i pociąga dziewczynkę za sobą w drugim kierunku.

Dziewczynka biegnie blisko niej, aż dochodzą do skraju parku.

– Gdzie... gdzie można dostać taki nóż? – pyta, gdy w końcu ma odwagę się odezwać.

Maya pochyla się i opiera ręce na kolanach, żałując, że nie ma tu Any, która mogłaby naśmiewać się z jej kondycji. Unika wzroku dziewczynki i mamrocze:

– Jedna wiedźma z lasu mi go dała.

– Co?

– Nieważne. Ale ty nie sprawisz sobie noża.

– Dlaczego nie?

– Bo można go mieć dopiero wtedy, gdy jest się gotowym go użyć – szepcze Maya, mając nadzieję, że dziewczynka nigdy nie będzie musiała być tak gotowa jak ona sama.

Podaje jej telefon i prosi, by zadzwoniła do rodziców. Dziewczynka posłusznie wykonuje polecenie. Maya słyszy, jak dziewczynka opowiada, co się wydarzyło, i raz za razem zapewnia, że nic się jej nie stało, widać, że walczy z płaczem, nie dla siebie, ale ze względu na mamę i tatę. Większość ludzi nie wie, kiedy skończyło się ich dzieciństwo, ale ta dziewczynka będzie to wiedzieć dokładnie.

Maya pamięta szpital po gwałcie, gdy jej własna matka chciała zamordować całe miasto, jej ojciec szeptał: „Co mogę zrobić?”, a jedyne, co Maya zdołała z siebie wydusić, to: „Kochaj mnie”. To przerażający dla każdego dziecka moment, gdy dociera do nas, że nasi rodzice nie mogą nas ochronić. I że sami też nie ochronimy swoich własnych dzieci. Że cały świat może przyjść i nas zabrać, kiedy tylko zechce.

Dziewczynka oddaje telefon, mówi, że jej mama chce rozmawiać z Mayą, w słuchawce słychać szlochającą kobietę.

– Dziękuję, och, DZIĘKUJĘ pani bardzo, tak strasznie się cieszę, że moja córka miała takie szczęście i panią spotkała! Nauczyliśmy ją, że jeśli tylko coś się jej przydarzy, ma natychmiast biec do kogoś dorosłego!

To pierwszy raz, gdy ktoś tak nazywa Mayę. Czeka z dziewczynką, aż na rogu pojawia się samochód jej rodziców, dziewczynka chwilę patrzy w ich stronę, a gdy ponownie odwraca wzrok, Mai już nie ma. Zniknęła w mieście, w którym nikt o nikim nic nie wie i każdy może być, kim chce.

Ale kim chce się być?

Kilka przecnic dalej Maya ostrożnie siada na lodowatej ławce i dopiero wtedy traci kontrolę. Płacze tak spazmatycznie, że aż nie może oddychać. Wszystko, o czym przez te ostatnie miesiące tak bardzo starała się zapomnieć, powróciło: odgłos guzika odbijającego się od podłogi, plakaty na ścianach w pokoju Kevina, ciężar jego ciała i panika panika panika. Po wszystkim jego zapach na jej skórze, który próbowała z siebie zetrzeć, aż pojawiły się rany.

Mówi się, że w swoich najgorszych momentach dowiadujemy się, kto jest naszym najlepszym przyjacielem, głównie jednak ujawniamy się sami przed sobą. Maya wyciąga telefon i chce zadzwonić do któregoś z kolegów z klasy, ale co ma im powiedzieć? Oni nie mają noży w torebkach. Nie zrozumieliby.

Najbardziej na świecie chciałyby zadzwonić do mamy, usłyszeć jej pytające: „Wszystko w porządku, kochanie?”, i szepnąć jej w odpowiedzi: „Nie, mamo, nie jest w porządku, nie jest w porządku, nie jest”. Ma ochotę krzyknąć do słuchawki, że mama ma przejechać przez cały kraj i ją odebrać, tak jak za każdym razem, gdy jako mała dziewczynka spała z Aną w lesie i bała się ciemności. Jej mama zawsze wskakiwała do samochodu, zanim Maya zdążyła do końca wypowiedzieć prośbę, zawsze spała w ubraniu, gdy dzieci były poza domem. To jedyne, co ją powstrzymuje, żeby zadzwonić. Mama przyjechałaby od razu, bez zastanowienia przebyła całą drogę nocą, ale Maya właśnie została nazwana dorosłą. Więc stara się taką być.

Zamiast tego dzwoni do jedynej osoby, którą ma i zawsze miała, bo o to właśnie dopytują nasze kryzysy: „Kto jest twoim człowiekiem?”. Dzwoni do Any.

Nikt nie odbiera. Dzwoni jeszcze raz i jeszcze raz, w końcu wysyła esemesa: „Odbierz, potrzebuję cię!!”. Ależ będzie się tego wstydzić za kilka godzin. Ależ nienawidzić samej siebie, gdy się dowie, co się działo w domu.

Maszty

Dom. Matteo nigdy nie czuł się tutaj jak w domu. To miasto nigdy nie chciało nic o nim wiedzieć.

Przykucnął w rowie. Spadając z roweru, upadł na rękę, która teraz boli tak bardzo, że przez kilka sekund naprawdę myśli, że został potrącony. Podnosi się, pojękując, samochód już dawno zniknął w ciemnościach, Ana za kierownicą i Hannah, siedząca obok niej, nawet go nie zauważyły. Drzewa skrzypią na wietrze jak metal o ceramkę. To tylko ułamek chwili z całego życia, ale może to właśnie tam i wtedy Matteo zaczyna mieć już dość swojej bezsilności. Dość bycia słabym. Podejmuje decyzję o zemście, przeciwko komukolwiek, jakkolwiek.

Ponownie wdrapuje się na drogę i walcząc z wiatrem, ciągnie za sobą rower. Gubi się. Podnosi głowę i dostrzega, że szedł w złym kierunku. Jest na Wzgórzu, na którym znajdują się najbogatsze domy w mieście, spacer z jego dzielnicy tutaj zajmuje mu mniej niż pół godziny, ale to jakby zupełnie inny kraj. Domy są tu tak ogromne, że prawdopodobnie można wołać do siebie z jego dwóch krańców i się nie usłyszeć, okna są tak duże, że Matteo zastanawia się, jak ktoś je myje. Na każdym podjeździe stoją dwa samochody, a w każdym ogrodzie trampolina. To miasto jest niewiarygodnie dobre w pokazywaniu ci, na co się nie stać.

Przystaje przy ścieżce rowerowej, z której rozciąga się widok na całe jezioro, wiodąc wzrokiem po jego krawędzi, dotrze się aż do hali lodowiska. Przed nią, w dwóch rzędach, dumnie ustawiono dwanaście masztów, na których wysoko, wysoko powiewają zawsze zielone flagi z niedźwiedziem. Teraz ktoś jednak opuszcza je jedną za drugą, tak żeby nie zniszczył ich wiatr. Troskliwie i ostrożnie, tak jakby każda z nich była niezwykle cenna.

Z roweru Matteo spadł łańcuch, chłopiec próbuje go naprawić, ale skostniałe z zimna palce zbyt mocno się trzęsą. Ciągnie rower jeszcze kawałek w stronę centrum, ale w końcu się poddaje i go zostawia.

Nikt na zewnątrz go nie widzi, nikt nie proponuje mu pomocy, jedyne, o co się martwią, to flagi.

Dach

W tym lesie wszystko i wszyscy są ze sobą powiązani, powiązani tak mocno, że gdy w hali lodowiska w Hed załamuje się dach, mężczyzna w Björnstad automatycznie zaczyna biec. Jeden z jego dawnych trenerów hokejowych powiedział mu kiedyś: „Sukces zyskuje się poprzez ekstremalnie wysoką spójność, ale przy absolutnie zerowym prestiżu. Bo w spójności chodzi o to, kim jesteś, a w prestiżu jedynie o to, co myślą o tobie inni”. Mężczyzna często myśli, że w sporcie może to i prawda, ale jeśli chodzi o przetrwanie miasta, to tutaj jest dokładnie na odwrót: prestiż to wszystko. Dlatego właśnie biegnie.

Któregoś dnia w ciągu ostatnich dwóch lat, niewielu dokładnie wie kiedy, ponieważ nie doniesiono o tym w lokalnej gazecie, w małym pomieszczeniu w budynku gminy zebrało się kilku mężczyzn i kilka kobiet i podjęło polityczną decyzję, która wtedy wyglądała na błąd: postanowiono odłożyć w czasie remont hali lodowiska w Hed, a przyspieszyć nieco remont lodowiska w Björnstad. Teraz, po fakcie, nikt nie potrafi szczegółowo przedstawić powodów, dla których podjęto właśnie taką decyzję, ale jak to zwykle bywa w tych okolicach, w polityce nie zawsze decydują politycy.

Co właściwie się wydarzyło? Niewielka, ale silna głosem „grupa interesów” z Björnstad miesiącami starała się o względy różnych lokalnych włodarzy, w salach konferencyjnych, myśliwskich chatach i w sklepie spożywczym. Zarząd Hed Hockey w tym czasie, zbyt zajęty rekrutowaniem nowego trenera, nie protestował. Nie wszyscy politycy byli oczywiście przekonani co do tego, że lodowisko w Björnstad jest ważniejsze niż to w Hed, ale dostatecznie wielu ugięło się w obawie przed utratą sprzymierzeńców. Polityczne realia są twarde: czas na stanowisku jest coraz krótszy, a kampanie wyborcze coraz dłuższe.

Grupie interesów udało się przedstawić raport przeglądu lokalu, w którym stwierdzono, że niebezpieczeństwo zawalenia się budynku hali w Björnstad nagle stało się „nadciągające”, co oczywiście wzbudziło dodatkowy niepokój ze względu

na rozbudowaną ofertę zajęć dla dzieci w klubie. Musimy przecież myśleć o dzieciach. Nigdy nie dyskutowano o tym, że protokół sporządził brat członka zarządu Björnstad Hockey. Gdy kilka tygodni później ktoś poprosił o wgląd w ten dokument, nigdzie nie można go było znaleźć. Wtedy jednak decyzja dawno już zapadła i jedno lodowisko uznano nagle za ważniejsze od drugiego.

Najwięcej środków pochłonęła wymiana dachu w hali lodowiska w Björnstad. Zaraz po jej zakończeniu i zapłaceniu przez gminę wszystkich faktur niezależny sponsor ufundował na parkingu dwanaście masztów z ogromnymi flagami z logotypem Björnstad, powiewającymi na znak wygranej. To czysty przypadek, że ten sam sponsor okazał się przywódcą „grupy interesów”, który oczywiście do samego remontu dachu nie dołożył ani złotówki, bo przecież z dachem nie ma tyle zabawy co z flagami. W końcu ludzie widzą flagi za każdym razem, gdy przychodzą na mecz, a na dach nikt nie zwraca uwagi, dopóki nie zerwie go jakaś wichura.

Wtedy prawie nikt się nie przejął tą polityczną decyzją, ale teraz nadeszła wichura i pierwsze, co zawala się w Hed, to dach lodowiska. W tym samym czasie przez Björnstad biegnie mężczyzna, by uratować dwanaście masztów. Oczywiście może się to wydawać głupie, dopóki nie zobaczymy konsekwencji. Nad las nadciąga wichura, jedno z lodowisk się zawala, drugie stoi nienaruszone. Wkrótce pociągnie to mieszkańców do walki o nowe środki i skończy się, jak to zwykle tutaj w okolicy: przemocą. Tyle już zdążyło się wydarzyć do tej pory, że zapomnimy, jak to wszystko się zaczęło, ale to zaczyna się tutaj. Teraz.

Mężczyzna biegnący w stronę masztów ma dwa metry wzrostu i trzy cyfry na wadze, marynarka trzepocze mu na wietrze. Próbuje rozwiązać liny, by opuścić flagi, ale węzły trzymają mocno, a jego palce są już przemarznięte, w końcu frustracja bierze górę i mężczyzna krzyczy ze złości na cały głos. Ci, którzy go nie znają, mogą pomyśleć, że zwariował, ale jeśli zapytasz jego znajomych, wykrzykną: „A to kiedyś był normalny?”.

Mówią na niego Frak, chociaż oczywiście nie jest to jego prawdziwe imię. Wielu dorosłych mężczyzn w tym mieście ma dwa imiona: jedno nadane przez rodziców, drugie przez hokej. Jako młody chłopak chciał się wyróżniać w drużynie, więc gdy wszyscy inni nosili koszulki i dżinsy, on paradował w garniturze. Któregoś razu, na pogrzebie, gdy wszyscy mieli na sobie garnitury, chciał być najlepszy i przyszedł we fraku. Od tej pory nikt już nie nazywał go inaczej.

Ślizga się w swoich półbutach, wciąż musi podciągać spodnie, ale nieprzerwanie walczy z węzłami przy linach. W drodze tutaj przebiegł obok chłopca, nie wie, że ten ma na imię Matteo, nawet go nie zauważył. Cała jego uwaga skupiała się na zielonych płachtach materiału, powiewających wysoko na masztach. To przecież, do jasnej cholery, tylko jakieś tam flagi, mógłby pomyśleć ktoś z zewnątrz, przecież to, do jasnej cholery, tylko jakiś klub hokejowy. Ale nie dla Fraka.

Całe życie go nie doceniano, pomijano, przedstawiano jako głupka i wyśmiewano. Jego sklep spożywczy prawie splajtował, kilkakrotnie balansował na granicy opłacalności, ale wrogowie mówią o nim, że jest jak chwast: nie można się go pozbyć. Ściągał go Urząd Podatkowy, jest tak znany z machlojek finansowych i szwindli, że powiedzenie „ten chujek znajdzie wyjście nawet z dupy” jest praktycznie najmilszą rzeczą, jaką można o nim obecnie usłyszeć. Ale Frak zawsze idzie do przodu, zawsze do przodu. Z uśmiechem na twarzy, zaciśniętą pięścią i walecznym okrzykiem na ustach: „Do boju!”, przetrwał wszystkie bitwy, a przez ostatnie lata udało mu się zbudować całkiem sporych rozmiarów majątek. Jeśli go o to zapytasz, chętnie opowie ci, że to dlatego, że zawsze patrzy nieco dalej niż inni, a jeśli go nie zapytasz, to i tak ci opowie. Po szpitalu w Hed i fabryce w Björnstad to trzeci co do wielkości pracodawca w okolicy, a poza tym jeden z najhojniejszych sponsorów Björnstad Hockey. Tajemnicą poliszynela jest, że osobiście wybierał większość członków zarządu klubu. Jeśli chce się sterować tym miastem, w pierwszej kolejności trzeba mieć kontrolę nad stanowiskami pracy, a w drugiej nad hokejem, a jeśli obecnie chcesz się choćby zbliżyć w ich okolicę, to musisz przejść przez Fraka. Kiedy, do cholery, ma on dokładnie czas na prowadzenie sklepu, tego nie wie nikt, bo w hali lodowiska zdaje się gościć częściej niż sami zawodnicy, a w budynku gminy częściej niż politycy. Wszyscy mają o nim jakieś zdanie, ale nikt nie może go ignorować. Próbowali przed dwoma laty i nigdy im tego nie zapomni.

To było po tym, co sam nazywa „skandalem”, bo przez usta nie przechodzi mu słowo „gwałt”. Nigdy też nie mówi „Maya”, mimo że zna jej ojca prawie całe swoje życie, zamiast tego używa określenia „ta młoda kobieta”. Dla wszystkich był to oczywiście okropny rok, ale najwyraźniej nikt nie rozumie, kto tu jest prawdziwą ofiarą: mężczyzna w średnim wieku z poważnymi ekonomicznymi przedsięwzięciami. Frak mógł stracić wszystko.

Niewielu w okolicy zdaje sobie w ogóle sprawę z tego, jak bliska realizacji była polityczna decyzja o rozwiązaniu Björnstad Hockey i przekazaniu wszystkiego na rzecz Hed Hockey. Björnstad uratowano dosłownie w ostatniej sekundzie, pomogli zaangażowani fani, nowi członkowie zarządu i pieniądze sponsorów z fabryki, wszyscy jednak mają świadomość, że Frak pracował na to nieprzerwanie w ciszy. Ponieważ nie wiadano o tym wcześniej, przeprowadzono z nim zeszłej wiosny wywiad w lokalnej gazecie, w którym opowiedział szeroko: „Pracuję w CIZY, sami rozumiecie, działam, wiecie, nie będąc widocznym!”. Po czym dorzucił kilka cennych uwag na temat tego, jak powinien zostać sfotografowany i jak duże powinno być jego zdjęcie, a potem pokazał jeszcze broszury, które wydrukował dla wszystkich lokalnych przedsiębiorstw. Napisano na nich: „Sponsoring Björnstad Hockey jest nie tylko możliwy, ale też właściwy”. Bo gdy Björnstad po „skandalu” stało przed największym kryzysem w historii miasta, Frak patrzył już nieco dalej w przyszłość.

Stwierdził, że Björnstad to był klub jak każdy inny, teraz jednak stanie się klubem jak żaden dotychczas. Wszystko, co do tej pory określał jako poprawne politycznie wymysły, przyjął obecnie z tak szeroko otwartym sercem, że mało kto orientował się już w jego poczynaniach. W lokalnej gazecie dumnie perorował: „Wiele klubów nie bierze społecznej odpowiedzialności, ale Björnstad Hockey jest inne! Opowiadałem państwu o naszym sporym projekcie, jakim jest hokej dziewczęcy? Unikalna rzecz!”.

Część może uznać jego działania za przejaw bezwstydnego oportunistu, ale dla Fraka będzie to tylko komplement, bycie oportunistą to dla niego dostrzeżenie szansy i jej wykorzystanie. W czasie swojej hokejowej aktywności nauczył się, że każda taktyczna decyzja będzie po fakcie uznawana za genialną albo idiotyczną, w zależności od tego, jaki będzie jej efekt.

Jako dowód na to, że hokej naprawdę jest „otwarty na wszystkich”, Frak nie pominął też oczywiście Amata, który pochodził z najbiedniejszej dzielnicy Björnstad, a mimo to stał się największą gwiazdą drużyny. Nie miał wprawdzie dokładnych liczb wskazujących na to, ilu innych graczy z Niecki kiedykolwiek pojawiło się w pierwszym składzie, ale czy mama Benjamina Ovicha nie mieszkała PRAWIE w Niecce i czy to nie powinno się również liczyć? Benjamin wyprowadził się wprawdzie za granicę dwa lata temu i nie grał już nawet w hokeja, ale przecież był HOMOSEKSUALNY, czy dziennikarz o tym wiedział? „Oczywiście nie żeby to

miało dla nas jakieś znaczenie, w tym klubie traktujemy wszystkich równo!”, zaklinał się Frak, nie wyjaśniając jednak, dlaczego nie czuł potrzeby definiowania pozostałych zawodników w drużynie poprzez ich orientację seksualną.

Frak nie chciał też rozmawiać z dziennikarzem o „skandalu”, „ze względu na szacunek dla wszystkich zamieszanych”, a szacunek to dla Fraka bardzo ważna rzecz. Dopilnował ponadto, żeby, całkiem przypadkiem, na najlepszym miejscu na ulotce znalazło się zdjęcie Petera Anderssona, który już nawet nie pracował w klubie, a zaraz obok niego dokleił zdjęcie dziewczynki z dziecięcej drużyny. Nie było widać jej twarzy, jedynie długie włosy w tym samym kolorze co Mai, takie subtelne przypomnienie, żeby sponsorzy nie zapomnieli, czym klubem tak naprawdę było Björnstad: nie Kevina, tylko Mai. W każdym razie „subtelne” jak na Fraka. „I nawet właściwe”.

Za dwanaście masztów przed halą lodowiska zapłacili z własnej kieszeni. Teraz każdy w drodze na mecz przechodził rozłożystą aleją pod ogromnymi zielonymi płachtami z wizerunkiem niedźwiedzia pośrodku, a ponieważ lokalna gazeta o tym napisała, a ludzie ogólnie wolą flagi niż dachy, to wielu odniosło wrażenie, że cały remont wykonano na koszt Fraka. Nie gminy.

Sam Frak był oczywiście zbyt skromny, by się tym chwalić, opowiedział to więc w zaufaniu jedynie dwustu osobom i temu dziennikarzowi. Bezwstydnym oportunistą? Tylko jeśli przyjmiemy, że to coś złego.

Nawet Ramona z Futra, która ma w zwyczaju przy każdej możliwej okazji przypominać Frakowi, jaki jest głupi, za jego plecami – bo to jedyna sytuacja, gdy się z niego nie naśmiewa – przyznała kiedyś: „Z takich facetów jak Frak bardzo łatwo się nabijać, ale wiecie, kim on jest? To prawdziwy zapaleniec. To miasto to dzieło jego życia. Możesz się z tego śmiać, ale co ty, kurwa, sam stworzyłeś? Co zbudowałeś w tym mieście? A co zbudowało państwo? Myślisz, że rządzący pojawią się tutaj i załatwią nam pracę i mieszkania? Nie wiedzą nawet o tym, że żyjemy!”. Potem wypila dodatkowe śniadanie i dodała: „Frak może być idiotą, jakich mało, ale bez tego typu idiotów takie miasta jak nasze nie mają szans”.

Może było w tym nieco przesady, ale na pewno nie była to nieprawda.

Frak wie, że wszystko się ze sobą łączy, flagi to symbol klubu, jeśli zmiecie je wiatr, to ludzie pomyślą jutro, że hokej jest słaby. Jeśli jednak będą powiewać dumnie jak zwykle, tak jakby Björnstad było nieśmiertelne, to wtedy ludzie

pomyślą, że to prawda. Dlatego właśnie biegnie. Bo patrzy nieco dalej w przyszłość niż pozostali.

Plus jest idiotą jakich mało.

Wiatr huczy w uszach, nie jest już nawet pewien, czy krzyczy czy nie, gdy koniuszek palca utyka w związanych linach tak mocno, że aż odpada mu cały jeden paznokieć, zdarty do żywego mięsa. Ból przychodzi natychmiast i jest tak nie do wytrzymania, że Frak osuwa się na kolana i czuje, że zarówno palec, jak i policzki robią się wilgotne.

Z trudem się podnosi i wali pięścią w drzwi wejściowe do hali. Gdy nikt mu nie otwiera, krzyczy z całych sił i kopie w nie zawiedziony.

Bangbangbang.

Królowie

Matteo wybiera drogę przez dzielnicę willową w nadziei, że między domostwami wiatr nie będzie tak silny. Kiedy tylko się da, podpira się dłonią o fasady budynków lub płoty, zamyka oczy, ale wiatr wdziera się pod powieki, tak jakby chciał zmusić chłopca do przyglądania się spustoszeniu. Przechodzi koło domu z zawieszoną na drzwiach tabliczką, na której dawno temu dziecko, będące już teraz nastolatkiem, napisało: TUTAJ MIESZKA LEO I MAYA I PETER I MIRA ANDERSSON. Matteo sunie nieco zbyt blisko drzwi garażowych, co sprawia, że czujnik ruchu włącza lampę. W tej części miasta prąd jeszcze działa, nie to co na obrzeżach, tam gdzie mieszka Matteo. Mężczyzna w środku podnosi się na palcach i wygląda przez okno. Matteo wie, kto to, wszyscy to wiedzą, to Peter Andersson, były dyrektor sportowy Björnstad Hockey. Grał też profesjonalnie w NHL. Wszystkie hokejowe miasteczka to królestwa, a Peter był tutaj kiedyś królem. Teraz wygląda jednak starzej niż zwykle, samotniej i nieszczęśliwiej. To wprawia Matteo w dobry humor. Chłopiec ma nadzieję, że wszyscy hokeiści w tym mieście, każdy jeden po kolei, stracą wszystko, co kochają, tak żeby również się dowiedzieli, jak to jest.

Peter przygląda się przez szybę, próbując dostrzec, co poruszało się przy wejściu do garażu i zapaliło światło, tak jakby miał nadzieję, że to samochód i że ktoś wrócił do domu. Niczego jednak nie dostrzega, Matteo zdążył już pobiec dalej, prosto w wiatr. Peter nigdy się nie dowie, że tu był, nie wie nawet, kim ten chłopiec jest. Jeszcze.

Czekoladowe kulki

Bang bang bang.

Bangbangbangbangbang.

Przez chwilę brzmi to jak brzdęk krążków hokejowych odbijanych o ścianę domu, ale to tylko gałąź żywopłotu uderzająca o wywrócony kosz na śmieci. Peter Andersson przygląda mu się zawiedziony przez okno, wichura na zewnątrz przejmuje całe miasto, ale tutaj, w środku, jest sucho i bezpiecznie. Nie musi wychodzić, by kogoś ratować, bo nikt nie potrzebuje jego pomocy. Żał mu siebie samego, ostatnimi czasy żał mu wielu różnych rzeczy, ale najbardziej żał mu samego siebie, że mu żał samego siebie. Taka skierowana do siebie pogarda, która zdaje się nie mieć końca.

Zakończył karierę dyrektora sportowego w Björnstad Hockey dwa lata temu, ale zestarzał się o dziesięć. Coraz mniej czasu potrzebuje, by się co rano uczesać, coraz więcej za to, by się wysikać. Dzisiaj już posprzątał, przygotował jedzenie i upiekł chleb, zaczyna być w tym tak dobry, jak to zwykle bywa, gdy ma się za dużo przestrzeni na ćwiczenie tej umiejętności. Maya jest w szkole muzycznej po drugiej stronie kraju, a Leo co prawda w swoim pokoju, ale w sumie tak jakby był równie daleko. Mira została w biurze w Hed i Peter nadal trzyma jej na ogniu obiad, mimo iż wie, że to nadaremne. Drobne rytuały w walce z samotnością, kurczowo podtrzymywane iluzje, że jest się potrzebnym.

„Tato, masz... no, może mógłbyś jednak z kimś o tym pogadać? Wydajesz się taki przygnębiony!”, powiedziała Maya, gdy była w domu w lecie.

Wtedy gdy wspomniała, że jedzie „do domu”, wyjeżdżając z Björnstad, i zauważyła, jak z tego powodu posmutniał. Skłamał oczywiście, mówiąc, że po prostu jest zmęczony, bo z kim miałby niby porozmawiać? Z psychologiem? To tak jakby płacić komuś za narzekanie na pogodę. Bo jak miałby mu to wyjaśnić? W Kanadzie miał trenera, który zwykł mówić, że to „prędkość zabija” na lodzie,

nie ma znaczenia, jak potężny będzie zawodnik, który cię powali, tylko z jaką szybkością nadjedzie. Peter nie dostrzegł, że to kłamstwo, dopóki nie zszedł z lodu po raz ostatni. Zabija cisza. Niemożność bycia częścią czegoś. Dobrowolnie zrezygnował ze stanowiska dyrektora sportowego w Björnstad Hockey i zaczął pracę z żoną, bo chciał być lepszym mężem i ojcem, jest prawie pewien, że mu się udało. Jest lepszy. Jak więc ma wyjaśnić, że nie żałuje, ale mimo to żałuje? I że nie był gotowy na to, że wszyscy zapomną o nim tak szybko.

Klubowi wiedzie się lepiej niż ostatnimi czasy. Ma nowych sponsorów, wsparcie gminnych polityków, stabilniejszą niż przez ostatnie lata sytuację finansową i dobrą drużynę. Naprawdę, naprawdę dobrą. W ostatnim sezonie pokonali Hed Hockey z taką przewagą, że zakrawało to prawie na upokorzenie, miasta nie są już sobie równe, Björnstad wygrało prawie całą serię, a Hed prawie wypadło z ligi. Kluby spotkają się ze sobą również w tym roku, ale już chyba po raz ostatni, Hed nieubłaganie spada w kolejkach, a Björnstad pnie się w górę. Jeden klub biednieje, a drugi się bogaci, wszystko zmieniło się tak szybko, kilka lat temu było na odwrót.

Jak więc ma przyznać, że sukces, o którym wszyscy tak marzyli, go uderza? Że ma wrażenie, że to on był źródłem problemów. Björnstad Hockey było całym jego życiem, ale kiedy skończył pracę, to tak jakby ślady po nim rozmyła woda, nie pozostało nic, jakby go tam nigdy nie było.

Hokej dla postronnego obserwatora może być głupawą grą, ale dla grającego nigdy. Wytłumaczenie komuś, jak się czuje na lodzie, wydaje się równie niemożliwe co wyjaśnienie żyjącemu pod ziemią, czego doświadcza latający. Jakie znaczenie może mieć niebo, jeśli się go nigdy nie widziało?

Co miałby więc powiedzieć psychologowi? Że chciałby czuć się potrzebny? Że jego życie mu nie wystarcza? Nie. Wystarcza. Musi wystarczyć.

Wichura wstrząsa oknami i szarpie rynny w poszukiwaniu czegoś luźnego, co można by było oderwać. Gdy zapala się lampa na podjeździe, Peter wygląda zza szyby pokoju dziennego w nadziei, że Mira wróciła do domu. Ale na zewnątrz znajduje tylko cienie i bezlitosny wiatr.

Patrzy na ekran telefonu, rozważając, czy do niej zadzwonić, ale nie chce wyjść na zrzędliviego. Przychodzi mu też do głowy, żeby zadzwonić do Mai, ale nie chce się jej narzucać.

Stoi więc tak w oknie, nienawidząc samego siebie za to, że się nad sobą użala.

—

Bang bang bang.

Maya nadal ma zadyszkę, serce wali tak mocno, że aż jest jej niedobrze. Idzie w kierunku mieszkania, w którym odbywa się impreza, ale przystaje przed budynkiem, nie mogąc się zmusić, by wejść do środka. Za bardzo się boi, że koledzy z klasy zaczną zadawać pytania i dostrzegą w jej oczach, co zrobiła. Nigdy by tego nie zrozumieli, nigdy nie rozmyślali o ofiarach i drapieżnikach, jedyne znane im zwierzęta znajdują się w zoo lub w zamrażarce. To miłe, naiwne dzieci. Nie to co Maya.

Rozgląda się dookoła. Po drugiej stronie ulicy znajduje się niewielki pub z zepsutym neonem i rzędem pijaczków przed śmiertelnie znudzonym barmanem. Nadal jeszcze nie przyzwyczała się do tego, że skończyła osiemnaście lat i wolno jej chodzić do knajp, tak bardzo walczyła o to, by nie dorosnąć, że przegapiła, kiedy to się stało, teraz jednak przechodzi przez ulicę, otwiera drzwi i zanurza się w ciemności, zamiast iść na górę na imprezę. Wita ją zapach zaschniętych plam po piwie, ale nikt nie podnosi na nią wzroku, bywalcy gapią się we własne szklanki nawet podczas rozmowy z towarzyszami, to takie miejsce, w którym wyrazem miłosierdzia jest brak luster w toaletach.

Bang, bang, bang, dochodzi do niej. Siada w głębi w rogu, zamawia kieliszek wina i wypija jednym haustem. Barman prosi o dowód osobisty, ale gdy Maya zaczyna go szukać, wzdycha i tylko macha ręką.

– Chciałem jedynie sprawdzić, czy w ogóle go masz – mamrocze.

Maya wychyla duszkiem kolejny kieliszek. Serce nadal jej wali, po pierwsze dlatego, że biegła, a po drugie dlatego, że wreszcie dotarło do niej, jak niewiele brakowało, żeby dźgnęła dziewczynkę w parku. Teraz już wie, do czego jest zdolna. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej samotna niż wtedy, gdy to do niej dotarło.

Bang. Bang. Bang. Powoli zaczyna rozumieć, że to nie serce tak wali, tylko telewizor na ścianie. Wie dokładnie, co to, zanim jeszcze podniesie wzrok, rozpoznałaby to wszędzie, hokej to przede wszystkim dyscyplina dźwięków. Szramy w lodzie, ciężkie ciało wbite w pleksę przez innego zawodnika, echo

odbijające się w hali, krządek z całej siły uderzający o bandę: bangbangbangbang. Podnosi wzrok i widzi, jak grają na ekranie nad barem, ten sam typ mężczyzn co zwykle, mimo że co roku wyglądają na coraz młodszych. Słyszy komentatora opowiadającego, że to mecz treningowy, prawdziwy sezon jeszcze się nie rozpoczął, Maya przypomina sobie, jak tata kiedyś tłumaczył jej to, gdy była mała, a ona wykrzyknęła: „Jak to mamy oglądać MECZ TRENINGOWY? To tak jakby oglądać czyjaś LEKCJĘ WUEFU!”. Mama śmiała się wtedy do rozpuku, nigdy tego nie zapomni.

Wypija jeszcze jedną lampkę wina, tym razem nieco wolniej. Serce nadal wali, a do głowy przychodzi jej psycholog, do którego rodzice zabrali ją dwa lata temu. Powiedział, że czasami ludzkiemu ciału trudno zrozumieć różnicę między fizycznym a psychicznym wysiłkiem, między zadyszką po biegu a problemami z oddychaniem w wyniku ataku paniki. „Może właśnie dlatego niektórzy sportowcy grają tak, jakby od tego zależało ich życie, bo właśnie tak to czują”, dodał, uśmiechając się bez zastanowienia, bo tam, gdzie dorastała Maya, nawet psychologowie uciekają się do porównań z hokejem. Nawet po tym, co ją spotkało.

Bangbangbang.

Pierwszy raz, odkąd sięga pamięcią, hokej nie wzbudza w niej złości. Może to wino albo adrenalina, albo po prostu samotność. Siedzi w pubie w mieście po drugiej stronie kraju i hokej brzmi tak... jak w domu. Bang. Bang. Bang. Brzmi jak wtedy, gdy miała osiem lat i jadła czekoladowe kulki, trzymając tatę za rękę.

—

Puk. Puk. Puk.

Peter przesuwając ostrożnie palcami po drzwiach do pokoju Leo i nie otrzymuje odpowiedzi, wkłada więc głowę do środka i pyta, czy nastoletni syn chciałby coś do jedzenia. Dzieci nigdy nie rozumieją, że to dla nas najłatwiejszy sposób, by poczuć, że mamy jakieś znaczenie: gdy jecie. Syn jednak rzuca tylko jakieś przekleństwo, gdy tata rozprasza go, powodując przegraną w grze komputerowej. Dawniej bycie ojcem było łatwiejsze, myśli Peter, przynajmniej można było

położyć przed synem kanapkę, bez obaw, że w tym czasie ktoś w internecie strzeli mu prosto w głowę. Nikt nigdy ci nie powie, zanim zaczniesz się rozmnażać, że najtrudniejsze w byciu dobrym rodzicem jest to, że nigdy się takim nie czujesz. Popełniasz duży błąd, jeśli wciąż cię nie ma, ale jeśli przez cały czas jesteś obecny, to popełniasz miliony małych, które nastolatki wciąż ci zliczają. Aj, aj, aj, a w zliczaniu są naprawdę dobrzy.

– Tato, zamknij DRZWI! – wyje rozdrażniony Leo.

Peter posłusznie wykonuje polecenie i opada na kanapę. Oprawione fotografie na ścianie przy oknie klekoczą od czasu do czasu, wichura na zewnątrz wciąż przybiera na sile, dom leży w centrum miasta, ale to ich przed nią nie chroni. Zjada kanapkę, którą przygotował dla syna, i ponownie się zastanawia, czy napisać do Miry albo Mai, ale odpuszcza. W telewizji leci hokej, pogłównia więc, jednak to już nie to samo. Sport zwykł przypominać mu o tym, kim był, ale teraz przypomina mu jedynie, kim już nie jest. Na chwilę zmienia nawet kanał, lecz zaraz wraca do sportu, zmusza się do skupienia na grze, żeby przynajmniej tak bardzo nie przejmować się wszystkim innym.

Grają zawodnicy z drużyny z dużego miasta na południu, gdzie dzisiaj jest bezwietrznie, tak więc mają gdzieś, że tutaj wali się las. „Dopóki zwalone drzewa nie leżą na autostradach, media krajowe nie interesują się zniszczeniami na prowincji, jeśli jednak u nich pojawi się choć pięć centymetrów śniegu, odwołują pociągi, zamykają szkoły, a gazety sieją panikę, jakby kraj został co najmniej najechany”, mawiała Ramona, i coś w tym było.

Fotografie na ścianach ponownie zaklekotały, podnosi się więc i je zdejmuje. Prawie wszystkie przedstawiają oczywiście dzieci. Urodziły im się trzy, pochowali jedno. Maya i Leo nawet nie pamiętają starszego brata Isaka, był taki mały, kiedy umarł, ale ojciec nadal prawie się wywraca, widząc uśmiechniętą twarz pierworodnego. Na szkle ramki widać odciski palców, bo Peter czasem w nocy pochyla się nad tymi zdjęciami, gdy czuje, że traci swoją tożsamość. Może nie jest już hokeistą ani dyrektorem sportowym, ale jest ich.

Jedną fotografię przytrzymuje w rękach dłużej, są na niej Maya i Leo jako dzieci, gdy uczyli się jeździć na łyżwach na jeziorze. Peter pamięta to tak dobrze, jakby robili to co tydzień, mimo że tak naprawdę było to tylko kilka razy każdej zimy. W sezonie nie miał więcej czasu, ale wszystko, co dzieje się w dzieciństwie,

staje się pocztówką, którą rodzice wysyłają sami sobie. Nigdy taką, jak sami ją zapamiętujemy.

Pewnego razu, gdy Maya chodziła jeszcze do którejś z pierwszych klas podstawówki, dostała nowe łyżwy, które po dziesięciu minutach ją obtarły. Zaczęła marudzić, a Peter ją okrzyczał, że tak łatwo się poddaje, rozplakała się wtedy, a on znienawidził samego siebie. Spróbowała pojechać jeszcze jeden ostatni raz, upadła i się potłukła, i wówczas to on się prawie rozplakał. „To nie twoja wina, tato”, szepnęła, gdy ją objął i przeprosił. „Wszystko, co ci się przytrafia, to moja wina, Ogryzku”, odpowiedział cicho. Siedzieli później na pomoście i jedli czekoladowe kulki, a ona wsunęła swoją dłoń w jego, i Peter nie może sobie przypomnieć, żeby życie było kiedyś lepsze niż wtedy.

—

Drzwi do baru się otwierają, Maya nie musi podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że do środka wpada grupa młodych mężczyzn, to takie towarzystwo, które zawsze wszędzie słychać. Nie ściągają szalików, mimo że są wewnątrz, i proszą barmana, by wyrecytował im całą ofertę piw. Jeden z nich patrzy z nadzieją na telewizor i wzdycha dramatycznie, gdy zauważa, że leci w nim hokej.

– Nie no, kurwa, myślałem, że to piłka nożna! Po co, do kurwy, oglądacie HOKEJA?

Maya dopija ostatni łyk wina i rozważa, czy nie rzucić w niego kieliszkiem. Po przeprowadzce tutaj myślała, że spotka tu tysiąc różnych typów mężczyzn, ale nawet w stolicy wszyscy są tacy sami, tyle że w inny sposób niż tam, skąd pochodzi. Lubią piłkę nożną zamiast hokeja, głosują na inne partie polityczne, ale są dokładnie tak samo przekonani, że ich obraz świata to jedyny, jaki istnieje, wydaje im się, że są tacy światowi, a właściwie mieszkają w tej samej małej zacofanej wiosce co pozostali.

Pamięta historię, którą jako dziecku opowiadali jej sąsiedzi. Jej tata był wtedy kapitanem Björnstad Hockey i drużyna rozgrywała decydujący mecz w stolicy. Gazety szyderczo nazywały klub z małego miasteczka w lesie „krzykiem dziczy”. Tata Mai, który prawie nigdy nie podnosił głosu, dowiedział się o tym i zawołał do swoich kolegów z drużyny w szatni: „Może mają pieniądze, ale hokej? Hokej jest NASZ!”.

Gdy była mała, uważała tę historię za głupawą, ale teraz siedzi w jakimś barze i ma ochotę wykrzyknąć to samo. Młody mężczyzna stojący kawalek dalej prosi barmana o zmianę kanału, ale ten pogłównia tylko ostentacyjnie. Wtedy Maya decyduje, że da mu podwójny napiwek.

W tym meczu przed dwudziestu laty jej tata dał z siebie na lodzie wszystko, mimo to przegrali. Nigdy się po tym do końca nie pozbierał, Björnstad jako miasto zresztą też nie. Częściowo pewnie również dlatego przekonał mamę Mai do przeprowadzki po tylu latach z powrotem z Kanady, żeby znów na nowo spróbować wszystko odzyskać, zapłacić za to, co nie udało mu się za pierwszym razem.

Maya wbija wzrok w kieliszek i siłą woli stara się spowolnić swoje tętno. Bang, bang, dochodzi z telewizora. Jak w dzieciństwie. Miała w zwyczaju zjadać całe jabłko, „ogryzek” i wszystko, ale gdy skończyła dziewięć lat, zmusiła ojca, żeby przestał ją tak nazywać, i od tej pory skrycie wciąż za tym tęskniła. Lubiła jezioro zimą, bo na łyżwach ojciec był taki szczęśliwy, spokojny, były dla niego tym, czym dla niej gitara.

– Kurwa, co za wieśniacki sport, idźcie lepiej przelecieć jakiegoś rysia, pieprzone wieśniaki! – wykrzykuje niewyraźnie jeden z mężczyzn w stronę telewizora, a jego koledzy wybuchają śmiechem, dogadując w dialekcie, który nawet nie jest porządnym dialektem, tylko jednym zwykłym wystraszoną niczym.

Maya czuje, że alkohol wypala jej synapsy w mózgu w rytm fajerwerków. Myśli o zimie, gdy była dzieckiem, o jednym z tych idealnie bezwietrznych dni, gdy całą rodziną jeździli na łyżwach po jeziorze, a jej mama powiedziała: „Jakie to jest mimo wszystko niesamowite miejsce”. Na co tato odparł: „Niesamowite jest to, że jeszcze istnieje. I że są tu jeszcze ludzie”. Brzmiał smutnie, Maya tego wtedy nie rozumiała, ale teraz jest to dla niej jasne: wszystko w lesie się kończy, wszystko przenosi się do dużych miast, nawet córki. To niesamowite, że coś tam jeszcze zostaje. „Nie wiedzą, co to wstyd”, mówią mieszkańcy Björnstad o ludziach stąd, Maya wcześniej się z tym nie zgadzała, ale teraz przyznaje im rację.

– Halo! Ziemia do dziewczyny! Chcesz drinka?

Młody chłopak siedzi kawalek dalej i do niej macha. Maya kręci głową.

– Ale co, kurwa?! Co się tak boczysz? Uśmiechnij się lepiej trochę! – rechoce jeden z kolegów.

Maya odwraca wzrok, chłopak mówi coś jeszcze, ale ona już tego nie słyszy, bo barman zdążył zabrać swój napiwek i położył przed nią pilota do telewizora, mrugając przy tym przyjaźnie okiem. Maya podkreca dźwięk jeszcze bardziej: BANG BANG BANG BANG BANG.

Pamięta, że czekoladowa kulka od leżenia w torbie była taka zmrożona, że musiała ściągać rękawiczki i odmrażać ją w rękach, a potem dłoń robiła się tak zimna, że wkładała ją do o wiele za dużej rękawiczki taty i trzymali się tak za rękę w środku. Pamięta starszych o kilka lat chłopców grających poniżej na jeziorze. Zawsze w hokeja, wszędzie, zawsze. Bangbangbang. Gdy jeden z chłopców strzelił bramkę i krzyczał zachwycony, zapytała ojca: „Kto strzelił?”. Nie dlatego, że ją to interesowało, tylko dlatego, że interesowało jego. Odpowiedział tak szybko i bez zastanowienia, że aż ze wstydu zalał się purpurą: „Isak! To znaczy...”. Umilkł. „Powiedziałeś Isak”, powtórzyła cicho Maya. „Przepraszam, czasem... czasem ten chłopiec jest tak jakoś podobny do Isaka...”, przyznał.

Maya przeżuwała powoli resztki czekoladowej kulki, aż w końcu odważyła się zapytać: „Brakuje ci Isaka każdego dnia?”. Peter pocałował ją we włosy. „Tak, cały czas”, potwierdził. „Też chciałabym, żeby mi go brakowało, ale ja go nawet nie pamiętam”, powiedziała nieszczęśliwa Maya. „Myślę, że wtedy może nam kogoś brakować tak samo mocno”, odparł tata. „Jak to jest?”, zapytała. „Jakby się miało otarcia w sercu”, stwierdził tata.

Rozmroziła między palcami jeszcze jedną kulkę i zjadła ją wolno, potem wsadziła dłoń do tatowej rękawiczki, nie wiedząc nawet, jak długo jeszcze będzie pamiętać tę chwilę. Gdy połowa chłopców na łodzi podniosła kije, ponownie wiwatując, zapytała: „A teraz kto strzelił?”. Tata się uśmiechnął, nie wiedząc nawet, jak długo jeszcze córka będzie pamiętać tę chwilę: „To Kevin”.

To wtedy po raz pierwszy usłyszała to imię, wypowiedziane przez tatę z podziwem w głosie.

Bang bang bang.

Młodzi mężczyźni przy barze przysunęli się nieco bliżej.

Matteo przystaje przy Futrze. W środku samotna starsza kobieta zbiera kufle po piwie. Lampy się palą, a gdy Matteo przysuwa się w stronę drzwi, czuje zapach smażeniny i dymu papierosowego. Ma tylko czternaście lat, ale pomyślał, że właścicielka baru może zrobić dziś wyjątek, chce gdzieś tylko przeczekać wichurę, gdzie bądź, byle nie w domu. Naciska na klamkę, lecz drzwi są zamknięte na klucz. Wali w nie z całej siły, ale starsza barmanka go nie słyszy.

Chwilę później tam również wysiada prąd. Kobieta wchodzi na piętro, wiatr szarpie papę na dachu tak mocno, że zagłusza wołanie chłopca. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby mu otworzyła. Tego nie dowiemy się nigdy.

Matteo wlecze się do domu, cały dygocząc. We wszystkich domach na jego ulicy nie ma prądu, dostrzega jednak przemieszczające się po suficie okręgi światła z latarek, na piętze u sąsiadów. Mieszka tam para staruszków, ale Matteo nie ma odwagi zadzwonić do ich drzwi. Wie, że nie lubią jego rodziny, z tego samego powodu, dla którego nie lubi ich też wielu innych: uważani są za dziwnych. A jeśli jest się dziwnym wystarczająco długo, to wszyscy zaczynają myśleć, że jest się nieprzyjemnym, a nieprzyjemnych ludzi nie wpuszcza się do domu, nawet jak szaleje wichura.

Matteo wyszukuje więc kawałek metalowego pręta w szopie z narzędziami sąsiadów i wyważa nim okno w piwnicy. Jest w niej tak samo ciemno jak u niego w domu, tutaj jednak dochodzą go głosy staruszków i wtedy przynajmniej wie, że nie umarł. Niewielkie pomieszczenie to pokój gościnny wraz z gabinetem, i mimo że wszystko wskazuje na to, że od dawna nie był używany ani jako jedno, ani jako drugie, znajduje w górnej szufladzie komody opakowanie świeczek i zapalki. Pary w podeszłym wieku, takie jak ta, które mieszkały tu na długo, zanim do Björnstad poprowadzono linię elektryczną, są zawsze przygotowane na przerwę w dostawie prądu i mają zapalki w prawie każdym pomieszczeniu.

Wśród drgających cieni świeczek Matteo spędza tu noc jako złodziej. Głosy z góry cichną albo po prostu giną w huku wichury, gdy chłopiec dostrzega szafę na broń.

Nie udaje mu się jej otworzyć. Nie tej nocy.

Przemoc

Za oknem zapada noc, a Peter zostawia kolejne odciski palców na ramce fotografii na ścianie. Życie toczy się tak cholernie szybko, ale w sumie powinien być na to przygotowany, hokej już go przecież ostrzegł. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich człowiek uczy się jeszcze w drużynie dziecięcej, jest to, żeby strzelać od razu, gdy zobaczy się okienko, bo inaczej zdąży się wydarzyć milion rzeczy, a szansa na bramkę zniknie w mgnieniu oka. Trzeba być oportunistą.

Na półce z książkami w pokoju dziennym zauważa dwie pałeczki do perkusji, nie ma pojęcia, dlaczego położył je właśnie tam, wie natomiast dokładnie, kiedy to było: tego dnia, gdy Maya wyprowadziła się z domu, ostatni raz grali wtedy razem. Z Petera nie był niestety żaden wybitny perkusista, udało mu się ją zwodzić przez kilka lat, gdy była jeszcze mała, ale wkrótce córka grała na gitarze tak dobrze, że naprawdę musiał się natrudzić, by dotrzymać jej kroku. Taki to już los rodzica: na początku wszystkie dodatkowe zajęcia są dla nich, a na końcu dla nas. Dociera do nas, że tak naprawdę chodzi tylko o to, by być tam, gdzie oni, tak często, jak to tylko możliwe, tak długo, jak tylko nam pozwolą. Peter waży pałeczki w dłoni. Maya nienawidziła hokeja, a on tak bardzo pragnął, żeby muzyka ich do siebie zbliżyła, potem córka dorosła i muzyka całkiem ją stąd zabrała.

Chyba właśnie to jest problemem: wszystko kręci się wokół niego, nawet jeśli chodzi o nią. To okropne, że dorosły człowiek musi się przyznać przed samym sobą, że wszystko, co robił, nie było w rzeczywistości ze względu na dzieci, prawie nic nie działo się z ich powodu.

Był z siebie taki dumny, gdy zrezygnował z posady dyrektora sportowego i zaczął pracę u Miry. Przez tyle lat wracał do domu, gdy wszyscy już spali, że w sumie teraz sprawiało mu przyjemność, że to Mira zostawała w pracy po godzinach i miała wyrzuty sumienia. To Peter wracał do domu pierwszy, odbierał Leo ze szkoły, zawoził na różne zajęcia dodatkowe i zostawiał na kuchennym stole karteczkę z napisem „obiad w lodówce, kocham cię”, gdy kładł się już spać. To on

przejechał przez cały kraj do pokoju w akademiku Mai i pomógł jej wywiercić dziurę w ścianie i zamontować na niej półki na książki. Wprawdzie krzywo, ale jednak. To on był na miejscu, nie jej mama, i był z siebie taki zadowolony, gdy Maya szepnęła: „Dziękuję, tato, co ja bym bez ciebie zrobiła?”.

Następnym razem, gdy ją odwiedzał, półki wisały już prosto. Maya kupiła wiertarkę i sama je poprawiła. Oczywiście nigdy mu się do tego nie przyznała, bo nie chciała go zranić, a on tylko odchrząknął, jakby nigdy nic. Nasze dzieci nigdy nas nie ostrzegają, że zamierzają dorosnąć, któregoś dnia są po prostu za duże, żeby chcieć nas trzymać za rękę, na szczęście nigdy nie wiemy, kiedy nastąpi ten ostatni raz, bo wtedy nigdy byśmy ich już nie puścili. Gdy są małe i krzyczą zawsze, gdy się wychodzi z pokoju, człowiek wariuje, bo jeszcze wtedy nie wie, że za każdym razem, gdy słyszy, jak wołają „tata!”, staje się ważny. Trudno się potem od tego odzwyczaić.

Peter poświęcił hokej, by być lepszym ojcem, ale teraz jego dzieci już nie potrzebują taty. Nic już dla nikogo nie znaczy. Dopiero rezygnując z hokeja, zdał sobie sprawę, że już nigdy w życiu w niczym nie osiągnie takich wyników. Oddał tej grze całe życie i był jednym z najlepszych na świecie. Zagrał tylko w czterech meczach NHL, a podczas piątego nabawił się kontuzji stopy. Lekarze, gdy mówili, że już nigdy nie zagra, równie dobrze mogli mu wyrwać płuca, bo przez wiele lat nie mógł oddychać, ale przynajmniej tam był. Z tych wszystkich tysięcy grających w hokeja dzieciaków to właśnie on miał szansę grać z najlepszymi na świecie. Ilu ludzi dochodzi tak daleko, w czymkolwiek?

Potem wrócił do domu i został dyrektorem sportowym w swoim macierzystym klubie, stworzył cały program pracy z młodzieżą, zamienił sukcesy tych młodych chłopców na swoje własne. Teraz nikt już nie dzwoni ani nie pyta go o opinię. Nic tak dobrze nie przedstawia tego, co już jest za tobą, jak hokej i dzieci, natychmiast robią z ciebie dziada.

Co więc miałyby powiedzieć psychologowi? Że brak mu uczuć, nawet poczucia zawodu, bo nikt przecież nie wstaje w biurze i nie krzyczy z całej piersi ani z radości, ani z frustracji. Teraz każdy dzień przypomina poprzedni, praca to tylko praca, hokej był natomiast obsesją, a życie bez obsesji to jak siedzenie w poczekalni bez drzwi. Nikt nie zawoła cię po imieniu. Czekasz na nic.

Oddał tej grze całe życie, to był jego błąd, nie potrzebuje psychologa, by się tego dowiedzieć. Patrzył w złym kierunku. Sukcesy niewłaściwych dzieci uczynił

swymi. Gdy odszedł z pracy i odpuścił hokeja, było już za późno, Maya i Leo dawali sobie już radę bez niego. Dzieciństwo mija tak szybko, widzisz okienko i nie reagujesz, w międzyczasie zdąży się wydarzyć milion rzeczy, a potem szansa znika w mgnieniu oka.

Któregoś dnia powiedział zgorzkniałym głosem: „Co nam może dać sport? Wkładamy w niego całe swoje życie, na co liczymy, w najlepszym razie? Kilka chwil... kilka zwycięstw, kilka sekund, gdy czujemy się więksi, niż naprawdę jesteśmy”. Szybko dostał na to odpowiedź: „Ale czym w takim razie jest życie, jeśli nie chwilami?”. Oczywiście rozmawiał o tym z Ramoną. Od tego babska nie dostaje się rabatu ani na piwo, ani na porządny opieprz.

Czasem zagląda teraz do Futra w drodze z pracy, tak jak i jego ojciec, tyle tylko, że bez upijania się. „Tak to już jest z synami, których ojcowie trochę za bardzo lubili whisky: albo piją cały czas, albo wcale”, prychała Ramona, nalewając mu przypalonej kawy do kufla na piwo. Ale kiedyś, gdy wypłała sobie podwójne śniadanie i niechcący pogubiła się w uczuciach, szturchnęła go, mrużąc: „Tak to już jest z synami złych ojców: albo też jesteście złymi ojcami, albo cholernie dobrymi. Ale to, że twojemu ojcu, który był tak KUREWSKO złym ojcem, nie udało się ani odrobinę sprawić, że ty też taki jesteś, jest dla mnie, kurwa, po prostu niepojęte”.

Peter wlepił wtedy wzrok w bar. Ramona myślała, że to dlatego, że myślał o tych wszystkich razach, gdy jego ojciec wracał do domu z tego właśnie baru i wyszukiwał sobie preteksty, by pobić żonę i syna, więc zamilkła. Peter dopił kawę i wyszedł, czując się oszustem bardziej niż kiedykolwiek, bo wcale nie myślał o ojcu, tylko o sobie. I odgłosach hokejowych krążków.

Którejś zimy, gdy dopiero co się przeprowadzili do Björnstad i Maya nie zaczęła jeszcze nawet pierwszej klasy, w lesie w kilkunastostopniowym mrozie zgubiło się parę lat starsze dziecko. Był to chłopiec z dziecięcej drużyny, który w ostatniej sekundzie meczu nie trafił do bramki. Zdążył już, jak każdy inny zawodnik z Björnstad, nauczyć się, że tylko perfekcjonizm jest wystarczająco dobry, więc niepokieszony i zły uciekł w nocy z domu. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, jak szybko w takiej temperaturze zamarznie jego małe ciało, więc szukało go całe miasto. Znaleźli go na jeziorze. Zaciągnął tam bramkę i krążki, i wszystkie latarki, jakie udało mu się znaleźć, i trenował strzały pod tym samym kątem, przy którym spudłował podczas meczu. Płakał ze złości, uderzał i wymachiwał kijem we

wszystkie strony, niczym ranne zwierzę odganiając tych, którzy próbowali się zbliżyć. Uspokoił się dopiero, gdy Peter podszedł do niego, złapał go za rękę i mocno przytulił. Wszyscy w mieście podziwiali wtedy dyrektora sportowego, który kiedyś zawodowo grał w NHL, tak bardzo, że dla chłopca również był jak król. „Wiem, że chcesz być najlepszy, obiecuję, że zrobię wszystko, żeby tak się stało, ale na dziś kończymy już trening”, szepnął chłopcu do ucha. Dzieciak nadal szlochał, gdy dyrektor sportowy wziął go na rękę i zaniósł do domu. W kolejnych latach Peter dotrzymał słowa: to właśnie on prowadził klub, który wychował Kevina Erdahla na najlepszego zawodnika, jakiego kiedykolwiek widziało to miasto, nauczył go, że jest niepokonany i że ma nie tolerować przegranej. Ani gdy ktoś mówi nie. To Peter wziął go wtedy na rękę przy jeziorze. To on zaniósł go do domu.

Dziesięć lat później siedział w szpitalu koło piętnastoletniej córki, pytając: „Co mam zrobić?”, a ona odpowiedziała: „Kochaj mnie”.

Co więc mógłby mu teraz powiedzieć psycholog? Nic. Sam już dobrze wie, że wszystko, co przydarzyło się jego dziecku, to jego wina.

Wszystko.

—

– Maya?

Maya nie słyszy, zajęta winem, sportem i uderzeniami, tymi z telewizora i tymi z wnętrza. „To my, niedźwiedzie”. Uśmiecha się szeroko do samej siebie, zbyt pijana, by odróżnić, czy powtarza to sobie tylko w głowie czy jednak śpiewa na głos: „Nieeeeeedźwiedzie z Bjööööörnstad...”. Przypomina sobie, co zwykle mówiła mama, że „to miejsce, do cholery, to jest przez pół roku hokejowe miasteczko z problemem alkoholowym, a przez drugie pół – alkoholowe miasteczko z problemem hokejowym”, i tęskni zarówno za mamą, jak i za domem. A przynajmniej za tym, jak go zapamiętała. Teraz jest już przecież inaczej.

Przypomina jej się, jak wróciła latem do Björnstad i przez przypadek zobaczyła jedną z ulotek, które Frak, przyjaciel taty od lat młodszych, wydrukował, by przyciągnąć do klubu nowych sponsorów. Leżała na ziemi w sklepie spożywczym, upuszczona lub też wyrzucona. Maya przeczytała tytuł kilka razy: „Sponsoring

Björnstad Hockey jest nie tylko możliwy, ale też właściwy”. W środku znajdowało się zdjęcie taty Mai, a obok niego wklejono wizerunek małej dziewczynki ze szkółki dziecięcej. Maya nigdy nie powiedziała ojcu, że widziała ulotkę, ale od razu zrozumiała, co klub chciał nią osiągnąć: teraz nagle Björnstad było jej klubem, gdy mogli ją wykorzystać, gdy w grę wchodziły pieniądze do wyciągnięcia, stali się nagle najbardziej oświeconym i równościowym stowarzyszeniem sportowym w kraju. Miała w planach zostać w Björnstad jeszcze kilka dni, ale wyrzuciła ulotkę do kosza, przebukowała bilety i wyjechała następnego ranka.

– Maya? – powtarza głos przy barze, a zaraz za nim jeszcze jeden:

– To ty? Dlaczego nie przyszedłeś na górę? Tylko siedzisz tutaj jak jakiś... alko?

Zaskoczona Maya odrywa wzrok od hokeja i patrzy na dwie koleżanki z klasy. Chichotają nerwowo, tak jakby właśnie zajrzały do jej komputera i znalazły tam pornografię. Mimo że są pijane, nadal mają perfekcyjne fryzury i Maya naprawdę je za to nienawidzi, wyszły z imprezy, na drugą stronę ulicy, żeby zapytać barmana, czy mogą kupić trochę lodu. Płacić za lód, pomyślała Maya, na jakiej ja planecie wylądowałam?

– Wszystko... w porządku? – pyta jedna z koleżanek z perfekcyjną fryzurą.

– Tak, jestem tylko trochę zmęczona i chciałam pobyć chwilę sama i pomyśleć...

– mamrocze Maya.

– Pomyśleć? – Druga dziewczyna, z jeszcze bardziej perfekcyjnym uczesaniem, uśmiecha się, jakby samo słowo było dla niej egzotyczne.

Mężczyźni przy barze kierują na nie wzrok i natychmiast wybuchają przeszczęśliwi:

– Dziewczyny! Znacie się? No to impreza! Mogłybyście rozruszać trochę tę smutaskę?

Koleżanki z klasy wzdychają, ale Maya nawet tego nie słyszy. Znów podkręciła głośność w telewizorze.

– Maya, chodź z nami na imprezę... – próbują koleżanki, ale Maya je ucisza.

– Chwila, CHWILA, MÓWIĘ!

Komentator sportowy w telewizorze przedstawia listę meczów treningowych, które miały się dziś odbyć, ale zostały przełożone. „Ze względu na wichurę”, mówi i wymienia drużynę za drużyną z miast na północ od stolicy, a Maya postukuje się palcami po głowie, by złożyć sobie w całość geograficzne zależności. Björnstad

leży pośrodku wszystkiego, o czym wspomina komentator. Podnosi telefon i przeszukuje wiadomości, palce zaczynają jej drżeć, gdy znajduje prognozę pogody: „Ostrzeżenie o wichurach!”. To dlatego Ana nie odbierała. Maya siedzi tu i się nad sobą użala, podczas gdy w domu rozwiało im cały pieprzony świat?

– Idziesz czy nie? Na imprezę? – ponagla zniecierpliwiona koleżanka.

– Serio, nie rozumiem, siedzisz tu i oglądasz... hokeja? Serio... bez obciachu? Nie wiedziałam, że gustujesz w takich rozrywkach! – rzuca druga.

Jeden z chłopaków przy barze wiwatuje, słysząc zarzuty koleżanek. Zeskakuje z krzesła, zahacza szalikiem o oparcie tak, że prawie się dusi, podczas niespodziewanego obrotu wokół własnej osi udaje mu się jednak wyrzucić z siebie:

– Dokładnie to samo jej powiedziałem! Co to w ogóle za laska, co lubi hokeja? Co? Przecież to nawet nie jest sport, tylko PRZEMOC!

– Prawda! – przytakują koleżanki z klasy.

Maya słyszy, co mówią, ale nie odpowiada, gapi się tylko w telefon. „Wichura może się okazać największą katastrofą naturalną od czasów pożarów”, czyta na stronie internetowej lokalnej gazety i ma wrażenie, jakby znajdowała się w innym kraju. Gdy próbuje się podnieść, stanowczo zbyt gwałtownie, wino przelewa jej się w głowie, jak płyn w zepsutej poziomicy. Maya zatacza się dwa kroki i prawie traci równowagę. Chłopak szarpie za szalik, wyciągając drugą rękę, by ją złapać, ale Maya prostuje się i odtrąca jego dłoń z taką siłą, że chłopak aż odskakuje, niestety niewystarczająco szybko. Maya jest już taka zła, że instynktownie robi krok do przodu i popycha go, uderzając w klatkę piersiową, tak że chłopak wlatuje pomiędzy stojące za nim krzesła. Koleżanki z klasy nerwowo powtarzają jej imię, próbując złapać ją za ramię, ale gdy widzą jej mroczne spojrzenie, kulą się i cofają.

– Przemoc? A co wy, kurwa, wiecie o przemocy? – syczy Maya, mijając je i wychodząc na ulicę.

Są w zbyt dużym szoku, by za nią zawołać. Przez dwa lata chciały się o niej dowiedzieć więcej i teraz wiedzą już wszystko. Pokazała im, jakim jest zwierzęciem.

—

Peter opiera łokcie na stoliku kawowym i zakrywa czoło dłońmi. Tak bardzo wyczekuje światła na podjeździe do garażu. Jego przyjaciel Knur zainstalował czujnik ruchu, który zapala lampę, gdy Mira skręca samochodem pod garaż, Peter twierdzi, że to specjalnie dla niej, żeby lepiej widziała, ale tak naprawdę to dla niego. Tak żeby mógł policzyć minuty, które jeszcze spędza w samochodzie, zanim zbierze się w sobie i wejdzie do środka. Jest ich coraz więcej. Czasami gdy Peter słyszy przekręcanie klucza w zamku, udaje, że śpi, bo wie, że Mira na to liczy.

Wysłała jej esemesa. Odpisuje krótko, teraz tak właśnie się ze sobą komunikują, dwa, trzy słowa na raz.

„Jedziesz już?”

„Tak. A wy?”

„Już w domu”.

„Leo okej?”

„Wszystko okej. A ty?”

„Okej”.

Nie rusza jednak do domu. Peter zamyka oczy i z całej siły przeciera powieki, gdy ponownie je otwiera, nadal nic nie widzi. Mruga, najpierw zdziwiony, potem przerażony, porusza się po omacku, w ciemności spadając z kanapy. Nagle oślepia go strumień światła i słyszy głos Leo:

– Co ty, tato, WYPRAWIASZ?

Świeci na Petera telefonem komórkowym.

– Nic! Dlaczego zgasiłeś wszystkie światła? – dyszy Peter.

Leo prychnął.

– Przecież padł prąd! Dostałeś udaru czy co, kurde?

Peter mruga parę razy, zduszając w sobie uczucia. Wyciąga rękę w stronę syna i prowadzi go do garażu po latarki. Leo bierze jedną i najpierw idzie do swojego pokoju, ale zaraz potem wraca. Ma czternaście lat, więc oczywiście nie boi się ciemności, oczywiście, że nie, ale przecież można sobie chyba w spokoju posiedzieć obok taty na kanapie, prawda?

Gra na telefonie, aż pada mu bateria, potem gra na telefonie Petera, aż i ten się rozładowuje. Ostatnie, co Peter zdążył jeszcze przeczytać, to esemes od Miry:

„Zaraz jadę”. Odpowiada szybkim „OK” i ekran robi się czarny. Peter żałuje, że nie zdołał dopisać: „Kocham cię”.

—

W pokoju w akademiku Maya siedzi na podłodze koło półek, odświeżając wciąż na nowo portale z wiadomościami i prognozą pogody w pogoni za nowymi informacjami na temat burzy. Na przemian płacze i dzwoni do Any, w końcu już tylko płacze. Długo zastanawia się nad tym, czy zadzwonić do rodziców, ale wtedy usłyszą, że jest pijana, mama się zezłości, a tata będzie zawiedziony. Ostatecznie dzwoni do młodszego brata, lecz jego telefon jest wyłączony.

– Leo, do cholery, proszę cię, odbierz... – szepcze w ciemności, ale brat nie widzi nawet, że dzwoniła.

Zauważy następnego ranka, gdy wróci prąd i będzie mógł naładować smartfon. Wtedy to on zadzwoni do siostry. Obudzi ją i opowie, co się wydarzyło.

– Nie żyje? Jak to... nie żyje? – wybełkocze Maya, dopiero co przebudzona i na kacu.

Następnie zabukuje bilet na pociąg, spakuje walizkę i ruszy na północ. Całą drogę do domu nie przestanie myśleć o tacie.

Śmierć

„Dom”. Naprawdę powinno istnieć więcej słów do nazwania go. Jedno określające ludzi, którzy w nim mieszkają, inne do opisanie miejsca dla tych, których straciliśmy.

Mira stoi w gabinecie w Hed i gapi się przez okno na noc, aż wichura zaczyna wciskać szyby do środka z takim uporem, że prawniczka wpada w panikę. Obraca się w stronę biurka, ale nagle tam też robi się ciemno, prąd znika tak szybko, jakby to był napad. Mira wzdryga się i rzuca głośne przekleństwo, uderza kolaniem o krzesło i opada na podłogę, samotna, przytłoczona bezsilnością. Ciemność sprawia, że opuszczony budynek wydaje się jej gigantyczny.

Razem ze współniczką przenieśli tutaj firmę w zeszłym roku, gdy rozszerzały działalność i zatrudniły więcej personelu, właściwie biuro było dla nich za duże, ale Mira zakochała się w samym budynku, ponadstuletnim dworcu kolejowym. Zaczęły jej się podobać stare rzeczy, a przecież zawsze marzyła o nowoczesnym budownictwie i wystroju wewnątrz, może to oznaka, że stała się bardziej człowiekiem lasu niż kimś innym. Brakuje jeszcze, żeby zaczęła jeździć na biegówkach i przestała odmieniać czasowniki.

Leży na podłodze z zamkniętymi oczami, szyby w oknach brzęczą coraz bardziej. Powinna była jechać do domu, do Petera, wstyd jej, że powinna chcieć jechać do domu bardziej, niż w rzeczywistości chce. Wie, że coś jest nie tak, coś w niej, więc woli zostać tutaj.

Gdzieś pomiędzy jawą a snem przypomina sobie, jak nie tak dawno temu Peter wsiadł do samochodu i ruszył aż do nowego miasta Mai, by pomóc jej zamocować półki w pokoju studenckim. Jak w tym samym czasie siedziała tutaj w biurze, a jej telefon zapikał, bo Peter wysłał zdjęcie zaparkowanego blisko skrzyżowania samochodu z pytaniem: „Myślisz, że mogę tu stanąć czy dostanę mandat?”. W ciemności wybucha śmiechem, rozmyślając, jakie to głupie. Ich historia miłosna jest tak porębana, że naprawdę myślał, że będzie mogła wzrokiem odmierzyć

dziewięć metrów NA ZDJĘCIU i stwierdzić, czy stoi za blisko skrzyżowania czy nie. Może właśnie dlatego miała odwagę założyć firmę, bo Peter naprawdę wierzy, że Mira da sobie radę ze wszystkim, i czasem nawet ta wiara przechodzi na nią.

A może to właśnie jest takie proste, rozmyśla gorzko, prawie usypiając, i właśnie dlatego nie ma odwagi powiedzieć mu o problemach finansowych firmy. Stracili dużych klientów i mają po sufit niespłaconych długów, ale Mira milczy w tej sprawie, bo nie może go zawieść, gdy on poświęcił wszystko. Kiedy jest się młodym i świeżo zakochanym, to przyznanie się do tego, że się potrzebuje pomocy, wydaje się najtrudniejsze. Tymczasem pół życia po ślubie już się wie, że najtrudniejsze jest przyznanie się przed sobą, że się tej pomocy nie potrzebuje. Nie trzeba pomocy, by czuć się niewystarczającym, wybrakowanym i bezwartościowym. Nikt tak dobrze jak ty sam nie potrafi cię wpędzić właśnie w takie uczucia. Mira widzi to w oczach Petera za każdym razem, gdy przypadkiem go skrytykuje. „Nie potrzebuję pomocy”, chciałby jej krzyknąć prosto w twarz, ale tylko milczy. Mira wie dokładnie, co czuje jej mąż, bo ona również jest najlepsza.

Uwielbia to biuro, jedyny problem jest taki, że budynek dworca znajduje się w Hed, a nie w Björnstad. Musi jakoś żyć z niewypowiedzianą na głos złością Petera o tę lokalizację, tak silną, że aż czasem zastanawia się, czy podświadomie właśnie dlatego nie wybrała tego miejsca, chcąc go zmusić do zdystansowania się jeszcze bardziej od hokeja, tak żeby nigdy nie wciągnął go z powrotem. Ale dlaczego? I dla kogo? Nie uratowało to ich małżeństwa, może tylko je przedłużyło. Mira nie wraca do domu, nawet gdy nadchodzi wichura, kiedy więc powinna? I czym w ogóle jest „dom”, skoro ostatnio więcej czasu przebywa w Hed niż w Björnstad? I kim ją to czyni?

Pieprzone miasta, powtarza w głowie, najpewniej po to, by mieć coś, na co może rzucić winę. Pieprzone miasta i ich dziecinna zazdrość i nienawiść, które zawsze zmuszają wszystkich do wybrania strony. Bo oczywiście Peter nie był jedynym, który oburzał się na biuro w Hed, jego kolega z dzieciństwa Frak zjawił się tutaj parę tygodni temu z czterema innymi mężczyznami, przekonując, że to nie jest „żadna oficjalna wizyta” ani że nie „występują w imieniu gminy czy klubu”, a stanowią jedynie „swego rodzaju grupę interesów”. Björnstad i jego cholerne interesy, przeszło jej przez myśl, gdy słuchała ich gadaniny, to pieprzone miasto i ich pieprzone gierki. Frak, wierny swemu przezwisku, przesadnie się wystroił,

tym razem w prążkowany garnitur z kamizelką i krawatem, podczas gdy pozostała czwórka postawiła na zwyczajowe stroje okolicznych przedsiębiorców kowbojów: dżinsy, koszulę, przyciasną marynarkę i pełen wachlarz megalomanii. Mira przypomniała sobie, co powiedziała jej wspólniczka przy zakładaniu firmy: „Jedyne, czego dwie kobiety takie jak my potrzebują, by odnieść sukces w biznesie, to łącznie dziesięć lat studiów prawniczych, trzydzieści lat wspólnego doświadczenia zawodowego i poczucie wartości jednego całkowicie przeciętnego faceta”.

Cała piątka to odnoszący sukcesy w gminie przedsiębiorcy, sponsorzy Björnstad Hockey i nieustannie „zatroskani obywatele” w kolumnie z listami do lokalnej gazety. Zebrali się wokół biurka Miry, tak jakby przyglądali się jakiejś instalacji artystycznej. Biurko wyglądało jak męskie, ale, o dziwo, zasiadała za nim kobieta i to niesamowicie ich fascynowało. Jeden z biznesmenów myślał nawet, że wspólniczka Miry w rzeczywistości jest jej asystentką, zapytał ją więc, czy mógłby dostać cappuccino, na co wspólniczka odparła, że oczywiście może dostać jednym w dziób, jeśli nie będzie uważał, i Mira musiała ją aż złapać za rękę, żeby się upewnić, że nie jest to tylko czcze gadanie. Kolejny zapytał, czy przypadkiem Peter również nie powinien uczestniczyć w spotkaniu, na co wspólniczka odpowiedziała: „Oczywiście, zwłaszcza że robi fantastyczne cappuccino!”. Frak wyczuł przytyk i rozłożył zamasyżuje ręce. „Drogie panie, nie chcemy zajmować waszego cennego czasu”, stwierdził. Po czym zajął go na następne czterdzieści minut.

„To nie wygląda dobrze, no nie wygląda”, powiedział z uśmiechem na twarzy, mając na myśli to, że Mira jako pani Andersson, żona byłego dyrektora sportowego Björnstad Hockey, wybrała na siedzibę swojej odnoszącej sukcesy firmy Hed. „Przecież my, mieszkańcy Björnstad, musimy się trzymać razem, co nie? W takim małym mieście wszystko od siebie zależy, Mira, przedsiębiorstwa, polityka i mieszkańcy...”, wymienił jednym tchem, powstrzymując się jednak od dodania „i hokej!”, bo widział, jak wspólniczka przytrzymuje w dłoni kubek z kawą, tak jakby się zastanawiała, jak mocno powinna nim rzucić. Zamiast tego dumnie, jakby prezentował co najmniej renesansowy fresk, wyciągnął dokument, który okazał się niezwykle korzystnym kontraktem wynajmu nowo wyremontowanego lokalu w Björnstad. Należał on wprawdzie do gminy, ale to, jak wyjaśnił Frak, nie było żadnym problemem, bo dogadał się bezpośrednio z politykami w sprawie obniżenia czynszu. „To oczywiście tylko rozwiązanie TYMCZASOWE, bo za kilka lat będziecie

mogły przenieść swoją firmę TUTAJ!”. Na biurku wylądowały nowe plany zabudowy. „Do Björnstad Business Parku!”, zawołał triumfalnie Frak.

Pieprzeni faceci i ich wybujałe plany, pomyślała Mira, zawsze coś! Ostatnimi laty marzyli w kolejności o lotnisku, galerii handlowej i mistrzostwach świata w narciarstwie, a teraz przyszedł czas na to. Nowe budynki biurowe ściana w ścianę ze sklepem spożywczym Fraka, centrum przedsiębiorczości dla całej okolicy, wybudowane z gminnych funduszy, z nim w samym środku. Dodatkowo obok hali lodowiska zostanie wybudowany ośrodek szkoleniowy, wyjaśnił z dumą Frak: „Stawiamy na dzieci, to wszystko dla dzieci!”. Ale przecież nic nigdy nie jest dla nich. Dzieci to zawsze jedynie przykrywka. Björnstad Business Park, nawet nazwa była idealna w całej tej swojej połyskującej głupocie. Nigdy nie przestanie się dziwić, że oni nigdy nie przestaną jej zadziwiać. Faceci! Frak przyjął jej milczenie jako pochwałę i uśmiechnął się szeroko, tak jak to tylko potrafią mężczyźni, którzy nie widzą różnicy między dialogiem a monologiem. „Musimy się trzymać razem, prawda, Mira? To, co jest dobre dla miasta, jest dobre również dla nas!”

Mira instynktownie chciała wyrzucić Fraka przez okno, nawet go nie otwierając, zauważyła jednak niestety, że czynsz zaproponowany w Björnstad jest o połowę niższy niż ten, który teraz płacili za budynek w Hed. To z pewnością odciążałoby ich budżet. Nawet wspólniczka nie wie, w jak trudnej finansowo sytuacji znajduje się obecnie firma. Mira ukryła wszystko przed wszystkimi, uparcie twierdząc, że sama znajdzie na to rozwiązanie. To był błąd, zdaje sobie z tego sprawę, ale trwa to już zbyt długo, by mogła się wycofać. Więc gdy wspólniczka spojrzała na nią podejrzliwie z boku, zdziwiona, że Mira w ogóle zastanawia się nad propozycją, poczuła się zobligowana do grania twardo i zapytała: „A ty, Frak? Co ty i klub chcielibyście w zamian?”.

Frak teatralnie rozłożył ręce, przewracając przy tym rząd segregatorów. „Chciałbym? Przecież sobie nawzajem POMAGAMY! Jesteśmy kolegami. Prawie sąsiadami!”

Dopiero po chwili jeden z mężczyzn pochylił się i w dobrej wierze zaproponował, że jeśli Mira i jej wspólniczka chciałyby dorzucić „swoje trzy grosze”, to mogą zasponsorować Björnstad Hockey sumą, która tylko przypadkiem równa była rabatowi udzielonemu na umowie wynajmu lokalu od gminy

załatwionemu przez Fraka. „To oczywiście możecie sobie odpisać od podatku jako sponsorat. Nasi rewidenci to załatwią. *Win-win* dla obu stron!”

O to więc chodziło. Oczywiście. Zawsze ukryty motyw, zawsze jakiś plan. Kręactwo, kręactwo i jeszcze raz kręactwo, to się nie skończy nigdy. Jeśli założymy, że Björnstad to rodzina, to hala lodowiska jest rozpuszczonym dzieciakiem, który zawsze wszystkich wyroluje.

„To... oczywiście... tylko propozycja”, mamrocze Frak, który zdecydowanie wolałby, żeby jego kolega nie wyraził się aż tak dosadnie.

Frak uwielbia tajemnice, rozumie, że dają władzę, więc gdy facet obok niego ponownie otworzył usta, prawdopodobnie i to nie było zaplanowane. Zwyczajnie się zniecierpliwiał, tak jak to zwykle bywa przy spotkaniach z kobietami takimi jak Mira i jej współpracowniczka. Nie docenił ich.

„Niebawem **ŻADNE** przedsiębiorstwo nie będzie chciało mieć swojej siedziby w Hed, zobaczycie, bo wkrótce nic już tu nie będzie! Niedługo Hed nie będzie miało nawet własnej drużyny hokejowej!”

Przerażony Frak szturchnął swojego towarzysza łokciem, ale było już za późno, Mira uniosła brew, uśmiechnęła się swoim najbardziej naiwnym uśmiechem i zapytała:

„Naprawdę?”.

Na co oczywiście facet nie mógł już sobie odpuścić:

„Gmina chce zlikwidować Hed Hockey! Chcą mieć tylko jeden klub w okolicy, dlatego właśnie wcześniej przez lata usiłowali zamknąć Björnstad, teraz to jednak różnica, bo to Björnstad jest starszym bratem, a Hed dzieciakiem. Rozumie pani? To my dysponujemy najlepszą drużyną, finansami i sponsorami! Tak więc zlikwidują Hed Hockey, a potem posypie się wszystko inne! Gdy skończymy, Björnstad będzie dużym miastem, a Hed zadupiem, więc korzystajcie, drogie panie, z okazji do przeprowadzki, póki jeszcze możecie, bo wkrótce może nie być was na nią stać!”.

Facet zaśmiał się tak mocno, że po brzuchu przeszła mu fala, niczym wiatr po mokrym brezencie. Frak uśmiechnął się wymuszenie i unikając wzroku Miry, wymamrotał zawstydzony:

„To... naturalnie wszystko... jeszcze nieoficjalne. To o klubach. Nikt jeszcze nie wie, że trwają na ten temat rozmowy, nawet... twój mąż”.

Nie był w stanie wypowiedzieć imienia Petera. Mira i jej współpracowniczka wstały, sygnalizując tym samym, że spotkanie dobiegło końca. Kiwnęły dyplomatycznie głowami, przynajmniej Mira, uściśniły dłonie i obiecały, że zastanowią się nad ofertą zmiany adresu.

Gdy dzinsy i marynarki wyczłapały z biura, Frak pomachał smutno w stronę Petera, siedzącego samotnie w swoim gabinecie za przeszklonymi drzwiami. Peter odmachnął mu ze szklanej klatki, niczym lew, który stracił grzywę. Mira czuła się jak kobieta, która właśnie straciła męża. Były czasy, gdy Peter znał wszystkie tajemnice tego lasu, teraz Mira wiedziała o klubach więcej niż on. Teraz była ważniejsza od niego.

Drzwi zatrzasnęły się za Frakiem i pozostałymi. Mira siedziała za biurkiem, wpatrując się w fotografię. Przez ostatnie tygodnie Peter wracał do domu coraz wcześniej, by odebrać Leo, ona natomiast coraz później – i coraz dłużej stała na podjeździe, zanim weszła do domu. Praca u niej była jego pomysłem, ale może zdecydował się na nią, myśląc, że Mira tego właśnie chce, a ona już sama nie wie, czego chce. Jedną z niemożliwych do przeskoczenia rzeczy w małżeństwie jest to, że nawet jeśli wszystko robisz dobrze, to zawsze pojawia się jeszcze coś innego.

To nie wina Petera, że ma teraz taką pracę, ani jej, że firma rozrosła się tak szybko. Na początku Mira mu obiecała, że będzie się zajmował *human resources* i „sprawami kadrowymi”, co przy niewielkiej liczbie zatrudnionych się sprawdzało, teraz jednak pracowników jest zbyt wielu, a Peter stał się najsłabszym ogniwem w drużynie hokejowej, która właśnie awansowała do wyższej dywizji. Nie dorównuje im poziomem. Pozostali są wykształceni i mają doświadczenie, on jest tylko mężem szefowej. Mira stara się ukryć jego brak kompetencji większą ilością papierkowej roboty, ale to tylko pogarsza sprawę. Peter nie skurczył się w wyniku jej sukcesu, ale ona urosła tak bardzo, że mąż przy jej boku wydaje się teraz mniejszy.

„Niedługo będziesz zmuszona stworzyć fikcyjne przedsiębiorstwo i zatrudnić aktorów udających, że pracują, żeby Peter nadal mógł wierzyć w to, że naprawdę coś robi”, nabijała się z niej ostatnio współpracowniczka.

„Nie jest jeszcze tak źle!”, tłumaczyła się Mira.

Współpracowniczka wzruszyła ramionami. Tak bezlitośnie żartuje sobie z Petera, że ten myśli, że wręcz go nienawidzi, co z kolei wzbudziło jej sympatię do niego. To jego pierwsza praca, w której nosi krawat, co okazało się dla niego sporym wyzwaniem,

bo zawsze wiązał go tak, że był za długi albo za krótki. W końcu zaczął więc nosić takie gotowe, już zawiązane, dopóki współpracowniczka Miry nie zauważyła wystającej spod kołnierzyka gumki i nie wybuchnęła: „Nie wiedziałam, że robią takie w rozmiarze dla dorosłych!”. Peter, czerwieniąc się, wyjaśnił jej, że to nie dziecięcy krawat, ale specjalny, noszony na przykład przez ochroniarzy, tak zwany krawat bezpieczny, który chroni ich przed uduszeniem. Twarz współpracowniczki się rozpromieniła. „Ochroniarzy? Takich jak Kevin Costner w *Bodyguardzie*?” Peter stanowczo za późno dostrzegł, w co się pakuje, i teraz musiał pogodzić się z tym, że przechodząc koło jego gabinetu, za każdym razem odśpiewywała *I will always love youuuu*. A jeśli wziąć pod uwagę, że jej biuro znajdowało się po drugiej stronie budynku, to wynajdywała sobie naprawdę wiele powodów, by robić to codziennie. Mira udawała, że nie widzi, że od tamtego czasu mąż trenuje wiązanie każdego ranka, bezskutecznie, krawat nadal był za krótki lub za długi. Peter nigdy nie będzie się czuł do końca komfortowo w jej świecie.

Ostatnio współpracowniczka w końcu spojrzała Mirze głęboko w oczy i wyjaśniła: „Wiesz, doświadczenie mówi mi, że faceci zasadniczo chcą od kobiet dwóch rzeczy: żeby zapewniały im poczucie własnej wartości i żeby zostawiły ich w spokoju. Gdy jakiemuś facetowi odbija już na poważnie, to najczęściej są ku temu dwa powody: albo ma słabe poczucie własnej wartości, albo czuje się przyduszony. Ale w przypadku Petera? Kurde, chyba jednak dałaś mu za dużo spokoju...”.

Mira odgryzła się, mówiąc, że koleżanka, która sama nie potrafi utrzymać związku, nawet jeśli przytwierdziłaby się klejem do śpiącego faceta, nie jest najlepszą ekspertką w tych sprawach. Współpracowniczka odparła, że długi staż małżeński Miry też jej jakoś specjalnie nie pomaga. Wtedy Mira zamknęła oczy i szepnęła przybita:

„Do diabła. To zaszło już tak daleko?”.

„Co?”, zapytała koleżanka.

„Że już nawet ty stoisz po stronie Petera?”

Koleżanka długo nie odpowiadała.

„Nie wiem nic o małżeństwie. Nie sądzę jednak, że chodzi w nim o to, żeby stawać po czyjejs stronie”, rzuciła w końcu.

Kurwa, pomyślała Mira, leżąc samotnie na podłodze w biurze. Kurwa. Kurwa. Kurwa!

Wie, co myślą inni: dlaczego po prostu nie pozwoli Peterowi wrócić do klubu? Dlaczego nie odda mu hokeja?

Bo wie, jak to będzie, bo przez pół życia żyła jego życiem. Nie da się być tylko trochę zaangażowanym w klub, to potwór zjadający związki jak zazdrosny kochanek. Hokej nigdy nie jest zadowolony. Nigdy nie jest się wystarczającym, ale w życiu poza halą lodowiska też nie.

Przed dwoma laty, gdy największe okropności świata spadły na Mayę, na chwilę zapomnieli o pilnowaniu Leo. Syn znalazł wtedy nowych przyjaciół najgorszego sortu, w czarnych kurtkach, którzy wydobyli z niego całą ciemność, którą w sobie miał. Mira i Peter mieli okazję zobaczyć namiastkę tego, jak mogłaby wyglądać jego przyszłość, gdyby zostawili go na wychowanie samemu sobie, z jego demonami i niekontrolowaniem impulsów. Obiecali sobie później, że muszą więcej czasu spędzać w domu. I częściej zauważać syna.

Czy to nie rozsądne? Czy Mira nie zrobiła już swojego, nie poświęciła swoich lat, czy teraz nie jej kolej, by móc pracować na pełnych obrotach? Zaczyna dziesięć różnych esemesów do Petera, ale wszystkie kasuje, na koniec pisze tylko: „Zaraz wyjeżdżam”. Prawie ma nadzieję, że mąż oddzwoni, wyrzucając jej, że przecież to ewidentne kłamstwo, ale on odpisuje jedynie: „Okej”.

W szufladzie biurka leży latarka, lecz Mira po nią nie sięga. Deszcz obija się o szyby, światło z ekranu telefonu to jedyne, co oświetla jej twarz, gdy przegląda latami zapisywane w pamięci aparatu zdjęcia dzieci, z przyjęć urodzinowych, bitew na śnieżki i niedzielnych łyżwowych wypraw na zamarzniete jezioro. Wyglądają jak perfekcyjna rodzina, a Mira kolejny raz zastanawia się, czy kiedykolwiek tacy byli.

Skulona przysypia na dywanie, ale to regularny sen. Powoli mózg przyzwyczaja się do uderzeń i huków z zewnątrz, ciało w końcu przestaje drgać. Nie słyszy, gdy Peter wchodzi do gabinetu, potrafi przemieszczać się bezgłośnie, dotykać jej z taką ostrożnością. Czuje jego oddech na karku i masywne dłonie z powyginanymi po złamaniach na mniejszych i większych lodowiskach palcami, oplatającymi ją w pasie. Mira się uśmiecha, zaciskając powieki jeszcze mocniej, bo nie chce otwierać oczu i dowiedzieć się, że to wszystko to tylko sen.

– Musimy leżeć na podłodze? – szepcze jej w końcu do ucha Peter.

– Co? – mamrocze Mira.

– Musimy leżeć na podłodze, kochanie? – powtarza jej mąż.

Nie jest pewna, czy ma go objąć czy okrzyknąć, jedyne, co z siebie wydusza, to:

– Jak ty się tu w ogóle dostałeś?

– Przyszedłem.

– PRZYSZEDŁEŚ?

– Tak. Z latarką, przez las.

– Ależ kochanie, dlaczego?

– Leo jest u dzieciaków sąsiadów. Nie chciałem być sam.

– Jesteś walnięty – mówi z trudem, zaciskając palce wokół jego.

– Już to słyszałem – potwierdza Peter, a Mira czuje jego uśmiech na łopatkach.

Leżą tak, wsłuchując się w wiatr, i po raz pierwszy od dawna Mira czuje, że nie jest jeszcze za późno, żeby wszystko naprawić. Odpływa. Prawie zapomina.

Budzi ją dźwięk telefonu. Siada na podłodze, wybudzona i skołowana, jeszcze do niej nie dociera, że za oknem już świta. Czyżby przespała wichurę, jak bardzo musiała być więc zmęczona? Telefon dzwoni i dzwoni bezustannie, serce unosi się i natychmiast opada, gdy na ekranie spostrzega imię Petera. A zatem nigdy go tu nie było. Odbiera i chce mu powiedzieć tyle rzeczy, ale nie zdąży ani jednej. Nikt nigdy nie słyszał płaczu wstrząsającego Peterem. Jeśli byłeś bity jako dziecko, szybko uczysz się powstrzymywać szloch, ale nie przed nią. Nigdy przed żoną.

– Nie żyje... Jak to nie żyje? – To jedyne, co wydusza z siebie Mira po tym, jak już jej opowie, bo przecież to niemożliwe, że nie żyje. Nie ona!

Przez wiele kolejnych dni po burzy Peter będzie stał w przedpokoju, ucząc się wiązać krawat, żeby miał perfekcyjną długość, przed jej pogrzebem. Mira przystanie przy drzwiach i nigdy nie zdoła z siebie wydobyć wystarczająco długiego oddechu, który mógłby przerwać ciszę. Las stracił tej nocy wiele ze swoich najpiękniejszych drzew, dodatkowo jednak – i to tym bardziej nie do zniesienia – stracił jednego ze swych najlepszych ludzi.

Ciemność

Za mniej niż godzinę Fatima będzie leżeć w rowie, ale na razie sprząta halę lodowiska. Wkrótce będzie panią w średnim wieku, wygląda znacznie młodziej, ale czuje się wyraźnie starsza, zwłaszcza gdy prostuje plecy wysoko na trybunach dla kibiców. Bolać, ale skrętnie to ukrywa, utrzymywanie tajemnic zarówno swoich, jak i innych ludzi świetnie jej wychodzi. Każdego dnia sprząta halę, a następnego zaczyna od nowa, według tych samych ścisłych reguł. Nie uskarża się, okazuje wdzięczność, zawsze tylko wdzięczność, wdzięczność, wdzięczność. Za pracę, za miasto, za kraj, który przed tyloma laty przyjął ją i jej syna, gdy ten był jeszcze malutki. Wdzięczność, wdzięczność, tylko wdzięczność za wszystko, co tu otrzymał. Wszystko, czym mógł się stać.

– Fatima!

Dozorca znów ją zawołał, robił to nieprzerwanie przez cały wieczór, bo uważał, że już dawno powinna wrócić do domu, zanim wichura przybierze na sile i do Niecki przestaną jeździć jakiegokolwiek autobusy. Ale Fatima nie ma w zwyczaju porzucać niedokończonej pracy, ten stary piernik dobrze to wie, w żaden jednak inny sposób poza marudzeniem nie potrafi okazać jej troski. Któregoś dnia uśmiechnął się do niej szeroko i powiedział, że w klubie hokejowym jest wiele wspaniałych ról, które można odgrywać, ale nie ma nic piękniejszego niż bycie brany za pewnik. To bez dwóch zdań piękna myśl, sprzątaczek i dozorców pod koniec karier nie honoruje się koszulkami z ich nazwiskami zawieszonymi przy suficie lodowiska, zostają oni jednak dłużej niż wszyscy pozostali. Trenerzy i zawodnicy przychodzą i odchodzą, w ciągu paru sezonów może się zdarzyć, że zmieni się cała drużyna, ale personel na zapleczu przychodzi do pracy w poniedziałek, jak zwykle. Jeśli wykonują swą pracę perfekcyjnie, nikt ich nawet nie zauważa. Dopóki nie znikną. A często, niestety, nawet wtedy nie.

Tego dnia, gdy Fatima zostanie pochowana, nie będzie wspomniana ze względu na to, kim sama była, tylko czyją była mamą. Amata, tego, który miał być

najlepszy. Tylko to się liczy w hokejowych miasteczkach.

–

Wiatr uderza w drzwi, ale dozorca nie zwraca na to uwagi. Potrzeba więcej niż tylko wiatorku, by wygonić go do domu.

– Czas do domu, głupia babo! Dokończysz sprzątanie jutro! – pokrzykuje za to przy bandzie do Fatimy.

– Niektórzy z nas pracują na poważnie, a nie tylko udają, jak ty, dziadu jeden! – odkrzykuje Fatima z trybun.

– Dziadu? Lepiej sobie zrób spacer, to ci wyjdzie na dobre!

– A cicho tam!

To jedyny człowiek poza jej własnym synem, na którego Fatima kiedykolwiek podnosi głos. Taka bliska zażyłość łączy dziada i babę, dozorca pracuje tu od zawsze, a ona sama tak długo, że nikt już prawie nie pamięta, od kiedy. Przez lata zbudowali głęboką przyjaźń, a potrzebowali do tego niewiele słów i prostego dowcipu. Niedawno dozorca widział fotografię pomnika z innej części kraju, pod którym widniał napis: „Surowa od pracy, miękka z miłości”. Pomyślał wtedy o niej.

– Ominęłaś plamę, o tam! – zawołał.

– To ty masz jaskrę i widzisz same plamy! – odparła wesoło Fatima.

Dozorca zaśmiał się w głos z zadowolenia, niewiele potrafi wprowadzić go w dobry humor. Często mówi się, że „od dzieci i pijaczków zawsze dowiesz się prawdy”, ale jeśli chcesz wiedzieć, co tak naprawdę dzieje się w hokejowym miasteczku, idziesz do hali lodowiska i pytasz dozorcę. Problemem może być tylko to, że gównu ci odpowie, bo w klubach hokejowych liczą się „wysoki sufit i grube ściany”, a dozorca mocno bierze sobie to motto do serca. Widział już, jak zmieniali się trenerzy i zarząd, widział klub na drugim miejscu w kraju i dwa lata temu, gdy prawie groziła mu plajta. Świetnie idzie mu zamykanie za sobą drzwi do kantorka i ostrzenie płóz łyżew, by przypadkiem na korytarzach hali nie słyszeć sponsorów ani polityków manipulujących przy umowach. Nie spędził w szkole ani jednego dnia dłużej, niż było to konieczne, ale zna się na liczbach na tyle, żeby wiedzieć, że żaden klub w kraju nie przetrwałby, trzymając się sztywnych zasad księgowości,

wszyscy robią, co mogą, by przeżyć. A potem trzymają gębę na kłódkę. Na tym lodowisku dozorca widział już bajki i katastrofy, chłopców wyrastających na mężczyzn i stających się gwiazdami, jednak często gasnących równie szybko. Widział, jak przychodził tu z podbitym okiem młody Peter Andersson, ale chłopiec sam nigdy nikogo nie bił, widział, jak wyrósł na kapitana pierwszego składu, machał mu na pożegnanie, gdy ten wyruszał do Kanady, by zawodowo grać w NHL, i nadal tu był, kiedy Peter wrócił do domu i został dyrektorem sportowym w Björnstad. Jeszcze przed paroma laty, zapytany o to, kto jest największą gwiazdą Björnstad Hockey, bez wahania wymieniał jego nazwisko. Ale potem nadszedł Amat. Często mówi się, że „zawodnik rozkwita w jedną noc” albo „pojawia się znikąd”, ale to nigdy nie jest prawda, Amat walczył każdego dnia swego życia o to, by być lepszym od innych, bo nic innego nie wystarczy, gdy jest się biednym dzieciakiem na lodowisku bogaczy. Wtedy trzeba być najlepszym. Dozorca dobrze to wie, bo jeśli ktoś kocha ten klub tak długo jak on, to już niczego się przed nim nie ukryje.

Gdy przed wieloma laty Fatima przybyła tu z maleńkim synkiem, z drugiego końca świata, nie wiedziała nawet, co to jest lodowisko, ale szybko się nauczyła, że niezależnie od języka ojczystego słowo „hokej” jest najważniejszym w lokalnym dialekcie.

To Peter i dozorca zadbali, by Amat mógł pożyczyć łyżwy, uznali, że to lepsze niż lekcje języka, jeśli miał zyskać nowych kolegów. Gdy chłopiec podrośł, dozorca musiał zapłacić za swe dobre serce, bo Amat trenował dodatkowo przed świtem i po zachodzie słońca, a czas pracy starszego mężczyzny wydłużył się od otwarcia do zamknięcia o co najmniej cztery godziny. Razem z Peterem byli niemal tak samo dumni jak Fatima, gdy Amat zadebiutował w pierwszym składzie. „Ten to jest szybki jak kot z worka”, zaśmiewał się dozorca, a Fatima eksplodowała szczęściem za każdym razem, gdy syn zdobywał bramkę. Chłopcy nigdy nie rozumieją sposobu, w jaki patrzą na nich matki, skąd niby mieliby to wiedzieć? Jeszcze nigdy nie oddali komuś serca w ten sposób.

Nie potrafią więc też zrozumieć, gdy ich mamy rozpadają się przez nich na kawałki i że złamane marzenia mogą boleć bardziej tych, którzy nas kochają, niż nas samych. Fatima uwielbiała jesień, bo dozorca i Peter nauczyli ją, że to wtedy w Björnstad zaczyna się nowy rok, bo zaczyna się sezon. Ale nie w tym roku, nie dla jej syna.

Właściwie nikt nie wie, co się mu przydarzyło, nawet dozorca. A ten nie ma serca, by wprost zapytać o to Fatimę, bo każdego dnia widzi smutek w jej oczach. Wiosną jej syn był najbardziej czczoną gwiazdą drużyny, razem z Björnstad szli po wygraną całej serii, ale został kontuzjowany i ostatnie mecze zespół zagrał bez niego, tracąc szansę na awans do wyższej dywizji. Już wtedy krążyły plotki, że udawał kontuzję, bo nie chciał naprawdę jej ryzykować, i że letni draft do NHL był dla niego ważniejszy niż wygrana Björnstad. W dozorcy aż się gotuje, gdy słyszy te bzdury. Nikt, absolutnie nikt nie poświęcił dla Björnstad więcej niż Amat! Ale to miasto naprawdę potrafi być zarazem najpiękniejsze i najokropniejsze na świecie.

Amat wziął sobie plotki do serca, Fatima również, dozorca to dostrzegł, mimo że sama o tym nie wspominała. Teraz sam więc nie wie, jak ma zapytać o to, co wszyscy chcieliby wiedzieć: co się przydarzyło Amatowi, gdy latem pojechał na draft NHL? Nie został wybrany, to wszyscy już wiedzą, ale dlaczego? Wrócił do domu, a w mieście huczało, że znów jest kontuzjowany i że to tylko wymówka, ale wymówka od czego? Nie pojawił się na przedsezonowym treningu, ale nie podpisał też kontraktu z żadnym innym klubem. Całymi dniami siedzi tylko w domu, w Niece. Kiedyś był najbardziej magiczną bajką tego miasta, ale powoli zaczyna się zamieniać w jego najbardziej niezrozumiałą tajemnicę, a w środku tego wszystkiego stoi jego mama, gotowa umrzeć za niego w każdym momencie.

Dozorca patrzy na pustą taflę lodowiska i wzdycha z żalem mężczyzny, który nie ma własnych wnuków. Wiatr kołacze w drzwi hali, aż w końcu do dozorcy dociera, że to jednak nie wiatr. Na zewnątrz ktoś krzyczy.

—

— DOBIJAM SIĘ OD PIĘTNASTU MINUT! — wydziera się Frak, gdy drzwi otwierają się z hukiem i od porywu wiatru uderzają go prawie do nieprzytomności.

— BAMBI? A CO TY TUTAJ ROBISZ W TAKĄ POGODĘ, WARIACIE? — odkrzykuje poirytowany dozorca.

Tylko on nazywa Fraka w ten sposób. Przed trzydziestoma laty jakiś dowcipniś wystrugał z drewna figurkę przedstawiającą rozłoszczonego dozorcę siedzącego na rolbie z dymkiem dialogowym ponad głową. Została umieszczona w kościele w szopce bożonarodzeniowej, tak że wyglądało, jakby krzyczał na Jezusa, jego rodziców i trzech królów: „Wynocha, bo muszę posprzątać!”. Dozorca oczywiście

natychmiast się dowiedział, kto to zrobił, bo przecież dozorca wie wszystko, ale nie wygadał się nawet księdzu. Wysoki sufit i grube ściany. Przed następnym meczem zajął się jednak łyżwami dowcipnisią szczególnie uważnie i zaostrzył każdą z nich w inny sposób, tak że chłopak nie mógł jechać prosto. Za każdym razem, gdy się wywracał, dozorca krzyczał do niego z trybun: „Bambi!”. Oczywiście wszyscy nazywają go teraz Frakiem, ale dozorca nigdy nie pozwolił mu zapomnieć pierwszego przezwiska. Wyrósł na grubego właściciela sklepu spożywczego w średnim wieku, jednak dla dozorca zawsze pozostanie głupawym juniorem.

– FLAGI! MUSI MI PAN POMÓC SPUŚCIĆ FLAGI! – dyszy Frak.

– PRZYSZEDŁEŚ TUTAJ W ŚRODKU WICHURY DLA... FLAG? – syczy dozorca.

Ten chłopak zawsze miał dziwne priorytety, ale teraz to już przeszedł samego siebie.

– SĄ ZA DUŻE! ZŁAPIĄ WIATR I ZNISZCZĄ MASZTY!

Dozorca dopiero teraz dostrzega, że dłonie Fraka krwawią. Wciąga go przez drzwi, mamrocząc:

– Tobie nie pomogłaby nawet lobotomia. Co ci mówiłem, jak kupiłeś te flagi? Co? Mówiłem ci, że są za duże! Mówiłem, że...

Frak krzyczy, mimo że znajdują się w budynku. Zapewne wiatr przytknął mu uszy.

– TAK, TAK! MIAŁ PAN RACJĘ! ALE TERAZ PROSZĘ: NIECH MI PAN POMOŻE!

Dozorca tak się dziwi, że Frak bez zbędnych komentarzy od razu przyznał się do błędu, że aż zapomina o tym, by się z niego jeszcze trochę ponabijać.

– Okej, okej, w takim razie... – mruczy, przynosząc bandaż na ranę na dłoni oraz nóż do podcięcia lin.

Obaj wychodzą na zewnątrz. Nie żeby to nie był głupi pomysł, bo oczywiście jest, czasem jednak idiotyczny pomysł pozostaje jedynym rozwiązaniem. Flagi trzeba opuścić, tak żeby jutro rano znów można je było zaciągnąć. W innych miejscach nie byłoby to może tak ważne, ale tutaj jest. Jak długo przed halą lodowiska powiewają flagi, tak długo ludzie wiedzą, że jest otwarta, a dopóki lodowisko jest otwarte, życie toczy się dalej, a nie ma chyba poranka, w którym życie powinno się toczyć jeszcze bardziej niż poranek po wichurze. Dozorca może

i jest uparty, a Frak może i ma kurzy mózdzek, ale obydwaj doskonale to rozumieją. Frak żyje dla Björnstad. Był beznadziejnym zawodnikiem, jeszcze zanim dozorca nieodpowiednio naostrzył mu płozy, mimo to walczył o to, by dostać się do pierwszego składu, w którym Peter był gwiazdorem. Jedynym talentem Fraka w drużynie było podszcypywanie rywali i prowokowanie ich do bójki, tak by zostali usunięci z lodowiska. Gdy do Björnstad zimą w dwudziestostopniowym mrozie przyjeżdżali przeciwnicy z południa, Frak przekonywał dozorcę, by w ich szatni wyłączył ogrzewanie, jeśli tylko miał okazję, chował ich sprzęt w magazynku i niszczył ich kije. Im perfidniejsze zagrania poza lodem i na lodzie, tym lepiej. Jeśli zapytasz o to Fraka, odpowie ci: „Myślisz, że nie wolałbym być gwiazdorem drużyny i strzelać wszystkich bramek? Pewnie, że bym wolał! Ale jak nie można robić tego, co się chce, to się robi to, co się musi. Jesteśmy małym klubem z małego miasta, nie mamy szans, jeśli będziemy grać według reguł dużych miast!”. A potem szeroko się uśmiechnie i doda: „Oszustwo? To tylko wtedy, jak cię złapią! Chcesz wygrać czy nie?”. W ten właśnie sposób rozpoczęła się długa, aczkolwiek dysfunkcyjna przyjaźń pomiędzy dozorcą a Frakiem. Dozorca, tak jak i wszyscy w Björnstad, nienawidzi oszustw, ale jeszcze bardziej uwielbia wygrywać.

Gdy hokejowa kariera Fraka dobiegła końca, stał się częścią lokalnej „niewidzialnej elity władzy”, jak ją nazywano w miejscowej gazecie. Tak bardzo niewidzialny to on też znowu nie jest, a tym bardziej cichy. Wyrzucono go już z każdego klubu łowieckiego w okolicy, bo gadanią płoszy zwierzynę. Mimo że oficjalnie nawet nie pracuje w hali lodowiska, przychodzi tu prawie każdego dnia, głównie po to, by wyklócać się o grafik treningów. Za każdym razem próbuje zmusić dozorcę do zmodyfikowania go na korzyść drużyny, w której gra jakiś bogaty dzieciak, tak aby Frak mógł przekonać jego rodziców do sponsorowania klubu. Jak tylko błędnie wylicza godziny, dozorca wyrywa mu długopis z ręki i wzdycha: „Chyba nie ma się co dziwić, że mimo że nie umiesz liczyć, zostałeś biznesmenem, tak samo było z hokejem, nie umiałeś jeździć na łyżwach, a mimo to pchałeś się na lód...”.

Koniec końców dochodzą jednak do porozumienia, bo przecież obaj życzą sobie tego samego: tego, co najlepsze dla klubu. Zawsze. Frak niezmiennie obiecuje dozorcę, że wkrótce wybudują Björnstad Business Park, w skład którego wejdzie nowoczesne centrum szkoleniowe obok hali lodowiska. I zapewnia, że wtedy dla

nikogo nie braknie już dobrych terminów na lodzie. Ten kurzy mózdzek we wszystkim macza palce, od zawsze. Oficjalnie może to i Peter Andersson przed dwoma laty zaproponował miejsce w zarządzie klubu Ramonie, ale to Frak podsunął mu ten pomysł i za to dozorca szczególnie go ceni. Ramona również, mimo że pewnie nigdy się do tego nie przyzna. Kiedyś, po jedenastu, a może i nawet dwunastu piwach w Futrze w zaufaniu zwierzyła się dozorczy: „Wszyscy myślą, że Frak kocha DRUŻYNĘ. Ale to, kurwa, nieprawda. On kocha KLUB. Byle kto może sobie kochać drużynę, to egoistyczna miłość, wymagająca, kapryśna i przemijająca... ale miłość do klubu, do całego klubu, od dziecięcych drużyn aż do pierwszego składu, do wszystkich gwoździ w ścianach utrzymujących to wszystko w kupie i do ludzi... w takiej miłości nie ma miejsca dla egoistów”.

– MIEJMY NADZIEJĘ, BAMBI, ŻE SIĘ NIE MYLIŁEŚ! – Dozorca przekrzykuje wiatr, gdy udaje im się zsunąć wszystkie flagi i gdy jego dłonie również krwawią.

– OBIECUJĘ! – odkrzykuje Frak.

W rzeczywistości wcale nie jest taki pewny, na jakiego wygląda, ale wkrótce okaże się, że miał rację, tyle tylko, że nieco inaczej, niż zakładał.

Ani jeden maszt nie zostanie uszkodzony podczas burzy. Jutro wraz z dozorcą ponownie wciągną flagi. Tym razem jednak tylko do połowy wysokości.

Krzyk

Mówi się, że złe wiadomości rozchodzą się szybciej niż dobre, że jeśli w mieście ktoś umiera, to ludzie dowiadują się o tym wcześniej, niż gdy ktoś się rodzi. Jeśli jednak zapytasz Ramony z Futra, to, pomrukując, odpowie ci: „Gówno prawda. Ludziom tak się tylko wydaje, bo teraz w Björnstad więcej ich umiera, niż się rodzi, więcej pogrzebów niż chrztów”. Wie, co mówi, Futro to nie tylko okoliczny wodopój, ale również lokalne biuro ewidencji ludności, każdy spadek i każdy wzrost zasługują na odpowiednie świętowanie lub żałobę przy barze. Większość nauczyła się już dwa razy mocniej świętować, niż przeżywać żałobę, tak w ramach rekompensaty. Dlatego też pewnie ostatnimi czasy ukochali sobie hokej ponad wszystko. Znow są zwycięskim miastem, żyją bardziej, niż umierają.

Jeśli uznasz, że to przesada, i wprost zapytasz Ramonę, czy hokej naprawdę jest tak ważny, zapewne odpowie ci: „Nieeee. Ale co, do kurwy nędzy, tak naprawdę jest ważne w życiu?”. Nie dane jej było przemawiać na zbyt wielu pogrzebach, ale trzeba przyznać, że ma rację.

Wśród mieszkańców krąży historia o Ramonie i pewnym turyście z dużego miasta, który lata temu zawitał tu kiedyś przejazdem w lecie i zatrzymał się przed Futrem. Przez okno zauważył w środku telewizor, wbiegł do środka i radośnie krzyknął: „Czy mógłbym obejrzeć mecz piłki nożnej?”. W telewizorze leciało właśnie skaczące nagranie starego meczu hokejowego, grupka dziadków siedziała wpatrzona w ekran, komentując, zapewne nie pierwszy raz, co się zaraz wydarzy. Ramona zza baru wbiła w turystę wzrok i mruknęła: „Piłki nożnej? Jakiej piłki nożnej?”. Mężczyzna wybuchnął zdziwiony i zarazem skonfundowany: „Jak to... jak to jakiej? Przecież to FINAL MISTRZOSTW ŚWIATA!”. Ramona wzruszyła ramionami. „W tym mieście oglądamy tylko hokej. Chciałby pan coś zamówić? To nie jakaś pieprzona komunikacja publiczna, nie może pan tak tutaj po prostu stać i się głupio gapić za darmo”.

To tylko opowieść, może nawet nieprawdziwa, co nie znaczy, że nie mogłoby tak być. To taki bar, który w pewien sposób mówi wszystko o mieście i jego mieszkańcach, o ich miejscu w świecie i ich spojrzeniu na pozostałą jego część. Futro leży w tej samej odległości od fabryki co hala lodowiska, większość stałych bywalców wie swoje życie pomiędzy tymi trzema miejscami. To, że Futro jest starsze niż samo miasto i że ludność po prostu obudowała je domami, tak jak dawniej obudowywano studnie, jest tak starym kłamstwem, że niemalże wydaje się prawdziwe. Przed dwoma laty cały budynek spalił się prawie doszczętnie, a teraz, po remoncie, żartuje się, że po pożarze pachnie tu lepiej niż przed nim.

Wszędzie na ścianach wiszą fotografie zawodników hokejowych. Podczas niektórych sezonów część z nich, jak na przykład Benji czy Vidar, spędziła tu więcej czasu niż w hali, i wiele to o nich mówi. Inni, tacy jak Amat, nigdy jeszcze nie przekroczyli progu Futra i to mówi o nich jeszcze więcej. W sercu Ramony zawsze było miejsce dla tych, którym się w życiu udało, ale dla tych, którym się nie powiodło, będzie miała tego miejsca po stokroć więcej.

Futro leży w suterenie, przez niewielkie okna baru wzrok sięga tylko ku niebu. Jeśli jednak przystanie się na schodach, przy otwartych drzwiach, tam gdzie Ramona zwykle pali papierosy przy złej pogodzie uniemożliwiającej odpalenie zapalniczki na ulicy, zobaczy się w oddali maszty z flagami powiewające przed halą lodowiska. Nigdy nie przyznałaby się przed Frakiem, ale je polubiła. Za każdym razem, gdy wybiera się na zebranie zarządu klubu, zwalnia, przechodząc pod nimi podekscytowana, że ponownie ma możliwość napsuć krwi facetom czekającym na nią na górze w pokoju konferencyjnym.

Teraz jednak ktoś spuścił flagi z masztów, a burza nawet ją powstrzymuje od odpalenia zapalniczki na zewnątrz. Tej nocy pali więc w środku. Wiatr pewnie wyrwałby drzwi z zawiasów, gdyby tylko spróbowała je otworzyć. Dlatego właśnie nie widzi Fatimy wychodzącej z hali lodowiska i czekającej na przystanku autobusowym przy głównej drodze. Po chwili kobieta się poddaje i samotnie rusza poboczem w stronę Niecki. Ramona nie widzi też czternastoletniego Matteo, który całkiem sam włóczy się cały wieczór po mieście. Nie słyszy, jak chłopiec, nawołując, dobija się do baru – gdyby tylko go usłyszała, z pewnością by go wpuściła. Otwierała drzwi przed wszystkimi możliwymi idiotami z okolicy, nawet przed lubiącymi piłkę nożną turystami, bez wątplenia znalazłaby też miejsce dla zmarzniętego i wystraszonego czternastolatka. Niestety go nie dostrzega. Ale

Matteo nie zapamięta tej chwili właśnie w ten sposób, w jego pamięci zapisze się ona najprostszymi na świecie słowami.

„W tym mieście widzi się tylko hokej”.

Koty

Na końcu Fatima sprząta na najwyższym piętrze, na którym wcześniej mieściły się biura klubu i zarządu, wciśnięte obecnie do mniejszych pomieszczeń na tyłach. Przeważającą część powierzchni zajmuje teraz nowe przedszkole. Niektóre dzieciaki z okolicy wcześniej stają na łyżwach, niż uczą się chodzić, to w zasadzie mówi wszystko o podejściu tego miasta do hokeja, sport zawsze zmusza do dalszego życia. Mimo wszystko.

Ostatnimi czasy Fatima zaczęła unikać ludzi w sklepie spożywczym, wszyscy chcieliby wiedzieć, co się stało Amatowi, a ona nie wie, co odpowiedzieć. Wiosną wszystko było jak we śnie, wygrywał i całe miasto go uwielbiało, potem jednak został kontuzjowany i ludzie poczuli się zawiedzeni. Poleciał do Ameryki, by zostać wybranym w drafcie NHL, co Fatima ledwie pojmowała. Siedział przy kuchennym stole i wyjaśniał jej wszystko, tak jakby to ona była dzieckiem, a on dorosłym: „Mamo, NHL to najlepsza liga, w Ameryce, tam grają sami zawodowcy. Każdego lata urządzają draft, podczas którego drużyny wybierają dwustu młodych zawodników, którym dają szansę na zostanie zawodowcami. Mogę być jednym z nich. Tak jak Peter!”. Amat obiecał matce, że za pieniądze pierwszego zawodowego kontraktu kupi jej duży dom na Wzgórzu i mercedesa. Fatima prychnęła tylko: „A niby po co mi to? Jeśli już koniecznie musisz mi coś dać, to poproszę zmywarkę do naczyń i trochę spokoju”.

Wiosną marzenia Amata były tak wielkie, że ledwie mieściły się w ich mieszkaniu. Teraz pozostała po nich jedynie zepsuta zmywarka do naczyń. Syn zamknął się w swoim pokoju i od miesięcy prawie go nie opuszczał. Co z niej za matka, która nawet nie może odpowiedzieć ludziom na ulicy, co jest nie tak z jej synem? Dozorca wyjaśnił jej, że w hokeju nigdy się nie ujawnia, na czym dokładnie polega kontuzja zawodnika, tak by przeciwnik nie mógł tego wykorzystać i uszkodzić go jeszcze bardziej. Używa się więc sformułowań typu „kontuzja dolnej części ciała” albo „kontuzja górnej części ciała”. Ale Fatima nie

wie nawet, która dotyczy jej Amata. Czy to coś z nogami, czy po prostu pękło mu serce.

Gasi światło i wychodzi na trybuny, powstrzymując łzy, spogląda na środek lodowiska. Po Amacie przyjdzie czas na nowych zawodników, ich wzloty i upadki, lód ma to gdzieś. By dowiedzieć się czegoś o młodzieżowym sporcie, wystarczy popatrzeć na uśmiechniętą twarz nastolatka, któremu właśnie udało się zostać zawodowcem. Każdego roku Fatima widzi setki rodziców poświęcających tysiące godzin w hali lodowiska w nadziei właśnie na to. Zestresowani w drodze tutaj i kompletnie wyczerpani w drodze powrotnej, pocą się w samochodach, marzną na treningach, płacą pół majątku za przynależność do klubu, a drugie pół za sprzęt, a do tego podczas meczów muszą jeszcze sprzedawać losy na loterii lub pracować za darmo w kafeterii, jeśli tylko klub o to poprosi. Spodziewa się po nich, że znajdą czas, nigdy nie będą się uskarżać, osuszą płózy i łzy, a przede wszystkim pranie. Boże, ileż przy tym jest prania. Od wszystkich oczekuje się poświęcenia w pogoni za marzeniami własnych dzieci. Jeśli jednak chcesz dowiedzieć się czegoś o sporcie młodzieżowym, tak naprawdę się dowiedzieć, to nie wystarczy, że poznasz nazwiska dzieci, którym się udało. Musisz również wiedzieć, komu prawie się powiodło.

Wzrok Fatimy wędruje po lodzie od bandy do bandy, kobieta próbuje sobie przypomnieć, jak szybko syn pokonywał ten odcinek. „Jak kot z worka”, zwykł mawiać dozorca. „Któregoś dnia ten chłopiec zajdzie aż na szczyt”. To znaczy zostanie zawodowcem, tego Fatima jest już świadoma. „Aż na szczyt” oznaczało zarabianie pieniędzy na zabawie. Dlatego właśnie nikt tutaj nie traktował tego jak zabawy, przecież nie tylko Amat miał na tym zarobić, ale wszyscy. „Mamo, nic w hokeju nie jest za darmo, trzeba dać z siebie wszystko!”, mówił Amat jeszcze jako dziecko. I miał rację. Aż do niedawna trenował w używanym stroju i na używanym sprzęcie, zawsze byli zależni od dobroczynności innych osób, takich jak Peter Andersson. „Nie nazywaj tego dobroczynnością, to inwestycja”, tłumaczył Peter, oczywiście z grzeczności, ale gdy Amat podrosł i stał się najlepszy, Fatima zrozumiała, co to oznacza: wszyscy chcieli zwrotu z inwestycji.

Mruga powiekami, odganiając łzy, oddycha głęboko z zamkniętymi oczami i rusza w kierunku drzwi wyjściowych. Po drodze mijają dozorcę, który przez chwilę się waha, spoglądając przez okno.

– Wiesz, jest tu Frak, może poproszę go, żeby cię podwiózł...

– Nie potrzebuję niczego od tego człowieka. Pojadę autobusem – odpowiada Fatima.

W jej głosie nie ma nienawiści, ale dozorca wie, co czuje. Próbuje ją przekonać, ale zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma to sensu. Wzdycha więc i wypuszcza ją na zewnątrz.

Frak stoi po drugiej stronie drzwi, z rozwianymi włosami i zakrwawionymi mankietami koszuli. Wiatr prawie ich na siebie wpycha, ale Frakowi udaje się odskoczyć, a Fatima przechodzi obok niego tak szybko, że ten nawet nie zdąży otworzyć ust. Matka Amata wie doskonale, że chce ją zapytać o to, jak miewa się syn, bo o to pyta całe miasto, nikt jednak się tym naprawdę nie przejmuje. Nie obchodzi ich, czy jest szczęśliwy. Chcą tylko wiedzieć, czy może grać i zapewnić im zwycięstwo i czy mogą użyć jego wizerunku w swoich ulotkach. Ale nawet ona, jego własna matka, nie wie, na co go jeszcze stać.

Idzie na przystanek, skulona przed wiatrem, pół kroku w tył przy każdym do przodu. Czeką na autobus, ale ten nigdy nie nadjeżdża. Burza wyludniła miasto. Mogłaby wrócić do hali i mimo wszystko poprosić Fraka o podwiezienie, ale wolałaby umrzeć, niż prosić tego człowieka o pomoc. Rusza więc poboczem drogi w długi spacer do Niecki, całkiem sama. Wiatr szarpie jej włosy, Fatima przedziera się do przodu, po kilka kroków. Nogi bolą ją przez cały czas, natomiast ból w plecach przychodzi falami, bez ostrzeżenia, czasami tak przeszywający, że kobieta aż się zatacza.

Drzewa uginają się nad drogą, zasłaniając niebo. Fatima przypomina sobie, jak bardzo przerażała ją przyroda, gdy przed wielu laty przybyli tu z Amatem. Wiatr, zimno, lód i niekończący się las, wszystko zdawało się tylko wyczekiwać okazji, by zgładzić ludzi, był taki mróz, że nie wierzyła, że przetrwają pierwszą zimę. Teraz nie wyobraża sobie nic piękniejszego. Czasami przyroda nadal ją zaskakuje. Aż kręci jej się w głowie, gdy śnieg jest tak biały, że rogówki nie wytrzymują dłużej niż kilka sekund, lód tak przejrzysty, że jeśli stanie się na jeziorze przy hali lodowiska, krajobraz ciągnie się w nieskończoność, łącząc się na horyzoncie z niebem. Od tego pozbawionego konturów świata można zemdleć, las cichnie, uszy się zatykają, tak jakby drzewa wysysały wszystkie dźwięki wokół. Dawniej lubiła ludzi w mieście i chciała chronić swojego syna przed przyrodą, teraz jest na odwrót.

Przystaje na poboczu. W głębi serca wie, że nie powinna, bo to niebezpieczne, i że jak najszybciej musi się dostać do domu, zanim wichura jeszcze bardziej przybierze na sile. Ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa, plecy łapie skurcz, a płuca się zaciskają. Zatrzymała się w połowie trasy między halą lodowiska i Niecką, w najgorszym miejscu, gdy idzie się samemu, ten kawałek to tylko asfalt i samotność. Stoi pochylona z dłońmi opartymi na kolanach, z trudem łapiąc oddech. Do głowy przychodzi jej hokej. To wcale nie takie dziwne – gdy się boimy, nasze myśli uciekają do najszcześniejszych momentów w życiu, a dla niej to jednocześnie najszcześniejsze chwile syna. Tego jednak synowie nigdy nie rozumieją.

Amat przypomina ojca, ten sam miękki głos, zdecydowany wzrok. Dla Fatimy to zarówno raj, jak i przekleństwo, każda chwila dumy to dla niej równocześnie ukłucie cichej żałoby. Ojciec Amata zmarł, zanim tutaj przybyli, i nigdy nie zdążył zobaczyć, jak dobrze syn radził sobie w sporcie, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Chłopiec urodził się w mieście niedaleko pustyni, ale odnalazł dom w miejscu skutym lodem.

To wszystko jej wina, bo to ona wpajała mu wdzięczność za wszystko. To miasto go złamało, ale to ona go nauczyła, że może mu na to pozwolić. „Musimy być wdzięczni”, powtarzała nieprzerwanie, aż słowa zamieniły się w niewidzialne tatuaże po wewnętrznej stronie jego powiek. Stał się najlepszy i to napawało ją szczęściem, bo w końcu to miasto traktowało go jak swojego. Jakby to był jego klub, jego miasto, jego kraj. Nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, że cięższe od uprzedzeń mieszkańców Björnstad były ich oczekiwania. Amat to nadal tylko chłopiec, ma tylko osiemnaście lat, ale hokej nałożył na niego takie brzemie, którego nie uniósłby żaden dorosły.

Jeszcze przed kilkoma laty zdawał się zbyt mały i wąły, by w ogóle móc grać. Wąłość była oczywiście najgorsza, w hokeju nie ma miejsca na słabość. To Peter pocieszał wtedy Fatimę, słyszała opowieści o tym, jak przed najważniejszym dla całego miasta meczem stanął przed drużyną w szatni, wykrzykując, że duże miasta może i mają pieniądze, ale „hokej jest nasz”. I go słuchała. Peter twierdził, że to, co inni postrzegają jako słabość, w rzeczywistości jest siłą Amata. Poruszał się miękko, tak jakby jazda na łyżwach nie wymagała od niego żadnego wysiłku, dlatego też właśnie był taki szybki. Fatima pomyślała, że to zapewne prawda, ale może również dlatego, że ucieka wszystkim pozostałym zawodnikom, z których

każdy jest co najmniej dwa razy większy od niego i usiłuje go zabić. Nigdy nie przyzwyczaiła się do tego, jak bardzo brutalny bywa hokej, zarówno wśród małych niedźwiadków na lodzie, jak i tych dużych poza nim, bo tak właśnie wyglądali ojcowie pozostałych chłopców, wiszący na bandzie i krzyczący podczas meczów: ciężcy i powolni z wyglądu, ale niezwykle szybcy i brutalni, jeśli tylko obrali cię za cel. Nauczyła się, że hokej w tej okolicy to nobilitacja, w taki sposób chcieli go postrzegać, tylko urodzeni w odpowiednich rodzinach powinni mieć do niego dostęp. Dlatego też wymyślili całą masę tradycji i kodów, osobny język z wyrażeniami i terminologią, tak żeby już wśród najmłodszych rozróżniać tych, którzy są tu na właściwym miejscu. Kiedyś usłyszała, jak jeden z mężczyzn żartował, że „w aktywności fizycznej za dużo jest sportu”, i doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Nie obchodził ich czysty sport, chcieli jedynie ustawionych rozgrywek, w których mogliby kupić miejsce sobie i swoim dzieciom.

To były słowa Fraka. Przez te wszystkie lata, dopóki Amat nie zdobył miejsca w pierwszym składzie, Frak nie zamienił z nią ani słowa. Nagle jednak chętnie dzielił się radami dotyczącymi „przyszłości” Amata, opowiadał o tym, co jest „najlepsze dla chłopca”, dyskutował o NHL, agentach i kontraktach. Fatima może i nie rozumiała tych wszystkich wielkich słów, ale czuła, że Frak uważa teraz jej syna za własność Björnstad. Wydrukował nawet ulotkę, w której zamieścił zdjęcie Amata oraz tekst, że sponsorowanie Björnstad Hockey jest nie tylko możliwe, ale i właściwe. Wtedy było mu już na rękę, że Amat jest z Niecki. Frak chciał nawet zrobić zdjęcie Fatimie i Amatowi zbierającym puszki na trybunach, bo gdzieś usłyszał, że właśnie w ten sposób zdobywają pieniądze niezbędne na czynsz, ale wtedy wkroczył dozorca i tak go zrugął, że w całej hali lodowiska brzęczały szyby w oknach. Sama Fatima nie odezwała się ani słowem, okazywała jedynie wdzięczność, co przychodziło jej z coraz większym trudem.

Otwiera oczy. Przykucnęła w połowie drogi między halą lodowiska a Niecką. Wolno wbija pięty w ziemię, podnosi się i rusza dalej, mimo że nie ma już siły. Wiatr zawiewa od tyłu, jest niczym kopniak prosto w kręgosłup, Fatima próbuje się mu przeciwstawić, ale bezskutecznie, potyka się i upada jak długa prosto do rowu. Wiatr dudni jej w uszach. A potem wszystko cichnie.

Wiosną ten Frak udzielił wywiadu lokalnej gazecie i miała okazję przeczytać wszystko, co naopowiadał o Amacie, jak to spełniła się jego „bajka o Kopciuszku” i jak to udowodnił, że „wszyscy w Björnstad mogą grać w hokeja”. O nie,

pomyślała wtedy Fatima, właśnie dlatego bajka o Kopciuszku tak bardzo tu pasowała, bo prawie nigdy się tak nie dzieje. Czytała też o przechwałkach Fraka na temat „inwestycji w drużynę dziewczęcą”, a przecież dobrze wiedziała, że co tydzień przychodził do dozorczy, próbując go przekonać, żeby rozpiął je w najgorszym czasie treningowym, tak aby dzieciaki bogatych tatusiów mogły dostać te lepsze godziny. Nie chcieli dziewczynek w klubie, tak samo jak nie chcieli więcej dzieciaków z Niecki, wszyscy byli przecież dla siebie konkurencją w walce o najlepsze terminy treningów. Bo hokej był ich, dokładnie tak, jak powiedział Peter.

Wraca myślami do pierwszych lat w Björnstad, nie wiedziała nic o niedźwiedziach, ale w hali lodowiska pełno było ich wizerunków, wypożyczyła więc o nich książkę z biblioteki i zaczęła ją czytać, w nadziei, że dzięki temu lepiej zrozumie to miasto. I tak też się stało. Jedną z pierwszych rzeczy, jakiej się o nich dowiedziała, było to, że ponad czterdzieści procent wszystkich małych niedźwiadków umiera już w pierwszym roku życia, a śmierć najczęściej zadają im dorosłe samce, niebędące ich ojcami. To właśnie wtedy zrozumiała, że któregoś dnia również ona będzie musiała stać się niedźwiedziem, jeśli ktoś spróbuje skrzywdzić jej dziecko. Walczyła więc o jego prawo do beztroskiego, naiwnego i pozbawionego problemów życia, takiego, jakie miały wszystkie inne dzieci. O to, by mógł grać w hokeja i się bawić. Szczerze? Nawet ona nie dowierzała, że syn będzie aż taki dobry, że przejdzie „całą drogę aż na szczyt”, po prostu uwielbiała to, że na lodzie nie musiał myśleć. Nic go tam nie bolało, był wolny, i to wystarczyło. Powoli jednak, im Amat był starszy, tym sprawiedliwszy stawał się hokej. W dzieciństwie bogate dzieciaki miały przewagę, ale gdy był już nastolatkiem, nikt nie przejmował się jego rodzicami, każdy skupiał się na jego talencie. Uwielbiali go, dopóki drużyna wygrywała. Chłopiec szybko się przyzwyczaił, Fatima chyba też. Teraz jej z tego powodu wstyd, obawia się, że może za wiele oczekiwała od Boga i wszechświata i za bardzo przyjmowała to za pewnik. A przecież wszystko, co jest nam dane, równie szybko może nam zostać odebrane. Wiosną jako pierwsza zauważyła, że coś jest nie tak, Amat nadal zdobywał bramki w każdym meczu, ale jego ruchy nie były już tak miękkie. Spinał się, wiedząc, że gra z całym światem na barkach, aż w końcu jego ciało powiedziało dość.

Niedługo potem jeden z sąsiadów z Niecki wspomniał, że wszyscy są oburzeni „plotkami” i stoją za Amatem murem. „Jakimi plotkami?”, zdziwiła się Fatima, a sąsiad wyjaśnił, że miejscowi wypisują w internecie, że Amat sfingował kontuzję. Że interesuje go wyłącznie draft do NHL i że to „nielojalne”. Nielojalne? Względem kogo? Tak jakby jego ciało należało do nich.

Zaraz w hali lodowiska i w spożywczaku pojawili się mężczyźni chcący doradzić Fatimie, co ma robić, w końcu miała już tego dość i nie słuchała nawet Petera. Amat pojechał do Ameryki, stracił wszystko i wrócił do domu. Pusty.

Nie ma pojęcia, jak długo leży już na poboczu, w końcu zbiera wszystkie siły, które jeszcze jej pozostały, i wyczołguje się na drogę. Jest tak obolała, że podmuchy wiatru sprawiają, iż boli ją skóra. Przez sekundę żałuje swej dumy. Gdy autobus nie przyjechał, powinna była wrócić do hali i poprosić Fraka o podwiezienie, sama myśl o tym uzmysławia jej, jak bardzo jest przerażona.

Wichura świszcze jej w uszach, więc prawie nie słyszy wołającego ją Amata. „Mamo”. Synowie nigdy nie pojmą tego, że jest to najpotężniejsze słowo na świecie. „Mamo, mamo. MAMO!” Dopiero po chwili dociera do niej, że to właśnie on biegnie poboczem drogi. Trudno go poznać. Zawsze chudy jak patyk, teraz przybrał na wadze, jest nieogolony i śmierdzi od niego alkoholem. Jego dłonie są jednak silne, jak u dorosłego mężczyzny. Stawia ją na nogi.

– Co ty tutaj robisz? – pyta zaniepokojona.

– A TY? Dlaczego wracasz PIESZO? – przekrzykuje wiatr Amat.

Dozorca hali lodowiska to najlepsze, co może się przydarzyć klubowi. Nie jest taki głupi, żeby odpuścić Fatimie. Zaraz po jej wyjściu dzwoni do lokalnego przewoźnika i prosi o połączenie z kierowcą autobusu, żeby się upewnić, że do niego wsiadła. Gdy się dowiaduje, że z powodu wichury kursy zostały odwołane, natychmiast dzwoni do Amata. Starszy dozorca sam się już wybierał, by jej szukać, ale na szczęście Amatowi udało się go przekonać, żeby jednak został w domu, tak by chłopak nie musiał potem szukać obydwojga. To była dziwna rozmowa, dozorca spotykał Amata każdego dnia przez całe jego dzieciństwo, ale teraz zawodnika nie było na lodowisku, odkąd wiosną dostał kontuzji i przegapił koniec sezonu. Od draftu nie ruszył się poza Nieckę, praktycznie nie opuszczał mieszkania. Biegnie pierwszy raz od kontuzji.

I to jak. Jak kot z worka.

Z Niecki, drogą przez las, przez wichurę, aż w końcu dostrzega matkę. Zdziera z siebie kurtkę i okrywa Fatimę. Ruszają do domu, skuleni, przeciwstawiając się siłom natury, matka wsparta na synu.

– Jesteś głodny? Wstąpimy po chleb? – krzyczy kobieta przez wiatr.

– Mamo, sklepy są zamknięte! Nie gadaj już, tylko chodźmy do domu! – odkrzykuje Amat.

– Nie powinieneś biegać, musisz uważać na stopę! – woła Fatima.

– Nie martw się o mnie, mamo! – prosi Amat.

Oczywiście może ją prosić w nieskończoność, ale to jego matka. Powodzenia, jeśli zamierza ją powstrzymać.

Imię

Gdy przed dwoma laty odbudowywano Futro po pożarze, Ramona nie zawracała sobie głowy zawieszaniem jakiegokolwiek szyldu. Nie miało to znaczenia, wszyscy wiedzieli przecież, gdzie się znajduje bar i kim jest Ramona.

Nikt nie nazwałby jej „miłą”, a Futra „przytulnym”, nie taką spełniają tu funkcję. Ramona zrugła cię, jeśli będziesz się za długo zastanawiać nad zamówieniem, przecież i tak, do diaska, nie ma tu w czym wybierać, a potem na dokładkę dorzuci jeszcze jakieś obraźliwe słowo, jeśli będziesz ją popędząć. Nikt nie przywita cię z otwartymi ramionami, ale poczujesz tu wspólnotę, wszędzie wiszą bowiem zielone szaliki, świadczące o tym, że w tym mieście trzymamy się razem. Za barem leży koperta z napisem „Fundusz”, tak aby ci, którym na koniec miesiąca zostaje w portfelu jakiś banknot, odłożyli go dla kogoś, kto balansuje na krawędzi. O babie za barem krąży wiele plotek, ale największym kłamstwem jest to, że ostatnio straciła rozum. Przecież nie miała go od co najmniej trzydziestu lat. Serce natomiast ma na swoim miejscu.

Prowadzili Futro razem z Holgerem, wszystko razem robili, byli wspólnie na każdym meczu. „Śmiertelnie niebezpieczny w lesie i całkowicie nieprzydatny wszędzie indziej”, mawiała o nim, gdy odkładał kufle w niewłaściwe miejsce, na co Holger uśmiechał się szeroko i odpowiadał: „Też cię kocham”. Gdy już była zdenerwowana, nic nie denerwowało jej bardziej niż to. Naprawdę ją kochał, jak tylko taki dobroduszny facet jak on potrafił, stonowanie, ale bez pamięci. Jedyne, czego od niej w życiu żądał, to by przestała palić. „Musisz żyć dłużej niż ja, bo nie zniósłbym życia bez ciebie”, powtarzał, a wtedy Ramona poklepywała go czule po policzku, szepcząc: „Zamknij się!”.

Jeden ze stałych bywalców Futra często opowiadał żart o mężczyźnie siedzącym przy jedynym wolnym miejscu na meczu hokejowym z wypełnionymi po brzegi trybunami. Zapytany, dlaczego nikt go nie zajął, odparł zasmucony: „To żony, która niestety niedawno zmarła”. Wstrząśnięty ciekawski dopytywał: „Przykro mi

bardzo, ale czy nikt z rodziny albo przyjaciół nie chciał się z panem wybrać na mecz?”. Mężczyzna odpowiedział: „Nie, są przecież na pogrzebie”. Wszyscy wiedzieli, że to o Holgerze w dniu pogrzebu Ramony, nikt więc nie powtarzał go już po tym, jak zmarł. Przed wieloma laty. Ona paliła, ale to on dostał raka. Ramona nigdy nie mówi, że zmarł, tylko że od niej odszedł, czym w pewien sposób pokazuje, że jest największą przegraną w mieście, w którym aż się od nich roi. Nigdy nie wybaczyła dziadowi, że zmarł pierwszy. „Chłopy po prostu idą i się kładą, a kobiety muszą pracować dalej”, mówiła, gdy ktoś poruszał ten temat, co powodowało, że wątek rzadko powracał.

Nadal pali tyle samo, pije jeszcze więcej, skończyła jedynie z chodzeniem na mecze, bo z tym nie dawały sobie rady jej płuca. Zwiędły bez niego. Przez długi, długi czas – gdy nie czuła jego dłoni w swojej ani nie słyszała jego narzekania za uchem – nie była nawet w stanie pójść na zakupy, tak więc młodzi mężczyźni w czarnych kurtkach, dla których Futro było drugim domem, załatwiali sprawunki za nią, utrzymywali ją w pionie, żeby ona mogła się im wszystkim odwdzińczyć tym samym. Napisali nawet tekst do nekrologu w gazecie, gdy Ramona zapłakała już całą kartkę. „Holger, do kurwy nędzy, skąd zawodnicy mają teraz wiedzieć, kiedy strzelać, skoro nie ma cię tu, by na nich pokrzykiwać?” Ramona się zaśmiała i naląła jeszcze więcej piwa. Gdy wybuchł pożar, nekrolog nadal wisiał na ścianie w barze, pomiędzy koszulkami hokejowymi i szalikami ukochanej, znienawidzonej, beznadziejnej i cudownej drużyny Björnstad Hockey. Ramona prawie w nim zginęła i czasem wolałaby, żeby tak właśnie się stało. Podczas całego swojego życia ludzie są niekiedy zmuszeni pochować tylu bliskich, a mimo to mają siłę wstawać codziennie rano. Jednakże za każdym razem coś w ich wnętrzu robi się coraz cięższe. Ramonie zdarzyło się kilka poranków, gdy nie była już pewna, czy znajdzie siłę, by znów się podnieść.

Aż nagle, ni stąd, ni zowąd, wczesnym latem zeszłego roku podniosła ceny piwa. Stali klienci od razu zaczęli się awanturować, bo w tym lokalu nie było innych gości niż ci stali, a ostatni raz Ramona wprowadzała podwyżki piętnaście lat temu. Przecież to stare babsko nie zajmuje się niczym innym, tylko podnoszeniem im cen.

Rabanu nie robili tylko młodzi mężczyźni w czarnych kurtkach. Ponieważ Teemu, największy wariat w grupie tych wszystkich wariatów, dawno nie wyglądał na takiego zadowolonego.

– Co się tak szczerzysz? – ofuknęła go Ramona, a on od razu się przyznał:

– Jeśli podnosisz ceny, to znaczy, że myślisz o przyszłości.

Tacy jak on i ona potrzebują przyszłości, inaczej się zapadają. Tej samej nocy, w której spłonęło Futro, stracili też w wypadku samochodowym młodszego brata Teemu, Vidara. Chłopiec w dzieciństwie często odrabiał zadania domowe w Futrze, przymuszany przez Teemu, który w całym swoim życiu nie zrobił ani jednego zadania domowego, bo nikt nigdy go do tego nie przymusił. Ojcowie dawno zniknęli z horyzontu, a mama leżała w domu, odłączona od świata dzięki tabletkom nasennym. Jeszcze zanim zaczęli szkołę, Teemu i Vidar zdążyli już zobaczyć tyle przemocy i nałogów, że ich najbezpieczniejszą przystanią stał się bar. Byli tam bezpieczni, znaleźli tam wszystkich przyjaciół, Teemu zbudował tam wspólną czarnych kurtek, która już na zawsze miała chronić młodszego brata. Ramona nie miała własnych dzieci, ale ci chłopcy byli jej. Gdy Vidar umarł, razem z Teemu czuli się jak stare drzewa wyrwane z korzeniami, nie znajdowali żadnego sensu w kolejnym poranku. Poza hokejem. To on pomógł im żyć dalej, wszystko po kolei, najpierw mecz, potem głośna kłótnia w Futrze, na temat tego, który zawodnik powinien był strzelić. Nie ma w tym mieście innych osób, które potrafiłyby się wyklócać tak jak tych dwoje, bo większość z nas nie lubi siebie nawzajem tak bardzo jak oni. Rzadko coś do siebie mówili, nie było takiej potrzeby, babsko podniosło ceny w barze, a chuligani prawie się popłakali. I tyle. Mieli siebie nawzajem.

Gdy nad Björnstad przechodzi wichura i ciemność oplata domy, Ramona myśli o nim. I o swoich chłopcach. Oczywiście również o Holgerze, bo to już jej zwyczaj, gdy wieczór zamienia się w noc. Ten leniwy pierdziel Holger lubił się kłaść spać. Gdy wiatr zaczyna trząść futrynymi okien i gasną wszystkie światła, Ramona odkłada kufel na miejsce pod barem i po omacku szuka latarki. Prowadzona słabym migotliwym światłem wchodzi po schodach na górę do sypialni, wolnym krokiem przebierając starymi nogami, mija proporczyki i szaliki, i setki fotografii, które mieszkańcy Björnstad zebrali dla niej po pożarze. Ciche urywki z całego życia w klubie hokejowym i wokół niego.

Była jedną z pierwszych sponserek. Przez ostatnie lata zasiadała w zarządzie. Oj, ale się tam wyklócała z tymi facetami, i oj, ileż miała przy tym zabawy. Björnstad Hockey jest teraz najlepsze od lat, a w Hed grają obecnie same patałachy, tak więc zdaniem Ramony dużo więcej zabawy już od życia żądać nie można, no chyba że

nago. Kładzie się do łóżka z fotografią Holgera w ramionach. Wichura wstrząsa domem, kołysząc ją przy tym do snu.

Kawałek dalej, w lesie, chwilę wcześniej ta sama wichura wstrząsnęła niewielkim samochodem pędzącym do szpitala w Hed. Siedząca w nim ciężarna kobieta krzyknęła do męża: „To już, to już, wychodzi!”, po czym natychmiast ruszyli w drogę. W lesie na samochód spadło powalone drzewo, ale udało im się ujść cało dzięki położnej i zwariowanej osiemnastolatce o imieniu Ana. Dadzą nowo narodzonemu synowi imię chłopca, którego kochały zarówno Ana, jak i Ramona. Vidar. Koniec życia jest tak samo niemożliwy do powstrzymania jak jego początek, pierwszych ani ostatnich oddechów nie możemy zatrzymać, tak samo jak nie możemy zatrzymać wiatru.

Ramona nie przebiera się w koszulę nocną, zasypia w ubraniu, tak by nikt nie musiał wynosić jej z domu nieodzianej. W tym samym momencie, w którym w lesie rodzi się mały Vidar, ona umiera w Futrze. Nie ma w tym nic dziwnego, po prostu nadszedł jej czas.

Podczas ceremonii pogrzebowej na nagrobku spocznie tyle zielonych szalików, że zasłonią jej nazwisko. Nie ma to jednak znaczenia, wszyscy wiedzą, kim była. Wszystko, co trzyma nas razem w tym lesie, to nasze opowieści. A opowieści o niej nigdy się nie skończą.

Straty

Najtrudniejszy do zniesienia fakt związany ze śmiercią jest taki, że życie po prostu toczy się dalej. Czas się nie przejmuje. Rankiem po wichurze słońce, tak jakby z nas drwiło, wschodzi ponad przeczesanym lasem i zniszczonym miastem. A nawet dwoma. Ramona, gdyby jeszcze była wśród nas, pewnie zwróciłaby nam uwagę na to, że zawsze wszystkiego jest po dwa, „jeden, który wygrywa, i drugi, ten tam skurczybyk”. Dwa miasta, dwa kluby i zawsze dwóch zawodników: jeden, który zajmuje miejsce w drużynie, i drugi, trzymający miejsce w Futrze. „Wszędzie dwa, jeden, którego widzimy, i jeden niewidzialny dla naszych oczu, zewnętrzna i wewnętrzna strona”, mawiała Ramona, i tutaj trzeba dodać, że już wtedy wypijała całkiem obfite śniadania, co skutkowało puentami tak sprośnymi, że zawstydzają się nawet kundle. Ale gdy była skoncentrowana, mogła się pochylić nad barem i poklepać kogoś czule po policzku, mówiąc: „Wszystko i wszyscy są tu ze sobą połączeni, czy tego chcemy, czy nie”. Miała rację, niewidzialne nici i haki, to dlatego właśnie wszystko i wszyscy przystanęli w bezruchu, gdy umarła.

„Zdrowie wiernych kobiet i godnych zaufania facetów, gdziekolwiek by się znajdowali, bo wam wszystkim, pozostałym nieudacznikom, pora już do domu!”, pokrzykiwała, dzwoniąc na ostatnią kolejkę przed zamknięciem. Maleńka alkoholowa oaza między zmrokiem a świtem się kończyła, wskazówki zegara ponownie zaczynały tykać, z kieszeni niechętnie wyciągano telefony, by przeczytać ociekające wściekłością esemesy. Przez mrok do domu, ku rzeczywistości, toczyły się przeciwieństwa zewnętrznych stron i zwycięzców, utwierdzone w przekonaniu, że mogą tu jutro wrócić, ale któregoś ranka Ramony zabrakło, a słońce, o dziwo, wzeszło. Że też miało siłę. I odwagę.

—

Następnego dnia po burzy wszyscy dzwonią do wszystkich z wiadomością, co się stało, zarówno odbiorcy, jak i dzwoniący są w tak samo wielkim szoku. Ale chyba

najbardziej niespodziewaną rozmową jest ta pierwsza.

To Teemu znajduje Ramonę, bo to jemu pierwszemu jej brakuje. Powiemy, że było to wczesnym rankiem po wichurze, ale to nadal trwa. Gdy nadciągnęła niepogoda, Teemu był pół dnia drogi stąd, zajęty tym typem sprzedaży obwoźnej, którego Ramona zabraniała mu w Björnstad. Wiedziała, czym się zajmuje, nie pozwoliła mu tego robić w okolicy, ale całkiem nie zabroniła, dobrze wiedziała, że jak każdy dzieciak znalazłby sobie wtedy do roboty coś gorszego, do czego już by się nie przyznał. Teemu nigdy nie miał prawdziwego rodzica, i Ramona, do cholery, też nie zamierzała nim być, ale w takim zakresie, w jakim była w stanie okazać mu jakieś uczucia, a on je odwzajemnić, wyrażali je w ten sposób, że ona określiła kilka, naprawdę niewiele zasad, a on się ich trzymał.

Zadzwoił do niej natychmiast, gdy zobaczył prognozę pogody, nie odbierała, wiedział więc, że coś jest nie tak, Ramona nigdy by się do tego nie przyznała, ale gdy wyjeżdżał, zawsze trzymała telefon przy sobie. Zawrócił starego saaba i jechał całą noc po ledwie przejezdnych drogach, pod wiatr, na pełnym gazie. Wyważył drzwi do Futra. O świcie, gdy wichura w końcu zdjęła ciężką dłoń ze zdewastowanego miasta i zostawiła jedynie deszcz objijający się o szyby, siedział przy łóżku Ramony i płakał jak chłopiec i jak dorosły mężczyzna. W dzieciństwie pogrążamy się w żałobie po tych, którzy odeszli, w dorosłym życiu po sobie samych. Płakał nad jej samotnością, ale również nad swoją.

„Każdy porządny człowiek, jakiego znam, ma dwie rodziny, tę, którą dostał, i tę, którą wybrał. Na tę pierwszą nic nie poradzisz, ale za tą drugą bierzesz, do jasnej ciasnej, odpowiedzialność!”, wrzeszczała na niego Ramona za każdym razem, gdy ktoś z Grupy nabroił coś po meczu, podwędził skuter śnieżny z nie tej szopy albo walnął w gębę nie tego człowieka, a Teemu temu nie zapobiegł. Zawsze uważała, że osobiście odpowiada za każdego idiotę, który się z nim prowadził, a kiedy się o to złościł i dopytywał dlaczego, ryczała na niego:

„Bo mam o tobie wyższe mniemanie!”.

Nigdy nie pozwoliła mu być mniejszym, niż był do tego zdolny. Wszyscy widzieli w nim tylko agresywnego wariata, przestępcę i chuligana, ale ona dostrzegła w nim przywódcę. Teemu kocha chłopaków w Grupie, ale musi również nimi kierować. Kocha matkę, ale zawsze jest za nią odpowiedzialny. Matka lubi tabletki, które sprawiają, że nie musi nic czuć, tak więc to on musi czuć wszystko za nią. Gdy zmarł jego młodszy brat, Vidar, matka opowiedziała mu kiedyś, że

czasami zimą widywała szczęśliwe rodziny na jeziorze, mamę, tatę i dziecko jeżdżących na łyżwach, uśmiechniętych, taką normalną rodzinę, mieszkającą w domu, gdzie wszystko było w porządku. „Czasem udaję, że ten dzieciak to Vidar, że trafiła mu się taka rodzina”, szepnęła starszemu synowi w narkotykowej malignie. Życzyła tego Vidarowi, nigdy Teemu. Zbyt go potrzebowała, by kiedykolwiek przyszło jej do głowy fantazjowanie o innym życiu dla niego.

Ramona zdawała sobie z tego sprawę, rozumiała, że ciągła odpowiedzialność za innych czyni tego młodego mężczyznę coraz cięższym, nie było tego widać na zewnątrz, ale od środka z wolna wypełniał się ołowiem. Dla zbyt wielu osób był pierwszym, do którego dzwonili w środku nocy, gdy sprawy brały w łeb. Dopiero w Futrze, późnym wieczorem, zaraz przed zgaszeniem świateł i zamknięciem na klucz, jego ramiona opadały o kilka centymetrów. Zaciśnięte pięści się rozluźniały. To tam wypijał ostatnie piwo, a Ramona klepała go po policzku, dopytując, jak się czuje. Nikt inny nigdy tego nie robił.

Rankiem, gdy wichura w końcu przeszła, siedzi więc na skraju jej łóżka, żalując, że nigdy nie zdążył jej powiedzieć, że miała rację. Są dwie rodziny. Ona jest tą, którą wybrał.

Wyciąga papierosa z paczki leżącej na nocnym stoliku i ostatni raz pali razem z nią. Nagle wybucha śmiechem, bo Ramona wygląda na złą, nawet teraz, gdy już nie żyje. A jeśli jest w jakimś niebie, to zapewne z Vidarem, a to oznacza, że brat będzie miał cholernie przechlapane, że odważył się umrzeć przed nią. Zaraz potem ostrożnie zamyka jej oczy i delikatnie poklepuje ją po policzku.

– Pozdrów braciaka. I Holgera.

Potem siedzi tam jeszcze dobrą chwilę, nie wiedząc, co ma dalej począć z ciałem ani do kogo zadzwonić. Ramona była najbardziej normalnym człowiekiem w jego otoczeniu, więc za bardzo nie wie, co robią normalni ludzie, gdy tracą innych normalnych ludzi. W końcu dzwoni do Petera Anderssona.

Wydaje się to tak samo nieprawdopodobne co oczywiste. Latami się nienawidzili. Peter był dyrektorem sportowym Björnstad Hockey i symbolizował wszystko to, czego Grupa nienawidziła: uprzywilejowaną niewielką elitarną grupę bogatych mężczyzn kierujących klubem, tak jakby do nich należał. Doszło nawet do tego, że Grupa zamówiła w lokalnej gazecie nekrolog Petera, a do jego żony wydzwaniała firma przeprowadzkowa, która dostała zlecenie opróżnienia ich domu.

To przy barze w Futrze, pod czujnym okiem Ramony, w końcu przestali być wrogami, po tym, jak Peter zwolnił się z pracy jako dyrektor sportowy, przyjaciółmi nie zostali jednak nigdy. Mimo to Teemu nie ma teraz nikogo innego. Jest prawie pewien, że Peter rzuci słuchawką, ten jednak odpowiada łagodnie:

– Czekaaj, czekaaj, co ty mówisz?

Wszystkie słowa wypadają z Teemu naraz.

– Nie żyje, kurwa, nie żyje – szłocha.

– Nie żyje? – powtarza za nim szeptem Peter.

– Mhm – przytakuje Teemu, tak jakby spółgłoski były jedynymi dźwiękami, które mu pozostały.

– Boże. Boże, Teemu. Wszystko w porządku? – pyta Peter.

Teemu nie wie, co odpowiedzieć, ponieważ nigdy wcześniej żaden dorosły mężczyzna nie zadał mu takiego pytania.

– Mhm.

– Gdzie jesteś? – pyta Peter, tak jakby starał się nie przestraszyć sarny spacerującej po ogrodzie.

– W samochodzie razem z nią – łka prawie niesłyszalnie Teemu.

– Z... kim? – pyta Peter.

– Z Ramoną!

Peter oddycha tylko w słuchawkę w nadziei, że usłyszy, że to żart. A jednak nie.

– MASZ JĄ W SAMOCHODZIE?

– Nie wiedziałem, co mam zrobić, więc właśnie do ciebie jadę, ale nie mogłem jej przecież zostawić samej! – syczy zasmarkany Teemu prosto w słuchawkę.

Peter wzdycha bardzo, bardzo, bardzo ciężko na drugim końcu linii. Następnie prosi Teemu, by ten zatrzymał się na poboczu. Nie jest na sto procent pewien, pod jaki paragraf podpada przewożenie martwego ciała w starym saabie, ale jest całkowicie pewien, że jakiś paragraf na to na pewno by się znalazł.

– Po prostu się tam zatrzymaj, przyjadę po ciebie.

Teemu wykonuje polecenie, co samo w sobie wydaje się dziwne, nie tylko dlatego, że obok niego siedzi martwa Ramona, ale również dlatego, że jeszcze nigdy nikt w życiu po niego nie przyjeżdżał.

—

Wszyscy dzwonią do wszystkich, najpierw sąsiad do sąsiada, potem do jeszcze jednego i jeszcze jednego, aż w końcu wiadomość dochodzi do Adri Ovich w hodowli pod lasem. Teraz to ona musi zadzwonić aż na sam koniec świata, by powiadomić o śmierci Ramony.

– Benji – szepcze, opowiadając wszystko tak ostrożnie, jak to tylko możliwe. Słyszysz, jak brat rozpada się na kawałki.

Benji podnosi się, pakuje i jedzie, bez zastanowienia, teraz śpi na ławce na lotnisku na drugim końcu świata. Jedno oko jest wielką czerwonięcą zapuchniętą bulwą, a dziurki w nosie są zapchane brudem i zaschniętą krwią. Ma dwadzieścia lat, ostatnie dwa spędził pijany i wolny w sposób, w jaki potrafią to osiągnąć jedynie leżący się samodzielnie kłamcy. Jest młody i nieśmiertelny. Za oknem w tej części świata właśnie wschodzi słońce, w kolejny tak ciepły dzień, że można chodzić bez koszulki po niekończących się plażach, Benji jednak zmierza właśnie na północ, w kierunku minusowej temperatury i hokejowych miast.

Dowodem na to, że wehikuły czasu nigdy nie powstaną, jest to, że jeśli kiedykolwiek w przyszłości jednak by powstały, to ktoś, kto kochał Benjiego, natychmiast by go użył, by cofnąć się w czasie dokładnie do tego miejsca i go powstrzymać. Ktoś stanąłby tuż przy nim, złapał go za ramię i z szerokim uśmiechem powiedział: „Jebać ten lot! Chodź! Idziemy na plażę, napijemy się piwka i kupimy jakąś łódź!”. Bo wtedy wszystko, co się wydarzy, nigdy by się nie wydarzyło. Jeśli tylko ktoś by się tu pojawił i powstrzymał go przed powrotem do domu. Stąd właśnie wiemy, że wehikuły czasu nie istnieją. Bo Benjiego kocha o wiele więcej osób, niż jemu samemu się wydaje.

—

Leo Andersson nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł taką czystą i nieskomplikowaną radość jak wtedy, gdy rankiem po wichurze w ich domu w samym sercu Björnstad przywrócono prąd i ponownie mógł włączyć komputer. Do ojca właśnie ktoś zadzwonił, Leo wprawdzie nie interesuje, o czym rozmawiają, ale słyszy, że Peter natychmiast odkłada słuchawkę i dzwoni do mamy z informacją, że ktoś zmarł. Kto, tego Leo już nie słyszy. Mama natychmiast

wyrusza z biura w Hed, gdzie spędziła całą noc, gdy tylko przekracza próg domu, ojciec wychodzi. Rzucają sobie przelotne spojrzenie, tak jakby miłość mogła zaczekać, podczas gdy oni są zajęci, tak jakby wyobrażali sobie, że czas, którego potrzebują, żeby powiedzieć to, o czym marzą, żeby to z siebie wyrzucić, po prostu któregoś pięknego dnia magicznie się pojawi. Leo nikomu nie opowiedział o tym, jak często rozmyśla, w jaki sposób rozwiąże wszystkie praktyczne sprawy, gdy się rozwiódą, jak będą mieszkać i jak będzie tam i z powrotem targał ze sobą komputer. Na razie tylko odlicza czas.

Drzwi zamykają się za tatą, a mama idzie do kuchni i odbywa jeszcze wiele rozmów telefonicznych. Leo zamyka się w pokoju i wraca do gry, wypuszcza głośno powietrze, wolny od myśli, tak jakby właśnie zaczęły działać leki przeciwbólowe. Wibracje na ekranie, strzały w słuchawkach dla kogoś innego byłyby niewyobrażalnym hałasem, ale dla niego są niczym medytacja. Na chwilę tylko odrywa wzrok od monitora i patrzy na esemesa, który właśnie do niego przyszedł. To od siostry. Zaczyna się od „Przyjeżdżam do domu”. Leo się uśmiecha.

W innej części Björnstad, w o wiele mniejszym domu, przed komputerem siedzi Matteo. Chłopcy mają tyle samo lat, grają w tę samą grę, siostra Matteo również jest w drodze do domu. Ale Matteo się nie uśmiecha.

—

„Przyjeżdżam do domu” – tak zaczyna się esemes od Mai. Mama właśnie do niej zadzwoniła i wszystko jej opowiedziała, przekonując, że wcale nie musi przyjeżdżać i że wszystko jest w porządku. Tak więc Maya się pakuje i pisze do brata: „Nie mów nic mamie ani tacie, bo wtedy będą chcieli mnie powstrzymać. Jadę pociągiem. Bądź miły dla taty, bo jemu z powodu Ramony jest smutniej, niż to pokazuje. Kocham cię!!”. Leo odpowiada tylko „OK”, ale się uśmiecha. Brakuje mu siostry. Po jej wyjeździe przejął jej pokój i urządził go całkowicie pod komputer: ergonomiczny fotel, który zażyczył sobie na Gwiazdkę, nowe słuchawki, nowy monitor. Wie, jak wykorzystać to, że nawet jeśli rodzice nie pochwalają przemocy w świecie gier, mimo wszystko wolą to, niż gdyby miał się włóczyć całymi nocami w prawdziwym świecie.

Matteo siedzi na podłodze w niewielkim pokoju na drugim końcu miasta, podłączył się do wi-fi sąsiadów, a jego komputer to składak z części uratowanych z przeznaczonych do utylizacji sprzętów, gdy biuro fabryki, w której pracują jego rodzice, wyrzuciło je do kontenera. Rodzice oczywiście nic o tym nie wiedzą, nigdy by się na to nie zgodzili. W jego rodzinie nie gra się w gry, nie ogląda się nawet telewizji, Matteo nie wie wprawdzie, co Bóg miałby przeciwko temu, po prostu nigdy nie kwestionował tej zasady. Jego rodzina żyje w ciszy i strachu. Nie żeby Matteo bał się własnych rodziców, nigdy w życiu go nie uderzyli, ale ich kontrola nad własnymi dziećmi zawsze była szczególnie. Wstyd, wina i zawód, najefektywniejsze narzędzia diabła.

Po drugiej stronie miasta Leo na kilka sekund odrywa wzrok od ekranu, by przeczytać esemesa od siostry. Uśmiech znika mu z twarzy, gdy wraca do gry i zauważa, że ktoś strzelił mu w głowę.

Matteo zaciska pięść przed monitorem, gdy broń wypala. Chodzą z Leo do tej samej szkoły, ale jest prawie pewien, że Leo nie ma o nim bladego pojęcia, mają tyle samo lat, ale żyją w innych światach. Pierwszy dostaje kanapki do szkoły, nawet o nie nie prosząc, drugi siedzi głodny w pustym domu. Rodzice pierwszego praktycznie nie są religijni, a mimo to dostał w prezencie gwiazdkowym drogi ergonomiczny fotel, rodzice drugiego nie robią nic innego, tylko mówią o Bogu i Jezusie, ale nawet nie świętują Bożego Narodzenia. Leo ma wszystko, czego nie ma Matteo, w każdym zakresie, tak więc gra komputerowa zapewnia mu sprawiedliwość, której nigdy nie dozna w rzeczywistym świecie. To tam właśnie siedzący na podłodze chłopiec z używanym komputerem może wyszukać drugiego, otoczonego najnowszym i najdroższym sprzętem, wyczekać, aż tamten się zdekonzentruje, i strzelić mu prosto w głowę.

Przez sekundę Matteo zaciska pięść i czuje się zwycięzcą. Potem znów wysiada prąd.

—

Peter przyczłapał poboczem, rozczochrany, w zniszczonych džinsach i brudnej zielonej bluzie z niedźwiedziem na plecach. Zawstydzony Teemu opuszcza szybę w saabie, tak jakby właśnie zatrzymano go do kontroli drogowej.

– Zawsze na pierwszym miejscu stawiałeś bezpieczeństwo – mówi Peter nieco ironicznie, wskazując głową na przypiętą pasami Ramonę.

Teemu nie jest pewien, jak ma to sobie tłumaczyć, mamrocze więc coś tylko w odpowiedzi:

– Nie wiedziałem, co mam robić. Nie mogłem jej przecież wsadzić do bagażnika.

Ramona siedzi w fotelu pasażera i wygląda, jakby zaraz miała się obudzić i nawrzucać Teemu, że jeździ jak baba. Peter szybko zamyka oczy, otwiera je po chwili powoli, przez moment rozważa, czy nie położyć dłoni na policzku Ramony i jej nie pogłaskać, ale odpuszcza.

– W porządku, Teemu. Zajmiemy się tym – szepcze zamiast tego.

Teemu przez całe dzieciństwo, dokładnie tak jak Peter, doskonalił umiejętność powstrzymywania płaczu przy innych, dziś w końcu mają możliwość pokazać, jak dobrze im to idzie. Peter przeprowadza wszystkie rozmowy telefoniczne, które zwykle w takiej sytuacji odbywają normalni ludzie, ostrożnie układają Ramonę na tylnym siedzeniu i wolno ruszają w stronę centrum. Dom pogrzebowy nie ma stałych godzin otwarcia, jedynie szyld z numerem telefonu na drzwiach, w tych okolicach praca ze śmiercią to praca w razie potrzeby. Kilka godzin czekają więc na przyjazd grabarza, przejechanie drogami zawałonymi drzewami po wicherze jest prawie niemożliwe.

Przez cały czas oczekiwania Peter słyszy brzęczenie, początkowo gdzieś w oddali, niczym bzyczenie irytującego owada w kloszu lampy, ale wkrótce dźwięk przybiera na sile i zamienia się w szum. Peter pociera palcami uszy, tak jakby mu się wydawało. Dopiero gdy słyszy wołanie i widzi spadające niedaleko samochodu drzewo, dociera do niego, co to jest: piły elektryczne. Mrucząca symfonia opadająca i wznosząca się wszędzie dookoła nich. Ledwie zrobiło się widno i ustąpiła wichura, a las już jest pełen ludzi usuwających powalone drzewa i inne graty. Wielu z nich to strażacy, ale nikogo też nie trzeba było wzywać, by przyszedł i pomagał. Ich drużyny nigdy nie mają równych szans, wichury przeciwko ludziom, ludzka wytrzymałość wygrywa jednak na dłuższą metę.

– Nie wiedziałem, że Ramona była chora, żałuję, że mnie przy niej nie było – mówi nagle nieśmiało Teemu.

Peter kiwa krótko głową, żałując, że nie wie, co ma mu odpowiedzieć na pocieszenie.

– Miała swoje lata, Teemu. To nie jest niczyja wina. Ramona cię kochała. – To najlepsze, co przychodzi mu do głowy.

Skrzydełka nosa Teemu poruszają się prawie niezauważalnie.

– Ciebie też.

– Nie tak jak ciebie i Vidara. Byliście dla niej jak synowie.

Teemu unosi brew.

– Jaja sobie robisz? Wiesz, ile ta baba się ciebie nachwaliła? Kurwa, jak ja tego nienawidziłem. Uważałem, że jesteś zadufanym w sobie chujkiem, który myśli, że jest lepszy od nas wszystkich, tylko dlatego, że nie pije i takie tam. Ale ona... no wiesz... opowiedziała nam w końcu o twoim ojcu. Wtedy zrozumiałem. Miałeś przerwane dzieciństwo, a mimo to wyszedłeś na ludzi. Dlatego tak cię chwaliła.

– To było dawno temu, teraz jest inaczej, ojcowie byli wtedy... inni – mówi Peter cicho, dobrze wiedząc, że to nieprawda.

Teemu jest od niego o połowę młodszy, a jego ojciec był taki sam.

– To w porządku mówić, że własny ojciec był kutasem – stwierdza Teemu, bez zaskoczenia, po prostu jak chłopiec, który sam jako dziecko nigdy nie spotkał dorosłego mężczyzny, który nie byłby agresywny.

Peter patrzy na niego zdziwiony, jak zwykle zresztą, gdy widzi, jaki Teemu jest chudy. To prawdopodobnie najbardziej przerażający człowiek w całym lesie, ale z daleka można by go pomylić z rozpuszczonym dzieciakiem ze szkoły z internatem. Zaczesane włosy, rozluźniony, jego oczy to nie labirynty ciemności. Przeciwnie, często wygląda wręcz zaczepnie, niczym rozbawiony małolat. To dziwne, że właśnie w taki sposób działa siła przemocy, to nie to, co się dostrzega u kogoś, tylko to, co się czuje w jego obecności.

Starsze pokolenie kibiców w Björnstad lubi opowiadać o zawodnikach, którzy mają w sobie „psa”. Peter wie o tym doskonale, bo w młodości opisywano go właśnie na podstawie braku tejże cechy: „Peter Andersson? A tak, ten to ma talent do kija, taaak, ale psa w sobie? Za grosz”. Peter odmawiał bicia się, nawet jeśli został zaatakowany na lodzie, co sprawiało, że część mężczyzn mu nie ufała, a pozostali próbowali go w jakiś sposób wyzwać. Szybko nauczył się zauważać różnicę. Wielu gada o tym, że będzie się bić, ale jak przychodzi co do czego, to

wszyscy muszą przekroczyć jakąś granicę, od pokojowych stworzeń, którymi nauczyliśmy się być, do tych, w których się zamieniamy, by pobić człowieka. Ta granica ma u każdego różną długość, ci z najkrótszą zachowywali się jak ojciec Petera, ale Teemu? Peter nigdy nie siedział koło kogoś takiego jak on. Teemu nie ma granicy, jego bieguny są od siebie oddalone jedynie o krok. Z zewnątrz nie odróżniłbyś go od setki innych mężczyzn, ale w środku jest psem, w stu procentach.

Tak więc Peter drapie się tylko niezręcznie po brodzie i odpowiada wymijająco:

– Ech, bywali gorsi ojcowie. Teraz, gdy mam własne dzieci, wcale nie wydaje mi się, żeby mi szło jakoś dużo lepiej...

Teemu odwraca wzrok w stronę okna. Może powinien był powiedzieć to, co myśli: że widział już niejednego beznadziejnego ojca i Peter do nich nie należy. Może Peter też powinien był mu coś odpowiedzieć, zapytać, jak się ma. Ale żadnemu z nich nie przychodzi do głowy, jak miałyby to zrobić, w końcu więc zamiast tego zaczynają rozmawiać o hokeju. To właśnie w sporcie jest najlepsze: w tym temacie rozmowy nigdy się nie kończą.

– Co myślisz o drużynie w tym roku? – pyta Peter nieco z grzeczności, ale również z ciekawości, jeszcze nie tak dawno temu wszyscy chcieli się z nim dzielić opinią i teraz nieco mu tego brakuje.

– To chyba ciebie powinienem o to spytać? – prychnął początkowo Teemu, do którego dopiero po chwili dociera, że teraz prawdopodobnie Peter wie o zespole mniej niż on sam. Prawie ma ochotę go za to przeprosić.

Peter powoli kręci głową.

– Wiesz, jak to ludzie w mieście zawsze gadają, i gdy tylko ktoś zadaje im pytanie: „A skąd to niby wiesz?”, odpowiadają standardowo: „No wiesz, ludzie gadają”. No więc teraz nikt już mi tego nie mówi. Ze mną nikt nigdy nie rozmawiał. Wszyscy rozmawiali z dyrektorem sportowym.

Teemu kiwa głową, nieco współczująco. Dwa lata po rezygnacji Petera klub nie przekazał jeszcze nikomu innemu jego stanowiska, zamiast tego utworzono „komitet decyzyjny”, składający się z trenera i garstki członków zarządu, co w normalnym przypadku byłoby totalną katastrofą, złożyło się jednak w czasie z najlepszym sezonem drużyny od lat. W tej sytuacji Peterowi trudno nie myśleć

o tym, że problemem był on sam. Teemu doskonale to rozumie, wie bowiem, jak to jest kochać klub, który nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– Czy mogę zapytać... co robisz... to znaczy, co robisz całymi dniami? Bez hokeja? – pyta Teemu.

– Piekę chleb – odpowiada Peter.

– Chle...b?

Peter kiwa głową. Spogląda na zegarek i opustoszałą drogę.

– A jeśli mam być szczerzy, nie jestem nawet jakimś szczególnym fanem pieczywa. Jeśli więc mamy o czymś teraz rozmawiać, to równie dobrze możesz opowiedzieć, co myślisz o drużynie, bo poza Ramoną nie mam już kogo zapytać.

Teemu wygląda, jakby podejrzewał, że to wszystko to tylko pułapka.

– Okej... w takim razie myślę, że drużyna potrzebuje dwóch rzeczy. Po pierwsze, żeby Amat wrócił do gry, ale nikt nawet, kurwa, nie wie, co się z nim dzieje. A drugie to... ech, kurwa... no wiesz, w zeszłym sezonie prawie wygraliśmy całą serię, ale jak przyszło co do czego, to się ugięliśmy. Potrzebujemy kogoś, kto się nie cofnie. Kogoś... Kogoś z...

Szuka odpowiedniego słowa, niczym rodzic próbujący uniknąć kary za przeklinanie.

– Kogoś, kto ma w sobie psa – dopowiada Peter.

Teemu wybucha śmiechem.

– Brzmisz jak Ramona.

Peter kręci głową.

– Nie, po prostu brzmię staro.

Teemu uśmiecha się szeroko.

– Ale masz rację. To jego nam brakuje. Numeru szesnaście.

Nie musi wymieniać nazwiska, Peter wie. Całe miasto to wie.

Siostry

BENJAMIN OVICH – woła zmęczony głos w skrzypiącym głośniku na lotnisku. BENJAMIN OVICH GO TO GATE 74. Benji budzi się na ławce, trochę z powodu nawoływań, a trochę przez piekącą od łez ranę na twarzy. Nie wie, która jest godzina w Björnstad, nie pamięta, czy różnica czasu wynosi sześć czy osiem godzin, zakłada jednak, że przepijanie całych nocy i przesypianie dni przez ostatnie miesiące powinno uczynić go odpornym na zmianę strefy czasowej. Siada i z bólu wydaje z siebie jęk.

Ramona powiedziała mu kiedyś, że jego największym problemem jest to, że ma całkowicie nieużywany mózg, doszczętnie zużyte serce, a jego stopy idą, do cholery, tylko w jednym kierunku. Oczywiście się nie myliła, ludzie wokół omijają go teraz z daleka, jego nos i usta są bardziej zakrwawione niż jego pięści. W drodze na lotnisko wpłatał się w sytuację, w której powinien był ustąpić, i tak to się właśnie kończy, gdy się człowiek nie uczy na własnych błędach.

Tablica z godzinami odlotów miga, Benji podnosi się więc i z trudem człapie w kierunku odprawy. Przez lata ludzie myśleli o nim wiele rzeczy, które okazały się nieprawdą, ale gdyby Ramona jeszcze żyła, powiedziałyby, że największym kłamstwem było jednak przekonanie, że ten chłopak ma w sobie psa. Jeśli nawet jakiś kiedykolwiek w nim drzemał, to przepędzono go już dawno temu. Benjamin Ovich nosi w sobie tylko demony.

—

Następnego dnia po wicherze Ana dzwoni do swojej najlepszej przyjaciółki w porze lanczu. Maya nie odpowiada, tak więc Ana robi to, co wydaje jej się najrozsądniejsze: dzwoni raz za razem. W końcu Maya odbiera telefon, już poirytowana. Jest w pociągu, co oczywiście samo w sobie nie stanowiłoby problemu, gdyby akurat nie była w toalecie, co oczywiście również nie byłoby problemem, gdyby nie to, że Ana zawsze upiera się na wideorozmowę.

– Nie jarzysz, jak cię zrzucam? – fuka Maya, próbując utrzymać telefon na umywalce.

– Robisz kupę? – pyta Ana niewzruszenie z ustami pełnymi chipsów.

– Nawet jeśli, a ty w tym samym czasie jesz chipsy, to i tak tylko JA uznałabym to za obleśne.

– Dlaczego niby miałabym to uznać za obleśne? – pyta Ana. – Przecież nawet nie widzę tej kupy! – tłumaczy, sięgając po więcej chipsów.

– Z tobą coś jest nie tak.

– Ze mną? To ty mówisz o kupie. A czy coś jest nie tak z twoją kupą? Jesteś chora?

– Przestań!

– Lepka? Nie powinna być lepka.

– Czego CHCESZ, Ana?

– Nie no, przepraszam, że żyję. Chciałam tylko zapytać, czy mam cię zgarnąć z dworca.

– Przecież nie masz prawa jazdy.

– No i?

– Nie mam siły na kolejną dyskusję w tym temacie. Spoko, pojedę autobusem.

– Dlaczego po prostu nie zadzwonisz po rodziców?

– Bo wtedy to oni będą chcieli mnie zgarnąć.

– No i?

– No i właśnie.

– A nie o to chodzi?

– Chodzi o to, że nie chcę im przeszkadzać. Mają już wystarczająco na głó... Co ty wyprawiasz? Wszystko w porządku?

– Zakrztusiłam się tylko chipsami. Ech, i teraz mam ślinę na ekranie. Czekaj, muszę ją zetrzeć.

– Uroczo, serio.

– Czy ja dobrze widzę gitarę koło ciebie? Bierzesz ze sobą gitarę, gdy idziesz robić kupę?

– Jestem w pociągu, oszołomie, nie chcę, żeby mi ją ktoś ukradł!

– Nikt by nawet nie chciał tej dziadowskiej gitary, fujaro!

– Naprawdę się cieszę na powrót do domu, serio.

– Hm, nie gadaj, strasznie się za tobą stęskniłam.

Maya się uśmiecha.

– Brakuje mi najlepszej kumpelki.

Ana mięknie i szepcze do ekranu:

– Też mi ciebie brakuje.

Na co Maya oczywiście nie może sobie odpuścić i wali prosto z mostu:

– Naprawdę powinnaś poznać moją najlepszą kumpelkę, jest o wiele zabawniejsza od ciebie!

Na szczęście dla niej to tylko wideorozmowa i Ana boksuje w ekran, mimo to Maya aż się wzdryga. Podczas ostatniego pobytu w domu Ana niechcący uderzyła ją naprawdę i później Maya nie mogła spać na tym ramieniu przez tydzień.

– Zagraj coś dla mnie – mruczy Ana, wskazując głową na futerał instrumentu.

– Gram tylko dla swojej najlepszej kumpelki. – Maya uśmiecha się szeroko.

– Wiesz co?! Strasznie bym się tym przejęła, gdybym tylko miała serce – słyszy w odpowiedzi i teraz już obie zaśmiewają się do łez.

A potem Maya otwiera futerał, wyciąga gitarę i gra dla swojego najlepszego człowieka, siedząc w ciasnej toalecie toczącego się pociągu. Ana ją za to uwielbia. Piosenka jest nowa, słowa jednak stare:

Ty i ja, ty i ja

Niech cały świat przybywa

Nigdy blisko mnie nie byli

Nigdy tego nie przeżyli

Oni to symbol statusu i pusta ambicja

Ty odważne oko i w lufie amunicja

Niech gadają, nie mają nic do ofiarowania

Niech nienawidzą, bo my to dwuosobowa armia

Niech krzyczą, niech biją

Niech zostawią i pójdą.

*Żaden nie znał mnie aż tak na całego
Nigdy nie potrzebowałam nikogo innego
Niech spadnie to, co spada
Przeciwko wszystkim ty i ja
Gdy jest lekko, gdy jest ciężko
Zawsze, bez względu na wszystko
Ty i ja, ty i ja
Niech ten cały cholerny świat już przybywa*

Ostatnie tony gitary pulsują pomiędzy ekranami, aż kosmos pochłania całe ich echo. Po stronie Mai stukocze pociąg, po Any suszarka do prania, wyprała właśnie pościel ojca, Maya nie musi pytać, by wiedzieć, że wrócił do nałogu. Ana zawsze dzwoni, gdy pierze, bo nie ma siły być wtedy sama. Siedzą bezgłośnie dobre dziesięć minut, zanim Ana w końcu mówi:

– Piękna piosenka. Twojej nowej najlepszej kumpelce na pewno się spodoba.

Maya wybucha śmiechem, tak że aż gitara odbija jej się od brzucha.

– Ale z ciebie fujara.

– Hm. I mówi to dziewczyna, która chodzi do szkoły muzycznej. Gdyby organizowano mistrzostwa świata w byciu fujarą, to nawet nie wolno byłoby ci wziąć w nich udziału, bo jesteś przefujarzona. Jury stwierdziłoby tylko: „O nie, nie, wszyscy pozostali długo walczyli, żeby zostać fujarami, a ty przecież jako dziecko wpadłaś do wiadra pełnego DZEMU FUJAROWEGO, więc to nie byłoby względem nich sprawiedliwe!”.

Maya rechocze tak głośno, że jest prawie pewna, że słyszy ją cały pociąg. Ma to gdzieś. Przez wiele miesięcy z rzędu oddziela ją od Any połowa kraju, ale wystarczy jedna rozmowa telefoniczna i znów jest tak, jakby nigdy się nie rozstawały. Jakby nigdy nie wydarzyło się nic strasznego.

– Przepraszam, że nie zajarzyłam, że w domu szaleje wichura, powinnam była...

– zaczyna Maya, ale Ana jej przerywa:

– A zamknij się. Skąd mogłaś wiedzieć?

– Strasznie mi ciebie brakuje – szepcze Maya.

– Zadzwoń do mnie natychmiast, jak dojedziesz do domu – mówi cichym głosem Ana.

Maya obiecuje. Nie mieści jej się w głowie, że ludzie, którzy nie mają w swoim życiu takich ludzi jak Ana, w ogóle mają siłę być ludźmi.

Kończą rozmowę i Maya wypycha futerał z gitarą z toalety pociągu. Ten sam, który miała, gdy wyjeżdżała z Björnstad, wtedy jako szesnastolatka, teraz już osiemnastolatka. Wyjechała zaraz po pogrzebie Vidara, a dziś wraca na pogrzeb Ramony. Nie jest pewna, czy jest smutna, bo pogrążyła się w żałobie, czy też czuje jedynie nostalgię. W sumie prawie nie znała Ramony, ale gdy umierają niektórzy ludzie, to tak, jakby urwała się wstążka od balonika. Nie brakuje nam tego, kim byli, tylko tego, co tracimy, gdy ich nie ma.

Maya zastanawia się, kto przyjdzie na pogrzeb. A najbardziej, czy pojawi się Benji. Na samym dniu w wewnętrznej kieszeni futerału nadal chowa ostatnią piosenkę, którą napisała, zanim oboje wyjechali z Björnstad.

Miłości, która nigdy się nie podda

I będzie jak wielka przygoda

Mam nadzieję, że się odnajdziesz

I w końcu swe szczęście znajdziesz

Tak wiele o nim rozmyślała. Najdzikszym i najsamotniejszym człowieku, jakiego zna.

–

Benji robił wszystko, co w jego mocy, żeby o niczym nie myśleć, ale tarcza z alkoholu i marihuany kruszeje, gdy serce uderza o bilet lotniczy w kieszeni koszuli. W rękę trzyma widokówkę, ostatnią, którą zamierzał wysłać Ramonie, zawsze było na nich więcej wolnego miejsca niż słów, ale myślał, że mimo wszystko cieszyła się, zawieszając je na ścianie w barze. Już dawno temu stracił nadzieję, że ktokolwiek będzie z niego dumny, lecz ciągle jeszcze wierzył, że Ramona nie pomyśli chociaż, że tylko przynosił wstyd.

W drodze na lotnisko znajduje bar przypominający Futro. Chcesz wiedzieć, jak niewiele zmienił się przez ten czas? Wystarczyły cztery drinki, by wdać się w bójkę z dwoma facetami, którym nie spodobały się jego długie włosy i tatuaże. Chcesz

wiedzieć, jak bardzo się zmienił przez ten czas? Wystarczy, że już wiesz, że tę bójkę przegrał. Nie jest już tak silny jak dawniej, nie taki szybki, a może nawet nie taki dziki.

Ma podbite oko i krew w dziurkach w nosie, ale ból mu nie przeszkadza. Przynajmniej go czuje, minęło wiele czasu, odkąd w ogóle coś czuł.

Zastanawia się, kim będzie dla nich po powrocie do rodzinnego miasta. Przed wyjazdem był hokeistą i pedałem, nie ma pewności, czy teraz zaakceptują, że jest tym drugim, skoro nie jest już tym pierwszym. Wcześniej się nauczył, że wygrana gwarantuje w Björnstad uwielbienie, prawie wszystko uchodzi na sucho, gdy zapewniasz im wygraną. Ale teraz? Nie ma dla nikogo żadnej wartości.

Podróżował tak długo i daleko w nadziei, że uzyska wszystkie odpowiedzi, ale przecież to niemożliwe. Znalazł tylko więcej ciał, parkietów do tańczenia, poranków na takim kacu, że samo mruganie powiekami sprawia ból. Nie ma nowego życia, jedynie wersje tego starego. Mówi się, że człowiek „wychodzi z szafy”, tak jakby musiał to zrobić tylko jeden jedyny raz, ale przecież ludzie nigdy się nie kończą, a on tylko wciąż wychodzi z tej szafy na nowo, aż wreszcie ma tego dość. Każdej nocy śni o tym, że tamtego wieczoru został z Kevinem na imprezie. Minęło już prawie dwa i pół roku, a on nadal nie może przestać o tym myśleć, zawsze gdy zamyka oczy.

W dzieciństwie wszystko robili razem, Benji nigdy nie zostawiał Kevina samego. Gdy część chłopców spotyka swojego pierwszego najlepszego przyjaciela, to jakby właśnie po raz pierwszy się zakochali, tyle tylko, że wtedy nie wiedzą jeszcze, co to znaczy, ale w ten właśnie sposób uczą się, czym jest miłość: to takie uczucie, jak gdy wspinasz się na drzewa, skaczesz w kałużach, masz taką jedyną osobę w swoim życiu, z którą nawet nie chcesz się bawić w chowanego, bo wiesz, że nie wytrzymasz, nie widząc jej dłużej niż minutę. U większości chłopców z czasem zakochanie oczywiście przemija, ale u niektórych nie. Benji przemierzył cały świat, ale nigdzie nie znalazł miejsca, w którym już nie nienawidziłby samego siebie za to, że nadal kocha Kevina.

W dzieciństwie nocowali u siebie nawzajem, czytali komiksy o superbohaterach i opowiadali sobie o koszmarach sennych, o których nie wspomnieliby nikomu innemu. Czasami Benji budził się z jakiegoś okropnego snu, wymachując rękami tak mocno, że Kevin aż musiał się kulić, żeby nie dostać w nos. Na wyjazdowych turniejach, gdy spali w jednej sali z innymi chłopakami, Kevin zakradał się w nocy

do Benjiego i zasuwał mu suwak śpiwora aż pod samą brodę, na wypadek gdyby w nocy ktoś niechcący go obudził, a Benji wyskoczył do niego z pięściami, zanim Kevin zdążyłby zareagować. Latem włóczyli się samotnie po lesie, kąpali się nago w jeziorach i tygodniami spali na wyspie, o której istnieniu wiedzieli tylko oni. Każdej zimy Kevin był największym bohaterem w mieście, a Benji tym, którego trybuny nazywały „zakładem ubezpieczeniowym”, bo jeśli obrałeś sobie za cel Kevina, to natychmiast pojawiał się Benji i przeganiał cię na koniec świata. Benji był najlepszym przyjacielem Kevina, a Kevin był miłością jego życia.

Tak więc to wina Benjiego, jest tego świadomy. Jego zadaniem było chronić Kevina przed wszystkimi i wszystkich przed Kevinem. Gdyby tylko Benji został wtedy na imprezie, to Kevin nie zgwałciłby Mai i wszystko toczyłoby się jak dawniej. Gdyby tylko Benji nie poczuł się zazdrosny, kiedy zobaczył wzrok Kevina, gdy Maya pojawiła się na imprezie, gdyby tylko został, tak jak prosił go o to Kevin, to życie Mai nigdy nie ległoby w gruzach. Byłaby szczęśliwa. Kevin z pewnością grałby teraz w NHL. Nikt też nie musiałby się dowiedzieć prawdy o Benjim, ale tym by się akurat nie przejmował, chętnie wymieniłby możliwość bycia sobą za powrót do starych czasów. Może nawet nadal grałby w hokeja. Wszystko byłoby tego warte. Brakuje mu tego, jakie wszystko było kiedyś łatwe: po prostu wygraj. Wtedy będziemy cię kochać. Brakuje mu bijatyk w czyimś imieniu, poczucia, że coś znaczy w grupie, bycia tym, który ku trwodze przeciwników przeskakuje przez bandę, jak tylko ktoś tknie jego kolegów z drużyny. Brakuje mu szatni i pianki do golenia w butach, siedzenia na tyłach autobusu i rzucania orzeszków w Bobo i pozostałych idiotów. Brakuje mu dłoni trenera poklepującej miarowo kask, niczym właściciel psa po głowie, bo wtedy Benji wiedział, że zrobił coś dobrze. Brakuje mu przynależności do czegoś, nawet jeśli to było kłamstwo, lepsze to niż zagubienie w prawdzie.

Wszyscy ludzie tworzą setki fałszywych osobowości, w zależności od tego, z kim przebywają. Udajemy i fejkujemy, przyduszając samych siebie, tylko po to, żeby gdzieś pasować. Ostatnie słowa Benjiego do Kevina brzmiały: „Mam nadzieję, że go znajdziesz. Kevina, którego szukasz”. Nie ma pojęcia, czy Kevinowi się to udało. Benji szukał takiego Benjiego, z którym byłby w stanie wytrzymać, ale jeszcze go nie znalazł.

Gdy w końcu wchodzi na pokład samolotu, zapina pasy tak mocno, jak się tylko da, a później wciska pod nie dłonie, tak by nikogo nie uderzyć, jeśli ktoś go obudzi.

Potem zasypia i śni o wehikułach czasu. To jego najgorsze koszmary.

—

Gdy prąd znowu znika, Leo wychodzi do kuchni i siada z mamą przy stole. Na krześle obok, nie naprzeciwko. Jedzą kanapki i piją kakao, i nawet czternastolatek nie może się obronić przed myślą o tym, jak dobrze się czuje i jakie to łatwe – uczynić kogoś takim szczęśliwym jak mamę w tym momencie.

Matteo prześlizguje się przez niewielkie okienko do piwnicy sąsiadów i leżąc w ciemności na podłodze, przysłuchuje się ich głosom. Ponownie próbuje otworzyć szafę z bronią, ale i tym razem bezskutecznie.

Leo nie wspomina mamie, że siostra jedzie do domu. To będzie niespodzianka.

Matteo żałuje, że nie może zadzwonić do siostry i powiedzieć jej, żeby została tam, gdzie jest, bez względu na to, gdzie jest. Nie chce, by wracała do domu. Może sobie być, gdzie chce w świecie, byle tylko nie wracała do domu. Radość z powodu strzelenia Leo prosto w głowę w grze szybko mija. Leo nadal ma wszystko to, co Matteo już przegrał.

„Zawsze dwóch, jeden, którego widzimy, i jeden niewidoczny”, mawiała Ramona. Dwa pogrzeby. Dwaj czternastolatekowie w dwóch domach czekający na starsze siostry. Dwie młode kobiety w drodze do domu, do miasta, od którego tak naprawdę nigdy nie udało im się uciec. Jedna przyjeżdża pociągiem, a druga w urnie.

Marzenia

Częstym błędem, jeśli chodzi o niebezpiecznych ludzi, jest fałszywe założenie, że nie mają oni uczuć. I że nie są sentymentalni. Przeważnie nie ma nic wspólnego z prawdą, w rzeczywistości to właśnie najczęściej ci sentymentalni i uczuciowi są najniebezpieczniejsi, bo zdolni nie tylko do ucisku, ale dodatkowo jeszcze do jego usprawiedliwienia. Uczuciowi ludzie nigdy nie czują, że popełnili błąd, ponieważ ich uczucia zawsze zapewniają ich o tym, że stoją po tej właściwej stronie.

Ramona zwykła ich nazywać Facetami od Gwiezdných Wojen. „Pokażcie te filmy setce różnych facetów z odmiennymi poglądami politycznymi, a okaże się, że każdy z tych chujków będzie uważał, że to on jest Lukiem Skywalkerem. Żadnemu chujkowi nie przyjdzie nawet do głowy, że może być Darthem Vaderem”. Sama niezbyt lubiła filmy, ale oglądała je z Vidarem, gdy był mały, nie darzyła ich uwielbieniem, ale uwielbiała jego. I uwielbiała mieć rację, teraz jednak nawet ona znienawidziłaby to, jak bardzo miała rację co do najbliższych kilku dni.

Frak już nie śpi, gdy dociera do niego wiadomość o jej śmierci. Rusza więc do hali lodowiska, by wciągnąć flagi do połowy masztów. Potem zaczyna dzwonić. Ze łzami w oczach, co sprawia, że łatwo go nie docenić, ale on już zaczął sięgać myślami dalej niż pozostali. Ramona pozostawia za sobą nie tylko pusty bar, ale również pusty stółek w zarządzie Björnstad Hockey.

Za wiele lat większość z nas, przypominając sobie tę wicherę, nie będzie w stanie opowiedzieć całej historii w odpowiedniej kolejności. To dlatego właśnie psychologowie pracujący z pacjentami w traumie radzą zacząć od stworzenia linii czasowej, chronologicznego ułożenia fragmentów, bo strach sprawia, że daty się mieszają. Ludzie czasem zresztą też. To, co jednak ze sobą dzielimy, to, co wszyscy w Björnstad i Hed zapamiętają najwyraźniej, to chyba cisza. Nastaje natychmiast po tym, jak wiatr odpuszcza i drzewa przestają się chwiać, i jest niemalże tak samo brutalna dla błony bębenkowej jak wcześniejszy chaos. Centra miast zarówno w Björnstad, jak i w Hed wyglądają, jakby coś w nich wybuchło, ale nie to jest

najstraszniejsze: w obu miastach przy kuchennych stołach siedzą z kalkulatorami w ręku mężczyźni i kobiety, do których las należał od wielu pokoleń, i liczą na przeżycie, a za oknami rozciąga się ich zniszczony spadek dla dzieci i wnuków, wiatry wbiły ich życia prosto w ziemię i pozostawiły za sobą jedynie ruiny bezgłośnych tragedii. Oczywiście nie wszyscy w okolicy mieli pozałatwiane ubezpieczenia, a firmy ubezpieczeniowe robią wszystko, co w ich mocy, by nie musieć płacić odszkodowań nawet tym, którzy je wykupili. Młodszy członkowie rodzin po wicherze tygodniami wymieniają się przy czuwaniu u boku starszych, dla pewności, żeby nie wzięli strzelby i nie poszli w las. Tak to nazywają myśliwi. Nikt tutaj nie mówi „samobójstwo”.

Zaraz po wicherze wszystkie granice w Björnstad i Hed się zacierają, nie tylko te pomiędzy działkami, ale również te pomiędzy sąsiadami, czasem to dobrze, a czasem wręcz niszczycielsko. Poświęcimy wiele lat życia, by zrozumieć, co nam się tu przytrafiło, a co ściągnęliśmy na siebie sami, co było przypadkiem, a co konspiracją. Ale zaczyna się tak jak zwykle: od polityki.

Frak dopilnowuje, aby najbardziej wpływowi obywatele gminy spotkali się już w porze lanczu następnego dnia po wicherze. „Żeby opracować plan kryzysowy”, powtarza wszystkim przez telefon. W najbliższym czasie politycy odbędą oczywiście masę spotkań z lokalnymi przedsiębiorcami, nawet w Hed, ale to pierwsze najważniejsze ma miejsce w biurze sklepu spożywczego w Björnstad. Po fakcie dowiemy się, że to był głupi pomysł, bo mieszkańcy Hed odbiorą to symbolicznie. Najsilniejsze głosy z okolicy przybywają na spotkanie, ale to Frak mówi najwięcej, nie jest nawet radnym, ale sprawia wrażenie, jakby to on tu rządził, a za jakiś czas dotrze do nas, że i to nie była najlepsza decyzja.

Pierwszym punktem zebrania jest priorytet, jaki powinno się nadać pracom mającym na celu oczyszczenie okolicy po wicherze. Straż pożarna i ochotnicy już sprzątają drogi, ale ktoś musi podjąć decyzję, które należy oczyścić jako pierwsze. Wszyscy spodziewają się, że Frak jak zwykle bez większego wstydu zaproponuje, by trasę prowadzącą do jego sklepu spożywczego wpisać na sam początek listy, ale on wstaje i mówi:

– Najważniejsze, najważniejsze na świecie są teraz dzieci! Prawda? Dlatego też myślę, że powinniśmy przede wszystkim przegłosować to, żeby wszystkie drużyny z Hed Hockey, które w tak tragiczny sposób straciły swoją halę, mogły trenować w Björnstad. To oczywisty gest solidarności, nie sądzicie? Możemy to ustalić? –

W tym samym momencie, gdy z sali dobiega przytakujące mamrotanie, dodaje szybko: – W takim razie w pierwszej kolejności musimy się zająć wszystkimi drogami prowadzącymi do hali w Björnstad. Zgoda?

Tym razem mamrotanie nie jest już tak przytakujące, wszyscy wiedzą, że drogi do hali lodowiska prowadzą przecież również do sklepu spożywczego Fraka, wypunktowanie mu tego teraz oznaczałoby jednak, że jest się przeciwko dzieciom. Albo jeszcze gorzej: przeciw hokejowi. Aby uciszyć ewentualnych oponentów, zanim jeszcze zdążą otworzyć usta, Frak rozpoczyna swoją tyradę obronną:

– Wiecie, jaki towar kończy się jako pierwszy u mnie w sklepie, gdy naszą społeczność dopada kryzys? Papier toaletowy! Wiecie dlaczego? Bo to daje nam poczucie, że jesteśmy w stanie ten chaos kontrolować. Gdy świat staje się niepewny, ludzie robią duże zakupy, bo właśnie dzięki temu czują, że coś ROBIĄ. Nie wiedzą jednak, co mają kupować. Mleko? Nie kupią przecież stu litrów mleka, bo się zepsuje. Konserwy? Makarony? Płaczą się po sklepie jak pogubione kury i kupują masę różnych rzeczy, ale wiecie, co ma w koszyku każdy z nich? Papier toaletowy! Bo to taka rzecz, którą kupujesz przy każdym dużym zakupach i której używa cała rodzina. Można bez niego żyć? Pewnie, że tak! Ale dla nas stał się już chlebem powszednim i wyznacznikiem normalności, tak więc gdy się boimy, taszczy my do domu rolkę za rolką, nie dlatego, że ich akurat potrzebujemy, ale dlatego, że daje nam to poczucie kontroli nad sytuacją. Rozumiecie, co mam na myśli? Ludzie potrzebują normalności w kryzysie. A tutaj, dla ludzi takich jak my, to hokej jest tym papierem toaletowym. Musimy go mieć. Nie może go zabraknąć. To, czego nasza gmina potrzebuje teraz bardziej niż prądu i ogrzewania, to symbole i marzenia. Wczoraj dopadła nas wichura, ale dzisiaj życie toczy się dalej. A życie zaczyna się wraz z hokejem!

Nikt nie potrafi przeciwstawić się takim argumentom, tak więc na zebraniu zapada decyzja o tym, które drogi powinny zostać oczyszczone jako pierwsze oraz że od tej pory Hed i Björnstad będą się dzieliły czasami treningów w hali w Björnstad.

Zapamiętamy to spotkanie w różny sposób, w zależności od tego, w którym mieście mieszkamy. W kolejnych latach wielu z nas nie będzie nawet pamiętać, czy osobiście uczestniczyło w tym spotkaniu czy też ktoś opowiadał nam o nim tak wiele razy, że już samym nam się wydaje, że tam byliśmy.

Jedyne, w czym się jednak zgadzamy, to to, że obie decyzje były katastrofą. Właśnie kopnęliśmy w gniazdo os. Może była to pomyłka Fraka, a może i jego zamiar.

Ale nikt, absolutnie nikt nie kochał w dzieciństwie *Gwiezdnych wojen* tak jak on.

Frazesy

Amat budzi się wczesnym rankiem po wichurze. Niezdarnie zawiązuje sznurówki butów do biegania, tak jakby już zapomniał, jak się to robi, i bezgłośnie wychodzi z mieszkania. Niczym szczur przemyka w cieniu czynszówki, tak jakby to, co zamierza zrobić, było najcięższym grzechem. To nieprawda, po prostu nie chce, by ktoś zobaczył, że znów próbuje, na wypadek gdyby mu się nie udało.

Fatima udaje, że nie widzi, jak syn wychodzi z domu, w duchu zaczyna śpiewać, ale jeszcze powstrzymuje stopy od tańczenia w takt piosenki. Gdy wrócili wczoraj do domu, po tym, jak Amat wybiegł po nią w wichurę, wyznał: „Tak bardzo mi przykro, mammo, że cię zawiodłem”. Odpowiedziała mu jak zwykle: „Nie zawiedziesz mnie, jeśli się nie poddasz”.

Tak więc znów biega. Najpierw kilka niepewnych przepełnionych wstydem kroków, ale po chwili już pełny gaz. Od lata strach i alkohol doprowadziły go do nadwagi, ale nogi tęskniły za ruchem. Muszą się tylko wszystkiego nauczyć na nowo, ponownie zamienić w maszynę, tak żeby mózg się wyłączył, bez zatrzymywania całego ciała. Przez ostatnie lata wciąż słyszał, jakim to jest „talentem”, ale ludzie używający tego słowa nie mają pojęcia o hokeju. Mówią o „talencie”, tak jakby pojawiał się znikąd. Tak jakby Amat od podstawówki nie przychodził na lodowisko pierwszy i nie wychodził ostatni, tak jakby przez te wszystkie lata nie trenował ciężiej niż pozostali, nie przejechał na łyżwach tysięcy godzin więcej niż inni, nie biegał, aż wymiotował, i nie dryblował pustych puszek po konserwach w domu tak długo, aż dłonie pokrywały się ranami, a sąsiedzi dostawali szału. Tak jakby hokej nie kosztował go dokładnie tyle samo co każdego, kto chce być w czymś dobry: czyli wszystko.

Przez lata nauczył się, że jedyny wart czegoś talent to umiejętność podporządkowania się treningowi. Wytrzymania. Dziś łapie zadyszkę zaraz po tym, jak zaczyna biec, ale gdy tylko wydostaje się spomiędzy zabudowań, rusza pełną parą z Niecki pod górkę, w stronę lasu, prosto w chaos powalonych drzew. Kilka

razy z przerażeniem odskakuje na bok, widząc powyrywane korzenie i upadające konary. Po wicherze las może się okazać jeszcze niebezpieczniejszy niż w jej trakcie, ale Amat nie ma wyboru. Nie ma siły na osądzające go spojrzenia, dlatego nie wybiera trasy przez miasto, a po tym wszystkim, co wydarzyło się wiosną, nie wie nawet, czy jest jeszcze mile widziany w hali lodowiska. Teraz ma tylko siebie. Zatrzymuje się w najwyższym punkcie wzniesienia, na polanie, której nie było tu jeszcze przed wichurą. Niewidzialna pięść uderzyła w roślinność. Zobaczyłby stąd całe miasto, gdyby nie to, że oczy zasły mu łzami, po tym, jak zwymiotował z wyczerpania. Dawniej mógł przebiec sto razy góra–dół i nawet nie złapałby zadyszki, teraz czuje się jak stary alkoholik, który nie ma siły, by wejść po schodach, bo z pewnością skończyłby z atakiem serca.

Ale przynajmniej tu jest. Znów biega. Całą drogę, aż na nowo będzie tym, kim był dawniej.

—

– Słucham? Macie ją w SAMOCHODZIE? – wybucha pracownik zakładu pogrzebowego, gdy w końcu się zjawia.

Jest dzień po wicherze, w mieście panuje chaos, ale grabarz ma na sobie garnitur i półbuty, szary człowiek sprawiający wrażenie, jakby miał sześćdziesiąt lat, odkąd skończył piętnaście.

– To taka trochę specyficzna sytuacja – wyjaśnia Peter.

– Miała przecież, do cholery, zapięte pasy – pohukuje Teemu.

Gdyby stał przed nim jakiś inny mężczyzna w innym mieście, to pracownik zakładu pogrzebowego zapewne pozwoliłby sobie na nieco dosadniejszą ripostę, ale teraz ma przed sobą osławionego Teemu Rinniusa i znajdują się w Björnstad, tak więc jedynie odchrząkuje i cicho rzuca do Petera:

– Nie tak to zwykle wygląda. Naprawdę nie tak to zwykle wygląda.

Peter kiwa ze zrozumieniem głową, przeprasza i zapewnia, że wichura, brak prądu oraz szok wpłynęły na tę nieprzemyślaną decyzję. Nie zrzuca winy na Teemu, bierze to wszystko na siebie. W daremnej próbie znalezienia jakiegoś lżejszego tematu do rozmowy pyta:

– Co myśli pan o drużynie hokeja w tym roku?

– Nie interesuję się sportem – odpowiada krótko mężczyzna.

Teemu wywraca oczami tak, że Peter jest prawie pewny, że zemdleje. Pracownik zakładu wchodzi do biura, Peter wzdycha i rusza za nim. Mężczyzna dzwoni, żeby ustalić, co dalej z przygotowaniami ciała Ramony, a Peter i Teemu siedzą niczym dwaj zawstydzeni chłopcy przed gabinetem dyrektora, zabijając czas czytaniem włożonych w ramki i wiszących na ścianie wydruków wierszy popularnych w żałobnych nekrologach. „Nie mów, że nic nie pozostanie z najpiękniejszego motyla, którego dało życie”, odczytują na jednym z nich i Teemu trąca Petera łokciem, uśmiechając się pod nosem.

– Ten by znieawidziła, nie? Ten jej wypiszmy na nagrobku!

Peter wybucha takim śmiechem, że przez kilka minut musi potem przeproszać pracownika zakładu pogrzebowego, który wlepia w nich wzrok i mruży pod nosem „chuligańskie wybryki”, myśląc, że go nie słyszą, i wtedy to Teemu wybucha takim śmiechem, że aż traci oddech.

Peter czyta kolejne wiersze na ścianach: „Gdy umierają matki, gubimy kierunek w życiu, co drugi oddech, polanę. Gdy umierają matki, wszystko pokrywają zarośla”.

– Przecież to się nawet nie rymuje! – rzuca Teemu.

– Może chciałbyś mi opowiedzieć więcej o swoim bogatym doświadczeniu z poezją? – nabija się z niego Peter.

– Na górze róże, na dole bzy, dajże mi piwo, bo będę zły! – odkrzykuje Teemu, rechocząc.

Peter kiwa głową w kierunku napisu na samym końcu ściany.

– Ten by się jej spodobał – mówi cicho.

Teemu czyta i tym razem trzyma gębę na kłódkę. „Któregoś dnia staniesz się jednym z tych, którzy żyli dawno temu”. Potakuje głową. Gdy ostatnio jeden z facetów w Futrze jak zwykle zaczął narzekać, że Ramona podniosła ceny piwa, a ona sama była już wystarczająco pijana, by rzucić w jego kierunku jakimś wyzwiskiem, odpowiedziała mu szorstko: „Tak, tak, wszyscy umrzemy, ale zanim to się stanie, odbiorą nam wszystko, co kochamy. Przestań się nad sobą uzalać, zasańcu!”. To też byłby świetny tekst na nagrobek.

Szary pracownik biura pogrzebowego chrząka, najchętniej zobaczyłby już swoich klientów w drzwiach wyjściowych, oni siebie zresztą też. Na koniec pyta

o datę pogrzebu. Peter nawet nie zdążył się jeszcze zastanowić, ale przeliczając dni, odpowiada instynktownie:

– Musi być w najbliższą niedzielę.

Szary mężczyzna rzuca w jego stronę przerażone spojrzenie.

– Pojutrze? Niemożliwe! Zwykle czeka się przynajmniej...

– Tydzień później nie da rady, bo wtedy zaczyna się polowanie na łosie – mówi z poważną miną Peter.

– A następny tydzień też nie, bo wtedy zaczyna się sezon hokejowy. – Jeszcze poważniejszy Teemu kiwa głową.

– Tak więc to musi być ta niedziela – stwierdza Peter.

Szary mężczyzna wlepia wzrok w kalendarz.

– W tę niedzielę mamy już jeden pogrzeb – wyjaśnia. – Dwa w ten sam dzień? W Björnstad? Naprawdę nie tak to zwykle wygląda!

W tym czasie zadowolony Teemu kopie Petera w łydkę, chichocząc.

– Wiesz, co powinniśmy wpisać w nekrologu? „Ramona nas opuściła. Teraz to w niebie będzie drogie piwo”.

Peter zerka na niego rozbawiony, jak nie zdarzyło mu się od wielu lat.

– Tak, trzeba przyznać. Nekrologi to w sumie twoja działka. Pamiętasz, co napisałeś w moim?

– To przecież, do kurwy nędzy, nie byłem JA... – syczy urażony Teemu, na co Peter wybucha takim śmiechem, że pracownik biura pogrzebowego naprawdę, naprawdę żałuje, że w ogóle odebrał dziś rano telefon.

—

Amat całe życie grał w hokeja. Każda szatnia to fabryka frazesów, do większości człowiek przyzwyczaja się tak szybko, że w końcu ich nie słyszy, ale to, co wciąż powtarzał stary trener pierwszego składu, utkwilo mu w głowie: „Jedyny dzień, na który masz wpływ, jest dzisiaj. Nic nie poradzisz na wczoraj i jutro, ale DZIS możesz coś zrobić!”. Amat powtarza sobie jego słowa nieprzerwanie, gdy piecze go gardło, nogi się pod nim uginają, a jedyne, o czym jest w stanie myśleć, to jak daleko ma teraz do domu. Dzisiaj, tylko dzisiaj.

Stoi w przesmyku i spogląda w dół na Nieckę i czynszowe domy, które podczas wichury poradziły sobie lepiej niż budynki w pozostałych częściach miasta, ponieważ zbudowano je na zboczu starej żwirowni. O wiele gorzej było na Wzgórzu, najbogatszej dzielnicy po drugiej stronie miasta, z widokiem na jezioro. Wiatry miały gdzieś, czy jesteś zamożny czy nie, zerwały dachy z najbogatszych domów i rzucały cholernie drogimi grillami gazowymi w świeżo wypucowane panoramiczne okna. Pierwszy raz, odkąd Amat pamięta, niesprawiedliwość dotknęła tych lepiej sytuowanych. Za każdym razem, gdy po ciele rozlewa się kolejna przyjemna fala radości z ich szkody, powraca myśl, że właśnie tak wszyscy musieli się cieszyć latem, gdy jemu samemu nic nie wychodziło.

Zbiega ze wzgórza, przystaje i oddycha z rękami opartymi o kolana, zawraca i rusza z powrotem pod górę. „Sport zawsze pokazuje nam prawdę”, jako dziecko słyszał to wielokrotnie od dorosłych w Björnstad, „w tabeli wyników nie ma się gdzie schować”. Okoliczni mężczyźni uwielbiają takie powiedzonka: „Wycisk to przywilej”, „Tylko przegrani uciekają się do wymówek”, „Nastawienie bije pochodzenie”. Gdy wszystkie inne miejsca w życiu pełne są szarych stref, gwizdek ogłaszający koniec meczu to dla nich proste wybawienie. W hokeju wiemy, kto jest zwycięzcą, bo zwycięzcy wygrywają. Dlatego właśnie tak łatwo było żyć sportem, nawet Amatowi, aż w końcu stało się to nie do zniesienia.

Rok temu o tej porze miał siedemnaście lat, wszyscy wiedzieli, że jest obiecujący, ale nikt jeszcze nie wspominał o NHL. Björnstad to zbyt mały klub w jednej z niższych dywizji, daleko w lesie, toteż by skauci i agenci się tu pofatygowali, musi się wydarzyć coś spektakularnego. Dopiero jesienią ktoś o nim usłyszał, zimą jeszcze kilku, a w styczniu już wszyscy. Urósł parę centymetrów, przybyło mu kilogramów mięśni i nagle wszystko stało się takie proste. Na lodzie robił, co chciał, tak jakby jego czas płynął wolniej niż innych, czuł się nieśmiertelny. Przed trzema laty piętnastoletniemu jeszcze Amatowi niemożliwe wydawało się granie w drużynie juniorów z Kevinem, Benjim, Bobo i pozostałymi chłopakami. Potem nagle się w niej znalazł i wtedy pierwszy skład był nie do pokonania, i on TAM był, pośród nich. W hokeju wszystko dzieje się tak błyskawicznie, wymiana, mecz, całe sezony przelatują przed oczami. Zimą wszystko kręciło się tak szybko, że stracił grunt pod nogami.

Zaczął się od miłości, zawsze tak jest. Zdobywał bramki w każdym meczu, a faceci w spożywczaiku zatrzymywali jego i mamę, żeby uścisnąć im dłonie

i powiedzieć, jak bardzo całe miasto jest z niego dumne, tacy, którzy zwykle sprawdzali portfel w kieszeni, gdy podchodził nieco za blisko, nagle zachowywali się względem niego jak rodzina. Uwielbiali oczywiście łapać go za ramiona, podśmiewając się, że „przydałoby mu się więcej mięśni”, a czasem nawet ktoś mu przygadał, że „dawniej to zaopatrzeniowiec miał ze sobą pięć metrów nici do szycia na każdy mecz Björnstad i zdarzało się, że gdy jej brakło, to na rozcięty łuk brwiowy naklejało się srebrną taśmę i grało dalej!”. Nie podobało im się, że chętniej robił unik, niż przyjmował cios, według nich był słaby, mimo to uwielbiali go, gdy wygrywał. Kręcili nosami, kiedy na mecze przychodzili jego koledzy z Niecki, ale on nie przestawał wygrywać. Początkowo dzieciaki z jego dzielnicy krzychały: „Jestem Amatem!”, gdy grały na ulicy, a niedługo później to samo wykrzykiwały dzieciaki z Hed, nawet jeśli w ukryciu przed rodzicami.

Nagle wszyscy zaczęli mówić o NHL, zawodowstwie i milionach. Amat starał się tego nie słuchać. „Bądź wdzięczny i pokorny”, powtarzała wciąż matka, gdy późnymi wieczorami pomagał jej sprzątać halę lodowiska. Gdy jednak wystarczająco wielu wystarczająco wierzy, że możesz zejść aż na sam szczyt, to trudno w końcu samemu w to nie uwierzyć. Potem tylko „możesz” zmienia się w „masz”, a następnie „masz” w „musisz”. Teraz już musisz zejść na sam szczyt. Nadzieja przeradza się w presję, radość w stres, faceci w spożywczaku już go nie chwalili za to, że strzelił dwa gole, bo przecież powinien był strzelić trzy. Na początku sezonu cieszyli się, że uratował Björnstad Hockey od spadku do niższej dywizji, ale gdy od nowego roku prowadzili w tabeli, to już nie wystarczyło: wtedy wszyscy zaczęli mówić o tym, że klubowi może się udać wejść do wyższej dywizji. W ciągu kilku miesięcy przestali doceniać to, co Amat im dał, a zaczęli wypominać, co jest im winny. Pochylił więc głowę i trenował jeszcze ciężiej. Wdzięczny, wdzięczny, wdzięczny. Pokorny, pokorny, pokorny.

Zrobił wszystko, o co go prosili. Zrobił wszystko dobrze. Mimo to wszystko diabli wzięli.

—

Na koniec szary mężczyzna pyta, „jak rozwiążą sprawę płatności”, i Peter widzi, jak niezwykle szybko i bezgłośnie może się ulotnić Teemu, gdy zaczyna być mowa

o pieniądzach. Gdy chwilę później wychodzi z zakładu pogrzebowego, Teemu stoi przy samochodzie i pali.

– Możesz mnie podwieźć do domu? – pyta Peter.

Teemu kiwa głową ze wzrokiem wbitym w asfalt.

– Pewnie. Pewnie. Ale czy możesz jeszcze, czy mógłbym cię... no wiesz, wszystkie dokumenty Futra. Konto i... takie tam dorosłe sprawy. Czy mógłbyś mi z tym pomóc? I z pogrzebem? Możesz... no wiesz?

Peter odchrząkuje niezręcznie.

– Nie chciałbyś poprosić kogoś, kto był bliżej z Ramoną?

– A kto niby był z nią bliżej niż ty? – pyta zdziwiony Teemu.

To niczym cios w pierś, gdy Peter dostrzega, jak bardzo nie wie, co odpowiedzieć. Nie odmawia, nic już nie mówi. Ruszają do Futra, Peter wysyła tylko esemesa do Miry, że nie będzie go jeszcze przez parę godzin, a ona odpowiada krótkim „ok”. Peter trzyma telefon w dłoniach jeszcze przez kilka minut, ale nic już więcej nie pisze.

Księga przychodów i rozchodów Ramony wygląda, jakby była zapisana kodem, by ukryć ślady wiodące do zakopanej kryjówki piratów, ale w rzeczywistości prowadzi jedynie do zadłużeń podatkowych i niewysłanych deklaracji VAT. Peter odbywa rozmowę za rozmową, rozwiązując po kolei każdą sprawę, i aż sam siebie zaskakuje, jak dobrze sobie radzi: znów może coś zorganizować. Przypomina mu to przez chwilę, jak to było na stanowisku dyrektora sportowego, i prawie podejrzewa, że Ramona specjalnie umarła, po to tylko, żeby się nad nimi pastwić.

– Widziałeś to? Twoje zdjęcie musiało oczywiście wisieć w najlepszym miejscu, Panie Perfekcyjny! – mówi Teemu, wskazując na rząd zdjęć z dawnymi zawodnikami na ścianie.

Peter rzuca okiem na dawną fotografię, przedstawiającą jego samego za młodu. Nigdy jej nie lubił, pochodzi z tego sezonu, gdy byli prawie najlepsi w kraju. Tyle że prawie. Przypomina mu to, że nigdy nie osiągnął tego, czego wszyscy od niego żądali. „Któregoś dnia staniesz się jednym z tych, którzy żyli dawno temu”, rozmyśla luźno.

– Co masz na myśli, mówiąc „Pan Perfekcyjny”?

Teemu zaśmiewa się w głos.

– Dziadki w barze tak na ciebie mówią, bo Ramona przez cały czas opowiadała nam, jaki we wszystkim jesteś dobry. W tym mieście byłeś powodem naszych niemożliwych do spełnienia marzeń, kurwa, jakżeż ona wciąż o tobie gadała, bo wzięłaś się znikąd i stałaś się najlepszy!

Peter robi się czerwony na twarzy i aż na całej szyi. Nigdy w życiu nie słyszał bardziej nieodpowiedniego przezwiska.

– Prawie – mamrocze.

Teemu widzi, jak Peter opuszcza ramiona, więc nie mówi już nic więcej. Wyszukuje fotografię, kawałek dalej na ścianie, ściąga ją z gwoźdźca i ostrożnie umieszcza na blacie baru. Przedstawia Ramonę, a obok niej Vidara, obydwójce uśmiechnięci. Peter przygląda się mu i też już nic więcej nie mówi. Sprzątają w barze, przez kilka godzin sortują papiery, a gdy w końcu się do siebie odzywają, trzymają się hokeja. Jest już jesień, zaczyna się nowy rok, nowy sezon, w którym znów wszystko jest możliwe. Trzeba zapomnieć o tym, co było, i zacząć dyskusje o tym, na co się ma nadzieję. Zacząć snuć niemożliwe do spełnienia marzenia.

Teemu idzie do toalety i zostawia na barze telefon. Aparat wibruje, gdy przychodzi wiadomość, Peter na nią nie reaguje, w sumie nie reaguje nawet, gdy dźwięk powtarza się już dziesiąty raz. Wiadomości zaczęły się już rozchodzić, ludzie zaczęli gadać, ale jeszcze nie z Peterem. Nie wie zatem, co zostało dziś postanowione na spotkaniu z politykami i z Frakiem. Nie wie też, że za każdym razem, gdy telefon Teemu pod wpływem wibracji przesuwa się kilka centymetrów po barze, wraz z nim przesuwa się cała okoliczna społeczność. W złym kierunku.

Plotki

Na korytarzu szpitala w Hed stoją pielęgniarka i strażak. Hannah wyczerpana psychicznie, a Johnny fizycznie. Robią, co mogą, by nie wpłynęło to na nich nawzajem, i wychodzi im dość średnio. Odkąd skończyła się wichura, Johnny nieprzerwanie pracował w lesie, a Hannah nieprzerwanie przy wszystkim innym. Personel medyczny mieszkający w Björnstad nie może się dostać do pracy, bo drogi nadal są zawałone drzewami, tak więc Hannah i reszta pracowników z Hed musieli przejąć ich zmianę, a dodatkowo ktoś jeszcze przecież musi się zająć dziećmi w domu. To jest po prostu niemożliwe do poukładania: Hannah nie da rady jechać do domu, dopóki nie zostaną uprzątnięte drogi, a Johnny dlatego, że to on te drogi musi uprzątnąć. To w sumie w jakiś sposób obrazuje cały ich związek, stosunek do siebie nawzajem i do miasta. Któregoś razu Hannah słyszała, jak jakiś doradca małżeński opowiadał w telewizji, że „to, co jest ważne w małżeństwie, to wspólne cele i nieustanne spoglądanie w tym samym kierunku”. Często rozmyśla o tym, że tutaj rodzi się problem, bo jeśli zawsze patrzy się w tym samym kierunku, to nigdy nie patrzy się na siebie nawzajem.

– Co chcesz w takim razie, żebym zrobił? – pyta Johnny, cały spocony i brudny.

Hannah wzdycha tylko, nie wiedząc, jak mu to wytłumaczyć. Wszedł z domu, jak tylko ustały wiatry, to jego praca, ale poza tym wieczorem, po pracy, zaoferował pomoc ojcu kolegi strażaka, który musiał oczyścić swoje pole, oraz fryzjerowi z Hed, który zmuszony był wymienić sporej wielkości witrynę. Hannah widzi obłęd w jego oczach. Przyświeca mu myśl, że musi ratować cały świat i że może. Nienawidzi go powstrzymywać, ale nikt inny tego nie robi. Wszyscy uważają, że jest supermanem.

– Może przerwę? Pojechałbyś do domu, zobaczył się z dziećmi chociaż na godzinę, żeby wiedziały, że żyjesz. Przestań myśleć, że wszystko możesz zrobić sam, dobrze? – proponuje Hannah, cała pomięta i zrezygnowana, z palącą potrzebą wzięcia kąpieli, wypicia kieliszka wina i przespania szesnastu godzin.

To ostatnie uderza w niego mocniej, widzi to od razu, wie, że mąż zarzyna się dziś w pocie czoła dwa razy bardziej niż reszta, tylko dlatego, że chce wynagrodzić reszcie to, że nie było go wczoraj. Musiał zostać w domu, gdy Hannah pojechała z tą walniętą osiemnastolatką Aną do lasu, żeby odebrać poród w samochodzie. Jego koledzy byli już wtedy w pracy, starając się pomóc mieszkańcom. Na jednego z nich, Bengta, spadło drzewo i złamało mu nogę. Dlatego właśnie wszyscy strażacy są teraz w szpitalu. Nikomu zresztą to nie umyka, bo tuzin męskich śmiechów dobiega z sali Bengta średnio co dziesięć sekund. To lubiany szef, chętny do żartów i nieskory do ganienia pracowników. Jest dwadzieścia lat starszy od Johnny'ego i to właśnie on załatwił mu pracę w straży. To było jeszcze w czasach, gdy strażacy rekrutowali sami w okolicy, nie to co teraz, gdy muszą przechodzić skomplikowany proces rekrutacji, przy którym Johnny jedynie pomrukuje, że „dzisiaj wszystko musi być takie w cholere sprawiedliwe, że musimy zatrudnić tyle samo bezużytecznych strażaków co kompetentnych, tak żeby żadna, choćby najmniejsza grupa społeczna nie poczuła się urażona”. Za jego czasów rekrutowano prosto z drużyny hokejowej, bo jeśli spędziło się z kimś połowę życia w szatni, to można było za niego ręczyć, że jest właściwym typem człowieka. Można się wyuczyć zawodu strażaka, ale właściwym typem człowieka albo jesteś, albo nie. Bengt dobrze to wiedział, a teraz Johnny ma poczucie, że go zawiódł. Powinien być tam z nimi w nocy. Wszystkie upadające drzewa to jego drzewa. Wszystkie złamane nogi to jego wina.

– Powinienem był tam być, ja... – zaczyna poirytowany.

– Nic by to nie zmieniło! – zapewnia Hannah.

Stwierdzenie, że ktoś, kto poświęcił całe swoje życie zawodowe, by ratować ludzi, jest bezsilny, to najzłośliwsze, co może teraz zrobić. Dobrze o tym wie.

– Muszę... – mamrocze Johnny.

– Wiem, wiem, przepraszam – odpowiada Hannah i teraz wstydzą się obydwójce.

Gdy wieki temu zostali parą, przy jednej z okazji Johnny powiedział: „Nie mogę cały czas chodzić i gadać o tym, jak się czuję, bo żaden ze mnie uczuciowy człowiek, jak ty”, i to była chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszała z jego ust. Nie jest uczuciowym człowiekiem? Ależ właśnie nim jest! Ona może i dużo gada o swoich, ale nim za to uczucia kierują, taka jest między nimi różnica. I właśnie to czyni go dobrym strażakiem i dobrym ojcem, to w jego uczuciowości się zakochała. To właśnie uczucia sprawiły, że obaj ich synowie są świetnymi

hokeistami, a córka fantastyczną łyżwiarką figurową. Nigdy bowiem nie osiąga się czegoś w sporcie, jeśli nie jest się na tyle uczuciowym, by znaczył dla Ciebie wszystko, jeśli każdego niepowodzenia nie traktuje się osobiście, a każda przegrana nie boli jak śmierć. Nie próbuj więc nawet zaczynać rozmowy o uczuciowych ludziach z Hannah, ona z takim właśnie człowiekiem żyje na co dzień.

– Będę ostrożny, nic się nie martw, i tak głównie tniemy drzewa i kierujemy ruchem... – próbuje jeszcze Johnny.

– Nawet nie zaczynaj! Co zawsze mówisz dzieciom, gdy się pali? Że czysto statystycznie masz większe szanse na potrącenie przy wypadku drogowym na autostradzie, niż że zginiesz w pożarze! – odcina się Hannah.

– Przyjadę do domu na kolację. Obiecuję. I zawiozę jutro dzieci na hokeja – negocjuje Johnny, którego dręczą wyrzuty sumienia.

– Niby czym? Musimy odebrać samochód... – wzdycha Hannah, zła na samą siebie, że brzmi, jakby była na niego zła.

Minibus nadal stoi zaparkowany tam, gdzie go zostawiła podczas wichury, przed domem taty Any.

– Odbiorę go wieczorem, któryś z chłopaków podwiezie mnie, gdy skończymy oczyszczanie drogi – przytakuje Johnny, który do tej pory nawet nie pomyślał o tym starym złomie.

Hannah kiwa wolno głową.

– Przepraszam, jestem taka zmęczona, wszystko było dziś takie stresujące. To czyste... szaleństwo. Dostałeś mejla od trenerów? O tym, że dzieci mają trenować w...

W ostatnim momencie gryzie się w język. Za późno. Johnny wybucha od razu.

– Na hali w BJÖRNSTAD! Tak! Słyszałem od chłopaków na stacji! Co za bezczelność, nie? I teraz oczywiście mamy jeszcze być wdzięczni, że z łaskawości serca pozwalają nam korzystać ze swojej hali? Oczywiście, że się utrzymała podczas wichury! A jak się miała nie utrzymać, skoro jest świeżo wyremontowana za grube miliony, a nasza po prostu stała i niszczała?! To NASZĄ halę powinna była wyremontować gmina, zanim...

Przerywa w pół zdania, wie, że żona nie daje z nim rady, gdy się tak zachowuje, lecz Björnstad w każdy możliwy sposób obnaża jego najgorsze cechy.

– Tak, tak, rozumiem, no, ale jest jak jest – podsumowuje z przygnębioną miną Hannah.

Johnny nie może się powstrzymać od kąśliwości:

– Jest jak jest, bo na to pozwalamy! Wiesz, gdzie zostaliśmy dziś wysłani w pierwszej kolejności? Do Björnstad, do oczyszczenia drogi do ich hali i do jebanego sklepu tego jebanego Fraka. Tak jakby w Hed nie było dróg, które trzeba oczyścić. Tak jakby tutaj nie mieszkali ludzie.

Na początku zdania pomrukuje, potem już tylko mamrocze. Droga, którą należy się zająć w pierwszej kolejności, prowadzi przecież do szpitala, ale Hannah rozumie, o co mu chodzi. Jeśli gmina twierdzi, że jedno miasto jest ważniejsze od drugiego, to jego mieszkańcy w końcu również zaczną tak myśleć. Zwłaszcza ci uczuciowi. Pochyliła się więc w jego stronę i z dłonią na jego policzku szepcze:

– Robimy, co możemy. Dobrze? A to, czego nie jesteśmy w stanie kontrolować, musimy olać. Skup się na tym, na co masz wpływ.

Johnny kiwa głową, kąciki ust pod zarostem nadal się jeszcze lekko zaciskają.

– Okej, Dalajlamo.

Hannah uderza go w ramię, a on całuje ją nieco dłużej, niż przystoi w miejscu pracy. Szepcze, że ją kocha, a ona odszeptuje mu sprośności, które wprawiają go w takie zdziwienie, że Hannah aż wybucha śmiechem.

– Zabieraj kumpli z powrotem do lasu, zanim rozniosą nam tu cały szpital – rzuca na koniec, wskazując na salę Bengta, skąd rozbrzmiewają ich głosy.

Johnny wykonuje polecenie, ale zanim rusza, przypomina sobie jeszcze o jednym:

– Chcesz usłyszeć zabawną historię? Bengt nam ją opowiedział!

– Nie mam już czasu, kochanie... – próbuje Hannah, ale oczywiście jest już późno.

– No więc! Myśliwy o imieniu Allan ginie w pożarze. Słyszałaś ją już? Nie? No więc: jego twarz jest tak zmasakrowana, że nie można go zidentyfikować, dlatego szpital dzwoni do jego dwóch najlepszych kumpli drużyny myśliwskiej i prosi, żeby przyjechali do kostnicy. Przyglądają się ciału, ale po twarzy nie mogą wywnioskować, czy to on, proszą więc lekarza, by go nieco bardziej odsłonił. Lekarza to trochę dziwi, ale go odkrywa i wtedy jeden z kolegów mówi: „Nie, to nie Allan”. A drugi dodaje: „Nie, na sto procent nie on!”. Lekarz drapie się po

głowie i pyta: „Skąd ta pewność, panowie?”. Koledzy nieco zażenowani odpowiadają: „No więc Allan miał na ciele taki specyficzny... defekt. Mianowicie dwa fiuty, rozumie pan”. Lekarz wlepia wzrok w myśliwych. „Dwa fiuty?” Koledzy przytakują. „Mhm, dwa fiuty”. Lekarz kręci z niedowierzaniem głową i pyta: „Jesteście tego panowie PEWNI?”. Myśliwi patrzą na siebie nieco skrepowani i mówią: „No więc... na własne oczy nie WIDZIELIŚMY... ale od dzieciństwa wszyscy zawsze mówili: Patrzcie! Idzie Allan z tymi dwoma fiutami!”.

Hannah już to wcześniej słyszała. Mimo to się śmieje, nie z Johnnym, ale z niego.

– Dobrze, nie? – chichocze zadowolony, tak zadowolony, że aż staje się to zaraźliwe.

– IDŹ już – wzdycha Hannah, tak że wdychane powietrze przy wydechu jest już śmiechem.

Idzie więc w końcu, zabierając ze sobą wszystkich strażaków, a rechot słychać jeszcze długo po ich wyjściu. Są jak bracia, doprowadzają Hannah do szau, ale też wzbudzają w niej zazdrość, że są jakby wielką dodatkową rodziną. Większość z nich przyjaźni się od dziecka, a gdy się ma takich kupili do zabawy, nie ma już potrzeby dorastać. Razem chodzili do szkoły, razem grali w hokeja, a teraz wspólnie łowią ryby, polują i rozmawiają o samochodach, których nie potrafią naprawić, i kobietach, których nie rozumieją, a czasem robią sobie zawody, kto wycisnie więcej na siłowni. Wspólnie są kolegami z pracy, ojcami i strażakami. Grupą.

– Idziesz na fajkę? – pyta przechodząca obok pielęgniarka. To oczywiście żart, dobrze wie, że Hannah rzuciła palenie przed wieloma laty.

– Jeśli znów zacznę, to obiecuję, że tylko z tobą! – rzuca Hannah, uśmiechając się.

Zamiast tego przemyka obok „fontanny plotek” czy też „pokoju socjalnego”, jak zapewne nazywa się to pomieszczenie w innych miejscach. Udaje jej się przystanąć na tak długo, żeby zaparzyć sobie kawę, której i tak nigdy nie ma czasu wypić, bo zawsze ktoś ją gdzieś woła. Zdąży też jeszcze usłyszeć, że ludzie gadają. O hokeju, bo o czymże innym? Ale dziś już w innym tonie. Tu, w szpitalu, spotykają się różni ludzie, połowa personelu mieszka w Björnstad, a druga połowa w Hed, i wszyscy nauczyli się omijać temat sportu, tak jak zapewne w innych miejscach pracy unika

się tematów religii i polityki. Dzisiaj jednak pracowników z Björnstad nie ma, więc jest sposobność, by powiedzieć, co się naprawdę czuje.

Zaczyna się od narzekań na to, że młodzieżowa drużyna z Hed musi trenować w Björnstad. Potem ktoś wspomina, że chodzą plotki, że gmina wcale nie ma zamiaru odbudować hali w Hed. Ktoś inny dopowiada, że słyszał, że politycy mają tajemny plan, żeby wykorzystać sytuację i połączyć oba kluby.

– Który w takim razie zamkną? – dopytuje ktoś ciekawski.

– A jak myślisz? Ten bez pieniędzy! – przepowiada złowrogo ktoś inny.

– A niby z czyich pieniędzy utrzymuje się Björnstad? Czy to przypadkiem nie gmina odnowiła ich halę? Czy my w Hed mamy płacić podatki na ICH klub?

Hannah bez słowa czeka przy ekspresie do kawy, widzi, dokąd zmierza ta dyskusja, ciągnie się od zawsze, ale ostatnimi czasy się zaostrzyła. Chciałaby nie myśleć tak jak reszta, być wśród nich głosem rozsądku, ale prawda jest taka, że tylko milczy. Bo rozumie. Na szpitalu zawsze ciążyą plotki o zwiększeniu cięć budżetowych, może nawet całkowitym zamknięciu działalności, jeśli więc gmina chociażby zagrozi, że zajmie się klubem, to najlepiej byłoby całkowicie odstąpić od oczyszczania drogi do Björnstad. I zamiast tego zbudować mur.

Hannah jest hipokrytką i dobrze o tym wie. Czy wszystkie pieniądze, które do tej pory utopiono w Hed Hockey, nie przydałyby się bardziej w szpitalu? Oczywiście, że tak. Ale gdy jej własne dzieci są na lodowisku, to nie ma nic ważniejszego, cały świat blednie. Co jest w stanie za to poświęcić? Głupie pytanie! A czego by nie oddała? Poza tym podatki z hokeja nigdy nie trafiłyby do szpitala, nigdy by się tak nie stało, poszłyby na energię wiatrową albo jakąś polityczną komisję mającą na celu zbadanie, jak można nauczyć borsuki wyrażać uczucia poprzez akwarele, albo jakieś inne tego typu głupoty. Hokej daje im przynajmniej coś w zamian. Coś dla całego miasta, dla starszych i młodszych, coś, w co się mogą zaangażować i wokół czego zjednoczyć: nienawiść do Björnstad. Oczywiście w Hed są też mieszkańcy, którzy nie lubią hokeja, w tych okolicach traktuje się to jednak prawie na równi z jakąś seksualną perwersją, co tam robisz w domu, jest twoją sprawą, ale zatrzymaj to dla siebie.

Ktoś w socjalnym ma szwagra, który opowiedział o Björnstad Business Park.

– Próbują to utrzymać w tajemnicy, ale już proponują wszystkim przedsiębiorcom z Hed przeniesienie tam swoich biur! Co w takim razie zostanie

tutaj?

– Widzieliście, że związek zmienił schemat rozgrywek drużyn ze względu na burzę? Nie są pewni, czy drużyny z południa dadzą radę tu przyjechać, wiecie więc, z kim się widzimy w pierwszej rundzie? Z Björnstad!

– Ożeż kurwa.

– Ale szansa, nie? Nie mogą zamknąć wygrywającego klubu, więc jeśli to my WYGRAMY, to...

– Nie wystarczy, że wygramy przeciwko tym łapówkarzom! Musimy ich ZMIAŻDZYĆ!

– Będzie wojna!

– Miejmy w każdym razie nadzieję, że ten cholerny Amat nie będzie grał...

– Albo że akurat złamie sobie nogę? Może mógłby mu się przydarzyć jakiś wypadek?

Śmieją się, jakby to było zabawne, i po chwili kontynuują rozmowę. Hannah nie słyszy już więcej, ktoś woła ją z korytarza, odstawia więc nieruszoną kawę na blat kuchenny i biegnie. Zdaży jeszcze pomyśleć, że ma nadzieję, że jej dwaj głupawi synalkowie nie usłyszą tych plotek przed jutrzejszym treningiem w Björnstad, bo inaczej jak zwykle skończy się to bójką. Przede wszystkim jednak ma nadzieję, że największy głupek wśród jej chłopaków, czyli Johnny, też tego nie usłyszy.

Na to jest już oczywiście za późno.

Ojcowie

Pociąg ze stolicy wwierca się wolno w północ, przystaje na wszystkich stacjach, w miejscowościach, z których każda mogłaby być Björnstad albo Hed, cały kraj jest ich pełen. Większość nazw przelatuje przed oczami i natychmiast znika z pamięci, niektóre jednak odciskają się w narodowej świadomości dzięki czemuś wyjątkowemu: wypiekowi, festiwalowi muzycznemu, aquaparkowi albo więzieniu. Lub też drużynie hokejowej. Czemukolwiek, co sprawi, że ludzie powiedzą: „O, a czy to nie wy...”, gdy zaczną im się opowiadać, skąd się pochodzi. Czemukolwiek, co pozwala zlokalizować miejscowość na mapie.

Z każdym kilometrem zniszczenia spowodowane przez wicherę stają się coraz poważniejsze, im gęściejszy las, tym wyraźniejsze jest spustoszenie. W głębi lądu, na jednej ze stacji, której nazwę wszyscy zapomnieli, zanim pociąg przejechał obok kierunkowskazu, do przedziału wsiada starszy mężczyzna. Nikt, poza osiemnastolatką siedzącą naprzeciwko, nie zwraca na niego uwagi. Dziewczyna zrywa się z miejsca i niepytana pomaga mu umieścić walizkę na półce nad głowami.

– Dziękuję, młoda damo, bardzo, bardzo dziękuję! – odpowiada mężczyzna, niczym replikami z czarno-białego filmu.

Jej uśmiech sprawia, że wygląda młodziej niż w rzeczywistości. Sposób, w jaki współpasażer podpira się parasolem jak laską, wywołuje odwrotny efekt.

– Proszę powiedzieć, kiedy będzie pan wysiadał, to pomogę ją panu ściągnąć. – Dobrze wychowana Maya posyła starszemu panu uśmiech.

– Dziękuję, to miło z panienki strony. Ze względu na wicherę pociąg nie dojedzie na samą północ, więc pewnie wysiądę na tej samej stacji co ty, młoda damo, i stamtąd już autobusem...

Maya zastyga w bezruchu, mężczyzna widzi, że ją wystraszył, kiwa więc wyjaśniająco głową w stronę jej czapki.

– Niedźwiedź z Björnstad, łatwo rozpoznać. Pewnie tam panienka jedzie?

Maya wypuszcza powietrze, nieco zbyt szybko, zawstydzona swoją paranoją.

– Ach tak, oczywiście... to mojego taty. Zwykle jej nie noszę. Tak jakoś wyszło, gdy jadę do... domu. U góry jest zimniej.

Uśmiecha się zażenowana. Mężczyzna potakuje ze zrozumieniem głową.

– Człowiek staje się gorliwym patriotą lokalnym, gdy mieszka daleko od domu.

Maya dotyka palcami czapki.

– Pewnie tak. Nie myślałam o tym w ten sposób.

Jej mama mawia, że nie należy ufać komuś, kto nigdy nie kochał całkowicie niekontrolowanie. Maya coraz bardziej ją rozumie.

Mężczyzna naprzeciwnie jej pochyła się i szepcze, tak jakby to była wielka tajemnica:

– Jadę w odwiedziny do córki, mieszka w Hed, ale niech mi panienka nie ma tego za złe.

Maya wybucha głośnym śmiechem.

– O Boże, za tym akurat NIE tęsknię. Że wszyscy musimy się tak nawzajem nienawidzić. Jakie to żałosne.

– Hm, z tego, co mówiła córka, to wiele kręci się tam wokół hokeja...

Dziewczyna wywraca oczami.

– Nie, nie, nie wiele. Po prostu wszystko.

– Jeśli mam być szczery, to mieszkańcy Hed są chyba zwyczajnie zazdrośni. Zdaje się, że Björnstad wie dzie się teraz lepiej niż im, nie? Nie tylko w hokeju? Czytałem, że fabryka się rozrosła i zatrudnia nowych pracowników. Przedsiębiorstwa, zamiast uciekać, przenoszą się do nich. Niewiele miasteczek tej wielkości może się tym poszczycić.

Maya przytakuje, mimo że to nieco dziwne, że ktoś w ten sposób mówi o jej mieście, podkreślając, jak dobrze mu się wie dzie. „W hokeju wszystko może się zmienić w mgnieniu oka”, zwykł mówić tata, gdy była mała i coś szło nie po jej myśli, „w życiu jest dokładnie tak samo, dlatego też musimy iść przed siebie!”.

– Mieszkańcy Björnstad są przedsiębiorczy i ciężko pracują! – wyrzuca z siebie Maya, zdziwiona sama przed sobą, jak dumnie brzmi.

Mężczyzna zauważa, że jej akcent sły chać teraz wyraźniej. Spogląda przez okno na las, który otacza wagon, tworząc tunel.

– Jedzie panienska do domu ze wzgledu na wichure? Corka mowi, ze byla przerazajaca.

– Nie... chociaż w sumie tak. Jadem na pogrzeb.

– Moje kondolencje. Ktos bliski?

Zanim Maya odpowie, przed oczami przelatuje jej caly ten rok, gdy skonczyła szesnaście lat. Jak tata zabral ją na komisariat, gdzie o wszystkim opowiedziala, i jak prawie zwolniono go wtedy z Björnstad Hockey, gdy przez nią Kevin nie mógł zagrać w najwazniejszym meczu sezonu. Spotkanie wszystkich czlonków klubu, na którym doszło do głosowania nad jego przyszłością, kiedy miała wrażenie, że całe miasto sprzysięgło się przeciwko jej rodzinie. Pierwszą, która im pomogła i stanęła w ich obronie, była Ramona. Miała za sobą Grupę, Maya doskonale wie, jak bardzo uwiera to ojca, ale ani on, ani Maya nigdy nie zapomną tego, co zrobiła Ramona: uwierzyła piętnastolatce, gdy nikt inny nie miał na to odwagi. Maya uśmiecha się lekko do mężczyzny naprzeciwko.

– Tata znał ją lepiej. Byli... bardzo starymi przyjaciółmi. To właścicielka baru, z którego tato odbierał dziadka, gdy ten wypił za dużo.

Mężczyzna wybucha śmiechem.

– A, w ten sposób. Ale ty nigdy nie musiałaś odbierać ojca?

– Mój tato nie pije!

Mówi to za ostro, wciąż przeświadczona o tym, że musi go bronić. Mężczyzna podnosi dłonie w przepaszającym geście.

– Przepraszam. Nie chciałem panienki urazić.

Maya wzdycha:

– Nie... nie, rozumiem. Po prostu gdyby znał pan mojego tatę, to... On jest po prostu najporządniejszym człowiekiem na świecie. I nigdy nie łamie żadnych zasad!

– Lubi hokeja tak samo jak wszyscy inni w Björnstad?

Maya wybucha nagłym śmiechem.

– Proszę sobie nie żartować. Kiedyś był nawet dyrektorem sportowym. Ale teraz pracuje u mamy w firmie.

– Aaa, rozumiem, czyli to panienki mama jest jedną z tych przedsiębiorczych osób w Björnstad, o których panienka wspominała? – drażni się z nią mężczyzna.

Maya się uśmiecha.

- Właściwie to jej firma jest w Hed. Tata strasznie się o to złości.
- Nie dziwię się. Jak to się stało, że już nie jest dyrektorem sportowym?
- Kocha mamę.

Maya mówi to tak instynktownie, że starszy pan na chwilę traci koncentrację. Na jego twarzy pojawia się lekki uśmiech. Spogląda na jego dłonie, nie ma na palcu obrączki. Współpasażer sięga do aktówki, wyciąga z niej stos dokumentów i kładzie je sobie na kolanach.

- Mają szczęście, obydwój – rzuca, nie podnosząc wzroku znad kartek.

Maya kiwa głową. Mężczyzna nie odzywa się tak długo, że dziewczyna jest prawie przekonana, że go czymś uraziła.

- Co pan czyta? – pyta po chwili.
- Roczny raport.
- Łał. Brzmi... interesująco.
- Tak może być, jeśli się wie, czego się szuka – odpowiada mężczyzna.

Maya mu nie wierzy. I to jest błąd.

—

Na ulicy przed Futrem stoi stary amerykański samochód. Peter przygląda mu się, stojąc w drzwiach, nie ma pojęcia, kto jest właścicielem. Jego wiedzę o samochodach można by nazwać znikomą, ale akurat ten model rocznika zna doskonale. Na początku kariery w NHL na treningi podrzucał go kolega z drużyny, który właśnie taki kupił. Tamten był prosto z salonu, ten stojący na ulicy się rozpada i pokrywa go rdza. Peter sam się tak czuje.

Teemu wyszedł z toalety i odczytuje wiadomości na telefonie przy barze. Dużo później Peterowi przyjdzie do głowy, że tacy mężczyźni są jednak dziwni, ich humor nie zmienia się bowiem błyskawicznie w momencie otrzymania złych wiadomości. Mimo krążących o nim plotek Teemu nie ma wybuchowego temperamentu. Tyle tylko, że odnosi się wrażenie, że informacje wyświetlane na ekranie telefonu stopniowo obniżają temperaturę jego ciała, tak że staje się coraz cichszy, a Peter czuje się w jego towarzystwie coraz bardziej niezręcznie. Właśnie na takiej podstawie nauczył się oceniać, jakich ludzi tak naprawdę powinien się

obawiać – nie po ich zachowaniu w jego towarzystwie, ale po tym, jak on sam się przy nich zachowuje.

– Muszę już iść, możemy to skończyć jutro? – pyta Teemu ze wzrokiem utkwionym w telefonie.

Peter kiwa głową, nie będąc pewnym, czy mówić coś jeszcze. Gdy gaszą światło, jego wzrok pada na wiszące przy drzwiach zdjęcie małej dziewczynki na lodzie. Zielona koszulka i czarne oczy, jest tak drobna, że nie ma dla niej jeszcze rękawic w odpowiednim rozmiarze.

– Kiedyś będzie lepsza od ciebie – mówi Teemu za jego plecami, a Petera niezmiernie dziwi nagła czułość w jego głosie.

Teemu sam wygląda na zaskoczonego, prawie zażenowanego. Odchrząkują i wychodzą na ulicę, unikając wzajemnych spojrzeń. Peter oczywiście słyszał o dziewczynce. Ma sześć albo siedem lat i nazywa się Alicia. Spędza dużo czasu u starego Sungoe, dawnego trenera pierwszego składu Björnstad Hockey, roztrzaskując mu krążki o ściany domu. To ten typ dziecka, które nie ma najlepszego dzieciństwa, ale nie jest ono tak beznadziejne, by ktoś postanowił pomóc. Dorasta w domu pełnym pustych szafek i zaciśniętych pięści, ale nigdy dostatecznie pustych i dostatecznie zaciśniętych, by opieka społeczna ją stamtąd zabrała. Tak więc ogród Sunego jest jej oazą spokoju i świetlicą po szkole, a przed kilkoma laty Ramona przekonała Teemu, żeby zrobił, co może: kilku ubranych na czarno mężczyzn zawitało w nocy do domu Alicii, gdy ta spała, weszło prosto do kuchni i postawiło na stole torbę ze sprzętem hokejowym, wyjaśniając dorosłym, że dziewczynka jest teraz pod opieką Grupy. Od tej pory na jej ciele jest stanowczo mniej siniaków powstałych w domu, a znacznie więcej tych z lodowiska. A któregoś dnia będzie najlepsza.

Teemu idzie do samochodu, Peter rusza za nim. Jeszcze całkiem niedawno to, że wsiada do samochodu największego chuligana w okolicy, wyglądałoby co najmniej niestosownie. Ale teraz? Nikt nie przejmuje się już tym, co robi Peter, nawet on sam. Las, jeśli tylko da się mu wystarczająco dużo czasu, niszczy wszystkie iluzje, nawet te jego. Peter doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Teemu dopuszcza się przemocy, ale pamięta również, tak jak i zresztą wszyscy w mieście, że policja nie miała czasu przyjechać na miejsce, gdy przed kilkoma laty w okolicy grasowała szajka włamywaczy, ale wysłała uzbrojony oddział specjalny z helikopterem, gdy rozeszła się plotka, że kłusownicy polują na wilki. To Grupa zajęła się wtedy

złodziejską szajką, jak dokładnie, tego Peter nie chce wiedzieć, w każdym razie rozumie, skąd Teemu wziął wszystkie swoje wpływy. Od policji nie różni go przemoc, tylko zaufanie. Najlepiej zapytajcie Alicii.

Teemu i Peter przechodzą koło amerykańskiego samochodu, który nadal stoi zaparkowany w okolicy. Telefon Teemu wibruje od nowych wiadomości, ten jednak nie zwraca na nie uwagi, każda z nich dotyczy już tego samego.

– Nie mogą się dziś bez ciebie obyć? – pyta Peter.

– Ech, takie tam tylko gadanie – odpowiada beznamiętnie Teemu.

– Moje dzieci też cały czas tylko ślą esemesy. Już nawet nie piszą, tylko wklepują całą masę tych dziwnych ludków. Czy nikt już teraz do nikogo nie dzwoni?

Teemu wybuchają gromkim śmiechem.

– Peter, kurwa, ty masz już chyba ze sto lat, nie?

– Czasami tak się czuję.

Wsiadają do saaba Teemu i przez chwilę jadą w ciszy. W końcu Teemu przerywa niezręczne milczenie, pytając o hokej:

– Myślisz, że będzie grał w tym roku?

– Kto?

– Amat! Ludzie mówią, że już się zachlął...

– Kto tak twierdzi?

Teemu wzrusza ramionami.

– No wiesz, ludzie gadają.

To prawda. Tyle że nie z Peterem. Czas na nikogo nie czeka, chłopcy zmieniają się w mężczyzn, utalentowani gracze w byłych zawodników, a demony mogą doścignąć każdego. Może nawet najszybszego hokeistę w miasteczku. Sune powiedział kiedyś, że największym talentem Petera jako dyrektora sportowego było to, że patrzył na „wszystkie dzieciaki w klubie jak na własne”. Wtedy był to komplement, ale kilka lat później Mira podniosła już ten sam argument jako zarzut. Zeszłej wiosny Peter próbował porozmawiać z Amatem i dać mu kilka rad dotyczących draftu do NHL, ale Amat z chłopca przerodził się już wtedy w mężczyznę, a Peter z mężczyzny w starego dziada.

– Nie wiem – przyznaje szczerze.

Teemu wzdycha.

– W zeszłym sezonie był zajebisty. Naprawdę zajebisty. Lepszy niż Kevin. Lepszy niż... ty.

– Nigdy nie widziałeś, jak grałem – żacha się Peter, chcąc ukryć zażenowanie.

Teemu parska niczym urażony kucyk.

– Ramona pokazała nam wszystkie twoje mecze na wideo! Nawet te z NHL!

– Za wiele ich nie było, więc poszło szybko – mruczy Peter.

– Pięć! Myślisz, że ich nie widziałem? Widziałem ze sto razy! Pewnie myślisz, że jestem jakimś głupim chuliganem, ale ja kocham hokeja tak samo jak ty, kurwa! Tylko i wyłącznie dlatego nigdy nie obiliśmy ci mordy, gdy jeszcze byłeś dyrektorem sportowym i odstawiałeś tę szopkę ze zlikwidowaniem trybuny stojącej. Wiedziałem, że kochasz hokeja tak samo jak ja. I szanowałem to. Nawet gdy zachowywałeś się jak kompletny pajac!

Peter potrzebuje kilku głębszych wdechów i wydechów, żeby przetrwać to, że „pajacem” nazwał go ktoś, kto kiedyś włamał się do autobusu drużyny przeciwnej i podpalił w nim trzydzieści plastikowych woreczków wypełnionych psią kupą. Najbardziej bulwersujące dla niego w całej tej sprawie było to, że Teemu nawet nie miał psa. Zdobycie trzydziestu worków? Wyższa logistyka! Boże drogi! Gdyby ten chłopak zajął się kiedyś w życiu czymś sensownym, to zawojowałby cały świat.

– Mylisz się – mówi Peter, uśmiechając się.

– Wcale że, kurwa, nie!

– Grałem tylko w czterech meczach. W piątym od razu zostałem kontuzjowany. I wcale nie myślę, że jesteś głupim chuliganem.

– Z pewnością – mruczy Teemu.

Peter śmieje się cicho.

– W każdym razie nie uważam, że jesteś TYLKO głupim chuliganem...

Teemu wybucha takim śmiechem, że prawie zjeżdża z drogi, i w tym momencie Peter zaczyna rozumieć, co wszyscy w nim widzą. Dlaczego wszyscy za nim idą. Gdy Teemu się śmieje, wszyscy śmieją się razem z nim.

– Powinieneś był porozmawiać z Amatem zeszłej wiosny przed draftem do NHL – mówi Teemu, rzucając krótkie spojrzenie w stronę Petera. – Chyba miał wtedy złych doradców. Przydałby mu się ktoś taki jak ty.

Peter spuszcza wzrok, nie chce się przyznać, że próbował. Teemu zdaje się mieć o nim tak wysokie mniemanie, jakiego nikt już dawno o nim nie miał.

—

Ludzie często zakładają, że Maya wcale jeszcze nie ma osiemnastu lat, co oczywiście bardzo ją irytuje, ale jeśli ma być całkowicie szczerą, to ona sama też jest kiepska we wskazywaniu czyjegoś wieku. Wydaje jej się na przykład, że mężczyzna siedzący naprzeciwko niej w pociągu od wielu lat jest na emeryturze, podczas gdy ma on ledwie sześćdziesiątkę. Ciąca niektórych mężczyzn najwyraźniej lubią karać swoich powierników za grzeszny żywot wszystkimi możliwymi skurczami charakterystycznymi dla staruszków. Koszula w kratkę opina mu brzuch, wydechane powietrze wypływa ciężko przez dziurki w nosie. Mężczyzna ma na sobie brązowy kapelusz, włosy pod nim się przerzedziły, a broda zmieniła kolor na srebrny od zbyt dużej ilości alkoholu i niewielu kompromisów, kontury twarzy stały się miękkie. Problemy ze stawami zmuszają go do tego, by poruszał się, wspierając na czymś, stąd też bez względu na pogodę nosi ze sobą parasol. Nie jest jeszcze przecież, do cholery, taki stary, żeby mieć laskę. Jego spojrzenie jest jednak pewne, a umysł dociekliwy. Mężczyzna jest dobry w tym, co robi, może nawet idzie mu lepiej, gdy sprawia wrażenie zaniedbanego. Łatwo go nie docenić, a on wie, jak to później wykorzystać.

Teraz rozmawiają ze sobą podczas całej podróży pociągiem tak beztrudnie, że Maya nawet nie zauważa, jak świetnie sobie radzi jej współpasażer. Jedno niewinne pytanie wyzwala kolejne i w niedługim czasie okazuje się, że opowiedziała mu o sobie całkiem sporo, podczas gdy on sam nic.

Gdy Maya po raz kolejny idzie do toalety, przymierza się, żeby zabrać ze sobą futerał z gitarą.

– Chyba uda mi się go przypilnować – proponuje pomoc mężczyzna.

Dziewczyna uśmiecha się nieśmiało, jakby futerał był jej tak drogi, że nie chodzi o to, że ktoś może go ukraść, ale o samo to, że na jakiś czas będzie się musiała z nim rozstać. W końcu się jednak poddaje i go zostawia, a gdy znika z widoku, mężczyzna natychmiast zagląda do środka. Do wewnętrznej strony wieka przyklejono zdjęcie dziewczyny wraz z rodziną: młodszy brat, mama i tata. Wygląda na zrobione niedawno, chociaż sweter taty jest już z pewnością stary,

jasnozielony i sprany, z logo klubu na brzuchu. Po tym wszystkim, co spotkało tę rodzinę, nadal noszą ubrania z niedźwiedziem, przemyka mu przez myśl, gdy zamyka futerał. Sięga do aktówki i wyciąga z niej notes, w którym zapisuje to, co dziewczyna przed chwilą powiedziała: „Mój tata nigdy nie łamie żadnych zasad”. Maya zmieniła się przez ostatnie lata, ma nową fryzurę i bardziej kobiece ciało, jest wyższa i silniejsza. Początkowo prawie jej nie poznał, mimo że z trudem, dzięki wzajemnym przysługom, udało mu się przez starego znajomego dowiedzieć, którym pociągiem będzie dziś wracała do domu. Na ostatnich zdjęciach, jakie znalazł, miała piętnaście, prawie szesnaście lat. Dalej już było trudniej, bo po gwałcie całkowicie przestała publikować zdjęcia w internecie.

Wie doskonale, że jego własna córka powie mu, że przesadził, zbliżając się do Mai w taki sposób. A może nawet, że to nieetyczne. Jednak całe życie dziennikarza nauczyło go, że żeby ujawnić jakiś duży skandal, trzeba wokół niego opowiedzieć historię, w przeciwnym wypadku czytelnicy stracą zainteresowanie, zanim jeszcze dojdzie się do sedna. Dobra historia to jak roczne sprawozdanie: może być niezmiernie nudne, jeśli się nie wie, gdzie szukać. Właśnie tego zawsze uczył córkę, ich relacja była burzliwa i skomplikowana, ale jest pewien, że udało mu się chociaż nauczyć ją dziennikarstwa. Inaczej w zeszłym roku nie przeprowadziłaby się do Hed i nie została redaktorką naczelną tamtejszej gazety.

Niedawno zadzwoniła do niego i opowiedziała mu, czego się dowiedziała, szperając wokół klubu sportowego, i poprosiła o pomoc. Zdziwił się, że nie chce tego powierzyć własnym reporterom. „Tato, proszę cię, to nie są jakieś tam sobie dwa miasta. Moi reporterzy mają dzieci w szkole w Björnstad, tej samej, do której uczęszczają dzieci mężczyzny, który może wylądować w więzieniu, jeśli to wszystko opublikujemy. Jakim cudem moi reporterzy mają mieć odwagę, by o tym pisać?”

Ojciec oczywiście zrozumiał, teraz siedzi więc w pociągu. Ze względu na córkę, ale również dla samego siebie. Przepił prawie całe jej dzieciństwo, a mimo to ona wybrała ten sam zawód co on. Nigdy wcześniej nie poprosiła go o pomoc. Nie należy nie doceniać ojca, który za wszelką cenę szuka przebaczenia. Jest gotowy na wszystko.

Stos dokumentów na jego kolanach to roczne sprawozdania finansowe Björnstad Hockey z ostatnich dziesięciu lat. Córka miała nosa: manipulacje były tak systematyczne, że niemożliwym wydawało się, że zarząd, sponsorzy ani politycy

nie mieli o tym pojęcia. Zrobili, co mogli, by zamieść wszystko pod dywan, większość dziennikarzy z mniejszym doświadczeniem pewnie nie zwróciłyby na to uwagi i nie wiedziałyby nawet, jak się do tego zabrać. „Nikt jednak nie potrafi szukać tak jak ty, tato”, powiedziała mu córka do telefonu i słyszała, że się uśmiechnęła. A więc szukał. Pod sprawozdaniami leżą kontrakty i cesje, i dokumenty, kawałek po kawałku świadczące o totalnym skorumpowaniu związku sportowego. Wielu z winnych w tej sprawie było oczywiście zbyt sprytnych, by się na czymkolwiek podpisać, ale jedno nazwisko wciąż powraca, jeden podpis u dołu każdego dokumentu: Peter Andersson.

W swoim notesie mężczyzna zapisuje: „Czapka Mai jest zielona, z niedźwiedziem. Nieco za duża”.

Słudzy boży

Matteo nie pamięta, skąd się dowiedział, że kobieta, do której należał bar, zmarła. Nie rozmawiał o tym z nikim, ale może przeczytał to gdzieś w internecie, po tym, jak usunięto awarię prądu, a może usłyszał to od pary staruszków z domu obok, gdy obudził się u nich na podłodze w piwnicy następnego dnia po wichurze. Ze snu wyrwał go koszmar o siostrze. Serce zaczęło go piec, niczym przemarznięte dłonie wystawione do ognia. Początkowo bez czucia, po chwili przychodzi niewielki ból spowodowany wychłodzeniem, a potem prawdziwa męka, gdy robi się nam ciepło. Dopiero gdy odpuszcza znieczulenie spowodowane snem i zimnem, a ciało czuje się bezpiecznie, zaczyna się istna gehenna. Na dnie koszyka obok szafy z bronią Matteo znajduje niewielką butelkę z bimbrem. Prawdopodobnie sąsiad zapomniał o niej po polowaniu, a może schował ją przed żoną. Matteo pije wolno z zamkniętymi oczami, czuje rozchodzące się w głowie ciepło i ponowny chłód w sercu.

Wyczołguje się przez okno i zakrada do domu. W środku nie ma nikogo. Rodzice jeszcze nie wrócili z siostrą do Björnstad, pewnie mama musiała się zatrzymać w każdym kościele po drodze. Starsza siostra zawsze wyklócała się z nią o Boga, Matteo za to nigdy. Nie wierzył w niego tak samo jak siostra, ale nie chciał zranić mamy, była taka niestabilna.

„Jesteś jedynym dobrym człowiekiem, jakiego znam”, mawiała siostra, mierzwiąc mu włosy.

Tylko ona z nim rozmawiała. Nikt inny w szkole. Rodzice natomiast tyle rozmawiali z Bogiem, że przestali już nawet rozmawiać ze sobą nawzajem. Siostra i Matteo byli ich cudami, mama poroniła wcześniej cztery razy i modliła się do Stwórcy o jedno zdrowe dziecko i urodziła się córka. A kilka lat później syn. Mama tak bardzo się obawiała, że ich straci, że nawet nie miała odwagi być szczęśliwa. Niebo okazało jej swą moc i od tej pory wiodła życie w ciągłym strachu, że

w każdym momencie wszystko może jej zostać odebrane. Wciąż powtarzała to samo:

– Musisz wyrosnąć na prawdziwego sługę bożego. Nie na grzesznika! Na sługę bożego!

Matteo nigdy nie oponował, ale pewnej nocy, gdy byli sami z siostrą, syknęła do niego:

– Mamie już się całkiem pomieszało w głowie, zdajesz sobie z tego sprawę, nie?

Matteo nigdy nie był bardziej zły niż wtedy, ale w sumie nie na siostrę. Najbardziej złościł się na ojca, który nie zrobił nic, żeby jej pomóc, siedział tylko cicho. Chodził do pracy, wracał do domu, jadł obiad, czytał książki, a potem kładł się spać. W ciszy, w kompletnej ciszy.

– Rozumiesz, że muszę stąd uciec, prawda? Matteo, ja muszę żyć! – szepnęła do niego siostra tej nocy, gdy opuszczała Björnstad.

Obiecała mu, że gdzie indziej stanie się bogata i wtedy wróci po niego i go zabierze. Czekał. Teraz siostra jest w drodze do domu, ale nie po to, żeby go zabrać, a Matteo znów najbardziej złościł się na ojca. Gdyby tata był innym typem taty, to wszystko byłoby inaczej. Gdyby miał władzę, pieniądze, grał w hokeja. Wtedy siostra Matteo również otrzymałaby pomoc, ludzie by jej uwierzyli, stanęli po jej stronie. I wtedy by żyła.

Sługa boży nikogo nie uratuje. Przynajmniej nie tutaj.

Hokejowi chłopcy

Amat biegnie do lasu, najdalej, jak tylko daje radę, ale to bez znaczenia. I tak nigdy nie jest sam.

W hokeju wszyscy uwielbiają mówić o głowie: trzeba mieć „twardą głowę” oraz „głowę do wygranej”. Zawodnicy od małego wiedzą, że mają mieć „silną psychę”, ale w sumie nie wiadomo, co to oznacza. Wciąż słyszą o całej masie kontuzji i bólu, ale nie takim, którego nie widać podczas badania rentgenowskiego. Uczą się o tym, jak działają wszystkie części ciała, poza tą, która nimi kieruje.

Amat biegnie coraz głębiej w las, mimo to nie może się pozbyć głosów z głowy:

„Pewnie, że jest dobry, ale czy aby nie za mały?”

„A jak tam jego psycha? Wiadomo, jak to może być. Przecież nie jest... no wiesz... Nie pochodzi, że tak powiem, z hokejowej rodziny”.

„Ma za to dobre dłonie! I jest szybszy niż Kevin!”

„Tak, tak, ale Kevin to miał twardą głowę. Głowę do wygranej”.

Amat słyszał ich wszędzie, w hali lodowiska, w sklepie spożywczym, a nawet w szkole. I doskonale wiedział, jakim hasłem była „hokejowa rodzina”. Odpowiadało im, że zdobywał bramki dla ich drużyny, ale woleliby, żeby wyglądał jak pozostali hokejowi chłopcy, mieszkał w tej samej dzielnicy willowej i śmiał się z tych samych żartów. Woleliby, żeby był Kevinem, pozwalali mu na bycie Amatem tak długo, jak wygrywał. A więc to robił. Wygrywał cały czas.

Z nowym rokiem Björnstad prowadziło w serii, a Hed plasowało się na ostatnim miejscu. Gdy Amat był mały, Hed jawiło się jako lepsze, bogatsze, większe i z większymi wpływami. To właśnie Amat stał się symbolem zmian. Barki bolały go najpierw od zakwasów, a potem od ciężaru ludzkich oczekiwań. Dozorca wpuszczał go każdego ranka do hali, ale Amat coraz mniej czasu spędzał na lodzie, a coraz więcej na siłowni. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy uważają, że jest za mały na NHL, tak więc walczył z ciężarami tak długo, aż wręcz nie miał siły, by powlec się do domu, przez cały czas rozmyślając o tych wszystkich stereotypach,

które słyszał od trenerów, dyrektorów sportowych i innych facetów: „Nie mierzymy czasu przy starcie, tylko przy mecie! Nastawienie bije pochodzenie! Chęć zwycięża talent!”.

Któregoś wieczoru, gdy wracał z lodowiska, był tak wyczerpany, że przedzierając się przez śnieżne zasy, potknął się i wywrócił. Początkowo przegub dłoni prawie go nie bolał, ale im więcej trenował, tym ręka bardziej puchła. Nikomu nic nie powiedział. Żaden klub z NHL nie zdraftuje chłopaka z kontuzją. Musi grać, musi wygrywać, nie może teraz nikogo zawieść. Nie tylko facetów ze spożywczaka, ale również kolegów z Niecki, którzy wymusili na nim obietnicę, że kupi im wypasione zegarki, gdy tylko zostanie zawodowym graczem. Bez nich by go tu nie było. Kilka lat temu przez całe lato biegali z nim na zmianę na pagórku koło domu, tylko po to, by mieć pewność, że się nie podda. Jego marzenia stały się ich marzeniami. Musi się im za to odpłacić. Musi się odpłacić mamie. Trenerowi. Miastu. Wszystkim.

W jednym z meczów strzelił trzy gole, ale wycofał się z blokowania. W szatni starsi zawodnicy od razu zaczęli z niego żartować:

– Ej, królowno, wiesz, że w NHL blokują jeszcze ostrzej, nie?

Gdy wyszedł spod prysznic, na jego miejscu leżało pudełko tamponów. Oczywiście był to tylko żart, ale to zawsze zaczyna się w ten sposób.

W kolejnym meczu uderzył się w kontuzjowany nadgarstek jeszcze raz. Ból był tak przenikliwy, że wręcz klaustrofobiczny, wziął tabletki przeciwbólowe, ale nawet ich nie poczuł, tak więc wieczorem odszukał w Niecce dziewczynę, której brat sprzedawał alkohol. Gdy wróciła z butelką, powiedziała:

– Jeśli powiem bratu, że to dla ciebie, to dostaniesz to za darmo. On cię uwielbia! Nie gada o niczym innym tylko o tym, że jeden z nas, z Niecki, trafi do NHL!

Amat pokręcił głową.

– Brat mówi, że wszyscy bogaci w tym mieście chcą cię tylko wykorzystać – dodała dziewczyna poważniejszym tonem. – Obchodzisz ich wyłącznie dlatego, że mogą na tobie zarobić. Nie daj się wydymać, okej?

– Okej – obiecał Amat.

– Nie mów „okej”, jeśli tak nie uważasz – syknęła na niego.

– Okej, okej, okej. – Amat uśmiechnął się smutno, a ona z równie smutnym spojrzeniem powiedziała coś, co potem długo nie dawało mu spokoju:

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że wszystkie dzieciaki z Niecki patrzą na ciebie i myślą, że jeśli ty możesz być kimś, to one też, co nie? Więc nie spierdol tego, dobrze? Bądź kimś! Patrzą na ciebie i widzą, że nie masz bogatego ojca, który grał w hokeja od stu lat i kupił ci łyżwy na Gwiazdkę, jeszcze jak byłeś niemowlakiem, tak jak ojcowie wszystkich chłopaków na Wzgórzu. Ty musiałeś to wszystko sam w sobie odkryć. Wszystko! To dlatego chłopaki ze Wzgórza cię nienawidzą! Dokładnie tak samo jak wszystkie dziewczyny stamtąd nienawidzą tych, którzy mają lepsze oceny w szkole. Bo w głębi duszy wiedzą, że jeśli urodziliby się tu, gdzie my, to nigdy w życiu niczego by nie osiągnęli i skończyliby na dnie. Wszystko, co mają, dostali za nic i nigdy w życiu na nic nie zasłużyli!

Powiedziała to, żeby dodać mu otuchy, skąd mogła wiedzieć, że tylko dokłada mu ciężaru. To nie była mowa motywacyjna, tylko kolejny kamień w jego plecaku. Amat wrócił do domu i zapił ból nadgarstka, by móc zasnąć. Schował na wpół opróżnioną butelkę w torbie ze sprzętem hokejowym w garderobie, tak żeby nie znalazła jej mama. Po dwóch tygodniach trudniej było mu już chować puste butelki niż te pełne.

Nie pamięta dokładnie, kiedy rozdzwoniły się telefony. Początkowo jeden, dwaj agenci, wkrótce jednak miał wrażenie, że za każdym razem w słuchawce słyszy nowy głos. Twierdzili, że może zostać zdraftowany. „Może” zamieniło się w „będzie”, a to szybko przeszło w „musi”. Amat nie chodził do hokejowego liceum, nie został zeskautowany przez większy klub, ale miał prawdziwy talent. Niczym w bajce o Kopciuszku. „Pojawiłeś się znikąd, ale możesz wejść na sam szczyt!” Wejdiesz. Musisz. Agenci zalecili podpisanie z nimi kontraktu i nieprzejmowanie się niczym, „zostaw wszystko nam”. Amat już wcześniej spotkał tego typu ludzi. Gdy Kevin był największą gwiazdą w mieście, a Amat znał całą prawdę o gwałcie, ojciec Kevina przyjechał do niego swoim wielkim samochodem i próbował mu zapłacić za milczenie. Mężczyźni, którzy teraz do niego dzwonili, brzmiali jak on, w zeszłym roku nikt nawet nie wiedział, kim jest Amat, teraz jednak stał się towarem, który można było kupić. Wyszukał ich nazwiska w internecie i znalazł setki powiązań z machlojkami: agenci, którzy podpisywali kontrakty z dziećmi, zanim jeszcze weszły w okres dojrzewania, inni agenci, którzy nagle załatwiali trenerom juniorów z niewielkich klubów intratne posady w zamian

za to, że tamci przyciągali za sobą niektórych zawodników do agencji, rodzice dostający pieniądze pod stołem. Wszyscy wydzwanający do niego mężczyźni brzmiali tak samo, zapewniając, że takie rzeczy robią wyłącznie inni agenci, nigdy oni sami. Jak więc Amat miał odróżnić, który z nich jest godny zaufania, a który niewart złamanego grosza?

Wkrótce musiał już wyciągnąć łyżwy z torby ze sprzętem, bo nie mieściły się w niej puste butelki. Nadgarstek bolał wieczorami, głowa rano, w końcu całkiem przestał odbierać telefony.

Lokalna gazeta napisała o jego szansach w drafcie NHL, w szatni wszystko się zmieniło, żarty zrobiły się poważne. Gdy stracił krążek albo spalił strzał, słyszał rechot. Już nie wystarczyło, że był najlepszy podczas meczów, musiał się jeszcze wywyższać. Głosy w jego głowie wołały: „Jesteś ściemą, po prostu ci się udawało, do tej pory trafiałeś na słabą obronę”.

Lód stał się ruchomymi piaskami, im bardziej walczył, tym wolniej jeździł. Któregoś późnego wieczoru, gdy trenował na siłowni, przyszedł do niego dozorca, przepraszając, że już musi zamykać. Przepraszając. „Jestem z ciebie dumny”, powiedział starszy mężczyzna, gdy zegnali się na parkingu. Dla niego były to tylko miłe słowa, ale dla Amata dodatkowe sto ton w plecaku.

Nadeszła wiosna, śnieg stopniał i każdy wystający spod niego centymetr asfaltu przybliżał Amata do czerwcowego draftu. Śniły mu się koszmary, budził się czasem z krwawiącym nosem, zaczął mieć napady migreny. A co, jeśli odkryją, że skłamał o kontuzji? A co, jeśli nie zostanie wybrany? Strzelał dwa gole w meczach, w których powinien był strzelić trzy, jeden, gdy powinien strzelić dwa, aż w końcu nie zdobywał ich wcale. Wszyscy czuli się uprawnieni do dawania mu rad, każdy skurczybyk wiedział lepiej, co Amat powinien zrobić. W gazecie opisywano Björnstad Hockey jako „fabrykę talentów”, a Amata jako „ich własny produkt”. Któregoś dnia mama wróciła z zakupów z informacją, że Frak, właściciel sklepu, powiedział jej, żeby przekazać synowi, że „nawet jeśli Amat zostanie zdraftowany, to powinien zażądać, by jeszcze parę sezonów pograć w Björnstad! To dla niego najlepsze! Powinien zostać tutaj, żeby się rozwijać, proszę mu to przekazać!”. Matka opowiadała całą historię z przerażeniem w głosie.

– Mówił o tobie, jakbyś był jakimś... towarem w sklepie... i miał kod kreskowy.

Tej nocy Amat leżał w łóżku i przeglądał internet. Znalazł w nim informację, że jeśli zostanie zdraftowany, to Björnstad dostanie od NHL trzysta tysięcy dolarów. Trzysta tysięcy DOLARÓW. Kilka linijek niżej doczytał: „Po drafcie klub z NHL w porozumieniu z agentem zawodnika pozwala mu jeszcze grać kilka sezonów w niższej lidze, tak aby gracz miał się okazję rozwijać, zanim zostanie przetransferowany do Ameryki”. To dlatego Frak powiedział to mamie, Björnstad chciało dostać pieniądze za Amata, ale oprócz tego zostawić go sobie jeszcze na jakiś czas, by dalej dla nich wygrywał. Mama miała rację. Był tylko kodem kreskowym.

—

Pociąg się zatrzymuje i do środka wsiada grupa piętnastoletnich chłopaków. Maya wraca z toalety i przygląda się im nieco zbyt długo. Czerwieni się, gdy to do niej dociera. Mężczyzna naprzeciwko niej lekko unosi brew znad sprawozdań rocznych.

– Znasz ich? Mogę się przesunąć, jeśli chciałabyś, żeby tutaj usiedli...

– Nie, nie. Nie znam ich. To po prostu chłopaki, jakich tu tysiące. Wie pan, hokeiści...

– Skąd wiesz, że to hokeiści?

– Żartuje pan? Takie same buty i spodnie dresowe, takie same odwrócone tyłem do przodu czapeczki z daszkiem. Ten sam rozkojarzony wzrok spowodowany zbyt dużą ilością krążków, które trafiły ich w głowę. Hokejowych chłopaków da się rozpoznać wszędzie...

Mężczyzna wybucha śmiechem. A potem pyta, tak jakby po prostu myślał na głos i nie kryło się za tym nic głębszego:

– Czy twój tata też jest taki? Hokejowy chłopak?

Widzi, jak Maya mruga powiekami, szybko, tylko przez sekundę. Uśmiech nie jest już taki szczery, raczej wyuczony.

– Kiedyś taki był. Teraz jest już stary.

– Jest więc... hokejowym facetem? – Mężczyzna się uśmiecha.

Maya kręci głową, tak jakby miała wyrzuty sumienia.

– Nie, nie, całkiem już skończył z hokejem. Teraz tylko pracuje z mamą.

Mężczyzna spuszcza wzrok na dokumenty. Rzuca okiem na chłopaków siedzących na końcu wagonu. Już są wyrośnięci, głośni, przyzwyczajeni do swojej fizycznej przewagi: że wszystkie pomieszczenia należą do nich.

– Czy mogę zadać ci pytanie, które prawdopodobnie zabrzmiałoby głupio?

– Pewnie – zgadza się Maya.

– Myślisz, że wszyscy hokejowi chłopcy wyglądają tak samo, żeby komuś, kto wygląda inaczej, trudniej było się dostać do ich grupy? Czy też może wyglądają tak samo, bo boją się wyglądać inaczej niż pozostali?

Maya nie odpowiada tak długo, że mężczyzna zaczyna się obawiać, że posunął się za daleko i że domyśliła się, co planuje. Może to było stanowczo zbyt dziennikarskie pytanie? Ale gdy już zamierza je obrócić w niewinny żart, Maya podnosi wzrok w stronę okna i odpowiada:

– Wszyscy, którzy mają cokolwiek wspólnego z hokejem, zawsze mówią o „walce”. Już od małego uczą się: „Na lód i do walki”. To na zawsze zostaje w ich mózgach, więc już jako starsi nadal czują się, jakby byli atakowani. Są agresywni, jakby próbowali... sobie to zrekompensować.

– Zrekompensować co? – dopytuje mężczyzna.

Maya spogląda na niego.

– Był pan kiedyś na meczu hokejowym? Siedział blisko lodowiska i widział, jak szybko wszystko się rozgrywa? Jak mocno uderzają w krążek? Jakie obrażenia im grożą? Jeśli tylko widać, że jakiś zawodnik się boi, to przeciwnicy rzucą się na niego ze zwielokrotnioną siłą. Uczą się więc, by wyglądać na takich, którzy niczego się nie boją. Jak... – Milknie.

– Jak wojownicy? – dopowiada za nią ostrożnie mężczyzna.

– Tak. Tak jakby.

– Może właśnie dlatego chcą wyglądać tak samo również poza lodowiskiem. Żeby pokazać sobie i innym, że są niczym armia?

Dziewczyna spuszcza wzrok i uśmiecha się nieco zagubiona.

– Ech, sama nie wiem. Tak tylko gadam.

Mężczyzna boi się, że przycisnął ją za mocno, zmienia więc temat i pyta, czy mogłaby mu pomóc zdjąć z półki walizkę, w której ma lekarstwo. Posapuje ciężko,

dając jej do zrozumienia, że jest jedynie nic nieznaczącym starszym panem. To działa.

– Wszystko w porządku? – pyta Maya.

– Tak, po prostu już za długo jestem człowiekiem. – Mężczyzna pochrząkuje.

– Brzmi pan jak Ramona. – Maya uśmiecha się smutno.

– A kto to? – dopytuje dziennikarz, tak jakby tego nie wiedział.

– To właśnie na jej pogrzeb jadę.

– A, przyjaciółka twojego taty? Też lubiła hokeja?

– Lubiała? Miała fioła na jego punkcie. Na koniec została nawet członkiem zarządu klubu.

– Doprawdy? A więc pracowała z twoim tatą?

– Nie. Tata zrezygnował ze stanowiska dyrektora sportowego w tym samym roku, w którym Ramona została wybrana do zarządu. Ale po tym spotykali się chyba nawet częściej niż wcześniej, mama opowiadała mi, że zaglądał do niej do baru prawie każdego dnia w drodze z pracy. Zapewne brakowało mu kogoś, z kim mógłby porozmawiać o hokeju, a u mamy w firmie nikt się tym nie interesuje...

Maya się śmieje. Mężczyzna po drugiej stronie również. Przeprasza i idzie do toalety, utykając nawet bardziej, niż powinien. Zamyka za sobą drzwi i zapisuje w notatniku: *Poprzez Ramonę Peter nadal miał wpływy w klubie, już po tym, jak oficjalnie nie zajmował stanowiska dyrektora sportowego.* Nieco niżej w notatniku dopisuje:

Gdy Maya mówi o hokejowych chłopcach jak o wojownikach, przychodzi mi do głowy żołnierz, z którym rozmawiałem w Afganistanie. Wspominał, że najbardziej nie boi się tego, że umrze, tylko że już nie będzie mógł być żołnierzem. Jego największym strachem było wykluczenie. Bo czymże jest żołnierz bez swojej armii?

W zamyśleniu postukuje długopisem o notatnik. Po chwili na samym dole pisze: *Kim jest mężczyzna w Björnstad bez swojego klubu hokejowego?*

–

Któregoś dnia wczesną wiosną lokalna gazeta napisała, że policja zrobiła nalot na czynszówki po drugiej stronie podwórka, na które wychodziły kuchenne okna

mieszkania Amata i Fatimy. Gdy tego samego wieczoru Amat kupował alkohol, dziewczyna opowiedziała mu, że zabrali jej brata. „Gdy dzwoniemy do administracji, bo nie działają kaloryfery, to schodzi im pół roku, żeby kogoś przysłać, ale jak tylko ktoś sprzedaje dwa gramy haszu, to policja z psami zjawia się po pięciu minutach” – wyrzuciła z siebie wibrującym ze złości i z rozpaczyny głosem.

Następnego wieczoru, gdy Amat wrócił do domu, zastał Petera Anderssona siedzącego z mamą w kuchni. Z całą pewnością nie przyszedł z własnej woli, chłopak rozumiał, że Frak i reszta sponsorów wysłali go z nadzieją, że „przemówi Amatowi do rozsądku”. Tak jakby Amat był mu coś winien. Peter powiedział, że jest „zaniepokojony”. Amat ze wzrokiem wbitym w podłogę odrzekł, że zupełnie niepotrzebnie. „Peter uważa, że powinieneś porozmawiać z jednym z agentów, którzy dzwoniли, Peter go zna...” – powiedziała mama, ale co ona mogła wiedzieć? Co Peter jej nagadał? Czyżby próbował ją wpędzić w wyrzuty sumienia dlatego, że to on załatwiał Amatowi sprzęt, gdy ten był mały? Czyżby Amat miał teraz spłacić swój dług? „Okej, przemyślę to” – obiecał z przygnębioną miną, tylko po to, by nie sprawić przykrości mamie.

I na tym mogłoby się skończyć, ale gdy Peter wychodził, rzucił do niego, tak żeby mama nie słyszała: „Czuć od ciebie alkohol, chciałbym ci jakoś pomóc...”. To nie była wina Petera, wszystko się po prostu zważyło na Amata naraz. Spojrzał więc tylko na niego i syknął: „A komu jeszcze innemu pomaga pan w Niecce? Komuś, kto nie jest dobry w hokeja? Niech pan przestanie kłamać! Jak wszyscy inni chce pan tylko na mnie zarobić!”. W jego oczach widział, że skończyło mu się powietrze w płucach. Dawny dyrektor sportowy wolnym krokiem opuścił mieszkanie, a Amat zatrzasnął za nim drzwi. Wieczorem zapytał dziewczyny z Niecki, czy nie załatwiłaby mu czegoś innego niż alkohol. Wróciła z pigułkami. Przespał całą noc, a gdy się obudził, nadgarstek bolał go mniej.

—

Chłopaki w pociągu urządzają sobie jakieś zawody, pokazują coś w telefonach i wybuchają śmiechem, opowiadając zrozumiałe tylko dla siebie żarty. Wszystko jest dla nich wyścigiem, Maya doskonale zdaje sobie z tego sprawę, w Björnstad mieszka cała masa mężczyzn, którzy kiedyś byli takimi właśnie piętnastolatkami

i w sumie nigdy nie przestali nimi być. Już dorośli urządzają sobie zawody w tym, kto ma największy dom, najnowszy samochód, najdroższy sprzęt do polowań i do połowu oraz czyj syn jest najlepszy w drużynie dziecięcej. Ana zwykła mówić, że wszyscy hokejowi chłopcy grają wyłącznie dla swoich ojców, żeby spełnić ich oczekiwania albo pokazać im, że wcale nie mieli racji, żeby sprawić, by poczuli się dumni, albo wkurzyć ich do czerwoności. Prawdopodobnie rozumiała ich dlatego, że również miała takiego ojca w domu.

Maya przygląda się piętnastolatkom i sama się dziwi, o ile starsza się czuje, jak wiele życia już minęło. Ich świadczące o pewności siebie uśmiechy to znak, że trener już im wpoił, jacy są cenni, ciekawe tylko, czy wspomniał, że to działa tylko, dopóki wygrywają. Czy dotarło już do nich, że są towarem na sprzedaż, który duże kluby i agenci porzucają natychmiast po tym, jak nabawią się kontuzji albo grają zbyt słabo, albo po prostu chociaż odrobinę odstają od grupy? Że nie są maszynami?

Zastanawia się, czy nadal uwielbiają samą grę, tak jak wtedy, gdy byli dziećmi i grali na zamrzniętym jeziorze albo na podjeździe przed garażem. Czy wciąż rzucają się ze szczęścia na ścianki z pleksi na lodowisku za każdym razem, gdy strzelą gola? Ana potrafiła ich świetnie naśladować, zawsze twierdziła, że wszyscy hokejowi chłopcy gdy idą do łóżka, wyglądają dokładnie tak samo, jak gdy strzelają gola. Kiedy po wuefie zostawały już w szatni same z Mayą, wciskała się w ścianę pod prysznicem i z wykrzywioną twarzą mamrotała: „Zobacz mnie! Zauważ mnie! Powiedz, że jestem prawdziwym mężczyzną, tato!”. Maya pamięta, jak strasznie się wtedy z tego śmiała, były jeszcze dziećmi, niczego jeszcze nie traktowały śmiertelnie poważnie.

Piętnastolatki w pociągu się śmieją i Maya zastanawia się, z jakich żartów. Jakie zdjęcia sobie pokazują? Czy rozmawiając o dziewczynach, używają ich imion czy też jakichś innych słów? Czy najlepsi z tych chłopców odważą się zaprotestować, gdy najgorsi przekroczą jakąś granicę? Widzi w tej grupie takiego Benjiego i Bobo, i Amata. Ciekawe, czy jest wśród nich również taki Kevin. Ma nadzieję, że jeśli tak, to chłopcy się na nim poznali. Skoro bowiem nikt z zewnątrz nie widzi różnicy i wszyscy patrzą na nich jak na całość, na grupę, to tym ważniejsze, żeby oni dostrzegali różnice między sobą.

Wygląda przez okno i rozpoznaje okolicę. Młodzież z południa zobaczyłaby tu tylko las, ale ona dokładnie wie, jak blisko jest teraz dom. Zamyka oczy,

a wszystko, czego nie może zapomnieć, z każdym kilometrem staje się jeszcze wyraźniejsze. Detale w jego pokoju. Ustawienie mebli. Każdy dźwięk. Każdy oddech. Gwałt nigdy się nie skończy, przynajmniej dla niej. Zastanawia się, czy on czuje się tak samo z bronią na ścieżce do biegnięcia. Czy pamięta, jak to jest się posikać, czy gdy zamyka oczy, nadal czuje zimno metalu, jak wtedy, gdy przystawiła mu lufę do czoła? Czy kliknięcie naciśniętego spustu nadal odbija się echem w jego głowie? Myśli nad tym, gdzie on teraz jest i czy wciąż tak się boi, że musi zasypiać przy zapalonym świetle.

Ma taką nadzieję. O tak, kurwa! Taką ma nadzieję.

Motyle

Siostra Matteo miała na ramieniu wytatuowanego motyla, oczywiście w tajemnicy, inaczej rodzice chyba wyszliby z siebie. Wybrała ten wzór po tym, jak przeczytała, że skrzydła motyla mogą wywołać burzę na drugim końcu świata. Czuła się tak bezsilna, że bycie owadem stanowiło dla niej najodważniejszą rzecz, o jakiej mogła marzyć.

Widać go na zdjęciu, tym, które Matteo ukrył pod innym, na ścianie, tak żeby rodzice go nie zobaczyli, gdy wejdą do niego do pokoju. Zapewne oburzyliby się na tatuaż jeszcze bardziej niż na narkotyki i alkohol, bezczeszczenie własnego ciała jest dziełem Szatana, tak wiele rzeczy na ziemi jest dziełem Szatana, że siostra, chcąc naprawdę dopiec matce, wybuchnęła kiedyś: „A wiesz, kiedy BÓG tak właściwie jest w pracy?”. Powstrzymywała się od kolejnych uszczypliwości tylko dlatego, że Matteo również smutniał, gdy mamie robiło się przykro. A jego nigdy nie chciała skrzywdzić. To była jego jedyna broń, chronił przed sobą nawzajem całą rodzinę, używając własnego serca jako tarczy. Tak więc gdy siostra uciekła z Björnstad, zrobiła to sposobem. Powiedziała rodzicom, że jedzie do kościoła, skontaktowała się nawet z tamtejszą parafią i uzgodniła, że będzie mogła tam zamieszkać. Już wcześniej przyjmowano tam „dzieci z problemami”. Rodzice myśleli, że córka w końcu odnalazła prawdę, mama aż się rozplakała. Gdy z kościoła zadzwonili z informacją, że nigdy się u nich nie pojawiła, siostra zdążyła już opuścić kraj. To było dwa i pół roku temu.

Kiedy niedawno w środku nocy odebrali kolejny telefon i policjant po drugiej stronie słuchawki łamaną angielszczyzną wymawiał jej nazwisko, rodzice nawet nie uronili łzy. Tak jakby zdążyli ją już opłakać dawno temu. „Zabrał ją Szatan” – matka wyszeptała tylko tyle, a Matteo, nie chcąc ranić jej jeszcze bardziej, nie miał serca zapytać: „Dlaczego w takim razie Bóg jej nie uratował? Czy nie było warto o nią walczyć?”.

Rodzice wracają właśnie z jej prochami do domu, a Matteo wlepia wzrok w czarny ekran przed sobą. To, gdzie człowiek się rodzi i kim się staje, to okrutna loteria. Ile dokładnie jego i jego siostrę dzieliło od szczęścia? I czy w ogóle da się zmierzyć wszystkie „gdyby tylko” i „gdyby tylko nie”, bo przecież to głównie z tego składa się życie.

Gdyby tylko Björnstad i Hed nie były takimi zasranymi dziurami. Gdyby tylko ludzie nie byli tacy okropni. Gdyby tylko policja chciała wysłuchać siostry Matteo. Gdyby tylko rodzice uwierzyli w jej słowa tak bardzo jak w boże. Gdyby tylko Matteo i jego siostra urodzili się gdzieś, gdzie coś by znaczyli. Gdyby zamiast tego byli rodziną Anderssonów. Gdyby Matteo był Leo, a jego siostra Mayą. Gdyby ich mama była adwokatką, a ojciec dyrektorem sportowym w klubie hokejowym.

To wtedy ktoś zawalczyłby również o nią.

Zmywarki do naczyń

Któregoś dnia zeszłej wiosny na trybunach w hali lodowiska podczas treningu zasiadł nagle mężczyzna koło pięćdziesiątki. Niski, otyły i z przerzedzonymi włosami. Na grubym golfie zawiesił ciężki złoty łańcuch, a na to zarzucił cienką skórzaną kurtkę. „Co to za taksówkarz?”, zażartowało kilku graczy, którzy dopiero co się tu wprowadzili, ale gdy żaden miejscowy zawodnik nie podchwycił tematu, ucichli. Mężczyzna na trybunach przez cały trening nie spuszczał oczu z Amata, nie odezwał się potem ani słowem, ale przyszedł na kolejny. I kolejny, i jeszcze następny. W końcu nowi zawodnicy zapytali ponownie: „Ale serio, co to za typ?”. Amat udawał, że nie wie, pozostali również. Jednak jeden z graczy, wychowany na Wzgórzu, w przekonaniu o swojej nieśmiertelności prychnął: „To Lev! Jeden z górzaków zza Hed! Nie słyszałeś o włóczęgach?”. Amat zauważył, że na lodzie nie wydawał się taki odważny, ale szatnie to zawsze bezpieczna przystań dla maluczkich. Sam oczywiście słyszał plotki o Levie, jak i wszyscy, ale mama już dawno temu go nauczyła, żeby nie mówić źle o byle kim, bo może się okazać, że ten ktoś wcale nie jest byle kim.

Zadowolony kolega z drużyny opowiadał natomiast o tym, że „górzaki” nazywają się tak, ponieważ kilka lat temu przejęli stare złomowisko przy zboczu na obrzeżach Hed. Nikt do końca nie wiedział, skąd przybyli, początkowo byli to tylko Lev i kilku jego kompanów, teraz jednak krążyły plotki, że w przyczepach kempingowych na tym terenie mieszka ponad dwadzieścia osób. Niektórzy twierdzili, że „górzaki” sprzedają kradzione części samochodowe, inni, że narkotyki, a jeszcze inni, że robią dużo gorsze rzeczy. Emocje w szatni z czasem opadły, to właśnie tam rozluźniają się wszystkie mięśnie, a zwłaszcza języki. Wtedy też jeden z nowo przybyłych zawodników powtórzył dowcip o taksówkarzu i tym razem spotkał się on z dużo przyjaźniejszym odbiorem. Zachęcony pozytywnymi reakcjami, kolejny gracz opowiedział kawał o tym, że po przejęciu złomowiska górzaki nie bardzo wiedziały, jak pod maski samochodów upchać wszystkie wielbłądy. Tym razem śmiechów było mniej, ale zawodnik zachęcony

zainteresowaniem publiczności ciągnął dalej: „Złomowisko jest chyba największym rodzinnym przedsiębiorstwem w okolicy, bo przecież wszystkie mały są ze sobą jakoś spokrewnione, nie?”. W tym momencie wszyscy ucichli i nieśmiało spojrzeli na Amata, spodziewając się wybuchu z jego strony. Kolega z drużyny spurpurowiał na twarzy, co jedynie potwierdziło, jakiego typu żarty zwykł opowiadać, gdy Amata nie było w pobliżu, ale przede wszystkim obnażyło siedzących cicho pozostałych zawodników. Tak więc Amat udał, że tego nie usłyszał, spakował swoje rzeczy i poszedł do domu, wmawiając sobie, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż przejmowanie się całym tym głównem.

Lev przyszedł na kolejny trening i jeszcze następny, nigdy z nikim nie rozmawiał, śledząc wzrokiem tylko jednego zawodnika. Nikt więcej nie opowiadał już o nim dowcipów, w każdym razie nie przy Amacie, ale w całym budynku stopniowo i po cichu narastał dyskomfort. Starsuszkowie, którzy zwykle przyglądali się każdemu treningowi, przenieśli się kawałek dalej, a zawodnicy coraz częściej spoglądali na trybuny. Nikt nie powiedział nic Amatowi, zapewne oczekiwali, że sam coś powie, tak jakby miał przeprosić całą drużynę za to, jakich ludzi przyciąga do hali lodowiska. Przecież do tej pory tak dobrze mu szło przepraszanie, tym razem jednak z jakiegoś powodu sobie odpuścił. Może miał już dość żartów, a może nie miał już ochoty być za wszystko odpowiedzialny.

Cała sytuacja ciągnęła się przez dobre dwa tygodnie, aż któregoś wieczoru Amat spotkał się z dziewczyną z Niecki, by kupić tabletki, a ona pokręciła głową. „Sorry. Nie wolno mi już więcej ci sprzedawać”. Amat krzyknął oburzony: „Niby kto tak mówi?”. Odpowiedziała krótko: „Lev”. Amat zapytał: „To od niego je kupujesz?”. Gdy zaprzeczyła, warknęła: „A co jemu do ciebie?”. Tylko wzruszyła ramionami. „A jakie to ma znaczenie? Myślisz, że mi życie niemiłe? Jak Lev mówi nie, to nie. Nie zamierzam wchodzić w drogę górzakom. Jak chcesz, to sam z nim pogadaj”.

Następnego dnia po treningu, ku zdziwieniu wszystkich kolegów z drużyny, Amat ruszył w górę trybun, wbił wzrok w Leva i ryknął: CZY PAN TEŻ UWAŻA SIĘ ZA MOJEGO OJCA TAK JAK I WSZYSCY INNI W TYM MIEŚCIE?

Odchylony na krześle Lev spojrzał Amatowi prosto w oczy i spokojnie pokręcił głową, poprawił łańcuch na szyi i przetrzymał chłopaka tak długo, że ten aż usłyszał własny puls dudniący mu w uszach.

„Nie jestem niczym ojcem. Nie potrzebujesz ojca. I sam o sobie decydujesz, tak? Nie potrzebujesz ojca” – powiedział po chwili. Amat przez kilka sekund nie

odpowiadał, a następnie, z większą już rezerwą, zapytał: „Co pan tu w takim razie robi?”. Lev odparł: „Chcę ci pomóc, tak?”. Intonacja tej odpowiedzi czyniła ją nieco zagmatwaną i Amat nie był pewien, czy to było pytanie czy stwierdzenie, wymamrotał więc: „Wszyscy inni faceci w tym mieście też tego chcą...”. Lev uśmiechnął się szeroko. „Czy ja wyglądam jak wszyscy inni faceci w tym mieście?” Powiedział to w ojczystym języku matki Amata, mimo że wcale nie sprawiał wrażenia, jakby był z tego samego kraju co ona. „Skąd pan pochodzi?” – zapytał Amat również w języku matki, nieco zawstydzony tym, jak trudno było mu wypowiedzieć to zdanie, bo tylko z nią rozmawiał w ten sposób. „Jestem znikąd, znam wiele języków, ty też się tak czasem czujesz, tak? Jakbyś był znikąd”. Lev się uśmiechnął.

Początkowo była to nieśmiała relacja. Lev zaproponował, że będzie go odwoził po treningach, Amat długo się wahał, ale w końcu się zgodził, głównie z ciekawości. „Nie powinieneś brać tych gównianych pigułek, które kupujesz w Niece. Jeśli coś cię boli, załatwię ci prawdziwe leki, tak?” – powiedział poważnym głosem Lev. Amat kiwnął głową. Lev spojrzał mu w oczy i zapytał: „Więc cię boli?”. Amat ponownie skinął. Pierwszy raz się do tego przyznał. Lev nic już więcej na ten temat nie powiedział, zamiast tego zadawał inne pytania, jednak nie takie jak wszyscy, dotyczące hokeja, ale o Amata i jego mamę, i o to, jak mu się dorastało w Björnstad. Początkowo chłopak odpowiadał zdawkowo, ale w niedługim czasie się rozgadał. Opowiedział Levowi, jak Hed i Björnstad się nienawidzą, co ten skwitował, że to tylko nienawiść do ludzi z pieniędzmi. „Różnica między waszymi ludźmi to nie różnica między Hed a Björnstad, a różnica między biednym a bogatym, mój drogi. Mieszkam w Hed, tak? A ty bardziej przypominasz mnie czy jakiegoś faceta ze Wzgórza? W jego oczach jesteście tym samym: ty i ja. Biedakami. Jego niewolnikami. Mężczyźni tacy jak on żądają, żebyś był za wszystko wdzięczny, tak? Ale wdzięczny za co? Myślisz, że bogaci by się tobą przejmowali, gdybyś nie grał dobrze w hokeja? Oni nie są tacy jak my, Amat. Nigdy nie zostaniemy częścią ich miasta”.

Pierwszy raz od dawna Amat poczuł, że ktoś go rozumie.

—

– Uważaj na drzewo – woła Peter, wskazując jedno blokujące pół jezdni.

Wszędzie ich pełno, rozsypanych jak gigantyczne bierki, Teemu zwalnia i prawie wpada do rowu. Telefon znów wibruje mu w kieszeni.

– Trzymaj kierownicę – mówi Teemu i od razu ją puszcza, a Peter natychmiast się na nią rzuca.

Teemu zaczyna odpisywać na esemesa, podczas gdy Peter z trudnością manewruje pomiędzy pniami.

– Czy ty... czy mógłbyś... TEEMU! – wrzeszczy w końcu Peter, a Teemu hamuje w ostatniej sekundzie, zanim przy jednym z podjazdów do garażu wjeżdżają w coś, co wygląda jak pół płotu i uciekająca z czyjegoś podwórka balia.

Teemu zatrzymuje samochód, ale nie przestaje klepać w klawiaturę telefonu.

– Ileż dziś gadają. Ci „ludzie” – mruczy Peter.

– Zmieniono schemat rozgrywek. Wiesz, z kim gramy pierwszą rundę? Z Hed! – odpyskowuje Teemu.

– Oj – odpowiada Peter, bo nic innego nie przychodzi mu do głowy.

– Cholerna masa plotek... muszę teraz... – mówi Teemu i od razu się reflektuje.

– O czym? – pyta Peter, mimo że tak naprawdę wcale nie chce wiedzieć.

Teemu spogląda na niego, jakby próbował ocenić, co może mu powiedzieć, a czego nie, wzdycha i wyjaśnia:

– Przedstawiciele gminy spotkali się rano z twoim kumplem Frakiem. Dach hali lodowiska w Hed runął podczas burzy i teraz wszystkie ich drużyny mają trenować u nas.

Peter długo się nie odzywa. Szyby w samochodzie są zasunięte, ale mimo to ma wrażenie, że czuje podmuch wiatru znad jeziora obok hali, przed którą na masztach powiewają wzniesione do połowy flagi. Nagle robi mu się zimno.

– Jestem pewien, że to tylko tymczasowo, ty i twoi chłopcy, Teemu, nie musicie się...

– Gmina użyje tego argumentu do połączenia obu klubów, przecież dobrze o tym wiesz! – przerywa mu Teemu.

Peter kiwa głową, waha się przez chwilę, a potem wzdryga z zimna.

– Już wcześniej próbowali je połączyć. Sam uczestniczyłem w takich spotkaniach. Nigdy się to...

– Tym razem jest inaczej.

– Niby dlaczego?

Teemu opuszcza brew.

– Bo tym razem to Björnstad jest bogate. Na połączeniu klubów zyskają tacy jak Frak.

Peter żałuje, że się odezwał, w tym samym momencie, w którym wyrzuca z siebie tę niesamowitą głupotę:

– A czy to naprawdę byłoby takie złe? Wszystkie gminne środki w jednym klubie, może to i...

Teemu nie odpowiada agresywnie, co tylko czyni jego wypowiedź jeszcze straszniejszą:

– Ten klub nie należy do Fraka, tylko do nas. Jeśli postanowią połączyć nasz klub z tymi czerwonymi jełopami, to tylko po moim trupie.

Peter kiwa głową ze wzrokiem wbitym w kolana, nic nie mówi, bo wie, że to nieprawda. To się wydarzy po trupach innych, każdego, kto stanie na drodze. To właśnie Teemu miał na myśli, mówiąc, że „klub należy do nas”, bo albo należysz do „nas”, albo nie, a Peter z własnego doświadczenia nazbyt dobrze wie, że najniebezpieczniejsze miejsce w tym lesie znajduje się pomiędzy mężczyznami a władzą. Nic nie mówią, dopóki nie zatrzymują się przed domem Petera. Były dyrektor sportowy dziękuje za podwiezienie, Teemu tylko kiwa głową. Nie patrząc mu w oczy, Peter mówi jeszcze:

– Teemu, wiem, że niewiele to dla ciebie znaczy z ust kogoś takiego jak ja, ale między twoimi chłopakami a Hed panuje od jakiegoś czasu pokój, prawda? Twoi chłopcy idą za tobą, cokolwiek byś robił, możesz więc zdecydować, że... możesz być teraz dla miasta narzędziem albo bronią. I na tym polega różnica.

Teemu pokazuje w uśmiechu wszystkie zęby.

– Naprawdę brzmisz jak ona.

– Dziękuję – odpowiada cicho Peter.

– Ale się mylisz. Nigdy nie było pokoju. Jedynie zawieszenie broni – dodaje Teemu, prawie z żalem.

– A jaka to różnica?

– Zawieszenie broni zwykle się kiedyś kończy. – Wyciąga dłoń na pożegnanie i mówi coś dość dla niego niezwykłego: – Dziękuję.

– Nie ma sprawy – zapewnia Peter.

– Naprawdę. Dziękuję za wszystko dzisiaj – dorzuca Teemu ze wzrokiem wbitym w kierownicę.

Gdy znika za zakrętem, były dyrektor sportowy nadal stoi przy drodze, wstydząc się tego, jaką wielką przyjemność mu to sprawiło. Gdy przed wieloma laty przeprowadzili się tu z Mirą z powrotem z Kanady, obiecał jej, że z czasem relacje w tym mieście z pewnością przestaną być tak skomplikowane. Tymczasem było na odwrót. Wszystko i wszyscy są ze sobą coraz bardziej połączeni, w końcu nie będzie się już jak ruszyć.

–

Któregoś wieczoru, gdy Lev odwoził Amata do domu, zapytał go, co zamierza sobie kupić, gdy już zostanie zawodowcem. „Mercedesa i dom dla mamy” – odparł chłopiec. Lev się uśmiechnął. „A mama tego chce?” Chłopak się zaśmiał i pokręcił głową. „Nie, ona chciałaby tylko zmywarkę do naczyń”. Lev wybuchnął takim śmiechem, że aż cały się trząsnął. „Obiecuję: pomogę ci załatwić kontrakt z NHL, tak żebyś mógł jej sprawić służbę. Już nigdy nie będzie musiała zmywać, tak?” Wręczył Amatowi niewielki blister z tabletkami przeciwbólowymi na receptę, które miały uśmierzyć ból nadgarstka. Amat się zawahał, ale po chwili oddał mu swój telefon. Teraz zawsze, gdy dzwonił jakiś agent, odbierał Lev.

Następnym razem, gdy siedzieli w samochodzie, Lev powiedział: „Mówią: hokej to sport kontaktowy, tak? Mówią: to dlatego, że sport na lodzie jest agresywny? Ale nie, to właśnie poza lodowiskiem taki jest! Kontakt? Cały sport to kontakty. Jak wielu zawodników NHL wygląda tak jak ty? Prawie żaden! Dlaczego? Bo żaden trener nie wygląda tak jak ty. Żadni agenci nie wyglądają tak jak ty. Bogaci mężczyźni dają pracę tylko sobie nawzajem. Trzymają się razem, tak? To właśnie dlatego wygrywają. I w taki sposób odgradzają takich jak my od władzy i pieniędzy”. Amat przytaknął. Lev nadal przychodził na każdy trening, a po nim zawsze prowadzili tę samą dyskusję aż do Niecki. Dni stawały się dłuższe, słońce hojniejsze, zbliżało się lato. Którejś nocy Amat z balkonu zauważył grupę ludzi zapalających światła na pagórku. Następnego dnia dowiedział się, że brata dziewczyny, od której kupował alkohol, niedawno wypuszczono z aresztu, w jakimś innym mieście wdał się w bójkę i został ugodzony nożem. Leżał teraz na

intensywnej terapii. Kolejnego dnia Björnstad grało mecz wyjazdowy i podczas trasy na końcu autobusu koledzy z drużyny Amata, którzy nigdy nawet nie postawili nogi w Niece, debatowali o tym, że były to „narkotykowe porachunki”. „Skąd wiesz?” – zapytał jeden. „Myślisz, że to przypadek, że został dźgnięty? To znaczy, wiesz przecież, gdzie mieszka, i wiesz, jak tam jest...” Amat wszystko słyszał, ale nic nie powiedział.

Bobo, najlepszy kumpel Amata z drużyny, a obecnie trener asystujący pod Zackell, siedział na samym przedzie autokaru i nic nie słyszał. To nie jego wina, zbyt zajęty pracą, nie był już na bieżąco z tym, co się mówiło w szatni. On i Amat coraz rzadziej spotykali się poza halą lodowiska, wyglądało na to, że łączy ich coraz mniej. Jednak na krótko przed meczem Bobo zapytał Amata, czy wszystko u niego w porządku. Amat może i mógł opowiedzieć mu prawdę, ale zamiast tego wybrał zapewnienie: „Tak, spokojnie”. Bobo się uśmiechnął. „Okej, po prostu sprawiałeś wrażenie złego. Daj znać, jakby coś było nie tak. Liczymy dziś na ciebie, gwiazdorze!” Nie miał nic złego na myśli. Ale w Amacie aż się zagotowało.

Na minutę przed końcem meczu był remis, Björnstad miało krycie w strefie ofensywnej, Zackell poprosiła o time out i zebrała całą drużynę przy bazie. Wszyscy czekali na techniczne wskazówki trenerki, ona jednak tylko spojrzała na Amata i zapytała: „Jak myślisz?”.

Powinien był zrozumieć, że go sprawdza, ale czuł jedynie zmęczenie i złość. Odparł tylko: „Co ja myślę? O taktyce? Taktyka jest taka, że podajecie do mnie krążek i zjeżdżacie mi z drogi!”.

Odwrócił się do nich plecami, zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć. Podali mu krążek, Amat strzelił gola, ale nikt z nim nie świętował. Nawet Bobo.

Zackell zebrała całą drużynę po meczu, ale Amata wśród nich nie było, poszedł prosto na górę na trybuny, gdzie siedział Lev, i wrócił z nim samochodem do domu zamiast autokarem z drużyną. Tak właśnie wygrał mecz, ale stracił szatnię.

—

Pociąg w końcu się zatrzymuje, Maya wstaje i pomaga starszemu mężczyźnie naprzeciwko zdjąć z półki walizkę. Umieszcza on roczne sprawozdania w aktówce, wkłada kapelusz i podnosi parasol. Lekko się kłania. Maya się śmieje i również się

kłania. Rozstają się na peronie i Maya więcej już o nim nie myśli. On natomiast o niej coraz intensywniej.

Kawałek dalej, w grubej kurtce i czapce naciągniętej głęboko na czoło, tak jak to zwykle o tej porze roku robią ci, którzy dopiero co się tu przeprowadzili, stoi kobieta po trzydziestce. Zanim się obejmą, oczekują, aż Maya zniknie z pola widzenia.

– Cześć, tato – wita się kobieta.

– Cześć, redaktorko naczelna. – Ojciec się śmieje i kłania.

W ironicznym tonie mężczyzny pobrzmiwa jednak nutka dumy. Jako dziecko kobieta powtarzała, że chce zostać dziennikarką, a ojciec odmrukiwał na to, że nie po to zarzynał się całe życie, żeby robiła coś tak niecywilizowanego! Ale w głębi duszy raduje się, że poszła w jego ślady, a nie matki.

– Jak minęła podróż? – pyta.

– Czym się tak martwisz?

Brakowało mu tego jej zmarszczonego czoła.

– Dobrze wiesz, tato! Rozmawiałeś z dziewczyną? Z Mayą?

– Całą drogę – mruczy zadowolony ojciec.

Córka wzdycha głęboko, widzą się dopiero od dwóch minut, a ojciec już zdążył przyprawić ją o migrenę.

– Nie powiedziałaś jej chyba, że jesteś dziennikarzem? I co masz zamiar tutaj robić?

– Przecież to zniszczyłoby cały nasz plan – prychna mężczyzna.

– Wiesz, że to nieetyczne, prawda? To nam może wysadzić w kosmos całą serię artykułów...

Z ignorancją macha w jej stronę parasolem i rusza przed siebie po peronie.

– Etyczne? Bzdury! To córka Petera Anderssona. Wiesz, co mi powiedziała? „Tata zawsze przestrzega wszystkich zasad”. To jest idealny cytat, który może być wprowadzeniem do całej serii artykułów! Czego cię uczyłem o tym, ile myśli naraz mogą mieć w głowie ludzie?

– Proszę cię... – jęczy córka, ale równocześnie nieco się uśmiecha.

– No ile?

– Jedną. Ludzie mogą mieć naraz w głowie tylko jedną myśl.

Mężczyzna przytakuje tak zamasyście, że brązowy kapelusz niemal spada mu z głowy. Córka wybucha śmiechem, bo to cały on, zawsze ma jakiś mały idiotyczny detal, który wyróżnia go z tłumu. Gdy była mała, zawsze nosił muchę, gdy wszyscy inni wybierali krawat, i kieszonkowy zegarek zamiast zwykłego, zawsze w jakiś sposób pod prąd. Wbija w nią wzrok.

– No właśnie. A Björnstad Hockey tak długo udawało się unikać odpowiedzialności za przestępstwa gospodarcze, bo ludzie tacy jak Peter Andersson znajdują się poza wszelkimi podejrzeniami. Zwłaszcza po takich sytuacjach jak ta z jego córką! Ludzie potrafią utrzymać w głowie tylko jedną myśl i teraz Björnstad Hockey jest po tej dobrej, uczciwej stronie. To klub rodziny Anderssonów, to klub, w którym gra wyoutowany homoseksualny zawodnik, to klub, którego największa gwiazda pochodzi z najbiedniejszej dzielnicy w mieście, talent odkryty tylko dlatego, że jego matka sprzątała w hali lodowiska. CZYTAŁAŚ tę broszurę, którą mi wysłałaś? „Sponsoring Björnstad Hockey jest nie tylko możliwy, ale i właściwy”, słyszałaś kiedyś o większej arogancji?

Córka cierpliwie bierze głęboki wdech.

– Tato, posłuchaj: jestem wdzięczna za to, że przyjechałeś. Naprawdę. I chcę tego samego co ty, ale musimy to zrobić zgodnie... sam rozumiesz, zgodnie z zasadami. Moje źródło w urzędzie gminy twierdzi, że politycy na poważnie rozważają połączenie Björnstad Hockey i Hed Hockey, i wtedy będą mieć też możliwość prowadzenia nowej księgowości i prześledzenia wszystkich śladów defraudacji i korupcji, ale muszę to zrobić tak jak trzeba, tato. Nie chcę, żeby to się przerodziło w coś... osobistego.

Ojciec rozkłada ręce tak szybko, że brzuch aż mu się wylewa spod kraciatej koszuli. Jest co najmniej dziesięć kilo cięższy, niż gdy widziała go ostatnim razem. Broda jeszcze posiwiiała, a skrzekliwy kaszel palacza stał się bardziej uporczywy.

– Jak to ma nie być osobiste? Björnstad Hockey wykorzystuje cały swój politycznie poprawny image jako tarczę przeciwko wszelkim kontrolom. Nawet reporterzy z twojej gazety nie mają odwagi się za nich zabrać!

Jej oczy ciemnieją, po tylu latach wciąż go zaskakuje, jak szybko może jej się zmienić nastrój.

– To są dobrzy dziennikarze. Ale ty tu nie mieszkasz. Nie wiesz, jak tu jest. Nie zabieramy się tylko za klub hokejowy, ale za całą lokalną gospodarkę. Miejsca,

gdzie zarabiają na życie.

Ojciec pochyla głowę, nagle pokornie przytakuje.

– Okej, okej, okej, masz rację, przepraszam.

– Po prostu musisz być ostrożny. Jeśli najpierw zabieramy się za Petera Anderssona, to musisz zrozumieć... ale już na poważnie... że w tych okolicach to nie byle kto. Ma wpływowych przyjaciół. A także... agresywnych przyjaciół.

Ojciec macha parasolem.

– Po co ja tu w takim razie przyjechałem, jeśli mam się zachowywać jak tchórz? Jeśli mamy ujawnić jakiś skandal, to musimy mieć dobrą historię! A wiesz, kto jest dobrą historią? Peter Andersson!

– Hm, tego mi właśnie brakowało, wykładów... – Córka uśmiecha się szeroko.

– Przestań się wygłupiać, nie zadzwoniłaś po mnie dlatego, że jesteś moim dzieckiem – przerywa jej szorstko ojciec – ale dlatego, że ja naprawdę chcę zamienić życie tych dupków w piekło, no i nikt nie robi tego lepiej niż ja.

Jest tak zadowolony, zwłaszcza z tego ostatniego, że aż zapomina oprzeć się o parasol, gdy idzie, i prawie upada na tyłek. Córka w porę go podtrzymuje. Jego wiek daje o sobie znać.

– Tęskniłeś za tym, nie? Za wrogiem? – szepcze kobieta.

Ojciec drapie się po brodzie.

– Aż tak to widać?

W gazecie, w której pracował, był gwiazdą. Nie spuszczali oczu z celebrytów i polityków, bogaci ludzie u władzy zwykle zaczęli się bać, gdy dowiadawali się, że zabrał się za grzebanie w ich interesach. Ale od tamtej pory minęło już trochę czasu, gazeta zleca poważniejsze tematy młodszym, teraz jest bardziej maskotką niż dziennikarzem. Brakuje mu fajtu, jeszcze jednego, ostatniego starcia.

– To będzie cholernie trudne, tato.

– Stąd właśnie wiadomo, że to coś wartego zachodu, moja droga.

Nienawidzi, gdy ktoś tak się do niej zwraca, ale brakowało jej tego z jego ust.

Nienawiść

Johnny dotrzymuje słowa i wraca do domu na kolację, jedyne, co Hannah i dzieci muszą jeszcze zrobić, to udawać, że dwudziesta druga trzydzieści to normalna pora na kolację. Widzą, że się wstydzi, więc nie robią mu wyrzutów, widzą też, jak ciężko pracował w lesie i jak bardzo jest zmęczony. Droga między miastami to nadal pobożowisko pełne powalonych drzew i połamanych gałęzi, ale zdążyli je już na tyle uprzętnąć, że personel medyczny z Björnstad może jechać do pracy w Hed. Hannah staje w kuchni na palcach i całuje męża w kark.

– Odebrałeś samochód? – pyta i w tym momencie Johnny blednie.

– Aaa... kurde... jutro! Poproszę któregoś z chłopaków, żeby mnie podrzucił jutro z samego rana, a potem wrócę i zabiorę dzieci na trening!

Hannah nie ma nawet siły się o to kłócić.

– Okej, okej, jutro się tym zajmiemy. Skończę tylko pranie i zaraz się zabieram za jedzenie... – mówi, ledwo utrzymując otwarte powieki.

Ale Tess, najstarsza z dzieci i świetna opiekunka chłopców, podchodzi do niej, obejmuje ją ramieniem i mówi:

– Proszę cię, mamó. Idź weź gorącą kąpiel. Ja zrobię pranie, a tato może przygotować jedzenie.

Zdążyła już posprzątać, podczas gdy mama pomagała chłopcom w zadaniach domowych. Czasami ni stąd, ni zowąd Hannah zaczyna płakać przygnieciona wyrzutami sumienia z powodu odpowiedzialności, którą obarcza siedemnastoletnią córkę. Musi odcierpieć swoje, bo jest tak poukładana. Jeśli radzi sobie z wieloma sprawami, to najczęściej dostaje ich jeszcze więcej, takie to już przekleństwo pilnych dziewcząt.

– Dziękuję, kochanie, ale... – próbuje jeszcze Hannah.

– Ważność oferty upływa za pięć, cztery, trzy, dw... – przerywa Tess, a mama całuje ją w głowę.

– Okej, okej, dziękuję! W takim razie wezmę szybki prysznic!

Johnny staje przy kuchence i smaży sznycle. Ulubioną potrawę chłopców. Siedmioletni Ture jest przeszczęśliwy, że o tak późnej porze wolno mu jeszcze nie spać. Tess nakrywa do stołu i siada przy krótszym boku, nie dlatego, że jest to dla niej jakieś szczególnie ważne miejsce, ale dlatego, że jeśli Tobias i Ted zaczną się teraz o nie wyklócać, to się pozabijają. Tobias może i ma już piętnaście lat, a Ted tylko trzynaście, ale już prawie dorównuje bratu wzrostem i siłą. A w hokeja radzi sobie nawet lepiej od niego, lecz nikt w rodzinie nie zwraca na to uwagi, by nie urazić starszego chłopca. To nie ma nic wspólnego z genami ani talentem, po prostu Tobias nie jest fanatykiem, poza hokejem lubi też inne rzeczy: gry komputerowe, dziewczyny i imprezy. Natomiast jedyne, o czym myśli Ted, naprawdę jedyne, to hokej. Jeśli właśnie nie trenuje z drużyną, to obija krążkami ścianę w piwnicy albo godzinami wystaje z kijem na podjeździe koło garażu. Tobiasa trzeba czasami zmuszać do treningu, Teda z kolei siłą z niego wyciągać. Jak tylko zamrznie jezioro, spędzi tam każdy poranek, odgarniając śnieg, żeby jeszcze przed szkołą móc pograć chwilę z kolegami.

– Tato, czy droga jest już uprzątnięta? Będziemy mieć jutro trening? – pyta teraz podekscytowany.

– Myślę, że tak – odpowiada zmęczony, ale dumny ojciec.

– Serio musimy trenować w hali w Björnstad? – marudzi oczywiście Tobias.

– Czy ty jesteś nienormalny? – wtrąca się natychmiast Tess. – Widziałeś, jak wygląda nasza? Cały dach się posypał!

Johnny rzuca jej pełne wdzięczności spojrzenie, córka coraz częściej przejmuje rolę karcącego rodzica, tak żeby on już nie musiał.

– Nie nazywaj, proszę, brata „nienormalnym” – szepcze tylko.

– Przepraszam. Tobbe, jesteś prawdziwym bystrzakiem! – odcina się wesoło córka.

– Ale o co chodzi? – pyta podejrzliwie Tobias.

Gromki śmiech ojca przerywa Ture, pokrzykujący ze swojego krzesła:

– Trenujemy w hali Björnstad, bo ta w Hed to KUPA!

Tess go ucisza, Ture reaguje zdziwiony, próbując jeszcze wyjaśnić, że przecież „tata sam to powiedział!”. Johnny pociera palcami coraz rozleglejsze zakola.

– Nie do końca... to miałem na myśli. Byłem trochę zdenerwowany, gdy rozmawiałem dziś rano przez telefon, kolego.

Mało powiedziane. Teraz niespodziewanie Ted podnosi głos:

– Nasza hala w sumie faktycznie jest z kupy! Ta w Björnstad jest sto razy ładniejsza. Wiecie, że mają tam nawet przedszkole? No to pomyślcie sobie, ile czasu mogą spędzać na lodzie.

Johnny skupia całą swoją frustrację na patelni, przewraca sznycle tak intensywnie, że tłuszcz do smażenia pryska i parzy go w dłonie, a on nawet na to nie reaguje. W życiu Teda liczy się tylko jedno: czas na lodzie. Co roku jego drużyna musi o niego coraz bardziej walczyć. Z innymi drużynami, łyżwiarzami figurowymi i terminami przeznaczonymi do ogólnego użytku mieszkańców gminy, do których urzędnicy zmuszają ich każdego weekendu. Jak będzie teraz?

– Ktoś powinien po prostu rzucić na to pieprzone miasto bombę – mruczy niezadowolony Tobias.

Jest dwa lata starszy od Teda i czasami ma okazję spotykać chłopaków z Björnstad na imprezach. I na tyle duży, żeby się z nimi pobić.

– TOBBE! – krzyczy na niego Tess, tak żeby ojciec już nie musiał.

– No co? Przecież wszyscy w Björnstad nas nienawidzą. A my ich. Nie kłam.

– Opuść sobie, Tobbe, nikogo nie nienawidzimy – mówi bez przekonania Johnny.

– Sam przecież powiedziałaś, tato!

– Ale tylko... tylko w hokeju... tylko gdy grają nasze drużyny, tak się tylko mówi... – broni się Johnny.

– Ale przecież my GRAMY w hokeja, tato!

Johnny nie wie, co na to odpowiedzieć. Dzieciak ma przecież rację.

– Myślisz, że będziemy mogli jutro zobaczyć, jak gra pierwszy skład? – przerywa nagle z nadzieją w głosie Ted.

– Nie wiem, czy drużyna Hed... – Johnny błędnie rozumuje.

– Ted ma na myśli pierwszy skład Björnstad. Chce zobaczyć Amata – wyjaśnia ostrożnie Tess.

– Amata? On gra w złym klubie – wyrzuca z siebie instynktownie Johnny.

– Będzie grał w NHL!!! – podkreśla Ted z taką pewnością w głosie, jaką może mieć tylko trzynastolatek.

Johnny powinien był siedzieć cicho, szkoda, że Hannah poszła pod prysznic, bo z całą pewnością walnęłaby go po udzie, zanim zdążyłby wyrzucić z siebie to, co naprawdę myśli:

– Amat? W NHL? Nawet go nie zdraftowali! Oj, jak się tym całe Björnstad podniecało wiosną, ooo, Amat najlepszy na świecie! I co? Nic! Wrócił do domu i teraz niby jest „kontuzjowany”. A może po prostu trochę go przeceniacie? Razem z całym Björnstad?

Nienawidzi samego siebie, jeszcze zanim słowa zdążą wypaść mu z gęby. Hannah twierdzi, że hokej potrafi odsłonić jego najgorszą twarz, ale to nieprawda. To Björnstad Hockey wyciąga z niego to, co najgorsze. Tobias rechocze wniebogłosy.

– Amat to jest dno!

– Będzie grał w NHL! Jest lepszy niż wszyscy w Hed! – mamrocze przekornie Ted.

– Najchętniej byś się z nim przespał. – Tobias śmieje się w głos i w tej samej sekundzie nad stołem wybucha bijatyka. Tess krzyczy, a Ture dopinguje.

Johnny puszcza patelnię i rzuca się w sam środek, by któregoś złapać, któregokolwiek, byle tylko ich rozdzielić. Hannah słyszy ich pod prysznicem na piętrze. Tak, pewnie, to zupełnie logiczne, że to właśnie ją Johnny nazywa tym „uczuciowym człowiekiem” w rodzinie. Naprawdę.

– PRZESTAŃCIE SIĘ BIC! – krzyczy ojciec na dole w kuchni. – Przecież robię tu, do cholery, obia... TOBBE! Przestań, do jasnej cholery, i natychmiast przeproś brata! Ted wcale nie chce się przespać z Amatem! Nie jest przecież... – Przerywa w pół słowa i odchrząkuje, widząc oskarżycielską minę córki. Nieco zdezorientowany poprawia się: – ...to znaczy JEŚLIBY chciał, to nie ma w tym nic złego. Ale teraz... nie chce. Prawda?

Spogląda na córkę, żeby sprawdzić, czy dobrze powiedział. Tess wywraca oczami. Przechodzi mu przez myśl, że teraz naprawdę nie jest łatwo coś powiedzieć. Bierze więc głęboki wdech i kontynuuje:

– Jeśli jeszcze raz się pobijecie, to będziesz miał szlaban na gry, Tobbe. A ty, Ted, nie pójdziesz jutro na trening!

To jedyne, co jeszcze działa, uspokajają się natychmiast, zwłaszcza Ted. Tess znów przewraca oczami. Johnny się zastanawia, czy nie opowiedzieć jakiegoś dowcipu, żeby Ture zaczął się śmiać, bo to jedyna osoba w rodzinie, która jeszcze docenia poczucie humoru taty, ale nie zdąża, bo właśnie słyhać wibracje telefonu Tess. Dostała wiadomość. Po chwili jeszcze jedną. Zaraz potem Tobias. A na końcu nawet Ted. Johnny pochyla się przez ramię córki, gdy ta otwiera zdjęcie, które krąży już w internecie między uczniami szkoły. Przedstawia ono jeden z sztydów Björnstad, ten w lesie, na granicy z Hed. Ktoś tam dziś pojechał i ozdobił go zielonymi szalikami. Pod spodem zawieszono dodatkowo sporej wielkości kawał blachy z wymalowanym sprejem napisem: NASZA HALA TO NASZA HALA!!! SPADAJCIE DO HED, GŁUPIE CIPY!!!

Jutro tą drogą przejadą wszystkie drużyny z Hed, najmłodszy z ich zawodników jest w wieku Turego, i właśnie w ten sposób zostaną powitani. Tess usuwa zdjęcie. Johnny nie mówi ani słowa, ale najchętniej zadzwoniłby do jednego z dziennikarzy z lokalnej gazety, który ostatnio tak się pozytywnie rozwodził na temat „pracy u podstaw” w klubie Björnstad Hockey, i zapytał go, czy to właśnie miał na myśli. Przygnębiony wyklada obiad na talerze i siada przy stole. Jedzą w ciszy, dopóki Tess wymownym gestem nie spróbuje odciągnąć Tobiasa od telefonu. Brat się słucha, ale mamrocze pod nosem:

– Teraz już mi wierzycie? Nie mówiłem? Nienawidzą nas!

Tym razem nikt nie protestuje.

Powrót do domu

„Ludzi tak łatwo oszukać. Jest tyle głupot, w które tak bardzo chcieliby wierzyć, że jeśli tylko trochę się postarasz, to uwierzą ci w każdą bzdurę, którą im zaserwujesz”.

To właśnie przed wieloma laty powiedziała Adri Ovich do brata, po tym, jak ich ojciec wziął strzelbę i poszedł do lasu, a kilku starszych wyrostków z ulicy, przy której mieszkali, rozpuściło plotki o tym dlaczego. Oczywiście jedną głupszą od drugiej – począwszy od tego, że Alain Ovich był winny pieniądze mafii, a skończywszy na wiadomości, że tak właściwie to został zamordowany, ponieważ był przestępcą wojennym, który ukrył się w Björnstad i którego w końcu odnaleźli jego wrogowie. „Ludzie nie są nic warci. Nie słuchaj ich. Jeśli chcesz, walnij ich w mordę, ale ich nie słuchaj” – powiedziała Adri młodszemu bratu, a on zrobił dokładnie to, co mu zaleciła. Okazało się, że w obu przypadkach szło mu całkiem nieźle.

Jeśli spytasz Adri, to według niej ludzie nadal nie są nic warci, woli zwierzęta. Między innymi dlatego też mieszka kawałek za miastem, w lesie, co przez większość czasu jest dla niej zbawieniem, lecz w żadnym razie nie w dni po wichurze. Siostry Katja i Gaby przyjechały pomóc, ale ledwo zaczęły ogarniać to pobojuwisko. Naprawiły płot wokół hodowli i uprzątnęły gałęzie z podwórka, niestety stodoła, która została przerobiona na salę treningową do sportów walki, porządnie oberwała i wymaga kilku godzin dodatkowej harówki. Prąd raz jest, raz go nie ma, a drogi w okolicy w wielu miejscach nie są jeszcze całkowicie przejezdne. Adri się jednak nie uskarża, mimo wszystko i tak wyszła z tego bardziej obronną ręką niż większość. Myśliwi, którzy kupują od niej psy, a to prawie wszyscy zarówno w Björnstad, jak i w Hed, znają tutaj każde drzewo. W porę powiedzieli jej, które powinna ścinać. To uratowało i dom, i ją, i psy.

Słyszysz, jak teraz ujadają. Szczekają oczywiście przez cały czas, ale tym razem Adri prostuje się w połowie ruchu, gdy dociera do niej, co się dzieje. Na długo

zanim zobaczy go idącego drogą. Jeśli całe życie poświęca się psom, to w ich szczekaniu wyłapuje się wszelkie niuanse, Adri od razu słyszy, czy oszczekują jakieś zwierzę czy człowieka i czy robią to, by zaznaczyć, ochronić czy też po prostu ze strachu. Najczęściej to te najmłodsze potrzebują się pokazać, ale teraz szczekają tylko najstarsze, te, których nigdy nie sprzedała, które od szczeniaka należą do rodziny. Szczekają, bo są szczęśliwe.

Ludzi tak łatwo oszukać, myśli Adri, rzucając się do biegu. Żwirową drogą jedzie na rowerze Benji, Adri to wie, zanim jeszcze go zobaczy, wskazują na to bez cienia wątpliwości radosne, bulgotliwe, euforyczne szczekanie psów i ich niecierpliwie drapanie łapami o ogrodzenie. Przez ostatnie dwa lata o jej młodszym bracie krążyły najrozmaitsze plotki, bo ludzi tak łatwo oszukać: że był powodem zawodu, że nie miał odwagi walczyć o siebie, że odpuścił hokeja i uciekł, bo stchórzył. Że to narkoman i pijak i że nic już nie jest wart. Psów jednak nigdy nie oszukasz.

Rozpoznają w tobie wszystko, co najlepsze.

—

Maya nawet nie pomyślała o tym, jak dostanie się ze stacji kolejowej do domu w Björnstad. Przez kilka sekund stoi zdezorientowana na peronie. To było jednak głupie, że mimo wszystko nie poprosiła Any, by po nią przyjechała. Nagle jednak słyszy jakiś głos wołający ją z ulicy.

— Maya! Miło cię widzieć! Podwieźć cię do domu?

To sąsiad z ich ulicy przechyla się przez otwarte okno samochodu i wtedy nagle Maya przypomina sobie, jak to jest tutaj mieszkać, zawsze znajdzie się ktoś, kto podwiezie cię do domu. Nie ma znaczenia, gdzie jesteś, wszystko będzie dobrze, zawsze znajdzie się ktoś, kto zaproponuje pomoc. Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo za tym tęskniła.

Podczas całej drogi uprzejmie rozmawia z sąsiadem, ale im bliżej Björnstad, tym cichsza się staje. Gdy przejeżdżają przez Hed, prawie nie może oddychać.

— Nie do pomyślenia, nie? Wygląda, jakby przeszła tu wojna... — Sąsiad kiwa głową.

Maya budziła się już wcześniej w poranki po wichurach, ale nigdy po takiej jak ta. Nie ma pojęcia, jak naprawią wszystkie szkody, nie jest sobie nawet w stanie wyobrazić, ile to będzie kosztować.

—

Benji jedzie rowerem po wąskiej leśnej drodze, kilka lat starszy i o wiele chudszy niż ostatnim razem, gdy widziały go siostry. Skóra jest bardziej opalona, a włosy jaśniejsze, uśmiech natomiast ten sam. Adri rzuca wszystko, co ma w rękach, i podbiega do niego, ściąga go z roweru i całuje po włosach, mówiąc, że jest pozbawionym rozumu małym głupkiem i że go uwielbia.

— Jak tu dojechałeś? Dlaczego nie zadzwoniłeś? Czyj to rower? — chce natychmiast wiedzieć.

Benji wzrusza ramionami, tak że nie do końca wiadomo, na które pytanie właśnie odpowiada. Psy przeciskają się z kojców i radośnie się na niego rzucają, Gaby i Katja zaraz za nimi. Na górze mama słyszy cały harmider, prawie nie może uwierzyć, ale w następnej sekundzie już biegnie przez żwirową ścieżkę, z reprimendą na ustach, w swoim ojczystym języku, bo przecież ten kraj nawet nie stał w pobliżu wystarczającej liczby przymiotników niezbędnych do tego, by opisać przekleństwa i pogrożki, na jakie zasługuje jej syn, który latał po całym świecie, jak jakiś włóczęga, nie odzywając się do matki wystarczająco często. Zaraz potem przytula go tak mocno, że aż trzaska mu coś w kręgosłupie, i szepcze, że umrze bez bicia jego serca i że odkąd wyjechał, nie miała nawet odwagi oddychać, bo bała się, że wypuści z płuc ostatnie resztki jego powietrza. Benji rozpromienia się w uśmiechu, tak jakby nie było go tylko kilka godzin, i szepcze, że ją kocha, a potem dostaje burę od sióstr, że jest taki wychudzony i że gdyby umarł z głodu, to narzekania matki już nigdy by się nie skończyły, i jak niby one miałyby mieć na to siłę, i dlaczego ten gówniarz wciąż myśli tylko o sobie? Potem ocierają łzy o jego włosy, a potem jedzą.

—

Sąsiad podrzuca ją pod sam dom i Maya dziękuje mu za podwiezienie tak wylewnie, że w końcu słyszy: „Ech, to nic wielkiego, przestań już z tą

wielkowiejską kokieterią”. Na szczęście nie zdążyła mu zaproponować, że zapłaci za benzynę, bo wtedy z pewnością dostałaby kopniaka. Uśmiecha się pod nosem. Podnosi z ziemi kilka połamanych gałęzi i innych śmieci z rabatki, a potem otwiera drzwi do rodzinnego domu. Jak zwykle niezamknięte na klucz. Dawniej myślała, że to jak najbardziej normalne, teraz wydaje jej się jednak, że to taki trochę dziwny egocentryczny nawyk, możliwy jedynie w Björnstad.

Wszystko w środku wygląda jak dawniej. Te same meble, tapety, ta sama codzienność. Tak jakby rodzice próbowali oszukać czas, nie uznając tego, że mija. Maya zatrzymuje się na schodach, wciąga dom głęboko do płuc, przejeżdża opuszkami palców po wiszących wszędzie na ścianach fotografiach swoich i swoich braci. Te najstarsze są Isaka. Rodzice, którzy tracą dziecko, już nigdy nie uwierzą we wszechświat. Któregoś razu usłyszała, jak tata mówi do kogoś przez telefon, że czasem ma takie wrażenie, że wszystkie te błogosławieństwa, które stały się jego udziałem, były powodem, dla którego odebrano im Isaka. Że Bóg, czy kto to tam jest, musiał zachować odpowiednie proporcje. Peter Andersson dostał kochającą żonę, trójkę pięknych dzieci i karierę zawodowca w NHL, a potem jeszcze stanowisko dyrektora sportowego w klubie, który go wychował, a przecież nikt nie może dostać wszystkiego. Tak to sobie pewnie ułożył w głowie. To było jednocześnie niesamowicie altruistyczne i niewyobrażalnie samolubne. Maya pamięta, że tak właśnie sobie wtedy pomyślała. Tak jakby życie każdego dziecka, bez względu na to, czy dobre, czy okrutne, zależało od tego, czy jego rodzice spełniają jakieś kosmiczne wymogi. Jednak chyba tak to właśnie jest, gdy się ma dzieci, Maya nie ma pewności, ale może nie da się uniknąć tego, że kompletnie się już wtedy głupieje.

Oddycha głęboko, stojąc sama na schodach. Czasami wspomnienia są jak porażenie prądem, czasem budzi się z krzykiem w środku nocy, ale za każdym razem, gdy wraca do domu, nieco mniej myśli o Kevinie. Za każdym razem rośnie o jakiś milimetr, budując mocniejszą i grubszą zbroję. Za każdym razem, gdy dzwoni, słyszy w głosach rodziców, że u nich tak to nie działa. Utknęli w tamtych chwilach, nadal się za to obwiniają. Gdy po gwałcie tata siedział z nią w szpitalu, zapytał, czy coś dla niej zrobić, jedyne, co w swej rozpaczyc mogła odpowiedzieć, to: „Kochaj mnie”. I tak też uczynił. Cała jego rodzina również. Czasami ma wrażenie, że pociągnęła ich za sobą na dno czarnej dziury, z której ona sama się już

wydostała, a oni jeszcze nie. Nie ma znaczenia, że wie, że to nieprawda. Poczucie winy zawsze jest silniejsze od logicznego myślenia.

Bezgłośnie rusza w górę schodów, po których nikt oprócz niej i Leo nie potrafi się przemieszczać bez skrzypnięcia. Wchodzi do sypialni rodziców. Tata stoi przed lustrem i trenuje wiązanie krawatu, ale palce nie chcą go słuchać, a twarz jest cała rozpalona z żalości.

– Cześć, tato.

Jego ulubione słowo. „Tata”. Nawet się nie odwraca, bo jest prawie pewien, że mu się przywidziało. Maya musi powtórzyć, tym razem głośnie. Zauważa ją w lustrze, mruga zdziwiony.

– Kochanie...? KOCHANIE! Co... CO TY tutaj robisz?

– Przyjechałam na pogrzeb Ramony.

– Ale jak... jak się tu dostałaś?

– Pociągiem. Przynajmniej najbliżej, jak się dało. A potem podwiózł mnie sąsiad. Na drogach panuje kompletny chaos, ta wichura musiała być straszna. Jak się czujesz, tato?

Wszystkie słowa wylatują z niej naraz, a Peter nadal ledwie wierzy, że córka przyjechała do domu.

– A... szkoła? – wyrzuca z siebie, przytulając ją. Zawsze tata, zawsze.

– Dadzą sobie radę beze mnie. – Maya się uśmiecha.

– Ale skąd wiedziałaś, że pogrzeb będzie w ten weekend?

Dziewczyna znów się uśmiecha, tym razem z pobłażaniem.

– W przyszłym tygodniu zaczynają się polowania na łosie. Potem hokej. W jakim innym terminie miały się odbyć?

Peter drapie się po głowie, nadal z krawatem w dłoni.

– Kochanie, ale naprawdę nie musiałaś przyjeżdżać ze względu na Ramonę. Ona...

– Przyjechałam ze względu na ciebie, tato – mówi cicho Maya.

Czuje, że ojciec prawie się rozpada i zamienia w kupkę kurzu.

– Dziękuję. – To jedyne, co Peter jest w stanie teraz z siebie wydusić.

– Co mogę dla ciebie zrobić, tato?

Peter uśmiecha się z trudem i wzrusza ramionami, tak wolno i bez chęci, jakby to były dwa skrzydła drzwi do stodoły źle umocowane na starych zawiasach. Gdy znów się obejmują, to ona jest duża, a on mały.

– Kochaj mnie, Ogryzku.

– Zawsze, tato.

Nagle słyszą dźwięk otwieranych na dole drzwi. Mira wraca do domu, przechodzi przez próg i na sekundę przystaje. Widzi buty córki na podłodze w przedpokoju i mamine serce od razu bije mocniej. Na piętrze Maya uwalnia się z uścisku ojca z przepaszającym uśmiechem na twarzy, gdy tylko słyszy krzyki i dudnienie na schodach, i ustawia się plecami do łóżka, bo gdy mama pędem wbiegnie na górę, wpadnie do sypialni i rzuci się na szyję swojej małej córeczce, to Maya chciałaby chociaż miękko wylądować.

—

Nocą, gdy jeszcze nikt poza rodziną nie wie, że wrócił do miasta, Benji wymyka się z domu siostry i jedzie rowerem do hali lodowiska. Wzdłuż drogi leżą powalone drzewa, a na parkingu pełno zawianych tu wiatrem gałęzi, ale hala nie wygląda na naruszoną. Tak jakby sam Bóg zdradził, komu kibicuje. Benji wyważa okno do toalety na tyłach budynku i wspina się do środka, a potem włóczy się po korytarzach poturbowany wspomnieniami z dzieciństwa. Ile godzin tutaj spędził? Czy kiedykolwiek będzie jeszcze taki szczęśliwy jak tu? Czy coś jeszcze będzie sprawiać mu tyle przyjemności co wyjeżdżanie na lód ze swoim najlepszym przyjacielem i gra przeciwko całemu światu? Czy to w ogóle możliwe?

Przemieszcza się w ciemnościach, aż znajduje włączniki do lamp na dole przy bandzie, nie zapala tych u sufitu, bo wtedy dozorca zapewne zobaczy je z okna w domu i zaraz tu przybiegnie, i narobi hałasu. Z głębi schowka wyciąga parę łyżew w odpowiednim rozmiarze, zawiązuje je tak mocno, że aż traci czucie w stopach, i rusza ku światłu. Wie dokładnie, ile kroków dzieli go od lodowiska i kiedy ma podnieść stopę, by położyć ją na lodzie, ze wszystkich ukochanych momentów w hokeju nic nie dorównuje temu, tysiąc meczów i milion treningów za nim, ale płuca i żołądek za każdym razem uważają, że robi krok w przepaść. Wszystko inne ginie w tym pierwszym ślizgu po lodzie, płynnie przed siebie, gdzie przez całe dzieciństwo czuł się wolny. Tylko tam. Jedyne miejsce na świecie,

w którym dokładnie wiedział, kim jest i czego się od niego oczekuje. Bez zagubienia, bez strachu.

Jedzie wolnym, płynnym ruchem, zataczając coraz szersze i coraz dziksze koła. Zatrzymuje się przy ławce kar, stuka z nostalgią w szybę z pleksi, z ogromną pewnością siebie, sport był zawsze niczym magiczny język, do którego tajemnic został dopuszczony. Uwielbiał wspólny rytm z pozostałymi ciałami, strzały, oddechy, rysy na lodzie i desperackie okrzyki z trybun, gdy tok gry nagle się odwracał. Frenetyczny stukot kijów i dudnienie w uszach, gdy sunęli obok siebie: nie do zatrzymania, nierozłączni, nieśmiertelni. Nie wie, gdzie podziła się ta jego część, gdzie całkowicie zgubił samego siebie, ale bez Kevina to już nie było to samo. Nigdy do końca sobie nie wybaczył, że nadal tak czuje.

Tak więc przed dwoma laty wsadził do walizki krążek i podróżował nieprzerwanie, aż dotarł tam, gdzie położył go na barze i nikt nie miał zielonego pojęcia, co to jest. W okolicy nie było żadnych turystów. Opuścił miejsce, w którym zawsze czuł się inny w środku, i znalazł takie, w którym różnił się od innych tym, co na zewnątrz. Nie był pewien, czego się po tym spodziewał. Może niczego. Może po prostu miał nadzieję, że w głowie choć na chwilę nastanie cisza. I uspokoi się w piersi. W pewien sposób mu się to udało, bo teraz kieruje wzrok na ogromnego namalowanego na środku lodowiska rozwścieczonego niedźwiedzia, w oczekiwaniu, że coś poczuje, cokolwiek, ale nic nie nadchodzi. Ani tęsknota, ani nienawiść. Ani przynależność, ani wykluczenie. Tylko zmęczenie. Ogromne, przeogromne zmęczenie.

Zdejmuje łyżwy, odkłada je z powrotem do schowka, gasi światła i wspina się przez to samo okno, którym dostał się do wewnątrz. Wolnym krokiem idzie potem przez parking, z dala od miasta, prosto do lasu. Ziemia jest tu potargana i rozjeżdżona. Rower zostawia przy hali lodowiska, i tak nie jest jego, nic do końca nie należy już do niego. Gdy wiatr wieje od strony miasta, on siedzi już na czubku drzewa, tak jak to zwykł robić jako dziecko.

—

Matteo cały dzień szuka roweru w okolicy, w której zostawił go podczas wichury, gdy spadł mu łańcuch. Dopiero następnego ranka znajduje go o wiele dalej, niż mógłby go zawiać wiatr: starannie opartego o ścianę hali lodowiska. Ktoś go

znalazł, naprawił łańcuch i ruszył nim w drogę bez wyrzutów sumienia, a potem nawet nie próbował go ukryć. Matteo nie zdziwił się, że znalazł go właśnie tutaj, przy hali lodowiska. Hokejowi chłopcy od małego się uczą, że wszystko należy do nich. Że wszyscy należą do nich.

—

Tej nocy do Björnstad i Hed przychodzi pierwszy przymrozek. Wyciszenie wszechświata. Ogłuszające w sposób, który nigdy do końca nie będzie możliwy do opisanie słowami. Jeśli zapytasz kogoś, kto się stąd wyprowadził, czego mu najbardziej brakuje z lasu, to prawdopodobnie usłyszysz następującą odpowiedź: tej drobnej zapowiedzi zimy, spokojnej żałoby po minionym lecie, jesieni, która nie trwa tu dłużej niż mrugnięcie okiem. Ptaki zaczynają się wahać, jezioro zamarza, wkrótce zobaczymy przed sobą swoje oddechy, a za sobą własne kroki. Powietrze stanie się bardziej rześkie, rankiem wszystko będzie skrzypieć, nie ma jeszcze dużo śniegu, ale z nagrobków trzeba już strzepywać pierwszą cienką białą kołdrę, by zobaczyć, kto pod nimi spoczywa.

Na jednym z nich wkrótce pojawi się napis „Ramona”, bez nazwiska, nie ma takiej potrzeby, wszyscy i tak wiedzą. Ale na innym, kawałek dalej, w prawie zapomnianym kącie przy murze wyryto „Alain Ovich”. Całe nazwisko, bo jego pamięta mniej osób. Czasami mijają tygodnie, zanim ktoś go odwiedzi, ale gdy tego dnia wstaje słońce, siedzi przy nim syn, paląc papierosa.

Opowieści o chłopcach i ich ojcach są wszędzie na świecie od lat takie same. Kochamy się, nienawidzimy, tęsknimy za sobą, tłumimy siebie nawzajem, ale nigdy nie potrafimy żyć, nie mając wpływu na drugiego. Staramy się być mężczyznami, ale nie do końca wiemy jak. Opowieści o nas, żyjących tutaj, są takie same jak te, które przytacza się o wszystkich, wszędzie, wydaje się nam, że możemy nimi kierować, ale w rzeczywistości prawie nigdy się to nie zdarza. Zanoszą nas tam, gdzie będą chciały. Niektóre z nich będą miały szczęśliwe zakończenie, a niektóre skończą się tak, jak zawsze się tego obawialiśmy.

Rywalizacja

„W hokeju wszystko dzieje się błyskawicznie”. „Głowa do góry”. „Arogancja nigdy nie popłaca”. Frazesy to frazesy, ale dość często jest w nich ziarno prawdy. To gra, która nieprzerwanie wyszukuje coraz wymyślniejsze sposoby na to, by najbardziej pewnych siebie spośród nas uczynić pokornymi. Jakimś jednak cudem raz za razem zapominamy, że każda wygrana to tylko odliczanie do kolejnego uderzenia.

Pod koniec wiosennego sezonu Björnstad prowadziło całą serię, Lev widział jednak, jak bardzo spuchnięty jest nadgarstek Amata, z dnia na dzień robił się coraz gorszy. „Nie powinieneś grać” – powiedział. „Muszę, musimy wygrać te ostatnie mecze” – odparł Amat. Lev położył dłoń na jego ramieniu i z poważną miną zapytał: „Jeśli uszkodzisz ją jeszcze bardziej i nie zostaniesz zdraftowany do NHL, to kto kupi twojej mamie zmywarę do naczyń?”. Amat nie miał na to gotowej odpowiedzi. Tego samego dnia podczas treningu chłopak, który opowiadał w szatni dowcipy o Levie, zagrał nieczysto i uderzył Amata kijem w ramię. Może nie zrobił tego specjalnie, Amat przejechał obok niego z takim pędem, że chłopak zmęczony uczuciem poniżenia pewnie stracił cierpliwość. Amat eksplodował, pobili się bez opamiętania, gdyby Bobo nie rzucił się pomiędzy nich swym ogromnym ciałem, mogłoby się to skończyć o wiele gorzej niż tylko kilkoma siniakami i podbitym okiem. „Co ty wyprawiasz? Przecież nie uderzył cię chyba aż tak mocno?” – zagadnął ostrożnie Amata Bobo, gdy schodzili z lodowiska. A ponieważ Amat nie wiedział, co ma odpowiedzieć, wyrzucił z siebie najgorsze: „Myślisz, że to zabawa? Myślisz, że ta główniana drużyna znaczący coś beze mnie? To jebane zero ma mnie nie dotyczyć! Ja będę grał w NHL, a on? Skończy na magazynie w spożywczaku? Będzie się urabiał w fabryce? Albo jak jakiś jebany... jakiś jebany...”.

Na szczęście się powstrzymał, zanim wybuchnął: „Jakiś jebany mechanik samochodowy”, bo tym właśnie trudnił się ojciec Bobo i tym również miał się

zając sam Bobo. Amat powinien od razu przeprosić, ale przez pierwsze sekundy wściekłość wzięła nad nim górę, a potem było już za późno. Bobo odwrócił się na pięcie i z ramionami opadniętymi prawie do podłogi ruszył w drugą stronę, a Amat roztrzaskał swój kij. Nikt z drużyny nawet nie spojrział w jego kierunku, gdy w szatni złapał swoje rzeczy i wybiegł z hali lodowiska.

Podczas następnego meczu go nie było. Zackell poinformowała jedynie drużynę, że jest „kontuzjowany”. Jak poważnie czy też na jak długo wyklucza go to z gry, nie wiedział nikt. Podczas tego i następnego meczu siedział na trybunach. Na ostatnim nie pojawił się wcale. Zaczęły krążyć plotki o tym, że tylko udawał, że już teraz myślał jedynie o NHL i miał gdzieś klub, który dał mu wszystko.

„Mam tam jechać i pokazać im nadgarstek?” – zapytał Leva ze łzami w oczach, gdy siedzieli u niego w samochodzie. Björnstad właśnie przegrało ostatni mecz i tym samym mimo wielkich marzeń nie dostało się do wyższej dywizji. Bez Amata nigdy nawet nie znaleźliby się tak wysoko w tabeli, a teraz nagle to wszystko było jego winą? „To nie ma znaczenia. Nigdy nie zrobisz wystarczająco dużo. To ich gra i ich zasady, nigdy nie będziesz jednym z nich. Tacy jak ty i ja muszą tworzyć własne zasady, tak?” – odparł Lev.

Amat nie przyszedł na ostatnie treningi, nie pojawił się również na drużynowym obiedzie na zakończenie sezonu. Bobo dzwonił do niego kilka razy, żeby zapytać o powód, ale Amat nie odbierał. Wiedział, że Bobo oczekuje przeprosin, lecz nie uważał już, że jest komukolwiek cokolwiek dłużny. Wystarczająco już się za wszystko naprzepaszał. Wystarczająco długo okazywał wdzięczność. Trenował samotnie w lesie i poza tym prawie nie wychodził z domu, rozmawiał jedynie z Levem, a wszystko, co ten mówił, brzmiało prawdziwie. „Zaufaj mi, Amat, oni mają cię gdzieś. Jeśli znów będziesz kontuzjowany i już nigdy nie będziesz mógł grać w hokeja, to czy wtedy się tobą zajmą? Zapłacą czynsz za twoją mamę, tak? Nigdy! Chcą cię na własność. Sam zobaczysz! Bogaci powiedzą ci, żebyś nie jechał na draft. Będą ci wmawiać, że jesteś jeszcze za słaby, bo wtedy mają nad tobą władzę, zostaniesz tutaj i będziesz grał w ich zasranym klubiku! Nie chcą, żebyś został zawodowcem, bo wtedy im udowodnisz, że się co do ciebie mylili!”

Późną wiosną okazało się, że miał rację. Fatima otworzyła drzwi do mieszkania, a na progu ponownie stał Peter Andersson. Dawny dyrektor sportowy wyglądał żałośnie, gdy starannie dobierając słowa, powiedział: „Nie chciałbym się mieszać, ale...”. Na co Amat od razu odparł: „W takim razie proszę tego nie robić!”. Peter

spojrzał na Fatimę, lecz nawet ona nie usiłowała stonować złości syna, może wiedziała, że to nadaremne, albo też uważała, że ma do niej pewne prawo.

Peter wziął głęboki wdech i spróbował po raz ostatni: „Nie wiem, co mówili ci inni. Co mówił ci ten... Lev... co ci obiecał... ale rozmawiałem z agentem, którego znam w Ameryce. Myślę, że też powinieneś z nim porozmawiać. I ze skautem z jednego z klubów NHL, to dawny zawodnik, z którym kiedyś grałem, od lat siedzi w branży i... Musisz zrozumieć, że mówię to nie dlatego, żeby być wobec ciebie okrutny... ale powiedział mi, że zostaniesz zdraftowany bardzo nisko. W szóstej lub siódmej rundzie. Może jako sto osiemdziesiąty zawodnik, albo coś koło tego”.

Amat prychnął: „Dzięki za zaufanie!”. Peter wyglądał na załamanego. „Mam tylko na myśli... Z większością zdraftowanych tak nisko drużyny nie będą nawet chciały rozmawiać na miejscu. Nie chcę po prostu, żebyś pojechał tak daleko i się rozczarował. Może lepiej byłoby, żebyś jednak został w domu, doszedł do siebie po kontuzji i trenował, jeśli uznają, że jesteś wystarczająco dobry, i tak cię zdraftują, a ty sam możesz śledzić cały draft w internecie, naprawdę myślę, że...”

Amat przerwał mu w pół słowa, z pociemniałymi oczami: „Różnica pomiędzy agentami, których zna pan, a Levem jest taka, że Lev wierzy we mnie na tyle mocno, że zapłacił za mój bilet lotniczy i hotel!”. Peter zamrugał tylko smutno i się poddał. Odwrócił się do wyjścia, ale przystanął jeszcze w połowie kroku. „Okej, jesteś teraz dorosłym mężczyzną. Zrobisz, jak uważasz. Ale... mogę ci dać jedną radę?” – zapytał, wychodząc. Amat wzruszył ramionami. „Gdy już dojedziesz do hotelu, idź na siłownię. I zjedz porządne śniadanie. Skauci w drużynach zwracają uwagę na takie rzeczy. Kto zapycha się pączkami i napojami gazowanymi, a kto trzyma dietę. Jeśli wieczorem przed draftem zobaczą cię w siłowni, zamiast grającego w gry i wiszącego przy barze, będą wiedzieć, że zrobisz wszystko, żeby być najlepszym”.

Amat bez słowa zamknął za nim drzwi. Następnego ranka obudziło go pukanie. Na zewnątrz stał kurier z nową zmywarką, na której przyklejono karteczkę: „To nie prezent. Powiedz mamie, że zapłacisz za nią z pierwszej pensji z NHL. /LEV”.

Mama oczywiście pomrukiwała, że to za dużo, dla niej zawsze wszystkiego było za dużo, ale przyjęła ją, bo widziała, ile to znaczy dla syna. „Gdy wrócę do domu, dostaniesz zamek” – obiecał, a ona pocałowała go w policzek i szepnęła: „Bzdury. Mną się nie przejmuj!”. Był jednak jej synem, więc nie mogła go powstrzymać.

Dopiero na lotnisku Amat zrozumiał, że Lev nie polecą z nim za ocean. „Tacy jak ja nie dostają wizy. Mam niewielką kartotekę, a oni uwielbiają rejestrować takich jak ja, tak? Wszystko mamy załatwione! Rozmowy z najlepszymi drużynami. Myślisz, że chcieliby z tobą rozmawiać, jeśli planowałiby cię do szóstej albo siódmej rundy? Nie słuchaj Petera! Nie chce, żebyś był większą gwiazdą niż on, bo wtedy już nie będziesz musiał być wdzięczny, a tacy jak on stracą nad tobą władzę. Tak?”

Po przylocie na lotnisku czekał na Amata przyjaciel Leva, poirytowany mężczyzna w średnim wieku, trzymający w dłoniach szyld z błędnie zapisanym nazwiskiem chłopca. Amat musiał zapłacić za taksówkę, a mężczyzna przez całą drogę przez miasto prawie nie oderwał wzroku od ekranu telefonu, a potem szybko się pożegnał w recepcji, rzucając krótkie „widzimy się jutro!”. Amat spędził wieczór samotnie w pokoju, tak podenerwowany, że prawie rozważał opróżnienie minibarku, zamiast tego jednak poszedł na siłownię. Podnosił tak ciężkie sztangi, na jakie tylko pozwalała mu dłoń, wiwatując w duchu, że nadgarstek nie boli. Po godzinie dołączył do niego wytrenowany mężczyzna koło sześćdziesiątki, pobięgał chwilę na bieżni, nie zwracając na nikogo uwagi. Ale gdy wychodził, skinął nagle w stronę Amata, mówiąc: *Good luck tomorrow, kid*^[5]. Peter jednak miał w czymś rację.

Następnego dnia przyjaciel Leva zapukał do drzwi Amata i poprosił o pieniądze, by zapłacić sprzątacze. Gdy chłopak zapytał dlaczego, tamten odparł: „Myślisz, że możemy dostać się do hotelu, w którym największe drużyny przeprowadzają rozmowy, nikogo nie przekupując?”. Amat wyjąkał: „Lev powiedział, że już załatwiliście dla mnie rozmowy...”. Mężczyzna wywrócił oczami. „Lev powiedział, że jesteś gwiazdą, a brzmisz jak rozpuszczony gówniarz! Robimy to czy nie?” Amat ruszył za nim do większego hotelu, mężczyzna zniknął, a chłopak spędził w hotelowym lobby kilka godzin, czekając. Przyjaciel Leva nigdy nie wrócił. Amat siedział tam cały dzień. Mężczyzna z siłowni pojawił się w korytarzu, tym razem ubrany w drogi garnitur, ale nawet nie zauważył Amata, zbyt zajęty innymi zawodnikami i ich rodzicami, pewnymi siebie i przekonanymi o tym, że świat należy do nich. Późnym popołudniem mężczyzna w garniturze pojawił się ponownie, tym razem sam, stanął przed Amatem i wbił w niego wzrok.

Amat, right?^[6] – zapytał. Chłopak zamrugał przerażony, pewny, że zaraz zostanie wyrzucony z hotelu, ale zamiast tego mężczyzna zadał kolejne pytanie: *Do*

you have time for an interview?^[7] Zdezorientowany Amat skinął głową, w szoku, że Levowi jednak udało się załatwić rozmowę, nie wydusił z siebie ani słowa. Mężczyzna wskazał mu drogę korytarzem do sali konferencyjnej, w której siedziało więcej osób, wszyscy z najlepszych klubów ligi. Amatowi aż zakręciło się w głowie, jego angielski był prawie tak samo roztrzęsiony jak jego dłonie, ale odpowiedział na wszystkie pytania, jak tylko umiał najlepiej. Dotyczyły hokeja w znacznie mniejszym stopniu, niż się spodziewał. Nie miał pojęcia, skąd tyle o nim wiedzieli. Pytali o to, jak to jest wychowywać się tylko z mamą, o jego relacje z kolegami z drużyny w Björnstad i dlaczego nie grał w ostatnich meczach sezonu. Cały się spocił, czuł się jak na przesłuchaniu. Gdy zakończyli, mężczyzna w garniturze powiedział: *Send my best regards to Peter Andersson, alright? We're old friends. He told me to keep an eye out of you*^[8]. Pozostali mężczyźni już zaczęli przeglądać następne dokumenty i rozmawiać o kolejnym zawodniku, nawet się nie pożegnali. Amat zamrugał oczami, podniósł się na drżących nogach i zdruzgotany opuścił salę. A więc porozmawiali z nim tylko w ramach przysługi dla Petera. Lev i jego przyjaciel próbowali przekupić pół hotelu, żeby załatwić mu tę rozmowę, a jedyne, co musiał zrobić Peter, to podnieść słuchawkę w domu w Björnstad i wykrecić numer do kolegi. Lev miał rację, pomyślał Amat, to ich gra i ich zasady.

Znajomy Leva zjawił się następnego ranka, zapytał, czy Amat ma jakieś pieniądze, po czym znów zniknął. Gdy draft NHL już się rozpoczął, chłopak całą pierwszą rundę siedział samotnie na trybunach, przyglądając się, jak każdy klub wybiera swoją supergwiazdę. Wieczorem poszedł na siłownię i trenował tak długo, aż się wywrócił. Następnego dnia znów siedział na trybunach od dziesiątej przed południem do szóstej wieczorem i widział dwustu innych nastolatków ściskających swoich rodziców, ze szczęścia, że zostali wybrani. Nikt jednak nie wybrał jego. Hala lodowiska opustoszała, a on nadal tam siedział, znajomy Leva się nie pojawił.

Amat zadzwonił do Leva i rozpłakał mu się do słuchawki, ale Lev pozostał niewzruszony. „Jebać to, tak? Amerykanie, oni nie potrafią robić interesów! Mam przyjaciela w Rosji! On załatwi ci tam miejsce w drużynie, tak? Zarobimy tam więcej pieniędzy niż w...” Mówił dalej, ale Amatowi tylko dzwoniło w uszach. A więc to wszystko? Udał, że ma słaby zasięg, rozłączył się i całkowicie rozsypał.

Gdy wrócił do hotelu, mężczyzna w garniturze czekał przy wejściu. Uścisnął Amatowi dłoń i szczerze się uśmiechnął. *I'm sorry it didn't work out, kid. We really liked you, but we just don't do business the way your uncle wants, okey? Go home,*

work hard, ask Peter to get you a real agent and come back next year. Alright?^[9]
What do you mean... uncle? What uncle? What business?^[10] – wydusił z siebie Amat. Mężczyzna w garniturze nie odpowiedział, poklepał go tylko po ramieniu i poszedł. Amat ponownie zadzwonił do Leva: COŚ TY, KURWA, ZROBIŁ? Głos Leva stał się bardziej złowrogi: „Kim ty myślisz, że jesteś, co? Wydzierasz się na mnie po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, tak? Myślisz, że płacę za bilety i hotel i nic nie dostaję w zamian? Nie biorę od ciebie zapłaty jak inni agenci, w zamian za to płaci mi klub, który cię dostanie! Ale ci Amerykanie myślą, że są lepsi od nas, tak? Nie chcą negocjować, myślą, że dostaną cię za darmo! Słuchaj no, moi przyjaciele w Rosji...”.

Amat rzucił telefonem o ziemię tak mocno, że aparat się roztrzaskał. Musiał zejść do recepcji, by zadzwonić do domu i poprosić matkę, żeby wysłała mu pieniądze na bilet powrotny. Pożyczyła je od sąsiadów, a on się za to znienawidził. Całą noc pił w pokoju hotelowym, płacząc. Do upadłego. Wczesnym rankiem usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył wciąż pijany w sztok, a mężczyznę w garniturze aż cofnęło od oparów alkoholu. Amat już otwierał usta, by wszystko wyjaśnić, ale było za późno. Peter ponownie zadzwonił do przyjaciela, błagając, że może Amat mógłby dostać szansę na jednym z obozów treningowych dla zawodników, którzy nie zostali jeszcze zdraftowani, ale wszystko przepadło. Nie po tym, co zobaczył. Mężczyzna westchnął: *Tell Peter I did what I could. I hope you get yourself together, kid. Peter says you're the best he's ever seen. Don't turn him into a liar*^[11].

Mężczyzna odszedł. Amat został na progu. Tak szybko wszystko się zakończyło. Wsiadł w samolot, a potem w pociąg i jeszcze autobus prosto do domu, zamknął się w mieszkaniu w Niece i kopał w zmywarę do naczyń tak mocno, że miał wrażenie, że złamał sobie stopę. Następnego dnia spuchła niemiłosiernie, a Amat przestał biegać na wiele miesięcy.

A teraz? Co będzie teraz?

Gdy Björnstad Hockey rozpoczęło przedsezonowe treningi, Bobo dzwonił do Amata kilka razy dziennie. Amat nie odbierał, wysłał tylko wiadomość, że jest kontuzjowany. Po tygodniu Bobo dzwonił tylko dwa razy, gdy zwykle dzwonił trzy, raz zamiast dwóch, aż w końcu sobie odpuścił. W mieszkaniu w Niece zaległa

cisza, Amat przesypiał całe dni i wychodził na całe noce, kontenery na szkło zapępniały się coraz szybciej, a dni mijały beczynnje, aż umknęło mu całe lato.

Nie biegał aż do wieczoru, gdy jego mamę w drodze do domu zastała wichura. Ciało go niosło, stopy wytrzymały. Następnego dnia w lesie znów biegał, aż zwymiotował. Wczesnym rankiem w sobotę w końcu zbiera się na odwagę i wysyła do Bobo esemesa. Tylko dwa słowa: „Potrzebuję pomocy”. Bobo również odpowiada dwoma słowami: „Gdzie jesteś?”.

Gdy pod ogromnymi sportowymi butami Bobo w rozmiarze czterdzieści osiem łamią się gałązki na polance za Amatem, chłopak ma w zanadru tysiąc rodzajów przeprosin, ale nie musi użyć ani jednego. Uśmiech Bobo zdradza, że przyjaciel już o wszystkim zapomniał.

– Widziałeś gdzieś może mojego kumpla Amata? Wygląda jak ty, tyle że piętnaście kilo chudszy!

Amat łapie się za fałdę na brzuchu.

– Byłem w Ameryce i nauczyłem się jeść śniadanie jak ty! – rzuca ironicznie.

– Zawsze byłeś skróciakiem, ale teraz jesteś jeszcze w dodatku gruby – śmieje się Bobo.

– Ja gruby, a ty brzydki. Ja przynajmniej mogę schudnąć!

– Ty szybki, a ja silny. Zawsze możesz niechcący złamać nogę!

– Mógłbym ważyć i dwie stowy, a ty i tak byś mnie, misiu, nie dogonił!

Bobo wybucha śmiechem.

– Brakowało nam ciebie na treningach.

Amat spuszcza wzrok.

– Sorry, że nie odbierałem telefonu. Byłem... sam wiesz... byłem chujkiem.

Bobo przechyla głowę na boki, tak że aż strzelają mu kości w karku.

– Olej to, biegamy czy stoimy i gadamy?

Tak łatwo można właśnie odzyskać takiego przyjaciela jak Bobo. Najlepszego. Biegają razem, góra–dół, góra–dół. Amat wymiotuje jako pierwszy, ale Bobo zaraz za nim, odkąd został trenerem, jego kondycja jest słabsza, niż gdy grał, a już wtedy nie była najlepsza. Biegną jednak jeszcze dziesięć razy góra–dół. Gdy wloką się potem do domu, Bobo wymiotuje jeszcze raz do rowu przy głównej drodze.

– Łubin – posapuje po chwili.

– Co? – jęczy Amat, leżąc na trawie kawałek dalej, tak zmęczony, że nie ma nawet siły stać i na niego czekać.

Bobo powtarza, wskazując głową na fioletowe kwiaty, na które właśnie zwrócił śniadanie.

– Łubin. Mama go lubiła. Mimo że to „inwazyjny gatunek”.

Amat wkłada wszystkie swoje uczucia w kolejną wypowiedź:

– C...o?

Bobo wygląda na poirytowanego, co nie zdarza się często.

– Przecież mówię, że łubin! Mama zawsze powtarzała, że jest ładny, ale jedna z naszych sąsiadek, jakieś babsko pracujące w gminie, stwierdziła, że to chwasty. Gmina usiłuje je wyplenić, bo „zagrożają lokalnej roślinności”, czy coś w tym stylu. Ale ich się nie da usunąć, bo zawsze potem wracają. Silne jak chuj.

Amat śmieje się wyczerpany.

– Dobra, co wachałeś?

Bobo się prostuje. Podaje o wiele niższemu i o połowę lżejszemu przyjacielowi dłoń i jednym szarpnięciem podciąga go na nogi.

– Jest jak ty.

Amat uśmiecha się, nie rozumiejąc.

– Kto?

Bobo wzrusza ramionami i rusza przed siebie.

– Łubin. Jest jak ty. Ty też dorastałeś w rowie i ciebie też nikt nie może zatrzymać.

Aż do drzwi domu, w którym mieszka Amat, nie mówią już nic więcej. Amat wstydzi się, że ma nadzieję, że Bobo zaprosi go na dzisiejszy trening pierwszego składu. Bobo dlatego, że wie, że nie może tego zrobić. Niczego bardziej nie pragnie, ale to nie styl pracy Zackell. Jeśli Amat chce grać, musi przyjść do hali i ją zapytać. W głębi serca Amat też to wie.

– Chcesz znów jutro pobiegać? – pyta zamiast tego.

– Pewnie – odpowiada Bobo.

Obejmują się w przelocie, a potem Amat przygląda się, jak jego ogromny przyjaciel rusza do domu, z wysiłkiem kołysząc się na boki. Ma nadzieję, że Bobo

zostanie kiedyś ojcem, bo ma ku temu najlepsze predyspozycje: wielkie serce i krótką pamięć.

Amat idzie na górę do mieszkania, a potem dłuższą chwilę siedzi z telefonem w ręku i numerem Zackell na ekranie. Za bardzo jednak wstydzi się swojej nadwagi, więc nie dzwoni. Zawiązuje buty i znów wychodzi, bo z szatni pamięta bowiem jeszcze jeden frazes: „Jeśli chcesz osiągnąć to, czego nie może osiągnąć nikt inny, musisz robić to, czego nikt inny nie chce robić”. Kiedyś prychał na to stwierdzenie, ale teraz powtarza je w myślach, wbiegając ponownie na pagórek. Gdy na polanie wypluł już z siebie resztki tego, co jeszcze jakimś cudem wcześniej zostało w żołądku, podnosi wzrok. Ma stąd doskonały widok aż do hali lodowiska i widzi teraz dokładnie, jak długa jest droga do tego, o czym zawsze marzył. Dziesięć miesięcy do następnego draftu NHL i tylko jeden dzień, na który ma do tego czasu wpływ.

Obecny.

Kryjówki

Matteo jedzie rowerem do domu i siada przy komputerze. Włącza grę i koncentruje się na każdym ruchu broni na ekranie tak mocno, jakby chciał zmusić samego siebie do utraty pamięci. Nadal słyszy wyraźnie głos starszej siostry: „Tylko trzymaj się z daleka od hokejowych chłopaków!”. To była jej najważniejsza rada w pierwszym dniu szkoły, gdy miał jeszcze sześć lat. Wiedziała, że w końcu się za niego wezmą, bo był mały, słaby i inny. Wiedziała, że nie umie się obronić i nic się nie da z tym zrobić, starała się więc nauczyć go wszystkiego, co sama potrafiła, byle tylko bez większego szwanku przeszedł okres szkolny: gdzie znajdowały się dobre kryjówki, którzy nauczyciele pozwalali uczniom zostawać na przerwie w klasie, którą drogą najbezpieczniej wracać do domu. „Od teraz do ostatniego roku liceum jest tylko trzynaście lat. Przetrwaj je i będziesz wolny, wtedy wyjedziemy stąd na dobre!” – powiedziała mu ostatniej nocy przed rozpoczęciem szkoły. „Tylko trzymaj się z daleka od hokejowych chłopaków”.

Matteo kochał starszą siostrę i jej ufał, dlatego też robił, co mu kazała. Trzymał się od nich z daleka. Niestety ona sama nie.

Mięśnie

Peter wstaje wcześnie, w nocy była minusowa temperatura i ogród za oknem pokrywa teraz cienka, jeszcze nienaruszona biała kołdra. Od wichury minęły dwa dni, a do pogrzebu został jeszcze jeden. Żałoba po Ramonie sprawia, że ciąży mu głowa, ale serce mimo wszystko raduje się na myśl, że Maya znów jest w domu. Nogi płaczą się niezdecydowane, czy mają się wlec do przodu czy też tańczyć z radości. Podnosi wieczko gramofonu w kuchni, ustawia naprawdę starą płytę i w samotności piecze naprawdę pyszny chleb, podczas gdy jego rodzina jeszcze smacznie śpi. Przez krótką chwilę dla samego siebie zachowuje pozory normalności.

Ale gdy tylko otwiera drzwi, żeby wyjść ze śmieciami, natychmiast widzi, co pozostawiła po sobie wichura: zniszczone okiennice u sąsiada, roztrzaskany płot, drzwi do schowka wyrwane z zawiasów niczym kartka papieru i zalegające wszędzie śmieci. Peter znajduje swój kosz kilkaset metrów dalej na ulicy i dopiero gdy stawia go z powrotem pod domem, zauważa amerykański samochód stojący po drugiej stronie drogi. Ten sam co wczoraj. Mężczyzna za kierownicą nosi czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne. Jest tak szeroki w barkach, że ledwie mieści się w fotelu. „Nie jest umięśniony, jedynie pełen mięśni – zwykł mówić dawny trener Petera o najgroźniejszych zawodniakach z drużyn przeciwnych. – Takiego ciała nie uzyskasz na siłowni, to od noszenia pali drewna całe lato i biegania w głębokim śniegu do wychodka całą zimę”. Mężczyzna przygląda się Peterowi, ale nie rusza się z miejsca. Zamiast tego po stronie pasażera otwierają się drzwi i z samochodu wysiada znacznie starszy i wyraźnie grubszy facet w podniszczonej skórzanej kurtce i z masywnym złotym łańcuchem wiszącym na wełnianym golfie. Peter zastyga mimowolnie, Lev zauważa to już z daleka, wie, jakie wrażenie robi na ludziach. Do Petera może i nie docierają już wszystkie plotki, ale nawet on zdążył usłyszeć o tym człowieku. Lev idzie wolno, biorąc Petera na przeczekanie, zanim na niego spojrzy, i uśmiecha się w sposób, na który można sobie pozwolić, mając w samochodzie takiego człowieka, jakiego ma.

– Peter Andersson? Nazywam się Lev, jestem...

– Wiem, kim pan jest. – Peter przerywa mu ostrzej, niżby się wydawało, i ma nadzieję, że głos nie zdradza, że właśnie skoczyło mu ciśnienie.

– Ach tak? – Lev się uśmiecha.

– Mogę w czymś pomóc? – wyrywa się Peterowi, zanim jeszcze zdąży się powstrzymać.

Lev uśmiecha się szerzej, podchodzi bliżej, niż Peter miałby na to ochotę.

– Chcę podziękować! Zadzwoił pan do przyjaciół, tak? Gdy Amat był na drafcie w NHL! – mówi Lev i wyciąga dłoń, ściskając ją mocniej i dłużej, niż Peter jest w stanie wytrzymać.

– Nie ma sprawy – mamrocze, cofając dłoń z dużo większą siłą, niż zakładał.

Lev stoi stanowczo za blisko.

– Nie, nie, nie ma się co krygować! – odpowiada z lekką kpina w głosie. – Wielki Peter Andersson! Pańskie nazwisko jest tam ważne, tak? Wszyscy byli w szoku, że oj, oj, oj, Amat pana zna! W wielkim, wielkim szoku. Szkoda, że to nic nie dało, tak?

Peter gryzie się w policzek. Nadal pamięta telefony od dawnych przyjaciół i kontaktów z NHL. Wszyscy byli zdziwieni, co to za walnięty „wujek” wydzwaniał do nich, przedstawiając się jako „agent” Amata i próbując na lewo wyciągnąć pieniądze od klubów, które rozważały zdraftowanie go.

– Tak, bardzo szkoda – przytakuje z rozgoryczeniem, czując oddech Leva. Najchętniej by go od siebie odepchnął, ale nie ma odwagi.

Lev przygląda się mu uważnie, a potem wybucha wesołym śmiechem, robi w końcu krok w tył i rozkłada ręce.

– No! Dość o tym, tak? Tak się mówi, tak? Dość o Amacie. Chciałbym z panem porozmawiać. Widziałem pana wczoraj z Teemu, w Futrze. Mam jeden, jak to się mówi? „Drażliwy temat” do przedyskutowania? Nie mogę tego zrobić z Teemu, bo on jest... no, sam pan wie, tak?

– Nie, nie, właściwie nie wiem, o co chodzi – wydusza z siebie Peter z irytacją w głosie, głównie po to, by ukryć, że się boi.

Brwi Leva unoszą się w zdziwieniu, a może nawet rozbawieniu.

– Teemu to agresywny człowiek. Pan jest dyplomatą. Więc przychodzę do pana, tak?

– A jakim typem jest pan? – pyta Peter, spoglądając na mężczyznę w samochodzie.

Lev wybucha śmiechem.

– Mogę być i taki, i taki, ale wolę być jak pan, tak? Nie jesteśmy już młodzieniaszkami, tak? Muszę już wstawać w nocy, żeby się wysikać, jestem już za stary na kłótnie, wie pan. Ale Ramona jest mi dłużna pieniądze. Dużo pieniędzy.

Milknie, tak jakby Peter miał coś na to odpowiedzieć. To tak oczywista pułapka, że byłemu dyrektorowi sportowemu zasycha w gardle i prawie nie może oderwać języka.

– A co ja mam z tym wspólnego?

Lev odwraca dłonie i demonstracyjnie wzrusza ramionami.

– Długi trzeba spłacać, tak?

– Niby jak? Przecież Ramona nie żyje – odpowiada Peter i od razu do niego dociera, że właśnie na to czekał Lev.

– Ale Futro można sprzedać, tak?

Co za postrzelony pomysł! Peter nawet nie zdąży się zastanowić i już wybucha:

– Sprzedać Futro? Czy pan już całkiem oszał... Niby komu?

Lev uśmiecha się z przesadną czułością.

– Mnie. Chętnie je wezmę. I będzie po długu. Wszyscy szczęśliwi. Tak?

Szczęka Petera opada co najmniej o centymetr. Usta otwierają się tak nieznacznie, że wydobywa się z nich jedynie:

– Słu...cham?

Lev uśmiecha się nieco zniecierpliwiony.

– Dostanę Futro. Zero długu. Zero problemów. Miałem już wcześniej bar.

– Nie w... Björnstad, nie prowadził go pan tutaj, nie ma pan pojęcia, o czym... – zaczyna Peter.

– Pijacy są chyba wszędzie tacy sami, tak? Pomoże mi pan?

To ostatnie nie brzmi jak pytanie. Peter już mniej się boi, bardziej ogarnia go złość.

– Panu? W czym? Może pan w ogóle... skąd mam niby wiedzieć... może pan w ogóle udowodnić, że Ramona jest panu winna pieniądze?

Lev jeszcze się uśmiecha, ale usta powoli mu się zaciskają, słowa cedzi niemal przez zęby:

– Podpisaliśmy papiery. Ale dla takich jak pan to nie ma znaczenia, tak?

– Takich jak... ja?

– Przepisy, zasady, kontrakty, to dotyczy tylko takich jak pan, tak? Wasza gra, wasze zasady? A może nie pomógł pan Amatowi? Może... wręcz na odwrót? Może nie został zdraftowany przez pana?

Nagle oskarżenie tak szokuje Petera, że na chwilę zapomina, o czym dyskutują, a przede wszystkim zapomina, z kim rozmawia.

– Wysłał pan na draft jakiegoś... jakiegoś pieprzonego GANGSTERA, który próbował wyłudzić od klubów NHL pieniądze na lewo! I co, myślał pan, że to się uda?

Lev nie rusza się z miejsca, ale pochyla głowę kilka centymetrów w stronę Petera.

– Chciałem dostać pieniądze od klubów. A pan od Amata. Oto różnica, tak?

– Ja od Amata niczego nie chcę!

Lev prychnął.

– Macie tutaj takie powiedzenie, nauczyłem się go, gdy tu przyjechałem, bardzo mi się podoba: „Ma zawsze rękę w kieszeni”, tak to się mówi, tak? Ktoś hojny, zawsze gotowy do pomocy innym, tak?

– Pan akurat trzyma rękę w nie swojej kieszeni, tylko w Amata – odpyskowuje Peter, robiąc pół kroku w tył.

– A pan? Jeśli nie interesują pana pieniądze chłopaka, to za czym grzebie pan w jego kieszeni? – wyśmiewa go Lev.

– Próbowałem mu tylko pomóc!

– Tak jak i innym chłopcom w Niece, tak? Bo pomaga pan też innym, którzy nie grają dobrze w hokeja, prawda? Ciekawy przypadek, tak? Że też tacy jak pan zawsze chcą pomagać biednym chłopcom, na których mogą później zarobić. Ale ja nie jestem chłopcem! I chcę tylko to, co mi się należy: dostanę Futro i zapomnę

o długi Ramony, tak? Ale może nie powinienem rozmawiać z panem? Tylko z pańską żoną?

Peter nigdy nie będzie w stanie wyjaśnić, co się w nim wtedy wydarzyło, po prostu eksplodował:

– O CZYM TY, KURWA, GADASZ!?! – ryczy, ku swojemu i Leva zdziwieniu, kładąc dłonie na jego klatce piersiowej z taką siłą, że gruby mężczyzna aż się potyka i zatacza do tyłu.

Mija zaledwie sekunda, ale Peter może dokładnie opowiedzieć, co się w niej stało: drugi facet wylatuje z samochodu z dłonią w kieszeni, Peter może tylko zgadywać, co w niej trzyma. Podnosi ręce, by zasłonić twarz, ale to niepotrzebne, bo Lev już odzyskał równowagę i jednym ruchem zatrzymuje swojego towarzysza w pół kroku. Poprawia spokojnie skórzaną kurtkę, jakby nic się nie wydarzyło, i zwraca się do byłego dyrektora sportowego:

– Jest chyba adwokatką, tak? Pańska żona? Podpisałem z Ramoną papiery. Prawo jest, jak to się mówi, po mojej stronie. Może w takim razie potrzebuję adwokata?

– Załatwiał sobie tylu adwokatów, ilu chcesz, ale nie zbliżaj się do mojej rodziny, słyszysz? A Futra nie dostaniesz nigdy, ludzie stąd nigdy... – mówi, zanim jeszcze ugryzie się w język. Pulsująca złość wypycha jego słowa na zewnątrz, dudni mu w uszach.

Lev czeka, aż Peter zamilknie, ponownie się uśmiecha i stwierdza jakby niewzruszony:

– Proszę się nad tym zastanowić, tak? Jeszcze wróć! Tak się to mówi? Nie! Jesteśmy w kontakcie, tak? Jesteśmy w kontakcie!

Mierzy długim spojrzeniem dom Petera. Na piętrze zapaliło się światło, rozbudzeni Mira i dzieci powoli wstają, Peter trzęsie się na całym ciele, ale nie dane jest mu już sformułować odpowiedzi. Lev wsiada do amerykańskiego samochodu, mężczyzna za kierownicą rusza powoli. Jak tylko znika z pola widzenia, Peter wyciąga telefon, ale nie bardzo wie, do kogo zadzwonić. Stoi tak z zaciśniętymi pięściami i pustą głową, aż w końcu dzwoni do Teemu.

Nie na policję ani nie do przyjaciół. Do Teemu. Właśnie tak bardzo wszystko i wszyscy są tej jesieni ze sobą połączeni.

—

Maya wyczołguje się z łóżka, wkłada przez głowę starą zieloną bluzę z kapturem i zaspana krąży po domu. Mama siedzi przy prowizorycznym biurku w korytarzu, dopiero co wstała, ale już prowadzi wideorozmowę z jakimś klientem albo pracownikiem, wichura poważnie namieszała w jej firmie. Dokładnie tego teraz było jej jeszcze potrzeba, więcej stresu. Przechodząc obok, dziewczyna całuje mamę w głowę, a Mira opiera dłoń o jej policzek, tak długo, jak to tylko możliwe. W kuchni Leo chowa się w lodówce tak głęboko, że wydaje się, że po drugiej stronie znalazł czarownicę i lwa. W całym domu pachnie świeżo pieczonym chlebem.

– Kto to piekł? – dziwi się Maya.

– Tato – odpowiada Leo, jakby nie była to najdziwniejsza rzecz na świecie.

– Tato...? – powtarza Maya.

– Hm. Piecze. Ale jak szalony! – mówi młodszy brat.

Maya spogląda przez kuchenne okno i widzi ojca przed domem. Stoi przy skrzynce na listy. Na ulicy zatrzymuje się samochód i wysiada z niego mężczyzna, którego Maya rozpoznaje, nie może tylko umiejscowić go w towarzystwie taty.

– Czy to... Teemu? – wybucha.

– Mhm – potwierdza Leo, rzucając szybkie spojrzenie za okno, a potem wraca do lodówki.

– Z... tatą?

– Hm. Teraz się chyba kumplują.

Maya gapi się na Leo, potem przez okno, a potem znów na Leo.

– Nie no, sorry, ale jak długo ja w sumie SPAŁAM?

—

Teemu wysiada z samochodu i rozgląda się dookoła, nie tak, jakby czegoś szukał, ale raczej jakby zapamiętywał otoczenie.

– A więc Lev tu był? – pyta, nie owijając w bawełnę.

Peter trzyma w ręku dwa kubki z kawą, jeden, z wyblakłym już od mycia w zmywarce zielonym niedźwiedziem, podaje Teemu. Mężczyzna kiwa głową

w podziękowaniu.

– Powiedział, że Ramona jest mu winna pieniądze. Ile, nie wiem, ale musimy go spłacić, jeśli...

Teemu kręci głową. Bez złości, na zimno.

– On nie chce pieniędzy. Tylko Futro. Próbował je wykupić, jeszcze jak Ramona żyła. Lev zajmuje się masą gówna, takiego, o którym nawet nie chcesz wiedzieć. Potrzebuje legalnej fasady, a nie ma lepszej niż bar.

– Dlaczego więc Ramona pożyczała pieniądze OD NIEGO? – pyta Peter i natychmiast żałuje swojego oskarżycielskiego tonu.

Teemu wzdycha, wpatrując się w kubek z kawą.

– Jeden z moich chłopaków wylądował zeszłej zimy w więzieniu. Jego mama nie mogła opłacać domu i rachunków, tak więc Ramona dała mi wszystko, co znajdowało się w funduszu. Nie wiedziałem, że...

Upija łyk kawy. Nie mówi już nic więcej. To pierwszy raz, kiedy Peter widzi go zawstydzonego.

– Włożyła tam własne pieniądze?

– Tak.

– Za co trafił do więzienia? Twój kolega? – pyta Peter.

– Ciężkie pobicie.

Teraz to Peter się wstydzi. Bo najwyraźniej w takim właśnie towarzystwie się teraz obraca.

– Co zrobimy z Levem? – wzdycha.

– Ty nie będziesz robił nic. Górzaki to nie są typki, z którymi się zadziera, wierz mi.

Peter sam jest zdziwiony swoją zdecydowaną reakcją.

– Więc może sobie tak tu przychodzić i grozić mojej rodzinie? Przejąć Futro? Ramona nigdy by...

Teemu podnosi dłoń w obronnym geście.

– Zajmę się Levem.

– Myślałem, że powiedziałaś...

Teemu dopija kawę i oddaje kubek.

– Powiedziałem, że to takie typki, z którymi TY nie powinienesz zadzierać.

Peter zastanawia się nad najlepszym sformułowaniem odpowiedzi, gdy nagle dociera do niego, co właśnie rozpoczął.

– Okej. Ale bądź ostrożny, nie wpakuj się w...

– JA miałbym nie być ostrożny? – dopytuje teatralnym tonem Teemu, tak jakby poczuł się głęboko dotknięty zarzutami, a Peter wydaje z siebie jęk, prawie uderzając trzymanymi w dłoniach kubkami o czoło.

– Okej, okej. Widzimy się jutro na pogrzebie, prawda? Godzinę przed, tak jak się umówiliśmy z księdzem?

Teemu przytakuje, Peter już o nic więcej nie pyta, będzie musiał z tym żyć. Gdy odwraca się i rusza w stronę domu, Teemu woła jeszcze za nim:

– Ty, a co sprawiło, że tak strasznie się na niego wkurzyłeś?

– Jak to wkurzyłem?

Teemu uśmiecha się szeroko.

– Próbujesz zachować spokój, ale aż pociemniały ci oczy. Aż tak bardzo ci znów nie zależy na Futrze. Co ci powiedział?

Peter oddycha spokojnie, ale kubki w dłoni brzęczą.

– Wspomniał... Mirę – przyznaje niechętnie.

Teemu wybucha cichym triumfującym śmiechem, który ciągnie się za nim stanowczo dłużej, niż życzyłby sobie tego Peter. Zaraz potem chuligan rzuca do dawnego dyrektora sportowego:

– Kto by pomyślał, Panie Perfekcyjny, jednak masz w sobie odrobinę psa.

Osły

Johnny ziewa i z poirytowaniem spogląda na zegarek. Stoi przed domem, przeklinając świt, ponieważ kolega, który obiecał, że zawiezie go do Björnstad, żeby mógł odebrać minibusa, jeszcze się nie pojawił. Ted przygotował już wszystkie swoje rzeczy i czeka w korytarzu, podczas gdy jego starszy brat Tobias wciąż smacznie śpi. Tess pomaga najmłodszemu Turemu spakować łyżwy, do zewnętrznej kieszonki torby wkłada kukurydziane ciastka i sok owocowy i zmusza brata, by obiecał, że sięgnie po to dopiero po treningu. Musi kilka godzin czekać w hali, podczas gdy bracia trenują, a Tess zajmuje się najmłodszą grupą adeptów łyżwiarstwa figurowego z Hed. Tak to już jest, gdy się należy do rodziny, która żyje bardziej na lodzie niż poza nim.

– Macie wszystko? Dzwonili z pracy, muszę... – mówi mama, stojąc za Tess.

Córka patrzy na nią z niepokojem.

– Wyglądasz na śmiertelnie zmęczoną. Nie możesz wziąć wolnego?

– Mamy tylu chorych, a niektórzy pracownicy musieli zostać w domu, żeby ogarnąć po wichurze, więc...

– Ale wieczorem musisz odpocząć. Obiecuj!

– Obiecuję, kochanie – szepcze mama do córki. – Opiekuj się braćmi... Wiesz, jak może być w Björnstad.

– Nie martw się, mamó. To tylko trening hokeja.

– Pewnie. Pewnie. „Tylko”. I przepraszam, to nie twoja praca, kochanie, powinnaś... Boże, nie powinnaś mieć tylu obowiązków. Nawet nie zapytałam, jak ci poszło na teście z matematyki!

– Wszystkie odpowiedzi poprawne.

– No a jakżeby inaczej. To niesamowite. Nie pamiętam, żebym choć raz w życiu miała komplet poprawnych odpowiedzi. Jesteś pewna, że jesteś moją córką?

To stary dowcip, ale Tess za każdym razem na nowo wybucha śmiechem. Naprawdę jest za dobra na tę rodzinę! Najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów, nigdy nie pakuje się w żadne problemy i jeszcze opiekuje braćmi. Gdy była mała, nigdy się nie brudziła, to jedyne znane Hannah dziecko, które może iść do szkoły w białym ubraniu i wrócić w takim samym. Gdy inne dzieciaki wspinały się na drzewa i biły się w błocie, ona siedziała w domu i czytała książki. Nawet jej włosy zawsze wyglądają na dopiero co czesane, w przeciwieństwie do fryzury mamy, która przypomina podstawkę pod gorące naczynie wrzuconą do niszczarki na dokumenty.

– Uwielbiam to, że jesteś coraz starsza, ale nienawidzę tego, że robisz się coraz starsza – szepcze córce do ucha Hannah.

– Przestań się wygłupiać, mamó. – Tess się uśmiecha.

– Nie powinnaś... no wiesz, nie powinnaś brać wszystkiego tak poważnie przez cały czas. Powinnaś chodzić na imprezy i spotykać się z chłopakami, i...

– Z chłopakami? W Hed? Przecież tutaj musiałabym co najmniej przez trzy miesiące studiować nasze drzewo genealogiczne, zanim odważyłabym się z kimś umówić – prycha Tess.

– Nie wygłupiaj się – odpowiada z uśmiechem mama.

– Serio? Wszyscy faceci są tacy niedojrzali – upiera się Tess.

W tym właśnie momencie z pokoju Tobiasa dobiega krzyk, bo Ted i Ture obudzili go pistoletami na wodę. Tess tylko wzrusza ramionami, tak jakby chciała powiedzieć mamie: „Udowodnij mi, że jest inaczej!”, ale Hannah już tego nie widzi, bo patrzy właśnie za okno.

– Co, do chol... – zaczyna.

– CO, DO CHOLERY??? – dokańcza tata z ogrodu.

Drogą w kierunku domu jedzie całkiem sporą prędkością ich minibus. Hannah i Tess wybiegają na schody, gdy samochód zatrzymuje się wzdłuż płotu i wypada z niego postrzelona osiemnastolatka.

– ANA! – woła Hannah z takim zachwytem, że Tess aż nieruchomieje.

– Co, do cholery? – powtarza Johnny.

Hannah obejmuje nieznaną osiemnastolatkę i przedstawia ją reszcie.

– To Ana! Pomogła mi w lesie podczas wichury!

Twarz Johnny'ego przybiera łagodniejszy wyraz.

– O kurde. Znam twojego ojca. Co tam u niego?

Ana nie odpowiada, rzuca mu tylko kluczyki do minibusa.

– Pomyślałam, że podwiozę wam samochód, bo nasz ogródek to nie żaden parking. Sprawdziłam jeszcze rano silnik i chyba powinien się pan wybrać do warsztatu...

– OKEJ! DZIĘKUJĘ! – przerywa jej urażonym głosem Johnny, tak że aż Hannah wybucha gromkim śmiechem.

– Wejź na chwilę! Chcesz kawy?

Ana spogląda jednak na sceptyczną minę Tess, tego typu dziewczyny nigdy nie lubią takich jak Ana, odpowiada więc krótko:

– Nie. Muszę wracać do psów.

– Możemy cię... odwiedzić do domu. Poczekaj tylko chwilę, zgarzę chłopców – proponuje Johnny, grzecznie, ale nadal nieco urażonym tonem.

– Nie ma problemu. Przebiegnę się – mówi Ana.

– Przebiegniesz? Do Björnstad? – powtarza Johnny.

– Tak daleko to znowu nie jest. Tak czy siak, muszę trenować kolano, miałam kontuzję – wyjaśnia Ana.

– Co sobie zrobiłaś? – dopytuje Hannah.

– Uderzyłam się.

– O co?

– O czoło jednego chłopaka.

– Że co? – wybucha Johnny.

– Był strasznie wkurzający, więc sobie, że tak powiem, zasłużył – broni się Ana.

Hannah znów wybucha śmiechem, obejmuje Anę ponownie i nalega, by dziewczyna ich kiedyś odwiedziła i zjadła z nimi obiad. Ana obiecuje półsłówkiem, spoglądając na rok młodszą Tess, która ma na sobie białe spodnie i której włosy wyglądają jak z kreskówki. Ana założyła dziś tak stare dzinsy, że trudno je jeszcze nazwać ubraniem, i nie kąpała się od dwóch dni. Czuje się jak włóczęga na zamku. Odwraca się więc i biegnie przed siebie.

Hannah długo za nią spogląda, a w tym samym czasie Tess przygląda się mamie. To właśnie taką córkę powinna mieć.

—

Bobo puka do drzwi domu Zackell. Trenerka pierwszego składu otwiera otoczona chmurą dymu z cygara, ubrana w szlafrok tak brudny, że nawet nie powiewa, gdy się w nim porusza. Trzy różne ekrany w kuchni pokazują trzy różne mecze, stół zawalony jest notatnikami, Bobo nigdy nie spotkał nikogo, kto wie więcej o sporcie i mniej o ludziach, którzy go uprawiają, niż ona. Gdy awansowała go na trenera pomocniczego, dokładnie mu wyjaśniła, do czego jest jej potrzebny: „Sprawy ludzkie, rozmowy z ludźmi i takie tam”. Ją interesuje tylko hokej.

– Zadzwoił do mnie rano Amat. Biegaliśmy razem w lesie. Wydaje mi się, że znów chciałby trenować... – zaczyna Bobo.

– Ile waży? – pyta bez sentymentu Zackell.

– Za dużo – przyznaje Bobo.

– Wymiotował?

– Jak cielak.

Trenerka kiwa głową, ćmi cygaro i nagle robi zdziwioną minę.

– Tak?

– Tak...? – zastanawia się Bobo.

– Coś jeszcze? – pyta Zackell.

– Nie, nie, pewnie, że nie, tylko...

– No więc! Słyszałam, że wszystkie drużyny z Hed mają trenować u nas, dlatego chciałabym, żebyś przebukował nasze czasy na ostatni trening wieczorem.

– Ostatni? Chłopaki nie będą zadowolone, że muszą grać tak późno... – zaczyna Bobo, ale natychmiast do niego dociera, że Zackell właśnie o to chodzi, nie chce mieć zadowolonych chłopaków, jedna z pierwszych rzeczy, o które pyta nowych zawodników, to: „Chcesz się dobrze bawić czy chcesz wygrywać mecze?”.

– Widzimy się wieczorem! – powtarza trenerka i powoli zamyka drzwi.

– Może mogłabyś zadzwonić do Amata? – wyrzuca z siebie Bobo. – On się wstydzi. Może nie ma odwagi zadzwonić sam, ja...

Zackell robi taką minę, jakby pytanie zadano od tyłu.

– Zadzwoń?

– Wiem, znaczy się wiem, że nie wierzysz w motywowanie zawodników, już mi mówiłaś, że wszyscy muszą chcieć sami. Jak to było z tymi osłami? Możesz zaprowadzić osła do wody, ale nie zmusisz go, żeby ją wypił? Czaję! Ale Amat to... to przecież Amat! Potrzebuje jedynie odrobinę zachęty... może więc mogłabyś...

Zackell pali w ciszy, tak jakby się spodziewała, że będzie jakiś dalszy ciąg. Bobo otwiera usta, ale już bez słów. Dlatego Zackell z naciskiem na „my” wyjaśnia najcierpliwiej, jak tylko potrafi:

– My nie trenujemy zawodników. Tylko drużynę. Amat nie musi nam udowadniać, że umie grać w hokeja, jedynie, że nie jest głupi. Możemy wygrać z przeciętnymi inteligentnymi zawodnikami, ale nigdy z wybitnymi, ale głupimi. Bo inteligentni zawsze mogą zrobić jakąś głupotę, ale głupi nigdy nie zrobią nic mądrego.

– Ja... – pojękuje Bobo, bo jak zwykle boli go już głowa, gdy Zackell zaczyna swoje wywody.

– Każdy bez wyjątku może się nauczyć być idiotą, ale idiota nie nauczy się już niczego – podsumowuje Zackell w niezwyklej dla niej próbie wykazania się nieco bardziej pedagogicznym podejściem.

– Amat nie jest idiotą – mówi urażony Bobo.

Zackell strzepuje popiół z cygara do kieszeni szlafroka, który, gdyby tylko był czysty, z pewnością od razu zająłby się ogniem, ale na szczęście ma już na sobie taką warstwę plam na plamach, że stał się ognioodporny.

– To się jeszcze okaże. Najpierw się przekonajmy, jakim jest osłem – odpowiada.

Po czym zamyka drzwi, nawet się nie żegnając. Pewnie nawet nie wie, że to niegrzeczne.

—

Minibus zapala dopiero po dwunastej próbie. Johnny mamrocze, że to ta Ana musiała coś w nim popsuć. Dzieci pakują swoje torby, nawet Tobias w końcu się zebrał, i ruszają do Björnstad. Johnny krzywi się całą drogę, bo jego fotel nie jest

ustawiony tak jak zwykle, a dodatkowo jeszcze Ana pozmieniała mu stacje radiowe.

– Serio, tato, musimy słuchać tego rocka dla staruszków? – dopytuje Tess, gdy ojciec w końcu znajduje swój kanał.

Siedzi oczywiście z przodu, tak żeby Tobias i Ted nie mogli się pobić o to miejsce.

– Nawet nie waż się nagadywać na Springsteena, to jedyna osoba w moim życiu, która jeszcze na mnie nie narzeka – pofukuje ojciec.

Tess wzdycha.

– Ale z ciebie drama queen.

Ojciec pogłównia muzykę.

– Bruce mnie rozumie.

Tess wywraca oczami i przechyla się do tyłu.

– Ted, skończyłeś wypracowanie na angielski?

– Mhm – dobiega z tylnego siedzenia.

– Mogę przeczytać?

Brat wygrzebuje laptopa z torby treningowej. Mają wspólny komputer i zabierają go na halę lodowiska, żeby w przerwach, czekając, aż pozostali skończą treningi, odrabiać zadania domowe.

– Mogłabyś mi... sprawdzić gramatykę i takie tam? – prosi.

– Sam się musisz tego nauczyć – narzeka siostra, ale oczywiście poprawi mu błędy.

Niedługo dotrą do granic Björnstad i Johnny odchrząkuje, a wtedy Ted, Tobias i Tess, jak przystało na dobre starsze rodzeństwo, natychmiast zaczynają się wygłupiać i stroić miny, a nawet śpiewać, wszystko, by odwrócić uwagę Turego, tak by nie wyjrzał przez okno i nie zastanawiał się, co też napisano na szyldzie przy wjeździe do miasta.

Tak jakby słowo „cipa” nie miało się dziś jeszcze wielokrotnie obić o jego uszy.

–

Elisabeth Zackell zapala w kuchni jeszcze jedno cygaro, wyjada gotowane ziemniaki prosto z garnka i ogląda hokej na trzech ekranach naraz. Ci, którzy chwala ją jako trenerkę, często wspominają jej strategiczne i analityczne umiejętności, ale jej największym talentem jest właściwie to, że trudno ją zaskoczyć. Wynika to z tego, że przyjmuje wiadomości takie, jakimi są, a nie takie, jakimi chciałaby je usłyszeć. Nie raz widziała już trenerów dających zawodnikom zbyt wiele szans, albo na odwrót, niedających im żadnych szans przez wzgląd na to, co wydawało im się, że może się wydarzyć. Ci sami trenerzy rozprawiają o „instynkcie” i „przecuciu” w trzewiach, ale jedyne „czucie” w trzewiach, jakiego Zackell się obawia, to biegunka. Wszystko, co dotyczy hokeja, przechowuje w głowie. Dlatego właśnie potrafi wyrzucić z drużyny zawodników, mimo że są dobrymi ludźmi, nie musi się nawet zastanawiać, czy są dobrymi hokeistami, najważniejsze jest dla niej, czy są właściwymi.

Ludzie mówią, że jest „cyniczna”, ale ona nie rozumie, jak inaczej można wygrywać mecze hokejowe. Czyżby tylko dzięki temu, że życzymy sobie wygranej? Albo mając sprawiedliwość i przekonujące argumenty po swojej stronie? Uważa, że większość sezonów jest rozstrzygnięta, jeszcze zanim się rozpocznie, mistrzowskie drużyny buduje się, dobierając odpowiedni skład, a nie z pomocą trenera, który w bazie z nerwów zakrzykuje się prawie na śmierć. Wiosną, gdy Björnstad było u szczytu, dziennikarze nagle zaczęli nazywać klub „fabryką talentów”, a ją samą „geniuszką”. Mogliby się chociaż zdecydować, albo jest to zasługa talentu, albo jej. Bo co ona w sumie zrobiła? Nie przemieniła Amata w gwiazdę, po prostu pozwoliła mu grać. Nie nauczyła go, jak być lepszym, ustawiła go jedynie w sytuacjach, w których popełniał mniej błędów. Ludzie w mieście gadają, że „testuje” swoich zawodników i że przeprowadza na nich „psychologiczne eksperymenty”, ale to nieprawda. Próbuje się po prostu dowiedzieć, z jakiego typu osłami ma do czynienia, tak żeby mieć pewność, których od razu może sobie odpuścić.

Po wizycie Bobo, który chciał porozmawiać o Amacie, siedzi teraz w kuchni, pali i robi notatki przed ekranami. Nie ma może w sobie tylu uczuć co inni, ale nie brakuje jej empatii, rozumie, że wielkie serce Bobo chciałoby najlepiej dla wszystkich zawodników, szczególnie dla Amata. Koniec końców jednak zadaniem trenera nie jest wychowywanie ludzi, nawet jeśli wszystkie PR-owe broszurki i pięknie sformułowane „deklaracje wartości”, które klub pokazuje w mediach,

mają tego dowodzić. Zadaniem trenera jest wygrywanie meczów. Wyników nie mierzy się w uczuciach, ale w tabelach. Tak więc na jednym z ekranów Zackell puszcza mecze Amata z zeszłego sezonu, a na dwóch pozostałych przewija dla porównania rozgrywki zawodników z innych drużyn. Zwykła tak robić, by rozeznąć się w przeciwnikach i przewidzieć, którzy z nich mogliby stanowić dla Amata problem. Teraz sprawdza, który z nich mógłby go zastąpić.

Może i świadczy to o jej cynizmie, a nawet wypraniu z uczuć, ale ona tylko przyjmuje informację, którą ma: Bobo jest jednym z najlepszych przyjaciół Amata, a nikt nie wierzy w swoich przyjaciół bardziej niż on. Jeśli więc nawet on uważa, że Amat jest tak niestabilny, że potrzebuje motywujących telefonów od trenera, żeby chcieć grać w hokeja, zamiast przesiadywać w domu i chlać, to jest już za późno. Zackell wie, że Bobo przyszedł do niej, żeby dać przyjacielowi ostatnią szansę, zamiast tego jednak mu ją odebrał.

—

Nikt nie mówi, że rodzicielstwo to pułapka, zagwozodka i okrutny żart: nigdy nie jest się bowiem wystarczającym i nigdy się nie wygrywa.

Johnny zatrzymuje minibusa przy hali lodowiska w Björnstad. Telefon dzwoni mu nieprzerwanie, współpracownicy czekają w lesie, ale on się zastanawia, czy jednak nie wejść z dziećmi do środka. Córka to widzi.

— W porządku, tato. Ten napis wysmarowały jakieś głupawe małolaty. Damy sobie radę. Przypilnuję Tobbego, żeby nie wpakował się w żadną bójkę.

— Jesteś pewna? Jakoś tak... to znaczy, jeśli chcesz, mogę chwilę zostać... — tłumaczy ojciec.

Tobias i Ted wyciągają torby z bagażnika. Są między nimi dwa lata różnicy i mają tych samych rodziców, ale równie dobrze mogliby należeć do odmiennych gatunków. Johnny obawia się, że od jednego wymaga za wiele, a od drugiego za mało. Zeszłej wiosny był na jednym z meczów Teda i co najmniej ze sto razy, bezskutecznie, upominano go, żeby już usiadł. Ted nie grał za dobrze, chociaż w sumie oczywiście był najlepszy na lodowisku, ale nadal nie taki dobry, jak mógłby być. „To przez te krzyki” — wyjaśniła mu w końcu Tess. Johnny jak zwykle opacznie to zrozumiał i wlepił wzrok w rodziców drużyny przeciwnej, mrużąc: „Tak, tak, ci to potrafią drzeć ryja, ale Ted musi się też nauczyć wyłączać i mimo

wszystko grać jak najlepiej”. Tess westchnęła i powiedziała prawdę: „Tato, ich krzyki go nie ruszają. Twoje natomiast tak”. Nie spojrzał jej w oczy, wcisnął jedynie dłonie w kieszenie tak mocno, że aż zrobiły się w nich dziury. „Tyle samo krzyczę na Tobbego, to nic...” – wymamrotał po chwili. Tess pokręciła głową i odparła cicho: „Nie. Dobrze wiesz, że nie”.

Johnny siedział przez resztę meczu. To prawda. Na Teda krzyczy więcej, bo widzi jego potencjał, na Tobbego mniej, bo ten już osiągnął swoje maksimum.

– Jest okej, tato, serio! – przekonuje Tess.

Pomaga Turemu odpiąć pasy. Chłopiec się śmieje, zachwycony, że będzie mógł spotkać kolegów. Wygląda na miłego i delikatnego, ale to tornado. Ostatnim razem, gdy Johnny stracił kompletnie humor po tym, jak ich syn znów coś zmajstrował, a Hannah zapytała męża, dlaczego się tak denerwuje, odparł: „Bo to nasz CZWARTY dzieciak i powinienem już być w tym DOBRY!!!”. Ależ się z niego śmiała, a potem go pocałowała i powiedziała: „Kochanie, tego dnia, w którym stwierdzisz, że jesteś dobrym ojcem, będziesz beznadziejnym”. Johnny wkurza się na samą myśl. Co to niby miało znaczyć? Nie był gotowy na Turego, myślał, że to już koniec z dziećmi, nadal twierdzi, że powinni dać młodemu na imię „Niespodzianka”. Gdy opowiedział o tym Bengtowi w pracy, ten uśmiechnął się tylko, jak to zwykle czynią rodzice dorosłych dzieci, i poradził Johnny’emu, żeby się nie martwił, bo jak długo dziecko żyje i ma w miarę czystą bieliznę, on może uchodzić za wystarczająco dobrego ojca. Łatwo powiedzieć, trudniej poczuć.

– Na pewno? Mogę z wami wejść na chwi... – zaczyna na nowo, ale Tess mu przerywa:

– Serio! Tato, jedź! Już na ciebie trąbią!

– Jakby mnie to obchodziło, że ktoś trą...

– Ale MNIE obchodzi! To wstyd! – Wyciąga Turego z fotelika, zamyka drzwi, pochyla się przez okno i całuje tatę w policzek. – Nie możesz nas pilnować w każdej sekundzie życia. Damy sobie radę. Trener chłopców już jest, a w środku aż kłębi się od innych dorosłych. Jedź i bądź ostrożny w lesie!

– O mnie się nie martw! – odpowiada urażonym głosem Johnny.

Tess parodiuje jego ruchy.

– O mnie się nie maaaaartw!

– Wcale tak nie... brzmię – fuka Johnny.

– Po prostu bądź ostrożny, dobra? Bruce Springsteen potrzebuje cię żywego, żeby ktoś jeszcze go słuchał.

Johnny wybucha śmiechem. Zawsze ma największe wyrzuty sumienia względem niej, nigdy nie czuje się wystarczająco dobry dla żadnego z dzieci, a już najmniej dla córki. Odkąd skończyła dziewięć lat, nie był jej w stanie pomóc w żadnych lekcjach, a teraz Tess chodzi do liceum i marzy o tym, by studiować prawo na uniwersytecie, a to dla niego całkiem obce tereny. Tak więc gdy córka opowiada o miastach, do których chce się przeprowadzić na studia, Johnny broni się najgłupszymi wątpliwościami: Dlaczego chce się wyprowadzić? Hed już jej nie wystarcza? Czy jej dzieciństwo było tak beznadziejne, że jedyne, o czym marzy, to stąd uciec? A co, jeśli wybierze złą szkołę? I będzie to jego wina? A jeśli miałyby innych rodziców? Bardziej podobnych do niej? Czy wtedy lepiej dałaby radę? Zaszłaby dalej? Byłaby szczęśliwsza? A Tobias, Ted albo Ture? Czy Johnny za dużo krzyczy? A może za mało? I czy zrobił wszystko, co mógł?

– Jedź już, tato – szepcze Tess.

Ojciec zbiera się w sobie.

– Odbiorę was najszybciej, jak się da. Pilnuj Tobiasa, żeby, no wiesz, nie był za bardzo... mną.

Córka uśmiecha się i przytakuje. Johnny ma gdzieś wszystkie samochody za nim, czeka, aż dzieci znikną w budynku, i dopiero wtedy odjeżdża. Nienawidzi tego, że dorastają. Nienawidzi.

–

Prosta, choć niezwykle uciążliwa prawda jest taka, że życie nastolatków rzadko zależy od tego, co zrobią, a prawdziwe znaczenie ma to, co prawie zrobią.

Gdy Amat wraca do domu, na ziemi leży już śnieg. Jest prawie zima, prawie ciemno, a on prawie dzwoni do Zackell tysiąc razy. Prawie udaje mu się przewyciężyć głosy w głowie. Idzie z Niecki prawie aż do hali lodowiska, ale przystaje kilkaset metrów przed parkingiem. Roi się na nim od dzieci odwożonych na trening przez rodziców, wyskakujących wesoło z samochodów i rozbawionym tonem witających się z kolegami. Amat rozpoznaje wielu z nich, bo widział, jak wyły ze szczęścia za szybami z pleksi za każdym razem, gdy strzelał gola dla drużyny. Wie, że wielu z nich podczas gry na podwórku nadal udaje, że jest nim, bo

pamiętają go z czasów, gdy był najlepszy. Jako gwiazdę, idola. Ale teraz? Jeśli wejdzie dziś na lód i coś pójdzie nie tak, jeśli pokaże, jaki jest niewytrenowany i wolny? Kim wtedy będzie? Jeszcze jednym, któremu prawie się udało, który zeszłej wiosny prawie wygrał serię z Björnstad, prawie dostał się do NHL. Prawie dzwoni do Bobo. Prawie przechodzi przez parking. Prawie wchodzi do środka i prosi Zackell, by mógł wrócić do drużyny. Większość nastolatków nie wie, że całe ich życie zależy od tego jednego niewielkiego słowa, które dzwoni Amatowi w uszach całą drogę do domu. „Prawie prawie prawie”. Nie marzy o niczym innym, tylko o samotności, ale głosy w głowie nie odpuszczają. „Przeceniali cię. Jesteś zwykłym blefem. Wszyscy to wiedzą. Równie dobrze możesz iść do domu i się upić. Nie będziesz wtedy musiał niczego czuć. Ani próbować. Ani ponosić porażki. Ani znosić bólu”.

Na dnie garderoby znajduje ostatnią nieotwartą butelkę alkoholu. Idzie do lasu, nie biegnie, siada na polanie z widokiem na halę lodowiska z wódką w ręku. Wszystko, co wydarzy się w dalszej części jego życia, rozpocznie się od tego, czy prawie otworzy tę butelkę, czy też prawie tego nie zrobi.

Radykalizm

Podniesione worki na szkło hałasują, mimo że Ana próbowała wyciszyć brzdęk, wkładając pomiędzy butelki kartony po mleku. Niestety zabrakło jej izolacji – nie była w stanie wypijać takich ilości mleka. Ba, nawet gdyby wylewała je prosto do zlewu, nie zdołałaby zatuszować dźwięków natrętnie przypominających o nałogu ojca. Otwiera drzwi wejściowe i wychodzi do ogrodu. Maya idzie właśnie drogą z futerałem na gitarę przewieszonym przez ramię, przyjaciółki zauważają się nawzajem w tym samym czasie. Jedną z najfajniejszych rzeczy u Any jest to, że nawet nie mówi „cześć”.

– Pomóż mi z tymi workami! – prychna tylko i podaje jeden Mai, tak jakby nie widziały się zaledwie kilka godzin, a nie miesięcy.

Idą w kierunku koszy na śmieci.

– Tęskniłam za tobą – mówi Maya z uśmiechem na twarzy.

– Co to za buty? Idziesz na jakiś bal? – pyta Ana.

– A ty? Jesteś bezdomna?

Ana unosi brew.

– Zawsze się tak ubierałam. To z ciebie zrobiła się snobka.

– Snobka? Tylko dlatego, że nie wyglądam jak statysta w filmie o zombie?

– Wyglądasz, jakbyś się malowała w trakcie trzęsienia ziemi!

Obie wybuchają śmiechem. Boże, ależ się zaśmiewają. Dwie minuty i wszystko jest jak zwykle. Te same docinki, ten sam śmiech. Te same tatuaże na ramionach: gitary i strzelby. Muzyczka i łowczyńni. Dwie dziewczyny, które mają tak niewiele wspólnego, a których jednocześnie nie sposób rozdzielić. Mówią jedna przez drugą, siostrzana symultaniczność, żadna z nich ani na chwilę nie musi cichnąć, by usłyszeć, co mówi druga. Dopiero gdy Maya zagląda do worka, który podała jej Ana, milknie.

– Dzisiaj jest trzeźwy, bo jutro pogrzeb, ale zapewne nie odpuści piwa na stypie – mówi Ana, bo Maya jest jedyną osobą na świecie, której nie musi przepraszać.

Maya kiwa z przygnębieniem głową i zaczyna wkładać butelki do kontenera na szkło. Dzień przed pogrzebem ludzie są trzeźwi „z szacunku”, ale jak tylko Ramona spocznie w grobie, nawalą się z tego samego powodu.

– Myślałam, że z twoim tatą było już lepiej – mówi cicho Maya.

– Jakiś czas. Ale potem wygrałam zawody i zadzwoniłam do domu, by mu o tym opowiedzieć, a on nie zna innego sposobu na świętowanie i radość, niż się napić – odpowiada Ana, jakby była to jej wina.

– Przykro mi... ja... – zaczyna Maya, ale Ana tylko wzdycha.

– Przestań. Jest jak jest. Możemy porozmawiać o czymś innym?

Zrobiła się twardsza. Albo po prostu dorosła. Zaczęła zamykać drzwi i okna wokół wszystkich uczuć, bo tak robią dorośli, tylko dzieci mają jeszcze siłę na życie w emocjonalnym przeciągu.

– W każdym razie jest mi przykro, że dzwoniłam tak rzadko. Tyle się działo w szkole, ale powinnam była przyjeżdżać do domu częściej...

– Jesteś teraz – podsumowuje Ana.

– No tak, ale wiesz, o co mi chodzi.

Ana zaśmiewa się i rzuca jej prosto na szyję.

– Kocham cię, głupia kozo! Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która przeprasza za to, że tu jest, będąc tutaj! Serio? Przecież nie możesz być bardziej na miejscu niż teraz.

Maya przytula przyjaciółkę tak mocno, że aż czuje ból w płucach.

– Tak bardzo mi ciebie brakuje.

– Przecież właśnie mnie PRZYTULASZ, kozo!

– Zamknij się!

Jak ludzie dają radę żyć bez takiej Any? Jak, do cholery, to robią? Dziewczęta wracają w stronę domu ramię w ramię. Gdzieś tam leżą jeszcze powalone drzewa, szkody wyrządzone przez wichurę nadal widać w ogródkach, wiatr z niezwykłą lekkością depcze iluzję tego, że o czymkolwiek decydujemy.

– Ciekawe, ile będzie kosztować odbudowanie tego wszystkiego – zastanawia się głośno Maya.

– Coś mi się wydaje, że mylisz mnie ze swoimi kolegami ze szkoły, profesorami ekonomii. – Ana się uśmiecha.

Maya również, ale już nieco bardziej wymuszenie.

– I tak nie jest tak źle. Widziałaś, jak wygląda Hed?

Ana poważnieje.

– Tak. Byłam tam rano. I słyszałam, jak tata rozmawiał z kolegami z koła łowieckiego. Tamtejszą halę lodowiska zmiotło, więc najwyraźniej wszystkie drużyny z Hed będą teraz trenować u nas. Wszyscy są wkurzeni na maksa. Tata mówi, że będzie jeszcze gorzej.

Maya zauważa, że Ana mówi „u nas”. To również się u niej zmieniło. Odkąd umarł Vidar, przyjaciółka nienawidzi Hed.

– Dziś rano widziałam tatę z Teemu... – mówi Maya, czekając na reakcję towarzyszki.

– Pewnie planują pogrzeb Ramony – odpowiada Ana, wzruszając ramionami, tak jakby nie było to nic poważnego.

– Mhm – potakuje Maya, próbując przekonać samą siebie.

Nie wie, jak ma pociągnąć ten temat dalej, bo odkąd wyprowadziła się z domu, nie ma prawa oceniać przyjaciółki. Ana nie miała wtedy nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o Vidarze, więc czasem zwracała się do chłopaków z Grupy, bo oni doskonale rozumieli, przez co przechodziła. Teraz jeżdżą na jej zawody, stoją na trybunach w swoich czarnych kurtkach, podczas gdy Maya jest zajęta własnym życiem.

– A może Teemu chciał porozmawiać o plotkach dotyczących obu klubów? Mój tato mówi, że faceci w kole myśliwskim non stop gadają, że gmina chce zlikwidować Hed i zostawić tylko Björnstad.

– Co?

– No wiesz, przecież nie mają tam żadnych sponsorów ani pieniędzy, gmina to wszystko utrzymuje. Mają im też teraz odbudować całą halę z naszych podatków? No proszę cię. W takim razie lepiej mieć tylko jeden klub!

Maya wie, że nie są to słowa Any, tylko taty czy też innych mężczyzn. Nie może jednak oponować, bo to już nie jest jej miasto.

– Nie tak dawno temu to Björnstad nie miało żadnych sponsorów... – mówi tylko cicho.

– Pewnie. Ale wtedy to było wtedy, a teraz jest teraz – odpowiada Ana, wzruszając ramionami.

– Mhm – przytakuje Maya, a wówczas przyjaciółka patrzy na nią niepewnie i zmienia temat, żeby uniknąć kłótni:

– Będziesz tak nosić tę gitarę w kółko jak ozdobę czy w końcu coś dla mnie zagrzasz?

Wchodzą więc do domu, idą prosto do pokoju Any i Maya gra dla swojej najlepszej przyjaciółki i jej psów, tak jakby nic się nie zmieniło. Potem leżą obok siebie na łóżku, gapiąc się w sufit, i Ana pyta, o czym Maya myśli, a tej nie przychodzi do głowy nic innego, więc mówi prawdę:

– Uczyliśmy się w szkole o sektach religijnych. I radykalizmie. To samo co terroryści, no wiesz, „argument równi pochyłej”. Nikt nie zaczyna jako szaleniec, nikt nie rodzi się agresywny, wszyscy najpierw robią coś małego, a potem znów jeszcze coś. Radykalizm polega na tym, że powoli zaczynamy normalizować to wszystko, co pojebane. Wszyscy stajemy się stopniowo coraz niebezpieczniejsi, centymetr po centymetrze. Tak jest też tutaj, wszyscy myślą, że walczą o dobro. I działają w... samoobronie.

Ana leży cicho i długo wpatruje się w sufit. Potem łapie Mayę za rękę i nie odwracając się w jej stronę, szepcze:

– I co możemy z tym zrobić, jeśli to dzieje się wszędzie?

– Nie wiem.

– W takim razie o tym nie myśl.

– Tobie niemyślenie idzie lepiej niż mnie.

– To dlatego, że jestem tak cholernie mądra i namyślałam się już za wszystkie czasy.

– Naprawdę! Naprawdę! To jest naprawdę niesamowicie mądre!

Ana chichocze.

– Lubię twoje nowe piosenki, baranie.

Maya również chichocze.

– Dziękuję, włóczęgo.

Zasypiają w łóżku i śpią tak spokojnie, jak już dawno żadna z nich nie spała.
Plecami do siebie, jak zwykle.

Dziury po kulach

W warsztacie samochodowym w Björnstad jest dziś rano pusto, toteż właściciel ma okazję nieco dłużej poczytać gazetę i wypić kawę w garażu. Nazywa się „Knur”, bo właśnie tak przed wieloma laty grał w hokeja, niczym szalony dzik. Gdy jednak coś naprawia, jego ogromne jak bochny chleba dłonie są wyjątkowo delikatne i zręczne. Ludzie przychodzą więc do niego nie tylko z samochodami, ale ze wszystkim – ze skuterami śnieżnymi, kosiarkami i ekspresami do kawy, a nawet sprzętem do pędzenia bimbru. Przez ostatnie dwa lata, odkąd zmarła mu żona, przychodzili nawet częściej, w ten właśnie sposób pokazując, że troszczą się o mężczyznę, któremu niezbyt dobrze wychodzi słuchanie, że powinien sobie dać pomóc.

Jego syn Bobo jest w hali lodowiska. To trener pomocniczy pierwszego składu i ojciec musi się czasem porządnie nachylić nad maską reperowanego samochodu, żeby nie było widać, jak bardzo się z tego cieszy i jak bardzo dumna z syna byłaby jego matka. Jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, młodsze rodzeństwo również poradziło sobie z żałobą całkiem nieźle, znów się śmieją i nie zadają już tylu pytań. Dziś bawią się w domu kolegów.

Teemu to wie, darzy Knura zbyt wielkim szacunkiem, by przychodzić do niego, gdy dzieci są w domu, zasługują na to, by wierzyć, że ich tata nie ma nic wspólnego z ludźmi takimi jak on.

– Wziąłeś urlop czy co? – pokrzykuje teraz z ogrodu.

Knur podnosi wzrok. Witają się uściskiem dłoni. Knur jest w średnim wieku, nigdy nie należał do grupy Teemu, ale nie wstydzi się z nim przyjaźnić. Gdy Knurowi zmarła żona, jako pierwszy zjawił się przyjaciel z dzieciństwa, Peter, i oczywiście zaoferował pomoc, ale zaraz za nim nadeszli mężczyźni w czarnych kurtkach. Naprawili dach, przemalowali dom. A gdy dzieci wymagały szczególnej troski, tygodniami na zmianę przychodzili pracować w warsztacie za darmo. Tego

się nie zapomina. Uśmiecha się do Teemu, wskazując głową na prawie pusty parking.

– Nikt nie naprawia samochodów na tydzień przed startem sezonu łowieckiego. Większość i tak będzie miała dziury po kulach w suficie, po tym, jak nawaleni urządują sobie wycieczki po lesie, zapominając, że trzymają w dłoni broń...

Teemu wybucha gromkim śmiechem.

– W tych lasach więcej ptaków ginie przez przypadek niż łosi w trakcie polowań.

Knur również się śmieje. To tego typu żarty, które między sobą opowiadają myśliwi w tych okolicach, ale których w żadnym razie nie znieśli u innych. Ani Knur, ani Teemu w życiu nie poszliby do lasu z kimś, kto nie potrafi się posługiwać bronią. Myśliwi muszą bezgranicznie ufać temu, kto stoi obok, ale przede wszystkim temu, kto stoi za nimi.

– Kawy?

– Chętnie.

Piją. Rozmawiają o skuterach i o hokeju. Knur odczekuje dwa kubki kawy, zanim pyta:

– No więc. Czego potrzebujesz?

Teemu wygląda prawie tak, jakby się wstydził. Ale tylko prawie.

– Przysługi. Ale nie musisz, jeśli nie chcesz...

– Proszę mnie twoi koledzy czy ty?

– Ja.

– No to wiesz, że to zrobię.

Teemu kiwa głową z uznaniem. Po czym wskazuje na jeden z niewielu samochodów stojących przed warsztatem.

– Potrzebowałbym tego auta.

Groźba

Lev wynajmuje niewielki dom rzut beretem od wysokich ogrodzeń złomowiska. Pracujący dla niego mężczyźni mieszkają w przyczepach kempingowych w pobliżu. Jest ich szefem, nie może więc być ich przyjacielem, potrzebują tej niewielkiej przestrzeni, by móc wyrażać swoje niezadowolenie, bez obaw, że ich usłyszy. Nie oferuje prostej pracy, ale nie szukają jej też prości ludzie.

– Lev! LEV! – krzyczy teraz jeden z nich z ogrodu.

Wali pięścią w drzwi, Lev otwiera z poirytowaną miną.

– Tak?

– Przyszedł jakiś garniak! Wygląda jak glina! – mówi mężczyzna w jednym z wielu języków, których podstawy opanował jego szef.

Lev wygląda przez uchylone drzwi w kierunku bramy złomowiska, rzeczywiście stoi tam mężczyzna w garniturze. Wygląda na śmiertelnie przerażonego.

– To nie jest żaden glina – mruczy Lev, sięgając po kurtkę.

Mężczyzna w garniturze czeka z niepokojem na zbliżającego się Leva, ten niespiesznie zamyka drzwi i wolnym krokiem idzie w jego stronę.

– Tak? – pyta, gdy jest już bardzo blisko.

– Ekhm, tak, wydaje mi się, że chyba jest tu mój samochód. Był w warsztacie w Björnstad, ale gdy tam rano zadzwoniłem, żeby sprawdzić, czy mogę go już odebrać, powiedziano mi, że ktoś go zabrał i że mam sprawdzić... tutaj.

Lev rozgląda się dookoła z nieskrywaną czujnością.

– „Ktoś” odebrał pański samochód i zostawił go tutaj?

– Tak, przynajmniej tak mi powiedziano.

– Kto tak powiedział?

– Facet w warsztacie.

– W Björnstad?

– Tak.

Lev nie spuszcza mężczyzny w garniturze z oczu.

– Co to za samochód?

– Taki... czarny. – Garniak odchrząkuje.

Lev kiwa beznamiętnie głową.

– Dobrze, sprawdźmy, tak? – mówi i wskazuje drogę przez bramę.

– Nie... nie, nie ma sprawy, mogę wrócić później... – odpowiada mężczyzna z wyraźnym strachem w głosie, ale Lev nalega.

– Proszę, nie ma problemu. Przecież nie jesteśmy jakimiś mordercami ani złodziejami, nawet jeśli właśnie to pan o nas słyszał, tak?

Na złomowisko prowadzi tylko jedna brama, ogrodzenie jest wysokie, na szczycie zamontowano kamery monitoringu, w środku śmierdzi spalenizną. Lev idzie po świeżym śniegu, mężczyzna w garniturze tupta za nim, spotykają ogromnego, ubranego jedynie w podkoszulek faceta z gęstą brodą. Lev wydaje mu polecenie w języku, którego garniak nie potrafi dopasować do żadnego obszaru na mapie. Podkoszulek znika w przyczepie kempingowej, Lev prowadzi garniaka dalej, na obrzeża złomowiska, które okazuje się o wiele większe, niż można by przypuszczać z zewnątrz, a przecież mężczyzna w garniturze nadal widzi tylko jego ułamek.

– Jest gdzieś tutaj? – dopytuje Lev po tym, jak przechodzą wzdłuż ogrodzenia i szeregu samochodowych wraków oraz niezidentyfikowanych stert złomu.

Mężczyzna w garniturze kręci z przestraszeniem głową. Lev mruży oczy i napina kark. Podkoszulek wraca z przyczepy kempingowej.

– Czy ktoś tu był w nocy? Włączył się alarm? – pyta Lev.

Podkoszulek kręci głową z przygnębioną miną. Lev odwraca się do mężczyzny w garniturze.

– Gdzie pan pracuje?

– Słucham?

– Pana praca!

Mężczyzna przełyka ślinę.

– Prowadzę zakład pogrzebowy w Björnstad.

Lev podchodzi bliżej.

– Co dokładnie powiedział, tak? Ten, który dzwonił. Że ma pan odebrać samochód tutaj?

Garniak trzęsie się przy każdej wymawianej sylabie i kręci głową.

– Nie, nie, nie, podał... pańskie imię. „Stoi u Leva”.

Lev już ruszył przed siebie.

– Proszę tu poczekać, tak?

Mężczyzna robi, co mu kazano. Lev opuszcza złomowisko, przemierza krótki odcinek do domu, drzwi wejściowe są otwarte, chociaż jest przekonany, że je zamykał. Na stole kuchennym ktoś postawił pusty kufel z Futra, a obok leżą kluczyki do samochodu. Lev wygląda przez okno na niewielki ogródek z tyłu, część desek w płocie usunięto, musiało ich być wielu i z pewnością uwijali się jak w ukropie. W ten właśnie sposób dają znać, że są wszędzie, że wszędzie mogą do ciebie dotrzeć i załatwić cię, kiedy tylko będą chcieli. To nie jest subtelna pogroźka. Teemu nie jest subtelnym człowiekiem.

Pośrodku ogrodu Leva zaparkował karawan.

Kłótnie

Po fakcie krążyć będzie oczywiście sto różnych wersji wydarzeń, w zależności od tego, kogo się zapyta, i większość z nich nie będzie opowiadać o tym, co się rzeczywiście wydarzyło, ale o tym, co się ludziom zdawało, że się wydarzyło. Zdawało się, że wszystkie konflikty toczone przez te dwa miasteczka od pięćdziesięciu lat eksplodowały w tym samym czasie. Dlatego też nie da się rozstrzygnąć, co było planem, co zemstą, a co jedynie dziełem przypadku. Ostatecznie cała historia będzie tak zagmatwana, że jeśli z jednej ze stron pociągnie się za choćby najmniejszy wątek, to rozerwą się szwy spinające rany wszystkich po drugiej stronie. Niezależnie jednak od tego, kto opowiada, niezależnie od strony, po której stoimy, co do jednego jesteśmy zgodni: zawieszenie broni między Björnstad i Hed, jeśli takowe kiedykolwiek istniało, definitywnie się dzisiaj skończy.

Przy wejściu jest tłoczno. Tess wyczuwa już szmer bójki, tak jakby w głębi serca bała się, że do tego dojdzie. Ale gdyby powiedziała prawdę, ojciec nalegałby, żeby wejść razem z nimi do środka, a wtedy to już na pewno wybuchłby chaos. Tak więc Tess pomyślała, że załatwi to sama. Naiwne z jej strony.

Ciągnie braci za sobą do szatni. Jedna z drużyn z Björnstad właśnie zakończyła trening i schodzi przy bandzie z lodu, kolejna z Hed właśnie na niego wjeżdża, a matki i ojcowie z obu stron ciągną dzieciaki i ich sprzęt. Tess wraz z braćmi musi się przepychać do przodu, nie z powodu kolejki, ale dlatego, że właśnie dziś cała grupa ludzi naraz postanowiła zaznaczyć swój rewir. Dzieciaki jak zwykle wcale nie są najgorsze, za to ich rodzice już tak, stoją skupieni w mniejszych grupkach z termosami i koszykami piknikowymi, udając, że nie rozumieją, że zagrażają drogę dzieciakom z Hed, mimo że doskonale zdają sobie z tego sprawę. „Jak można się zachowywać w ten sposób w stosunku do dzieci, jeśli samemu się je ma?” – zastanawia się Tess, gdy nagle ktoś coś wykrzykuje, ktoś uderza Turego w głowę i chłopiec zaczyna płakać. W następnej sekundzie grupa zawodników Hed zaczyna coś śpiewać i w tym momencie rodzice z Björnstad drą się już wniebogłosy.

– Co się stało, Ture? Co SIĘ STAŁO? – przekrzykuje hałas Tess, chwytając jednocześnie Tobiasa i Teda, żeby ich nie zgubić.

Tłok robi się coraz większy, rodzice stają się agresywni, Ture wyraźnie się boi. Tess próbuje go podnieść, ale nie daje rady, bo dźwiga dwie torby: jego i swoją. Dorośli się o nich potykają, a Tess wydaje z siebie okrzyk, gdy na chwilę przekrzywia jej się stopa. To sprawia, że dziewczynę ogarnia totalna panika. Właśnie wtedy widzi wielką jak łopata do śniegu rękę wyciągającą Turego, torby i ją z tłumu ciał.

– Chodź! – woła okrągła beztroska twarz, do której przynależy ogromna ręka, i ciągnie za sobą całą czwórkę rodzeństwa, a potem wszystkie ubrane na czerwono dzieciaki, które tylko pojawiają się wokół nich.

Rozdziela tłumy rodziców przed sobą niczym kotary z mięsa i wskazuje im drogę do szatni. Już w środku po części zdyszana, po części wkurzona Tess stwierdza, że: 1. Chłopak to olbrzym. 2. Ma na sobie zielony dres.

– Jesteście cali? – pyta braci.

Kiwają głowami. Ture się boi, Tobias jest zły, a Ted wpatruje się tylko z uwielbieniem w olbrzyma.

– Znam cię! Jesteś Bobo, prawda?

Olbrzym czerwieni się na twarzy, myśląc, że to zapewne jego hokejowe zasługi uczyniły go sławnym aż w Hed.

– No tak...

– Znasz Amata, prawda? Jest tutaj? Macie trening? – przerywa mu Ted, podskakując z entuzjazmu.

Olbrzym kręci się zawiedziony, tak że aż Tess robi się go żal. Bobo spogląda na nią i mówi:

– Nie, to znaczy nie wiem, ale nie sądzę, żeby Amat dziś przyszedł. A pierwsza drużyna zmieniła godziny treningu i zaczynamy późnym wieczorem...

– Możemy zostać i pooglądać? – pyta Ted.

– Powaliło cię? Chcesz zostać do WIECZORA, żeby patrzeć na BJÖRNSTAD? – wydziera się Tobias.

Tess spogląda przepaszająco na Bobo.

– Dziękuję za pomoc. Moi bracia też dziękują, niestety nie są jednak na tyle inteligentni, by to wyrazić. Ale... uratowałeś nas tam.

Olbrzym czerwieni się tak nagle i intensywnie, że aż przykłęka przed Turem, żeby nie musieć patrzeć Tess w oczy, bo ma obawy, że wtedy spłonie mu głowa.

– Wszystko w porządku? To tylko kilku głupich ludzi i zaraz ich stąd wywalę, okej? Nie wszyscy w Björnstad są tacy, obiecuję, że tu, w hali, jest cała masa miłych osób, które się tobą zajmą, tak żebyś nie musiał się bać, rozumiesz? – pyta chłopca.

– Głupi mogą spadać do diabła! – odpowiada natychmiast Ture, przybijając Bobo piątkę.

– TURE! – krzyczy Tess i Bobo już nie może się powstrzymać od śmiechu.

Wstaje i zerkając na nią, mówi:

– Też mam młodsze rodzeństwo.

– Widać – rzuca Tess trochę z uznaniem, a trochę oskarżycielsko.

Zawstydzony Bobo drapie się po kilkudniowym zaroście. Jest trzy lata starszy od Tess, ale czuje się młodszy, nigdy nie widział takich oczu jak jej, patrzy na niego takim wzrokiem, że nie wiadomo, czy zaraz zacznie na niego krzyczeć czy się śmiać. Bobo otwiera usta, ale głos go zawodzi:

– Jeśli... to znaczy, jeśli Amat się pojawi, to obiecuję przyprowadzić go do twojego brata, żeby mógł go poznać. A jeśli ty albo wy będziecie czego potrzebować, to mnie zawołajcie, jestem tu w pobliżu, albo w kafeterii, albo, no... jestem tutaj... – zaczyna się jąkać.

– I łatwo... cię znaleźć? Bo masz pięć metrów wzrostu i z siedem szerokości – dokańcza nieco prześmiewczo Tobias i natychmiast zbiera od siostry kopniaka w kostkę.

– Jeszcze raz dziękujemy! Naprawdę! – mówi Tess.

Bobo kiwa głową i uśmiecha się do własnych butów.

– Przykro mi, że niektórzy się tak głupio zachowują. Ale nie my... wszyscy – obiecuje.

– My też nie – odpowiada dziewczyna.

Obydwoje czują się jak kłamcy.

W hali lodowiska nadal jest sporo ludzi, ale w kolejnych godzinach wszyscy się uspokoją, najpierw dzieciaki, a potem ich rodzice. Grupy wiekowe z obu klubów dzielą się lodowiskiem: Ted wraz z drużyną trenują na jednej połowie, a chłopcy z Björnstad na drugiej. Potem trening ma Ture i pozostali siedmiolatkowie, a po nich Tobias z piętnastolatkami. Na końcu nadchodzi czas na jazdę figurową.

– Weź Teda i Turego, zaczekajcie w szatni i nie pakujcie się w żadne kłopoty! – prosi Tobiasa Tess przed wejściem na lód. – Jedziemy do domu zaraz po moim treningu! – dodaje.

Kilka minut później Bobo płaci właśnie za loda w kafeterii, gdy ktoś nadbiega, krzycząc:

– Na dole jest ostra bijatyka, Bobo! Zaczęła ją ta walnięta laska!

Wszystko dzieje się w mgnieniu oka.

Będzie krążyć wiele historii o tym, co się wydarzyło tego dnia w hali lodowiska, i żadna z nich nie będzie do końca prawdziwa. W Björnstad na przykład wielu pominie szczegół, że gdy czwórka rodzeństwa wchodziła do środka, ktoś rzucił kapslem w głowę Turego, a za Tess ktoś inny krzyknął: CIPA Z HED. Dziewczyna złapała Turego, żeby nikt go nie stratował, starając się przy tym przytrzymać Tobiasa, by nie zaczął się bić, cudem udało jej się złapać obu, ale niewiele to dało, bo w korytarzu kłębiło się od innych dzieciaków z Hed. Ktoś zaczął nucić melodię i zaraz dołączyła się reszta. Gdy opowiada się tę historię w Hed, wyjątkowo często pomija się to, że była to ta sama melodia, której kibice Hed używali w śpiewanej przed dwoma laty przyśpiewce „Björnstad gwałcicie!”, gdy na jaw wyszła prawda o Kevinie i nienawiść między klubami eskalowała.

Wielu w Hed „zapomni” również, że na korytarzu przy szatniach pod fotografią Ramony stały zapalone świece i kilka godzin po pierwszej bójce przy wejściu jakiś chłopiec z Hed w nie kopnął. W zamian za to wielu z Björnstad pominie to, że matka jednego z chłopców z Björnstad zatrzymała siedemnastoletnią trenerkę jazdy figurowej, która właśnie wyprowadzała swoje uczennice na lód. Kobieta uznała, że teraz nie jest czas na ich trening. W Hed powiedzą, że zaczepiła nie tę siedemnastolatkę, którą powinna, bo to była Tess, córka Johnny’ego i Hannah, która może ma nieco dłuższy lont niż jej bracia, ale na końcu jest tam cholernie dużo dynamitu. W Björnstad z przestraczem stwierdzą, że to ta Tess popchnęła

matkę. W Hed zwrócić uwagę, że to matka chwyciła ją pierwsza i że Tess tylko się wyrywała, a wtedy kobieta straciła równowagę i upadła na pośladki. W Björnstad opowiedzą, że piętnastoletni młodszy brat Tess wybiegł w tym czasie z szatni i skopał wszystkie świece pod fotografią Ramony. W Hed natomiast, że po prostu usłyszał, że ktoś zaatakował jego siostrę, i pobiegł ją bronić, nawet nie zauważając po drodze świec.

Często mówi się, że to zwycięzcy piszą historię, ale tutaj nie ma żadnych zwycięzców.

Gdy Bobo dowiaduje się, co się dzieje, pędzi co sił w nogach z kafeterii i oczyszcza korytarz z dziko kołyszających się piętnastolatków, o ile to możliwe, rzucając zielonych na jedną stronę, a czerwonych na drugą. Nie o nich boi się jednak najbardziej. Po wcześniejszej bójce wykonano kilka telefonów i chwilę później w hali pojawiła się garstka czarnych kurtek, zajmując miejsca na samej górze krótszej trybuny. Jak na razie przyszli tylko najmłodszy w Grupie, chłopcy na posyłki, lecz Bobo zdaje sobie sprawę, że ci starsi, dużo niebezpieczniejsi, są w odległości tylko jednego esemesa stąd. Jeśli dotrą tu Teemu i jego najbliżsi współpracownicy, to Bobo nie jest pewien, czy wszyscy w hali opuszczą ją na własnych nogach.

– Chodź, najlepiej będzie, jak już pójdziemy – mówi szybko do Tess, a ona od razu widzi w jego oczach, że nie obawia się o własne bezpieczeństwo.

– Tobbe! Ted! Ture! – Dziewczyna natychmiast woła braci i ciągnie ich przez całą halę, aż na parking, wysyłając przy tym esemesa do taty: „Trening skończył się wcześniej. Możesz nas zgarnąć od razu?”.

Dobrze wie, że lepiej nie pisać, że doszło do bójki, popełniła ten błąd tylko raz, gdy miała dwanaście lat i była na przyjęciu urodzinowym. Ojciec przyjechał na nie wraz z sześcioma innymi strażakami i wyglądał, jakby chciał zabić każdego chłopca, który tylko odważył się na nią spojrzeć. Zdyszana odwraca się do Bobo. Wygląda na zawstydzonego, tak jakby to wszystko była jego wina. Tess prawie wybucha śmiechem.

– Podobało... mi się, że tylko pomiędzy nich wszedłeś. I nikogo nie uderzyłeś – mówi.

– Nie jestem zbyt dobry w bójkach. Tylko duży. – Bobo uśmiecha się nieśmiało.

– To dobrze. Nie lubię tych, którzy dobrze się biją – odpowiada Tess.

Bobo nie wie nawet, w którą stronę patrzeć, obraca się więc prawie wokół własnej osi, by nie musieć spojrzeć dziewczynie prosto w oczy. Zamiast tego zauważa solidne limo pod okiem Tobiasa, podaje mu więc loda, by go przyłożył w spuchnięte miejsce. Można chyba uznać, że wiele mówi o Bobo to, że udało mu się zatrzymać całą bójkę w środku i nie upuścił przy tym loda. Oraz że jak na osobę, która tak lubi lody, z łatwością oddał go młodszemu bratu Tess.

– Jak tam oko? – pyta.

– W porządku – mamrocze ze złością Tobias.

– A kostki na dłoniach? – pyta dalej Bobo, z nieznacznym uśmiechem na twarzy, który jednak natychmiast znika, gdy Tess rzuca mu ostre spojrzenie.

– Bola w chuj. – Tobias lekko się uśmiecha.

– Mówiłam ci, żebyś się nie wpakował w żadną bójkę – syczy Tess.

– Przecież to, kurde, TY wpakowałaś się w bójkę, ja tylko wybiegłem, żeby CIEBIE ratować! – odcina się Tobias.

Ted bez słowa spogląda w stronę wejścia do hali lodowiska. Pozostałe dzieciaki z Hed wylewają się na parking. Wejście zapelnia się ubranymi na zielono osobami, krzyzącymi: CIPY Z HED i inne, jeszcze gorsze rzeczy. Najchętniej podeszliby do Tobiasa i dokończyli to, co zaczęli, ale to niemożliwe, gdy stoi koło niego Bobo.

– Powinieneś już iść do środka – mówi Tess, gdy zauważa nadjeżdżającego minibusa, bo Johnny jedzie tak, jakby go co najmniej ukradł.

– Jesteś pewna? Mogę... – zaczyna Bobo.

– Uwierz mi: nie boję się, że coś złego może nam się stać, gdy przyjedzie tata. Bardziej się boję, co ojciec nawywija w hali, jeśli natychmiast go stąd nie zabierzemy – odpowiada Tess.

Ma rację. Wymaga to od niej wykazania się wszystkimi umiejętnościami przekonywania, jakimi dysponuje, oraz wystraszonych spojrzeń Turego, żeby tata nie złapał pierwszego lepszego narzędzia, nie ruszył do środka i nie spuścił manta każdemu, kto powążył się choćby dotknąć jego dzieci. Jest trzy razy cięższy od Tess, ale córce udaje się go powstrzymać. Córka wyraźnie widzi w jego oczach, że w złości nie potrafi postrzegać innych jako ludzi. Przemawia więc do niego,

apelując do jedynej rzeczy silniejszej od jego porywczosci: do jego instynktu opiekuńczego.

– Tato! TATO, SŁUCHAJ MNIE!!! Musimy zawieźć do domu wszystkie dzieciaki z Hed, musimy je stąd wyciągnąć, zanim wydarzy się coś więcej, słyszysz? Musisz się zająć WSZYSTKIMI dziećmi!

Johnny w końcu opuszcza ramiona. Patrzy wokół na przerażone i zagubione dzieciaki w czerwonych strojach, zebrane w grupki na parkingu. Jest tam i garstka dorosłych, trenerzy i kilkoro rodziców, równie przestraszonych co dzieci. Johnny rzuca okiem na wejście do hali. Stoi w nim dwudziestoletni chłopak z Björnstad. Ma okrągłą, miłą twarz i jest tak potężnie zbudowany, że sam zdaje się utrzymywać w środku całą zgraję ubranych na zielono idiotów. Johnny sięga po telefon i dzwoni po kolegów z pracy, chwilę później z lasu od strony Hed wyjeżdża sznur samochodów.

Od tego momentu wszystko mogło się już potoczyć katastrofalnie, na szczęście zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył wyskoczyć z samochodu z myślą o bójce, Tess i Johnny wepchnęli mu na tylne siedzenie dzieciaki z Hed i zmusili go do zawiezienia ich do domu. Sprawnie opróżniają parking. Johnny i dzieci czekają do końca, a później również odjeżdżają. Tess włącza w radiu Springsteena i kładzie ojcu rękę na ramieniu. We wstecznym lusterku widzi Bobo, nadal stojącego w drzwiach hali. Ani jednej osobie nie udało się precyzyjnie obok niego na zewnątrz. Ale nawet on nie jest w stanie powstrzymać ich od telefonów.

Johnny, Tess i chłopcy milczą aż do granicy między Björnstad a lasem. Ledwie zrobiło się dziś jasno, a znów jest ciemno, dni kurczą się szybko, mimo to postacie dobrze widać w ciemności. Na wysokości szyldu z nazwą miasta po obu jego stronach stoi dwunastu mężczyzn w czarnych kurtkach, wszyscy oprócz Teemu zamaskowani. Gdy przejeżdżają obok niego, patrzy prosto w minibusa. Johnny nigdy z nim nie rozmawiał, ale doskonale wie, kim on jest, wszyscy w Hed wiedzą, to przed nim ostrzega się dzieci, gdy idzie się na derby. Teraz Teemu dowiaduje się, kim jest Johnny.

Gdy samochód wjeżdża do lasu, mężczyzna stojący obok Teemu rzuca za nim szklaną butelkę, która roztrzaskuje się o tylną szybę, na pożegnanie. Ture zaczyna płakać, ale Tobias nawet nie unosi brwi.

– Nie mówiłem? Wszyscy nas tu nienawidzą! – stwierdza tylko.

Po czym odchyła głowę na oparciu i zamyka oczy. Dwie minuty później już chrapie. Ich mama mówi, że to jest właśnie jego największy talent w życiu: potrafi usnąć w każdej chwili, gdziekolwiek. Dokładnie tak jak jego ojciec.

Bramkarze

Frak rozmawia właśnie z gminnymi politykami, gdy dociera do niego informacja o bójce w hali lodowiska. Natychmiast się tam udaje, ale w międzyczasie większość ludzi zdąży opuścić budynek. Wszyscy z Hed pojechali już do domu, a bójka zakończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Kilku ojców chłopców z drużyny dziecięcej krąży jeszcze, opowiadając sobie nawzajem, co też by zrobili, gdyby „tamci” mieli odwagę jeszcze się tu pokazać, ale jak zwykle to nie tymi, co gadają, trzeba się szczególnie przejmować. Dozorca wyrzuca ich, gdy zbliża się godzina treningu pierwszego składu, mogą iść do domu i odgrywać twardzieli przed cieniami i wspomnieniami. Frak niespokojnym krokiem obchodzi halę, nie do końca wiedząc, czego szuka, siada na najwyższych miejscach trybun, przygląda się treningowi i rozmyśla. Bez przerwy rozmyśla. Worki pod oczami wyglądają, jakby ktoś oblał napojem zamszową kurtkę, zwykle całkiem nieźle ukrywa niepokój, ale dzisiaj idzie mu tak kiepsko, że aż dozorca się nad nim lituje, przynosi mu na górę kubek naprawdę okropnej kawy i mówi:

– Głowa do góry, Bambi! Co się tak tym przejmujesz? Przecież to nie pierwszy raz, gdy ludzie się biją w tej hali, nie?

Frak luzuje krawat, tak żeby gruby kark mógł się ułożyć w wygodniejsze fałdki.

– Nie. Nie. Tym razem jest inaczej. Mamy więcej do stracenia.

– Ach tak, tym razem jednak plotki są prawdziwe? Raczej słabo skrywana tajemnica. Politycy znów próbują połączyć kluby?

Frak nawet nie stara się zaprzeczać, nie ma to już sensu.

– To nie ma być połączenie dwóch klubów, tylko zlikwidowanie jednego z nich. Albo Hed, albo Björnstad.

– No ale chyba nie nas? Tamci przecież nawet nie mają hali.

– Fakt. A przede wszystkim to my mamy sponsorów i o wiele lepszą drużynę. – Frak kiwa głową, ale jakoś bez przekonania.

– No więc...? – dopytuje dozorca.

Frak wydaje z siebie jęk.

– Wzięli się już za to politycy, a im to przecież nie robi żadnej różnicy który! Wcześniej jęczeli, że nie mamy pieniędzy, a teraz, gdy je MAMY, to znów ujadają o „chuliganizm”. Boją się, że jeśli przejmemy środki przeznaczone do tej pory na Hed, to zaczną się zamieszki między kibicami klubów. Zatrudnili więc biuro reklamowe, które wpadło na pomysł, by zlikwidować OBA kluby i stworzyć NOWY, tutaj, w Björnstad, z nową nazwą!

Dozorca prawie dławi się kawą.

– Więc... ani Hed Hockey, ani Björnstad Hockey? Większej bzdury w życiu nie słyszałem!

– To samo im powiedziałem! Przesiedziałem już chyba z milion spotkań z tymi młotkami z gminy, przekonując ich, żeby się ogarnęli i ratowali klub, i OBIECAŁEM im, że nie będzie żadnych zamieszek! I co dziś słyszę? Że jest tu jatka, a Teemu i jego cholerna banda wieśniaków czekała w lesie i rzucała butelkami w samochody z dziećmi w środku! Jak mam to teraz wytłumaczyć? Co?

Dozorca długo milczy, a potem wybucha śmiechem.

– Czekasz na MOJĄ propozycję?

Nie, oczywiście, że nie. Próbuje jedynie coś wymyślić, a czasem przychodzi mu to łatwiej, gdy w tym samym momencie mówi. Podnosi więc tylko papierowy kubek.

– Nie zwracaj sobie tym głowy. Dzięki za kawę. Ohydna jak zwykle. Jak tam drużyna?

Dozorca przechyla głowę w obie strony i mruczy:

– Bez Amata? Hm, miejmy nadzieję, że Zackell znajdzie jakiegoś zastępcę, bo inaczej pozostanie nam tylko radość z tego, że mamy dobrego bramkarza. Bo chłopak będzie miał raczej kupę roboty!

Frak spogląda na lodowisko i przytakuje. Jeśli w poprzednim sezonie mieli jeszcze jakąś gwiazdę poza Amatem, to był nią ten dziewiętnastolatek w bramce, którego imienia nie zna co najmniej połowa miasta, bo nikt nie nazywa go inaczej niż „Gęba”. A nawet jeśli nie lubiłby tego przezwiska, to i tak nikt by się o tym nie dowiedział, wydaje się jednak, że chłopak nie ma nic przeciwko niemu. Trzyma gębę na kłódkę i ma talent, a to pomaga mieszkańcom Björnstad go lubić, co już

jest sporym wyczynem, zważywszy na to, że zastąpił na pozycji bramkarza Vidara, który dorastał na stojących trybunach przy boku swojego brata Teemu. A jeszcze większy wyczyn, jeśli się weźmie pod uwagę, że Gęba jest z Hed. Zmienił drużynę, gdy Vidar zginął w wypadku samochodowym, w Hed uznali, że nie jest wystarczająco dobry, by grać, a teraz wymieniliby za niego połowę pierwszego składu. Nic nie raduje Fraka bardziej niż świadomość, jak strasznie się mylili. Zawsze znajdują się tacy, którzy idą w zaparte, twierdząc, że już od małego są w stanie rozpoznać największe talenty, ale hokej nadal potrafi nas zaskakiwać, kiedy tylko chce.

– Tak, z nim na bramce każda drużyna ma szansę. Urodzony zwycięzca! – przytakuje Frak.

Dozorca nakłada sobie porcję snusu, tak wielką, że aż dziw, że zmieściła mu się w pudełku.

– Hm, przez lata widziałem tu już różne indywidua na bramce, ale ten bije wszystkich na głowę. Nie odzywa się ani słowem, nawet jak wygrywają, nie wygląda nawet, jakby się cieszył. Tak jakby grał z przepastnym... mrokiem w sobie.

– Wszyscy najlepsi go w sobie noszą – odpowiada Frak, tak jakby to była oczywistość.

– Serio?

Frak wodzi wzrokiem za bramkarzem na lodzie.

– Peter dostawał w domu manto, nawet za to, że rozlał mleko. Benji nie miał odwagi, by się przyznać, że jest gejem. Amat to syn sprzątaczkę w sporcie zdominowanym przez bogate dzieciaki. Wszyscy najlepsi zawodnicy mają w sobie mrok, to dzięki niemu są najlepsi, trzymają się nadziei, że mrok zniknie, jeśli tylko wygrają dostatecznie dużo...

Dozorca zastanawia się, czy z tym ostatnim Frak ma na myśli zawodników czy raczej samego siebie, ale się nie odzywa. I czy przy użyciu tych samych argumentów zamierzał również wspomnieć Kevina, ale o tym też nie mówi. Zamiast tego klepie Fraka po ramieniu.

– Głowa do góry, Bambi! Na pewno znajdziesz jakiś sposób na polityków. Zawsze znajdujesz!

Frak zostaje sam z całym budynkiem na barkach. Dobrze mu idzie okazywanie pewności siebie, ale dzisiaj się chwieje. W lesie zawsze toczyła się walka o środki, politycy od lat wracali do tematu zamknięcia jednego klubu, ale pomysł, by zlikwidować oba i stworzyć jeden nowy, jest trudniejszy do obalenia. „Przecież właśnie tego chciałeś?” – zdziwił się dzisiaj jeden z polityków, a Frak prawie rzucił telefonem o ścianę. „Chciałem, żebyście zamknęli Hed! Nie nas!” – ryknął, ale w odpowiedzi usłyszał tylko: „Ale w czym problem? Powstanie nowy klub, któremu przecież też możesz kibicować? No chyba nie jesteś sentymentalny?”. Na swoje szczęście polityk nie był w tym samym pomieszczeniu co Frak, bo inaczej to on, a nie telefon, wylądowałby na ścianie. Sentymentalny? Frak mieszkał tu całe swoje życie, grał dla tego samego klubu, wybudował to miasto. Jeśli nie żywi się uczyć do jakiegoś miejsca na ziemi, to równie dobrze można mieszkać gdziekolwiek. Sentymentalny? Wszystko, z czego jest w życiu w taki lub inny sposób dumny, wiąże się z Björnstad Hockey. Zmieniając nazwę jego klubu, wymażą jego tożsamość. Nie może do tego dopuścić, musi walczyć za wszelką cenę. A ponieważ nie ma za wiele czasu, nie wymyśla genialnego planu, tylko prosty.

Po treningu podchodzi do bandy i czeka, aż z lodowiska zejdzie Gęba. Z uśmiechem na twarzy, który zmienia ją w jedną wielką dziurę, proponuje chłopakowi, że podwiezie go do Hed.

– Chcę mieć pewność, że trafisz bezpiecznie do domu! – mami go.

Gęba nie odzywa się ani słowem, ale zapewne zdaje już sobie sprawę, że to nieprawda.

Bracia

Johnny i Hannah całą noc siedzą w kuchni i kłócą się tak, jak to tylko potrafią rodzice małych dzieci: bardzo ostro, ale bardzo cicho.

Hannah się wkurza, oczywiście o to, że Tobias pobił się w hali lodowiska, ale jeszcze bardziej o to, że Johnny nie jest na syna zły tak samo jak ona. Zamiast tego kieruje całą swą złość na Björnstad, twierdząc, że Tobias działał w samoobronie, tak jakby to miało wszystko usprawiedliwić. W głębi duszy najbardziej jednak Hannah wkurza się o to, że czuje, że być może mąż ma rację.

Po powrocie z Björnstad Johnny i pozostali strażacy przez dwie godziny stali jeszcze w garażu i popijając piwo, zaglądali pod maskę minibusa. Niczego oczywiście nie naprawiali, ale z surowymi minami przyglądali się silnikowi, tak jakby mógł im coś wyjaśnić. Hannah śmiałaby się z tego, gdyby nie słyszała, o czym dyskutują, bo takie wywody prowadzili już wcześniej. Często się żartuje, że strażaków z Hed rekrutują prosto z hali lodowiska, to jednak tylko po części żart, większość z nich grała razem, a straż pożarna stała się ich kolejną szatnią. Zadrzesz z jednym, masz ich wszystkich na głowie. Hannah naśmiewa się czasem z Johnny'ego, że nie potrafi zaakceptować żadnych zmian, że chciałby mieć to samo jedzenie, tę samą markę piwa i ten sam fotel przez całe życie, na co on odburkuje, że powinna się z tego cholernie cieszyć, bo ludzie nie lubiący zmian nie mają też w zwyczaju zmieniać żon. Na co ona prychnie tylko: „Idziemy do Stodoły, sprawdzić, które z nas dostanie więcej ofert matrymonialnych?”, a wtedy Johnny się zamyka. Prawda jest jednak taka, że sama równie mocno nie lubi zmian. Jeśli bowiem nic nie trzeba zmieniać, to znaczy, że wszystko działa. Musi polegać na swoich kolegach w szpitalu, tak samo jak Johnny na swoich w straży. Polegają na sąsiadach, bo to oni czasem pilnują ich dzieci, i na przyjaciółkach z dzieciństwa, bo to właśnie do nich dzwonią, gdy życie daje im w kość. Oni bronią ciebie, więc ty bronisz ich. Hannah nie jest idiotką, jako pierwsza powie ci, że Johnny to czasami stereotypowy regresywnie konserwatywny i pełen uprzedzeń dupek, ale niekiedy ma w sumie rację. I staje w obronie właściwych rzeczy.

Jest to więc najgorszy typ kłótni. Gdy się nawzajem rozumieją.

– Musisz przypilnować, żeby twoi koledzy nie zrobili teraz czegoś głupiego... – szepcze Hannah przez kuchenny stół.

Johnny odwraca się do niej tak szybko, że żona aż się odsuwa.

– My? MY mamy nie robić teraz nic głupiego? Wiesz, że jeden z ojców z drużyny Tobbego zadzwonił na policję natychmiast, gdy rozpoczęła się bójka? Wiesz, co mu powiedzieli? Że nie mają zasobów, by wysłać kogoś na miejsce, dopóki nikt nie będzie ranny! Bójkę zaczęli dorośli ludzie! Dorośli! Jeśli w lesie pojawia się jeden kłusownik, to w mgnieniu oka wysyłają tam pięćdziesięciu policjantów z bronią automatyczną, ale nasze DZIECI ludzie mogą tłuc bezkarnie?

Hannah widzi, że mąż nie jest nawet w stanie spokojnie utrzymać w dłoniach kubka z kawą. Zawsze twierdziła, że dziewięćdziesiąt procent jego kolegów z dzieciństwa to kompletni wariaci, a większość z nich ma dzieci w drużynach hokejowych. Jeśli ci sami wariaci nie będą ufać władzom, że ochronią ich rodziny, to wezmą sprawy w swoje ręce, a wtedy niech Bóg ma w opiece tych po drugiej stronie.

– Rozumiem, że jesteś zły, ja też, myślisz, że nie mam ochoty pojechać tam i przywalić w gębę każdej mamuśce w Björnstad? Ale musimy myśleć o dzieciach! – syczy Hannah.

– Ale przecież właśnie to robię! – protestuje Johnny.

– Doprawdy? Tobias nie robi tego, co mówisz, tylko to, co sam robisz! Jesteś jego bohaterem! Jak chcesz go nauczyć, że bójki są złe, skoro sam się bijesz?

Po powrocie do domu Hannah zwymyślała Tobiasa tak, że aż trzęsły się szyby w oknach. Johnny siedział tylko bez słowa obok, nie miało znaczenia, jak głośno krzyczała.

– Nie mogę mu przecież, do diabła, powiedzieć, że źle robi, broniąc siostry...

– Wcale tego nie powiedziałam! Musimy go jednak ukarać, to chyba oczywiste, nie? Nie możemy pozwolić, żeby myślał, że wszczynanie bójek jest w porządku!

– Już go okrzyczeliśmy...

– Nie. Tylko ja go okrzyczałam!

– Do diabła, kochanie, wykluczą go z drużyny! Nie możemy go jeszcze bardziej ukarać – odpowiada Johnny z coraz smutniejszym wzrokiem i coraz zimniejszą

kawą w kubku.

Siedzą w ciszy przez następne dwadzieścia minut. Potem Johnny mimo wszystko podnosi telefon i przy Hannah dzwoni do wszystkich kolegów i pozostałych ojców, nawołując ich do zachowania spokoju. Mówi, żeby się najpierw z tym przespać. Nie zaczynać niepotrzebnych kłótni. Kładzie aparat na blacie i rozkłada ręce, tak jakby chciał spytać: „Zadowolona?”, na co żona prycha tylko: „Kurwa, serio, czasem naprawdę mam dość PIĄTKI dzieci!”, i idzie spać. Johnny przychodzi po półgodzinie, po jego krokach Hannah poznaje, że mąż żałuje. Zasypia długo po północy, daleko od niego, ale o świcie budzi się opleciona jego wielkimi rękoma. Ma nadzieję, że przynajmniej tego nauczyła dzieciaki: możemy się kłócić, ale zawsze trzymamy się razem. Mocno, mocno trzymamy się razem.

—

Amat nie przychodzi tego wieczoru na trening pierwszego składu. Zackell wcale to nie dziwi. Bobo jest załamany takim obrotem sprawy, wraca jednak do domu lekkim krokiem, z telefonem w ręku i esemesem od Tess, który czyta już po raz setny: „Znalazłam twój numer w internecie. Przykro mi, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach, ale cieszę się, że się spotkaliśmy. Zadzwoń, jeśli będziesz miał ochotę”.

Dzwoni. Tess siedzi w łóżku i rozmawia cicho, tak żeby nie zbudzić rodziny. Udaje mu się ją rozśmieszyć. To najlepsza rozmowa telefoniczna jego życia.

—

Jest już późno w nocy i cały dom w końcu ucichł, gdy drzwi do pokoju Tobiasa delikatnie się uchylają. Na progu stoi Ted, bezskutecznie wołając brata, w końcu bezszelestnie wchodzi do środka i łapie Tobiasa za palec u stopy, tak że ten aż podskakuje na łóżku.

– Co, kurd... – krzyczy rozbudzony.

– Chciałem tylko... no wiesz... podziękować za to, co zrobiłeś – szepcze Ted.

Tobias ziewa i przesuwa się pod ścianę, robiąc bratu miejsce w łóżku. Ted wygląda na starszego niż trzynaście lat, ale jego oczy są niewiarygodnie młodsze. Skrywa się za nimi wystraszony mały dzieciak. Tobias szturcha go lekko w ramię.

- Spokojnie, misiu Teddy. Kładź się już spać.
- Nie musiałeś – mówi szeptem Ted i zawstydzony spogląda na limo brata.
- Musiałem. – Tobias ziewa.

Po powrocie do domu mama strasznie go okrzyczała, tak jak tylko ona potrafi, ale było warto. Wszyscy zakładają, że to Tobias wszczyna wszystkie bójkę, bo zwykle to prawda, jednak nie tym razem. To nie on w dzikim szale wypadł z szatni, gdy usłyszał, że Tess wdała się w jakąś przepychankę na trybunach. W sumie zrobił dokładnie to, co przykazała mu siostra: zachował spokój i dopilnował, by Ture był bezpieczny. To Ted stracił panowanie nad sobą i wybiegł na korytarz, wpadając wprost na dwóch chłopaków z Björnstad. Tobias krzyknął za nim, żeby odpuścić, ale Ted, ciepły, kochany i miły misio Ted, zdążył już instynktownie popchnąć z całej siły jednego z chłopaków z Björnstad. Ten oczywiście nie pozostał mu dłużny i odepchnął go jeszcze mocniej, tak że Ted poleciał do tyłu, prosto w świece rozłożone pod fotografią Ramony. Natychmiast się jednak podniósł i mimo że nie potrafi nawet ubić muchy, próbował jeszcze strzelić przeciwnika prosto w twarz. Chłopak z Björnstad również się na niego zamachnął, ale już po sekundzie, zanim jeszcze na poważnie spróbował, leżał na ziemi. Tobias, który w przeciwieństwie do brata świetnie radzi sobie nie tylko z muchami, ale i z przeciwnikami, wybiegł z szatni. Zdążył jeszcze powalić kolejnego nacierającego chłopaka i już wtedy wiedział, że może raczej zapomnieć o tym, że w jakikolwiek sensowny sposób będzie to w stanie wyjaśnić mamie. „Idź do szatni, zamknij drzwi na klucz i pilnuj Turego! Ja zgramę Tess!” – krzyknął jeszcze do Teda.

Brat zrobił, jak mu kazano, a Tobias zaczął zbierać na korytarzu lima i pokierszowane kostki na dłoniach. A potem wszystko potoczyło się, jak się potoczyło.

- Wcale nie musiałeś – powtarza Ted, leżąc obok w łóżku.
- Musiałem. Gdyby się dowiedzieli, że to ty zacząłeś bójkę, wykluczyliby cię z drużyny – stwierdza Tobias, ziewając.
- Ale teraz to TY zostaniesz wykluczony ze SWOJEJ drużyny – zauważa zrozpaczonym głosem Ted.
- Olej to. Dadzą sobie radę beze mnie. Ważny jesteś ty, najlepszy w swojej drużynie, ja jestem... ja jestem tylko jak tata – mówi spokojnie Tobias, zrzucając jedną z poduszek na ziemię, tak jakby temat był już zakończony.

– A ja nie? – pyta urażony Ted, bo wydaje mu się, że Tobias ma na myśli, że nie jest tak odważny jak tata.

Tobias patrzy wtedy poważnym wzrokiem na młodszego brata, wyciąga rękę i łapie go mocno, ale z uczuciem za ucho i mówi:

– Kurde, Ted, mówię tylko, że ja jestem jak tata. Pogram jeszcze w hokeja kilka lat, a potem znajdę sobie normalną pracę. Ożenię się z kimś stąd i będę sobie remontował dom, naprawiał samochód, pił piwo i siedział w Stodole w weekendy. To mi wystarczy.

– A kim ja zostanę? – dopytuje Ted.

Tobias kładzie się na podłodze, pozwalając bratu spać w swoim łóżku, tak jak tysiąc razy wcześniej. Zasypia jak zwykle, prawie natychmiast, ale zanim odpłynie w sen, ziewając, wyrzuca z siebie prawdę:

– Zostaniesz, kim będziesz chciał, misiu Teddy. Dokładnie tym, kim będziesz chciał.

Wilki

My, którzy kochamy sport, nie zawsze kochamy sportowców. Nasza miłość do nich uwarunkowana jest okolicznościami – tym, że stoją po naszej stronie, grają w naszej drużynie, w naszych barwach. Możemy podziwiać przeciwnika, ale nigdy go nie kochamy, nie tak jak tych, którzy nas reprezentują, bo gdy nasi wygrywają, to tak jakbyśmy sami wygrywali. Są symbolem tego wszystkiego, czym sami chcemy być.

Jedynym problemem jest to, że sportowcom nigdy nie wolno samym zdecydować, czy tego chcą.

–

Gęba wolałby raczej pojechać do Hed autobusem, ale Frak jest zbyt ważną osobą w tym klubie, żeby chłopak odważył się mu odmówić. Suną przez centralne Björnstad, oczywiście o ile w odniesieniu do takiej miejsciny można użyć takiego słowa.

– Na razie wszystko wygląda tu na zaniedbane, ale trzeba też widzieć potencjał! Mówię ci, ten, kto zainwestuje tu w nieruchomości, zbije fortunę! Za kilka lat to będzie kopalnia złota! – opowiada dumnym głosem Frak, tak jakby Gęba miał jakiegokolwiek pieniądze na inwestycje.

Dziewiętnastolatek zachowawczo kiwa głową, w nadziei, że to właśnie tego się teraz od niego oczekuje. Frak tłumaczy sobie ten gest jako znak niebywałego zainteresowania i zadowolony wskazuje przez okno.

– Tam, przy moim sklepie, zbudujemy Björnstad Business Park. Słyszałeś o tym? Głównie biura, ale też mieszkania. Mógłbym załatwić jedno takie ładne dla ciebie i twojej mamy, co ty na to? Czas już chyba się przenieść do Björnstad, co? Jesteś teraz jednym z nas!

Gęba nie ma odwagi zaprzeczyć, więc Frak kontynuuje z entuzjazmem:

– Wiesz, że podaję cię za przykład, gdy rozmawiam z firmami z Hed, żeby przeniosły swoje biura do Björnstad? „Wszystko staje się lepsze w Björnstad”, mówię. „Spójrzcie na naszego bramkarza!” Nikt w Hed nie zauważył twojego talentu, a u nas stałeś się supergwiazdą. Czasami wystarczy tylko dostać szansę, prawda? Nieco zaufania! Niesamowite, co można wtedy zdziałać! Spójrz na Björnstad! Jeszcze przed kilkoma laty staliśmy u progu bankructwa, a teraz mamy świeżo wyremontowaną halę lodowiska i wkrótce dorobimy się jednego z największych kompleksów biurowo-mieszkalnych w tej części kraju! A któregoś dnia lotniska i galerii, poczekaj tylko! Wielkie zawody narciarskie i ogromne liceum hokejowe z prawdziwego zdarzenia. Ludzie mi nie wierzą, ale wiesz, co im wtedy mówię? Już dawno powinniśmy być martwi! Przepaść na dobre! Ale trwamy. Wiesz dlaczego? Bo przeżywają jedynie miasta z pychą w sobie!

Gęba nieraz słyszał już innych zawodników nabijających się ze sponsorów, zauważył przy tym jednak, że większość z nich darzy Fraka uznaniem. Może i ciągle gada o pierdołach, ale też wiele pierdół już dla nich załatwił, a to akurat cecha, którą poważają każdy. Bo każdemu chodzi o wygraną.

Może w takim razie ma również rację, mówiąc o pysze, i że jeśli tylko myśli się o swoim świecie inaczej, to on właśnie takim się staje. Gęba się zastanawia, czy to działa też wstecz, na przeszłość, czy dałoby się ją usunąć jedynie siłą woli, chciałby o to zapytać Fraka, ale nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa. Tym bardziej że Frak się rozkręca:

– Słyszałeś o dzisiejszej bójce w hali?

Gęba kiwa głową, zachowując czujność. Frak uśmiecha się tak szeroko, że jego podbródki wyglądają, jakby tańczyły.

– Właśnie dlatego pomyślałem, że najbezpieczniej będzie, jak odwiozę cię do domu, żebyśmy mieli pewność, że naszej gwiazdzie nic się nie stanie!

Gębie przychodzi do głowy, że bezpieczniej byłoby jednak jechać autobusem niż samochodem z przyklejoną na tylnej szybie nalepką Björnstad Hockey.

– Zawodnicy gadają w szatni o plotkach o połączeniu klubów? – pyta potem Frak.

Gęba krótko kiwa głową, nie ma powodu kłamać. Palce Fraka zaciskają się mocniej na kierownicy i mówi już znacznie wolniej. Przynajmniej jak na niego.

– Może trudniej to zrozumieć z pozycji zawodnika, ale razem moglibyśmy być silniejsi. Rozumiesz?

Gęba kiwa głową, mimo że czuje, że wcale się z tym nie zgadza. Chce po prostu grać. Wolałby, żeby to nie było aż tak skomplikowane. Frak w nagłym przypływie poruszenia poklepuje dłońmi kierownicę.

– Znów mają się nas bać, rozumiesz? Duże kluby z wielkich miast! Za moich czasów, gdy grałem, uwielbialiśmy to, że nas nienawidzili. Nazywali nas wieśniakami, którzy nie potrafią grać, a my braliśmy to na klatę. Graliśmy bardziej nieczysto i ostrzej, niż mogli to sobie wyobrazić, uciekaliśmy się do każdego triku, na jaki tylko udało nam się wpaść. Gdy jechali autobusem tą drogą między drzewami... prosto w ciemność... srali po gaciach. Jakby byli jedyni na ziemi. To dlatego wygraliśmy. I wiesz co? Jeszcze wrócimy do tamtych czasów. Pomyśl, jacy bylibyśmy silni, gdybyśmy połączyli swoich najlepszych zawodników z najlepszymi zawodnikami z Hed, przy pełnym wsparciu gminy! Znów moglibyśmy być gigantami!

Gęba kiwa głową, ale tak naprawdę jest śmiertelnie przerażony, bo nawet nie ma pewności, czy w tej nowej drużynie znalazłoby się dla niego miejsce. Raz już prawie stracił hokeja i wie, jak niewiele potrzeba, by mogło się to wydarzyć ponownie. Zawsze nieco wolniej się rozwijał, ostatni na ulicy opanował jazdę na rowerze i ostatni w klasie czytał. Miał wrażenie, że był też ostatnim dzieciakiem w całym Hed, który nauczył się jeździć na łyżwach, to właśnie dlatego wylądował na bramce. Przed dwoma laty był za słaby, by utrzymać tę pozycję, więc gdy Zackell dała mu szansę w Björnstad, myślał, że trenerka sobie z nim pogrywa. A przede wszystkim obawiał się, że zostanie znienawidzony, ponieważ miał zastąpić Vidara. Podczas pierwszych meczów był tak zdenerwowany, że przepuszczał strzały, które ledwie dotykały bramki. Przy którejś okazji Zackell wykonała dłońią ruch, z którego odczytał, że chce go wymienić, ale gdy podjechał do bazy, trenerka prychnęła tylko: „Wymienić? Jak tak grasz? O nie, nie, nie, stój tam i się wstydz!” Po fakcie Gęba doszedł do wniosku, że może właśnie w ten sposób tworzyła wielkich zawodników – dając im do zrozumienia, że w większości pozostałych klubów zwyczajnie wstydzą się za mało.

Następnego dnia tylko Amat był na lodowisku wcześniej rano i później wieczorem niż Gęba, wkrótce trenowali tak samo dużo i z takim samym zapałem. Gęba nigdy nie miał odwagi zapytać Amata, czy chciałby z nim trenować, ale

Amat sam to zaproponował. Ze wszystkich stron i kątów wystrzeliwał co rano i co wieczór tysiące krążków do bramki, tak więc Gęba, nawet jakby nie chciał, to nie miał wyboru, musiał się rozwijać jako bramkarz. Wkrótce kibice śpiewali jego imię, początkowo ci starsi na trybunach siedzących, a potem i młodszy na stojących, zajmowanych przez brata Vidara. Zackell zaproponowała mu grę z dawnym numerem Vidara na koszulce, ale odmówił, informacja dotarła do Grupy, której członkowie kochali go za to równie mocno jak za to, że nie przepuszczał bramek. Gdy w zeszłym roku kończył osiemnaście lat, podarowali mu ręcznie malowaną maskę z niedźwiedziem po jednej stronie i inicjałami Vidara po drugiej. Gęba nigdy w życiu nie dostał prezentu od innych mężczyzn. Od tej pory nie byłbyś w stanie strzelić mu gola przed ich trybunami, nawet jeśli stałbyś tam z bronią w ręku.

– No nie? – wykrzykuje siedzący obok niego Frak, a Gęba nie ma pojęcia, co powinien odpowiedzieć, zgaduje więc i przytakuje, i zdaje się, że to właściwa decyzja. – Dokładnie! – stwierdza Frak.

Wjeżdżają do lasu i natychmiast zaczyna opowiadać o tym, do kogo należą jego poszczególne części w okolicy. A na koniec dodaje, że większość tak czy siak jest państwowa.

– Nawet las, w którym mieszkamy, do nas nie należy! Kto więc ma się nami zająć, jeśli sami się sobą nie zajmujemy? Co? Politycy planują wybudować elektrownię wiatrową kilka kilometrów stąd! Wiatraki wysokie na dwieście metrów! Wiesz, jakie głośnie jest to dziadostwo? A myślisz, że chociaż korona ze sprzedaży prądu zostanie tutaj w rejonie? Nawet nam, kurwa, nie dadzą prądu! Rząd uwielbia zieloną energię. Ale gdzie nie chcą budować elektrowni? Tam gdzie mieszkają! Dlatego właśnie musimy tu zbudować własną infrastrukturę, rozrastać się, tworzyć miejsca pracy i gromadzić kapitał, tak żebyśmy się mogli przeciwstawiać takim decyzjom! Ludzie mówią, że jestem kapitalistą, ale to nieprawda, jedynie realistą, kapitalizm jest jak wilk, wiesz?

Gęba nie ma o tym oczywiście żadnego pojęcia, ale to nie szkodzi. Frak już się nakreślił.

– Wiesz, jaki jest najgorszy mit o wilkach? Że biorą tylko to, czego potrzebują. Jeśli ktoś w to wierzy, to najwyraźniej nigdy nie widział wilka, który wdarł się na pastwisko. Nie bierze tego, czego potrzebuje, ale zabija wszystko, co może, i nie kończy, dopóki ktoś go nie przepędzi. Rząd tego nie rozumie. Nie dociera do nich,

że dla nas najgorszy nie jest wilk, tylko rząd! Drapieżniki objęte ochroną? Tak, tylko komu się to odbija czkawką? No przecież, kurwa, nie wielkim miastom. Budowa elektrowni wiatrowej? Pewnie, tylko gdzie? To właśnie mam na myśli, mówiąc o połączeniu klubów, razem jeszcze moglibyśmy mieć jakąś szansę! Jesteśmy dwiema stajniami, w jednej byki, w drugiej niedźwiedzie, a pomiędzy nami wszędzie, do cholery, wilki!

Gęba wygląda przez okno, gdy jako dziecko przemierzał ten kawałek autobusem, próbował liczyć drzewa. Ze względu na ich ogrom było to niemożliwe i to go uspokajało. Zbyt wiele do policzenia. Gdyby nie był tak dobry w trzymaniu gęby na kłódkę, może opowiedziałby Frakowi, czego naprawdę się nauczył, mieszkając w Hed i grając w hokeja dla Björnstad: że dla ludzi z Hed to Frak jest wilkiem. Dla Hed wielkim miastem stało się Björnstad.

Frak nadal gada, ale teraz już wciąż powtarza to samo i Gęba nadal nie wie, dlaczego zaproponował mu podwózkę. Nie zdaje sobie sprawy, że to nawet nie chodzi o niego, Frak potrzebował jedynie wymówki, by pojechać do Hed.

Drzewa się przeredzają, las otwiera na końcu drogi, samochód Fraka wjeżdża do Hed, a potem przez dłuższy czas jadą w milczeniu. Pewnie najdłuższy w życiu Fraka. Na ulicach jest już ciemno i pusto, Gęba, widząc to, oddycha z ulgą, w nadziei, że nikt niepożądany nie zauważy naklejki z niedźwiedziem na tylnej szybie. Frak zwalnia przed domem mamy Gęby i wcale się nie spiesząc, odwraca się w jego stronę, a potem ponawia ofertę dużego ładnego mieszkania w Björnstad.

– Dziękuję – mówi Gęba. To pierwsze słowo, jakie wypowiada od początku trasy.

Frak uśmiecha się szeroko.

– Do domu i spać. Jutro trening!

Gęba kiwa głową, zabiera torbę i wysiada. Widzi, że kilku sąsiadów już wygląda zza firanek. Naprawdę ma nadzieję, że Frak odjedzie stąd jak najszybciej.

–

Ma się rozumieć, Frak wcale się nie spieszy, wybiera nawet dodatkowy objazd, a po drodze to tu, to tam załatwia w Hed drobne sprawy: przystaje przy kiosku i kupuje gazetę, przy pizzerii, żeby skorzystać z toalety. Jedzie nawet do domu znajomego przedsiębiorcy i wypija tam kawę. Są starymi przyjaciółmi, zrobili

wspólnie wiele interesów, dodatkowo nawet przez zupełny przypadek przy pomocy swojego dobrego kumpla przedsiębiorca uzyskał bardzo lukratywną umowę najmu w Björnstad. Teraz to Frak potrzebuje przysługi. Parkuje samochód w ciemnej alejce, kawałek dalej za domem biznesmena z Hed, przez chwilę piją kawę w kuchni, upewniając się, że okolica jest pusta i cicha, a potem razem wymykają się tylnym wyjściem i znajdują sporej wielkości kamień. Przedsiębiorca stoi na czatach, a Frak rzuca. Kilka minut później Frak dzwoni na policję i opowiada, że jego samochód został zniszczony. Policja nie dysponuje co prawda środkami, by to sprawdzić, ale przyjmuje zgłoszenie. Mija godzina, zanim dowiaduje się o tym lokalna gazeta i do niego dzwoni. Zajmuje jej to co najmniej czterdzieści pięć minut dłużej, niż Frak zakładał.

Gniazdo os

Noc przed pogrzebem Ramony jest pierwszą prawdziwie zimną tej jesieni. Nie pierwszą z minusową temperaturą, nawet nie pierwszą ze śniegiem, po prostu tą pierwszą, którą, bez względu na to, ile lat się już tu mieszka, trudno ubrać w słowa. Pierwszą, gdy człowiek już się przyzwyczai i odbiera zimno jako coś naturalnego, a nie stan wyjątkowy. Lato już dawno umarło, ale tej nocy szczególnie za nim tęsknimy, gaśnie ostatnie światło, a miasto przykrywa worek. Jutro palce nagle zapomną, jak to było żyć bez rękawiczek, uszy nie do końca będą w stanie wychwycić ptasi śpiew, a stopy nie będą już pamiętać o kałużach, które nie pękały pod trzewikami.

Redaktorka naczelna lokalnej gazety widziała już zimę w wielu różnych miejscach, ale w lesie jest ona surowsza, wpełza pod skórę, tak że nigdy się do końca nie odmarza. Gdyby tak bardzo nie nienawidziła frazesów, to samo powiedziała by o ludziach. Jej dawni koledzy z południa uważali, że przyjęcie tej posady to szaleństwo, i rzeczywiście nie może temu zaprzeczyć. Mikroskopijna redakcja z niewielkimi zasobami w środku niczego, dodatkowo otoczona ludnością zdającą się nosić w sobie przekazywaną w genach nienawiść do całej jej grupy zawodowej. Dlaczego więc to zrobiła? Hm, dlaczego człowiek robi cokolwiek? Bo to wyzwanie. Trudne. Gdy całą sobą jesteś dziennikarką, to dochodzisz do takiego momentu w życiu, że tylko niemożliwe do wygrania bitwy wydają się warte zachodu.

Odkłada słuchawkę telefonu. Zrobiło się późno i w biurze panuje ciemność, jedyną osobą w redakcji oprócz niej samej jest ojciec. Siedzi tam, gdzie spędził cały dzień: przycupnięty na taborecie przy oknie ze swoimi stertami papierów i zakreślaczem.

– O co chodziło? – pyta zaciekawiony.

– Policja dostała zgłoszenie o zniszczonym samochodzie w Hed. Najwyraźniej należącym do Fraka – odpowiada.

Ojciec nie pyta, skąd to wie, ludzie gadają i plotki wszędzie szybko się rozchodzą, a tutaj może nawet jeszcze szybciej niż gdzie indziej.

– Tego sponsora? – dopytuje tylko.

– Tak.

Gwiżdże sarkastyczne, aż marszczą mu się policzki.

– Co za NIEWIARYGODNY przypadek, nie, że właśnie JEGO to dzisiaj spotyka?

Dziennikarka szyderczo przechyla głowę w bok.

– Tato! Czyżbyś oskarżał Fraka, tego miłego, honorowego, płacącego podatki entuzjastę, o KŁAMSTWO?

Ojciec prycha.

– Kłamstwo i kłamstwo, jeśli pojechałabyś do niego do domu, to z całą pewnością okazałoby się, że samochód został zniszczony. Jak do tego doszło, to już inna sprawa. Ale ty, moja droga, nie pytasz mnie, czy to kłamstwo, tylko czy powinnaś to opublikować.

Dziennikarka uśmiecha się, wzdychając. To coś, co doprowadziła do perfekcji lepiej niż ktokolwiek inny.

– To wiadomości. Jesteśmy gazetą.

– Brzmisz w każdym bądź razie jak ja.

Nie jest pewna, czy ojciec mówi to z dumą czy jako wymówkę.

– „W każdym razie”, nie „w każdym bądź razie” – poprawia go.

– Teraz brzmisz jak matka.

Ponownie wzdycha, uśmiechając się.

– A więc ty, który nauczyłeś mnie, że „jedynym zadaniem dziennikarstwa jest przedstawianie prawdy”, uważasz, że powinnam opublikować coś, co do czego jestem prawie pewna, że nie jest prawdą?

– Przestań kombinować i wkładać mi w usta coś, czego nie powiedziałem! Dzwoniłaś w ogóle do tego Fraka?

– Nie.

– No to zadzwoń. Wtedy nie opublikujesz relacji z tego, co się wydarzyło, tylko jego wersję tego, co się wydarzyło.

Dziennikarka odchyła się na krześle. Wstukuje coś na klawiaturze, tak że ekran komputera budzi się do życia. Na jego rogu wisi przyklejona żółta karteczka, na której napisano: „Nie chodzę po wodzie, tylko do pracy”. Zawiesiła ją ironicznie wiele lat temu, jako wewnętrzny żart z dawnymi kolegami z pracy. „Nie chodzę po wodzie” – co za bzdurny tekst na motto. Potem przeniosła się tutaj, a kartka wraz z nią. Któregoś dnia jeden z reporterów sportowych opowiedział jej już bez cienia ironii, że widział ten sam cytat w szatniach zarówno w Björnstad Hockey, jak i w Hed Hockey. Jego głos przepełniała nostalgia, gdy mówił, że „tutaj też pasuje! Dawno temu miałem szefa, który twierdził, że dziennikarstwo jest jak budowanie kościoła: wygląda jak sztuka, ma się wrażenie, że to powołanie, ale przez większość czasu po prostu nosi się kamienie! Ciężka praca!”. Nigdy nie zrozumiał, że ta niewielka zmarszczka na czole szefowej nie była pełną uniesienia reakcją na jego piękne słowa. Kobieta po prostu walczyła ze sobą, by natychmiast nie wyrzucić go z pracy. Dziennikarz nadal tu jednak pracuje, a kartka wciąż wisi. Może dlatego, że redaktorka naczelna ma poczucie humoru, a może dlatego, że ironia potrafi być naszym własnym wrogiem: gdy się wystarczająco zestarzeje, przeradza się w sentymentalizm.

– Naprawdę nie jestem pewna, tato, czy powinnam korzystać z twoich etycznych rad – wzdycha.

Ojciec się śmieje, i nawet jeśli wciąż jest na niego zła, że zmanipulował Mayę Andersson podczas rozmowy w pociągu, rozumie jego intencje. On również nie chodzi po wodzie. Gdy była mała, słyszała o tym, jak dokopywał się do skandali i niszczył nie tylko kariery potężnych ludzi, ale również ich życia, życia ich rodzin oraz ich dzieci. Do jego obowiązków należało prześwietlanie stojących u władzy, był w tym jednak tak dobry, że konsekwencje okazywały się druzgocące nawet dla tych stojących w ich cieniu. Zastanawiała się wtedy często, jak ojciec może spać po nocach. Odpowiedź była zarazem prosta i trudna: był lojalny jedynie wobec historii, którą miał opowiedzieć. Prawdziwa bezwzględność zawsze wymaga wiary w jakiś wyższy cel. Szczerze mówiąc, nie jest pewna, czy potrafi go w sobie znaleźć.

Gdy była dzieckiem, jej matka zwykła mówić: „Jesteś jak ojciec!”, za każdym razem, kiedy chciała ją zranić, ale z czasem coraz częściej odbierała to jako komplement. „Ty to zawsze musisz wszczynać kłótnie!” – słyszała od nauczycieli i dość wcześnie przestała się tego wstydzić. Któregoś razu została wyrzucona

z drużyny piłkarskiej, bo pobiła się z dziewczyną z własnej grupy, która nie chciała się przyznać, że dotknęła piłki ręką. Mama tylko potem westchnęła: „Nie możesz wytrzymać z oszustwami. To twój problem. Nie przyjmujesz do wiadomości, że świat składa się z szarych stref”. Nie ma lepszego podsumowania dziewczynki, która wyrosła na redaktorkę naczelną gazety informacyjnej.

– Mam się go od razu prosto z mostu zapytać o księgowość, skoro i tak będę go miała na linii? Jak to zwykleś mówić? „Kopnąć nieco w gniazdo os”? Lepszej okazji możemy już nie mieć? – pyta teraz ojca.

Odkąd przyjechał, dyskutują o tej księgowości na wszystkie możliwe sposoby. Przeczytał każdą linijkę w każdym finansowym podsumowaniu rocznym Björnstad Hockey i jedyne, co wciąż powtarza, to: „Tutaj czegoś brakuje, i tutaj, i jeszcze tutaj...”. Nie wystarczy znaleźć niewielkie nieprawidłowości, jeśli się zabiera za klub hokejowy, trzeba móc poświadczyć o konkretnych przestępstwach, muszą więc zacząć od wyłuskania tego, który ponosi za to odpowiedzialność. Gmina jest właścicielem hali lodowiska, członkowie właścicielami klubu hokejowego, ale to sponsorzy trzymają pieniądze. Gdzieś pomiędzy tym wszystkim leży wina.

– Zapytaj go na sam koniec, najpierw pozwól biedakowi opowiedzieć o zniszczonym samochodzie! – Ojciec kiwa głową.

Kobieta wybiera numer Fraka. Ten najwyraźniej czeka na rozmowę, w pełni świadomy, co zapoczątkował, zawiadamiając policję, a jednocześnie wydaje się zdziwiony, gdy słyszy głos dziennikarki.

– Redaktor naczelna we własnej osobie?

Mieli już wcześniej okazję się poznać, Frak nie jest tym typem człowieka, który ma opory przed regularnym wydzwanianiem do gazety i „korygowaniem” wiadomości, które jego zdaniem „opacznie zrozumieli”.

– Chciałam tylko potwierdzić plotkę – mówi.

– Jaką plotkę? – pyta Frak, wprawiony w sztuce odgrywania szczególnie nierozgarniętego, ale również z nutką podenerwowania w głosie, która nie umyka jej uwadze. Z pewnością miał nadzieję, że zadzwoni ktoś z mniejszym doświadczeniem.

– Że chuligani z Hed zniszczyli pański samochód – odpowiada, przełączając rozmowę na głośnik.

Ojciec uśmiecha się, słysząc pytanie wprowadzające, teraz słyszy też pokorną i wspaniałomyślną odpowiedź Fraka:

– Ktoś... no tak... rzucił kamieniem w szybę, tak. Myślę jednak, że snucie domysłów na temat sprawcy byłoby nieodpowiedzialne.

– Ale miał pan na szybie naklejkę Björnstad Hockey i podrzucał pan do domu zawodnika Björnstad, który mieszka w Hed, prawda? – Dziennikarka przyciska go mocniej.

Frak udaje, że zastanawia się przez chwilę, zanim odpowiada:

– Tak, zgadza się, miałem obawy, że nasz bardzo młody zawodnik, bramkarz, zostanie zaatakowany w autobusie.

– Skąd takie obawy?

– Niestety część naszej hali w Björnstad została zniszczona podczas treningu młodzieży z Hed, dwóch naszych chłopców z drużyny juniorów zostało nawet pobitych!

Dziennikarka zapisuje. Rzuca okiem na ojca. Następnie pyta:

– Ma pan na myśli, że rodzice w Björnstad powinni się niepokoić o bezpieczeństwo swoich dzieci?

Frak dramatycznie ścisza głos, gdy mówi:

– Nie chciałbym, żeby jakikolwiek rodzic musiał się martwić o bezpieczeństwo swoich dzieci, bez względu na to, gdzie mieszka. Nie uważam też, że jakikolwiek mieszkaniowiec powinien się martwić, że jego auto zostanie zniszczone z powodu naklejki. W Björnstad nie wierzymy w przemoc ani w pogróżki, tylko we współpracę i zgodę, zarówno w lokalnej gospodarce, jak i w lokalnym sporcie. Mam nadzieję, że mieszkańcy Hed podzielają moje zdanie. Może to pani napisać!

Dziennikarka zadaje pytanie, na które, jak dobrze wie, czeka jej rozmówca:

– Pojawiły się plotki, że gminni politycy chcieliby zamknąć i Hed Hockey, i Björnstad Hockey i zamiast nich otworzyć całkiem nowy klub. Myśli pan, że te ataki mają z tym coś wspólnego?

Frak znów udaje, że się zastanawia.

– Gmina nie może zamknąć stowarzyszenia sportowego, bo ono należy do członków.

Dziennikarka zadaje mu z pozoru krytyczne pytanie, które sprawia, że Frak od razu czuje się ważny:

– Sugeruje pan, że Björnstad Hockey, który gra w gminnej hali lodowiska, nie potrzebuje więcej gminnego wsparcia finansowego? Myślę, że wielu podatników może ucieszyć taka informacja!

W głosie Fraka pobrzmiewa teraz udawana udręka.

– Doskonale pani wie, że hokej daje tej gminie o wiele więcej, niż kosztuje. Niech pani tylko spojrzy na naszą pracę z młodzieżą! Na nasze starania związane z drużyną dziewczęcą! Czyżby mieli na tym ucierpieć? Mogę jedynie powiedzieć, że naprawdę mam nadzieję, że gminni włodarze nie dopuszczą do tego, aby wandalami mieli wpływ na decyzje dotyczące naszego sportu. Przecież to będą mafijne metody, jeśli wybrani przez nas politycy ukarzą Björnstad, skoro to my sami staliśmy się ofiarami wandalizmu i pogroźek. Nie sądzę, żeby ludzie byli to w stanie zaakceptować.

Jest prawie pewien, że już kończą, ma nadzieję, że zaprowadził ją dokładnie tam, gdzie zamierzał, dziennikarka zapisuje wszystko i ponownie spogląda na ojca. Tata daje znak, że to dobry moment.

– Proszę pana! Skoro mam już pana przy telefonie, sprawdzamy właśnie roczne rozliczenia finansowe z Björnstad Hockey z ostatnich lat...

Frak milknie, tak że aż jest zmuszona krzyknąć do słuchawki „halo”, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie spadł z krzesła.

– Tak... to znaczy... ale... jeśli mogę zapytać: dlaczego to robicie?

– Jesteśmy gazetą. Zajmujemy się wiadomościami.

– Tak... tak... ale co się państwo spodziewacie tam znaleźć? Wszystko jest zgodnie z przepisami, mogę państwa o tym zapewnić!

I właśnie w tym momencie zaczyna go oplatać w sidła z jego własnych słów.

– Doprawdy? A skąd pan to wie? Nie siedzi pan przecież w zarządzie. Sponsorzy raczej nie mają wglądu w finanse klubu należącego do członków, prawda? Zwłaszcza pan, który dopiero co był prześwietlany przez urząd podatkowy.

Frak na chwilę traci koncentrację. To niespotykane.

– Słuchaj no! Po pierwsze, nie zostałem skazany za ani JEDNO przestępstwo podatkowe, a po drugie, nie mam NIC wspólnego z księgowością klubu!

– Dlaczego więc się pan tak emocjonuje?

– Wcale się nie EMOCJONU... ale... słyszę przecież, że chcecie się dokopać do czegoś negatywnego! Dlaczego nie napiszecie o jakichś pozytywach? Co? Na przykład o naszym projekcie z dziewczęcym hokejem? Integracji? O naszej nowej deklaracji wartości!

– Już o tym wszystkim pisaliśmy. W ostatnich miesiącach wszystkie nasze artykuły były pozytywne. Teraz chciałabym trochę popytać o księgowość.

Frak milczy dłużej, niż kiedykolwiek miała okazję widzieć go nic niemówiącego.

– Nic o tym nie wiem, jak sama pani wspomniała, jestem jedynie sponsorem! – wypluwa z siebie potem. Jej ton jest delikatny, ale bezkompromisowy.

– Czy mógłby pan sprawdzić w zarządzie, z kim mogłabym w takim razie o tym porozmawiać? Jeśli krążące plotki to prawda i gmina będzie dążyć do zastąpienia Björnstad nowym klubem w tabeli w serii, to jestem przekonana, że niezależni specjaliści wykonają gruntowny audyt wszystkich finansowych...

– Tak! Tak! Sprawdź! – krzyczy Frak i od razu słychać, że tego żałuje, jego wybuch odsłania czułe punkty.

Dziennikarka się uśmiecha.

– Byłabym wdzięczna. Bardzo mi przykro z powodu pańskiego samochodu. Sama napiszę ten artykuł, ukaze się pewnie w internecie jutro z samego rana, więc jeśli przypomni pan sobie coś jeszcze, co chciałby pan dodać, to może się pan zwrócić już bezpośrednio do mnie.

Frak rozłącza się, kończąc krótkim „Pewnie!”. Dziennikarka również odkłada telefon.

– Co za dupek! – Ojciec odchrząkuje.

– Ech, nie jest taki straszny. Ma swój urok. Zaskakująco wielu z nich go ma, muszę nawet przyznać, że to lubię.

– Serio?

– Tak. Przypominają mi ciebie. – Córka się uśmiecha.

Żartuje tylko po części. W rzeczywistości darzy Fraka szczerym szacunkiem, Petera Anderssona również, walczą o coś, czego nie widać, działają na rzecz swojego klubu i swojego miasta. Doskonale ich rozumie. Od zawsze to

w towarzystwie ludzi tego drugiego typu, których nic już nie fascynuje, nie mogła się odnaleźć.

- Dupek! – powtarza ojciec.
- Co myślisz? – pyta dziennikarka.
- O czym dokładnie?
- Mam pisać o jego samochodzie?
- Oczywiście. To wiadomości.

W zamyśleniu bębni palcami o skronie.

- A co sądzisz o samym Fraku?

Ojciec zakłada dłonie na brzuchu.

– Myślę, że czuje presję. Nie jest przyzwyczajony do przegranej. Takie dupki jak on mogą się wtedy czuć zagrożone. Ale teraz, jak już kopnęłaś w gniazdo os, to zobaczymy, co z niego wyleci...

- Sam mi powiedziałeś, że mam w nie kopnąć!
- To po co mnie słuchasz? Przecież ja jestem kompletnie rąbnięty!

Córka wybucha gromkim śmiechem. On również.

- Ile brakuje w księgach? – pyta po chwili.

Ojciec podnosi okulary na czoło i przesuwa dłonią po stosach dokumentów.

– Sporo! Nie widać tego, jeśli nie szukasz dokładnie, całkiem nieźle zatarli po sobie ślady, ale... tylko na podstawie tego, co udało mi się do tej pory znaleźć, mogę powiedzieć, że Björnstad Hockey wydało w ostatnich dwóch latach setki tysięcy koron, które nie wiadomo skąd się wzięły. Fabryka została wprawdzie sponsorem, ale sprawdziłem w banku ich wypłaty i kwoty są o wiele niższe niż to, co zapisano w księgach. Tak więc pieniądze wpływają, ale z innego miejsca. Nadążasz?

- Myślisz, że to brudna kasa?

– Z całą pewnością co najmniej nieźle przybrudzona! Niektóre działania wyglądają jak regularne pranie pieniędzy, kilku członków zarządu gminnej spółki budowlanej piastuje też stanowisko w zarządzie Björnstad Hockey, a teraz prowadzą jeszcze wspólne interesy. Do tego trzeba też dodać firmę doradczą, której właścicielem jest lokalne przedsiębiorstwo budowlane, które również prowadzi interesy z gminą. Nagle w bardzo dziwny sposób przenieśli wszystkie pieniądze do

Björnstad Hockey. Będę się temu jeszcze przyglądał... ale spójrz na to... to jest chyba NAJWIĘKSZY przekręt: słyszałaś o tym „centrum treningowym”?

– Jakim centrum treningowym?

– Też się nad tym zastanawiam! Gmina kupiła je przed kilkoma laty od Björnstad Hockey, dotarłem do mejla, który jeden z urzędników w gminie wysłał do klubu, ale nie mogę znaleźć żadnych innych szczegółów dotyczących kupna. Wszystkie dokumenty zniknęły.

Zmarszczki na czole redaktorki naczelnej się pogłębiają.

– Pranie pieniędzy... korupcja... jeśli chociaż połowa tego, o czym mówisz, się zgadza, to klub może zostać usunięty ze związku, a nawet upaść.

Ojciec patrzy na nią poważnym wzrokiem.

– Moja droga, jeśli to się potwierdzi, to ludzie trafią do więzienia. Jako pierwszy Peter Andersson, bo jego nazwisko znajduje się na każdym dokumencie. I jeszcze na dodatek jakimś dziwnym trafem Frak to jego przyjaciel z dzieciństwa. Ile jeszcze dymu musi się wokół ciebie kłębić, żebyś uwierzyła w ogień? Co?

Dziennikarka odchyła się na krześle i patrzy w sufit.

– Musimy szukać dalej – mamrocze po chwili.

W tym momencie ojciec robi coś bardzo, bardzo nietypowego: waha się.

– Najpierw muszę cię, moja droga, zapytać... czy jesteś pewna, że robisz to z właściwych pobudek.

– TY mnie o to pytasz?

Ojciec kiwa wolno głową. Nie pił, odkąd do niej przyjechał, i życie na trzeźwo go dobija, zdecydował jednak, że ostatni raz musi jej dać z siebie wszystko.

– Nie jesteś taka jak ja. Nie umiesz tak po prostu wyłączyć sumienia. Jeśli więc robisz to tylko dlatego, że chcesz wygrać, to odpuść. Bo jeśli nadal będę w tym grzebał, to szambo w pierwszej kolejności wyleje się na Petera i Fraka, a mam wrażenie, że ich lubisz.

Dziennikarka się wstydzi, bo głos jej się łamie, słyszy, że brzmi jak małe dziecko z zaciśniętymi piąstkami, po meczu.

– Bo tak jest! Tak... jest. – Wszystko z niej ulatuje. – Z pewnością zrobili wiele dobrego dla sportu i dla miasta... ale czym jest sport, jeśli nie ma sprawiedliwości, tato? Czym jest społeczność? Jeśli zbudowali klub na przekrętach i kłamstwach, to

wszystko to... to zwykłe... oszustwo! A jeśli pozwolimy, żeby uszło im to na sucho, to kim będziemy?

Słudzy

Nie ma sprawiedliwości. W każdym razie nie takiej, która dotyczy wszystkich, przynajmniej nie tutaj. Matteo nauczył się tego dość wcześnie.

Ma teraz czternaście lat, a siostra zawsze mu powtarzała, że to najgorszy wiek, że wtedy ludzie są najokropniejsi na świecie i że te lata po prostu trzeba przeżyć. Jej samej się to jednak nie udało. Mówiła, że może być, kim będzie chciał, ale teraz jest to już niemożliwe. Bo jedyne, czego chce, to być radosny.

Kiedyś uwielbiał rysować, więc przez ostatnie dni próbował stworzyć jej portret, ale nie pamięta już jej nierówności, widzi ją jedynie jakby odlaną z porcelany. Włosy jak wyrzeźbione w drewnie, oczy jak u lalki. Rysuje ją, tak jakby ktoś opisywał mu jej wygląd.

Rodzice przyjeżdżają wieczorem w przeddzień pogrzebu, nic nie mówią, wchodzą do domu, jakby wcześniej byli w kościele albo na zakupach. Siostra leży w skrzynce na komodzie w przedpokoju. Matteo wymyka się tam po kryjomu i ostrożnie podnosi pudełko. Wydaje mu się za lekkie, nigdy by się w nim nie zmieściła. Była wysoka, jej śmiech wypełniał korytarze, a poczucie humoru zmiatało dachy. Mama woła z kuchni, tak że Matteo prawie upuszcza skrzynkę.

– Nie chcesz zadzwonić do któregoś kolegi z klasy i pojeździć na rowerze?

Chłopak przełyka ślinę i ma wrażenie, jakby w płucach zalegały mu kawałki lodu. Siostra mawiała, że mama żyje w świecie fantazji podobnym do tych zabawnych zdjęć, na których stoi się za tablicą z wyciętymi otworami na głowę, tak że twarz po drugiej stronie staje się twarzą jakiejś postaci z kreskówki, pyskiem lwa albo ulaną facjatą jakiejś grubej baby. „Tak wygląda całe jej życie, nakłada nasze twarze na to, czym chciałaby, żebyśmy byli” – mówiła siostra, a Matteo robił się wtedy taki zły. Nie na siostrę, tylko na niesprawiedliwość. Nigdy nie miał kolegi, nigdy w życiu do żadnego nie zadzwonił, mama widziała jedynie inne dzieci z okolicy jeżdżące na rowerze i założyła, że on również tak się bawi.

– Tak, mamo – woła do niej.

Na zewnątrz leży śnieg, a w środku jest lodowato, bo od czasu do czasu mama upiera się, że powietrze zatechło, i wtedy przez wiele dni wietrzy z otwartymi na oścież oknami. Tak jakby mogła wywietrzyć wszystko, co złe. Piecze teraz w kuchni, jak zwykle gdy nie ma ochoty na nikogo patrzeć, ojciec siedzi w innym pokoju ze swoimi książkami, bo on żyje w innego rodzaju fantazji, takiej, w której po prostu można się wyłączyć i przestać cokolwiek czuć. „Mówicie, że mamy być sługami bożymi, ale to tylko inne określenie na niewolników!” – powiedziała im raz siostra, a wtedy mamie kompletnie odbiło, cała się trzęsła i krzyząc, zatykała uszy. Matteo przytulał ją całą noc, a następnego ranka siostra go przeprosiła. Nocą szeptała do niego: „Nigdy w życiu nikomu się nie postawią. Ani swoim szefom, ani nikomu w kościele, ani Bogu! Tylko się uginają, słuchają i akceptują to, że mamy tak żyć! Wszystkie te zasady i zakazy, i nigdy żadnych pieniędzy, chcesz tak żyć? Nie chciałbyś mieć więcej niż tylko to?”. Matteo nie wiedział, co na to odpowiedzieć, nigdy nie rozmyślał o tym, że ma jakiś wybór, rozumiał jednak, dlaczego siostra zaczęła pić, to był jej sposób na ucieczkę przed rzeczywistością. Niedługo później mama znalazła w jej pokoju stringi i alkohol i Matteo po raz pierwszy usłyszał w domu słowo „kurwa”. Każdego wieczoru matka modliła się za duszę córki, głośno, tak, żeby ta mogła to usłyszeć, aż w końcu siostra przestała wracać do domu. Matteo był za mały, by pojąć wszystko, co wydarzyło się w te ostatnie miesiące, wszystko, co ją spotkało, ale gdy zniknęła za granicą, ukrył się w jej garderobie i siedział tam, aż usnął. Gdy się obudził, coś w kąciku uciskało go w policzek. Jej pamiętnik. W ten właśnie sposób wszystkiego się dowiedział. Stąd też wie, że może i zmarła w innym kraju, a policja może i powiedziała, że przyczyną były narkotyki, ale to nieprawda. Została zamordowana tutaj, w Björnstad. To chłopaki stąd ją zabiły. Jej serce pękło na tyle drobinek, że rozsypało się po całym świecie.

A teraz rodzice nie zamierzają jej nawet pochować przy kościele, do którego sami uczęszczają, leżącym o kilka godzin jazdy stąd, ale na cmentarzu tu na miejscu, w Björnstad, zawsze przez nich lekceważonym. W ten sposób we własnym kościele nigdy nie będą się musieli przyznać, że ich córka zmarła za granicą z powodu przedawkowania narkotyków, będą mogli dalej udawać, że nadal żyje i podróżuje po świecie, i jeszcze do tego wysyła pocztówki.

Matteo ukrył pamiętnik siostry w tym samym miejscu co komputer, za zepsutą suszarką w piwnicy, czytał go tylko raz, ale zapamiętał każdą literę, każdy

wykrzyknik, każde wzniesienie papieru powstałe po tym, jak płakała, pisząc:

Nikt mi nie wierzy, bo jeśli już raz pieprzyłam się z jakimś chłopakiem, to teraz każdemu facetowi jestem winna pieprzenie! demokratyczna republika pieprzenia Björnstad, kurwa! tylko dziewice mogą tu zostać zgwałcone!! dlaczego policja ma mi wierzyć, skoro nie wierzy mi nawet własna matka?? kurwa, kurwa, kurwa, jestem dla niej tylko kurwą, kurwą, kurwą, dla innych też, więc nie mogę zostać zgwałcona, bo nie można zgwałcić kurwy!! nie tutaj.

Dwa i pół roku temu spakowała walizkę, skłamała na temat kościoła, w którym planowała się zatrzymać, i po prostu uciekła. Opuściła Björnstad niedługo po tym, jak Maya Andersson została zgwałcona przez Kevina Erdahla, ale nawet wtedy, gdy całe miasto w każdej sekundzie każdego dnia toczyło dyskusję o przemoc seksualnej, Matteo nigdy nie słyszał, by jego rodzice wspomnieli o tym chociaż słowem. Przez jakiś czas się zastanawiał, czy się wstydzieli czy żalowali, że nie uwierzyli własnej córce, ale przeszło mu, gdy zobaczył, co się przydarzyło Mai. Dane jej były sprawiedliwość, zadośćuczynienie, zemsta? Wymagało to wiele zachodu? Nie. Nie bardzo. Jedynie świadka, tego Amata, który w końcu odważył się opowiedzieć, co się wydarzyło, w mieście, w którym równało się to temu, że zostanie natychmiast napadnięty i pobity przez kolegów gwałciciela. Potrzebne było jeszcze to, żeby cała rodzina Anderssonów miała siłę trwać, gdy wszyscy się od nich odwrócili. No i Maya musiała jechać do szpitala i zrobić te ohydne testy. I zgłosiła go na policję, co doprowadziło jedynie do poniżających domysłów na temat tego, czy była pod wpływem narkotyków i czy może wysyłała mu niejasne sygnały, i czy naprawdę rozumiała, że to może zniszczyć karierę Kevina! Trzeba do tego jeszcze dodać setki anonimowych komentarzy w internecie – o tym, że z pewnością kłamała i chciała tylko zwrócić na siebie uwagę, i że przecież wszyscy i tak wiedzieli, że to ona leciała na Kevina, a nie na odwrót, i że przecież i tak była zbyt brzydka, żeby ktoś w ogóle chciał się z nią przespać, i że przecież była tylko pieprzoną kurwą, która zasługiwała na to, by ją zgwałcić, i że ktoś powinien ją zamordować. Wymagało to jedynie tego! Że ojciec Mai prawie stracił pracę, a cały klub niemalże zbankrutował. I że jej mama, adwokatka, była na tyle zwariowana, by mieć odwagę walczyć z całym światem. I jeszcze dowodów i świadków, i pieniędzy, wpływowych przyjaciół i procesu sądowego. I po tym wszystkim, po TYM wszystkim, Kevin nadal nie został skazany! Jego rodzina po prostu się stąd wyprowadziła, a potem już wszyscy udawali, że to nigdy się nie wydarzyło,

i w jakiś przedziwny sposób miało to być postrzegane jako sprawiedliwość. Odrobina zadośćuczynienia to było jedyne, czym Maya mogła się nacieszyć. A i to wymagało od nich wszystkiego.

Absolutnie wszystkiego.

Jakie szanse miała więc siostra Matteo? Żadnych. Dopóki nie znalazł pamiętnika, nie rozumiał, dlaczego wyjechała, teraz wolałby nigdy go nie znaleźć, bo nie musiałby żyć w jej mroku. Tak bardzo wierzył w to, że gdzieś tam daleko będzie wolna, teraz jednak wie, że to chłopaki w tym mieście są więzieniem, zakuli ją w kajdany, przez które nigdy nie była już w stanie uciec. Matteo ma tylko czternaście lat, ale jego rodzice to słudzy, nigdy jej nie pomszczą, tak więc to on musi to zrobić.

Wyciąga z plecaka niewielki pisak i ostrożnie maluje motyla na skrzynce, w której spoczywają prochy siostry. Potem wychodzi z domu i jeździ w śniegu na rowerze, w światłach ulicznych latarni, mama przygląda mu się przez okno i do niego macha, on również jej odmachuje.

Wojownicy

Nadchodzi niedziela. Pogrzeb Ramony wcale nie oddaje czci jej pamięci. Jak jeszcze żyła, wyraźnie przekazała tym wszystkim dupkom, że gdy już zakończy ziemskie życie, mogą sobie nią nakarmić świnie albo nawieźć kwiatów, byle tylko się nie wydurniali i nie spraszali całej masy innych dupków, którzy będą musieli stać nad jej trumną, udając, że im przykro. Nikt jej nie posłuchał, jak zwykle. Na pogrzeb przyjdzie całe miasto.

—

Adri budzi Benjiego. Jako pierwsze jedzenie dostają psy, później ludzie. Spożywają je w ciszy, stojąc przy kuchennym blacie. Benji nie je prawie nic, jego ciało nie jest przyzwyczajone do wstawania o świcie, wtedy najczęściej dopiero się kładzie. Adri wmusza w niego kawę i wyciąga jego jedyny garnitur. Gdy przed dwoma laty wyjeżdżał z Björnstad, ledwie się w niego mieścił, teraz jednak ubranie jest na niego za duże. Adri wyczyściła też stare eleganckie buty ojca i postawiła je w korytarzu. Podaje bratu biały krawat, który specjalnie dla niego kupiła, a Benji nie ma siły protestować. Biały krawat na pogrzebach zarezerwowano dla rodziny, ale Adri ma gdzieś poglądy Benjiego, zarówno w tej, jak i w innych sprawach. Gdy wrócił, nawet go nie zapytano, gdzie chciałby mieszkać, siostry po prostu zadecydowały za niego. Stało na Adri, bo Katja ma małe mieszkanie, a Gaby nie ma już miejsca, odkąd mama zachorowała i się do niej przeprowadziła. Nie było oczywiście mowy, by Benji zamieszkał sam, może sobie przemierzać kulę ziemską, ile razy mu się tylko podoba, ale dla trzech starszych sióstr nigdy nie będzie wystarczająco dorosły.

Gdy światło dzienne dociera do czubków drzew, przyjeżdżają Gaby i Katja z mamą na tylnym siedzeniu. Adri i Benji wciskają się obok niej. Mama spędza całą drogę, przeczesując Benjiemu włosy wbrew jego woli, a siostry zaśmiewają

się tak, że aż cały samochód się kołysze. Ten chłopak potrafi znieść wiele bólu, ale nawet konie czesze się ostrożniej.

—

Przy tych, których kochamy, czas przestaje być wiarygodny. Gdy nas opuszczają, mamy wrażenie, że to wieczność, tak jakby nagle stali się obcy, ale pierwszego ranka po ich powrocie znów czujemy się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżali. Problem w tym, że jeszcze tyle osób po raz pierwszy zobaczy Benjiego po powrocie. Jeszcze tylu reakcji nie jest w stanie przewidzieć.

Przyjeżdża na cmentarz wraz z mamą i siostrami, gdy jest tam dopiero niewielka grupa osób. Mama wyciąga z bagażnika dwanaście opakowanych folią spożywczą misek, bo nie ma znaczenia, gdzie się wybiera, zawsze bierze ze sobą jedzenie. Razem z siostrami ruszają w stronę bramy i robią to co zwykle: znajdują coś, w czym mogą pomóc. Na kilka chwil zapominają o Benjim, o spojrzeniach, które wszyscy rzucają w jego stronę, i o tym, kim był w tym mieście i kim się stał. Benji stoi więc samotnie przy samochodzie, nie do końca wiedząc, co ma ze sobą zrobić, ma wrażenie, że wszyscy przechodzący obok spoglądają na niego i szepczą. Spoczone dłonie frenetycznie szukają zajęcia, ale ledwie są w stanie odpalić papierosa. Nagle żałuje, że w ogóle wrócił do domu. Nie jest na to, do cholery, gotowy. W oddali przy bramie widzi mężczyzn w czarnych kurtkach, Pajaka i jeszcze kilku najbliższych Teemu. Stanęli tam i pilnują, by nikt niepożądany nie pojawił się na pogrzebie Ramony, a Benji sam już nie wie, czy jest jednym z nich czy jednym z tych pozostałych. Kiedyś ukrywanie własnej niepewności przychodziło mu o wiele prościej, ale podczas kilku lat nieobecności w domu stracił nie tylko kilogramy. Papieros gaśnie mu w palcach. „Czy to nie Benji?” – szepcze jakiś chłopiec do drugiego kawałek dalej. „Kurde, ale jest chudy, czyżby miał AIDS?” – odpowiada ściszym głosem ten drugi i obaj wybuchają histerycznym chichotem. Natychmiast ucisza ich ktoś z dorosłych, na co chłopcy z sykiem rozkładają ręce. „No co? To nie on jest gejem? POWIEDZIAŁEŚ przecież, że...”

Benji nie czeka na resztę, odwraca się i rusza w przeciwnym kierunku, ślizgając się w eleganckim obuwiu ojca na cienkiej warstwie śniegu. Nie wie, dokąd pójść, byle jak najdalej od ludzi. Słowa: *Are you looking for something or fleeing from*

something?^[12], huczą mu w głowie. Na początku podróży jeden barman zapytał go o to po drugiej stronie kuli ziemskiej i Benji nie był pewien, co odpowiedzieć, rzucił więc: *Both*^[13]. Prawie się zabujał w tym barmanie, prawie zabujał się w wielu mężczyznach podczas wielu nocy, ale gdy tylko wschodziło słońce, szukał ubrań na podłodze i drogi do wyjścia. Kiedyś spotkał też kobietę, instruktorkę nurkowania, która znalazła go któregoś ranka śpiącego na pomoście. Gdy mówiła po angielsku, nie mógł zidentyfikować jej wyraźnego akcentu, ale i tak zostali dobrymi przyjaciółmi. Tak dobrymi, że któregoś wieczoru, gdy próbował wywiercić wzrokiem dziurę w dnach butelek, uśmiechnęła się i powiedziała: „Tak łatwo się w tobie nieszczęśliwie zakochać, bo ty sam się nie zakochujesz, jesteś tylko nieszczęśliwy”. Wtedy po raz pierwszy od miesiący usłyszał swój ojczysty język, okazało się, że kobieta dorastała jedynie pięćset kilometrów od Björnstad, właściwie to za rogiem. „Dlaczego nie powiedziałaś, że pochodzisz z tego samego miejsca?” – zapytał. „Bo wtedy nawet nie zacząłbyś ze mną rozmawiać, nigdy, nie chcesz przecież myśleć o niczym związanym z domem” – odparła. To była prawda. Trajkotali cały wieczór w języku, którego prawie zapomniał, przyjaciółka śpiewała covery piosenek granych ze sceny, a Benji był na tyle pijany, by zamknąć oczy i uwierzyć, że znów jest w lesie, a nie nad morzem. Nie pierwszy raz tęsknił za domem, pierwszy raz się jednak do tego przyznał. Kobieta wymusiła na nim obietnicę, że zostanie u niej jeszcze jakiś czas, ale wkrótce spakował coraz lżejszą za każdym razem walizkę i ruszył dalej. W kolejnym mieście spotkał młodego mężczyznę w starej zniszczonej łodzi, na której mieszkali wspólnie przez następne tygodnie. Jak tylko mężczyźnie udało się go przekonać, by opowiedział coś o sobie, Benji był dla niego stracony. Ostatniej nocy upalony jak stodoła Benji leżał na plecach na górnym pokładzie i opowiadał mu, jak to jest z hokejem. Tak naprawdę.

Jak to jest być jednym z mężczyzn na łodzi. Nie jednym z tych bezbronnych na trybunach, tych, którzy mogą jedynie krzyczeć i mieć nadzieję, ale tym, który decyduje. Jednym z tych, którzy się biją i zalewają krwią, i wygrywają, albo przegrywają dokładnie wszystko. Przystojny mężczyzna leżał obok niego i ostrożnie dotknął tatuażu niedźwiedzia na ramieniu Benjiego. *Have you ever seen a real bear?*^[14] – zapytał. Benji odwrócił się w jego stronę i go pocałował. Następnego dnia mężczyzna obudził się już na pustej łodzi.

– BENJI! – odbija się echem po parkingu.

Benji się nie zatrzymuje.

– BENJI! – ryczy na nowo głos, a imię spada chłopakowi na kark niczym grad.

Przystaje jak zapędzony w kąt szczur, odwraca się, gotowy na wszystko. Mężczyźni w czarnych kurtkach odeszli od bramy i zacierają w jego stronę. Kiedyś go uwielbiali, ale potem, gdy poznali też wszystkie jego tajemnice, znienawidzili go, tak jak można znienawidzić kogoś, kogo najpierw obdarzyło się miłością. Kiedyś symbolizował to, w jaki sposób chcieli widzieć Björnstad: jego bali się wszyscy, on nie bał się nikogo. Był wtedy tylko chłopcem, ale oni widzieli w nim swojego człowieka na lodzie. Swojego wojownika. Swojego. Tego wrzasku, który dochodził z trybun pełnych czarnych kurtek, gdy napakowany adrenaliną rzucał się na szybę z pleksi, nigdy nigdzie indziej nie doświadczył, bo też i nigdzie indziej tego nie ma. Ileż to razy marzył o tym, by móc tu zostać? I że prawda nigdy nie wyszła na jaw? Wojownicy mają kochać innych mężczyzn, a nie się w nich zakochiwać. Benji był pewien, że zna wszystkie rodzaje ciszy na świecie, aż po raz pierwszy wszedł do pomieszczenia pełnego facetów dowcipkujących o gejach i nagle wszyscy zamilkli. Był pewien, że doświadczył wszystkich możliwych przejawów nienawiści, aż kibice Hed podczas meczu zarzucili lodowisko dildami i w oczach najwierniejszych kibiców z Björnstad zobaczył, jak bardzo ich ośmieszył. Znienawidzili go za to, nie ma im tego za złe, rozumie, że nigdy nie będą mogli mu wybaczyć. „Jesteś jednym z nas” – to ostatnie słowa, które skierował do niego Teemu przed dwoma laty, ale cóż one teraz znaczą? Nic. Wtedy nadal grał, nadal mieli z niego jakiś pożytek, był wyjątkowy. Teraz jest nikim. Nigdy nie powinien był wracać do domu.

– BENJI! – wyje Pająk, największy wariat z nich wszystkich. Nie jako zachętę, ale rozkaz, że ma się zatrzymać.

Benji nie rusza się z miejsca. Pozwala im podejść bliżej. Pierwszy z nich podnosi rękę, zaraz potem drugi, wszystko dzieje się tak szybko i tak bardzo boli, gdy go obejmują. Jego ciało nadal jest całe w siniakach po bójce na lotnisku.

– Jak się, kurwa, MASZ? Ale zajebiście, że wróciłeś! Kurwa, aleś jest chudy, masz anoreksję czy ki chuj? – wydziera się Pająk, a pozostali faceci przekrzykują go w obelgach, które tak naprawdę są komplementami, bo to ich sposób komunikacji, poza komplementami, które tak naprawdę są obelgami.

Potem rozmawiają o polowaniu na łosie. O samochodach i o broni. O pogodzie. Benji nadal wyczekuje ciosu, ale gdy ten nie nadchodzi, opuszcza w końcu barki i mówi cicho:

– Moje... kondolencje...

Kiwa głową w stronę cmentarza, ale Pająk tylko się śmieje.

– Będziesz teraz beczał? Myślisz, że Ramona by ci na to pozwoliła? Przetrzepałaby ci to chude dupsko na wióry i rozpalila nimi w kominku, aż w całym mieście śmierdziałoby dupą!

W jego oczach czai się oczywiście niewyobrażalna pustka, u pozostałych chłopaków też. Skóra na twarzy napuchła od alkoholu, zatopili się od wewnątrz, by nie utopić się we łzach na zewnątrz. Byli Ramony, a ona była ich, większość z nich trzymała się z nią bliżej niż z własnymi rodzicami. Poczucie humoru nie jest tu więc nawet formą obrony, ale czystą przekorą, bo nas nie pokona jebana żaloba. Dziewczyna jednego z czarnych kurtek woła od strony samochodów, że potrzebuje pomocy z noszeniem krzesel, bo kościół będzie pełny, mężczyźni natychmiast ruszają w jej stronę, nadal rozmawiając z Benjim, tak jakby to była oczywistość, że ma iść razem z nimi. Tak więc robi. Rozmawiają o hokeju, ale nikt nie wspomina Benjiego i hokeja, nikt nie pyta, czy znów zagra, zamiast tego ktoś opowiada, że gmina spróbuje połączyć oba kluby, a wtedy Pająk odparowuje, że „mogą sobie próbować, a jak już pójdą w piach, to nie będziemy tam potrzebować dodatkowych krzesel!”. Dziewczyna kopie wtedy swojego faceta w kostkę, tak żeby ten kopnął Pajaka. Gdy Pająk wybuchą: „Co niby TERAZ powiedziałem nie tak?“, dziewczyna syczy: „Uważaj, co mówisz, do diabła, jesteśmy przecież w kościele!“. Na co Pająk oczywiście odkrzykuje: „Nie przeklinaj w kościele, Madde!“, i och, ależ się zaśmiewają do łez, Benji razem z nimi. Taszcą do środka jeszcze więcej krzesel, dyskutując przy tym o dziewczynach i skuterach śnieżnych, żaden z mężczyzn w czarnych kurtkach właściwie nie zdaje sobie z tego sprawy, ale właśnie tam i wtedy dają Benjiemu najpiękniejszy prezent, jaki można podarować komuś, kto zawsze był wyjątkowy: traktują go, jakby wcale taki nie był.

Złodzieje

Wczesnym rankiem w niedzielę strażak dzwoni do strażaka z prośbą o przysługę. Z jednej strony Bengt, a z drugiej Johnny, nadal wzburzony po bójce w hali lodowiska. Jego szef nawołuje go jednak do zachowania spokoju.

– Wszyscy są wstrząśnięci pogrzebem tej Ramony. Jak ty byś się czuł? Daj temu kilka dni. W Björnstad mieszkają też dobrzy i trzeźwo myślący ludzie. Zanim złapiesz za pałkę i ruszysz tam, by wywołać następną jatkę, daj im szansę pogadać z tymi największymi wicherzycielami i zobaczymy, jak to się wszystko potoczy.

Johnny niechętnie przystaje na propozycję przełożonego. Rozmawiają potem o polowaniu na łosie, prawie wszystkich strażaków ominie to wydarzenie, bo praca przy uprzątnięciu pozostałości po wicherze nie pozostawia przestrzeni na dni wolne od pracy. Właśnie tego nam teraz trzeba, śmieje się Bengt, bandy niespokojnych wariatów z nowo zakupioną amunicją i żadnego celu, do którego mogliby strzelać!

– Pogadam jeszcze raz z chłopakami i postaram się, jak mogę, przekonać ich do zachowania spokoju – obiecuje Johnny.

– Dobrze, dobrze, a jak Hannah i dzieci?

– Dzieci wróciły do domu złe na wszystkich w Björnstad, ale Hannah najbardziej złościła się na mnie. Jakim cudem to mogła być moja wina, tego nie wie nikt, ale w sumie jak zwykle.

Bengt wybucha tak gromkim śmiechem, że aż zaczyna kaszleć.

– Brzmi jak moja własna baba. Każdego ranka ledwie się budzę, już mam u niej jakiegoś minusa. Gdy cały dzień robię wszystko to, co powinienem, to w najlepszym wypadku dochodzę do zera. A następnego dnia znów jestem, kurde, pod kreską. A jak już mówimy o mojej babie: mógłbym cię prosić o przysługę?

– Dopiero co mnie poprosiłeś o jedną, nie? – zauważył Johnny.

– No tak, tak, ale z tym gipsem nie mogę prowadzić samochodu, a przyjechały nowe zimowe opony dla mojej baby. Mógłbyś je dla mnie odebrać?

– Pewnie. Gdzie?

– U górzaków.

– U górzaków? – powtarza za nim sceptycznie Johnny.

Odkąd nowy właściciel przejął cały interes, jeszcze tam nie był, ale koledzy na stacji już to gruntownie przegadali. „Jakbym miał złote zęby, to za nic nie otworzyłbym tam dzioba, bo straciłbym je, zanim jeszcze mój własny język by się skapnął” – podsumował swoje odczucia związane z tym miejscem jeden ze strażaków.

– Tanie opony. Nie widzę w tym nic złego – odpowiada tymczasem ze spokojem Bengt.

– Mam poprosić o rachunek? – Johnny się uśmiecha.

– Raczej NIE sędzę! – śmieje się jego szef.

Johnny obiecuje, że je odbierze. Jedzie minibusem przez całe Hed i zatrzymuje się u podnóża góry przy złomowisku. Szczerze powiedziawszy, to raczej wzniesienie niż góra, ale w Hed trudno zmienić etykietę rzeczom, które dostały już swoje nazwy. Wysiada przy bramce, nie zamykając za sobą samochodu na klucz, jego telefon nadal leży na siedzeniu pasażera, kilka metrów dalej stoi gruby mężczyzna i uśmiecha się z zadumą.

– Nie zamyka pan samochodu, tak?

Johnny unosi brew ze zdziwieniem.

– A po co?

Mężczyzna nie spuszcza z niego wzroku, nadal się uśmiechając, tak jakby na coś czekał.

– Większość takich jak pan zamyka tu samochód na klucz. Mówi się, że jesteśmy złodziejami, nie słyszał pan? Może ktoś weźmie pański telefon, tak?

Johnny zagląda do minibusa, następnie rozgląda się po złomowisku i zatrzymuje wzrok na mężczyźnie.

– Niech pan powie któremuś ze swoich ludzi, żeby spróbował, to zobaczymy, co się stanie – odpowiada Johnny.

Mężczyzna wybucha długim radosnym śmiechem i wyciąga w jego stronę dłoń.

– Lev.

– Johnny – wita się Johnny, mocno ściskając dłoń nieznanego.

Lev kiwa głową na jego koszulkę pod kurtką, z logotypem straży pożarnej na piersi.

– Strażak, tak? Nie boi się ognia ani złodziei. Co mogę dla pana zrobić?

– Mam odebrać opony dla szefa – wyjaśnia Johnny.

– Bengta, tak? Bardzo dobrze. Przyniesiemy. Jak się ma jego noga?

– Dziękuję, dobrze... Bengt ma się dobrze – odpowiada nieco zaskoczony Johnny.

Lev wykonuje ruch dłonią.

– Ludzie gadają, tak? Słyszeliśmy o wypadku. Miejmy nadzieję, że... jak to się nazywa? Że się wykuruje, tak? Coś jeszcze?

Johnny kręci się chwilę niespokojnie, bierze głęboki wdech i wskazuje ręką na minibus.

– Coś nie chodzi jak trzeba. Kobita mi się skarży. Moglibyście na niego spojrzeć i sprawdzić, czy nie macie jakichś zapasowych części?

Nie mówi, że potrzebuje też pomocy przy naprawie samochodu, nadal chce mieć poczucie, że potrafi to zrobić sam, ale części zapasowe można by przecież kupić, skoro i tak już tu jest. Lev przez dobrą chwilę zdaje się oceniać zarówno jego, jak i pojazd, po czym mówi:

– Moi mechanicy sprawdzą. Będzie pół godziny. Pije pan kawę, tak?

Johnny przytakuje. Wszyscy przecież piją kawę, do diaska, nie? Lev prowadzi go kawałek dalej ze złomowiska w stronę niewielkiego domu, wchodzi do niego pierwszy i nastawia kawę. Johnny niepewnie wchodzi za nim, w środku prawie nie ma mebli, Lev mieszka tu już od wielu miesięcy, ale dom nadal wygląda, jakby osiadł tu ktoś w każdej sekundzie gotowy do ucieczki.

– Na czarno?

Johnny rozumie to opacznie i natychmiast mamrocze:

– Tak, tak, jest okej. Ani ja, ani Bengt nie potrzebujemy rachunku.

Lev uśmiecha się szeroko.

– Kawa. Czarna?

Johnny się czerwieni i bierze do ręki kubek. Chciałby przeprosić, ale nawet nie wie, jak miałby zacząć. Robi więc to co zwykle, rozgląda się wokół i szuka czegoś, by zmienić temat rozmowy, wygląda przez okno na niewielki ogródek na tyłach.

– A co tu się wydarzyło? – pyta zdziwiony.

W płocie brakuje kilkunastu desek, a mimo że spadł już świeży śnieg, cały teren jest poprzecinany śladami opon. Lev wrzuca do kubka tyle kostek cukru, że Johnny ma wrażenie, że za chwilę napój stanie się deserem.

– Teemu Rinnius. „Grupa”. Zna pan, tak? – odpowiada po chwili górzak.

Johnny kiwa głową, podejrziwie, ale z ciekawością.

– No.

– Teemu chciał mi przekazać wiadomość. Chyba nie lubi telefonów. Więc przywiózł tu taki, jak to się nazywa? Karawan!

Lev robi znaczący gest dłonią, wskazując na ogródek. Johnny rzuca okiem na gospodarza.

– Karawan? Od Grupy? Co, do cholery, im pan zrobił?

Lev wzrusza beznamiętnie ramionami.

– Interesy z Ramoną.

– Tą, która zmarła?

– Tak, tak, była mi winna pieniądze, tak? Więc powiedziałem, że mogę kupić jej bar Futro w ramach długu. A Teemu odpowiedział w ten sposób.

– Kupić Futro? Powiedział pan to Teemu? – Johnny wybucha śmiechem, bo chętnie zapłaciłby za to, żeby zobaczyć minę tego idioty, gdy została mu przedstawiona ta propozycja.

– Nie, nie. Byłem... jak to się nazywa? Dyplomatą, tak? Poszedłem do Petera Anderssona.

– Aaa – mruczy Johnny, a ton jego głosu wskazuje wyraźnie, co myśli o właścicielu tego nazwiska.

– Jesteście przyjaciółmi? – zastanawia się Lev z niewinnym uśmiechem na twarzy.

– W młodości graliśmy w hokeja w przeciwnych drużynach.

– Tak? Zanim grał w NHL?

Johnny dopija kawę i oblizuje wargi, próbując powstrzymać wzmagającą się gorycz, niezbyt dobrze mu to wychodzi.

– Na długo przed tym. Byliśmy nastolatkami, nigdy nie byłem tak dobry jak on. Dzwonił pan na policję w sprawie Teemu?

Nozdrza Leva poruszają się z lekką rezygnacją.

– Policję? Nie, nie, policja i adwokaci nie pracują dla takich jak ja. Tylko dla takich jak Peter Andersson. Poszedłem do niego jak mężczyzna, a on i Teemu odpowiedzieli karawanem.

Johnny spogląda przez okno i mimo wszystko trudno mu uwierzyć, że Peter Andersson, bez względu na to, co sam prywatnie myśli o tym człowieku, mógłby stać za czymś takim. Ludzie się jednak zmieniają, to dziwne czasy dla obu miasteczek.

– Gdy graliśmy przeciwko Björnstad, nazywaliśmy Petera „Jezusem”, bo wszyscy u niego w mieście wierzyli, że jest zbawicielem świata. Zawsze nieco elegantszy i lepszy niż my pozostali. Co ma pan zamiar zrobić z nim i Teemu?

Johnny od razu żałuje wszystkiego, co właśnie powiedział, a już najbardziej ostatniego pytania. Lev kładzie dodatkową kostkę cukru prosto na język.

– Nic – odpowiada.

Johnny oczywiście mu nie wierzy. W ciszy opróżniają kubki, Lev używa łyżeczki, by wydobyć ze swojego ostatnie krople kawy. Jeden z mężczyzn ze złomowiska puka do drzwi, opowiada, co jest nie tak z samochodem, mimo że Johnny nie do końca rozumie, to też nie do końca chce się do tego przyznać.

– Opony dla Bengta leżą w bagażniku. Części zamienne dla pana również, tak? – tłumaczy Lev.

– Ile jestem winien? – pyta Johnny.

– Dla strażaka? Za darmo! To drobnostka! – Lev uśmiecha się spokojnie, a Johnny nie ma pojęcia, czy mówi o częściach zapasowych, że to drobnostki, czy też chodzi o to, że Johnny będzie mu teraz dłużny drobnostkę.

– Powinien pan zadzwonić na policję. – Johnny kiwa głową w stronę ogródka, głównie dlatego, że nie wie, co innego mógłby powiedzieć.

– Proszę się nie martwić. Mieszkałem już w takich Hed i Björnstad wcześniej, tak? – odpowiada Lev.

Johnny drapie się po głowie.

– Co ma pan na myśli?

Lev uśmiecha się dobrodusznie, szukając odpowiednich słów.

– Jak to się mówi? Miasta takie jak wy? Mieszkałem w takich miastach jak wy już wcześniej. W wielu krajach. Ludzie tutaj myślą, że imigranci pochodzą z wielkich miast, tak? A ja urodziłem się w takim Hed. Jestem człowiekiem z lasu, jak wy. Wszędzie znajdzie się taki Teemu. I taka Grupa. Chcą nam powiedzieć: my rządzymy. Wy macie się słuchać. I zrobić krok w tył. Tak?

– I ma pan zamiar to zrobić? – pyta Johnny, brzmiąc o wiele bardziej ciekawsko, niż chciałby to zdradzić.

Lev przechyla głowę nieco w bok.

– Macie tutaj takie powiedzenie: „Robię krok w tył tylko po to, by nabrać prędkości!”. Tak?

– „Robię krok w tył tylko po to, by nabrać rozpędu” – poprawia go Johnny z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Dokładnie tak, dokładnie tak! – przytakuje Lev.

Wyciąga dłoń. Johnny ją ściska. Lev przytrzymuje uścisk sekundę dłużej i patrzy Johnny’emu w oczy.

– Jeśli będzie się palić, zadzwonię do pana, okej?

– Oczywiście, jeśli będzie się palić, to proszę dzwonić – śmieje się strażak.

– A jeśli pan będzie potrzebował mnie, to proszę też dzwonić, okej? Jak wy to nazywacie? „Współpraca sąsiedzka”, tak? – kontynuuje Lev, nie spuszczając z niego wzroku.

Johnny powinien się zawahać, wie o tym, ale zamiast tego kiwa z naciskiem głową. Idąc do auta, ma nadzieję, że Teemu Rinnius i Peter Andersson, i wszystkie te chujki w Björnstad w końcu zadarły z kimś groźniejszym, z kimś, z kim nie będą w stanie sobie poradzić.

Jedzie prosto do Bengta i wyładowuje opony, następnie do domu i okłamuje Hannah, nie mówiąc jej, gdzie kupił części zamienne. Inaczej znów zacznie się gadanie, o to również.

Kryptopalacze

„Małżeństwo”.

Powinno istnieć jakieś inne słowo na określenie małżeństwa z wystarczająco długim stażem. Gdy już dawno temu minęło się ten punkt, w którym jeszcze się czuło, że to wybór. Już nie wybieram cię każdego poranka, to, co powiedzieliśmy sobie w dniu swojego ślubu, było bardzo miłe, nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie. Nie jesteśmy świeżymi kwiatami, tylko dwoma drzewami ze zrośniętymi korzeniami, dojrzewasz we mnie.

Za młodu człowiek myśli, że miłość to zakochanie, ale zakochanie jest proste, każdy dzieciak może się zakochać. Ale miłość? To robota dla dorosłego. Miłość wymaga całego człowieka, wszystkiego, co w tobie najlepsze, i wszystkiego, co w tobie najgorsze. Nie ma to nic wspólnego z romantycznością, bo najtrudniejsze w małżeństwie nie jest to, że widzisz swoje ułomności, ale to, że ja je widzę. Że wiem teraz o tobie wszystko. Większość ludzi nie jest na tyle odważna, by żyć bez tajemnic. Wszyscy marzą o tym, by czasem być niewidzialnym, nikt natomiast nie chce być przezroczysty.

Małżeństwo? Powinno na to z czasem istnieć inne słowo. Bo nie ma czegoś takiego jak „wieczne zakochanie”, tylko miłość wystarcza na tak długo, a ta nigdy nie jest prosta. Wymaga całego człowieka. Wszystkiego, co masz. Wszystkiego.

Dzieci wyruszają na pogrzeb na własną rękę, rodzice zostają więc w domu sami, ze wszystkim, o czym nie mogą rozmawiać. Mira stoi za drzwiami sypialni, nie mając nawet odwagi oddychać, bo Peter siedzi na łóżku i płacze, próbując zawiązać czarny krawat. Mira cofa się aż do schodów, udaje, że dopiero na nie weszła, i woła: „Chcesz kawy, kochanie?”. Tak żeby zdążył wytrzeć łzy, odzyskać głos i odpowiedzieć: „Tak, dziękuję, kochanie, zaraz przyjdę!”.

Schodzi na dół, z wiszącym nieco za nisko krawatem, żona nie stoi mu na drodze, a on przechodzi obok, jak zwykle, mimo to nagle zderzają się ze sobą. Jej

palce szukają go w przelocie, zapinają mu marynarkę, udając, że nie pragną bliskości. Przystaje, prawie nieprzytomny, nie patrzy na siebie, bo gdyby spojrzeli, to obydwójce rozsypaliby się na kawałki. Nie dotykali się tak dawno, że opuszki jej palców działają jak terapia prądem, poprawia więc delikatnie paznokciami wiązanie krawatu, bo nie ma odwagi położyć mu dłoni na klatce piersiowej. Boże, jak blisko trzeba być odpuszczenia sobie siebie nawzajem, żeby przypomnieć sobie o tym, by o siebie walczyć.

– Ramona byłaby z ciebie dumna – szepcze Mira.

– A ty? – chce wiedzieć Peter.

Mira przytakuje z ciężkimi powiekami. Co sobie właśnie myśli? Może tego nie zapamięta albo będzie się tego wypierać, nawet przed samą sobą. Naprawdę powinno istnieć inne słowo na „małżeństwo”, ale może również inne na „rozwód”. Jedno, gdy już prawie się tam dociera. Gdy człowiek ma ochotę szepnąć: nie wiem, czego chcę, nie chcę tylko, żeby było tak, jak jest teraz. Słowo, dzięki któremu mówię, że już nie wytrzymam.

– Ja... Peter, ja... – zaczyna Mira, ale z pokoju niemal natychmiast ulatnia się cały tlen.

Mówi „Peter”, a nie „kochanie”, i waha się dokładnie tak długo, że on nie ma odwagi, by pozwolić jej dokończyć tę wypowiedź.

Pochyla więc od razu głowę w stronę jej czoła i mówi:

– Kocham cię!

Jej uśmiech przychodzi tak szybko, wywołany intensywnością jego spojrzenia, jego oddech jest tak blisko i Mira mówi to samo, z taką oczywistością w głosie, że już obydwójce mogą udawać, że nigdy nie zamierzała powiedzieć czegoś innego.

– Też cię kocham.

Tak dawno tego nie mówili, aż do teraz. Ze wszystkich słów związanych z miłością przede wszystkim powinno istnieć takie: jedno, które opisuje, jak wiele już razy byliśmy bliscy utraty siebie nawzajem, ale odwróciliśmy się i zaczęliśmy od nowa. Jedno dla tych najmniejszych drobiazgów, centymetrów, gdy dotykamy się, przechodząc obok siebie w kuchni, zamiast prawie się dotknąć. Coś, co mówi, że już nie mogę wytrzymać. Nie mogę wytrzymać, że ty nie możesz ze mną wytrzymać. Nie mogę wytrzymać bez ciebie.

Jadą razem na pogrzeb i przez całą drogę Peter nie wypuszcza jej dłoni ze swojej.

—

Ojciec Any już nie śpi, ma kaca, ale jeszcze nie zdążył się upić. Faceci z drużyny łowieckiej czekają w ogrodzie, by wspólnie z nim iść na cmentarz. Oni również są trzeźwi na pogrzeb, ale wszystko to tylko odliczanie do pierwszego piwa na stypie.

Ana i Maya ruszają same przed nimi, Maya nadal z gitarą na ramieniu. Wróciła do domu, żeby się przebrać, co od razu rozzłościło Anę, bo się „wystroiła”. Maya stwierdziła, że to normalne, gdy się idzie na pogrzeb, na co Ana odpowiedziała: „Aaaa, nienawidzę tego, że jesteś taka, do cholery, ładna, to jest w tobie najbardziej wkurzające! Muszę sobie znaleźć jakichś brzydszych znajomych!”. Idą drogą przez las, kawałek za domami na obrzeżach Wzgórza, zostawiając daleko za sobą głosy mężczyzny z drużyny łowieckiej. Dopiero gdy podchodzą naprawdę blisko, Maya zauważa, że znajdują się na ścieżce do biegania, na której czekała z bronią na Kevina. Ana też to chyba zauważyła, już prawie skręca, ale Maya łapie ją za rękę i prowadzi dalej prosto. Mijają miejsce, w którym nacisnęła spust, w którym Kevin się posikał, gdy broń kliknęła, a ona wypuściła z dłoni na ziemię przed nim nabój, którego nigdy nie załadowała. Dwie młode kobiety maszerują przez wspomnienia, a za nimi dreptają dwie małe niewidzialne dziewczynki. Bo zawsze za nimi idą: dzieci, którymi byliśmy, zanim przydarzyło się nam to najgorsze.

— Nie wiedziałam, że tak to będę czuła... — mówi Maya, gdy odchodzą już kilkaset metrów dalej. Zwalniają i spoglądają w dół w stronę jeziora: widzą całe miasto.

— Jak?

— Że nadal będę taka zła.

Ana pociera butem o cienką warstwę śniegu.

— Nadal śnię o tym, że zabijam Kevina.

— Ile bym dała za to, żeby tak nie było. Nie jest wart twoich snów.

Ana pociera butem jeszcze mocniej.

— Śnię również o Vidarze. Tyle że teraz są to już lepsze sny. Wcześniej śniło mi się wyłącznie to, jak umarł, a teraz czasami żyje. Jest megawkurzający, walnięty, ale... no wiesz... żyje.

Maya bierze ją za rękę, Ana mocno ją chwyta. Idą w ciszy z całą pewnością jakiś kwadrans, bezgłośnie porozumiewając się w sprawie długich okrężnych dróg, ale w końcu w nieunikniony sposób zbliżają się do zabudowań. Gdy w oddali pojawia się cmentarz, Maya mówi:

– Brakuje mi światła. Tak jakby wszystko się zmieniało, gdy dni są najkrótsze. Jakby w powietrzu widać było, jak bardzo jest wtedy zimno.

– Brzmisz jak turystka – prycha Ana, marszcząc czoło.

– Bo nią jestem.

Any jej słowa nawet nie śmieszą, zaczyna ją więc gilgotać. A wtedy przyjaciółka nie może przestać się śmiać aż do furtki cmentarnej, przy której stoi samotny chłopak i pali. Cały ranek nosił krzesła i teraz mimo zimna ma na sobie tylko spodnie od garnituru i przepocony podkoszulek. Jest dużo szczuplejszy, niż go zapamiętały. Maya i Ana muszą się aż powstrzymywać, żeby nie urazić się nawzajem, bo tak bardzo chcą go przytulić. W końcu więc Maya przytula go tak jakoś niezdarnie, do połowy, a Benji rzuca jej takie spojrzenie, jakby była kompletną wariatką. Brakowało jej tego spojrzenia. Benji ma teraz dwadzieścia lat, przeszedł wiele, zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz, ale jak tylko się uśmiecha, znów wygląda jak nastolatek wspinający się na najwyższe drzewa i skrywający w sobie największe tajemnice. Najniebezpieczniejszy na lodzie, najsamotniejszy na Ziemi.

– Wyglądasz stylowo – rzuca Mai komplement, gdy już wydostaje się z uścisków.

– A ty wręcz okropnie – śmieje się Maya.

Benji odwraca się do Any, która najpierw przytula go, jakby był odległym krewnym, a potem niczym maszt podczas sztormu, z nią nigdy nie ma nic pośrodku. Benji uśmiecha się szeroko.

– Chodzisz nieuzbrojona po ludzkiej osadzie? Siostry mówią, że teraz nie robisz już nic innego, tylko polujesz, myślałem więc, że będziesz mieć ze sobą strzelbę. Kto mnie obroni, jak będzie jakiś fajt?

– Nic się nie martw, zajmę się każdym, kto będzie wobec ciebie niemiły. – Ana uśmiecha się do niego, unosząc pięści.

Maya wkłada swoje piąstki do kieszeni kurtki. Stara się nie martwić o przyjaciół, ale raczej jej tego nie ułatwiają.

– Gdzie się podziewałeś? To znaczy... gdzie podróżowałeś? – pyta, wskazując na opaleniznę Benjiego, a pomijając wszystkie blizny na niej.

– Tu i tam. Teraz jestem tutaj – odpowiada beztróska Benji.

– Przykro mi z powodu Ramony – mówi posepnie Maya.

Benji kiwa głową, ale nie może wydusić z siebie odpowiedzi bez łamiącego się głosu. Odwraca się więc do bramy, na której wiszą jego biała koszula i marynarka, wyławia z kieszeni biały krawat i podaje go Mai.

– Dla twojego taty.

– Żartujesz? Właśnie DOPIERO CO udało mu się zawiązać własny! – mówi, uśmiechając się.

– Powinien mieć ten – nalega Benji.

– A białe nie są tylko dla rodziny? – pyta Ana.

– Był rodziną – odpowiada Benji.

Maya bierze krawat i trzyma go tak mocno, że aż cały się mnie. Patrzy kawałek dalej i nagle wybucha śmiechem.

– Nie no... czy to nie mój brat stoi tam i pali po kryjomu?

Ana rzuca wzrokiem na czternastolatka w oddali, który pomiędzy nagimi drzewami za nagrobkami w rzeczywistości wcale nie jest tak ukryty, jak mu się wydaje. Gwiżdże pełna podziwu, tylko po to, żeby podenerwować najlepszą przyjaciółkę.

– To Leo? Żartujesz chyba? Ale się z niego zrobiło ciacho!

– Daj spokój – ryczy Maya i Ana natychmiast wybucha śmiechem.

– Nie wydaje mi się, że to twój typ. Natomiast jeśli o mnie chodzi... – zauważa beztróska Benji, a Maya uderza go z całej siły w ramię.

Nie sprawia mu to szczególnie bólu, niestety jednak zaraz później Ana z czystej sympatii daje mu kuksańca w drugie ramię, pod którym aż uginają mu się kolana.

– Wcinasz anaboliki czy co, wariatko? – szepcze.

– To ty zgubiłeś wszystkie mięśnie na jakiejś pieprzonej plaży, hipisie – śmieje się Ana.

– Widzimy się w środku, idę opieprzyć brata! – krzyczy Maya i kieruje się w stronę drzew.

Ana i Benji nie ruszają się z miejsca, a on udaje wystraszonego i pojękuje: „Nie, nie, nie bij mnie już! Tylko nie w twarz!”, gdy przyjaciółka szturcha go w bok i prycha.

– A ty? Nie zamierzasz mieć krawatu?

Benji wydyma szyderczo usta.

– Nie. Krawaty są megapedalskie.

Ana wybucha takim śmiechem, że chrząka przy wdechu, a przy wydechu smarka, a on śmieje się z niej tak głośno, że aż traci oddech.

–

Ruth.

Ruth. Ruth. Ruth.

Nikt tutaj nawet nie wie, jak miała na imię. Nikt nie spojrzy na jej nagrobek, pamiętając, kim była. Ruth. Ruth. Ruth. Miała na imię RUTH i Matteo nienawidzi wszystkich, którzy tego nie wiedzą. Nie pamiętają. Każdego z nich.

Rankiem chowa się w garderobie, tak żeby rodzice nie widzieli jego komputera. Podłącza się do internetu sąsiadów, by obejrzeć film o tym, jak wiązać krawat. Gdyby Ruth tu była, toby mu pomogła, nigdy nie miał nikogo innego, kogo mógłby poprosić o pomoc, ojciec zapadł się głęboko w siebie, a matka żyje w widokówce, której nikt inny nie widzi. Nawet nie dali mu krawatu, wziął jeden od taty, z pewnością nie zauważą, że ma go na sobie, bo to wymagałoby od nich, żeby rzeczywiście na niego spojrzeli. Albo z nim porozmawiali. W domu panowała cisza, zanim jeszcze wrócili, ale z Ruth jest jeszcze ciszej. Brak słów okazuje się gorszy niż samotność.

Matteo się zastanawia, czy rodzice są tak pewni swej wiary, że uważają, że ich córka jest teraz w piekle. I czy mają nadzieję, że sami też tam w takim razie trafią, żeby jeszcze móc ją kiedyś spotkać.

Zastanawia się, czy się boją. I czy cicho przeplakali całą noc, tak jak on.

Ruth zwykła mówić, że jest za miękki, a potem od razu tego żałowała, tłumacząc mu, że to jego najpiękniejsza cecha. Dobra starsza siostra poszłaby za nim do

piekła, jeśli to on leżałby teraz w tej skrzynce w korytarzu. Kiedyś mu się zwierzyła, że nienawidzi świata za to, że zmusza dzieci takie jak on do bycia twardymi, by przetrwać. Zauważyła jednak od razu, że się wystraszył, i zmierzwiła mu włosy na głowie, mówiąc, że to dobrze być takim miękkim, bo wtedy przy upadku nie rozpada się na kawałki. Jak płatek kwiatu. Może właśnie to się jej przytrafiło, stwardniała, jak zamrożona róża, którą można rozbić młotem na drobinki.

W samochodzie w drodze na cmentarz mama Matteo wygląda przez okno i między trzema pozostałymi przy życiu członkami rodziny toczy się jedyna rozmowa tego dnia.

– Patrzcie, przy hali lodowiska opuścili do połowy flagi – mówi mama, zdziwiona i niemalże dumna.

Matteo się obrusza, bo właśnie tego najbardziej pragnęła siostra, gdy jeszcze żyła.

– To nie dla Ruth. Tylko dla tej właścicielki baru – wybucha z tylnego siedzenia, nawet się nie zastanawiając.

Natychmiast zalewa go przerażenie, że mama może się zamknąć w sobie w jednym ze swoich napadów lęku, zacząć się trząść i zatykać uszy. Ale jej wzrok niknie jedynie za błyszczącą powłoką fantazji.

– Z pewnością dla nich obu – odpowiada z zadowoleniem.

Wcale nie. Nawet nie wiedzą, jak miała na imię, myśli Matteo. Ale z tylnego siedzenia szepcze tylko:

– Tak, mamo, z pewnością dla nich obu.

Gdy podjeżdżają pod cmentarz, na parkingu krząta się już cała masa ludzi. Noszą pudła i kartony, tak jakby przygotowywali koncert rockowy, a nie pogrzeb. Matteo rozpoznaje wielu z nich, mężczyzn z klubu hokejowego, nie wiedzą pewnie nawet, że dziś odbędą się dwa pogrzeby, i pewnie też ich to nie obchodzi. Ksiądz z pełną skruchy miną wita ich przy bramie i pyta, czy byłoby możliwe, żeby ceremonia została odprawiona w kaplicy zamiast w kościele.

– Jak sami państwo widzą, w kościele przygotowujemy duży pogrzeb i właśnie wnoszą tam krzesła, więc wydaje mi się, że w kaplicy będzie o wiele spokojniej, jest nas tak niewielu... dla... dla... – Nawet ksiądz nie pamięta.

– Ruth. Moja siostra miała na imię Ruth – szepcze Matteo, ale duchowny go nie słyszy.

– Nie ma znaczenia. Kaplica też będzie dobra – odpowiada miękkiem głosem ojciec, pochylając głowę.

Matka zdaje się w ogóle nie słuchać. Wszystko odbywa się bardzo szybko. Ksiądz czyta fragment Biblii, Matteo nie musi nawet otwierać własnej, by nadążać za tekstem, prawie wszystkie fragmenty zna na pamięć. Matka okazuje jakiegokolwiek uczucia tylko raz, gdy kapłan w pewnym momencie używa nowszego tłumaczenia jednego z wersów, którego ona nie uznaje za poprawny. Marszczy wtedy czoło i prycha w stronę syna, który całą twarzą pokazuje jej, że on przecież też uważa, że to oburzające.

Już po wszystkim rodzice zostają jeszcze chwilę z księdzem w kaplicy, a Matteo wychodzi na zewnątrz na światło dzienne.

Nienawidzę tego, że nie żyjesz, bo z nikim innym poza tobą nie mogę porozmawiać o śmierci, myśli, spoglądając prosto w niebo. Dopiero wtedy nadchodzą łzy, wszystkie naraz. Szłocha tak mocno, że nie może złapać powietrza, zgina się w pół i zaczyna biec, potykając się. Jak najdalej od wszystkich głosów. Za drzewem, kawałek za nagrobkami opada na ziemię i uderza się pięściami w uda, aż całe sinieją i traci w nich czucie. Zamyka oczy i płacze. Otwiera je dopiero po chwili, gdy dociera do niego zapach dymu papierosowego.

Kilka drzew dalej niezbyt skutecznie schował się chłopak, w wieku Matteo. Trzyma papierosa, jakby nadal się zastanawiał, jak go trzymać, sprawdza różne ułożenia między palcami, wciąga dym ustami i wypuszcza nosem. Matteo rozpoznaje go ze szkoły, ale chłopak go nie zauważa. Różnią się umiejętnością chowania, nie ćwiczyli tak samo długo.

Kawałek dalej ktoś woła: „Leo?”, chłopak przeklina i natychmiast upuszcza papierosa, nawet go nie gasząc. Wychodzi zza drzew i rusza pomiędzy nagrobkami. Starsza o kilka lat dziewczyna idzie w jego kierunku.

– Ty palisz? – rzuca w jego stronę zdziwiona.

– Ciii! Nie bądź świnią, Maya, i nie mów mamie ani tacie, dobra?

– To będzie cię kosztować dwie fajki, braciszku! – zaśmiewa się siostra.

Chłopak klnie i podaje jej całą paczkę. Znikają w drugiej części cmentarza, idąc blisko siebie, brat i siostra. Szturchają się łokciami, żartują, drażnią się nawzajem.

Między drzewami za nimi Matteo pochyla się i podnosi porzucony przez Leo niedopałek papierosa. Nadal się pali. Nikt nie widzi samotnego chłopca, który go dopala.

Rodziny

Gdy Peter skręca pod kościół, Mira zauważa, że parking jest pełen. Właśnie mają się wycofać i jeszcze raz objechać okolicę, by znaleźć wolne miejsce przy głównej drodze, gdy dwóch chłopaków w czarnych kurtkach kawałek dalej pogwizduje na nich i gestykułuje w ich kierunku. Jeden z nich podnosi trzy czerwone pachołki z miejsca zaraz przy furtkach i wskazuje Peterowi, by tam zaparkował.

– Teemu powiedział, że mamy dla pana zachować najlepsze miejsce! – nie zapominają wspomnieć czarne kurtki, gdy zdziwiony Peter wysiada z samochodu.

Nie chcą napiwku ani pochwały, byle tylko Teemu miał okazję się dowiedzieć, że można na nich polegać. Peter obchodzi samochód i szuka dłoni Miry. Żona podaje mu ją, choć nie bez oporu.

– Chłopcy Teemu? – bardziej mówi z wyrzutem, niż pyta.

– To nie... w ten sposób... to tylko... – zaczyna Peter, ale sam już właściwie nie wie, kogo próbuje przekonać.

– Tato!

Na ratunek przychodzą mu Maya i Leo, przytulają go i podają mu biały krawat.

– Od Benjiego.

– Wydaje mi się, że biały jest tylko dla rodziny... – wyjaśnia z czułością w głosie Peter.

– Jesteś rodziną – odpowiada głos przy cmentarnej furtce.

To Teemu. Stoi obok księdza. Tylko w tym mieście, myśli Mira, tylko w tym przeklętym mieście można zobaczyć chuliganów i księży stojących ramię w ramię. Ale gdy Peter spogląda na nią, kiwa głową z udawaną zachętą.

– Idź przede mną, kochanie! Ja jeszcze sprawdzę, czy mogę w czymś pomóc!

Peter rusza przed siebie, a ona patrzy za nim, księdzem i chuliganem i marznie z porzucenia. Nagle czuje zapach papierosów, który wbił się w czyjaś kurtkę,

blisko niej, potem coś ciepłego w dłoni. To palce Mai zaciskają się wokół jej własnych.

– Tęskniłam za tobą, mamo.

Boże drogi. Mira prawie musi wrócić do samochodu i na chwilę usiąść. Nasze dzieci nie mają pojęcia, co potrafią z nami zrobić.

—

Po rozmowie z księdzem Peter i Teemu zostają w kościele, otoczeni piekielnym jazgotem, trzaskiem zamykanych i otwieranych drzwi, skrzypiącymi i szurającymi krzesłami stawianymi w rzędach wzdłuż każdej ze ścian. Echo przypomina dźwięki z hali lodowiska.

– Jak tam... z Levem? Rozmawialiście... coś? – pyta Peter niepewny, czy powinien się martwić, że przez ten hałas go słychać, czy nie.

Teemu patrzy niego, tak jakby chciał zapytać: „Naprawdę chcesz wiedzieć?”, i w sumie Peter wcale nie chce. Czuje jednak, że musi.

– Zostawiliśmy mu wiadomość – mówi Teemu.

– Gdzie? – pyta Peter.

Teemu drapie się po świeżo ogolonej brodzie i zaczesuje kilka pasemek włosów do tyłu.

Nawet jego krawat jest idealnie zawiązany, biały, dokładnie tak jak Petera, można by ich wziąć za ojca i syna.

– U niego w ogrodzie.

Peter już z całą pewnością żałuje, że zapytał. Pamięta swoją złość, gdy usłyszał, co Lev zrobił Amatowi podczas draftu NHL, pamięta ledwie skrywane groźby, gdy Lev przyjechał wczoraj pod jego dom, ale nie zapomniał również, co Grupa zrobiła jemu, gdy kilka lat temu nie podobała im się jego praca w klubie. Gdy Mira odebrała telefon z firmy przeprowadzkowej, bo ktoś bez ich zgody wystawił ich dom na sprzedaż. I gdy Frak zadzwonił z informacją, że ktoś zamieścił w gazecie nekrolog z nazwiskiem Petera. Jest różnica między wybaczeniem a zapomnieniem. Mira może i mogła zniżyć się do tego, by zawrzeć rozejm z kimś takim jak Teemu, ale Peter robi teraz coś innego. Czyni Teemu swoim sprzymierzeńcem. Prędzej czy

później człowiek musi sobie odpowiedzieć na pytanie: Jeśli ten, którego się bałem, jest teraz moim obrońcą, to kto zmienił stronę – on czy ja?

Gdy ludzie zaczynają się wlewać do środka kościoła, Peter czuje się jak osa w kuflu z piwem. Stoi obok Teemu. Jedno za drugim podchodzą do nich mężczyźni i kobiety, ściskają mu dłoń, tak jak dawniej, gdy był jeszcze dyrektorem sportowym, niektórzy rzucają zatroskane spojrzenia na jego towarzysza, ale wielu w ogóle nie zwraca na to uwagi. Część z nich ściska też dłoń Teemu. Może i z szacunku do Ramony, ale również dlatego, że rozumieją, jak wygląda obecnie polityczna sytuacja miasta. Wszyscy słyszeli już o bójce w hali lodowiska i nikt nie robi sobie złudzeń, że to koniec, doskonale wiedzą, że to dopiero początek. Za tydzień drużyny Björnstad i Hed spotykają się na premierowym meczu sezonu. Są okresy, kiedy można sobie pozwolić na dystansowanie się od takich ludzi jak Teemu, ale to po prostu nie jest ten czas.

Ludzie gromadzą się w kościele przez dwadzieścia minut, kolejne dwadzieścia zajmuje wy tłumaczenie pozostałym, że w środku nie ma już miejsca. Pogrzeb Ramony odbywa się przy otwartych drzwiach.

—

Maya siedzi obok Any w ławce za mamą i młodszym bratem. Gdy widzą, jak wolno Peter idzie w stronę mikrofonu ustawionego przy ołtarzu, rozumieją, że nogi tak mu się trzęsą, że obawia się potknięcia. Rozegrał setki meczów hokejowych przed tysiącami ludzi, ale nic nie jest go w stanie przestraszyć bardziej niż przemowa. Poprawia biały krawat, który ciąży mu jak niezasłużony medal. W kościele zalega cisza, a jego chrząknięcia słychać bardziej, niżby się tego spodziewał. Aż się wzdryga, a krótki śmiech zebranych i nagła cisza po nim go paraliżują. W końcu jednak udaje mu się rozwinąć pomietą kartkę, którą schował w kieszeni.

– Będę... się streszczał. Nie... mogłem się zdecydować, co powinienem tu dziś powiedzieć. Nie chcę tu stać i opowiadać o tym, jak to znałem Ramonę lepiej niż ktokolwiek z was. Prawda jest taka, że nie znałem jej prawie wcale. Mimo to brakuje mi jej jak... jak rodzica. Ja... przepraszam... – Spogląda w kartkę, która szeleści tak głośno, że dźwięk dochodzi aż do ostatnich rzędów. Peter oddycha przez nos, wypuszcza powietrze ustami, usilnie stara się mówić z pamięci: –

Właściwie jedynym, o czym mogliśmy rozmawiać bez kłótni, był hokej. Kiedyś powiedziałem jej, że sport to dziwna rzecz, wkładamy w niego całe nasze życie i na co możemy liczyć w najlepszym razie? Kilka chwil... to wszystko. Kilka zwycięstw, kilka sekund, w których czujemy się więksi, niż naprawdę jesteśmy, kilka odosobnionych momentów, w których łudzimy się, że jesteśmy nieśmiertelni. – Stara się skupić i składa kartkę w dłoniach. Wciska ją do kieszeni. Drży na całym ciele tak, że aż wydaje mu się to komiczne. Nie jest pewny, czy gorsza jest publiczność zgromadzona w kościele czy ta w niebie, robi więc to, co zwykł robić w szatni: zagryza mocno wargę, tak by ból i smak krwi zmusiły mózg do skoncentrowania się. – Kilka chwil, powiedziałem jej, to wszystko, co daje nam sport. Wtedy Ramona nalała sobie dużą whisky, prychnęła w moją stronę i rzuciła: A czymże jest życie, Peter? Jeśli nie chwilami?

Teemu siedzi w pierwszym rzędzie z niewzruszonym wyrazem twarzy, ale z zaciśniętymi pięściami wibrującymi na kolanach. Benji stoi sam na tyłach kościoła, jak najbliżej drzwi, jego łzy kapią miękko na kamienną podłogę. Głos Petera drży. Trzech chłopców bez ojców, jeśli chcesz się dowiedzieć, kim była Ramona i co naprawdę znaczyła dla tego miejsca na ziemi, wystarczy, że spojrzysz na spustoszenie malujące się na ich twarzach. Peter podnosi wzrok i wyrzuca z siebie:

– To z tym nas zostawiłaś, Ramono. Z chwilami. Opowieściami. Anegdotami. Nikt nie opowiadał ich tak jak ty. Byłaś tym miastem. BYŁAŚ tym miastem. Brakuje cię teraz całemu Björnstad. Pozdrów Holgera. Do... widzenia.

Kłania się przed trumną, po czym wraca na miejsce, starając się nie potknąć. Prawie mu się to udaje. Opada na ławkę obok Miry, żona wyciąga dłoń, by złapać go za palce, ostrożnie, ostrożnie, ale w momencie, gdy właśnie je muska, ciszę przerywa smutne chrząknięcie Teemu:

– Do diabła! Piwo w niebie będzie teraz CHOLERNIE drogie!

Śmiech, który eksploduje z setek osób prawie równocześnie, niczym z jednych ust, jest tak donośny, wspólny i uwalniający, że unosi każdego człowieka w kościele. Prostują plecy, podciągają się do powierzchni, przypomina wdech tuż przed strzeleniem bramki i okrzyk zaraz po nim. Peter śmieje się tak mocno, że gdy podnosi rękę, by otrzeć łzy, mija dłoń Miry. Żona nadal siedzi niewzruszona.

Po pogrzebie, gdy u wejścia do kościoła setki uśmiechów spływają między łzami, Maya siada na murku na zewnątrz z gitarą na kolanach i zapisuje wszystkie uczucia w telefonie. Któregoś dnia może powstanie z nich piosenka, mimo że Maya nigdy nie będzie miała siły jej zaśpiewać.

*Przyjechaliśmy z kraju dalekiego
W głąb lądu tego
Mówiliście, że łatwiejsze tu życie
I może tak jest rzeczywiście
Jeśli tylko nie jesteś tak zaangażowany
I tak skomplikowany
Lub może właśnie tak skomplikowany
Na sposób już wypróbowany
Jeśli kochać ci trudno przychodzi
I nienawidzić tak samo mocno wychodzi
Udając, że zniesiesz wiele
Nie pokazując siebie prawie wcale
Może wtedy właśnie jest tu łatwiej?
Może, kto wie?*

Po chwili widzi matkę wychodzącą samotnie z kościoła. Ojciec został jeszcze w środku, otoczony ludźmi, którzy chcą mu uścisnąć dłoń. Maya zapisuje:

*Jestem romantyczką, która nigdy się nie zakochała
Córka staje się tym, co widziała
Wierzę w miłość na wieki, choć nigdy się nie wydarza
Bo właśnie was spotkała
A teraz?
Czy to się jeszcze może udać?
Mamo, stopnieliście do zera
Tato, już prawie was nie widać
Przerażeni, wątli i zmizerniali
Wygładziliście się sami tak bardzo
Że wkrótce znikniecie na wiatru fali.*

*A jedyne, co powiedzieć musi ktoś:
Nigdy nie będę mieć cię dość
Dwa małe słowa, które was uratują:
Potrzebuję cię
POTRZEBUJĘ cię
Potrzebuję CIĘ
POTRZEBUJĘ CIĘ*

Ana przerywa przyjaciółce, wychodząc zza rogu z piwem w obu dłoniach. Maya naprawdę nie ma pojęcia, skąd je wzięła, ale jeśli już ktoś ma znaleźć piwo na cmentarzu, to będzie to Ana.

– Do kogo piszesz? Do swojej najlepszej kumpeli? – Ana uśmiecha się szeroko.

– Tak, ale twoja wielka głowa ogranicza zasięg! – odpowiada Maya i wrzuca telefon do torebki.

Potem obie siedzą na murku, piją piwo i obrzucają się wyzwiskami, a przy nich po jednej stronie siedzą dwie małe dziewczynki, którymi kiedyś były. Po drugiej stronie prawie na pewno siedzi Ramona.

Prawdy

Odniesienie się do pojęcia „prawdy” jest trudne dla każdego, ale dla lokalnej gazety czasami wręcz niemożliwe.

Redaktorka naczelna z pewnym oporem zauważa, że coraz częściej myśli o tym, jak ojciec, gdy była jeszcze dzieckiem, opowiedział jej o klasycznej filozoficznej zasadzie: „Najprostsze wytłumaczenie jest najczęściej prawdziwe”.

Nie idzie na pogrzeb, nie byłaby tam mile widziana, dziennikarze są w tych stronach tolerowani, ale nigdy nic ponad to. W Björnstad uskarżają się, że gazeta jest „tubą Hed”, tylko dlatego, że redakcja znajduje się w tym mieście, w Hed natomiast jęczą, że dziennikarze robią wszystko, by się „przypodobać Björnstad”. Nie ma ziemi niczyjej. Albo jest się z tymi ludźmi, albo przeciwko nim, nie ma sposobu na wygraną, musi więc wciąż sobie przypominać, że nie należy to również do zadań redaktorki naczelnej.

Ojciec zaproponował, że to on pójdzie na pogrzeb, bo nikt przecież nie wie, kim jest, i po długim wahaniu się na to zgodziła. „Nie rozmawiaj jednak z nikim, rób tylko zdjęcia!” – zażądała, a on zgodził się na to wyjątkowo łatwo. Spojrzała na niego podejrzliwym okiem, bo nie wyglądał ani na zestresowanego, ani na złego, jak to zwykle bywało. Zachowywał się całkiem spokojnie, jak wtedy, gdy była mała i w sprawie, w której rozpracowywał jakąś znaną osobę lub znanego włodarza, dochodziło do przełomu, i wiedział, że teraz to już mam tego skurczybyka. „Co znalazłeś?” – zapytała zaciekawiona i dopiero wtedy na jego ustach zagościł niewielki uśmiech, a zaraz potem na jej biurku wylądował stos dokumentów. Kopie kontraktów, których wcześniej nie widziała na oczy. Teraz ojciec jest na pogrzebie, a ona śledzi każdą stronę, pełna podziwu, że nawet jeśli się tego piernika zamknie w pustym pomieszczeniu, to wygrzebie jakieś państwowe tajemnice.

Pierwsze kontrakty na pierwszy rzut oka wyglądają niewinnie: dotyczą sprzedaży ziemi sprzed dwóch lat, sprzedawcą była gmina, a nabywcą lokalna

fabryka. Nic w tym dziwnego, fabryka chce się rozwijać, a gmina potrzebuje nowych miejsc pracy, cena jest ceną rynkową i nikt nie narzeka. Pod tym pierwszym kontraktem ojciec umieścił jednak kopie innych umów, które znalazł: jedna dotyczy sprzedaży dokładnie tego samego kawałka ziemi w niedługim czasie potem, tym razem jednak to fabryka sprzedawała, a kupowało Björnstad Hockey. Cena była już znacznie niższa, nawiasem mówiąc, tak niska, że jeśli wszystko się zgadza, to ten kawałek ziemi przez kilka miesięcy stracił na wartości ponad dziewięćdziesiąt procent. Wygląda to na wyjątkowo fatalny interes dla fabryki, dopóki redaktorka nie rzuca okiem na kolejny kontrakt: kilka dni później, zaraz obok swoich budynków, fabryka kupuje inny kawałek ziemi, który, jak wszystkim wiadomo, starała się zdobyć od lat. Sprzedawca? Gmina. W takim razie to było warunkiem, stwierdza redaktorka: gmina nie mogła tanio sprzedać klubowi ziemi, żeby ktoś nie zwrócił na to uwagi, tak więc fabryka zgodziła się pośredniczyć, w zamian za możliwość kupienia ziemi, na której naprawdę jej zależało.

To już wystarczająco straszne, a na tym nie koniec: kolejna umowa na stosie przed nią pokazuje mianowicie, jak gmina jakiś czas później odkupiła sprzedaną wcześniej ziemię przy hali lodowiska od Björnstad Hockey. Ale za dużo więcej pieniędzy. Tym razem w dokumencie mowa jest nie tylko o „gruncie”, lecz także o „budynku”, bo interes dotyczy nagle „centrum treningowego” klubu hokejowego. Cenę kupna rozłożono na wiele małych rat do spłaty przez dłuższy okres, ale łącznie chodzi tu o milionowe kwoty. Co więcej: następna umowa leżącą przed dziennikarką podpisana została z tą samą datą i przez tych samych ludzi, a gmina zobowiązała się w niej do umożliwienia Björnstad Hockey wynajęcia centrum treningowego, które właśnie sprzedali, i dalszego użytkowania go, jak długo tylko będą chcieli, prawie za darmo.

Redaktorka naczelna wzdycha gorzko, bo prostszego sposobu na wpompowanie po cichu pieniędzy podatników w klub hokejowy chyba nie można by już wymyślić, a jednocześnie wie, że nie jest to na tyle duży skandal, żeby udało się kogoś pociągnąć do odpowiedzialności. Większość czytelników nie zrozumie, o co w tym chodzi, nie będzie to dla nich wystarczająco fascynujące. Żadna „dobra historia”, jak to zwykł mówić ojciec. Dlaczego więc, wręczając jej te dokumenty, był z siebie taki zadowolony?

Musi przekartkować je aż do samego końca, by się tego dowiedzieć. Nie ma tam już żadnych umów, jedynie wydrukowane zdjęcie. Niewyraźne, ale przedstawiające

parking przy hali lodowiska, na górze kartki ojciec zapisał dzisiejszą datę, a na odwrocie zrobił notatkę: „Nie istnieje żadne centrum treningowe!”.

Dziennikarka przygląda się zdjęciu. Miliony z pieniędzy podatników, ale tam nic nie ma, ani dźwigu, ani choćby odgradzonego terenu. Nawet nie próbowali nadać temu przedsięwzięciu krzty wiarygodności, tak bardzo pewni, że nigdy nie zostaną na niczym złapani. Bo dlaczego niby mieliby zostać złapani? Do tej pory wszystko uchodziło im przecież na sucho.

Redaktorka naczelna odchyła się na krześle, usiłując wykorzystać całe swoje dziennikarskie doświadczenie, by zakwestionować samą siebie. Czy jest obiektywna? Sprawiedliwa? Bo na każdym z dokumentów widzi podpis Petera Anderssona, ale czy rzeczywiście to on był mózgiem wszystkich tych operacji? To wydarzyło się już po tym, jak zrezygnował ze stanowiska, dlaczego więc w ogóle podpisał te dokumenty? Może zrobił to, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji? A może został oszukany?

Nie, wie dokładnie, co powie ojciec: „Ryba psuje się od głowy, moja droga. Ten gospodarczy doping szerzył się od lat i zaczął od góry. Peter odszedł ze stanowiska dyrektora sportowego zaraz przed biznesem z centrum treningowym, zapewne po to, by zatrzeć ślady. Czego cię zawsze uczyłem? Jeśli istnieje wiele sposobów na wyjaśnienie czegoś: wybierz ten najprostszy”.

Chwile

Ludzie potrzebują być potrzebni. Dla części z nich jest to tak samo ważne jak pożądanie, podziw i miłość. Dla niektórych, zwłaszcza tych, którzy poświęcili życie sportom grupowym, to ważniejsze niż wszystko inne.

– Świetne przemówienie! – mówi jeden z dziadków, ściskając dłoń Petera po pogrzebie.

W kolejce stoją już inni dziadkowie, którzy chcą mu powiedzieć dokładnie to samo. Wszyscy podają mu dłoń, chcą pogadać o hokeju, wielu z nich opowiada, że brakuje im go w Björnstad Hockey i że mają nadzieję, że miejsce Ramony w zarządzie dostanie teraz właśnie on. Peter nie wie nawet, jak zareagować na ten kuriozalny pomysł, ale jak to już bywa ze wszystkimi kuriozalnymi rzeczami, mają one przewrotną tendencję do stawania się coraz mniej kuriozalnymi, im częściej się je słyszy.

– Sami jacyś cyfromani, analitycy i tego typu gówno teraz wszędzie w tym sporcie, bez takich ludzi jak ty i Ramona w hokeju nie będzie już serca! Tu wygrywa się na lodzie, jak za twoich czasów, a nie wyliczając z jakichś danych, jak teraz! – stwierdza jeden z ostatnich dziadków w kolejce.

Gdy Peter jest już potem sam, zaczyna tęsknić. To nie taka tęsknota do przyszłości, do lata czy urlopu, tylko do siebie samego. Do tego, jak to było za „moich czasów”, mimo że przecież te czasy nie istniały inaczej niż w naszych przefiltrowanych już w pamięci obrazach. Tęsknota do tego, jakimi nam się wydaje, że byliśmy, w pewnego rodzaju młodości, kiedy to człowiek miał poczucie, że życie jest nieskomplikowane. Albo jakimi wyobrażamy sobie, że moglibyśmy być, gdybyśmy tylko dostali szansę przeżycia wszystkiego na nowo. Bardzo trudno nie tęsknić. Dla niektórych jest to prawie niemożliwe.

Kościół jest już niemal pusty. Peter zbiera te kilka rzeczy, które miał ze sobą, i ten ogrom uczuć, które nim teraz targają, i ostatni raz kładzie dłoń na fotografii Ramony. Ktoś zrobił ją z ukrycia, bo nikt nie odważyłby się przecież inaczej, jest

na nim młoda i stoi za barem razem z Holgerem, z uniesionymi rękami, więc zapewne ktoś w telewizorze właśnie strzelił bramkę. Może nawet sam Peter.

– Tylko chwile, co? Tak to było? Jeśli o mnie chodzi, to spokojnie mogłaś ich dla nas mieć jeszcze kilka. Z kim mam teraz... rozmawiać o hokeju?

Przy ostatnich słowach głos mu się załamuje, oczy szczypią, a po chwili piecze już cała twarz, gdy odwracając się, zauważa, że nie jest sam. Elisabeth Zackell nadal siedzi na swoim krześle, dziesięć rzędów dalej, tak jakby czekała na swoją kolej. Trenerkę hokeja i właścicielkę baru nigdy do końca nie łączyło coś, co można by nazwać przyjaźnią, ale dla Zackell było to temu najbliższe. Często jadała w Futrze gotowane ziemniaki, popijając je ciepłym piwem, i w takim wymiarze, w jakim można to było nazwać konwersacją, rozmawiała z Ramoną więcej niż ktokolwiek inny w mieście. Ramona uważała oczywiście, że Zackell to „pieprzone babsko, weganka i abstynentka, i jeszcze chuj wie kto”, i nawet jeśli chociaż trochę nauczyła ją pić piwo, to nie udało jej się wybić trenerce z głowy reszty głupot. Zackell była jednak dobra w dwóch rzeczach: w wygrywaniu i w trzymaniu gęby na kłódkę, a to już wystarczało na długo. Tak więc gdy faceci w barze próbowali ją pouczać, jak powinna trenować drużynę, Ramona zawsze im odpyskiwała: „Chcecie się czegoś nauczyć o hokeju? Naprawdę czegoś nauczyć? To nie powinniście gadać z Zackell, bo jesteście za głupi na to, żeby zrozumieć, co ona potrafi!”. Nikt nie wie nic o uczuciach Zackell – albo dlatego, że nie ma ich aż tylu co pozostali, albo dlatego, że nie widzi powodu, by je okazywać – ale gdy przed dwoma laty w Futrze wybuchł pożar, to ona rzuciła się do środka za Ramoną. Od tej pory mogła jeść tam ziemniaki za darmo, za piwo musiała jednak płacić. Nawet dobroczynność ma jakieś granice, nie?

– Przepraszam... już was zostawiam w spokoju... – tłumaczy się Peter i rusza w stronę wyjścia.

– Jakich nas? – pyta szczerze zdziwiona Zackell, rozglądając się dookoła.

– Ciebie i... myślałem, że czekasz na... – zaczyna Peter, ale wyraz twarzy trenerki jest czysty jak jezioro.

– Wielu podobała się twoja mowa – mówi zamiast tego i wygląda, jakby naprawdę, naprawdę starała się znaleźć z nim jakiś wspólny temat, tak jak dorosły rozmawiający z dziećmi, mimo że naprawdę, naprawdę ich nie lubi.

– Dziękuję – odpowiada Peter i nagle dociera do niego, że to może nie było najodpowiedniejsze słowo, bo trenerka nie wspomniała, że jej też.

Nigdy do końca nie doszedł do tego, jak z nią rozmawiać, nawet gdy jeszcze pracowali razem w klubie, nauczył się jednak szanować jej dziwactwo. Ramona powiedziała mu kiedyś, że Zackell może i nie pasuje do Björnstad, ale że na pewno nie ma miejsca, do którego pasowałaby bardziej, bo gdzie umieścić taką właśnie trenerkę? „W drużynie w takim mieście, gdzie ludzie wmawiają sobie, że w życiu są rzeczy ważniejsze niż hokej?”

– Słyszałam, że zrezygnowałeś z funkcji dyrektora sportowego – mówi nagle Zackell.

Peter nie może się powstrzymać i wybucha takim śmiechem, że echo niesie się po całym kościele.

– Przed... dwoma laty, tak.

– Aha – słyszy w odpowiedzi.

– Serio? Dopiero się o tym dowiedziałeś? Technicznie rzecz biorąc, byłem twoim szefem. – Peter się uśmiecha.

– Przeważnie zauważam, że ktoś odchodzi, gdy zastępuje go ktoś inny. Ale ciebie nikt nie zastąpił. Myślałam, że poszedłeś na urlop – odpowiada niewzruszona Elisabeth.

Śmiech Petera szybko cichnie i jest w tym trochę wstydu. Klub nie ma już dyrektora sportowego, zarząd i Zackell dzielą się jego dawnymi obowiązkami służbowymi, a jeśli się weźmie pod uwagę, że Zackell i tak miała gdzieś, co Peter uważał o jej metodach pracy, to nie dziwne, że jego nieobecność łatwo było przeoczyć. Próbując zmienić temat, mówi:

– Słyszałem, że przedłużono ci kontrakt. Gratulacje!

– Jeśli to jakiś pozytyw. Wszyscy trenerzy w końcu zostają zwolnieni – odpowiada Zackell. Jeśli byłaby typem żartującym, to Peter pomyślałby, że właśnie zażartowała.

– Ciekawa reakcja na nową umowę. – Były dyrektor sportowy się uśmiecha.

Kilku młodych chłopaków w czarnych kurtkach zaczęło składać krzesła w końcowych rzędach, ale Zackell niewzruszenie siedzi na swoim.

– Jaka jest najlepsza praca, jaką możesz sobie wyobrazić jako trener hokeja? – pyta po chwili. I jeśli byłaby typem pogrywającym z ludźmi, to Peter pomyślałby,

że właśnie z nim pogrywa.

– Trener drużyny NHL – mówi Peter.

– A która drużyna jest najlepsza w NHL?

– Ta, która wygrywa Puchar Stanleya – odpowiada Peter z lekką rezerwą.

Zackell kiwa głową z nieco zaskakującą jak na nią cierpliwością.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat szesnastu różnych trenerów wygrało ten puchar. Z tych szesnastu tylko trzech miało tę pracę jeszcze pięć lat później. Dwóch zrezygnowało dobrowolnie, jeden przeszedł na emeryturę, jeden się rozchorował. Pozostałych dziewięciu zostało zwolnionych, pięciu z nich w ciągu dwóch lat. Z najlepszych trenerów na świecie tylko trzem z szesnastu udało się zachować pracę przez pięć następnych lat, po tym, jak zdobyli najbardziej prestiżowy tytuł świata. Wiesz, jak długo będę w Björnstad, jeśli zostanę na cały kontrakt, który właśnie podpisałam?

– Pięć lat? – zgaduje Peter.

– Pięć lat! Tak więc oczywiście czeka mnie zwolnienie. Albo nie wygramy w tym roku serii i zostanę zwolniona za to, albo też wygramy i przejdziemy do wyższej dywizji, a potem nie wygramy tam i zostanę zwolniona właśnie ze względu na to. Zawsze jest jakiś powód, żeby zwolnić trenera. Sam powinieneś to wiedzieć, zwolniłeś przecież Sunego, żeby zatrudnić mnie, tylko dlatego, że jestem kobietą.

– To nie... czekaj... to nie było TAK... – zaczyna protestować Peter, ale Zackell jedynie wzrusza ramionami.

– To był błąd. Z zatrudnianiem kobiet jest taki problem, że to bardzo poprawne politycznie posunięcie, ale już ich zwolnienie uważa się za cholernie politycznie niepoprawne.

– Zwolnienie ciebie? Klub nie miał takich wyników od lat! – wyrzuca z siebie Peter i zaczyna rozumieć, dlaczego Ramona zawsze była już mocno wstawiona, gdy zaczynała rozmowę z Elisabeth w Futrze.

W tym momencie Zackell się podnosi i kieruje do wyjścia, w przelocie, jakby mimochodem, dodając:

– Jadę się jutro przyjrzeć jednemu zawodnikowi. Chcesz jechać ze mną?

Peter próbuje na szybko przetworzyć informację.

– Co? Jutro? Nie masz jutro treningu z drużyną?

– Dadzą sobie radę. Trenerzy są mocno przereklamowani. Wszystkie drużyny wygrywają jedną trzecią meczów i przegrywają jedną trzecią meczów, serię wygrywa ta, która odnosi sukcesy w ostatniej jednej trzeciej. A wiesz, która to?

– Nie?

– Ta, która ma najlepszych zawodników. Dlatego właśnie jadę przyjrzeć się jednemu zawodnikowi. Poza tym i tak jestem wykluczona, więc tak czy siak nie mogę być na treningu.

– Wykluczona? Za co?

– Do zarządu wpłynęła na mnie skarga. Złamałam jakąś zasadę z tej ich nowej deklaracji wartości. Jeśli dzieje się tak w przypadku zawodnika, to zostaje on wyłączony z treningu, więc upierałam się przy tym, by w moim wypadku też tak się stało. To co, jedziesz jutro czy nie?

– Co... czekaj... jaka skarga na CIEBIE wpłynęła?

– Jakaś kobieta zwróciła się do mnie, twierdząc, że trenerzy z drużyny chłopięcej powiedzieli, że wszyscy zawodnicy w drużynie jej syna są beznadziejni i że może jeszcze jakoś dałoby się to przeżyć, gdyby wśród mam pojawiających się na treningach były jakieś ładne, ale wszystkie są brzydkie – wzdycha znudzona Zackell. – Odpowiedziałam jej, że w ten sposób absolutnie nie można mówić. Bo tak naprawdę to nie wszyscy zawodnicy są beznadziejni!

– I nie przyjęła tego tak, jak sobie założyłaś? – pyta dla pewności Peter ze zrezygnowaną miną.

– Nie. Strasznie się wkurzyła. A potem powiedziała, że trener od chłopców twierdzi, że jest zła, ponieważ dawno nikt jej nie przeleciał, bo jest brzydka, ale wtedy już się wtrąciłam, że może to wcale nie ma związku z jej wyglądem, a chodzi po prostu o osobowość. No więc zarząd wszczął wobec mnie „postępowanie”, bo najwyraźniej popełniłam wykroczenie przeciwko „podstawowym wartościom”. Oczywiście różnica byłaby zasadnicza, gdybym była facetem.

Peter marzy już o tabletkie na ból głowy.

– Czekaj... uważasz, że gdybyś była facetem, to nie byłoby żadnego postępowania?

– Uważam, że jako facet już dawno zostałabym zwolniona. Trenera drużyny chłopięcej wylali od razu.

– Nawet nie wiem, co powiedzieć.

– Mam więc rozumieć, że tak?

– Że co tak?

– Że jedziesz jutro ze mną oglądać zawodnika?

Patrzy niecierpliwie na zegarek, jak ktoś, kto rzeczywiście nie ma czasu do stracenia.

– Ale dlaczego ja? Masz przecież Bobo i... – zastanawia się Peter, ale wtedy Elisabeth mówi coś, z czym trudno dyskutować, a on nie potrafi już wcale:

– Potrzebuję twojej pomocy.

–

„Jeśli mogłaby pani wybrać, to wolałaby pani być ważna czy kochana?” – zapytał Mirę psycholog nie tak dawno temu i od tej pory ją to męczy, nie daje jej spokoju. Siedzi w samochodzie na parkingu przed cmentarzem i rozmyśla o tym, że powinna była odpowiedzieć: „Jeśli mógłby pan wybrać, to wolałby pan, żebym zapłaciła za wizytę czy wsadziła panu te pieniądze tam, gdzie słońce nie dociera?”.

Leo wraca do domu rowerem, Maya idzie z Aną, więc Mira czeka na Petera, z którym właśnie teraz chce rozmawiać całe miasto. Tak jakby wpadła w jakiś tunel czasoprzestrzenny i cofnęła się o kilka lat, znów to on jest kimś, a ona tą, która czeka. Zapomniała już, jak bardzo nienawidziła się za to, że tego nienawidzi.

Przygląda się ludziom przez szybę w samochodzie, wielu z nich ma na sobie bluzy Björnstad Hockey, tak jakby szli na demonstrację, a nie na pogrzeb, i myśli sobie: pieprzeni wieśniacy. Natychmiast czuje wstyd, mimo że nawet nie powiedziała tego na głos, pamięta bowiem, jak nazywała to jej mama: „Najgorsza z chorób: zazdrość. Nieuleczalna!”. Mira chciałaby się cieszyć tak na zawołanie, tak jak ci ludzie. Ekspłodować szczęściem, jak tylko komuś uda się wcisnąć krążek do bramki w grze, w której wszystkie zasady są wymyślone. Zawsze marzyła o tym, by uwielbiać coś poza wszelkim rozsądkiem, wydaje się to uroczą życiową bańką, ta niezłomna wiara, że jest się częścią czegoś większego. Tak jakby hokej

się tym przejmował. A tymczasem ma nas wszystkich totalnie gdzieś, po prostu sobie jest.

Zazdrości kibicom hokejowym tego samego co osobom głęboko religijnym: ślepej wiary. Nigdy nie będzie dla niczego tak ważna, jak ci ludzie są ważni dla siebie nawzajem, za każdym razem, gdy tłoczą się na wspólnej trybunie.

– Mira?

Mężczyzna za szybą wykrzykuje jej imię tak nagle, że Mira aż podskakuje i uderza głową o szybę.

– Frak? Co, do chole... – syczy, co Frak natychmiast przyjmuje jako zaproszenie i wciska swe ogromne cielsko na siedzenie pasażera.

– Cześć – rzuca, jakby to było najzwyczajniejsze na świecie zachowanie.

– Cześć? – odwzajemnia powitanie Mira, podczas gdy Frak zamyka za sobą drzwi i ostrożnie spogląda we wsteczne lustro, czy ktoś go przypadkiem nie widział.

– Przykro mi – mówi Frak, a Mira rozumie go opacznie i poważnym głosem odpowiada:

– Tak... przepraszam... moje kondolencje.

Frak odwraca się w jej stronę.

– Kondolencje?

Mira mruga z poirytowaniem.

– Kondolencje... z powodu Ramony. Wiem, że byliście sobie bliscy.

Głowa Fraka przechyla się z boku na bok.

– Ech, sam nie wiem, przede wszystkim to uważała mnie za wkurzającego głupka i upierdliwego gadułę.

Mira nie może się powstrzymać od śmiechu.

– To akurat zdanie nas wszystkich, Fraczku, ale to nie znaczy, że nie jesteś nam bliski.

Frak tak się rozpromienia, że byłby w stanie wyprodukować wystarczająco dużo prądu, by zastąpić sto wiatraków energetycznych, które rząd tak bardzo chciałby wybudować na każdym z okolicznych wzgórz. Nikt nie używa jego prawdziwego imienia, wszyscy nazywają go Frakiem, ale tylko niewielkiemu wybranemu gronu

pozwała się nazywać Fraczkciem. Najbardziej lubi właśnie tę ksywkę. Wyjątkową. Taką jak on.

– No, no, chciałem z tobą o czymś porozmawiać! – mówi po chwili tonem gdzieś pomiędzy „pomówmy o problemach całego świata” a „na świecie nie ma żadnych problemów”.

– Chodzi o to nowe biuro, które nam zaproponowałeś? Nie mam siły o tym dyskutować, Fraczkku. Boże... moja współpracowniczka wolałaby mieć biuro w jakimś większym mieście daleko stąd, a Peter w Björnstad, Hed to był kompromis i muszę...

Ale Frak już kręci głową na znak, że nie o to chodzi.

– Nie, nie, ja nie o tym. To znaczy... oczywiście nadal możecie dostać to biuro! Wszystko już załatwione! Ale to nie o tym chciałbym z tobą porozmawiać. Chodzi o... To dość delikatna sprawa, sama rozumiesz... nie chciałbym zabrzmieć niegrzecznie. Ale Ramona siedziała w zarządzie Björnstad Hockey i... tak. No wiesz.

Mira wzdycha tak głęboko, że ma wrażenie, że jej klatka piersiowa nigdy ostatecznie nie wróci już na miejsce. No pewnie! No pewnie! Zawsze przecież chodzi o klub hokejowy, nawet teraz, zanim Ramona zostanie złożona do grobu, już trzeba ją wymienić.

– Rozumiem. Jeśli jednak chcecie, żeby Peter zajął jej miejsce, to nie ze mną musicie rozmawiać. Idź i z nim rozmawiaj. Nie mo...

Przez głowę przelatuje jej tyle obrazów, tysiące zdjęć krótkich chwil, całe wspólne życie z mężem. Z mężem. Jej mężem. Ile jeszcze jest go do podziaku? Jeśli znów odda go hokejowi, czy zostanie coś dla niej? Czy ich małżeństwo to przetrwa? Kolejny raz? Ma ochotę to wszystko wykrzyczeć naraz, ale Frak już potrząsa głową.

– Nie. Nie. To nie tak. To znaczy dokładnie tak, ale nie TAK. No więc: mamy wolne miejsce w zarządzie. Ale nie chcemy go dać Peterowi. Tylko tobie.

Początkowo nic nie mówi. Potem szok przejmuje nad nią całkowicie kontrolę, tak że prawie uderza Fraka w twarz. Zaraz potem zaczyna krzyczeć.

– O czym... serio... o czym ty, do diabła... o czym ty GADASZ?! Dlaczego niby chcielibyście w zarządzie właśnie MNIE?

Ucisza ją zawzięcie, co tylko wzbudza jej podejrzenia, nie jest lepiej, gdy pyta:

– A dlaczego nie? Kto równie dobrze zna to miasto i ten klub jak ty?

Długo patrzy na niego skonfundowana, mrużąc oczy, gdy nagle dociera do niej, o co w tym wszystkim chodzi, i czuje się jak idiotka.

– Zrobiliście coś głupiego. I potrzebujecie jakiegoś prawnika. Dlatego do mnie przychodzisz.

Broda Fraka drga niespokojnie na prawo i lewo.

– Nie obrażaj mnie, a przede wszystkim nie obrażaj siebie – prycha. – Jakiegoś prawnika? Mógłbym załatwić ze stu prawników, jakbym chciał! Ale ich nie potrzebujemy. Potrzebujemy najlepszego prawnika. A nie znam nikogo lepszego niż ty.

W deszczu pochwał ustać jest jeszcze trudniej niż podczas burzy. Mira aż się czerwieni, gdy zamiast odpowiedzieć mu, żeby się zamknął, pyta:

– Dlaczego?

– Media grzebią w naszej księgowości – przyznaje potulnym głosem i spogląda w lusterka wsteczne.

– Media? Z jakiego powodu?

– Żadnego, żadnego! To tylko lokalna gazeta i jej nowa redaktorka naczelna, którą rozpiera wielkomięjska arogancja. Myśli pewnie, że dostanie jakąś pieprzoną nagrodę, jeśli odkryje „tajemnice hokejowych miasteczek”. Wiesz, jak jest.

Milknie i wygląda, jakby się wstydził, choć jedynie przez krótką chwilę, ale Mira doskonale wychwytyje, co prawie jej mówi. Wysłuchiwała tego od lat, odkąd przeprowadziła się tu z Peterem, zawsze wszyscy faceci w mieście się oburzali, dlaczego lokalna gazeta „pisze jedynie negatywne rzeczy o hokeju?”, gdy w rzeczywistości prawie zawsze wychwalała ich pod niebiosa. „Dlaczego hokej musi być zawsze najgorszy?” – zastanawiali się wtedy, tak jakby należeli do narażonej na krytykę mniejszości, „jazda konna ma wypadki śmiertelne, lekkoatletyka skandale pedofilskie, klubami piłkarskimi rządzą dyktatury... ale w oczach mediów to hokej jest najgorszy!”. Ci faceci zawsze postrzegają się jako ofiary, zawsze prześladowani i zagrożeni spiskami. Tak jakby to nie oni sami

ustalali reguły tej gry, zawsze i wszędzie. Frak przestał tak mówić przed dwoma laty, a przynajmniej w towarzystwie Miry, ale z pewnością nadal uważa się nad hokejem, używając swojego ulubionego powiedzonka, że „w aktywności fizycznej za dużo jest sportu”, gdy wokół niego w pomieszczeniu są tylko faceci, a członkowie klubu powstrzymują sponsorów przed samowolką w podejmowaniu decyzji. Najbardziej chcieliby chyba, żeby o wynikach w tabeli na koniec sezonu przesądzał wyciąg z konta. „Takich jak oni trzeba uderzać tam, gdzie ich najbardziej zabolą: po portfelach” – mawiała Ramona. W sumie to jedna z ostatnich rzeczy, które pamięta w związku z nią. Pogarda w stosunku do Fraka nie powinna być więc dla niej żadnym problemem. Ani odesłanie go z kwitkiem. Ale Frak mówi:

– Miro, moja droga, prawnik w zarządzie byłby dla nas dobry, tak tylko mówię. Nie mamy problemów, no ale wiesz, gdy gmina podnosi teraz temat połączenia obu klubów, albo nawet utworzenia całkiem nowego, to ci pieprzeni dziennikarze zaczynają grzebać, no a wiesz, jak to jest: jak tylko znajdą jakąś małą, nic nieznaczącą nić, to zaraz sobie jeszcze zwiną cały kłębek! Dobrze by więc było mieć prawnika w zarządzie. Żebyś mogła sprawdzić wszystkie nasze dokumenty, tak dla pewności. Klub nie może cię zatrudnić bezpośrednio, to nie wyglądałoby dobrze, ale jeśli chodzi o pieniądze, to już się porozumiałem z innymi sponsorami, że w następnych latach oddamy twojej firmie całą opiekę prawną przy budowie Björnstad Business Center. To będzie świetna fucha, obiecuję! Ale może moglibyśmy się zobaczyć jutro u ciebie w domu i porozmawiać o tym bardziej konkretnie? Byłoby lepiej niż u was w biurze, tylko dwoje przyjaciół rozmawiających prywatnie. Gdyby ktoś nas zobaczył.

Mira nie patrzy mu w oczy. Za bardzo się wstydzi, gdy próbuje przekonać samą siebie, że interesuje ją to, o czym mówi Frak, bo na końcu tej mowy jest lukratywny kontrakt dla firmy. To nieprawda. Prawdziwą ciekawość wzbudza w niej ciąg dalszy:

– Ale to musi zostać między nami. Nie mów o tym nikomu. Nawet Peterowi.

Mirę oczywiście zalewa fala wstydu, ale poza tym delikatnie odurza ją myśl, że pozna najciemniejsze sekrety klubu hokejowego. Że w końcu, chociaż raz, będzie znała tajemnice tego miasta przed wszystkimi innymi. Może po prostu chce się nacieszyć tą chwilą. Czy to coś złego? Czy jest okropną osobą? Nawet nie chce o tym myśleć. Zamiast tego pyta:

– „Gdyby ktoś nas zobaczył”? Co masz na myśli? Kto miałby nas zobaczyć?

Zdjęcia

Telefon na biurku redaktorki naczelnej brzęczy od wiadomości od jej ojca. Pochyla się i widzi, że nic nie napisał, wysłał jedynie trzy zdjęcia z pogrzebu: pierwsze przedstawiające Petera Anderssona wchodzącego do kościoła z najbardziej znanym chuliganem Björnstad Hockey. Drugie, jak wychodzi z kościoła z trenerką Björnstad Hockey. A trzecie Fraka wysiadającego z samochodu Miry Andersson.

Ojciec nie musi nic pisać, bo córka doskonale wie, co by powiedział: jakim cudem rodzina Anderssonów może twierdzić, że nie ma teraz żadnych powiązań z Björnstad Hockey?

Rodzina Anderssonów to jest Björnstad Hockey.

Kłamstwa

– Jesteś jakoś jutro w domu? – pyta niewinnie Mira.

Po fakcie przyjdzie jej do głowy, że największy błąd, który popełniają, gdy się kłócą, wciąż pozostaje ten sam: wycofują się, zamiast wyciągnąć rękę, podnoszą głos, zamiast opuścić gardę, stają się pamiętliwi, zamiast zachować uważność. Jednak ich najgorszy grzech, najcięższy ze wszystkich, jest taki, że nie mówią całej prawdy, a potem wmawiają sobie, że to nie to samo co kłamstwo.

– Dlaczego pytasz? Masz jakieś plany? – dopytuje Peter, równie niewinnie.

Z pogrzebu wracali do domu w ciszy, nie trzymając się za ręce, on położył wszystkie dziesięć palców na kierownicy, a ona zajęła się czymś w telefonie. Teraz ona przesadza kwiaty w salonie, a on w kuchni piecze chleb. Gdyby opowiedziała o tym swojemu psychologowi, to stary piernik pewnie nabawiłby się tętniaka z podniecenia: Peter obsesyjnie coś tworzy, a Mira desperacko próbuje utrzymać coś przy życiu. Gdy przychodzi do kuchni, by przynieść sobie wody, mijają się przy zlewie, on ma na rękach drożdże, a ona ziemię, zadają niewinne pytania i otrzymują niewinne odpowiedzi. W tak prosty sposób kłamstwo przypieczętowuje kłamstwo:

– Nie, nie, tak się tylko zastanawiałam. Myślałam, żeby... popracować z domu. Mogę więc odwieźć Leo do szkoły, jeśli masz jakieś plany! – rzuca Mira.

– Ach? Tak, byłoby dobrze. Mam jedną sprawę do załatwienia, w sumie prawie odmówiłem, ale... ech, to takie głupie, nic wielkiego... ale Elisabeth Zackell spytała mnie, czy nie pojechałbym z nią przyjrzeć się jednemu zawodnikowi... – Peter bada jej reakcję, patrząc na nią ukradkiem.

– Tak?

– Hm. Myślisz, że to głupie?

– Nie, nie, wcale tak nie myślę! Po prostu się zdziwiłam.

Peter rozsiewa więcej mąki na kuchennym blacie.

– Ale jak już mówiłem, to jakaś drobnica. Nawet nie klub prosi, tylko sama Zackell, co najmniej jakbyśmy się... kumplowali.

Mira wsadza doniczkę pod kran. Świetnie gra niewzruszoną.

– No to myślę, że powinieneś jechać.

Peter zagniata ciasto. Gra prawie tak samo dobrze jak żona.

– Serio?

– Jeśli potrzebuje twojej pomocy, to dlaczego miałbyś jej nie pomóc?

– No tak. W sumie racja. Jedziemy tam i z powrotem tego samego dnia i będę w domu wieczorem. Tak będzie okej? Czy jestem potrzebny w biurze?

Trochę zbyt niecierpliwie oczekuje na przyzwolenie. Mira daje mu je nieco za szybko.

– Nie, nie, damy sobie radę. Jedź, nie ma problemu.

Peter kiwa głową z wahaniem.

– W takim razie.

– Tak – potwierdza Mira.

Peter wmawia sobie, że mówi prawdę, mimo że nie całą, nie opowiada przecież, jak bardzo ma nadzieję, że to początek drogi powrotnej do klubu. Nie wspomina, że znów marzy o hokeju, bo to życie, które teraz mają, mu nie wystarcza. Nie potrafi się przyznać, że potrzebuje się czuć potrzebny, że bycie ważnym jest dla niego ważne. Piecze więc w ciszy chleb i wkłada brytfanki do pieca. Bang, bang, bang, dokładnie tak to brzmi.

Mira ze swojej strony również wie, że powinna mu opowiedzieć wszystko, o czym mówił jej Frak, że dostała propozycję zajęcia miejsca w zarządzie, ale wmawia sobie, że teraz jest przede wszystkim adwokatką. Nie żoną. Patrzy więc tylko na ziemię spływającą do zlewu, zanim wyciągnie nową doniczkę, wysypie jej zawartość i zapełni naczynie na nowo. Grzebie. Milczy.

Wrzask

Wszyscy tutaj są ze sobą ściśle powiązani, najmocniej w wątkach, których nawet nie widzimy. Gdy po fakcie wspomnimy te dni, zauważymy może czarną ironię w tym, że Ramona, która znała tak wiele osób i miała wpływ na nie wszystkie, podczas pogrzebu najmocniej wpłynęła na ludzi, których nawet nigdy w życiu nie spotkała. Ponieważ wszyscy w Björnstad tego dnia ją oplakują, nikt nie pracuje, co oznacza, że w fabryce muszą zwołać pozostałych pracowników z Hed, by wypełnić luki zmianowe. Jedna z nich, młoda dziewczyna, która przed kilkoma godzinami skończyła swoją zmianę, wchodzi właśnie na kolejną. Jej matka odradza jej to przez telefon, ale pieniądze za niedzielny dodatek są zbyt kuszące, by odmówić.

– Zwłaszcza że mamy tyle do kupienia – mówi młoda kobieta.

– Bądź tylko ostrożna, nie przemęczaj się, teraz to szczególnie ważne, byś dbała o własne ciało! – nawołuje matka, a dziewczyna wywraca oczami, ale mimo wszystko obiecuje.

Maszyna, za którą dziś odpowiada, jest stara, zmiana przed nią zgłosiła w niej rano usterkę, ale nikt nie zdążył jej tego przekazać. Dziewczyna czuje zmęczenie, mdli ją i nieco kręci się jej w głowie. Audytor z fabryki będzie później zadawał tysiąc pytań w tym temacie, próbując sprawić, by wyglądało to jak jej błąd. Prawda jest jednak taka, że serwisanci nie mogli się tu dostać po burzy, a przełożeni nie chcieli ryzykować zastoju w produkcji, sfalszowali więc protokół naprawczy i dopuścili maszynę do użytku.

Zawsze mają przy niej pracować dwie osoby w parze, ale w związku z brakami kadrowymi dziewczyna trafia tam dziś sama. Przedstawiciel do spraw bezpieczeństwa i higieny pracy jest skonfliktowany z pracodawcą w tylu innych sprawach, że nikt nawet nie myśli o tym, że awaryjny wyłącznik położony jest zbyt daleko, by do niego sięgnąć, gdy pracuje się samemu i gdyby coś się zacięło. Nikt, kto słyszy wrzask, nigdy go już nie zapomni.

Kumple z drużyny

Po pogrzebie dwaj hokeiści, którzy nie weszli na ceremonię, czekają po drugiej stronie ulicy. Obaj chcą w jakiś sposób wyrazić szacunek wobec Ramony, ale jeden jest zbyt nieśmiały, a drugi się wstydzi, żaden z nich nie mógł się więc przemóc, by wejść do środka. Dopiero gdy ponownie otwierają się drzwi kościoła i ludzie zaczynają z niego wychodzić, zawstydzony zauważa, że nieśmiały stoi dwadzieścia metrów od niego, i podchodzi.

– Cześć – mówi Amat.

Gęba kiwa lekko głową. Usta poruszają się w cichej odpowiedzi, ale nie wydobywa się z nich żadne słowo. Stoją obok siebie z rękami w kieszeniach i patrzą na kościół.

– Nie... miałem siły wejść do środka. Wszyscy pytają tylko, czy będę jeszcze grał w hokeja – rzuca cicho Amat. Przy Gębie czuje nagle, że może mówić swobodnie.

Gęba kiwa głową, a w jego oczach widać, że rozumie, Amat nie wstydzi się już dłużej i pyta:

– Może potrenujemy dziś razem? Jak w zeszłym roku? Muszę wrócić do formy. Nie wiem, czy Zackell przyjmie mnie z powrotem do drużyny, ale muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym grać. Muszę... muszę mieć możliwość znowu grać, czaisz?

Gęba przytakuje. Dlatego, że rozumie, i dlatego, że naprawdę chce z nim trenować. Dawniej nienawidził tych błyskawicznie poruszających się nadgarstków, łyżew potrafiących zmienić kierunek w powietrzu i strzałów, które nadchodziły znikąd w połowie ślizgu, lecz teraz naprawdę brakuje mu wyzwań. Hokej musi być trudny.

– Może zapytamy dozorcę, czy moglibyśmy wejść na lód któregoś wieczoru? Albo możemy pograć na jeziorze, jeśli niedługo zamrznie – proponuje Amat.

Kiwnięcia głową Gęby stają się żarliwsze. To też jest język.

—

Benji wybiera tylne wyjście i drogę za kościołem, z kapturem kurtki naciągniętym na głowę, niczym kot przemykający, jak tylko ma odwagę, niechący ryzykować, że ktoś go zauważy, w nadziei, że nikt go nie zatrzyma ani nie będzie chciał rozmawiać o hokeju. Dlatego też to wyjątkowe szczęście, że w środku głuchego pomruku cichych rozmów setek żalobników udaje mu się rozpoznać dźwięk galopujących sportowych butów w rozmiarze czterdzieści osiem i dzięki temu zdążyć ugiąć nieco kolana i zaprzeć się piętami w śniegu, tak że Bobo nie łamie mu kręgosłupa, rzucając się na niego z uściskiem niczym nad wyraz wyrośnięty pies, któremu nadal się wydaje, że jest szczeniakiem.

— BENJI! BENJI!!! KURDE, NIE WIEDZIAŁEM NAWET, ŻE JESTEŚ W DOMU! JAK SIĘ MASZ? — wyrzuca z siebie radosna kulka, zanim jeszcze skończy przytulać przyjaciela.

Benji wydostaje się delikatnie z jego uścisku i początkowo go ucisza, ale zaraz potem wybucha śmiechem.

— Serio, Bobo, odkąd wyjechałem, nie robiłeś nic innego poza jedzeniem?

— A ty w ogóle coś jadłeś? W Azji nie ma jedzenia czy co? — Bobo uśmiecha się szeroko, tak szczęśliwy, że przestępuje z nogi na nogę na palcach, zanim znów rzuci się na Benjiego z nowym uściskiem.

— Też za tobą tęskniłem — wzdycha Benji, może brzmi to sarkastycznie, ale to prawda.

Istnieje specyficzny rodzaj miłości, którą nie obdarzą cię koledzy, do której zdolni są jedynie kumple z drużyny.

—

— Amat, Gęba! Patrzcie, kogo tu mamy!

Głos Bobo niesie się wysoko poprzez tłum ludzi, gdy zauważy dwóch innych kumpli z drużyny po drugiej stronie drogi, i natychmiast ciągnie Benjiego w tamtym kierunku. Benji, Amat i Gęba jednomyślnie go uciszają, ponieważ ostatnie, o czym marzą, to zwrócenie na siebie uwagi, a ostatnie, co powinno się zrobić, jeśli nie chce się przyciągać uwagi, to zabrać ze sobą Bobo.

– Do diabła, Bobo, może załatwimy ci megafon, co? Myślę, że nie słyszeli cię jeszcze zmarli! – wzdycha Benji, a Bobo patrzy na niego, nie rozumiejąc ani słowa, ale nadal z przeszczęśliwą miną.

– Może... pójdziemy gdzie indziej? – proponuje Amat, gdy zauważa, że ludzie na cmentarzu rzucają w ich kierunku ciekawskie spojrzenia.

Benji szybko się zgadza, równie chętny na wymknięcie się stamtąd, ruszają więc przed siebie, a po kilkuset metrach wydaje się, że wszystko jest jak dawniej. Czterech chłopaków w mniej więcej tym samym wieku, rozmawiających o hokeju. Benji wskazuje głową brzuch Amata i pyta, czy „trenował coś mocniej ostatnio”, Amat uśmiecha się i odpowiada, że „to skomplikowane”, a zaraz potem pyta, czy Benji też coś trenował, na co Benji rzuca: „Przecież mnie znasz, wypoczywam w formie”. Cała czwórka wybucha śmiechem, po czym Bobo dostaje esemesa, a zaraz potem kolejne dwa i Benji z Amatem zaczynają się z niego nabijać, że chyba znalazł sobie dziewczynę, nie będąc wcale przygotowanymi na to, że rzeczywiście tak się stało.

Tess pisze, że jej rodziców nie ma w domu i że jeśli Bobo ma ochotę się z nią zobaczyć, to może przyjechać. „Musimy tylko wymyślić coś, co na jakiś czas zajmie moich braci” – pisze Tess, więc Bobo odwraca się do Amata, Benjiego i Gęby, a potem z największymi i najbardziej naiwnymi oczami w całym lesie pyta:

– Mogę was prosić o przysługę?

Jacy kumple z drużyny mogliby w tej sytuacji powiedzieć „nie”?

–

Bobo mówi, że idzie po „furę”, więc spodziewają się czegoś normalnego, dlatego gdy wraca, żeby zgarnąć Benjiego, Amata i Gębę, przyjaciele nie mogą się już dłużej powstrzymać:

– Co to... jest? Kamper? – pyta Amat, przenosząc wzrok z jednego końca niebywale długiego grata, który wygląda na co najmniej sto lat, na drugi.

Bobo kiwa głową, szczęśliwy.

– Tak! Dostałem go od ojca. A on od kogoś ze swojej drużyny łowieckiej. Wszyscy myśleli, że już po nim, ale go naprawiłem, wszystko po trochu.

– Wszystko po trochu? Przed tobą jeszcze chyba całkiem sporo „trochu”, co? – Benji się uśmiecha, wchodząc do środka.

Kamper jest tak zardzewiały i poobijany, że razem z Amatem całą drogę nabijają się, wyszukując części wyposażenia, które rzeczywiście działają. Przez chwilę myślą, że będzie to schowek przy siedzeniu pasażera, ale w następnej sekundzie Benji trzyma go w dłoni wraz z częścią deski rozdzielczej.

– Ojciec nie miał nic stabilniejszego, co mógłby ci podarować? Na przykład deskorolki na trzech kółkach, co? – zaśmiewa się Benji.

– Serio, Bobo, czyś ty coś ojcu zrobił? Może jest na ciebie zły? Znów podprowadziłeś mu alkohol, co? – śmieje się Amat, a potem opowiada Benjiemu i Gębie o tym, jak kiedyś Bobo wypił Knurowi wódkę i słyszał, że potem trzeba nalać wody do butelki, żeby nie było śladu. Wszystko szło dobrze, dopóki Bobo nie wsadził butelki do zamrażarki, gdzie Knur zawsze ją trzymał, a następnego dnia musiał tłumaczyć ojcu, jakim cudem wódka zamarzała na lód.

Wszyscy oprócz Bobo wybuchają śmiechem, on zamiast tego wygląda na mocno skoncentrowanego, aż w końcu Benji zadaje pytanie, na które praktycznie nigdy nikt nie chce usłyszeć odpowiedzi.

– O czym myślisz, Bobo?

Bobo odpowiada szczerze, bo tylko tak potrafi.

– Myślę o tym, jakie pojebane potrafią być zamrażarki. Załóżmy, że włożymy do nich kawałek mięsa, któremu jutro kończy się data przydatności do spożycia, i zostawimy je na miesiąc, a potem wyciągniemy po tym czasie i ono nadal będzie zdatne do spożycia! To tak, jakby zatrzymać czas! Zamrażarki to wehikuły czasu!

Brwi Benjiego znikają pod grzywką.

– Możesz sobie chodzić po świecie i myśleć, o czym chcesz, a ty... myślisz o czymś takim?

– A ty nie? Nie jarzę, jak wszyscy mogą nie myśleć o tym przez cały czas – odpowiada Bobo z powagą.

Benji i Amat wybuchają śmiechem, Gęba milczy, nie dlatego, że nie docenia dobrego dowcipu, ale dlatego, że jako jedyny dostrzega, dokąd zmierzają. Bobo się zakochał, Amat nie do końca chyba rozumie powagę konfliktu między oboma miastami, a Benji jak zwykle niczego się nie boi. Ale Gęba jest bardzo niespokojny,

bo jadą prosto do Hed, a doskonale wie, co się wydarzy, gdy te chłopaki się tam pojawią.

Dojdzie do bójki.

Piekło

Johnny i Hannah mają właśnie jeden z tych błogosławionych momentów, w których udaje im się skończyć pracę prawie w tym samym czasie. Za każdym takim razem powinni kupować los na loterii. Johnny odbiera żonę ze szpitala, całują się w samochodzie niczym nastolatki, a Hannah śmieje się w głos, jakim to mąż jest durniem, że próbuje czegoś więcej. Mówi mu, żeby ją najpierw zabrał do domu, jak dorosły człowiek, ale autobus nie chce zapalić i wtedy to Johnny ma szczęście, że Hannah dalej jest w nim tak zakochana, bo inaczej nasłuchałby się o wiele więcej niż tylko, że straszny z niego dureń.

Wychodzi z samochodu, żeby sprawdzić, co jest nie tak, i zauważa cztery nieodebrane połączenia na telefonie. W kilka minut? Podnosi go do ucha, by zadzwonić na stację, a w tym samym momencie otwierają się drzwi i Hannah woła:

– Kochanie? Dzwonili po mnie! Muszę wracać!

– Johnny! Potrzebujemy cię w pracy! – Johnny słyszy wołanie w telefonie.

Wzdycha. Hannah również. Uśmiechają się do siebie nad maską samochodu. Udało im się spędzić razem kilka minut, jak zwariowani nastolatkowie. To zawsze coś.

Potem ruszają biegiem.

—

Hala produkcyjna w fabryce w Björnstad od zawsze była politycznym dynamitem. Mogła rozstrzygnąć całe gminne wybory. Przed dwoma laty lokalny polityk Richard Theo ruszył z kampanią, która pozornie dotyczyła bezrobocia, ale naprawdę miała na celu zakorzenienie w świadomości ludzi hasła: „Praca w Björnstad dla mieszkańców Björnstad”. Oczywiście było to w czasach, gdy w fabryce brakowało pracy, teraz raczej brakuje pracowników, ale dobry slogan

zapamiętuje się na zawsze. Personel z Hed nadal podejrzewa, że jest gorzej traktowany za każdym razem, gdy szefowskie stanowisko albo lepsza zmiana trafia do kogoś z Björnstad zamiast do nich. W takiej sytuacji bardzo łatwo też zinterpretować to, co dziś przydarza się tej młodej kobiecie, jako coś całkiem innego niż wypadek.

Jest z Hed. Pracownica, która zwykle obsługuje tę maszynę, pochodzi z Björnstad. Przebywa teraz na macierzyńskim, ale pracownik, który ją zastępuje, również jest z Björnstad, więc był dziś na pogrzebie Ramony. Tak więc młoda dziewczyna z Hed zastępowała zastępcę, w maszynie zgłoszono usterkę, którą ukrył zestresowany przełożony, sam również z Björnstad.

Łatwo wtedy przypomnieć sobie słowa Richarda Theo. Praca w Björnstad. Mieszkańcy Björnstad.

Młoda pracownica nie wie, dlaczego maszyna się zacina. Woła kolegów, by pomogli jej wyciągnąć materiał, ale nikt nie ma czasu. Dziewczyna boi się, że czekając na pomoc, pogorszy sobie wyniki produktywności w nowym zautomatyzowanym systemie mierzenia wydajności pracownika. Próbuje więc na własną rękę. Maszyna rzeździ, ale włącza się na nowo, gdy dziewczyna nie jest na to przygotowana, i w jednym okropnym wdechu wciąga ją pod żelazo i koła zębate. Słychać trzask łamanych kości. Dopiero po chwili, gdy płuca w końcu łapią powietrze, ciałem wstrząsa przerażający krzyk. I wtedy ma się wrażenie, że już nigdy się nie skończy.

—

Po fakcie więcej będzie się mówić o bójce niż o samym wypadku, o tym, co później zrobili mężczyźni, niż o tym, co przydarzyło się tej młodej kobiecie. Strażacy musieli rozciąć maszynę, by ją wyciągnąć, kobieta jest ledwie przytomna z bólu, ale zdaje się, że rany nie zagrażają jej życiu. Dopiero gdy jej braciom, również pracującym w fabryce, udaje się przebić przez tłum ludzi, do Johnny'ego dociera, dlaczego również Hannah wezwano do szpitala.

– Ona jest w ciąży! W ciąży! – krzyczą histerycznie bracia.

Karetka nie zatrzymuje się po drodze przed niczym ani nikim, wóz strażacki jedzie zaraz za nią, a dalej bracia w swoim samochodzie, syreny odbijają się w lesie ogłuszającym echem. Gdy docierają do Hed, całe miasto zamiera.

– Z drogi! Z DROGI! odsunąć się! – krzyczy Hannah, wybiegając przez drzwi wejściowe szpitala, i robi miejsce dla personelu karetki.

Johnny jednym susem wyskakuje z jadącego jeszcze wozu i odsuwa na bok braci, by nie przeszkadzali.

Gdy nosze z kobietą wjeżdżają do szpitala, a za nią znika cały personel medyczny, na asfalcie zostaje plama krwi. Bracia stoją bezsilni i tylko się na nią gapią. Mniej więcej w tym samym czasie na parking wjeżdża mały samochód z dwoma młodymi chłopakami w środku. Wrostkami o naiwnych spojrzeniach i z zarostem jeszcze tak słabym, że nie oparłby się frotowemu ręcznikowi. Nie mają pojęcia, co się wydarzyło. Nawet nie pracują w szpitalu, tylko na budowie zaraz obok, ale puszczają nieco za wesołą muzykę, a przy wstecznym lusterku dynda mały misiek w zielonej koszulce hokejowej. To wystarczy. Bracia odbierają to jako prowokację, bo tak desperacko jej potrzebują, jakiegokolwiek.

Bójka wybucha nagle, nawet Johnny nie zdąża rzucić się na czas między nich. Zanim pozostali strażacy zdołają dobiec, dwaj młodzi budowlańcy z Björnstad leżą na ziemi obok swojego samochodu pobici i przerażeni na śmierć. Strażacy pomagają im się podnieść i otrzepują ich ubrania, ale jest już za późno, by ich uspokoić. Młodzi mężczyźni wskakują do samochodu i w panice odjeżdżają w stronę Björnstad, po drodze dzwoniąc do kolegów, by im opowiedzieć, co się wydarzyło. Kilku z nich pracuje w fabryce. Chwilę później samochód dziewczyny jednego z braci zostaje zdewastowany na fabrycznym parkingu. Na tylnej szybie widnieje niewielka naklejka Hed Hockey.

Gdy wszystko się wali, to dzieje się to bardzo szybko.

–

Świat nigdy nie wydaje się większy niż wtedy, gdy w ramionach trzyma się maleńkiego człowieka. Człowiek nigdy nie czuje się bardziej niekompetentny niż wtedy, gdy dociera do niego, że nagle jest czyimś rodzicem i nikt nie zamierza go przed tym powstrzymać. „Ja? – wybucha człowiek, gdy położna oznajmia, że można już jechać do domu – przecież ja nie mam pojęcia, co robić! Macie mi zamiar pozwolić zajmować się innym człowiekiem?”.

Prawie wszyscy rodzice pamiętają, jak na początku nosili swoje pierwsze dziecko. Jak wolno prowadzili samochód w drodze do domu. Jak niezrozumiałe wydawało się wszystko, gdy siedziało się nieruchomo w ciemności tylko po to, by być całkiem, całkiem, całkowicie pewnym, że to maleńkie pomarszczone stworzonko jeszcze oddycha. Maciupieńka klatka piersiowa podnosząca się i opadająca o jeden jedyny milimetr i krótki jęk przez sen od czasu do czasu, albo jedynie jakieś świszczące westchnienie, które natychmiast stawiało człowieka na nogi i powodowało samotne powolne piruety wokół dziecięcego łóżeczka. Serce ściskające płuca, gdy pięć maleńkich paluszków chwyta za nasz i już nie chce puścić.

Praca położnej jest o tyle specyficzna, że jeśli wykonuje się ją perfekcyjnie, to niemal natychmiast musisz zaczynać cały proces od nowa; żegna się jedną rodzinę i natychmiast wita kolejną, nie mając nawet czasu na to, by je lepiej poznać. To może właśnie największa niesprawiedliwość tego zawodu: że dzieci i mamy, które zajmują więcej czasu i które człowiek zdąży poznać, zawsze są przypadkami tragicznymi.

Co Hannah powiedziała Anie w lesie przed kilkoma dniami? „Trzeba się cieszyć tymi szczęśliwymi zakończeniami, za każdym razem, gdy ma się ku temu okazję”. Hannah ma nadzieję, że jej dusza miała już okazję odpocząć we łzach szczęścia i w oddechach noworodków wystarczającą liczbę razy, bo inaczej sama już nie wie, jak dziś przetrwa.

Na dwóch końcach szpitala leżą dwie kobiety. Jedna z nich urodziła podczas burzy w lesie i wkrótce pojedzie do domu w Björnstad ze swoim maleńkim Vidarem. Synek zapamięta go jako swój dom z dzieciństwa, z trawnikiem do zabawy i niewielkimi ścieżkami, na których nauczy się jeździć na rowerze. Z bitwami na śnieżne kule, meczami hokejowymi, pierwszym złamanym sercem i pierwszą wielką miłością. Całe życie. Ta druga kobieta zostanie przetransportowana do większego szpitala, gdzie przejdzie operację wielokrotnego złamania kości, a gdy już w końcu będzie mogła wrócić do domu do Hed, to bez dziecka, którego się spodziewała. Wózek dziecięcy, na który się uparła, mimo że jej partner uważał, że jest zbyt drogi, i który kupiła za dodatek do niedzielnej pracy, stoi w korytarzu, a ona pęka z rozpaczy. Za kilka tygodni jej partner znajdzie w schowku karton z dziecięcym łóżeczkiem, o które tyle marudziła, że jeszcze nie zdążył go złożyć, i wybuchnie takim płaczem, że będzie miał wrażenie, że rozrywa

mu żebra. Do końca życia na wystawach sklepów sportowych będą widzieć o jeden rower za dużo. O jedną parę łyżew za dużo. Sto tysięcy przygód i drzew do wspinaczki, i perfekcyjnych kałuż do skakania za dużo. Milion niezjedzonych lodów. Nigdy nie będą w wolne poranki budzeni za wcześnie, nigdy nie będą nikogo upominać „cicho!” przy rozmowie telefonicznej, nigdy nie położą na kaloryferze malutkich rękawiczek. Największy strach, najmniejszy człowiek – to wszystko już nigdy nie będzie ich.

Fabryka popełni błąd i w jutrzejszym wydaniu gazety nazwie to „wypadkiem”, ale w Hed wszyscy powiedzą, że tak to się może nazywać tylko tam. W Hed nazywa się rzeczy po imieniu: „wypadek śmiertelny”. Wkrótce przy śniadaniu i w pokojach socjalnych zaczną się szepty o tym, że gdyby to była ta kobieta z Björnstad, ta, która powinna była stać przy tej maszynie, ta, która urodziła zdrowe i szczęśliwe dziecko i nazwała je po jednym z najgorszych chuliganów Björnstad Hockey... to politycy w pogoni za winnym już dawno wyróciliby fabrykę do góry nogami.

Może to i nieprawda. Ale tak trudno się z nią nie zgodzić.

—

Hannah i Johnny muszą dziś zostać dłużej w pracy, więc Tess odbiera najmłodszego brata od kolegi. Początkowo chłopiec nieprzerwanie trajkuje o różnicach pomiędzy superbohaterami, a zaraz potem gładko przechodzi do głęboko filozoficznych pytań typu: „Dlaczego wszyscy uważają, że jest się nagim, gdy ma się na sobie tylko skarpetki, ale już nie, gdy ma się na sobie majtki, przecież ma się wtedy na ciele tyle samo materiału?”. Siostra jest jednak zbyt zajęta telefonem, by go słuchać. Tobias i Ted dołączają do nich w połowie drogi i wspólnie zaczynają planować obiad. Tata powiedział Tobiasowi, że mogą zamówić pizzę, za co oberwie mu się potem od mamy, ponieważ ona sama już zdążyła powiedzieć Tess, że wcale im nie wolno jeść pizzy, ale Tess odniesie się do tego, że Ted powiedział, że Tobias powiedział, że tata powiedział, że im wolno, a mama będzie zbyt zmęczona, żeby się kłócić o informacje z drugiej i trzeciej ręki, tak więc na obiad będzie pizza. Czasami fajnie mieć trójkę rodzeństwa, można ich wtedy używać do odwracania rodzicielskiej uwagi.

– Słuchasz czy nie? – pyta Tobias, ponieważ Tess cały czas pisze coś w telefonie, ale zdaje się, że nie jest to jego niezwykle specyficzne zamówienie z serem ekstra, superpodpieczonym spodem, ale bez oliwek i tylko czerwona papryka, absolutnie nie żółta, i tak dalej, i tak dalej.

– Mhm – odpowiada siostra, ale Turemu udaje się dojrzeć kawałek ekranu jej telefonu i od razu krzyczy:

– Pisziesz esemesy! Z kim? I dlaczego z serduszkami?

Tobias i Ted wytrzeszczają oczy, tak jakby jaszczurza skóra siostry przez przypadek wysunęła się spod człowieczego przebrania.

– SERCA? Do kogo, kurde!?

Tess, która niekoniecznie należy do najbardziej uczuciowych esemesowców, czerwieni się na twarzy zarówno ze wstydu, jak i ze złości.

– Im dłużej nie będzie was to obchodzić, tym dłużej będziecie żyć!

Gdyby tylko Tobias i Ted mieli odwagę, to wyrwaliby jej telefon z rąk, ale nawet Tobias nie podchodzi tak swobodnie do swojego zdrowia i życia. Ture natomiast jest jeszcze za mały, by zrozumieć, jak bardzo zła może być starsza siostra, gdy już postanowi się zezłościć. Wspina się więc na nią i na moment miga mu przed oczami ekran telefonu.

– Bobo! Wysyła esemesy do tego BOBO!

Tedowi udaje się złapać młodszego brata, gdy Tess, odwracając się, odpycha go na rosnący obok krzak, a Tobias odskakuje na bok, gdy widzi, że siostra zaczyna się trząść i na oślep kopać nogami. Oddycha szybko i wszyscy trzej bracia odsuwają się od niej z rękami do góry.

– Przepraszam, przepraszam... – szepcze Ture.

– Tylko się wygłupialiśmy... – potwierdzają Tobias i Ture.

Telefon wibruje jej w dłoni. Raz, drugi, aż w końcu spogląda na to, co napisał Bobo. Nawet wtedy, mimo że jest tak cholernie wkurzona, że mogłaby pochować węże w szufladach z bielizną braci, nie może się powstrzymać od uśmiechu.

– Umiecie dochować tajemnicy? – pyta.

Oczywiście, że nie potrafią. Ale obiecują, że naprawdę, naprawdę spróbują. Bo gdzieś głęboko, pod całym tym nabijaniem się z niej, kochają ją i po raz pierwszy widzą, że jest zakochana.

Strzał

Bobo zatrzymuje kampera przed domem rodzinnym Tess i jest tak podenerwowany, że przez przypadek trąbi, gdy wyłącza silnik.

– Nieźle, Bobo! Superdyskretnie! – Benji się uśmiecha, a Bobo czerwienieje na twarzy.

W okolicy jest niezwykle spokojnie jak na niedzielę. Utrzymują się minusowe temperatury, nikt więc nie kosi trawy, ale jeszcze nie wyciągnięto odśnieżarek, większość sąsiadów siedzi w domu i przygotowuje się na polowanie na łosie. Nawet psy zdają się mieć dziś wolne.

Ted i Tobias stoją w niewielkim ogródku z boku domu i strzelają do bramki na rampie, którą razem z ojcem zbudowali, jeszcze gdy byli mali. Ted strzela, jakby to był finał mistrzostw świata, Tobias tak, jakby już miał tego dość, ale nie mógł pozwolić, by brat wygrał pojedynek. Ted nie zwraca nawet uwagi na kampera, ale Tobias zauważył go już z daleka kątem oka. Zamiera, gdy widzi, że jako pierwszy wysiada z niego Benji. Piętnastolatek nie trzyma kija jak sprzętu sportowego, ale jak broń.

– Co on tu, do chuja, robi? – wyrzuca z siebie, najpierw zły, a potem przestraszony.

Zgodził się na to, by siostra zaprosiła do domu tego Bobo, ale nie wspomniała o innych, a już z pewnością nie o tym psychopacie Benjaminie Ovichu. Tobias oglądał wszystkie mecze pierwszej drużyny z trybuny stojącej i doskonale wie, kto to jest, tutaj w Hed nazywano go po prostu „numerem 16”, tak jakby był jakimś eksperymentem genetycznym. Wszyscy w Hed byli przeszczęśliwi, gdy przed dwoma laty skończył z hokejem i się stąd wyniósł, Tobias również, bo nienawidzili go tak bardzo, jak tylko kibice mogą nienawidzić kogoś, kogo we własnej drużynie by uwielbiali. Przychodzi mu teraz do głowy, że to pułapka. Benji przyjechał, żeby go zabić, to zemsta za wczorajszą bójkę w hali lodowiska.

Benji po pogrzebie zdjął białą koszulę i włożył jedyną bluzę, jaką Bobo miał w samochodzie, oczywiście zieloną z niedźwiedziem na plecach, tak więc to pierwsze, co Tobias widzi. Chłopiec ma tylko piętnaście lat, Benji dwadzieścia, ale od razu rozpoznaje jego ciało i to, jak bardzo jest przygotowane na ewentualne problemy. Sam ma takie samo. Przez kilka sekund młody mężczyzna i nastolatek mierzą się wzrokiem, i nawet jeśli Tobias jest wysoki i umięśniony jak na swój wiek, to trzyma kij w sposób, który od razu zdradza, jak niewielkie ma szanse w ewentualnym pojedynku.

W tym momencie z samochodu wyłania się Bobo i Tess woła go z kuchennego okna głosem, jakiego młodszy brat nigdy wcześniej u niej nie słyszał. Uścisk na kiju się rozluźnia. Zaraz potem z samochodu wysiadają Gęba i Amat i dopiero wtedy Ted podnosi wzrok, a oczy błyszczą mu nieskrywanym podziwem.

– Tobbe! Tobbe! To... to jest... widzisz? To... on... Amat! To Amat! – szepcze na tyle głośno, że dosłownie wszyscy słyszą, co mówi.

Tobias wypuszcza powietrze w jednym długim jęku w stronę brata i czuje, że puls powoli się uspokaja. Nie spuszcza jednak z oczu Benjiego, który rozbawiony całą sytuacją, zapala papierosa.

Bobo wyciąga z bagażnika duży pleciony kosz piknikowy. Tylnych drzwi grata nie da się już potem zamknąć, ale Bobo najwyraźniej to nie przeszkadza. Tess wybiega z domu, tak jakby musiała zmuszać nogi, by nadal poruszały się po ziemi i nie uniosły jej w powietrze. Robią wszystko, co mogą, by nie rzucić się sobie w ramiona przed jego przyjaciółmi i jej braćmi. Tess zaprasza go do kuchni, Bobo od razu zadaje masę pytań, o nią i o dom, i o rodzinę. Nie jest do tego przyzwyczajona, w jej przekonaniu chłopaki chcą tylko jednego, więc po chwili pyta, co przyniósł w koszyku. Bobo pokazuje. Makaron, mięso, jarzyny, bulion i śmietanę. Tess wybucha śmiechem, myśląc, że jednak mimo wszystko miała rację, chłopaki naprawdę chcą tylko jednego.

Ugotować obiad.

—

Amat dostrzega oczywiście, jak Ted na niego patrzy, jak dziecko na swojego idola. Zwykle tego nienawidzi, jeszcze nie tak dawno temu zawróciłby do samochodu

i kazał się odwieźć do domu, ale nie jest już supergwiazdą. Arogancja to teraz luksus.

– Chcesz zagrać? – pyta zamiast tego.

Wmawia sobie, że to ze względu na trzynastolatka, ale jeśli ma być całkiem szczerzy, to sam ma ochotę zagrać. Lepsze to niż gadanie.

Ted nie jest w stanie nic z siebie wydusić i jedynie kiwa głową, grają więc, Ted wraz ze swoim idolem. Gęba bez słów pokazuje małemu Turemu, jak ma stanąć na bramce. Z siedmiolatkami właśnie to jest najfajniejsze, nie wymagają dialogu. Ted wykonuje strzał z nadgarstka i Amat miękko go poprawia, jak powinien zgiąć kolano i skąd zebrać siłę. Gdy sam strzela, Ted, Ture i Gęba tylko otwierają usta.

– Jak ty to robisz? To jak uderzenie pioruna! – Ted ledwie łapie oddech.

Amat nie może mu spojrzeć w oczy, mamrocze tylko:

– To kwestia treningu. Twój strzał jest teraz lepszy niż mój, gdy byłem w twoim wieku.

Boże drogi, to chyba cud, że klatka piersiowa Teda nie wybucha w tym momencie z ekscytacji. Spędził na tej rampie tyle godzin, że kiedyś jedna wścibska sąsiadka zagroziła, że zgłosi Johnny’ego do opieki społecznej, bo irytował ją ciągły hałas i myślała, że rodzice zmuszali biedaka do wystawiania w deszczu i strzelania do krążków cały wieczór. Hannah musiała się do niej wybrać i wyjaśnić, że MARZYŁABY o tym, żeby Johnny’emu udało się zmusić młodego do czegośkolwiek, bo wtedy może udałoby się go zmusić również do tego, żeby w końcu przyszedł do domu coś ZJEŚĆ! Obsesja Teda pochodzi z wewnątrz. I nic nie da się na to poradzić.

Gdyby rzeczona sąsiadka wyjrzała teraz przez okno, to pewnie zmieniałaby zdanie, bo któregoś dnia będzie się mogła chwalić, kto był jej sąsiadem. Ted i Amat śmieją się w głos, grając na rampie. Amat wygrywa większość rund, ale Tedowi udaje się zwyciężyć w jednej i wtedy rusza przez cały ogród z uniesionymi rękami i Turem na plecach, tak jakby wygrali cały świat. Przybijają sobie z Amatem piątkę. Któregoś dnia może nawet zagrają razem w NHL.

Tess i Bobo chichoczą w kuchni i tak zaczyna się miłosna historia. Na zewnątrz inne. Niektóre z nich całkiem niegłupie.

—

Podczas gdy inni strzelają na rampie, Benji opiera się o ścianę domu i zapala drugiego papierosa w ciągu pięciu minut.

– Masz zamiar walnąć mnie tym kijem czy jak? Jeśli nie, to może jednak go odłożysz, bo mam pewne obawy, że możesz sobie nim niechcący wybić oko – zwraca się spokojnym tonem do Tobiasa.

Piętnastolatek dopiero teraz dostrzega, że nadal trzyma w zaciśniętej dłoni kij hokejowy niczym pałkę, szybko go opuszcza i przechyla przeproszająco głowę.

– Sorry. Sorry. Ostatnio było tyle zamieszania z ludźmi z Björnstad. Gdy wysiadłeś z samochodu w tej bluzie, pomyślałem, że o kurka... teraz to będzie...

– Za słabo się czuję na bijatykę – przyznaje Benji.

– Kac? – dopytuje ostrożnie Tobias, bo Benji się poci, mimo że przy zerowej temperaturze ma teraz na sobie tylko podkoszulek.

– Na kacu biję się bez problemu. Tylko na trzeźwo gorzej – prycha Benji, który nie pił, odkąd przyjechał do domu, i naprawdę zaczyna odczuwać, jak jego ciało załamuje się w proteście.

W tym momencie przez uchylone kuchenne okno dobiega do nich śmiech Tess i Tobias ze zdziwieniem podnosi głowę, niczym surykatka wychylająca się ze swej norki.

– Tess SIĘ ŚMIEJE?

– Normalnie tego nie robi?

– Tylko gdy ja albo Ted coś sobie zrobimy.

Gdy Tess dostaje kolejnego napadu chichotu, Benji się uśmiecha.

– Coś mi się wydaje, że Bobo opowiedział jej właśnie, jak to dużo rozmyśla o tym, że zamrażarki to wehikuły czasu. Czasami nie masz wyboru i albo śmiejesz się z niego, albo z nim.

– Wehikuły czasu? – powtarza Tobias.

Benji kręci głową z rezygnacją.

– Zapomnij. Zbyt wiele do opowiadania. Ile lat ma twój brat? – Wskazuje głową na Teda.

– Dwa lata młodszy. Trzyście – odpowiada Tobias.

– TRZYNAŚCIE? Czym wy go karmicie? Rottweilerami? Jest wielki jak stodoła!

Tobias kiwa dumnie głową.

– Jest zajebisty w hokeja. Będzie lepszy od Amata.

– Lepszy od starszego brata? – pyta zaczepnie Benji i zadziwia się, gdy Tobias natychmiast odkrzykuje:

– Już jest. Tylko jeszcze tego nie wie.

Benji strzepuje popiół z papierosa i wygląda, jakby prawie chciał poklepać Tobiasa po ramieniu.

– Powinieneś zagrać dla Zackell, naszej trenerki w Björnstad.

– To Ted powinien dla niej zagrać, nie ja.

– Nie, właśnie ty. Ona lubi zawodników, którzy rozumieją swoje ograniczenia.

Do Tobiasa dociera, że to komplement, za bardzo jednak nienawidzi Björnstad i ma zaledwie piętnaście lat, więc nie wie, jak go przyjąć.

– Szkoda tylko, że cała wasza drużyna to banda skurwysynów i pedałów! – wrywa mu się dlatego instynktownie. Natychmiast ze wstydu ma ochotę wybić sobie z gęby każdego zęba, oczywiście o ile zaraz nie zrobi tego Benji.

Ten jednak nawet nie rusza się z miejsca. Odpowiada tylko:

– Nie jesteśmy skurwysynami. Ale co do reszty możesz mieć rację.

– Sorry... nie chciałem... – Tobias się zacina.

Przed dwoma laty, gdy wszyscy w Björnstad i Hed właśnie się dowiedzieli, kim jest Benji, Tobias kibicował na trybunie stojącej podczas meczu, w którym spotkały się obie drużyny. Pamięta, co krzyczeli w stronę Benjiego. Jak rzucili na lód dilda. Jemu i pozostałym tak łatwo było potem tłumaczyć, że hokej tak działa, wyszukuje się najslabszy punkt przeciwnika, właściwie nikt nie traktuje tego osobiście. Ani rasistowsko, ani seksistowsko czy też homofobicznie. Każdy chce po prostu wygrać. Ta wymówka wydaje mu się jednak szczególnie głupia, zwłaszcza gdy facet, którego obrzucali wyzwiskami, stoi teraz przed nim. Benji uśmiecha się szeroko i mówi:

– Sami jesteście skurwysynami i pedałami. Tylko jeszcze tego nie wiecie.

Tobias śmieje się z ulgą w głosie, wdzięczny, że nadal ma wszystkie zęby. Zbiera się na odwagę i pyta:

– To prawda, że kiedyś sam powaliłeś czterech przeciwników naraz?

– Kto tak powiedział?

– Ojciec. Jesteś jedynym zawodnikiem Björnstad, którego kiedykolwiek lubił. Tak mi się wydaje. Ale nigdy by się do tego nie przyznał.

Benji zapala nowego papierosa.

– Chyba było ich trzech. I żaden z nich nie umiał się bić na lodzie. Więc się nie liczy.

– Mógłbyś mnie nauczyć? Bić się na lodzie?

Benji pali papierosa i przez kilka chwil nienawidzi się za to, że wrócił tu, do tego lasu, gdzie jest tylko tym. Kimś zdolnym do przemocy. Kimś, kogo należy się bać.

– Myślisz więc, że twój brat zajdzie tak samo daleko jak Amat? A ty? – Benji zmienia temat, by nie musieć odpowiadać na wcześniejsze pytanie.

– Nie za daleko. Może do pierwszego składu Hed, jeśli nie wejdą do wyższej dywizji, bo wtedy to się raczej nie załapię. No i jeśli nie, no wiesz, nie zamkną całego klubu.

– Dlaczego nie mógłbyś zajść dalej?

– Nie jestem taki jak Ted. Jestem taki jak ty.

– Jak ja?

Ted czerwieni się na całej szyi.

– To znaczy... nie gej, to nie... ja. Nie żeby to było coś złego, tylko, to znaczy, mam na myśli jako... zawodnik. Nie chcę mieć aż tyle hokeja, ile trzeba, żeby być aż tak dobrym. Nie żyję dla hokeja. Nie tak jak Ted.

Benji wybucha śmiechem, tak że aż się krztusi.

– Myślisz, że tak było ze mną?

Tobias przytakuje, nadal nieco zawstydzony, ale całkowicie pewny siebie.

– Gdyby tak nie było, to nadal byś grał. Bez względu na to, co byśmy wykrzykiwali na ciebie z trybun. Gdybyś rzeczywiście kochał hokeja, to nic by cię nie powstrzymało.

Benji wywraca oczami, gasi papierosa i zaczyna sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu kolejnego.

– Ożeż, Zackell naprawdę by cię uwielbiała...

Tobias próbuje przyjąć to jako komplement, naprawdę próbuje.

W środku w kuchni Bobo przygotowuje obiad i zadaje pytania, bo mama go nauczyła, że to są dwa najlepsze sposoby, by oczarować dziewczynę: „bo nie są

przyzwyczajone do żadnego z nich”. Bobo wie, że poza tym nie ma za wiele do zaoferowania Tess, liczy więc, że to wystarczy. Nie myli się.

Gdy śmiech Tess znów dobiega do ogrodu, Tobias przygląda się Benjiemu, jeszcze nieco ostrożnie, a potem pyta z poważną miną:

– Jest w porządku? Ten Bobo? Wiem, że to twój kumpel. Ale czy to... okej chłopak?

Benji również ma starsze siostry, więc rozumie pytanie. Dlatego odpowiada:

– Z pewnością możesz znaleźć kilku lepszych, ale pewnie, kurde, i wielu gorszych. To najmilszy i najbardziej lojalny człowiek, jakiego znam. Ale serio? Co twoja siostra w nim widzi, to serio, kurwa, nie wiem.

Tobias myśli długo, a potem odpowiada ze spuszczonego wzrokiem:

– Zapewne to, że jest taki normalny.

– A to dobrze? – pyta zdziwiony Benji.

Tobias oddycha przez nos, przesuwa kijem przy sznurówkach butów.

– Ona nie chce wyjątkowego życia, tylko takie... normalne. Nasz ojciec jest strażakiem, mama położną, całe dzieciństwo słyszymy, że wychowują nas bohaterowie. Tacy, którzy biegną w ogień. Ale Bobo nie jest bohaterem i moja siostra chyba to widzi. On nie pobiegnie w ogień, tylko do niej.

Tobias milknie zawstydzony, gdy dociera do niego, jak głupawo to może brzmieć. Benji przeczesuje dłonią zmierzwiłone włosy i uśmiecha się niepewnie. Żaden z nich nie czuje się swobodnie w ciszy, która nastąpiła, więc Benji rozgląda się dookoła i na podjeździe przed garażem dostrzega nie większy niż metr kwadratowy kawałek lodu, powstałego z wody wyciekłej z przebitego węża ogrodowego. Idzie w tamtym kierunku, Tobias za nim. I nagle Benji znikąd, bez zapowiedzi, chwytą go jednym ruchem za bluzę tak gwałtownie, że chłopiec traci równowagę i się wywraca. Benji łapie go w ostatnim momencie i mówi:

– Musisz uważać na to, jak stawiasz nogi. Użyj mojego ciężaru przeciwko mnie.

Potem uczy go, jak się bić na lodzie. Lepszego nauczyciela Tobias nie mógłby znaleźć.

—

Kawałek dalej, na rampie, Ted w końcu zbiera się na odwagę i pyta:

– Jak było na drafcie?

Gęba stoi w bramce i pokazuje właśnie Turemu, jak powinien się ruszać, jeśli chce być bramkarzem, ale gdy słyszy pytanie, spogląda z obawą na Amata. Jest pewien, że nikt wcześniej nie odważył się go zadać tak otwarcie jak ten trzynastolatek z marzeniami zbyt wielkimi na jego klatkę piersiową. Amat wykonuje jeszcze jeden strzał i odpowiada zamyślony:

– Wszyscy byli najlepsi. W domu spotykasz dobrych zawodników, może kogoś w serii albo na jakimś obozie czy coś w tym stylu. Ale wszyscy, których spotkasz na drafcie, są NAJLEPSI tam, skąd pochodzą. I gotowi na niego całe swoje życie. To... presja... niesamowita presja. Tylko w taki sposób umiem to wyjaśnić. Nigdy w życiu nie czułem większej. Jakbym się dusił.

Ted strzela krążkiem. Opiera się o kij.

– Mój ojciec mówi, że presja to przywilej. Jeśli się jej nie czuje, to znaczy, że nigdy w życiu nie zrobiło się nic na tyle ważnego, żeby inni ludzie mieli wobec ciebie jakieś oczekiwania.

– Może chciałbyś być moim agentem na kolejnym drafcie? – Amat się uśmiecha.

– Za kilka lat ty możesz być moim agentem! – wyrzuca z siebie Ted i jest to najbardziej bezczelna rzecz, jaką kiedykolwiek komukolwiek powiedział.

Zawstydzona się nieziemsko i Amat naprawdę to docenia, bo ma wrażenie, że słyszy w nim siebie. Pamięta grę w hokeja, zanim jeszcze zaczął grać w hokeja dla innych. Kolejny krążek wylatuje w powietrze z takim świstem, że prawie rozrywa siatkę w bramce.

– Tak mocno nie nauczę się strzelać, nieważne, ile bym trenował – szepcze podekscytowany Ted.

– Nie musisz już więcej trenować, wystarczy, że zaczniesz mniej myśleć – odpowiada Amat.

–

Kumple z drużyny z Björnstad opuszczają dom w Hed w dobrych humorach. Bobo całuje Tess w policzek tak ostrożnie, że Benji aż pomrukuje:

– Widziałem ludzi, którzy z większą namiętnością zaklejali koperty.

Bobo robi się prawie fioletowy na twarzy, a Gęba wybucha wtedy gromkim śmiechem. Nigdy wcześniej nie miał paczki kolegów, nigdy w życiu nie spędził dnia tak po prostu, włączając się godzinami i niewiele robiąc. Brak zobowiązań to dla niego nowość, śmiech również, dlatego pewnie właśnie opuszcza nieco gardę i kiwa głową, gdy Bobo proponuje, że podwiezie go do domu.

– Widzimy się jutro na treningu! – woła jeszcze za nim Bobo, gdy wysadzają go przed domem, niestety tak głośno, że na każdym ganku na ulicy zapala się światło.

Kamper rusza w stronę Björnstad, Gęba wchodzi do domu, ale już za późno, wszyscy zdążyli bowiem zobaczyć, kto go odwiózł. Chwilę potem ktoś rzuca kamieniem w okno mieszkania jego mamy. Zapisanej czerwonym pisakiem wiadomości od miejscowych kibiców może i brakuje polotu, ale działa:

„Judasz! Giń!”

Młódzież

Dziś w szpitalu zmarło dziecko. Zawsze znajdą się ludzie, którzy będą twierdzić, że to nie dziecko, dopóki się nie urodzi, ale Hannah jakoś nigdy nie potrafiła się pogodzić z tą myślą. Żałoba jest przecież ta sama, poczucie winy również, jeśli wszystkie dzieci są twoimi dziećmi, to wszystko zawsze dzieje się z twojej winy.

Późnym wieczorem siedzi przy kuchennym stole w domu w Hed, wyczerpana i wyzuta z łez, w końcu tylko pusta w środku. Koleżanka podrzuciła ją po pracy do domu i po drodze nie zamieniły ani słowa, Hannah przez cały czas myślała wyłącznie o tym, jak Ture miał cztery albo pięć lat i zapytał ją: „Mamo, a czy w niebie człowiek się starzeje?”. Hannah początkowo nie zrozumiała pytania, więc sfrustrowany syn zapytał inaczej: „Czy nadal obchodzi się urodziny, jeśli jest się martwym?”. Gdy Hannah przyznała, że nie wie, szepnął zdruzgotany: „Co dzieje się w takim razie z dziećmi, które umierają jeszcze w brzuchach, jeśli nigdy nie dorastają? Czy nigdy nie będą się bawić? Nawet w NIEBIE?”.

To była jedna z tych chwil, w których szczególnie mocno odczuła, że wszystko z Turem jest po raz ostatni. Ostatnie dziecko. Ma już czwórkę i to naprawdę wystarczy, oj, naprawdę wystarczy, ale mimo to... coś się zmienia, gdy człowiek zaczyna rozumieć, że to już nie jest jego wybór. Dzieci nigdy nie pozwolą ci zapomnieć, że się starzejesz. Ture ma teraz siedem lat, Tess siedemnaście, wszystko z nim to rzeczy, które Hannah jako matka robi po raz ostatni, a wszystko z nią to te, które jako matka robiła po raz pierwszy. „Małe dzieci, małe problemy, duże dzieci, duże problemy” – usłyszała kiedyś od koleżanki, gdy Tess dopiero co się urodziła, ale to nieprawda. Tylko błędy stają się większe. Jej własne.

Kładzie czoło na stole. Miała ciężki dzień, to niestety nie jest żadne wytłumaczenie, bo przecież sama zawsze mówi do dzieci: „W tej rodzinie nie próbujemy zrzucić z siebie winy”. Nasze własne nakazy są zawsze najtrudniejsze do wypełnienia. Tess trzasnęła drzwiami i zniknęła wiele godzin temu, kłótnia potoczyła się tak szybko i Hannah zdaje sobie sprawę, że wszystko było jej winą.

Wróciła zmęczona ze szpitala, bolały ją stopy i płuca, a nawet skóra, a wtedy tak łatwo wybuchnąć. Zaczęło się od tego, że na podjeździe do garażu znalazła gumową listwę, która wyglądała, jakby odpadła z jakiegoś samochodu. Pewnie nie myślałaby o tym za wiele, gdyby nie sąsiadka, ta wścibska sroka, która zawsze marudzi, że Ted za dużo gra na rampie, nie przybiegła pędem ze swojego ogrodu, by jej donieść, że jej dzieci, doprawdy, miały „imprezę” całe popołudnie. Pewnie i to by odpuściła, bo Tobias i Ted oczywiście wszystkiemu zaprzeczyli. Ale Ture, choć już wystarczająco duży, żeby wiedzieć, że nie można zdradzać tajemnic, okazał się jeszcze za mały, by nie dać się przekupić czekoladą. Hannah szybko wydobyła z niego, kto ich dzisiaj odwiedził i dlaczego, i że Tess ma chłopaka, z którym była sama w domu, podczas gdy chłopcy bawili się w ogrodzie. Oślepią złością, strachem i iluzją zdrady mama natychmiast ruszyła na górę.

Długi dzień to żadna wymówka, ale jedną z najbardziej niesprawiedliwych rzeczy, gdy ma się trójkę rodzeństwa, pozostaje to, że sposób, w jaki jest się wychowywanym, zawsze bazuje na oczekiwaniach. Tak więc Tess została ukarana, bo przyzwyczała rodziców do tego, że jest tą porządną, na której zawsze można polegać, tą, o którą mama nigdy nie musi się martwić. A Hannah wparowała do jej pokoju z najgorszym możliwym rodzicielskim tekstem:

– Spodziewałam się po tobie więcej, Tess!

To tylko metoda na powiedzenie nastolatce, że powinna się postarać, by do następnego razu obniżyć stawiane jej oczekiwania. W głębi duszy Hannah to wie, ale to jeden z tych momentów, który przytrafia się prawie każdemu rodzicowi, gdy zaczynamy krzyczeć i nie możemy przestać. Rozczarowanie własnymi dziećmi jest zawsze rozczarowaniem samym sobą, a niczego nie hamuje się tak wolno jak tego. Tak więc Hannah nakrzyczała na córkę, zupełnie nieprzygotowana na to, że sama dostanie burę.

– Nawet się nie zapytałaś, co się wydarzyło! – wydarła się Tess i od razu pożałowała, że nie powiedziała tego, co naprawdę chciała powiedzieć: że mama nie zapytała, co córka czuła.

Bo mama powinna wiedzieć. Wszystko o prawdziwej miłości wyniosła z domu.

– Nie muszę się pytać! Miałaś się zająć braćmi, a zamiast tego sprowadziłaś sobie do domu chłopaka! I to w dodatku z BJÖRNSTAD! Nie wiesz, co się dziś wydarzyło? W szpitalu była regularna bójka, mogliście... – krzyknęła mama, ale córka natychmiast się odcięła:

– GDYBY TED ALBO TOBBE PRZYPROWADZILI DO DOMU DZIEWCZYNY, TO TYLKO BYŚ SIĘ UCIESZYŁA, ALE NA MNIE SIĘ WYDZIERASZ? WYDAJE CI SIĘ, ŻE JESTEM TWOJĄ WŁASNOŚCIĄ CZY CO?

Hannah będzie się potem tłumaczyć, że była zbyt zmęczona, żeby się wycofać i przeprosić, ale niestety była też zbyt dumna. Matki i córki potrafią się ranić w zupełnie unikatowy sposób, pewnie dlatego, że córki często są powodem wyrzutów sumienia matek, i w końcu kłócą się o grzechy, których nigdy nawet nie popełniły.

– Tobiasz i Ted nie mogą zająć w ciąży! – syknęła Hannah, czym automatycznie postawiła się w pozycji, której, budząc się w środku nocy, będzie żałować przez lata.

Krzyk dzieci to nigdy nie jest ich najlepsza broń, o wiele lepiej działa cisza. Rodzice mają przewagę, dopóki dzieci same tego nie zrozumieją.

– Masz o mnie tak niskie mniemanie? – szepnęła Tess.

Minęła matkę i zeszła po schodach. Hannah, zawsze taka pewna, że nie musi się o nią martwić, zareagowała dopiero, gdy na dole usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Początkowo nie dotarło do niej, co się właśnie wydarzyło. Drzwi nie otworzyły się ponownie, córka nie wróciła, a gdy Hannah w końcu zbiegła po schodach i wyszła na podjazd, już jej nie było.

Teraz więc Hannah siedzi sama w kuchni ze swoimi wyrzutami sumienia. Johnny jeszcze nie wrócił do domu, Ted i Ture nie mają nawet odwagi zejść na dół, więc wysyłają Tobiasza. Oczywiście. To dziecko, o które zawsze najbardziej się martwiła i wobec którego zawsze miała najmniejsze oczekiwania.

– Dzwoniłaś do taty i mówiłaś mu, że Tess zniknęła?

Hannah mamrocze z czołem na stole:

– Nie, nie, zwariowałaś? Jeśli jest u Bobo, to ojciec tam pojedzie i...

Powstrzymuje się, zanim powie coś głupiego, syn jednak doskonale wie, co mama ma na myśli. Przez dłuższą chwilę milczy, a potem wzdycha:

– Ten Bobo jest okej, mammo. Nawet miły. I ją uwielbia.

– To nie o to chodzi... – broni się mama, ale gdy słyszy, że brzmi jak własna matka, słowa grzęzną jej w gardle.

Tobias nie siada przy kuchennym stole, dotyka tylko palcami jej ramienia i mówi:

– Co tata zwykle mówi o hokeistach? To coś o smyczy?

Hannah gryzie się w policzek i mamrocze:

– „Najlepszych trzeba puścić wolno i mieć do nich zaufanie, bo jeśli będzie się ich blokować, przegryzą smycz i znikną na wieki...”.

– Tak samo jest z Tess, mammo – przekonuje syn.

Hannah kładzie dłoń na jego palcach, syn przytula ją mocno, z całej siły.

– Chcesz mi powiedzieć, że właśnie tracę córkę, tak?

Tobias nie jest jeszcze taki mądry, by to wiedzieć, ale na tyle mądry, by nie skłamać, więc jedyne, co matka dostaje, to cisza i jego nos wtulony w jej szyję.

–

Nie ma lepszego życia niż w młodości. Takiej miłości jak ta pierwsza.

Kamper wjeżdża do Niecki i Bobo i Benji wysadzają Amata przed domem. We wszystkich hokejowych szatniach, w których dorastali, słyszeli, jak ważne jest to, by „grać swoją grę” i „sterować meczem”. Nie stać i nie czekać, aż coś się wydarzy, tylko samemu działać.

Amat doskonale wie, że powinien to teraz odnieść do własnej dumy. Stoi na parkingu w nadziei, że Bobo zapyta go, czy chciałby trenować z drużyną, zamiast po prostu zapytać samemu. Wszystko dzieje się tak szybko, jak pierwszy pocałunek albo ostatnie „przepraszam” do kogoś, kogo właśnie się traci, jeśli nie wykorzysta się tej szansy, to potem całe życie będzie się tego żałowało, zastanawiając się, jak by to mogło być.

Amat nie jest jednak w stanie wydusić z siebie ani słowa, a Bobo za każdym razem patrzy na niego bardziej nostalgicznym wzrokiem, tracąc przy tym nadzieję. Niedługo staną się dorosłymi mężczyznami i ich rozmowy z roku na rok coraz częściej dotyczyć będą wspomnień, a coraz rzadziej marzeń. Kończy się wiek, w którym nadal wszystko jest możliwe.

Bobo podnosi rękę, machając smutno na pożegnanie, Benji przykłada dwa palce do brwi, jakby salutował. Amat kiwa głową. To był fajny dzień, naprawdę fajny

dzień, jeden z ostatnich takich beztroskich.

–

Kamper zawraca i sunie przed siebie. Kilkoro dzieciaków wybiega na ulicę z kijami i piłeczką tenisową, machają do Bobo i wołają w jego kierunku:

– Sprzedajesz lody?

– Kup sobie mercedesa, włóczęgo!

– Nawet pedofile nie mają takich brzydkich samochodów!

Bobo tylko się śmieje, dzieciaki w Niece zawsze były trochę mocniejsze w gębie niż pozostałe, ale Benji opuszcza szybę po swojej stronie i wystawia głowę, a wtedy wszystkie milkną. Tylko raz porządnie szarpie za klamkę, tak jakby próbował się wydostać, i wtedy dzieciaki aż podskakują. Mija sekunda, zanim ich małe serduszka znów zaczynają bić, a Benji i Bobo odjeżdżają, zaśmiewając się do łez. Dzieciaki za nimi natychmiast wracają do przekrzykiwania się, o nie, ja się nie bałem, to TY się bałeś!

– Pamiętasz, jak sami byliśmy tacy mali? – Bobo się uśmiecha.

– Nigdy w życiu nie byłeś, kurwa, taki mały! – Benji wybucha śmiechem.

Bobo musi przyznać, że jest w tym trochę prawdy. Skręca na główną drogę. Nagle dzwoni mu telefon i nawet jeśli próbuje to ukryć, to cała twarz się mu rozpromienia, gdy widzi imię na ekranie. Prawie wjeżdżają do rowu.

– Cześć, cześć. Nie, nic! Teraz? Do mnie? Tak, pewnie... ale co na to twoi rodzice? Nie, pewnie, przyjadę! – trajkocze bez ustanku.

Benji wzdycha, gdy przyjaciel odkłada telefon.

– Jeśli masz zamiar jechać po Tess, to jadę z tobą. Lepiej będzie, jeśli nie pojawisz się w Hed sam, jeśli zamierzasz się przespać z jedną z ich dziewczyn...

– Skąd wiedziałeś, że to ona? – pyta Bobo, a Benji wybucha takim śmiechem, że aż kołysze się cały kamper.

– Miło widzieć cię zakochanego, Bobo. Naprawdę miło. Jesteś tego wart.

– Naprawdę? – szepcze niepewnie Bobo.

– Naprawdę – przytakuje Benji.

Jadą drogą między miastami i odbierają Tess, czeka na nich tam, gdzie kończy się las, a jeszcze nie zaczynają domostwa, nie mogła się już doczekać, żeby opuścić Hed. Mówi jedynie, że pokłóciła się z mamą, i Bobo nie dopytuje, a ona kocha go za to, że zawsze pozwala jej wyjaśnić to, co chce wyjaśnić, i nic więcej. Benji prowadzi w drodze do domu, Bobo siedzi z tyłu z głową Tess wspartą na swoim ramieniu i trzeszczącym szkieletem, który skrywa stanowczo zbyt wielkie uczucia.

– Czy to wszystko dzieje się dla ciebie za szybko? – pyta szeptem dziewczyna.

– Wszystko zawsze dzieje się dla mnie za szybko, nie jestem taki prędko – szepcze Bobo.

– Wybaczysz mi, jeśli będę na ciebie bardzo zła?

– A co zrobiłem nie tak? – pyta zaniepokojony Bobo.

– Nic. Jeszcze. Ale prędzej czy później coś zrobisz, jeśli mamy być parą, ty i ja.

Pod policzkiem czuje, jak jego serce bije niczym młot pneumatyczny.

– Możesz się złościć, ile chcesz, bylebyś mnie nie zostawiła.

– *Deal*^[15] – szepcze Tess.

Jadą potem w pierwszej, najlepszej ciszy w związku. Gdy wszystko staje się bezpieczne. A my to my. Któregoś dnia wezmą ślub i będą mieli własne dzieci, a wtedy Tess powie do Bobo to samo, co jako dziecko słyszała, że jej mama powiedziała do taty: „Jeśli się kiedyś rozwiedziemy, to mam nadzieję, że nie jako przyjaciele. Nienawidzę, gdy ludzie tak mówią. Jeśli się rozwiedziemy jako przyjaciele, to będzie znaczyć, że nie kochaliśmy się wystarczająco mocno, by jeszcze móc się nawzajem zranić. Więc jeśli mnie kochasz, tak naprawdę, to musisz mnie kochać tak bardzo, że aż doprowadzam cię do szaleństwa”. Bobo nigdy nie przestanie jej kochać.

– Bobo? – pyta Benji, gdy mijają sztyld Björnstad.

– Tak?

– Sprzedałbyś mi tego kampera?

– Nie.

– No weź! To totalna kupa złomu, ale, kurde, zacząłem go lubić, jest dokładnie taki jak ja!

Tess się śmieje. Bobo odpowiada:

– Nie możesz go kupić. Ale mogę ci go dać.

– Naprawdę?

– Naprawdę!

Nie ma lepszego życia niż w młodości. Takiej miłości jak ta pierwsza, takich kumpli jak ci z drużyny.

Talenty

Zackell odbiera Petera wczesnym rankiem w poniedziałek. Jej jeep jest zardzewiały, jego dawna kurtka treningowa zrobiła się ciasna, cały świat się zestarzał, odkąd ostatni raz ruszał gdzieś w trasę, by oglądać hokeja.

– A to co? – pyta trenerka i wskazuje na papierową torebkę w jego dłoni.

– Chleb!

– Chleb? – powtarza za nim, tak jakby to słowo było dla niej co najmniej egzotyczne.

Peter proponuje jej kawałek, ale Zackell zamiast tego zapala cygaro. Peter spodziewa się, że trenerka wyjaśni mu, dokąd się wybierają, ale ona najwyraźniej nie widzi takiej potrzeby. Jadą przez półtora cygara, aż w końcu Peter traci cierpliwość:

– Serio? Mam tak siedzieć, a ty nawet mi nie opowiesz, kogo jedziemy oglądać? Jeśli mam ci pomóc, muszę się wcześniej przygotować!

– Nic się nie martw, nie przydasz się na wiele – odpowiada krótko trenerka między dwoma długimi ćmieniami.

Peter marszczy czoło.

– Mówiłaś przecież, że potrzebujesz mojej pomocy.

– Tak? Może i mówiłam. Ale nie potrzebuję. Wystarczy, że jesteś. Możesz się przespać, przed nami jeszcze sześć godzin.

– Sześć GODZIN?

– W jedną stronę.

– Ale ja muszę wracać do domu! – kłamie Peter i od razu się zawstydzia, bo jeśli rzeczywiście musiałby szybko wracać, to w ogóle by go tu nie było.

– Dokumenty leżą z tyłu, jeśli masz ochotę na nie spojrzeć – proponuje Zackell bez choćby najmniejszego sygnału, że jego zdanie będzie miało jakiegokolwiek znaczenie.

Peter się zastanawia, czy ma na tyle odwagi, żeby jej powiedzieć, żeby zawróciła i odwiozła go do domu, ale to byłoby bez sensu. Wzdycha więc i sięga na tylne siedzenie, otwiera dokumenty i unosi brew.

– Czekał no, znam tego chłopaka. Przed kilkoma laty byłem go oglądać, miał... nie, czekał... ten się nazywa Aleksandr, to jednak nie on. Tamten miał na imię...

– To ten sam chłopak. Zmienił imię – informuje Zackell.

Peter przegląda papiery. Racja, to ten sam chłopak. Przed pięcioma laty, gdy skończył piętnaście, był jednym z największych talentów w kraju. Równolatek ze złotą generacją z Björnstad, z Kevinem na czele, Peter przyglądał się więc dokładnie konkurencji w całym kraju. Mieli nawet z Frakiem wzniosły plan, żeby przekonać chłopaka, by wraz z ojcem przeprowadził się do Björnstad, dlatego pojechali na turniej, by zobaczyć, jak gra. Okazało się to kompletnie straconym czasem, bo chłopak nawet się nie pojawił. Drużyna powiedziała, że jest kontuzjowany, ale od dyrektora sportowego innego klubu Peter dowiedział się, że to kłamstwo: „Zostawili go w domu. Talent nie z tej ziemi, silny jak byk, znieśie każdy łomot! Ale nie da się go wytrenować. Rozpuszczony gówniarz z problemami z dyscypliną. Opuszcza treningi, wyklóca się z trenerami, nie podaje do współzawodników, nie przyjmuje instrukcji, nie potrafi grać w drużynie. Wstyd i hańba, zaprzepaści całą karierę”. Dyrektor miał rację, w kolejnych latach chłopaka wyrzucono z trzech różnych drużyn juniorów, wyklócał się i marudził przy każdej sposobności, aż w końcu telefony przestały dzwonić. Teraz ma dwadzieścia lat i jego czas już minął. W każdym pokoleniu jest kilka takich przypadków, Peter zna to z własnego doświadczenia, aż do nastoletniego wieku jadą na wrodzonym talencie, ale jak tylko stawia im się jakieś wymagania, natychmiast się wycofują.

– Zapamiętałem go raczej jako... awanturnika – mówi ostrożnie Peter.

– Sezon zaczyna się za tydzień. Jakby się nie awantuował, to już byłby zajęty – odpowiada Zackell.

Trenerka nigdy nie buduje zespołu, zawsze bandę łobuzów – Peter czuje, że zaczyna go boleć głowa. Gdy jeszcze zajmował stanowisko dyrektora sportowego, to uczucie nie opuszczało go nigdy.

– Nie radziłbym ci go werbować, ale to oczywiście masz gdzieś, więc może opowiedz mi, co w nim widzisz – sugeruje nieco zmęczony, spodziewając się

kąśliwej jak zwykle odpowiedzi. Tym razem Zackell go zaskakuje:

– Panuje błędne przekonanie, że hokeiści podążają za przywódcą. To nieprawda. Oni podążają za zwycięzcą.

– A ten... Aleksandr? Czy to zwycięzca? Czy w jakimkolwiek klubie zagrał miejsce tak długo, by zdążyć coś wygrać? Wydaje mi się, że wyrzucono go z każdego klubu. Uważasz, że my możemy go zmienić?

Zaraz wstydzi się za to „my”, bo słyszy nadzieję we własnej głowie.

– Nie. Zawodników nie da się zmienić. Ale z nim jest wszystko w porządku, po prostu nikt go nie rozumie – odpowiada Zackell.

– Co masz na myśli?

– Wszyscy jego dotychczasowi trenerzy próbowali go oszukać, że hokej to jest sport drużynowy.

–

Frak jest bardzo skrupulatny i rankiem daje o sobie znać każdemu pracownikowi w sklepie. Przechodzi przez magazyn, zadaje pytania i rzuca dowcipami, ściska dłonie i klepie po plecach, mówi głośno i śmieje się jeszcze głośniej. Może i jest szefem, ale nie takim, za którym z natury podążają ludzie, hokej już mu to dobitnie pokazał. Był najlepszym kumplem kapitana drużyny, ale nigdy kapitanem. Musi więc walczyć o swój autorytet, być widzianym i słyszany, musi przypominać wszystkim, kim jest, nawet jeśli niektórzy pracownicy śmieją się z niego, gdy już sobie pójdzie. Najważniejsze, żeby wiedzieli, że jest tu, na miejscu.

Idzie do swojego gabinetu i odczekuje godzinę. Gdy w końcu rusza na spotkanie, wymyka się tylnym wyjściem. W jego pokoju nadal pali się światło, marynarka wisi na haczyku na drzwiach, a telefon leży na biurku, tak jakby po prostu poszedł do toalety. Samochód nadal stoi na parkingu, nadal ze zbitą szybą ponad naklejką Björnstad Hockey. Ma coraz bardziej desperacką nadzieję, że to wystarczy jako temat do rozmów dla lokalnej społeczności i fałszywy trop dla lokalnej gazety. Jeśli tylko uda mu się jeszcze przez jakiś czas skłaniać wszystkich do rozmowy o chuliganach z Hed zamiast o księgowości Björnstad Hockey, to może zdąży rozwiązać wszystkie problemy.

Podwija rękawy koszuli, wsiada na swój stary rower i zaczyna pedałowac w stronę dzielnicy willowej. Sklep i magazyny rozrosły się przez ostatnie lata tak mocno, że wyjechanie z ich cienia zajmuje mu kilka dobrych minut. Dawniej bardziej się tym cieszył, ale od jakiegoś czasu widzi dzieło swojego życia inaczej – nie takie, jakie jest, ale takie, jakie może być. A przede wszystkim dociera do niego, jak łatwo je stracić. Jego jedyną tajemnicą biznesową zawsze był jego optymizm, ale ten go dzisiaj zawodzi. Jeden z jego kontaktów w gminie zadzwonił rano, by opowiedzieć, do jakich dokumentów dokopał się ojciec redaktorki naczelnej. Frak nie jest idiotą, wiedział, że to się może wydarzyć, nie spodziewał się jedynie, że okoliczny dziennikarz może być taki sprytny. Czy też taki wytrwały.

Prawie nikt nie wie, co właściwie znaczy słowo „korupcja”, więc Frak dla pewności sprawdził je w słowniku: „nadużycie państwowej władzy dla prywatnego zysku”. Od tamtego czasu często to sobie powtarzał, cicho, dla siebie samego. Ludzie czasem go oskarżają, że nie ma sumienia, ale on sam, do pioruna, uważa, że nie ma nic innego. Może i „nadużył władzy” i naciągnął tę czy tamtą zasadę, ale czy zyskał coś na tym prywatnie? Nie. Nawet wręcz przeciwnie. Każdego dnia traci pieniądze, sponsorując Björnstad Hockey. Wszystko, co robi, jest dla dobra klubu i społeczności. Tak proste i efektywne są jego odstęstwa od moralności.

Prawie nikt nie wie też, co znaczy słowo „sukces”. Myślą, że to szczyt, który się osiąga, ale Frak wie lepiej, nie istnieje żaden szczyt, jedynie niekończące się zbocze. Albo się na nie wspinasz, albo zostajesz ściągnięty i skopany w dół. Jeśli po drodze zatrzymasz się chociaż na chwilę, by popodziwiać widoki, ktoś silniejszy i głodniejszy sukcesu zajmie twoje miejsce. Tak działa prowadzenie przedsiębiorstwa, budowanie społeczności i hokej. Nowy mecz, nowy sezon, nowa bitwa o wejście do wyższej dywizji albo spadek. Walka nigdy się nie kończy. Przez cały czas musisz znajdować tysiąc małych sposobów, żeby utrzymać się przed wszystkimi innymi.

Kiedy już wystarczy? Kiedy człowiek stwierdzi, że ma dość? I dlaczego wciąż jeszcze to robi? Może nigdy, może dopiero na własnym pogrzebie, może dlatego, że chce, by jego życie miało jakiś sens, a to jedyna rzecz na świecie, przy której się czuje, że ma się jakiś wpływ.

„Te pieprzone dupki nigdy niczego nie kochały” – powiedziała raz Ramona, gdy w telewizji zobaczyła kibiców z jakiegoś dużego miasta, których najwyraźniej bardziej interesowało jedzenie hot dogów i popcornu niż sam mecz. „Mają to

gdzieś, nigdy nie tracą panowania nad sobą, bo nic nie jest dla nich aż tak ważne, nie ma dla nich nic świętszego niż ich własny obraz w lustrze” – dodała, a Frak wie, że wiele osób tu, w Björnstad, patrzy na niego w ten sam sposób. Może nawet Ramona też tak o nim myślała. W sumie to się z tym pogodził, ktoś musi odgrywać rolę dupka, dokładnie jak wtedy, gdy sam grał w hokeja i wbijał wszystkich w bandę, by Peter i pozostałe gwiazdy mogły błyszczeć na lodzie. Czasem jednak czuje, że jedyne, co dostaje w zamian, za całą swoją pracę, to niewdzięczność, i chciałby, żeby ktoś w końcu zapytał, co prywatnie zaryzykował, by uratować Björnstad Hockey. Tak żeby mógł odpowiedzieć: „Wszystko”. Na bagażniku wiezie dwie księgi rachunkowe klubu: tę, którą przedstawiają w urzędzie podatkowym, i tę drugą, o której istnieniu wiedzą jedynie Frak i kilka wybranych osób. Dziś po raz pierwszy pokaże ją osobie spoza najściślejszego kręgu, a gdy ona zapozna się ze wszystkimi informacjami, będzie w stanie pozbawić polityków władzy, doprowadzić do plajty klub i wsadzić potężnych ludzi do więzienia.

Przed wszystkim własnego męża.

—

– Okej, mamy dużo czasu, wyjaśnij mi, proszę, dlaczego hokej NIE jest sportem drużynowym – zaśmiewa się Peter.

Zackell zapala nowe cygaro i odpowiada, tak jakby było to dla niej całkowicie niepojęte, że on tego nie rozumie:

– To nie jest sport drużynowy, dopóki zawodnik nie dorasta i nie zaczyna grać w pierwszej drużynie. Wtedy mecze już coś znaczą. Ale wcześniej? W juniorach? Kogo obchodzi, kto tam wygra? Jedyne, co się liczy w tym wieku, to to, żeby najlepsi zawodnicy mogli być tak dobrzy, jak to tylko możliwe. Aleksandr miał trenerów, którzy na niego krzyczeli, żeby nie był egoistyczny, podawał krążek, ale po co? Żeby przeciętny kolega z drużyny mógł strzelić bramkę? Żeby przeciętny trener mógł wygrać jakiś nic nieznaczący turniej?

Peter musi przyznać przed samym sobą, że nigdy w życiu nie patrzył na hokeja w ten sposób.

– Twierdzisz więc, że jeżeli w juniorach jest jakaś gwiazda, to trener i cała drużyna mają istnieć tylko dla niego, żeby stał się jak najlepszy? Nawet jeśli to znaczy, że przegrają?

– No pewnie!

Peter wybuchając śmiechem. Nie wie, jak ma jej wyjaśnić, że jest zarówno najmniej, jak i najbardziej empatycznym trenerem, jakiego kiedykolwiek spotkał.

– Dlaczego chłopak zmienił imię na Aleksandr? Nie wiedziałem nawet, że jest Rosjaninem.

– Pół-Rosjaninem. To znaczy, że jedno z rodziców jest... – zaczyna Zackell, tak jakby Peter był małym i niezwykle stukniętym dzieckiem.

– Dzięki! Wiem, co znaczy „pół-Rosjanin”! – wzdycha Peter.

– Najpierw mam wyjaśniać wszystko, a potem już nic... – mamrocze zdumiona Zackell.

Peter masuje brwi.

– Jeśli ten Aleksandr nie chce grać dla nikogo, to skąd myśl, że będzie chciał grać dla Björnstad?

– Dzięki tobie.

– Dzięki mnie? Mówiłaś przecież, że nie potrzebujesz mojej pomocy.

– Wcale że nie. Powiedziałam, że nie potrzebuję twoich rad.

Peter wydaje z siebie taki jęk, że jego ślina ląduje aż na przedniej szybie.

– Czuję się tak, jakby moja własna matka odrodziła się jako trenerka hokeja...

– Co to znaczy? – pyta Zackell.

Peter wywraca oczami.

– Nie, nie, nic...

– Czasami to, co mówisz, jest dla mnie zagadką, mówiłam ci to już? – zwraca mu uwagę Zackell.

– To, co JA mówię, to zaga... Boże! Serio? A co ja niby takiego mogę powiedzieć, co sprawi, że ten chłopak będzie chciał grać dla Björnstad?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Zackell stwierdza tylko:

– Między tobą a twoją żoną musi być teraz bardzo źle.

– Słucham?

Trenerka kiwa głową.

– Jeśli do tej pory nie zadałeś tego pytania, to naprawdę szukałeś po prostu dobrego powodu, żeby móc wyjechać z domu.

Peter traci humor i od razu się odcina:

– Po co w takim razie w ogóle poprosiłaś mnie, żebym dziś z tobą jechał?

Zackell odpowiada, jakby to było oczywiste:

– Bo nie jesteś zwycięzcą.

Peter wlepia w nią wzrok przez pół cygara.

– Kim w takim razie jestem?

– Mam zamiar zwerbować zwycięzcę, bo zawodnicy hokejowi podążają za zwycięzcą – wyjaśnia trenerka z największą cierpliwością, jaką jest w stanie z siebie wykrzesać. – A wiesz, co robi zwycięzca?

– Nie?

– Zwycięzca podąża za przywódcą. Dlatego właśnie tu jesteś.

–

Mira ma ziemię na palcach, gdy otwiera drzwi tarasowe. Peter pojechał w trasę z Zackell, Leo poszedł do szkoły, a Maya dostała na pogrzeb więcej wolnego, niż potrzebowała, ponieważ dyrektorowi jej szkoły wydaje się chyba, że Björnstad leży w innym kraju, więc teraz włóczy się gdzieś z Aną. Dom jest pusty. Mimo wszystko Frak wchodzi przez taras zamiast głównym wejściem, a teraz siedzą w kuchni i przy zaciągniętych zasłonach jedzą świeżo upieczony przez Petera chleb.

– Co tam u was poza tym słyhać? Jak dzieci? – zaczyna Frak, a Mira wywraca oczami.

– Proszę cię, Frak, zakradłeś się tu jak jakiś szpieg, znamy się za długo, żebyś mi tu zaczynał rozmowę od kłamstw, że interesujesz się moimi dziećmi.

– Kłamstw? Czy kiedykolwiek cię okłamałem? – wybucha oburzony Frak.

– Nie, skąd, tylko kłamiesz nieprzerwanie przez cały czas, za każdym razem jak się widzimy, od momentu gdy poznałam cię przed dwudziestu laty... – Mira się uśmiecha, a Frak wybucha śmiechem.

To jego największy talent: śmiech, głośny, zaraźliwy, zawsze popychający rozmowę do przodu.

– Okej, okej, Mira. *No bullshit!*^[16] Jak mówiłem: potrzebujemy prawnika w zarządzie. Mamy mały problem z lokalną gazetą. Nie wiem, ile udało im się już wygrzebać, ale muszę... to znaczy musisz... przygotować nas na najgorsze. Chcę mieć rozeznanie, jak bardzo wdepnęliśmy w gówno, jeśli niektóre sprawy... wyjdą na jaw.

Mira kręci z dezaprobatą głową i nalewa kawy.

– Chcesz szczerej odpowiedzi? Nie reprezentujesz klubu, nie siedzisz w zarządzie, jesteś tylko sponsorem. Nie możesz mnie zatrudnić w ich imieniu.

Frak macha ręką niewzruszony, tak że prawie wywraca kubek z kawą, wcale tego nie zauważając.

– Tym sobie nie zaprzataj głowy. Spójrz tylko na to, co chcę ci pokazać, dobrze?

Rozkłada księgę rachunkową na stole, a Mirę zalewa złe przeczucie. Gdy zaczynają rozmowę, jest zła na to, jak różnie ona i Frak postrzegają świat, na jej końcu znienawidzi samą siebie za to, jak niewiele ich właściwie dzieli.

Dym

Redaktorka naczelna i jej ojciec trzęsą się z zimna na składanych krzesłach na brudnym dachu budynku, w którym mieści się redakcja gazety. Nie jest zbyt wysoki, ale położony na wzniesieniu, co daje niespodziewany widok na okolicę. Nie minęło jeszcze nawet pół dnia, ale światło dzienne zaczęło się już poddawać, a zimno skutecznie rozgryza tę niewielką część człowieka, którą słońce zdołało rozgrzać.

– Z czego się śmiejesz? – pyta redaktorka.

– Gdy w dzieciństwie cię pytałem, gdzie chciałabyś mieszkać, odpowiadałaś, że w Nowym Jorku. To, moja droga, nie do końca Nowy Jork – odpowiada ojciec.

W domach zapalają się światła, kilka samochodów toczy się po ulicach, z lasu dobiega jeszcze dźwięk pił elektrycznych przypominający o minionej wicherze. Przyroda zaczęła się już odradzać, ludzie również, redaktorkę naczelną fascynuje nieustępliwość w obu przypadkach. RzUCA okiem na palącego fajkę ojca, pamięta ten zapach z dzieciństwa jako znak, że to był dobry dzień. Palił tylko wtedy, gdy nie zamierzał pić.

– Dziękuję za to, że nie pijesz, tato – mówi cicho córka.

Kąciki jego ust unoszą się z trudem.

– Nie mogę już imprezować i pracować w tym samym czasie. A przynajmniej nie porządnie. Wiesz, jestem za stary, żeby się bić po pijaku.

Córka się uśmiecha.

– Wiem, że uważasz, że odziedziczyłam po tobie tylko najgorsze...

– Tak przynajmniej twierdzi twoja matka – mruczy ojciec.

– Nie. Wie, że odziedziczyłam też część najlepszego. I to najgorsze, co mogłeś jej zrobić.

Ojciec śmieje się ochryple.

– Jesteś cholernie dobrą redaktorką naczelną, moja droga. Ja nigdy bym taki nie był. Do tego trzeba się przejmować ludźmi. To masz po matce.

Córka zamyka oczy i wdycha dym z fajki. Ojciec przegapił większą część jej dzieciństwa. Nigdy się wtedy nie rozumieli, ale teraz wychodzi im to dobrze. Gdy była dzieckiem, brakowało jej ojca, za to już w dorosłym życiu zyskała przyjaciela. Kompana. Czy jeśli mogłaby zacząć wszystko od początku, zamieniłaby jedno na drugie?

Ojciec z irytacją kręci się na składanym krześle.

– Co tak stuka przez cały czas? Brzmi jak jakaś cholerna mewa, która utknęła w wentylacji... – mruczy i podnosi się nieco, by lepiej zobaczyć, ale krzesło jest zdezelowane, a on sam za stary na takie głupoty, opada więc tylko zrezygnowany z powrotem.

– Dzieciaki na ulicy strzelają piłkami do bram garażowych – odpowiada oswojona już z dźwiękiem córka.

Ojciec nastawia uszu i nasłuchuje, zgaduje, że chodzą jeszcze pewnie do podstawówki, jeden z nich krzyczy: „Cztery do czterech”, a drugi wrzeszczy rozjuszony: „Nieee! OSZUKUJESZ! Jest cztery do trzech!”. Następne stukanie nadchodzi, gdy zaczynają się bić i ich drobne ciała uderzają o bramę garażową.

– To miejsce, serio, chyba nigdy w życiu nie widziałem nigdzie, żeby ktoś ciągle o wszystko tak rywalizował jak tutaj... – pomrukuje.

Córka się uśmiecha.

– Mówiłam ci. Tutaj wszyscy są tacy jak ty. Też nie potrafią żyć bez fajtu.

Nagły kaszel przysłania ojcu uśmiech.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Jestem przecież uosobieniem spokoju.

Dziennikarka wyciąga dłoń i klepie go po ramieniu, przelotnie, dla kogoś, kto myśli, że stracił wszystkie szanse, by znów być ojcem, znaczy to wszystko. Zaraz potem córka wskazuje dłonią na miasto poniżej i melancholijnym tonem tłumaczy:

– To ty mnie tego nauczyłeś, pamiętasz? Żeby wyszukać najwyższy punkt w mieście i że można się zawsze czegoś nauczyć, spoglądając na całość.

– Czego więc nauczyłaś się o Hed?

– Tam leży szkoła. – Córka wskazuje. – Przechodzę obok niej rankiem, przypomina tę, do której sama chodziłam, pamiętasz? W centrum miasta. Dzieciaki

z bogatych domów przemieszane z tymi z czynszówek. Niektórzy przyjeżdżają na starych rowerach jak ze złomowiska, a innych przywożą rodzice drogimi jeepami.

– Próbujesz mi powiedzieć, że byłaś biedna, bo jeździłaś do szkoły rowerem? Mieszkaliśmy pięć minut od...

– Nie, nie, słuchaj, co mówię! Źle mnie zrozumiałeś! Próbuję powiedzieć, że razem z mamą zrobiliście dobrą rzecz: moi koledzy pochodzili z różnych środowisk. Teraz już tak nie jest, bogaci rodzice to zablokowali, teraz do mojej dawnej szkoły chodzą tylko jeżdżące na ferie narciarskie dzieciaki w markowych ubraniach. To samo próbuje się zrobić tutaj. W Björnstad jest dzielnica, która nazywa się Wzgórze, najdroższe domy w okolicy, tamtejsi rodzice usiłują otworzyć własną szkołę, tak żeby ich dzieciaki nie musiały się mieszać z tymi biednymi. Jeśli im się to uda, tak samo stanie się w Hed.

– Do czego zmierzasz?

– Zapytałeś, czego nauczyłam się o Hed. Przeczytałam ostatnio, że największe kluby hokejowe w Szwecji próbują zamknąć najwyższą krajową ligę, w grę wchodzi zbyt wiele milionów z telewizji, nie mogą ryzykować degradacji. Próbują więc powstrzymać wszystkie małe kluby, takie jak Hed i Björnstad, przed wspięciem się na sam szczyt. Bogaci chcą wykluczyć biednych, zawsze i wszędzie. To żadna wymówka, ale... tak sobie czasem myślę, że to dlatego ludzie w tych miasteczkach są, jacy są. Cały czas muszą się bić. Czasem nawet oszukiwać. Inaczej nie mają żadnych szans.

Dym z fajki wije się wokół ojca.

– To przyjemny dla oka widok, ale niech wyrzuty sumienia nie przysłonią ci zdrowego rozsądku, moja droga. Jeśli opublikujemy wszystko, co wiemy o centrum treningowym w Björnstad, ktoś tam wynajdzie zapewne takie samo gówno na Hed. Po wszystkim może się okazać, że uśmierciłaś oba kluby. Ale to twoja praca.

Córka nie otwiera oczu. Zadaje pytanie, mimo że wcale nie chce poznać odpowiedzi.

– Co sprawia, że myślisz, że Hed ma za uszami co najmniej tyle samo co Björnstad?

Ojciec odpowiada przygnębionym głosem, bez nuty cynizmu:

– Wszyscy mają coś za uszami, moja droga. Wiesz, ile zarabiają teraz zawodnicy? Znasz przepisy podatkowe obowiązujące w tym kraju? Jeśli wszystko

ma się odbywać zgodnie z prawem, to nikt nie ma szans. Gdy jeden klub hokejowy z południa był bliski plajty, to gmina, by uratować ich księgowość, zakupiła „inwentarz” hali lodowiska. Inwentarz w hali, której sama BYŁA WŁAŚCICIELEM. Gdyby nawet ci politycy mieli po dziewięć tyłków, to i tak nie zdołaliby zająć wszystkich krzeseł, na których zasiadają. Jeden z największych klubów w kraju nazywa lokalne przedsiębiorstwo przewozu autokarowego „bankiem”, ponieważ nigdy nie płacą mu za dojazdy na mecze wyjazdowe, firma nie nalicza im jednak długu, bo dobrze wie, że pod koniec roku pojawi się gmina, która wszystko ureguluje, tak żeby klub nie poszedł z torbami. Istnieją kluby w najwyższej klasie mistrzowskiej, które mają tak słabe finanse, że są w trakcie odbudowy, wszystkie pensje wypłacają z państwową gwarancją wypłaty, a mimo to nadal prowadzą rekrutacje zawodników, za które płacą sponsorzy, i to sponsorzy figurują na wszystkich dokumentach. A klub nadal rozgrywa mecze! Jak ma z nimi konkurować ktoś, kto chce przestrzegać zasad?

Córka wdycha ostatnie opary z gasnącej fajki.

– Teraz to brzmisz tak, jakbyś stał po ich stronie...

Ojciec wzdycha.

– Pewnie, że stoję. Robię się stary i sentymentalny i w dodatku za mało piję, więc nie jestem już taki złośliwy. TY jednak nie możesz się teraz wycofać! Musimy opowiedzieć prawdę o Björnstad Hockey, nawet jeśli zniszczy to wszystko i wszystkich.

Córka bierze głęboki wdech, tak jakby zamierzała przeskoczyć przez krawędź przepaści.

– Myślisz, że moje sumienie czyni mnie słabą dziennikarką?

Ojciec z trudem podnosi się z krzesła.

– Nie. Twoje sumienie sprawia, że należysz do tych najlepszych, moja droga. Ale teraz chodźmy już do środka, tu jest, do cholery, strasznie zimno, a to przekłete stukanie doprowadza mnie do szału. Następnym razem, jak znajdziesz sobie jakiś klub do wykończenia, niech to będzie na Hawajach!

Idioci

Co jest najtrudniejsze w hokeju? Zapytaj o to stu trenerów, a otrzymasz sto różnych odpowiedzi. Wszyscy tak samo pewni siebie, wszyscy tak samo niechętni nawet do próby wyobrażenia sobie, że może jednak się mylą. To dlatego, że właśnie tak się sprawy mają.

Bo najtrudniejsza, absolutnie najtrudniejsza w całym hokeju jest zmiana nastawienia.

—

Biała koszula Fraka jest cała przepocona, a zegarek, wielki jak miarka kuchenna, obija się o kant stołu. Jego buty są tak drogie, że bardziej opłacałoby się kupić całego aligatora. Mira to wie, bo jedyny recykling, jaki Frak uznaje, to recykling dowcipów. Przez ostatnie dwadzieścia lat na każdym grillu, gdy Peter pyta Fraka o stopień wysmażenia mięsa, słyszy: „Wystrasż je tylko trochę długimi i wrzuc mi na talerz!”, i za KAŻDYM razem Peter się z tego śmieje. Jeśli to nie jest przyjaźń, to co nią jest? W jednym bucie ze skóry aligatora brakuje sznurówki, która utknęła w łańcuchu rowerowym w drodze tutaj, palce Fraka są czarne i poranione, bo próbował ją stamtąd wydostać, naprawdę od zawsze był durniem. Jako dziecko Mira zaśmiewała się z tego słowa, często obraźliwie używanego przez matkę, ale gdy dorosła i poznała Fraka, zrozumiała dokładnie, co ono znaczy: Frak był absolutnym, rasowym durniem.

Co nie oznacza, że był głupi. Niestety. Tak więc gdy już wypija kawę i Mira nalega, żeby w końcu opowiedział, dlaczego spotykają się w tajemnicy, wyciąga z torby laptopa i puszcza jej filmik. Nagrał go sam, w hali lodowiska, przedstawia dzieci w wieku przedszkolnym, z którymi po treningach przeprowadzono wywiad. Głos Fraka dochodzi z tyłu i Mira niechętnie przyznaje, że świetnie sobie z nimi radzi, dorośli postrzegają go zawsze jako hałaśliwego i prostackiego, ale dzieci często łączą te cechy ze szczerością.

„Co najbardziej lubisz w hokeju?” – pyta grupkę chłopców, z których każdy odpowiada swoją wersją: Gdy strzelam gola. Gdy mogę spędzić czas z kolegami. Gdy bardzo szybko jadę na łyżwach. Gdy wygrywamy. Nagle na ekranie pojawia się sześćo-, może siedmioletnia dziewczynka, najchudsza z nich wszystkich, ale z najmocniejszym wzrokiem, i gdy Frak ponawia pytanie, rzuca mu pełne niezrozumienia spojrzenie. „Jak to najbardziej?” – pyta, z koszulką treningową sięgającą kolan. Frak zatrzymuje filmik i z dumą patrzy na Mirę.

– Ta mała jest tak zdolna, że pozwoliliśmy jej grać z chłopcami, wiesz? Ale musieliśmy zrezygnować, bo rodzice się wkurzali, że ogrywa ich synów. Ogrywa ich, Mira! To jest cud-odkrycie. Drzewko wiśni. Wiesz, że tak nazywamy nasze największe talenty? Tak jak Petera w jej wieku!

Ponownie puszcza filmik. „Możesz nam powiedzieć, jak się nazywasz?” – słychać w tle jego głos. „Alicia!” – odpowiada dziewczynka, jakby wykrzykiwała to przed twierdzą wroga w czasie oblężenia. „Okej, Alicia. Chciałbym cię zapytać, co jest najfajniejsze w hokeju. To może być cokolwiek. Co lubisz najbardziej?” – pyta Frak. Alicia dłuższą chwilę wpatruje się w kamerę, po czym cienkim, pełnym szczerości głosem przyznaje: „Wszystko. Wszystko lubię najbardziej”.

Mira nie wie, jak jakaś matka mogłaby widzieć tę dziewczynkę i nie chcieć przejść przez ekran, żeby ją przytulić i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze. Zwłaszcza że pytanie Fraka brzmi: „A co lubisz najmniej w hokeju?”. Na co dziewczynka ze łzami w oczach odpowiada: „Gdy trzeba iść do domu”.

Frak zamyka komputer. Mira zatacza się nieco na kuchennym krześle obok i rzuca:

– Mam w domu dwójkę nastolatków i niedługo będę też mieć, do cholery, klimakterium! Nie wydaje ci się, że wystarczy mi już tych wzruszeń?

Frak wydusza z siebie przeprosiny, zaskakując ją całkowicie szczerym i pozbawionym umizgów głosem:

– Przepraszam. Chciałem tylko... zanim pokażę ci wszystkie problemy, z którymi boryka się klub... chciałem nam obojgu przypomnieć, o co walczymy. I jaka jest stawka.

Jest durniem. Ale nie jest głupi.

–

To niewielka hala lodowiska przy pustym parkingu w najsenniejszej części dużego miasta. Peter nigdy wcześniej tu nie był, ale nie ma to znaczenia, bo i tak czuje się jak w domu. Rozpoznaje wszystkie dźwięki, każde echo i każdy zapach, nawet światło. Przede wszystkim jednak rozpoznaje uczucie... bycia tu i teraz. W każdym innych aspektach życia, na co dzień, w każdym momencie jest całkowicie świadomy przeszłości i przyszłości, w halach lodowiska nie ma na to jednak miejsca. Tu w środku wszystko jest teraz, teraz, teraz.

– Gotowy? – pyta Zackell.

– Na co? – dziwi się Peter i od razu żałuje, że w ogóle pytał.

Na dole na tafli widzi Aleksandra. Wygląda to tak, jakby ktoś zaprojektował hokeistę w laboratorium. Wysoki, barczysty, bez wątpienia wyjątkowo silny, a jednak o przedziwnie miękkich ruchach. Jego mięśnie pracują prawidłowo, technika jazdy jest perfekcyjna, nawet falujące półdługie włosy są irytująco bezbłędne. Mimo to coś w nim nie gra. Robi flegmatyczne ósemki, a każdy ślizg jest wytrenowany i dopracowany, ale chłopakowi brakuje młodzieńczego zapału, sunie po lodzie niczym koń cyrkowy biegnący wkoło na lonży. Jego ojciec stoi na środku lodowiska i wykrzykuje w jego stronę komendy, Aleksandr wcale go nie słucha. Gdy Peter zbliża się do bandy, okrzyki ojca stają się głośniejsze i jeszcze intensywniejsze, ale dwudziestolatek nie przyśpiesza ani trochę.

– Zrobił się nerwowy, gdy cię zobaczył, jesteś jego idolem – zauważa Zackell.

– Daj spokój, Elisabeth, ten chłopak nie ma nawet tyle lat, żeby wiedzieć, kim jestem. – Peter uśmiecha się z zażenowaniem.

Jej powieka nieco drga, tak jakby sprawiało jej fizyczny ból, że były dyrektor sportowy tak wolno łapie.

– Nie on. Ojciec!

Naprawdę wolno łapie, bo dopiero teraz to do niego dociera. Zackell nie przywiozła go tutaj dlatego, że potrzebuje pomocy w przekonaniu Aleksandra, Peter ma za zadanie przekonać ojca. Rozpoznaje go, wprawdzie nigdy wcześniej się nie spotkali, ale takich ojców widział w każdej hali: nigdy do końca nie udało mu się kariera hokeisty i wmawia sobie, że była to głównie wina trenera. Teraz żyje życiem syna, rozpuszczonego i znudzonego supertalentu, któremu wszystko podano na srebrnym półmisku, a któremu nie chce się nawet do niego sięgnąć. Przypuszczalnie już od podstawówki Aleksandr miał prywatnych trenerów, ojciec

zapewne sponsorował jego drużynę chłopięcą i przemierzył z nim kraj wzdłuż i wszerz po drogich obozach treningowych i prestiżowych zawodach, ale co się stało? Brak chęci. Wszystkie nastolatki mają okno czasowe, w którym mogą osiągnąć pełnię swoich możliwości, nikt nie jest jednak przygotowany na to, jak szybko to okno się zamyka.

– Zakładam, że Björnstad to nie jest ich pierwszy wybór, ile klubów było tu przed nami? – pyta cicho Peter.

– Co najmniej dziesięć – odpowiada beztrąsko Zackell.

– I żaden z nich nie chciał go zwerbować? Czy to cię nie zastanawia?

– A kto powiedział, że nie chcieli? Może to on nie chciał?

– A dlaczego miałyby nie chcieć?

– Żaden z nich nie zaproponował mu zagrania przeciwko byłemu zawodnikowi NHL.

– Co?

Zackell ma ze sobą torbę przewieszoną przez ramię, teraz ją otwiera i wyciąga z niej parę łyżew i rękawic w rozmiarze Petera.

– Chyba sobie żartujesz?

– Niezbyt lubię żarty – informuje Zackell i rusza w stronę bandy.

Ojciec Aleksandra natychmiast do nich podjeżdża, entuzjastyczny i otwarty, jego syn natomiast nawet się z nimi nie wita.

– Dzień dobry, dzień dobry! Jestem wielkim fanem, wielkim fanem! – pokrzykuje ojciec w stronę Petera, a ten kiwa głową z nieukrywanym zakłopotaniem.

– Peter chciałby zagrać – wyjaśnia Zackell.

– Łał! Co za zaszczyt! Słyszałeś? – woła wesoło do syna, który naprawdę nie wygląda, jakby go to obchodziło.

– Może w takim razie odpocząłby pan sobie chwilę? – proponuje Zackell.

Ojciec patrzy na nią najpierw zmieszany, potem urażony, a w końcu zawiedziony.

– Zawsze jestem na lodzie...

– Ale chyba może pan zrobić wyjątek dla dawnego zawodnika NHL – mówi Zackell. I nie brzmi to jak pytanie.

Ojciec rzuca posłusznie okiem na Petera, ale nie do końca umie odpuścić. Próbuje jeszcze zabrzmieć jak poirytowany, gdy tak naprawdę jest po prostu urażony:

– Oczywiście, oczywiście... ale to FIZYCZNA gra mojego syna jest jego siłą! Widzieli państwo, jaki jest duży i silny? Fantastyczny przy bramce, kompletnie się nie boi! Nauczyłem go grać dokładnie tak jak w klubach z ekstraklasy. Mam cały system rozstawienia pachołków. Jak mieliby to państwo zobaczyć, skoro nie będzie mnie na lodzie i nie będę mógł tego pokazać? Myślę, że...

Jest, jak wszyscy ojcowie, kompletnie nieprzygotowany na to, że Zackell ma gdzieś to, co on myśli.

– System? Nie przyjechałam tutaj oglądać żadnego systemu.

Ojciec otwiera usta, by zaprotestować, ale Zackell już się odwróciła w drugą stronę. W końcu mężczyzna niechętnie człapie w kierunku trybun. W tym czasie Peter równie niechętnie zakłada na nogi łyżwy, tak wolno, że gdyby Zackell tak bardzo nie lubiła dotykać innych ludzi, to z pewnością kopniakiem posłałaby go na lód.

– Aleksandr? To jest Peter Andersson! Grał w NHL i jest idolem twojego taty! Jeśli się przez niego przebijesz, to dam ci mój samochód! – woła Zackell do zawodnika na lodzie.

Peter i ojciec otwierają szeroko usta. Aleksandr natomiast po raz pierwszy się odwraca i wygląda na zainteresowanego.

– Żartuje pani?

– Praktycznie nigdy – zapewnia Zackell i kładzie kluczyki do samochodu na bandzie.

Dwudziestolatek miał już z setkę trenerów. Rzadko kto go zaskakuje.

– A co, jeśli mi się nie uda? – pyta podejrzliwie.

– A dlaczego miałyby ci się nie udać? – zastanawia się szczerze Zackell.

Aleksandr uśmiecha się sceptycznie, tak jakby zapomniał, jak to się robi. Na trybunach siedzi skulony ojciec i wygląda na dziesięć lat starszego niż na lodzie. Gdy ich wzrok się spotyka, chłopak patrzy beznamiętnie, tak jakby cyrkowy koń nagle dostrzegł, że lonży już nie ma. Peter z wahaniem wjeżdża na lód nieopodal niego i już czuje, że ta zabawa skończy się naderwaniem pachwin i kilkoma

bolesnymi wizytami w toalecie jutro rano. Aleksandr przynosi dla niego dodatkowy kij. Gdy widzi, że facet robi kilka daremnych ruchów, by się rozgrzać, tak jakby to miało jakieś znaczenie, pyta:

– Jak dawno temu grał pan w NHL?

Nie szyderczo, szczerze go to ciekawi, ale sama insynuacja wzbudza coś w Peterze. Coś, z czego nie jest dumny. Odcina się więc:

– Jak się przeze mnie przebijesz, to ci powiem!

Kąciki ust dwudziestolatka się unoszą. Zaraz potem zawraca bez wysiłku, tak jakby kierował łyżwami siłą woli, podczas gdy Peter słyszy, że kiedy tylko się pochyła, jego własny kręgosłup wydaje dźwięk jak folia bąbelkowa. Dawny zawodnik NHL nie wygląda na gotowego, dwudziestolatek bierze rozpęd ze środka lodowiska, skończy się to pewnie nieciekawie, ale zaraz przy niebieskiej linii Peter opanowuje sytuację i wybija krążek. Może i jest stary i przytył, ale niektóre instynkty nigdy nie zanikają. Aleksandr zatrzymuje się zdziwiony, jego oczy ciemnieją, Petera również. Aleksandr podjeżdża po krążek i zamierza się kolejny raz, tak samo arogancko, ale bardziej wkurzony. Tym razem pędzi z taką prędkością i siłą, że jest przekonany, że już dawno go przejechał, gdy nagle kij Petera pojawia się znikąd i ponownie wybija krążek. Zaczyna od nowa, lecz Peter odczytuje jego ruchy i gdy podjeżdża za blisko, czuje, że ten się cofa. Dwudziestolatek ma technikę, dużo trenuje, ale boi się uderzenia. Nagle w hali rozlega się głos ojca, który Peter słyszał już tysiąc razy wcześniej na tysiącach lodowisk:

– NIE USUWAJ SIĘ Z DROGI! WYTRZYMAJ! PRZYJMIJ UDERZENIE JAK MĘŻCZYZNA, DO KURWY NĘDZY!

Aleksandr poprawia kask i rozpędza się na nowo, ale Peter prostym ruchem go podjeżdża i znów wybija krążek. Sytuacja powtarza się jeszcze trzykrotnie, aż w końcu Zackell woła:

– Aleksandr? Wiesz, że jesteś głupi?

Dwudziestolatek zatrzymuje się w połowie ruchu. To daje Peterowi możliwość wzięcia głębszego oddechu. Oparty dłońmi o kolana, z potem spływającym na oczy, jest przekonany, że właśnie tak człowiek się czuje, gdy ma atak serca. Aleksandr podjeżdża do Zackell.

– Co pani, kurwa, powiedziała?

– Wiesz, co to mangusta? – pyta Zackell.

– Jak mnie pani, kurwa, nazwała?

Zackell wzdycha, tak jakby właśnie zabrała go do biblioteki, a on zaczął zjadać książki.

– To takie zwierzę. Poluje na kobry. Czujesz, jakie to idiotyczne? Kobra jest szybsza, a jej jad potrafi zabić każde zwierzę, ale mangusta i tak się na nią zamierza, bo jest kompletną idiotką. I wiesz co? Mangusta wygrywa. Wiesz dlaczego?

– Jest pani nauczycielką biologii czy trenerką hokeja? – prychnął Aleksandr.

– To nie biologia. Tylko fizyka – zauważyła Zackell.

Aleksandr poprawia kask, walczy, by utrzymać arogancję na wodzy, ale idzie mu coraz gorzej. Rzuca okiem w stronę ojca, a Zackell mówi od razu:

– Nie patrz na ojca. Jego tu nie ma. Teraz to twój i mój świat.

Z dwudziestolatka ulatuje nieco powietrza, prawie niezauważalnie, a skóra na jego szczęce robi się odrobinę luźniejsza.

– Dobra... proszę opowiedzieć... dlaczego ta mangusta, czy jak się to nazywa, wygrywa?

Zackell dotyka palcem skroni.

– Mangusta wygrywa, bo się rozwija. Wąż rzuca się do każdego ugryzienia indywidualnie, nie myśląc ani niczego się nie ucząc, ale mangusta atakuje na podstawie wszystkich poprzednich ataków. Testuje i mierzy, odskakuje do tyłu, kusi węża, by rzucał się dalej i dalej. Bo gdy wąż jest cały rozciągnięty, to wtedy jest najwolniejszy i najbardziej bezbronny. Mangusta wyczekuje okazji, robi zwód, a potem kontruje ugryzienie węża swoim własnym, prosto w jego mózg. Za każdym razem wygląda to jak fuks, ale to NIE JEST fuks. Rozumiesz?

– No... nie... – zaczyna Aleksandr, drapiąc się po czole.

Zackell układa palce w powietrzu w niewielką rozwartą paszczę.

– Grasz jak kobra, przewidywalnie, bo wszyscy twoi poprzedni trenerzy wmawiali sobie, że można na tobie polegać. Ale nikt nie może na tobie polegać. Nie pozwoliłabym ci przypilnować mi nawet pustego kufła. Nie da się więc wsadzić cię w jakiś „system” i rozmawiać z tobą o „pozycji”, bo jesteś na to zbyt głupi. To dlatego nie dogadujesz się z trenerami i dlatego wyrzucają cię z drużyny.

Ale też właśnie to czyni cię wyjątkowym, ponieważ jesteś taki głupi, że nikt nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie, do czego jesteś zdolny. Jeśli będziesz grał jak kobra, to Peter za każdym razem przejmie krążek. Musisz więc grać jak mangusta. Graj jak kompletny idiota.

Aleksandr nie wygląda na całkowicie przekonanego, podczas wyjaśnień w sumie patrzy na nią tak, jakby właśnie mu zaproponowała, żeby powąchał bąka, z którego jest szczególnie zadowolona. Wyjeżdża jednak z powrotem na lód, zgarnia krążek i sunie na środek lodowiska, tym razem wolniej, jakby się zastanawiał. Najtrudniejsza w hokeju jest zmiana nastawienia. A najtrudniej zmienić swoje własne nastawienie.

Rozpędza się, Peter czeka przy niebieskiej linii, po fakcie powie, że miał wrażenie, że Zackell wymieniła zawodnika. Gdy się spotykają i Peter przygotowuje się na kolizję, Aleksandr nagle znika. Wygląda, jakby potknął się razem z krążkiem. Jakby miał fuksa.

Peter dziko wymachuje kijem w powietrzu, aż w końcu pada na tyłek, wydaje z siebie okrzyk, gdy czuje ból w pachwinie, i leży tak w żalosnej pozie przez kilka minut. Gdy Aleksandr wbija krążek do bramki, odwraca się i słyszy brzęczący dźwięk. Po lodzie suną kluczyki do samochodu. Zackell jest już w drodze do wyjścia.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Aleksandr znów kocha coś w hokeju.

Rzeźnie

Frak przesuwa po blacie stołu obie księgi rozliczeniowe i z niepewnością, którą zwykle skrywa za głupimi żartami, mówi:

– Pokazuję ci to w ogromnym zaufaniu. Jeśli zasiądziesz w zarządzie...

– Nie ty wybierasz zarząd, Frak, to zadanie członków klubu... – przerywa mu Mira.

– Nie przejmuj się członkami, załatwię to! – ucina Frak.

– To dlatego siedzisz tu, spocony i wystraszony, bo do tej pory tak dobrze ci szło załatwianie? – pyta z przekąsem Mira, czym uderza w pewność siebie Fraka na tyle dotkliwie, że aż lampa kołysze się nad nimi od przeciągu.

– Muszę być pewien, że jesteś teraz przede wszystkim adwokatką. I że dochowasz... tajemnicy zawodowej.

Mira długo się mu przygląda.

– Boisz się, że o tym, co zobaczę w tych segregatorach, opowiem komuś spoza tego domu? Czy z tego domu?

– I to, i to.

– Okej. Zapytam w takim razie jako adwokatka: gdy już pokażesz mi wszystkie problemy i podejmę się zadania, co chciałbyś, żeby się stało?

Frak odpowiada wyuczonym sloganem, natychmiast:

– Chcę, aby Björnstad Hockey znów weszło do ekstraklasy! Najlogicznieszym sposobem wydaje się przekonanie gminy do zamknięcia Hed Hockey. Zburzenie ich starej hali i całkowite postawienie na Björnstad. Chcemy tu zbudować nowoczesne centrum treningowe jako część Björnstad Business Park! Podwójne zyski za połowę kosztów: gmina dostaje jeden pierwszy skład zamiast dwóch, jedną drużynę juniorów, jedną administrację...

Mira kiwa głową. W głowie kołacze jej się myśl: „I jednego dyrektora sportowego zamiast dwóch. I jednego dozorcę. I jedną sprzątaczkę”. To typowe dla

mężczyzn takich jak Frak, wszystko wymieniliby za wzrost, nie patrząc na to, co się stanie, gdy ich marzenia się spełnią. Wyrzucają personel, jeśli zachodzi taka potrzeba, werbują gwiazdy z zewnątrz, tak że dla lokalnych chłopców nie ma już miejsca w drużynie, podnoszą ceny biletów, co powoduje, że najwierniejszych kibiców nie stać już na przychodzenie na mecze. Nie zwracając uwagi na to, że któregoś dnia ten klub stanie się tak dobry, że pozbędzie się nawet Fraka.

Odpowiada jednak jak adwokatka:

– A żeby to osiągnąć, musisz udowodnić, że Björnstad jest lepsze, zarówno pod kątem sportowym, jak i finansowym? I że marka jest tak silna, że szaleństwem byłoby budować nowy klub pod nową nazwą?

Frak się uśmiecha i aż cały się trzęsie:

– Przecież MÓWIŁEM! Może i mogłem załatwić innych prawników, ale potrzebuję NAJLEPSZEGO!

Komplementy po niej spływają, Mira pochyła się i wbija w niego wzrok.

– Co takiego zrobiliście?

Frak automatycznie włącza uśmiech.

– No więc nikogo... nie zabiłem! Ale sama wiesz, jacy są dziennikarze, pogrzebali trochę w naszej księgowości, no a kto ma książki czyste jak łza? Chyba nawet ty nie masz, co?

Uderza w nią tym pytaniem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie opowiedziała przecież nikomu o problemach finansowych, z którymi boryka się jej firma. Nawet Peterowi. Gdy powtarza pytanie, jej spojrzenie jest niespokojne.

– Co zrobiliście? Frak?

Uśmiech znika z twarzy przedsiębiorcy. Kiwa głową, wskazując na segregatory. Mira otwiera pierwszy, a po przeczytaniu kilku stron podnosi wzrok i patrzy na Fraka po trosze z politowaniem, a po trosze oskarżycielsko.

– Boże drogi... czy to prawda? Jesteście na skraju plajty? To znaczy wiedziałam, że mieliście problemy finansowe, jeszcze gdy Peter był dyrektorem sportowym, ale potem fabryka została przecież sponsorem i sprawa się rozwiązała?

Frak kiwa głową zrezygnowany.

– Tak, tak, ale wraz z ich pieniędzmi pojawiły się wymagania. Że powinniśmy być dobrym kanałem PR-owym dla ich marki. No i wiesz, ile kosztuje prowadzenie

klubu sportowego? Zwłaszcza takiego jak nasz.

– Co to znaczy?

Frak rozkłada ręce i się nakręca.

– Drużyna dziewczęca, którą widziałś na filmiku. Inwestycja w różnorodność i równościowość i praca z młodzieżą. Nasza nowa deklaracja wartości i koszty, które w związku z tym ponieśliśmy. Projekty specjalne. Wszyscy patrzą tylko na pierwszy skład, ale na Boga, my w hali mamy nawet przedszkole! Dzieciaki z całej okolicy uczą się jeździć na łyżwach u nas! Media, które teraz nas sprawdzają, to te same media, które wymusiły na nas budowę tej poprawnej politycznie mrzonki. Jedyne, o czym piszą, to to, że nie jesteśmy wystarczająco „inkluzywni”, ale kto zapłaci za to, by wszyscy mogli uczestniczyć we wszystkim? Nikt nie chce przyznać, że to, co robimy poza inwestycjami, żeby wejść do ekstraklasy, jest produktem luksusowym! Jeśli ma nas być stać na drużynę dziewczęcą, to nasz pierwszy skład musi najpierw wygrywać mecze. Musimy mieć pieniądze od sponsorów. To one sprawiają, że wszystko się kręci. Mój ojciec mawiał: „Wszyscy chcą jeść mięso, ale nikt nie chce pracować w rzeźni”.

Mira zawiesza wzrok na segregatorze leżącym obok Fraka.

– A co jest w tym?

Frak odchrząkuje.

– Wszystko, czego nie może zobaczyć nikt inny.

– Rzeźnia?

– Tak.

– Pokaż. Wszystko.

Więc Frak pokazuje.

—

Dopiero gdy Peter zwleka się z tafli, zauważa kobietę. Siedzi sama, w najwyższej położonej części trybun, Aleksandr też ją widzi i nagle rozpromienia się w uśmiechu zarezerwowanym chyba tylko dla niej.

– Mama? – mamrocze zdziwiony.

Macha mu nieporadnie, a on odmachuje, tak jakby nie byli do tego przyzwyczajeni, nie do siebie, ale do tego otoczenia. Ojciec z kolei wbija w nią

wzrok, zszokowany i zły. Peter już to widział. Łatwo doprowadzić do sytuacji, w której hala lodowiska staje się całym wszechświatem jednego z rodziców, ten drugi może w najlepszym wypadku należeć do publiczności, a w najgorszym stać się nieproszonym gościem. Wolniej, niż sam chciałby się do tego przyznać, dociera do niego, że jeżeli zarówno ojca, jak i Aleksandra dziwi widok matki na treningu, to pozostaje tylko jedna osoba, która mogła ją tutaj ściągnąć.

Mama pokazuje synowi dłonią, że spotkają się na zewnątrz. Aleksandr kiwa głową i natychmiast znika w szatni. Ojciec woła za nim, ale w swej gorliwości, by odzyskać autorytet, używa złego imienia, jego dawnego, więc syn udaje, że go nie słyszy. Ojciec krzyczy głośniej i rusza za nim, lecz Peter go zatrzymuje.

– Proszę mi... przepraszam... czy mógłbym z nim porozmawiać?

Ojciec odcina się rozżłoszczony i zdesperowany zarazem:

– Pewnie, pewnie, proszę spróbować! Nikt nie jest mu w stanie przemówić do rozumu! Nikt! Zwłaszcza gdy jest tu jego matka!

Ojciec rusza na trybuny niczym rozwścieczone dziecko.

– Aleksandr? – woła Peter, gdy zostają już sami w korytarzu.

Dwudziestolatek odwraca się miękko, niemalże delikatnym ruchem.

– Tak?

– Dobry trening – mówi Peter i wyciąga rękawicę.

Aleksandr zwija palce w pięść i dociska ją z lekkim uderzeniem.

– Dziękuję. Pan też był niezły.

– Jestem już za stary na takie ekscesy, teraz przez kilka tygodni nie będę mógł chodzić... – Peter się uśmiecha.

Aleksandr orze nerwowo językiem po wewnętrznej części policzka.

– Nie wiedziałem, że tak łatwo mnie odczytać. Z taką łatwością odbierał mi pan krążek.

– Nie za ostatnim razem, wtedy nie miałem żadnych szans!

Aleksandr wygląda prawie, jakby się wstydził.

– Sprawdziłem jedną... nową rzecz. Nie byłem pewien, czy zadziała. Mój poprzedni trener nienawidził, gdy próbowałem czegoś nowego, ale ta tutaj powiedziała mi coś o jakiejś walniętej manguście. Nawet nie wiem do końca, co to jest...

– To chyba coś podobnego do surykatki.

– A co to jest, kurwa, surykatka?

Peter wybuchają śmiechem. Spogląda na lodowisko i trybuny.

– Ile klubów przyjechało tu, żeby cię zobaczyć?

– Z piętnaście.

– Dlaczego nie grasz dla żadnego z nich?

– Nie chcieli mnie – mruczy wymijająco Aleksandr.

Peter się uśmiecha.

– Znów łatwo cię odczytać. Myślę, że im odmówiłeś. Albo zrobiła to twoja mama.

Język dwudziestolatka wije się po podniebieniu.

– Okej. Szczerze? Robię te pokazówki tylko dlatego, że mnie prosiła! Chcę już skończyć z hokejem! Do tej pory to ojciec decydował o całym moim, kurwa, życiu, a teraz mama poprosiła, żebym dał jej tę jedną szansę, żeby to ona mogła zadecydować ten jeden raz...

– A ty dla mamy zrobisz wszystko?

Aleksandr przytakuje.

– Ona też zrobiła dla mnie wszystko.

– Ale zwykle nie przychodzi do hali?

Dwudziestolatek kręci głową ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Nie. To jest, że tak powiem, mój i ojca świat. Czy też raczej był.

– To twoja mama jest Rosjanką, tak? To dlatego zmieniłeś imię?

– Zawsze miałem na imię Aleksandr, ale tata zgodził się jedynie, by było to drugie imię. Nie chciał, by ludzie postrzegali mnie jako obcokrajowca – odpowiada krnąbrnie, ale łamiącym się głosem.

Peter opiera się na kij, najchętniej zdjąłby już łyżwy.

– Co zrobił twojej mamie? – pyta cicho.

– Zdradził ją! – mówi Aleksandr tak szybko, że jest to szokiem chyba nawet dla niego.

Peter kiwa głową ze współczuciem.

– Rozumiem, że jesteś zły...

– Zły? zŁY? Spiknął się z jakąś pieprzoną laską, która jest tylko siedem lat ode mnie starsza. Mogłaby być moją starszą siostrą. Złamał mojej mamie serce!

Peter przytakuje ze smutną miną. Niepewnie.

– Wiesz co, Aleksandr? Myślę, że jako dziecko lubieś grać w hokeja, bo to sprawiało, że twój tata był z ciebie dumny. I myślę też, że podobało ci się, że mogeś mnie poniżyć dziś na lodzie, bo w ten sposób poniżyłeś także jego. Uważam jednak, że powinieneś znaleźć inny powód do gry, nie grać tylko ze względu na ojca.

Aleksandr oddycha z trudem, mimo że stoją już dobrych kilka minut.

– Zamiast tego mam grać dla pana? W Björnstad?

Peter wybucha śmiechem.

– Nie dla mnie. Nawet już nie pracuję dla Björnstad Hockey.

– Skąd się pan tu w takim razie wziął?

Peter odpowiada, zanim zdąży przemyśleć, jak głupio zabrzmiało to, co powie:

– Przypuszczam, że dlatego, że chciałbym jeszcze coś znaczyć. Bo chcę być dobrym człowiekiem. Robić dobre rzeczy. A tylko dzięki hokejowi wiem, jak uczynić świat lepszym. Dlatego nie mogę go sobie odpuścić. Może twoja mama widzi, że jesteś taki sam, i może dlatego nie chce ci pozwolić z tego zrezygnować.

Przez chwilę Aleksandr trzyma kij tak mocno, jakby rozważał, czy nie roztrzaskać go o ścianę, ale zamiast tego robi głęboki wdech, patrzy na Petera i pyta cicho:

– Dobra jest? Ta trenerka?

– Zackell? Jest zdrowo porypana – przyznaje bez ogródek Peter.

Aleksandr wybucha śmiechem.

– O kurde! Niezła gadka polecająca!

– Ale wyciągnie z ciebie to, co najlepsze – dopowiada równie szczerze Peter.

Chłopak mruży oczy.

– Tak pan myśli?

Peter kiwa głową.

– To jedyny trener, który ogarnął, że to nie twój ojciec decyduje, gdzie będziesz grał, ani nawet nie ty sam.

Aleksandr po raz pierwszy wygląda młodziej niż na dwadzieścia lat, dużo młodziej. Uśmiecha się ostrożnie, prawie z nadzieją.

Na parkingu jego mama, która do tej pory odmawiała każdemu trenerowi, ściska dłoń Elisabeth Zackell. Nie dlatego, że ta trenerka obiecała, że uczyni jej syna zwycięzcą, jak pozostali. Ale dlatego, że obiecała, że puści go wolno.

—

Mira nie przejmuje się tym, co znaczy słowo „korupcja”, to nie należy do jej obowiązków, całkiem sporo jednak rozmyśla o słowie „defraudacja”. To perfidne posunięcie, dokładnie tak jak jej sprawcy, bo zawsze zaczyna się od drobnostek. Kilka zaokrąglonych rogów staje się drogą na skróty, mały kruczek prawny machlojką, nieszczerłość przeradza się w przestępczość. Te pierwsze działania często nawet nie są nielegalne, to jedynie przysługi i rewanże, przyjaciele pomagający przyjaciołom. Trener drużyny juniorów w Björnstad praktycznie nie dostaje pensji, bo klub chce uniknąć płacenia podatków i składek na ubezpieczenie, zamiast tego jednak jeden ze sponsorów klubu remontuje mu domek letni. Czy to niezgodne z prawem? Pewnie nie. Ale to lekko uchylone drzwi. W pierwszej drużynie klub podpisuje wszystkie nowe kontrakty już w kwietniu, ale oficjalnie wejść one w życie dopiero w sierpniu, tak żeby zawodnicy jeszcze przez całe lato mogli otrzymywać zasiłek dla bezrobotnych, a klub nie musiał wypłacać pensji. Niektórzy zawodnicy jeżdżą samochodami, za które nigdy nie zapłacili podatku, ponieważ lokalny dealer rejestruje je jako wersje demonstracyjne, które dziwnym trafem przez cały sezon hokejowy odbywają „jazdy próbne”. Inni mieszkają za darmo w mieszkaniach należących do gminnej spółki budowlanej i nawet jeśli oficjalnie klub płaci im czynsz, to nigdy nie są przelewane żadne pieniądze. W zamian za to członkowie zarządu spółki dostają najlepsze miejsca na wszystkie mecze hokejowe. Czy to defraudacja? Przekroczona granica? Może nie. Te drzwi jednak nie są już tylko lekko uchylone.

Pod koniec każdego roku klub urządza kolację dla „przyjaciół Björnstad Hockey”, podczas której zawodnicy i zarząd wznoszą toasty ze sponsorami, lokalnymi politykami i ich rodzinami, dzieci skaczą na dmuchanych zamkach, a potem wszyscy idą do domu i rozmawiają o „lokalnej solidarności”. Niedługo potem miejscowi politycy postanawiają, że wszystkie lokalne stowarzyszenia

sportowe mogą wynajmować halę lodowiska bezpłatnie przez kolejny rok. Oficjalnie opisuje się to jako „szeroką subwencję na wspieranie zdrowia publicznego”, ale jakimś cudem zyskuje na tym tylko jedno stowarzyszenie. Klub hokejowy bukuje wszystkie terminy, stwierdza nagle „nadwyżkę czasu”, po czym sprzedaje niektóre z nich lokalnym firmom, które chciałyby wynająć halę na „eventy”. W związku z tymi „eventami” firmy korzystają również z usług dozorczy i sprzątaczkę ze spółki akcyjnej, którą posiada klub. Prawdziwe „eventy” praktycznie nigdy się nie odbywają, ale faktury wyglądają na autentyczne i w ten sposób przedsiębiorstwa z przychodami, które nie zawsze chcą wykazywać, pompują pieniądze w klub hokejowy, o którego księgowość nikt nie zadaje pytań. Ci sami sponsorzy mogą czasem, na przykład przy piwie w myśliwskiej chatce, zaproponować, zamiast czystego sponsoringu, zakup „materiałów” dla klubu, które sponsor odpisuje od podatku. To taki magiczny trik: części zamienne do maszyn w przedsiębiorstwie przemysłowym zamieniają się w wyposażenie dla drużyny hokejowej, czerwone cyfry stają się szarą strefą, a czarne pieniądze białymi. Właściwie nie jest to nielegalne, w każdym razie nikt tego tak nie odczuwa, a w klubie hokejowym pełnym uczuciowych ludzi jedynie to się liczy.

Każda decyzja, każdy kontrakt zbliża ich jednak coraz bardziej i bardziej do kwalifikacji prawnej przestępstwa: klub jest zadłużony i prosi gminę o więcej pieniędzy, ale gmina obawia się, co na to powiedzą wyborcy. Zamiast tego więc klub znajduje nowego sponsora, firmę doradczą, zarejestrowaną za granicą, która z nieznanym nikomu powodów postanawia spłacić wszystkie długi. Firma doradcza należy do lokalnej firmy budowlanej z Björnstad, której największym zleceniodawcą przez przypadek jest gmina. W ciągu następnego roku firma budowlana do każdej swojej faktury przy gminnych projektach budowlanych dokłada kilka dodatkowych „nieokreślonych kosztów” i w ten sposób nagle gmina niezauważalnie sponsoruje Björnstad Hockey z pieniędzy podatników. Urzędnik gminny, który nie pytając o nic, zatwierdzi wszystkie faktury firmy budowlanej, otrzyma dodatkową, dobrze płatną fuchę: ze względu na swą „rozległą wiedzę dotyczącą zrównoważonego rozwoju” zostanie zatrudniony jako „doradca ds. środowiska” w zarządzie firmy AGD, której właściciel dziwnym trafem jest kuzynem właściciela firmy budowlanej.

Mira przegląda zawartość segregatorów linijka po linijce i zatrzymuje się tylko na chwilę, by palcami rozmasować powieki.

– Niech zgadnę, to ta firma budowlana dostanie zlecenie na budowę Björnstad Business Park, o którym tyle nawijasz? Wszystkie opryszki w jednym miejscu?

Frak odchrząkuje.

– Wiesz, jak jest, to małe miasteczko, musimy się trzymać razem... to nie jest...

Mira podnosi wzrok, zawstydzony Frak natychmiast milknie. Najgorsze w tych segregatorach okazuje się to, że Mira widzi, jak genialnie to wszystko jest skonstruowane: faceci w klubie hokejowym, firmie budowlanej i gminie bardzo dobrze wiedzą, że nigdy nie będą w stanie tego do końca ukryć, nawet nie próbowali. Doprowadzili jedynie do tego, żeby wszystko było tak niezwykle trudne do wytłumaczenia i tak zaskakująco proste do obalenia, że nikt nie będzie miał siły tego słuchać, nawet jeśli dziennikarze będą usiłovali to nagłośnić. To nie jest wielkie przestępstwo, jedynie tysiąc drobnych, dopóki więc wszyscy mogą zrzucać winę na wszystkich, nikt nie poniesie kary.

W tym momencie jednak Mira przewraca stronę i wybuchą gniewem tak gwałtownie, że Frak aż uderza się kubkiem z kawą w nos.

– Co to ma znaczyć, dlaczego MOJA firma figuruje tu jako sponsor?

– Zanim wpadniesz w szal... – zaczyna Frak, ale oczywiście na to już za późno.

– Czy tobie już kompletnie odbiło? Wyraźnie powiedziałyśmy, że nie chcemy sponsorować klubu!

– Tak, tak, ale źle mnie zrozumiałaś, nie musicie nawet nic płacić, to po prostu dobrze wygląda, że wy też jesteście na liście. No wiesz, że ty na niej jesteś...

Tak więc taki jest prawdziwy powód. Frak nigdy nie potrzebował adwokata, jedynie świętej, która wybieliłaby mu markę. Mira jest żoną byłego dyrektora sportowego, ale przede wszystkim jest matką dziewczyny zgwałconej przez gwiazdę hokeja. Jeśli ona może sponsorować klub, jeśli ona siedzi w zarządzie, to jakim sposobem dziennikarze oskarżą klub o brak etyki?

– Tak widzisz mnie i moją rodzinę? Jako kogoś, kogo możesz wykorzystać? – pyta bardziej urażona, niż chciałyby to okazać.

Frak aż chrypi ze wstydu.

– Twoja firma cieszy się szacunkiem, duże biuro adwokackie, to przyciąga innych sponsorów. Nie musisz nawet nic płacić, jedynie...

– Budujecie więc piramidę finansową?

– Nie... No proszę cię, daj spokój! Nie nazwałbym tego...

Mira rzuca mu papierami prosto w twarz.

– Ależ to jest DOKŁADNIE to! Przyjmujecie „sponsorów”, którym wszyscy ufają, a którzy nic nie płacą, tylko po to, żeby skusić kolejnych sponsorów, którzy zapłacą cały rachunek. A teraz jeszcze chcecie mnie w zarządzie jako figurantkę, tak żeby wyglądało, że wszystko załatwiliście, teraz jesteście już poprawnym politycznie stowarzyszeniem z deklaracją „pracy opartej na wartościach” i „równouprawieniem”.

Po drugiej stronie stołu Frak aż się kurczy. Palce trą nieszczęśliwie o rant kubka. Szepcze złowieszczo:

– Nie. Nie, to nie to. W każdym razie nie tylko to... Potrzebuję... potrzebuję też twojej pomocy prawnej. I nie tylko ja, ale również... Peter.

– O czym ty gadasz? – syczy Mira.

Wtedy Frak wyciąga z torby ostatnią teczkę i kładzie ją na stole.

– Proszę. Mamy wybudować centrum treningowe. Björnstad Hockey razem z gminą. Mieści się ono w całym planie Björnstad Business Park. Mieliśmy jednak problemy z płynnością finansową, więc je sprzedaliśmy...

– Jak to je sprzedaliście? Przecież jeszcze go nie wybudowaliście.

– Nie, no właśnie. Gmina, jak by to powiedzieć, już je kupiła od klubu... tak na zaś...

Mira przegląda dokumenty najpierw z frustracją, wkrótce jednak z coraz większym przerażeniem. Śledzi każdą nitkę w tym kłębk: gmina sprzedaje działkę fabryce, która z kolei po zaniżonej cenie sprzedaje ją dalej klubowi hokejowemu, który potem odsprzeda ją ponownie gminie za milionową kwotę, ale teraz nagle jest to „centrum treningowe”. Jednocześnie fabryka kupuje od gminy inną, bardzo pożądaną działkę, bez żadnych pytań. Przysługi i rewanze.

– To... nawet nie wiem, co mam na to powiedzieć... z wszystkiego innego, co mi do tej pory pokazałeś, może i dałoby się was wybronić, ale z tego? Za to ktoś może trafić do więzienia – wyrzuca z siebie Mira.

Frak uśmiecha się z wysiłkiem, wykręcając się, jak tylko może, przymierza się do ostatniej optymistycznej próby:

– Tak, no tak, ale słuchaj mnie. To będzie nielegalne, tylko jeśli zostanie odkryte teraz! Przecież wkrótce wybudujemy to centrum treningowe! Pamiętasz Alicję, którą pokazywałem ci na filmiku? Wiesz, że od wichury nie może trenować, bo mamy w hali tyle drużyn, że dla tych najmłodszych zwyczajnie zabrakło miejsca? Potrzebujemy więc jedynie nieco czasu! Żeby jeszcze przez chwilę ukrywać to przed dziennikarzami! Gdy centrum treningowe będzie już wybudowane, a Hed Hockey zamknięte i pozostanie tylko Björnstad Hockey, to nikt nie będzie się przejmować tym, jak do tego wszystkiego doszło!

Najbardziej na świecie Mira nienawidzi w tym momencie Fraka za to, że doskonale wie, że on ma rację. Przebiega jednak teraz wzrokiem wszystkie strony, aż zatrzymuje się na ostatniej linijce i jej serce zamiera.

– Czekał no... dlaczego... Peter... dlaczego Peter to podpisał? – Mira ledwie oddycha.

Frak uśmiecha się z takim trudem, że aż musi pociągnąć za kołnierz koszuli, żeby się nie udusić.

– Był przecież dyrektorem sportowym, więc...

Pięści Miry zaciskają się tak szybko i uderzają o stół tak mocno, że Frak aż podskakuje do góry.

– Nie wtedy, gdy to podpisywano, ty skurwysynie! Dawno już wtedy zrezygnował! Co wyście, do kurwy nędzy, ZROBILI!?

Po policzkach Fraka nie spływa tylko pot. Mocno mruga oczami.

– Peter to podpisał, bo go o to poprosiłem. Potrzebowaliśmy... kogoś takiego jak on. Zarząd firmy budowlanej, ci urzędnicy w gminie i właściciele fabryki, wszyscy się posrali, gdy mieliśmy sprzedać centrum treningowe, więc zażądali, żeby dokumenty podpisał ktoś, komu ufają. A wszyscy ufają Peterowi. Pracował już wtedy u ciebie, ale nie zatrudniliśmy jeszcze nowego dyrektora sportowego, a ja... wiedziałem, że ma wyrzuty sumienia... że porzucił klub. Wiesz, jaki on jest. Chciałby uratować cały świat.

Policzki Miry poruszają się miarowo.

– Więc poprosiłeś go, żeby podpisał coś, o czym wiedziałeś, że jest nielegalne, a on był na tyle głupi, że to zrobił?

Frak spuszcza głowę.

– Podpisał, bo go o to poprosiłem. Bo mi ufał.

– Więc go wykorzystałeś!

– Proszę cię, Mira, chciałem tylko zrobić to, co najlepsze dla tego miasta. Ale jeśli to nie wypali, to cały klub...

Mira pochyla się na krześle, tak że Frak prawie spada ze swojego.

– Klub? W dupie mam KLUB! Nie rozumiesz, że PETER MOŻE WYLĄDOWAĆ W WIĘZIENIU?

– Ja... – To jedyne, co Frak jest w stanie z siebie wydusić, gdy Mira szarpie go za koszulę, która trzeszczy w szwach.

– Jeśli mój mąż trafi przez ciebie do więzienia, to ja również tam trafię, za morderstwo, żeby to było dla ciebie jasne! – syczy Mira.

Po czym puszcza go i rusza korytarzem, nie czekając na jego odpowiedź. Po chwili zatrząskują się za nią wejściowe drzwi i w domu zalega cisza. Frak nie wie, co ma robić, zaparza więc więcej kawy i czeka.

Stukanie

W poniedziałek Amat godzinami biega samotnie po lesie. Gdy wczesnym popołudniem wraca na podwórko pomiędzy blokami, pierwsze dzieciaki zdążyły już wrócić ze szkoły i grają kijami i piłeczką tenisową, dokładnie tak samo jak wczoraj. Z przyzwyczajenia Amat wkłada ręce do kieszeni i naciąga na głowę kaptur, żeby go nie rozpoznały i za nim nie wołały. Wchodzi do mieszkania, zamyka za sobą drzwi i ręce automatycznie sięgają do torby w poszukiwaniu butelki. Nagle dociera do niego coś niezwykle dziwnego: nie odczuwa strachu. Przynajmniej nie tyle, co zwykle. Klatka piersiowa ciążyła mu już tak długo, że prawie zapomniał, jak to jest, czyżby ogarnął go „spokój”? Jak złamana noga, która od miesięcy sprawiała niezmierny ból, ale któregoś ranka bolała już nieco mniej. Oddech jest tylko nieznacznie lżejszy. Zza zamkniętych okien nadal dobiegają krzyki i śmiechy z podwórka. Nie irytują go jednak jak dotąd. Zamiast tego uciszają głosy w jego własnej głowie, gaszą zwątpienie, budzą odrobinę nadziei. Jedynie iskrę. Nie ma bardziej zaraźliwej radości niż ta spowodowana grą.

– Mogę się przyłączyć? – pyta, wychodząc z klatki ze starym kijem hokejowym w dłoni.

– Do... nas? – jękają dzieci.

Amat przytakuje.

– Tak. No chodźcie. Gramy. Ja i was dwóch przeciwko reszcie.

Dzieci wybuchają taką radością, że słychać je w całej Niece, kije stukają w asfalt pod cienką warstwą śniegu, ktoś krzyczy: „Szachrajstwo!”, ktoś inny: „YES!”, dłonie odbijają się o siebie w geście triumfu, aż w końcu czyjaś mama woła z balkonu, że czas na obiad. Wtedy jeden z dzieciaków odwraca się w stronę Amata i pyta:

– Jutro też zagramy?

Amat naciąga kaptur na głowę, wkłada dłonie do kieszeni i lekko się uśmiecha.

– Mam nadzieję, że będę miał czas.

Nie rozumieją, co ma na myśli, biegną po prostu do domu, zabierając ze sobą wszystkie nowe marzenia, a Amat stoi dalej na podwórku, wyciągając z głębi duszy swoje najdawniejsze.

Potem dokładnie zawiązuje sznurówki adidasów, biegnie przez całe miasto i zatrzymuje się dopiero przed domem Zackell.

Bang bang bang.

Puka do drzwi w rytm bicia serca. Ale nikt nie otwiera. Obchodzi dom dookoła, w środku jest jednak ciemno i cicho. Biegnie do hali lodowiska, ale jej samochodu nie ma na parkingu. Amat przystaje na chwilę zdyszany, z myślami płynącymi pod prąd, tysiącem głosów w głowie krzyczących: „Poddaj się!”, lecz tym razem ich nie słucha. Zamiast tego odwraca się i biegnie w przeciwnym kierunku, do jedynej osoby, której wszystko może wyznaczyć, jedynej, którą może teraz poprosić o radę. Jedynej, poza matką, która zawsze wierzyła w jego potencjał, bez względu na to, co nabroił.

—

Maya wraca do domu zaraz po lanczu. Prowadzi ze sobą Anę, bo u niej nie było nic do jedzenia, a przyjaciółka słyszała, że Peter zaczął wypiekać chleb. A ona uwielbia chleb. Gdy mijają ścieżkę do biegania na Wzgórzu, Ana wskazuje głową i woła:

– Czy to nie twoja mama?

Maya zaśmiewa się szyderczo.

– MOJA mama? No co ty? Ona nie biegłaby nawet przy wybuchu wulkanu!

Rzuca jednak okiem między drzewa i rzeczywiście postać wygląda jak jej matka. Maya przeciera oczy, ale wtedy sylwetka znika. Ruszają z Aną dalej w stronę domu, drzwi wejściowe są niezamknięte na klucz, nikogo z domowników nie ma, ale w kuchni siedzi Frak i popija kawę.

– Cześć, cześć – wita się wesołym głosem.

Maya kiwa ze zrezygnowaniem głową i wyciąga chleb i coś do niego z lodówki.

– Co... on tutaj robi, jeśli nikogo innego nie ma w domu? – szepcze Ana.

Maya wzdycha głęboko niczym przy wybitnym tomiku poezji.

– Postanowiłam, że przestaję zadawać pytania dotyczące tego, co się wyprawia w tym domu. Od samej próby zrozumienia można się nabawić migreny.

–

Amat zaciska pięść, podnosi ją i się zamierza.

Bang bang bang.

Stukanie. Bicie serca. Odgłos kroków dobiegający ze środka, otwieranie drzwi i Amat gotowy, by natychmiast wyznać: „Przepraszam pana, panie Andersson! Przepraszam! Strasznie nawaliłem! Proszę mi pomóc!”. Przed oczami przelatuje mu całe dzieciństwo: pierwszy raz, gdy jechał na łyżwach, pierwsza bramka, pierwsza przegrana i wszędzie głos Petera na lodzie i na trybunach. Lekka dłoń na jego ramieniu, szybkie „będzie dobrze” albo „dobra robota”. Tego właśnie teraz potrzebuje. Całą drogę tutaj powtarzał, co ma powiedzieć.

Drzwi się otwierają i słowa grzęzną mu w gardle, bo w progu nie stoi Peter, tylko Maya.

– Cześć, Amat! – wybucha radośnie, nie ukrywając zdziwienia.

– Cześć... przepraszam... – mamrocze Amat, skołowany i niemalże zdruzgotany.

– Kopę lat! Jak się masz? – świergocze Maya.

– Słucham? – pyta rozkojarzony Amat.

Zalewa go wstyd. Stoi tu przed nią taki zmarnowany i pogubiony, podczas gdy ona jak zwykle wygląda perfekcyjnie.

– Wszystko w porządku? – pyta nieco zaniepokojona Maya.

Amat powoli kiwa głową, powtarza ruch szybciej, tak jakby próbował przekonać samego siebie, oddycha przez nos i wypuszcza powietrze ustami. Ponownie przymierza się do odzyskania całego swojego życia:

– Czy... twój tata jest w domu?

Maya kręci głową.

– Nie, pojechał gdzieś z Zackell. Chyba oglądać jakiegoś nowego zawodnika!

Amat wbija w nią wzrok. Dzwoni mu w uszach, skronie prawie wybuchają, serce bije jak oszalałe. „Nowego zawodnika”. Już go zastąpili. Wpada prosto w przepaść niewykorzystanych szans osiemnastolatków.

– Ach... okej. W takim... razie... to już nic – szepcze z płaczem uwięzionym w gardle.

– Na pewno wszystko w porządku? Może chcesz wejść? – pyta Maya.

Amat już się jednak odwrócił i ruszył do domu.

Mieszkańcy dużych miast

Aleksandr zatrzymuje swojego nowego jeeпа na stacji benzynowej. Idzie do toalety, a wtedy Peter odwraca się w stronę Zackell siedzącej na tylnym siedzeniu.

- Mogę cię o coś zapytać?
- A mogę cię jakoś powstrzymać?

Peter wzdycha.

- Rozmawiałaś z Amatem?

Zackell wygląda na zdziwioną.

- Od kiedy?
- Od... zeszłego lata? Odkąd nie został zdraftowany.
- Nie.
- Dlaczego?

Zackell kręci głową na samą myśl o takim absurdzie.

- Przestał przychodzić na treningi. Jak niby miałabym z nim porozmawiać?
- Może zadzwonić?
- Zadzwonić? Ale po co?
- Żeby się dowiedzieć, czy zamierza dalej grać?
- Jeśli będzie chciał grać, to pewnie zacznie przychodzić na treningi, nie?

Z frustracji Petera aż łamie w karku.

– Więc zamiast po prostu ZAPYTAĆ Amata, zaciągnęłaś mnie aż tutaj, żeby zwerbować Aleksandra, który ma go zastąpić?

Zackell przechyla głowę i naprawdę stara się, jak może, by nie nazwać Petera „wielkim głupkiem”.

- Ależ mój drogi głuptasie, Aleksandr nie ma zastąpić Amata.
- A co w takim razie?
- Ma go porządnie wkurzyć.

Zaraz potem Zackell kładzie się na tylnym siedzeniu i natychmiast zasypia. Całą drogę do domu śpi tak mocno, że Peter zaczyna podejrzewać, że oddała samochód tylko dlatego, że nie miała już sił prowadzić z powrotem do Björnstad.

Aleksandr i Peter przez całą podróż rozmawiają o hokeju. Tylko o hokeju. Jeep wjeżdża do Björnstad późnym wieczorem. Dwudziestolatek jako dziecko miał jedno imię, jako nastolatek wybrał inne, ale w tym mieście dostanie kolejne. W sumie to Peter, nieco niespodziewanie, wymyśla je, gdy Aleksandr zadaje pytanie:

– Czy tutaj jest tak, jak się wydaje? Typowe małe miasteczko na pustkowiu?

– A jakie jest niby typowe małe miasteczko na pustkowiu? – pyta Peter.

– No wie pan, takie, gdzie ludzie nie znoszą wszystkich i wszystkiego. Wilków, urzędów, nieznanomych...

Dopiero teraz do Petera dociera, jak bardzo jest już stąd, bo pytanie nastolatka go uraża, zamiast jednak się mu odciąć, uśmiecha się tylko i odpowiada:

– Mhm. Ale wiesz, czego najbardziej nie znoszą ludzie tutaj?

– Nie?

– Pyskatych chujków ze stolicy.

Momenty, w których można usłyszeć śmiejącą się w głos Elisabeth Zackell, są rzadkie i łatwe do policzenia. Jak teraz. Od tej pory nikt w Björnstad nie nazywa Aleksandra inaczej niż „Stolyca”. Chłopak, o dziwo, się przyzwyczaja i nie wygląda, jakby jakoś strasznie mu to nie pasowało.

Zackell wyskakuje z jeepa pod swoim domem i żegna się krótkim:

– Jutro trening, Stolyca! Bądź na czas!

Dwudziestolatek siedzi za kierownicą, ale Peter na chwilę wysiada i rusza za trenerką. Zackell robi zdziwioną minę, Peter też jest nieco zaskoczony, tak jakby stopy kroczyły szybciej, niż pomyśli głowa.

– Elisabeth... ja... chciałbym ci podziękować.

– Za co?

– Że mnie dziś ze sobą zabrałaś. To wiele dla mnie znaczy, że mogłem się... no wiesz, znowu poczuć część klubu.

– Na własną obronę mam tylko to, że nawet nie wiedziałam, że już nie pracujesz

– zwraca uwagę Zackell, a Peter wybucha śmiechem.

– Tak, tak, pewnie. Mimo to dziękuję. To był fajny dzień. A tak poza tym to nie miałaś racji!

– Co do czego?

– Że wygrywa tylko drużyna z najlepszymi zawodnikami. To nie wystarczy. Muszą jeszcze mieć kogoś, kto ich rozumie. I widzi w nich to, co najlepsze.

Grzebie stopą w śniegu. Zackell wkłada klucz do zamka. Peter jest już w drodze do samochodu, gdy trenerka, nie odwracając się nawet, mówi:

– Ramona nie lubiła prawie nikogo, ale ciebie tak. Ja też prawie nikogo nie lubię.

Zdążyła już zamknąć za sobą drzwi, gdy dociera do niego znaczenie wypowiedzianych przez nią słów. Dopiero w samochodzie, gdy Stolyca pyta, dokąd teraz ma jechać, Peter orientuje się, że Zackell wcale nie obmyśliła planu, gdzie zamieszka jej nowy zawodnik.

O to jednak Peter wcale nie musi się martwić. Oczywiście, że Zackell obmyśliła plan. Stolyca może przecież zamieszkać u Petera.

–

Mira wraca do domu z decyzją. Gdy Frak wychodzi od nich dzisiejszego popołudnia, mają ustalone dwie rzeczy: Frak zaczyna obdzwaniać ludzi, a Mira ma zrobić coś okropnego.

Wchodzi więc do pokoju córki, siada na łóżku i poważnym wzrokiem patrzy na Mayę i Anę.

– Musicie coś dla mnie zrobić.

– Co? – pytają dziewczyny.

– Nie możecie nikomu opowiedzieć, że Frak tu dzisiaj był. Nawet... tacie. Muszę mu to powiedzieć sama...

Atmosfera w pokoju robi się, delikatnie rzecz ujmując, napięta. Maya tak długo się nie odzywa, że w końcu Ana, traktując to niemal jako swój obowiązek, mówi to, co obie myślą:

– Przepraszam panią, ale muszę to powiedzieć. Jeśli już ma być pani niewierna, to uważam, że stać panią na kogoś o wiele lepszego niż Frak. Jest pani przecież superlaską! Z pewnością wielu mężczyzn chciałoby...

Mira początkowo nic nie rozumie, potem nagle wszystko do niej dociera i rzuca Anie tak przerażone spojrzenie, że Maya wybucha śmiechem, jakiego w tym domu nie było słyhać, odkąd sześćioletni Leo zamknął się w lodówce.

—

Peter wchodzi do domu i przystaje w korytarzu. Mira wychodzi z kuchni. Wielokrotnie zada sobie pytanie, dlaczego po prostu nie powiedziała mu od razu, że był tu Frak i że opowiedział jej wszystko o umowie i o centrum treningowym, ale Peter ma taki wyraz twarzy, za którym – choć nawet o tym nie wiedziała – bardzo tęskniła. Jest taki radosny. Trudno się temu oprzeć.

– Kochanie! Zwerbowaaliśmy z Zackell zawodnika! To znaczy... Zackell go zwerbowała, ale ja... pomogłem. On jest specyficzny! Ale na taki dobry sposób! Może być... niesamowity!

Mira nie dowierza, słysząc dźwięk wydobywający się z jej gardła. Śmieje się. Ze wszystkich reakcji, których można by się spodziewać. Śmieje się i nie może przestać, bo Peter wygląda na takiego szczęśliwego. Zapomniała już, że to właśnie w takim chłopaku się zakochała. Nie mówi więc o niczym, co się dziś wydarzyło, myśli tylko, że musi chronić męża, dopilnować, by nie skończył w więzieniu, bo bez niego nie może oddychać.

– Niech zgadnę, nie ma gdzie mieszkać i musi zostać tutaj? – Uśmiecha się, a Peter otwiera oczy ze zdziwienia.

– Skąd wiedziałaś?

– Bo tak było zawsze, gdy jeszcze pracowałeś jako dyrektor sportowy. Pościelę w gościnnym.

Rusza po schodach na górę, by przynieść pościel, a po drodze zatrzymuje się kilka razy, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Tylko na kilka nocy! – woła za nią Peter.

W tym samym momencie Stolyca przekracza próg domu i staje w korytarzu, a Maya wychodzi ze swojego pokoju, by sprawdzić, dlaczego wszyscy tak krzyczą. Ich spojrzenia się spotykają i żadne z nich nic nie mówi, ale twarz Petera traci cały kolor. Patrzy na jedno i na drugie i natychmiast do niego dociera, że popełnił potworny, potworny błąd. Sekundę później Mira słyszy jego wołanie z dołu:

– JEDNĄ noc, Mira! To będzie maksymalnie JEDNA noc!!!

Ana również dziś u nich nocuje. Ostatnie, co szepcze Mai przed zaśnięciem, to:

– Nieźle, nieźle! Najpierw twoja mama prosi cię, żebyś dochowała tajemnicy, a później twój tata nagle zamienia się w psychopatę, gdy dostrzeża, że chciałabyś się przespać z tym chłopakiem. To najnormalniejsze, co twoi rodzice zrobili od dawna.

– Wcale nie chcę się przespać z tym chłopakiem – zaklina się Maya nieco zbyt gwałtownie, więc Ana tylko wywraca oczami, tak że cała głowa wykręca się jej niczym sowie.

– Nie, nie, pewnie. Pewnie, że nie! Prawie pożarłaś go wzrokiem...

– Wcale że NIE!

Ana przysuwa się bliżej, odwraca się do niej plecami i mówi szeptem:

– Cieszę się, że znów chcesz sypiać z chłopakami.

– Idź do diabła... – szepcze Maya i bierze przyjaciółkę za rękę. Zasypia, ściskając ją mocno.

Rozczarowania

Poniedziałek to jeden z najdłuższych dni w życiu Hannah i Johnny'ego. Tess perfekcyjnie odgrywa rolę urażonej córki, nie ma jej w domu wystarczająco długo, by wpadli w panikę, ale nie tak długo, by potem dać im prawo do tego, żeby zachowywali się jak męczennicy. Śpi u Bobo, w jego łóżku, on zasypia na podłodze obok, a jego młodsze rodzeństwo niczym szczeniaki u jej stóp. Knur nie ma pojęcia, co się tego wieczoru dzieje w domu, Bobo nigdy nie przyprowadził żadnej dziewczyny, pyta więc ostrożnie Tess, co lubi jeść na śniadanie, a potem zmusza ją, by obiecała, że jeśli tylko kiedyś Bobo zachowa się wobec niej niegrzecznie, to natychmiast da mu znać, żeby mógł gówniarza zatłuc. Tess uśmiecha się i obiecuje. Zasypia z ręką zwisającą z łóżka, tak by czuć na niej oddech Bobo. Następnego ranka budzi ją zapach herbaty, przypieczonego w tosterze pieczywa i jajecznicy.

Wraca do Hed autobusem i jak gdyby nigdy nic idzie do szkoły, bo dobrze wie, że rodzice zadzwonią i sprawdzą, czy się pojawiła, co oczywiście będzie dla nich o wiele większą karą, niż gdyby zniknęła. Teraz muszą siedzieć bezsilnie cały dzień, czekając, czy wróci do domu, nie mogła im zafundować nic okrutniejszego.

Po południu wkłada klucz do zamka i w tej samej chwili rodzice podrywają się z kuchennych krzeseł i potykając się, pędzą do drzwi, a przy tym sami nie wiedzą, czy mają ją przytulić czy okrzyczyć. Nigdy nie daje im tego wyboru. Obok niej stoi Bobo z koszykiem w ręku i wygląda co najmniej tak samo niepewnie jak oni. Ale może właśnie w ten sposób Tess go sprawdza. Jeśli zrobi dla niej to, to zrobi już wszystko.

– Bobo ma ze sobą jedzenie i przygotowuje obiad! Za dwadzieścia minut usiądziemy wszyscy i zjemy jak normalna rodzina – mówi Tess, nie zostawiając im przestrzeni na negocjacje.

Postanowione. Bracia schodzą ze swoich pokoi i cała rodzina je makaron, tak jakby właśnie zostali zakładnikami. Johnny nie odzywa się ani słowem, Hannah natomiast nie ma takiej możliwości, ponieważ Bobo zasypuje ją pytaniami.

O pracę, o dorastanie, o dom. Gdy kończą posiłek, Ted i Tobias natychmiast wracają do siebie, byle tylko z dala od tej dziwnej duszącej konwersacji. Johnny udaje, że musi iść do toalety, a zaraz potem niecierpiąca zwłoki sprawa wzywa go do garażu. Tess widzi, że jest wściekły, ale sam nie wie, jak ma to wyrazić, a ona nie wie, jak go ma przeprosić, nie przepraszając. Jak ma wyjaśnić, że jej przykro, że sprawiła mu przykrość, ale nie że go rozczarowała. Rozczarowanie to jego wina.

Bobo, nieproszony przez nikogo, sprząta ze stołu i zmywa. Ture dobrowolnie przychodzi do niego i mu pomaga. Hannah siedzi cicho przy stole i spogląda na córkę, szukając słów. W końcu wybiera najprostszą drogę i zaczyna rozmowę z Bobo:

– Jesteś najstarszy z rodzeństwa?

– Tak. – Bobo kiwa głową, pokazując przy tym Turemu, jak lepiej załadować zmywarke.

– Widać. Świetnie sobie radzisz z dziećmi. Kto nauczył cię tak dobrze gotować?

– pyta Hannah.

– Mama.

– Przekaż jej, że świetnie się spisała. Nie tylko z gotowaniem, ale w ogóle... z tobą.

Hannah spogląda na córkę, chcąc sprawdzić, czy przeprosiny zostały przyjęte i czy córka jej wybaczy, zamiast tego jednak przerażona Tess patrzy na Bobo ze łzami w oczach.

– Moja mama nie żyje. Ale była świetna. Nauczyła mnie wszystkiego, co umiem.

W domu nigdy nie było ciszej, a Hannah nigdy nie czuła się bardziej głupio. Czuje, jakby jej struny głosowe zamieniły się w liny, a całe ciało spina się w oczekiwaniu na reprimendę od córki. Ale nic takiego się nie dzieje. Tess jest tylko smutna.

– Przepraszam, Bobo, powinnam była powiedzieć mamie... – szepcze.

Hannah czerwieni się na twarzy.

– Nie, nie, to moja wina, przepraszam, Bobo! Nie pomyślałam...

Bobo potrząsa jednak głową zapobiegawczo, jakby się zaniepokoił.

– Nie, nie, proszę się nie martwić. Mama by panią polubiła! Strasznie by się zdenerwowała, gdybym zrobił pani przykrość!

Do Hannah dociera, że potrzebuje co najmniej dziewięciu kieliszków wina, żeby poradzić sobie z tą sytuacją, zamiast tego przeprasza i udaje, że musi iść do toalety. Przemywa twarz i przez dziesięć minut przeklina samą siebie, a potem wychodzi do garażu i krzyczy na męża:

– Co z ciebie za CYKOR, że chowasz się w garażu, gdy w kuchni siedzi twoja córka z...

– Nawet nie mów tego na głos! – oburza się Johnny ostrzegawczo, ale dla pewności rozgląda się już wokoło za rzeczami, którymi nie chce, by żona w niego rzuciła.

– CHŁOPAKIEM! Swoim CHŁOPAKIEM! I to w dodatku fajnym! Musisz go zaakceptować – mówi, starając się nadać głosowi przygnębiony ton, co wcale jej nie wychodzi.

Johnny’emu, który może teraz wybrać spośród tysiąca rzeczy do powiedzenia, jakimś cudem udaje się wybrać to najgorsze:

– Jakiś pieprzony grubas z Björnstad to najlepsze, na co ją stać? I jeszcze próbuje nas szantażować, żebyśmy go zaakceptowali? Mam...

Hannah prostuje się niczym struna. To nigdy nie wróży nic dobrego.

– Tess wybrała właśnie jego. Kiedyś ty wybrałaś mnie i jak pewnie pamiętasz, twoja rodzina też nie była z tego powodu szczególnie zadowolona.

Johnny protestuje, ale tym razem już ostrożniej:

– Prawie się nie znają...

– Jak dobrze się znaliśmy za pierwszym razem, gdy... – prycha Hannah.

– To chyba, do cholery, różnica, mam... byłaś... to było co innego! – odcina się Johnny.

– W jakim sensie?

I wtedy Johnny popełnia najgorszy możliwy błąd, ocenia intencje młodego człowieka według swoich najgorszych z młodości:

– Masz w ogóle pojęcie, co to za chłopak? Myślisz, że nie wiem, jak takie typki się zachowują? Chce się tylko przespać z jakąś dziewczyną z Hed, żeby potem móc się chwalić przed kolegami, że zaliczył cipę z Hed...

Hannah zaciska usta, jej palce aż trzeszczą, zaciskając się w pięść.

– To tak z kolegami rozmawialiście o dziewczynach z Björnstad, gdy byliśmy w jego wieku? Przyszło ci kiedyś do głowy, że nie wszyscy są takimi świniami, jak wy byliście?

Johnny opuszcza nisko ramiona, obojczyki ledwie wytrzymują ich ciężar.

– Nie to miałem na myśli...

Hannah nie pozwala jednak na dalsze przeprosiny, przerywa mu z nieukrywaną złością:

– Wiesz, co Tess ma? Coś fantastycznego. Coś, czego jej zazdrozczę. Czego nie ma nikt inny w tej rodzinie. WŁASNE ZDANIE!

Wychodząc, trzaska drzwiami tak mocno, że huk słychać w całym domu. Z czystej frustracji Johnny strąca na podłogę cały słoik z kluczami, tymi, które nie wiadomo, do czego są, ale których każdy ojciec ma ich w domu setki. Gdzieś w świecie istnieje zamek, który otwierają, a może po drugiej stronie znajdują się nawet odpowiedzi na pytanie, jak przestać być cały czas na minusie u swojej rodziny, cokolwiek by się robiło.

Gdy Bobo w końcu wychodzi, Tess zostaje w domu. Między nią a mamą nie ma jeszcze pokoju, jedynie zawieszenie broni, ale Hannah się z tym godzi. Tess wraca do swojego pokoju, jednak nie trzaska już drzwiami. Gdy Bobo idzie do samochodu, niewielkiego zardzewiałego zielonego peugeota, na podjeździe pojawia się Johnny. Bobo jako jeden z naprawdę niewielu mężczyzn z okolicy jest od niego większy, ale mimo to przystaje, pewien, że zaraz mu się oberwie.

– To twój samochód? – pyta Johnny na jednym wydechu.

Niełatwo stać się dorosłym, lecz nieporównywalnie trudniej pozwolić na to komuś innemu.

– Tak... tak, dostałem od taty! To znaczy w sumie najpierw dostałem kampera, ale oddałem go koledze. Jeden z naszych klientów chciał tego peugeota zezłomować, więc go naprawiłem. Nie wygląda może jakoś szalowo, ale w środku jest okej! – Bobo kiwa głową, usiłując nie brzmieć, jakby się chwalił lub starał przypodobać.

Johnny drapie się po brodzie i wskazuje na minibusa.

– A w tym coś szwankuje silnik – przyznaje, co jest równoznaczne z wywieszeniem białej flagi.

Bobo potrząsa entuzjastycznie głową.

– Mieliliśmy takiego samego w warsztacie! Myślę, że mógłbym go dla pana naprawić!

– Masz nadzieję, że pozwolę ci być ze swoją córką, bo naprawisz mi samochód?
– pyta podejrzliwie Johnny.

Bobo szokuje go szczerością:

– Nie sądzę, żeby to pan decydował o tym, czy ze mną będzie czy nie. Myślę, że sama zadecyduje.

– Dobra odpowiedź – przyznaje niechętnie strażak.

– Przepraszam – mówi Bobo, bo używa tego słowa tak często, że czasem z przyzwyczajenia po prostu z niego wylatuje.

Johnny długo drapie się po brodzie.

– Serio myślisz, że mógłbyś go naprawić?

Bobo kiwa głową.

– Tak. Samochody to jedyne, na czym się znam.

– Twój tata cię nauczył? Jesteś synem Knura, prawda?

– Tak! Zna go pan?

– Graliśmy przeciwko sobie w hokeja. W juniorach złamał mi nos.

Dopiero gdy Johnny się uśmiecha, Bobo również zbiera się na odwagę i odpowiada:

– Może wjechał na pana przez przypadek. Tata umie jeździć na łyżwach tylko w jednym kierunku.

Johnny po raz pierwszy śmieje się wtedy w głos, szorstko, jakby był już stary. Mając w głowie ciężar wszystkich tych lat mijających stanowczo za szybko, mówi:

– Tess jest mądra. Naprawdę, naprawdę mądra. Ma najwyższe oceny ze wszystkiego...

– Wiem – mamrocze Bobo, przeczuwając, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Jeśli będzie chciała studiować, musi stąd wyjechać, nie ma tu dla niej możliwości dalszego rozwoju.

– Rozumiem.

– Nie traktuj tego osobiście. Z pewnością dobry z ciebie chłopak. Nie chcę jednak, żebyś ją powstrzymywał. Jeśli mam być szczery, to jej mama w głębi serca ma nadzieję, że Tess zostanie i będzie wiodła zwyczajne życie, bo Hannah nie potrafi żyć bez Tess, ale... do cholery, Bobo. Tess może być, kimkolwiek chce. Kimś wielkim, nasza córka. Rozumiesz? Nie jest taka jak...

Bobo kiwa głową, skulony. Intensywnie mruga oczami, zbyt wiele razy, by nie było widać, jak się rozpada.

– Myśli pan, że nie wiem, że Tess jest dla mnie za dobra? Wyjątkowa, a ja po prostu zwyczajny? Nie jestem może taki mądry, ale aż TAKI niemądry też nie! Nie znam się na niczym poza samochodami, i trochę hokejem, wiem, że nie mogę jej DAĆ więcej, ale nigdy... nigdy... nie będę próbował jej zatrzymać, nigdy... nie będę wobec niej niedobry. Pewnie nie mogę studiować jak ona, ale jestem całkiem niezły w reperowaniu rzeczy, a poza tym dość silny, i moi koledzy mnie lubią, i Tess też. Staram się być dobrym człowiekiem i myślę, że kiedyś będę także dobrym ojcem. I nigdy nawet NIE SPRÓBUJĘ jej zatrzymać! Jeśli zechce się wyprowadzić, to pojedę razem z nią. Mogę mieszkać gdziekolwiek, byle z nią. Zepsute samochody znajdują się wszędzie. I jeśli będzie pan próbował ją przekonać, żeby przestała mnie lubić, to oczywiście może pan to robić, ale ja się nie poddam... nie mogę...

Johnny wlepia wzrok w śnieg tak intensywnie, że Bobo przestaje w końcu paplać i nie jest nawet pewien, czy ojciec Tess go słuchał czy nie.

– Racja. Jest tak, jak mówiłeś. Nie decyduję za Tess – rzuca Johnny, gdy mijają już całą wieczność.

Był zmuszony zadać sobie pytanie, o co tak naprawdę się złości, i odpowiedź nieszczęśliwie przypadła mu do gustu. I właściwie nie jest zły, tylko pusty. Córka wyszła wczoraj z domu, nawet z nim nie rozmawiając. W tajemnicy sprawiła sobie chłopaka. Ma teraz całe życie, o którym mu nie mówiła. Jakim to go czyni ojcem?

– Tess płacze, gdy o panu rozmawiamy, a ja nie chcę, by płakała – mówi Bobo prawie niesłyszalnie. – Albo więc ona przestanie mnie lubić, albo pan musi zacząć.

Johnny podnosi wzrok, zmęczony.

– Wiesz co? Nie tylko na samochodach się znasz.

– Nie tylko? – szepcze Bobo.

Johnny kręci głową. Uśmiecha się lekko.

– Nie. Obiad też był w porządku.

Opowieści miłosne

Całą noc pada śnieg, we wtorek rano jest tak zimno, że gdy Stolyca z mokrymi włosami wychodzi do samochodu po kosmetyczkę, może sobie po powrocie do domu zburzyć całą fryzurę niczym klocki Lego. Peter musi mu pożyczyć zimową kurtkę, bo wszystkie, które do tej pory Stolyca uważał za zimowe, w rzeczywistości były tylko kurtkami.

– Przecież jest jesień, jak zimno będzie w takim razie w grudniu? – pyta zaniepokojony.

– Wystarczająco zimno, żebyś zatęsknił za jesienią – odpowiada z uśmiechem Peter.

Razem ruszają do hali lodowiska. Peter powinien oczywiście jechać do pracy, ale udaje, że musi pokazać chłopakowi drogę, wszystko po to, żeby móc zobaczyć jego pierwszy trening. Ana i Leo idą do szkoły, więc Maya postanawia towarzyszyć ojcu, głównie by się z nim nieco podroczyć, co naprawdę, naprawdę świetnie działa. Peter demonstracyjnie ustawia się między nią a Stolycą, więc Maya całą drogę nieprzerwanie prawi chłopakowi komplementy na temat jego fryzury i nowej kurtki, aż w końcu ojciec pomrukuje nieswojo po ojcowsku, jak to tylko ojcowie potrafią. Na miejscu Stolycę natychmiast przejmuje dozorca, by przejrzeć z nim listę wyposażenia, a Peter nadal z przyzwyczajenia trzyma Mayę za rękaw kurtki, tak jakby miała cztery lata i bał się, że wywróci się w basenie. Córce to nie przeszkadza. Dopiero gdy już siedzą na trybunach, mówi:

– Cieszę się, tato, że znów niepokoisz się o takie normalne rzeczy.

Peter nie rozumie, o co chodzi Mai, i nie ma nic normalniejszego niż to. Potem udają się do kafeтерии i kupują czekoladowe kulki.

—

Mira jedzie do biura, zamyka się w nim ze współpracowniczką i cały dzień przeglądają dawne sprawy sądowe i nowe dokumenty księgowo, przygotowując się na najgorsze. „Zawsze miej nadzieję na pokój, ale w razie czego przygotuj się jak na wojnę” – taką radę usłyszała Mira od jednego z wykładowców jeszcze w czasach studenckich. Te słowa nabrały teraz wyjątkowego znaczenia. Boli ją od nich całe ciało.

– Dziękuję, że to robisz – mówi zmęczonym głosem żona Petera.

– Obraziłabym się, gdyby w ogóle przeszło ci przez myśl, że ci nie pomogę – odpowiada współpracowniczka.

Mira z trudem się uśmiecha.

– Wiem, że zrobiłabyś dla mnie wszystko, ale teraz to dla Petera...

– Robię to dla ciebie.

– Wiesz, co mam na myśli.

Współniczka patrzy na nią spod grzywki i wzdycha:

– Kurde. Chcesz usłyszeć prawdę? Robię to dla was obojga. Nigdy nie uważałam, że Peter na ciebie zasłużył, ale wiesz co? Ty też nie zawsze na niego zasługujesz. Tyle razy byłam już pewna, że się rozwiedziecie, ale jakoś nie możecie. Nie możecie bez siebie żyć. Więc nie będziecie. Nie mogę do tego dopuścić. Przeszliście już przez tak wiele, że jeśli wam nie uda się utrzymać waszej miłości przy życiu, to dla nas, pozostałych, nie ma już żadnej nadziei!

Mira wyciera policzki rękawem swetra.

– Mówisz, jakby to była jedna długa walka.

– A czy miłość właśnie taka nie jest? Kochać kogoś to jedno, ale kto, do chuja, ma siłę być KOCHANYM przez dwadzieścia lat?

Rękaw swetra robi się czarny.

– Naprawdę go kocham...

Współniczka się uśmiecha.

– Wiem. Wszyscy to wiedzą. Boże drogi, Mira, wszyscy to wiedzą. Ty i on walczyście. Ciągłe coś gdzieś znajdujecie, a potem walczyście o to aż do śmierci. Pewnie dlatego jeszcze dla ciebie pracuję. Sprawiasz, że mam poczucie, że stoję po właściwej stronie.

Mira pociąga nosem.

– Nie pracujesz dla mnie, tylko ze mną...

Koleżanka poklepuje ją po głowie.

– Nie. Uwielbiam cię, naprawdę, ale wszyscy pracują dla ciebie. Nawet twój mąż.

Mira zaciska oczy tak mocno, że aż czuje ból w skroniach.

– Wiem... że Peter jest naiwny i łatwowierny, ale nigdy... celowo nie zrobiłby nic nielegalnego. Nigdy nie naraziłby mnie ani dzieci na takie ryzyko. Boże, on przecież nawet nie ma odwagi zaparkować samochodu za blisko skrzyżowania! Mimo to...

Wspólniczka przytula jej głowę do ramienia i gładzi ją po włosach.

– Ale serio, Mira, co za frajda bronić niewinnego? Toż to żadne wyzwanie – szepcze.

–

Cały sport bazuje na minimalnych marginesach. Promilach, milimetrach, gramach. Za wszystkimi najbardziej spektakularnymi sportowymi wyczynami stoi tysiąc niewidocznych „jeśli tylko”, „jeśli nie” i „tak blisko”.

Benji jedzie kamperem przez Björnstad, wydmuchuje dym przez zsuniętą szybę i zwalnia na wysokości hali lodowiska. Siedzi tak dłuższą chwilę z trawą w płucach i dzieciństwem w sercu, tylko po to, by poczuć, czy tęskni, czy brakuje mu hokeja, ale nic się nie wydarza. Zastanawia się, czy nadal kochałby ten sport, gdyby przed dwoma laty został, zamiast wyjeżdżać. Coraz częściej zadaje sobie pytanie, kim by był, gdyby jego życie w tak dużej mierze nie zależało od decyzji innych: gdyby ojciec nie zrobił, co zrobił, gdyby Kevin nie zrobił, co zrobił, i wszyscy pozostali też nie zrobili tego, co zrobili, ani nikt nigdy nie dowiedziałby się prawdy o Benjim... Jak wyglądałoby wtedy jego życie? Gdyby miał teraz wehikuł czasu, to czyby go użył?

Zaciąga się mocno i sięga po telefon, dzwoni na ten sam numer trzykrotnie, ale nikt nie odbiera. Cały sport bazuje na minimalnych marginesach, czasami to tylko przyjaciel, który nie traci względem ciebie nadziei.

Kamper rusza dalej, całą drogę aż do Niecki, i objeżdża parking przy czynszówkach. Benji spogląda na zegarek. Na podwórku nie bawią się żadne

dzieci, takie dni jak ten są raczej wyjątkiem, nagle spada za dużo śniegu, by wyciągnąć kije i grać na trawie, a lód nie zamarzł jeszcze dostatecznie mocno, by zabrać łyżwy i iść na jezioro. Kamper toczy się wolno wzdłuż jednego z budynków, aż podejźdza pod drzwi do piwnicy. Benji ponownie wybiera numer i słyszy, jak sygnał telefonu odbija się gdzieś w ciemności.

Sport i marginesy: pięciocentymetrowa linia bramki może zadecydować o tym, jak zostanie zapamiętane całe życie. Finał może się rozegrać w ostatniej sekundzie, tak że po ponad dwudziestu latach całe miasto głęboko w lesie nadal definiuje się poprzez słowo „prawie”. Chłopiec urodzony tysiące kilometrów stąd może stać się tym, który sprawi, że w końcu poczują się warci coś więcej.

Amat stoi w ciemności przyklejony do ściany budynku z torbą na ramieniu. Benji hamuje przy nim w wehikule czasu.

– Trening zaraz się zaczyna, podrzucić cię?

Amat próbuje się uśmiechnąć, ale szczęka za bardzo mu drży z zimna i ze strachu.

– Nie wiem – przyznaje.

Benji pochyla się na kierownicy i wypuszcza dym przez nos.

– Jak długo już tu stoisz?

– Nie... wiem.

Ma sine usta, a w jego oczach czai się przerażenie, że znów wszystkich zawiedzie.

– Dlaczego po prostu nie pójdziesz do hali i nie porozmawiasz z Zackell? – pyta Benji.

– Bo nie wiem, czy jeszcze jestem tam mile widziany – prycha Amat.

Benji się zaciąga, a potem niewiele się zastanawiając, przesuwa dłonią po włosach, tak że prawie przypala sobie brew. Amat chichocze i to sprawia, że obu im robi się cieplej. Benji strzepuje żar ze spodni i mruczy:

– Nie zamierzam ci tu prawić motywacyjnych gadek, jeśli tego się spodziewasz...

Amat, trzęsąc się cały z zimna, wyrzuca z siebie sarkastyczne westchnienie.

– Nie? Myślałem, że krzykniesz „ból to tylko miękkość opuszczająca ciało” albo „zwycięzca nie marzy o powodzeniu, on je tworzy!”.

Benji uśmiecha się lekko. Między palcami układa nową bibułkę, napełnia ją starannie i szuka zapalniczki.

– Nie. Nie przyjechałem tu dla ciebie. Tylko dla siebie.

Amat tupie stopami w śniegu, zmuszając krew do krążenia.

– Okej?

Benji kiwa głową z powagą.

– Nigdy w życiu nie widziałem nikogo, kto gra w hokeja jak ty, kolego. Nie mam siły przejść przez życie, zastanawiając się, jak dobry mógłbyś być, gdybyś tylko się nie poddał.

Jeśli założyć, że nie jest to motywacyjna gadka, to wyszła z tego całkiem niezła motywacyjna gadka. Amat oddycha nierówno. Nigdy nie zapomni, jak Benji wygląda w tym momencie: ciekawskie oczy i zmierzwione włosy w starym kamperze. Łagodne serce. Wyciągnięta dłoń. Ciche kliknięcie, gdy pochyła się nad fotelem i otwiera drzwi od strony pasażera.

Amat z wahaniem kładzie na siedzeniu torbę, ale sam nie wsiada. W końcu mówi:

– Dobra. Zawieź tam moją torbę, a ja w międzyczasie dobiegnę. Przekonanie Zackell, by przyjechała mnie z powrotem, i tak już będzie trudne, nie mogę tam wparować i śmierdzieć jak fabryka haszu...

Benji wybucha takim rechotem, krztusi się i kaszle, że aż ktoś krzyczy z balkonu: „Zamknij gębę!”. Właśnie to ceni w Niece, tutaj nie trzeba długo czekać na czyjeś zdanie. Poprawia torbę na siedzeniu i zawraca kampera szerokim łukiem.

Amat biegnie już główną drogą, gdy Benji go dogania i wyprzedza. Trąbi wesoło, Amat wodzi wzrokiem za tylnymi światłami, aż gasną na tle miasta. To jeden z pierwszych prawdziwie zimnych dni w roku i jeden z ostatnich naprawdę szczęśliwych. Tego wieczoru Amat ponownie zaczyna grać w hokeja, nigdy już się nie podda, Benjiemu jednak nie będzie dane się dowiedzieć, jak daleko zajdzie.

Wrogowie

W jaki sposób ocenimy dobrą społeczność? Na jakiej podstawie zdecydujemy, że w jakimś mieście panuje korupcja? Wszystko zależy od tego, czy policzymy te skandale, które ujrzały światło dzienne, czy też te, które pozostały tajemnicą. Sprawiedliwości nie mierzy się najbardziej wpływowym mieszkańcem, ale tym najbardziej bezbronnym. Prawdziwą miarą korupcji nie jest to, za co łądujemy w więzieniu, ale to, co jesteśmy zdolni ukryć.

–

Frak przywykł już do skomplikowanych interesów, sporą część tego, co posiada, zbudował na osobliwych negocjacjach z podejrzanymi partnerami biznesowymi o wątpliwej lojalności, ale ten wtorek jest dziwny nawet dla niego. Miesiącami szukał porozumienia z wpływowymi ludźmi, by zamknąć klub hokejowy w Hed, ale teraz postępuje dokładnie na odwrót, próbując go uratować. Zaczyna wojnę, szukając pokoju. Potrzebuje przyjaciół, dzwoni więc do wrogów.

Pierwszą rozmowę odbywa z politykiem, drugą z kibicem hokejowym, tych dwóch nie łączy praktycznie nic poza tym, że nikt nie nazywa ich właśnie w ten sposób. Większość określa Richarda Theo i Teemu Rinniusa o wiele, wiele gorzej.

– Dlaczego dzwonisz właśnie do mnie? – pytają obaj podejrzliwie, gdy dowiadują się, że Frak chce z nimi rozmawiać.

– Bo obaj pragniemy tego samego – odpowiada obu Frak.

– A co to niby miałyby być? – pytają mężczyźni.

– Wygrana.

–

Richard Theo siedzi w gabinecie w budynku gminy i śmieje się w głos.

– Z tego, co mi wiadomo, nie pochwała pan zbytnio mojej polityki, dlaczego więc chciałby mi pan pomóc?

– Nie wydaje mi się, żeby pan sam szczególnie lubił swoją politykę, po prostu robi pan, co musi, by pokonać przeciwnika – mówi spokojnie Frak we własnym gabinecie w sklepie.

Richard Theo wydyma usta.

– Jeśli potrzebuje pan przysługi, powinien pan poprosić o nią przyjaciół w partii, która rządzi w gminie. O ile mi wiadomo, moja partia to tylko niewielki niezadowolony margines społeczeństwa. Może lepiej będzie, jak porozmawia pan z kimś, kto rzeczywiście ma jakąś władzę?

Frak wzdycha do telefonu.

– Oboje wiemy, że po następnych wyborach to pan będzie rządził w gminie.

Polityk uśmiecha się z zadowoleniem.

– Proszę tak nie mówić! Wydaje mi się, że nawet lepiej pasuje do mnie rola opozycjonisty, bo w tych okolicach ludzie wręcz uwielbiają protestować.

– Pozostali politycy nie są w stanie mi pomóc – przyznaje Frak.

Theo pochyla się nad biurkiem, skrywa gorliwość pod lekką kpina.

– No więc. Zaciekawiał mnie pan. Słucham, o co chodzi?

Frak wyjaśnia. Opowiada, że zmienił zdanie w sprawie połączenia klubów. Nagle dotarło do niego, że miasta potrzebują własnych drużyn, dla dobra ogółu, ale przede wszystkim dla dzieci.

– Oczywiście, oczywiście, „dzieci”, tak – śmieje się ironicznie polityk, a Frak udaje, że tego nie słyszy.

– Mam zamiar stworzyć grupę zainteresowanych przedsiębiorców, którzy podniosą ten temat w gminie. Chcielibyśmy, żeby hala lodowiska w Hed została odremontowana w ramach budżetu przeznaczonego na Björnstad Business Park! Tak żeby pokazać, że dofinansowania gminy dotyczą całego jej obszaru!

Richard Theo zastanawia się przez chwilę.

– Zakładam, że opowie mi pan też, w jaki sposób będzie to korzystne również dla... mnie?

Frak bierze głęboki wdech.

– Prawie wszyscy politycy w gminie opowiedzieli się już, że chcą mieć jeden klub, a nie dwa...

– Ponieważ pan wraz ze swoimi „grupami interesu” już ich do tego przekonał... tak. To przecież wy wysunęliście propozycję zamknięcia Hed Hockey w ramach gminnych oszczędności! – śmieje się polityk po drugiej stronie, mimo to nadal ciekawi go, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Jeśli wszyscy politycy stoją po jednej stronie, to mając odwagę stanąć po drugiej, można zdobyć wiele głosów wyborców – odpowiada enigmatycznie Frak.

Polityk wzdycha, udając zawiedzionego.

– Cały mój program polityczny opiera się na ograniczeniu gminnej rozrzutności finansowej, a pan chce, żebym wsparł władowanie wielu milionów koron w remont hali w Hed po to, by ratować Hed Hockey? Dlaczego miałbym to zrobić?

Klatka piersiowa Fraka podnosi się i opada tak głęboko, że aż trzeszczy. Dociera do niego, że nie ma sensu dłużej kłamać, bo Theo to szczwany lis i jest na to za sprytny. Przyznaje więc:

– Wiem, że to pan kierował całą sprawą, gdy przed kilkoma laty fabrykę kupili zagraniczni inwestorzy. I przekonał ich do tego, by zostali sponsorami Björnstad Hockey, ratując w ten sposób klubowe finanse. Wie pan zatem doskonale, ile warte są kontakty i kapitał. Wie pan też również, że jeśli kluby się połączą, to ich finanse i księgowość zostaną sprawdzone przez zewnętrznych audytorów, którzy mogą tam znaleźć rzeczy nieodpowiednie dla... „oczu szerszej publiczności”, że tak to ujmę.

Polityk kiwa się na krześle, podtrzymuje telefon między ramieniem a brodą i zaczyna pisać coś na klawiaturze komputera. Od paru dni nie studiował lokalnej prasy tak dokładnie jak zwykle, ale teraz znajduje artykuł o zniszczonym samochodzie Fraka. Uśmiecha się. To nie audytorów boi się Frak, tylko dziennikarzy.

– Mogę zapytać o jedną rzecz? Mam wrażenie, że w ostatnim czasie robił pan wszystko, żeby przedstawić Hed Hockey jako klub na skraju bankructwa, pełen chuliganów niszczących samochody. Teraz jednak nagle chce pan ich ratować?

Frak próbuje pohamować rosnące ciśnienie.

– Zmieniły się okoliczności, że tak to ujmę. Chciałbym wierzyć w to, że zmiana zdania nie czyni ze mnie gorszego człowieka.

Richard Theo wystukuje coś na klawiaturze.

– Hm. Niech zgadnę, czy pańska zmiana zdania ma coś wspólnego z tym, że musi pan zamieść pod dywan wszelkie ślady dealu wokół tego „centrum treningowego”, które kupiła gmina, a o którym wszyscy myślicie, że nie wiem?

Frak oddycha ciężko.

– Jest cała masa rzeczy, o których mam nadzieję, że pan nie wie, ale rzeczywiście niezmiernie mało panu umyka.

Polityk stara się oprzeć komplementom.

– Planuje pan więc stworzyć nową narrację? Zakopać skandal z Björnstad pod nowinami o tym, że gmina inwestuje pieniądze w Hed? Z nadzieją, że jeśli tylko opinia publiczna będzie wystarczająco zdecydowanie stała po stronie klubów, to dziennikarze przestaną węszyć? To bardzo krótkotrwała strategia. Wcześniej czy później ktoś znów zacznie grzebać.

Frak luzuje krawat, poci się już tak mocno, że co chwilę przekłada telefon z ręki do ręki.

– Nie potrzebuję dużo czasu, jeszcze tylko trochę. Tak żeby zdążyć ze wszystkimi papierami. Wie pan, jak to jest: po fakcie skandale nie są już dla ludzi tak interesujące. Gdy centrum treningowe zostanie wybudowane, nikt nie będzie się już przejmował tym, jak do tego doszło. Dziennikarze ruszą na polowanie za kolejną aferą. To tak jak w hokeju: to oszustwo jedynie wtedy, jeśli cię złapią.

Richarda Theo nie bawi ostatnie zdanie, nigdy nie interesował się zbytnio sportem, ale przyjmuje logikę tego, co mówi Frak. Doskonale wie, że wszystko i wszyscy w tym lesie pozostają ze sobą połączeni, niewielu potrafi to wykorzystać równie sprytnie jak on sam, w tak niewielkiej społeczności nikt nie jest przecież niezależny. Nawet dziennikarze.

– Czego pan więc ode mnie oczekuje? – pyta.

Frak rzuca wyuczoną odpowiedź:

– Będę szczery: potrzebuję pańskiego politycznego wsparcia, Hed natomiast nie tylko gminnych pieniędzy, ale również sponsorów. Tak jak Björnstad ma fabrykę. Byłoby podejrzanę, gdybym to ja próbował ich załatwić dla klubu, którego nienawidzę, myślę jednak, że pan by mógł. No więc... jeśli... pomoże mi pan uratować Hed Hockey, to będę w stanie ocalić Björnstad Hockey.

– Co będę z tego miał?

Frak zamyka oczy, wstydząc się tego, co zaraz powie:

– Dopilnuję, aby wszyscy dowiedzieli się o tym, że to pan uratował oba kluby.

Theo prycha.

– To oczywiście za mało, zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

Frak szybko wdycha powietrze, a wypuszcza je wolno.

– Czego jeszcze by pan chciał?

– Chciałbym zostać zaangażowany w ten Björnstad Business Park, który macie w planach budować.

– Nie sądziłem, że interesuje pana zarabianie pieniędzy... – wybuchają Frak entuzjastycznie, popełniając przy tym karygodny błąd, bo nagle zaczyna podejrzewać, że Richarda Theo da się przekupić.

– Nie, nie, mam wystarczająco dużo pieniędzy – odpowiada polityk niemalże rozbawionym tonem. – Jedyne, który mnie interesuje, to ten polityczny. Ta gmina musi się jednak rozwijać, by przetrwać, a żeby się rozwijać, trzeba budować. Ludzie tacy jak pan budują, a tacy jak ja decydują, gdzie i jak można to zrobić.

– Chciałby pan, żeby honory za Björnstad Business Park przypadły w udziale panu? – zgaduje Frak.

– Nie, nie, mój drogi, nie WSZYSTKIE honory. Jakaś łopata tu i tam. Kilka fotografii w lokalnej gazecie. A za jakiś czas poproszę o jeszcze jedną rzecz.

– Jaką?

Polityk wstukuje coś ponownie w komputerze i mówi:

– Jeszcze nie wiem. Ale wrócę z tym do pana. A teraz wracam do pracy.

–

Teemu zatrzymuje samochód na wąskiej drodze w lesie, stoi w śniegu oparty o maskę, pali papierosa, a jego pokłady cierpliwości powoli się wyczerpują, gdy słucha, co Frak ma do powiedzenia.

– ...sam więc rozumiesz, Teemu, ty i ja chcemy tego samego! Tego, co najlepsze dla naszego klubu! Potrze...

– To nie jest twój klub. To nigdy nie będzie twój klub – poprawia go Teemu, z takim naciskiem w głosie, że Frak ledwie łapie oddech, mimo że siedzi we własnym gabinecie wiele kilometrów stąd.

– Okej. Okej. Przepraszam. Będę z tobą... szczerzy, Teemu.

– Świetnie.

– Wiem, że klub nie przeżyłby bez kibiców na trybunie stojącej. Ale bez tego, co zrobiło kilku z nas z trybuny siedzącej, nie...

– Masz na myśli wasze jebane machlojki z gminą? Słyszałem, że to był twój pomysł, żeby połączyć Hed i Björnstad! Dlaczego nagle zmieniłeś zdanie?

Frak przełyka ślinę i dobiera słowa z niezwykłą starannością.

– Rządzący politycy nie chcą połączenia klubów. Chcą zamknąć oba i utworzyć jeden całkiem nowy. Teemu, oni myślą, że hokej to „produkt”. Nie chcą takich jak ty na trybunach, za chwilę nie będą chcieli takich jak ja, żadnych prawdziwych kibiców. Jedynie konsumentów. Wydaje im się, że wykurzą nas z trybun, jeśli wymażą naszą historię. Żadnego Hed, żadnego Björnstad, tylko jakaś nowa pieprzona drużyna, którą wymyśli agencja PR...

– Nie porównuj mnie do siebie – radzi mu Teemu, tym razem już jednak nie tak groźnie, więc Frak zbiera się na odwagę i dorzuca:

– Dziennikarze zaczęli grzebać w finansach Björnstad. Wiesz, jacy oni są, szukają skandalu, a każdy skandal musi mieć jakiegoś kozła ofiarnego. Tym razem wybrali Petera.

Wszystko, co przez następną minutę słyhać po drugiej stronie, to tylko odgłos palącego się papierosa Teemu.

– Okej. Czego potrzebujesz? – pyta po chwili.

Frak wypuszcza powietrze i ociera pot z czoła.

– Nie chcę, żebyś coś robił, tylko żebyś czegoś nie robił. Ty i twoje chłopaki nie możecie się teraz wdawać w żadne bójki. Jeśli wybuchną dodatkowe zamieszki, to rządzący politycy uznają to za kolejny argument do zamknięcia obu klubów. I wtedy wszyscy będziemy mieć przesrane. A ja naprawdę wolałbym nie dawać dziennikarzom więcej powodów do grzebania w finansach Björnstad Hockey.

– Co mogą tam znaleźć? Czego dokładnie się boisz?

– Tym się nie martw.

Ton głosu Teemu nie jest groźny, no może tylko odrobinę.

– Nie martwię się. Po prostu mnie to ciekawi.

Tak więc Frak nie mówi do końca tego, co w sumie by chciał. Ale prawie.

- Redaktorka naczelna węszy wokół klubowej księgowości.
- Chcesz, żebyśmy mieli ją na oku?
- Co? Nie, nie, nie rób żadnych głupstw!

Teemu doskonale rozumie, o czym mowa. Przez wszystkie te lata wyspecjalizował się w słyszeniu tego, o co ludzie nie mogą go poprosić, a chcieliby.

– Nigdy nie robię żadnych głupstw. Ale potrzebuję też czegoś od ciebie, Frak. Musisz nam pomóc uratować Futro.

- Futro? Przed czym?
- Wiesz, kim jest Lev?

Frak oczywiście wie. Wszystko i wszyscy są przecież ze sobą połączeni, coraz ściślej i ściślej. Teemu opowiada o długach Ramony i pogroźkach Leva. Frak obiecuje, że porozmawia ze swoimi politycznymi kontaktami i sprawdzi, co da się zrobić. Zanim kończy rozmowę, mówi ostrożnie:

– Dziękuję, Teemu. Wiem, że najchętniej zobaczyłbyś upadek Hed Hockey. Przypuszczam, że marzyłeś o zniszczeniu tego klubu co najmniej tak długo jak ja...

Teemu zaśmiewa się krótko. Czasem prawie zapomina, że we Fraku też buzuje nienawiść, to czyni go prawie sympatycznym.

– Ech, co my możemy zrobić, Fraczkę? Jeśli nie będziemy mogli grać przeciwko Hed, to nie skopimy im dup. A jeśli te dupki nie będą miały własnej drużyny, to jeszcze nie daj Bóg zaczną kibicować naszej i będę się musiał z nimi użerać na SWOJEJ trybunie! Nigdy w życiu!

Odkładają telefony. W ten sposób mierzy się korupcję w społeczeństwie. To nie oszustwo, jeśli nie łąduje się za to w więzieniu, i nie skandal, jeśli nigdy nie zostanie ujawniony. Na razie to jedynie tajemnice. Wszystkie lasy są ich pełne.

—

Po południu redaktorka naczelna zatrzymuje się w sklepie spożywczym, by zrobić zakupy. Chce zaskoczyć ojca jego ulubioną potrawą. Gdy szuka do niej składników, kilkakrotnie zwraca uwagę na dwóch młodych mężczyzn. Nigdy nie przystają koło niej, ale zawsze w pobliżu. Gdy płaci, stoją kawalek dalej w tej samej kolejce, a gdy przechodzi przez parking, ma wrażenie, że widzi ich kątem

oka, kiedy się jednak odwraca, nikogo tam nie ma. Gdy wsiada do samochodu, przejeżdża obok niej inny pojazd, nieco za blisko i z takim pędem, że dziennikarka aż podskakuje. Wszystko dzieje się zbyt szybko, by mogła zanotować numery rejestracyjne, ale jest prawie pewna, że kierowca miał na sobie czarną kurtkę.

Gdy wraca do domu, robi się już ciemno, a ona wszędzie widzi cienie. W nocy budzi się, bo słyszy, że ktoś naciska na klamkę u drzwi wejściowych, by sprawdzić, czy są zamknięte na klucz. Następnego ranka w drodze do pracy jedzie za nią młody chłopak na skuterze. Początkowo wydaje się jej, że tylko to sobie wmawia. Wkrótce ma taką nadzieję.

Przywódca

Zackell siedzi na trybunach, dozorca obok niej. Mężczyzna rzuca okiem na zegarek i uśmiecha się szeroko.

– Wygląda to tak, jakbyś chciała porządnie wkurzyć drużynę, każąc im trenować tak późno wieczorem.

Zackell nie odpowiada. Dozorca wyrzuca z siebie mieszankę kaszlu i chichotu. Po tym, jak Hed zaczęło korzystać z tutejszej hali lodowiska, trenerka zmieniła grafik, tak by pierwsza drużyna mogła trenować jako ostatnia. Wszyscy uznali to oczywiście za pozytywny znak, tak jakby chciała świecić przykładem i pokazać, że wszyscy są tak samo ważni, ale dozorca od razu zrozumiał, co Zackell właściwie miała w planach. To co zwykle. Testowanie zespołu.

– Zdecydowałaś już, kto w tym sezonie będzie kapitanem? – pyta dozorca.

Trenerka oczywiście nie odpowiada, ale mężczyzna widzi, że kąci jej ust delikatnie się unoszą, bo z tym pytaniem wraca do niej każdego dnia od początku sezonu.

W drużynie hokejowej przewija się wiele słów, ale żadne nie jest tak mielone jak „przywództwo”. Problem w tym, że w różnych miejscach znaczy ono całkiem coś innego, nie wszyscy przywódcy mogą stać na czele każdej drużyny, jest tyle sposobów na to, by porwać grupę, a większość z nich zna tylko jeden. Dozorca lubi tę starą opowieść: „Co to jest, gdy człowiek wychodzi do lasu, a inni idą za nim? Przywództwo. A co to jest, gdy ten sam człowiek wychodzi do lasu sam? Spacer”. Opowiedział go kiedyś Zackell i wtedy się uśmiechnęła, ale nie tak, jakby myślała, że żart był zabawny. Dozorca nie jest do końca pewien, czy to dlatego, że nie rozumiała, o co chodziło, czy też dlatego, że uznała, że to on nic nie rozumie.

– Mam zamknąć drzwi wejściowe? – pyta.

Trenerka nakazywała to ostatnio, by nauczyć zawodników punktualności.

Zackell kręci jednak głową.

– Nie. Czekamy jeszcze na jednego.

Wstaje i rusza do szatni. Pierwsza drużyna jest dopiero w połowie przebrana, wszędzie rozbrzmiewają ziewanie i narzekania na późną porę treningu. Że też tak komicznie łatwo wyprowadzić grupę dorosłych mężczyzn z równowagi, jedyne, co musisz zrobić, to przełamać ich dotychczasowe nawyki. Zackell nigdy nie dziwiło, że mężczyźni wywoływali wojny, ale już to, że któremuś z nich kiedykolwiek udało się jakąś wygrać, stanowiło dla niej cud.

Gdy trenerka pojawia się w szatni, Bobo ucisza zawodników, milkną na tyle, że bez podnoszenia głosu może im zakomunikować:

– Dzielimy dziś taflę z juniorami.

– Noż kurw... – dobiega zewsząd, a to dopiero początek kakofonii uzalających się nad sobą mężczyzn.

Drużyna powoli zaczęła się już przyzwyczajać do dziwacznych ustawień treningowych lub też przynajmniej je akceptować. Łatwiej im to przychodzi, gdy wygrywają. Zwycięstwo leczy wszystko. Jednak treningi na połowie lodowiska nadal doprowadzają ich do szału. Jakiś czas temu Zackell przeczytała artykuł o niewielkim klubie hokejowym w jednym z dużych miast, który mimo braku wystarczającego czasu na lodzie i okrojonych środków rok do roku wychowywał zawodników draftowanych do NHL. Gdy zapytano przewodniczącego klubu o to, z czego to wynika, wyjaśnił, że nie pomimo niewystarczającego czasu na lodzie, ale właśnie dzięki temu. Dwie lub trzy drużyny młodzieżowe musiały zawsze trenować wspólnie, tak więc wszyscy przyzwyczaili się do gry na niewielkiej powierzchni, co w rezultacie sprawiło, że stali się lepsi. „Hokeja właściwie nie rozgrywa się pięciu na pięciu” – powiedział przewodniczący i dopóki Zackell nie pokazała Bobo tego artykułu, on sam też nigdy na to w ten sposób nie patrzył. Na lodzie podczas meczu znajduje się dziesięciu zawodników, ale hokej w konkretnym momencie rozgrywany jest jedynie na tym metrze kwadratowym, na którym znajduje się krążek. Trening w ciasnych przestrzeniach okazał się zaletą i o to właśnie chodzi w hokeju: o chociaż niewielkie fory. Kilkucentymetrowy margines.

Zackell nie słucha więc narzekań, wychodzi z szatni, a Bobo zostaje w środku i pozwala jeszcze wszystkim pojęczeć i poprzeklinać przez krótką chwilę, zanim uśmiechnie się do nich tajemniczo.

– Wiem, że nienawidzicie dzielić się taflą. Dzisiaj jednak nie będziemy się z nimi dzielić na treningu, tylko na... MECZU TRENINGOWYM!

Atmosfera w szatni zmienia się w ciągu jednego wdechu, wszyscy reagują gromkim wiwatem, bo niektóre rzeczy nie zmieniają się nigdy: każdy z zawodników był kiedyś chudym juniorem, któremu pozwolono zagrać mecz treningowy przeciwko pierwszemu składowi. Każdy zebrał srogie cięgi. Jeśli jednak grasz w hokeja wystarczająco długo i trafiasz do pierwszej drużyny, to twoją nagrodą jest rozjechanie kolejnego pokolenia.

– Możemy grać w starych koszulkach? – pyta gorliwie jeden z zawodników.

Bobo z żalem kręci głową.

– Nie. Sorry. Musicie mieć te nowe z nazwiskami – odpowiada, na co zawiedzeni zawodnicy mamrocą coś pod nosem.

Zimą sponsorzy zakupili dla każdego gracza zestaw dwóch nowych koszulek, białą i zieloną, klub nigdy nie miał na strojach nazwisk ani numerów, ale teraz nagle stało się to ważne. Nikt nie rozumiał dlaczego, dopóki na jednym z treningów nie pojawił się Frak w towarzystwie fotografa, który ustawił się na środku lodowiska i zaczął im robić zdjęcia podczas gry. Frak potrzebował ich do broszur reklamowych i chciał mieć ujęcia prosto z lodowiska. Nie dało się tego zrobić podczas regularnego meczu, więc znalazł na to rozwiązanie. Zawodnicy nie byli oczywiście głupi i od razu zauważyli, że fotograf robi zdjęcia tylko jednemu z nich. „Nie byłoby prościej, gdybyś na każdej koszulce po prostu napisał nazwisko Amata i wtedy można by fotografować któregośkolwiek z nas?” – zapytali pochmurnie.

Frak zdawał się nie rozumieć przytyku i w ten właśnie sposób sprawił, że wszyscy znienawidzili nowe koszulki, i dlatego też Zackell zmusza ich dzisiaj do grania w nich. Chce, żeby byli wkurzeni. Bobo patrzy na zegar na ścianie, wychodzi na korytarz, wraca i ponownie patrzy na zegar. Już prawie traci nadzieję, gdy nagle słyszy skrzypienie drzwi wejściowych, przez które wpada zdyszany i czerwony na twarzy Amat. Serce Bobo gubi swój rytm, a nogi mu się płaczą i asystent trenera w ostatniej sekundzie powstrzymuje się, żeby nie podbiec i nie uścisnąć kolegi. Bo to też jest test.

Jakżeby Amat pragnął, żeby wszystko było tak łatwe i możliwe do załatwienia uściskiem. Podchodzi do Zackell stojącej przy bandzie. Trenerka zachowuje się, jakby go nie widziała, Amat stoi przed nią, otyły i blady, i nie znajduje w sobie odwagi, by spojrzeć jej w oczy. Zackell nie odzywa się ani słowem, zmusza go do rozpoczęcia rozmowy.

– Czy mogę... mogę trenować? – Amat zbiera się w końcu w sobie.

– Mamy pełny skład – odpowiada szorstko trenerka i wskazuje na łód, na który właśnie wjechał Aleksandr.

Amat patrzy na niego. Jest wielki i silny, co najmniej o głowę wyższy od Amata, poza tym porusza się z naturalną pewnością siebie i uprzywilejowaną arogancją, której jemu samemu zawsze brakowało. „Cały zestaw” – jak to zwykli mówić o tym rodzaju talentu faceci w mieście. Tak właśnie wyrażali się o Kevinie.

– Okej... mogę... w takim razie potrenować na siłowni? – pyta Amat, walcząc ze łzami. – Oczywiście jeśli to pani nie przeszkadza.

Zackell nawet na niego nie patrzy, gdy odpowiada:

– Gramy dziś wewnętrzny mecz przeciwko juniorom. Jest miejsce w ich drużynie, jeśli ci to pasuje.

Amat przytakuje, wlepiając wzrok w podłogę. Jego głowa jest tak ciężka, że to cud, że chłopak w ogóle jeszcze stoi prosto.

– Chętnie. Dziękuję – szepcze.

– Możesz zabrać swoją zieloną koszulkę z naszej szatni, a potem przebrać się u juniorów – instruuje niewzruszonym głosem Zackell.

Żeby znaleźć swoją koszulkę, Amat musi więc najpierw wejść do szatni pierwszej drużyny, w której zalega kompletna cisza, ponieważ nikt nie widział go od wiosny. Potem przejść na drugą stronę korytarza, do szatni juniorów, w której również panuje grobowa cisza, tyle że z całkiem innych powodów. Juniorzy są niewiele młodszy od niego, ale nie ma to znaczenia, bo w tej sytuacji oni są tylko dziećmi, a on ich idolem. Jeden z nich podrywa się na równe nogi i proponuje mu swoje miejsce na najlepszej ławce ze sporą przestrzenią wokół. Amat kręci jednak ze smutkiem głową i siada w kącie przy toaletach. To tam siedzi zawsze „pędrak”, najmniejszy i najsłabszy zawodnik w drużynie. To było jego miejsce, gdy po raz ostatni rozgrywał mecz w drużynie juniorów.

– Będziesz grał z nami? – pyta w końcu jeden z zawodników, który zebrał się na odwagę.

Amat kiwa głową, a w całym pomieszczeniu roznosi się radosny pomruk. Potem wszyscy milkną, a Amat czuje, że strach wypala mu wnętrze od żołądka aż po gardło, gdy dociera do niego, że wszyscy mu się przyglądają. Ledwie ma siłę ściągnąć z siebie ubranie, z nikim nie chce rozmawiać, ale ci chłopcy najwyraźniej

się spodziewają, że coś do nich powie. Nagle tak bardzo brakuje mu tu Benjiego, który po prostu by wstał i powiedział: „Chodźcie, damy im wycisk!”, albo coś w tym stylu, i wszyscy wybiegliby za nim, krzycząc radośnie. Ale Benji to Benji, a Amat to niestety Amat.

– Przepraszam! – wykrzykuje zawodnik siedzący obok niego, któremu przy wiązaniu łyżew osunęła się dłoń i który niechcący uderzył nią Amata w nogę.

Amat zauważa, że chłopcu drżą ręce.

– Zdenerwowany? – pyta Amat cicho.

Chłopak kiwa głową.

– Gramy przeciwko pierwszej drużynie! Zrobiam z nas miazgę!

Amat nie ma na to żadnej odpowiedzi, więc się nie odzywa. Rozbiera się, a cisza wokół niego jest niczym owady zaraz przy skórze. Gdy podnosi swoją koszulkę, widzi, że chłopak siedzący obok patrzy na nią z zazdrością. Juniorzy też takie mają, ale bez nazwisk na plecach, dla pierwszego składu były one może PR-ową zagrywką, jednak dla juniorów to symbol statusu. Jeśli twoje nazwisko jest na koszulce, to znaczy, że klub nie zamierza się z tobą rozstawać.

– Macie może jakiś nóż? – pyta Amat cicho.

Widzi zdziwienie malujące się na ich twarzach.

– Nóż – powtarza któryś z chłopców.

Amat przytakuje.

– Ja mam... – odpowiada drobny chłopak w przeciwnym rogu. Zawsze można liczyć na to, że w szatni w Björnstad zastaniemy chociaż jednego myśliwego, a oni zawsze mają ze sobą noże.

Przekazują go sobie z ręki do ręki pomiędzy ławkami, a gdy narzędzie trafia do Amata, ten natychmiast zaczyna nim usuwać swoje nazwisko z koszulki. Literka za literką, aż wygląda tak jak reszta zespołu. Potem się podnosi, oddaje właścicielowi nóż i mówi:

– Niezbyt dobrze wychodzą mi przemówienia i tego typu rzeczy. I macie rację: pierwsza drużyna was dziś rozjedzie. Są więksi i silniejsi.

Odchrząkuje i milknie na wystarczająco długo, by ktoś zdążył krzyknąć:

– Niezła mowa!

Cała szatnia wybuchła śmiechem, Amat również i w tym momencie coś w nim puszcza. Coś, co od dawna go krępowało. Zaczyna więc dalej mówić, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza.

– Czytałem... hm, czytałem o jednej łyżwiarce figurowej. Nie pamiętam, jak się nazywała. W każdym razie była faworytką na mistrzostwach świata, dlatego jej trener doradził jej, żeby usunęła ze swojego pierwszego programu wszystkie trudne skoki, skupiła się na tych prostych rzeczach, ale wykonała je perfekcyjnie: wtedy powinna wygrać. Wyjechała więc na lód i... wszystko skopała. Wywracała się przy figurach, przy których nigdy wcześniej się jej to nie zdarzało. Z niczym sobie nie poradziła. Wylądowała na ostatnim miejscu. Najgorszy moment jej życia. Poszła później do szatni i siedziała tam całkiem sama, myśląc zapewne... *Fuck it*^[17]. Po czym wyszła, pojechała następnym programem, wykonując w nim wszystkie najtrudniejsze skoki, których nie potrafił powtórzyć nikt inny. Z ostatniego miejsca poszybowała po brąz. Czaicie? Bo... ja... kurde, sam już nie wiem, co chciałem wam powiedzieć, nie jestem w tym DOBRY, ale...

W szatni panuje całkowita cisza, wszyscy wyczekują jakiejś puenty. Amat nie ma żadnej. Czuje się, jakby referował coś w szkole i właśnie do niego dotarło, że całkiem opacznie zrozumiał zadanie. Ma wrażenie, że zaraz zapadnie się pod ziemię, gdy nagle chłopak siedzący obok niego mówi:

– Też o niej czytałem. O tej łyżwiarce. Zdaje się, że potem powiedziała coś w stylu, że nie potrafi jeździć prostych programów, bo wtedy za dużo myśli. I że najlepsza jest wtedy, gdy samej sobie stawia wyzwania...

– Moja matka mówiła to samo, jak byłem mały i mieliśmy grać z silniejszym od nas przeciwnikiem: „To MA być trudne!” – wykrzykuje jeden z juniorów.

Juniorzy wybuchają śmiechem.

– Moja matka to samo! Typowy tekst mamuśki z Björnstad!

Amat siada, śmiejąc się, zawiązuje łyżwy i wstaje, nie myśląc o konsekwencjach. Pozostali zawodnicy również się podnoszą. Ruszają za nim, gdy wychodzi na korytarz. Moment, w którym szturmują lodowisko, każdy z juniorów zapamięta i każdy będzie się nim chwalił jako dniem, gdy grali z Amatem.

Na ławce w szatni zostaje jego nazwisko, tak żeby każdy wiedział, że tym razem nie gra dla siebie.

—

Pierwsza drużyna Björnstad Hockey nie składa się może z samych zakonników, ale dawno już nie zdarzyło im się tyle kłać na treningu. Wiją się w pocie czoła i krwi, żeby tylko nadążyć, każdy junior prześciga samego siebie w każdej zmianie, dla Amata walczą do upadłego, a on sam zdaje się być wszędzie. Może i ma nadwagę i rusza się wolniej niż kiedykolwiek, ale i tak nikt z pierwszego składu nie jest w stanie go doścignąć. Robią więc jedyną logiczną w tym wypadku rzecz: uderzają, podcinają i rzucają się na niego. Kilkukrotnie zbiera takie ciosy i uderzenia kijem, że aż bezwładnie upada, ale gdy Bobo spogląda na Zackell, czekając na znak, czy ma odgwizdać, ona tylko kręci głową. Chce, żeby Amat porządnie się wkurzył, chce zobaczyć, co zrobi z tą złością. Kilka razy podnosi się i prawie zaczyna walić kijem na prawo i lewo, ale się powstrzymuje, nawet wtedy, gdy słyszy prześmiewcze okrzyki dochodzące od dawnej drużyny. Dostaje kijem w plecy, lecz w porę się uchyla i wyrywa, odzyskuje krążek, przejeżdża obok dwóch przeciwników z taką furją, jakiej nikt w tej hali nie widział, odkąd Amat był w najlepszej formie wiosną. Koszulka ciasniej opina mu brzuch, ale im dłużej gra, tym bardziej przypomina dawnego siebie. Nie do zatrzymania. Nie strzela dziesięciu bramek tylko dlatego, że Zackell konsekwentnie ustawia go przeciwko Aleksandrowi, który może i jest wolniejszy, ale gra o wiele sprytniej. Cokolwiek Amat wymyśli, Aleksandrowi udaje się podjechać i wybić krążek w ostatniej sekundzie. Pod koniec grają prawie wyłącznie przeciwko sobie, gonią się po całej tafli niczym cienie, w przerwach między zmianami Aleksandr kilkukrotnie opiera ręce o kolana, ledwie łapiąc oddech, a Amat przynajmniej dwa razy wymiotuje w bazie. To naprawdę ciężki mecz, cholernie ciężki, Bobo żał każdego, kogo tu nie ma i kto nie może go oglądać. Juniorzy zdobywają cztery bramki, z czego Amat strzela trzy. Aleksandr dwie, ale pierwsza drużyna zalicza łącznie sześć i wygrywa. Nie ma to znaczenia. Gdy Bobo w końcu odgwizduje koniec meczu, zawodnicy pierwszego składu zostają na lodzie i biją brawo juniorom. Przelotem, kilka kłaśnień i uderzeń kijami o lód, ale ileż to znaczy dla tych nastolatków.

Zbierają się w swoich szatniach, ale Amat nie ma już siły się tam dowlec. Pada na korytarzu. Aleksandr jako ostatni przechodzi obok niego, przystaje na chwilę, trąca łyżwę Amata kijem i mówi:

– Nie mogę się doczekać, kiedy się spotkamy, jak dojdiesz do formy.

Amat się uśmiecha.

– Ja też.

To takie niewielkie wyzwanie, którego obaj potrzebują. Zackell nie jest głupia. Aleksandr znika w szatni pierwszej drużyny, a Amat zmusza się, żeby kulejąc, doczłapać do juniorskiej. Słyszy za sobą rosnący rechot i wie, kto to, nawet nie musi się odwracać.

– Zamknij gębę, Bobo, wiem, że idę jak stara baba...

– Przecież nic nie mówię!

– Nie, ale wiem, że masz zamiar, więc radzę ci, zamknij gębę! I nie dotykaj mnie, bo boli mnie wszystko...

Bobo rechocze i obejmuje go swoim wielkim ramieniem.

– Mówiłem przecież! Jesteś jak łubin!

– Dzięki, kolego – jęczy Amat.

Przechodzi mu przez myśl, że większość ludzi naprawdę nigdy się nie zmienia, niektórzy jednak zmieniają się całkowicie. Teraz to nie do pomyślenia, ale gdy sami grali jeszcze w juniorach, Bobo należał do najgorszych prześladowców i gnębicieli. Wydaje się to tak samo niewiarygodne jak to, że Amat należał kiedyś do zawodników najwyższej klasy.

– Jak myślisz, co by dziś o tobie powiedziała? – chichocze Bobo, wskazując głową na zdjęcie Ramony wiszące na ścianie.

– Pewnie że jestem grubasem – mówi Amat z uśmiechem na twarzy.

Bobo poklepuje się z zadowoleniem po brzuchu.

– Popatrzyłaby na mnie i powiedziała, że wielki grubas właśnie wysrał małego grubasa!

Amat śmieje się tak, że aż wszystko go boli. Potem człapie powoli korytarzem w stronę szatni, z której dobiegają już okrzyki juniorów.

– Nie tam! – woła za nim Bobo, już nie jako kolega, ale asystent trenera.

Amat się odwraca, niepewny, czy przypadkiem nie jest to okrutny żart.

– Serio? – wydusza.

– Serio! Zackell zakłada, że będziesz grał już w pierwszym meczu przeciwko Hed w weekend! Biegaj więc, grubasku, biegaj!

Amat próbuje powstrzymać łzy. Bobo zdążył już przenieść jego rzeczy do szatni pierwszej drużyny. Tym razem nikt nie cichnie, gdy Amat wchodzi do środka, nikt nawet nie podnosi na niego wzroku ani się nie przesuwają, wszyscy dalej rozmawiają, tak jak zwykle. Tak jakby zawsze do nich przynależał. Jego dawne miejsce jest puste, Aleksandr siedzi na miejscu zawodnika, który wiosną opowiadał dowcipy o Levie. Nie ma go już w zespole. Amat nigdy się nie dowie, czy z powodu żartów, czy też dlatego, że słabo grał w hokeja.

Rozbiera się, a wszyscy mu się przyglądają. Samotnie idzie pod prysznic. Nikt nie rusza za nim. Stoi pod strumieniem gorącej wody, opłukując obolałe mięśnie i jeszcze bardziej obolałe ego.

Gdy wraca do szatni, na jednej z ławek leży nóż. Wszyscy koledzy z drużyny odpruli swoje nazwiska z koszulek. Nikt nie odzywa się ani słowem, każdy wrzuca jedynie resztki materiału do kosza na śmieci i idzie pod prysznic. W końcu Amat zostaje na ławce w kącie sam ze swoim oddechem. W ten właśnie sposób przegrywa mecz, ale na nowo wygrywa całą szatnię.

—

Treningom pierwszego składu rzadko kiedy przygląda się duża publiczność, dziś jednak na trybunach widać znajome twarze. Maya i Peter zajadają czekoladowe kulki, dołącza do nich dozorca, a po chwili pojawia się nawet dawny trener drużyny Sune ze swoim psem. W połowie treningu słyszą ciche kroki na schodach i szept:

– Usiądź przede mną! Nie chcę, żeby mnie widział!

To Fatima. Tak bardzo chciałaby zobaczyć, jak syn gra, ale boi się, że gdy ten ją zauważy, poczuje presję. I że zepsuje mu całą magię. Peter i Sune śmieją się, że niedługo stanie się taką przesadną mateczką, która w meczowe dni odprawia więcej dziwnych rytuałów niż sami zawodnicy.

– Zaraz zasiądziesz tu z jakimiś kadzidełkami i będziesz odganiać złe duchy, jeśli Amat nie strzeli wystarczającej liczby goli... – droczy się z nią Sune.

Może sobie jednak myśleć i mówić, co chce, Fatima i tak go nie słucha. Jej chłopiec znów gra, nic innego się dla niej nie liczy. Maya siada przed nią, a gdy Amat strzela gola, Fatima ściska ją za ramiona tak mocno, że aż się zawstydzą. Maya się uśmiecha i zapewnia, że to nic nie szkodzi, ale potem się odwraca i coś

zauważa, i wtedy to ona ściska dłoń Fatimy nieco zbyt mocno. Drzwi hali się otwierają, do środka zakrada się pojedyncza postać i siada w tylnym rzędzie w rogu.

– A skoro już jesteśmy przy złych duchach... – Dozorca uśmiecha się, widząc, że to Benji.

Sune i Peter odwracają się w jego stronę, tak jakby do domu wrócił ich własny syn. Żaden z nich nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa, więc wesołe poszczekiwanie psa Sunego muszą wystarczyć za powitanie. Zackell stoi w bazie i również go zauważa, nie za bardzo radzi sobie z uczuciami, bo też nie za bardzo radzi sobie w relacjach z ludźmi, ale odkąd odszedł, nie pozwoliła nikomu w zespole grać z numerem szesnastym. W każdym zespole, który kiedykolwiek jeszcze będzie trenować, zachowa ten numer, bo w głębi serca nigdy nie przestanie mieć nadziei, że właśnie to się wydarzy: że otworzą się drzwi i Benji wkroczy do środka, jak gdyby nigdy nic. Będzie trenować o wiele większe talenty, szybsze i bardziej uzdolnione technicznie, ale zawsze w każdej drużynie wymieniłaby każdego za tego długowłosego durnia. Benji napotyka jej wzrok po drugiej stronie lodowiska i kiwa głową. Zackell odpowiada tym samym gestem. To wszystko. Benji się obawia, że jeśli podeszłoby bliżej, to trenerka zapytałaby, czy wraca do gry, a on nie chce jej zawieść, więc trzyma się na dystans. Zackell rzadko czegoś żałuje, a jeśli już, to właśnie tego, że natychmiast nie podeszła do niego i nie powiedziała mu, jak za nim tęskniła. Tak samo jak już zawsze będzie żałować wszystkiego, czego nie zdążyła powiedzieć Ramonie.

Trening nadal trwa, zawodnicy na lodzie są zbyt zajęci, by obserwować, co dzieje się na trybunach, Benji siada więc w najwyższym rzędzie i wsłuchuje się we wszystkie dźwięki. Ślizgi, echo, przyspieszone oddechy. Bang bang bang. Jeszcze niedawno zostawił torbę Amata przed halą i naśmiewał się z niego, że ten tak się stresuje, ale potem sam odstał dobrą chwilę, trzęsąc się na zimnie, aż dopiero w połowie treningu odważył się otworzyć drzwi i wejść do środka, żeby stawić czoła duchom z przeszłości. Jeden z nich wstaje teraz ze swojego miejsca, okrąża lodowisko i przysiada się do niego, nie pytając o pozwolenie. Wsuwa rękę pod jego ramię i opiera na nim policzek.

– Maya Andersson na treningu hokejowym? Ten nowy chłopak, o którym wspominał Bobo, musi być w takim razie cholernym ciachem! – wybuchają Benji, a Maya szturcha go z całej siły, śmiejąc się.

– Ale z ciebie bałwan, wszyscy jesteście bałwanami!

Benji uśmiecha się szeroko i wskazuje głową na taflę.

– To ten?

– Taaa – syczy Maya. – Ma na imię Aleksandr, ale tata i Zackell mówią na niego „Stolyca”, bo są takimi bałwanami, że już serio nie mam sił!

Benji marszczy czoło.

– Niezły JEST...

– Wieweeem – wzdycha bezsilnie Maya.

Benji rechocze. Maya ma w kieszeni czekoladowe kulki, a on cały dzień palił trawę, więc pożera je na raz.

– Tak się cieszę, że jednak całkiem się nie zmieniłeś. – Maya się uśmiecha.

Benji szybko zamyka oczy, a potem wolno je otwiera. Spogląda w sufit, tak jakby potrafił patrzeć prosto przez niego.

– Czy to nie dziwne wracać tak do domu? Dla mnie to megadziwne uczucie. Nawet ta hala teraz wydaje się taka ciasna, ale kiedy byliśmy dziećmi, wydawała się taka... ogromna.

– Tak. Wszystko jest megadziwne. Nawet we własnym domu nie czuję się już jak w domu. Już nawet nie mówię, że jadę „do domu”, gdy tu przyjeżdżam... – wyznaje Maya.

Benji długo się nie odzywa, a potem pyta:

– Zastanawiasz się czasem nad tym, jak wyglądałoby twoje życie, gdyby Kevin nie istniał?

Maya szepcze, zszokowana zarówno samym pytaniem, jak i swoją szybką odpowiedzią:

– Cały czas. A ty?

Jego broda drga w najmniejszym skinieniu świata.

– Myślisz, że nadal byś tu mieszkała?

Po trwającej wieczność chwili Maya odpowiada:

– Tak. Chyba dalej byłabym tą naiwną zadowoloną dziewczynką. Dalej chodziłabym na imprezy i piła ohydne szoty, i plotkowała w szkole o tym, kto z kim spał. I siedziałabym po nocy, wysłuchując Any paplającej o tym, jaki sexy był ten Benji...

– Nadal jestem! – przerywa jej zdecydowanym tonem Benji.

– Tak, tak, pieronie, nadal jesteś! Ale zbrzydłeś nieco, bo już zdajesz sobie z tego sprawę. – Maya się uśmiecha.

Benji zastanawia się przez chwilę, a zaraz potem pyta:

– A potem? Po skończeniu szkoły w Björnstad? Zostałabyś tu? Gdyby nie Kevin?

Maya rozmyśla nad tym z poważną miną.

– Tak... chyba? Może znalazłabym sobie jakiegoś zwariowanego hokeistę, kupiła niewielki dom z ogrodem, miała dwójkę dzieci, kota imieniem Simba i psa Molly...

– Wiesz, że nadałaś już imiona swoim przyszłym zwierzętom, ale dzieciom jeszcze nie? – Benji uśmiecha się szeroko.

– Jak na razie wolę zwierzęta niż dzieci. – Maya odwzajemnia uśmiech.

– Byłabyś szczęśliwa? W tym domu?

Maya ponownie opiera policzek o jego ramię.

– Tak. Wydaje mi się, że tak. Ale pisałabym gówniane piosenki.

Benji się śmieje.

– Zamieszkałbym z tobą, gdyby twój mąż cię zostawił.

– Gdyby zostawił mnie mąż, to prawdopodobnie dlatego, że z nim spałeś.

– Prawda – przyznaje Benji.

– Jestem z ciebie dumna – szepcze mu Maya do ucha.

– Ja z ciebie też – odpowiada jej Benji.

– A ja? Ze mnie już nikt nie jest dumny? Co z was za beznadziejni kumple, oboje! Czaisz, że musiałam wyszukać twój telefon w tej jebanej stalkerskiej apce, żeby w ogóle wiedzieć, że tutaj siedzicie?

Ana wspina się do nich z oburzoną miną. Maya ze skruchą w oczach zauważa, że ma dziewięć nieodebranych połączeń.

– Czekał no... podłączyłaś mój telefon do jakiejś stalkerskiej apki? Żeby wiedzieć, gdzie jestem? Po co? – wybucha z wyrzutem Maya, na co Ana rozkłada ręce, nie rozumiejąc, w czym problem.

– No właśnie dokładnie PO TO!

Gracze

Gdy wszyscy zawodnicy już się wykąпали i poszli do domu, w szatni zostali tylko Amat, Gęba i Stolyca. Są już prawie gotowi do wyjścia, gdy Amat znajduje w sobie wystarczająco dużo odwagi i pyta:

– Gęba, chcesz jutro rano potrenować ekstra? Jak kiedyś... tak sobie trochę postrzelać... Mogę poprosić dozorcę, żeby nam otworzył.

Gęba kiwa głową z entuzjazmem. Stolyca unosi brew i ostrożnie pyta:

– Mogę dołączyć?

Amat przytakuje zadowolony. Stoi jeszcze kilka sekund, aż znów znajduje w sobie wystarczająco dużo odwagi, by zaproponować:

– Możemy też pograć... od razu?

To nawet nie podlega dyskusji. Zdzierają ubrania i ponownie się przebierają. Niewielka grupa gapiów zgromadzona na trybunach właśnie zbiera się do wyjścia, ale gdy zawodnicy po raz kolejny wjeżdżają na lód, wszyscy zawracają: dozorca, Fatima, Sune, Peter, Benji, Maya i Ana. Hala lodowiska powinna być już w tej chwili zamknięta na klucz, a światła pogaszone, ale nikt nawet tego nie proponuje. Amat robi jedno okrążenie i strzela Gębie gola w prawy górny róg, tak że szelest siatki zalewa każdą duszę zgromadzoną na trybunach. Pierwszy raz od wielu miesięcy Fatima widzi swoje dziecko śmiejące się i wiwatujące.

– Śmiech w hali lodowiska, w takim razie świat nie zszedł jeszcze całkiem na psy... – mruczy dozorca, udając się do swojego kantorka, by w spokoju przetrwać wszystkie emocje.

Sune wybucha śmiechem, a pies liże go po twarzy. Peter nigdy nie czuł się bardziej w domu niż w tym momencie. Na trybunach po drugiej stronie tafla siedzą Benji, Maya i Ana. Amat przystaje po ich stronie i woła zaczepnie do Stolicy:

– Słuchaj no, poznałeś już Benjaminą Ovicha? To legenda tego miasta! I całkiem nieźle gra też w hokeja! Nie tak dobrze jak TY, ale był całkiem OKEJ...

Benji długo ze sobą walczy. Dłużej, niż ktokolwiek by przypuszczał. Po chwili jednak klnie pod nosem, wstaje i mamrocze:

– Dajcie mi jakąś parę łyżew, żebym mógł połamać nogi temu pajacowi...

Maya i Ana wybuchają śmiechem, który unosi się aż pod sufit, Amat również. Stolyca podjeżdża do niego i pyta:

– Mówi o tobie, nie? TOBIE chce połamać nogi, nie?

Benji wbiega do kantorka dozorca i wychodzi z niego w łyżwach. Dozorca zdążył się w tej hali zestarzeć i widział więcej, niż można sobie wyobrazić, ale lepszemu momentu sobie nie przypomina. Zackell i Bobo są już w gabinecie i planują kolejny trening, ale gdy docierają do nich okrzyki i wiwaty, wracają na trybuny. Bobo zauważa Benjiego i wygląda jak labrador, który właśnie usłyszał dźwięk kluczy przekręcanych w zamku, Zackell kiwa głową z pozoru niewzruszenie i mówi:

– Mogę dokończyć sama. Idź i pograj z kolegami.

Bobo w pełnej euforii zbiega z trybun, ale Zackell nie wraca do gabinetu. Przygląda się, jak Benji ugania się za Amatem po całym lodowisku, a Amat ze śmiechem mu się wymyka. Bobo wkłada łyżwy i rzuca się za nimi, i wtedy wydarza się coś najpiękniejszego: prawie dorośli ludzie zapominają, że są dorośli.

Dzielią się na drużyny: Benji, Bobo i Gęba po jednej stronie i Amat i Stolyca po drugiej. Grupy są nierówne, wołają więc Petera i ponaglają, żeby zszedł z trybuny, przyniósł łyżwy i zagrał razem z nimi. Maya prawie nie wierzy własnym oczom, ale ojciec wchodzi na lód i... dobrze się bawi.

Stolycy udaje się podawać do Amata, tam gdzie wydaje się, że podanie jest niemożliwe. Za każdym razem wygląda to na fuksa. Amat strzela bramkę i gdy w drodze powrotnej mija Bobo, woła zdyszany:

– Widziałeś to podanie? Biedne Hed w pierwszym meczu. Biedne, biedne Hed. Ten chłopak czyta mi w myślach...

Stolyca popełnia w sumie tylko jeden jedyny błąd: wykonuje zwód i przejeżdża z impetem obok Benjiego, tak że ten traci równowagę i wszyscy wybuchają śmiechem. Po tym zagranie nie ma nawet centymetra wolnej przestrzeni, bo Benji niczym szalony borsuk nie odstępował go ani na krok.

– Musieliście się zaśmiać? On mnie w końcu zabije! – szepcze Stolyca do Petera przy bramce, ale Peter tylko chichocze:

– Nie, nie, nic się nie martw, Benji ci tutaj nic nie zrobi. Zbyt wielu świadków. Po prostu „znikniesz”, gdy będziemy się tego najmniej spodziewać. W okolicy jest tyle lasów, można kopać, gdzie komu tylko pasuje!

Stolyca wlepia w niego wzrok, naprawdę, naprawdę próbując dojść do tego, czy miejscowe poczucie humoru jest aż tak do bani czy Peter serio myśli to, co mówi. Widzi Benjiego ścigającego Amata od bandy do bandy. Gdy docierają do jej dalszego końca, ich twarze są fioletowe ze zmęczenia. Bobo podjeżdża do nich, by sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku. Właśnie gdy ma zaproponować przerwę, Benji, trzęsąc się, zgina się w pół i wymiotuje wszystkie zjedzone wcześniej czekoladowe kulki za bramkę i na łyżwy Bobo.

– NIE... NO KURW... NIE... DO CHUJA... NIE! NIE! AAAA, WJECHAŁEM W TO! – krzyczy spanikowany Bobo, usiłując się wydostać z kałuży wymiocin, co oczywiście przynosi łatwy do przewidzenia efekt. Bobo wpada w poślizg, wywraca się i z płaskim ląduje pośladkami prosto w kałuży.

Nikt z całej hali nie jest w stanie złapać powietrza przez kilka dobrych minut, śmiech słyhać było zapewne nawet w Hed. Fatima przybiega z wiaderkiem i mopem, ale Amat podjeżdża do bandy, odbiera od niej sprzęt i jedzie z powrotem na lód, by posprzątać. Benji ma takie wyrzuty sumienia, że prawie go odtrąca.

– Sprzątałem już po większych świniach niż ty – rechocze Amat.

– Nie takich znów wielkich! – zauważa z obrzydzeniem Bobo, a gdy widzi, jak wymiociny zamarzają pod wpływem temperatury, jego też zbiera na wymioty.

– Czujesz ten smród, Bobo? Nie dajesz rady, co? – nabija się z niego Amat, a Benji wybucha takim śmiechem, że prawie traci głos.

Ogromne ciało Bobo całe się trzęsie od mdłości, a Benji w końcu przykuca, bo od śmiania się aż zaczęły go boleć zębra. Bobo przechyla się przez bandę, solennie obiecując Amatowi, że porozmawia sobie z Zackell o słuszności doboru akurat takiego składu drużyny, a wtedy Benji wybucha jeszcze większym śmiechem i błaga przyjaciela, by ten już nic nie mówił, bo sam nie ma już siły się śmiać.

Ze względu na Bobo przenoszą się więc na drugą część tafli i ustawiają mniejsze pole do gry, markując bramki czapkami i butelkami z wodą. Znowu podejmują grę, tak jak dawniej na jeziorze. Pełen gaz i zero zasad. Nieskomplikowanie i czysto. My przeciwko wam.

Amat zapamięta ten wieczór jako początek. Bobo jako koniec. Dla Petera to moment, w którym znów czuje się częścią czegoś, a dla Gęby, gdy po raz pierwszy do czegoś przynależy. Dla Stolicy to ponowna szansa na bycie dzieckiem i ponowne zakochanie się po uszy w hokeju. Co czuje Benji, tego nie wie nikt, po raz ostatni widzą go wtedy grającego.

Kiedyś Maya napisze o tym wieczorze piosenkę w notesie zalanym łzami:

*Pamiętam nasze spotkanie
Jedno z ostatnich przed strzału oddaniem,
Przez chwilę do chwil dwóch
Marzyliśmy o tym, by cię zobaczyć znów.
Twoje ciało grało,
A serce odpoczywało.
Byłeś tym, kim zawsze chciałeś być,
Wesoły, spokojny i wolny.
Nie wiem, gdzie teraz jesteś, przyjacielu mój,
Ale mam nadzieję, że trafiłeś na lód swój.*

Mordercy

Wszystkie dzieci są ofiarami dzieciństwa swoich rodziców, bo każdy dorosły usiłuje dać dziecku to, co sam miał, lub też to, czego mu brakowało. Koniec końców to, co robimy, to albo protest przeciwko dorosłym otaczającym nas w życiu, albo próba ich kopiowania. Dlatego też często ci, którzy nienawidzili okresu dorastania, okazują innym większą empatię niż ci, którzy go kochali. Kto ma w życiu pod górkę, często wymyśla inne rzeczywistości, temu, komu wszystko przychodzi z łatwością, trudno sobie nawet wyobrazić, że coś może być inaczej. Łatwiej przyjmować szczęście za pewnik, jeśli miało się je od samego początku.

Może też właśnie dlatego tak beznadziejnie trudno wytłumaczyć, czym jest hokej, komuś, kto wcale nie rozumie. Bo hokej to albo coś, co mieliśmy od zawsze, albo coś, czego nie mieliśmy wcale. Jeśli nie zdążysz zakochać się w nim na czas, to gdy już podrośniesz, stanie się dla ciebie sportem. Jeśli jeszcze w dzieciństwie po raz pierwszy ciało grało, a serce odpoczywało, będziesz wiedzieć, że to tylko zabawa. A przy odrobinie szczęścia, prawdziwego szczęścia, nigdy nie przestanie nią być.

Płatki śniegu wielkie jak kuchenne łapki opadają na Björnstad, a śmiech z hali lodowiska słychać aż na parkingu. Brzmi albo całkowicie logicznie, albo wręcz kompletnie absurdalnie, w zależności od tego, kim jesteś. W niektórych miejscach jednak zabawa może uratować dorastanie. Jeśli przez cały czas się bawisz, nie czujesz niepokoju, strachu, bo nie ma na nie miejsca. W zabawie znajdziesz za to nawoływania i zdyszane chichoty, a gdy wszyscy twoi koledzy to koledzy z drużyny, nigdy nie jesteś całkowicie sam. Wieczorami nie zasypiasz, tylko padasz z nóg, rodzice już w łóżku ostrożnie zdejmują z ciebie meczową koszulkę. Następnego dnia budzisz się głodny jak wilk, wrzucasz w siebie śniadanie i wybiegasz z domu, bo któryś z kolegów już gra na ulicy. Zawsze jest jakiś nowy mecz, jakiś ostatni decydujący gol. Jeśli naprawdę, naprawdę kocha się tę zabawę, to z lat dziecięcych nie pamięta się prawie nic poza nią. We wszystkich najpiękniejszych momentach w ręce trzymało się kij, ramię w ramię ze swoimi

najlepszymi przyjaciółmi, kilka metrów kwadratowych pomiędzy dwiema bramkami stawało się całym światem, a my byliśmy najlepsi na świecie. Najpiękniejsze, co można dać dziecku w życiu, to kontekst. Największym szczęściem dla nas jest natomiast możliwość uczestniczenia w tym życiu.

Dlatego też tak bardzo trudno być dzieckiem innym niż pozostałe. Tym, którego po latach nikt nie rozpoznaje na szkolnym zdjęciu, bo nie było częścią niczyjego dzieciństwa poza swoim własnym. Na zewnątrz innych ludzi jest tak zimno, że zamarza się w sobie od środka.

Matteo stoi w ciemności między drzewami na skraju parkingu przy hali lodowiska. Ostrożnie nadeptuje stopą na zlodowaciałą kałużę i przysłuchuje się skrzypieniu rozpadającej się lodowej pokrywy. Zastanawia się, czy jezioro już zaczęło zamarzać. W tym mieście pełnym hokejowych chłopaków to ważniejsze niż Gwiazdka, zdarzały się zimy, w których nawet Matteo się z tego cieszył, bo wtedy byli tak zajęci zabawą, że na chwilę zapominali o dręczeniu go. Niestety, nigdy nie trwało to szczególnie długo.

Ruth mawiała: „Przetrwaj tylko te lata! Przetrwaj to miasto! Potem będziesz wolny. Wtedy wyjedziemy stąd na dobre, ty i ja, dobrze? Zrób wszystko, żeby nie zauważali cię w szkole, i trzymaj się z daleka od hokejowych chłopaków”. Nie jest to jednak takie łatwe, gdy pełno ich w całym mieście. Mniej więcej trzy lata temu, gdy Matteo miał jedenaście lat, pojechał rowerem nad jezioro, a tam złapało go kilku starszych chłopaków ze szkoły. Zwabili go do wspólnej zabawy, zawsze przychodziło im to bez trudu, a potem go przekonali, żeby wyszedł na lód sprawdzić, czy już jest wystarczająco gruby. „Jeszcze kawałek! Jeszcze kawałek!” – krzyczeli, na początku zachęcająco, a potem już groźnie: „Idź dalej, bo inaczej połamiemy ci nogi, jak wrócisz!”.

W końcu doszedł tak daleko w głąb jeziora, że lód pod stopami zaczął skrzypieć. Matteo wiedział, że jeśli teraz zacznie biec, to wyda na siebie wyrok śmierci, cały jego ciężar zebrany w jednym kroku może go zesłać prosto w chłód i mrok i nigdy już nie wypłynie na wierzch. Od tamtego czasu prześladowały go senne koszmary: widział dochodzące światło, ale drobnymi pięściami nie mógł się przebić przez lodową pokrywę, topił się wolno, na darmo szukając wyjścia. Zrobił to, na co mógł wpaść jedenastolatek, położył się na brzuchu na lodzie, starając się równomiernie rozłożyć ciężar ciała. Planował przeczołgać się w ten sposób w stronę lądu, ale w końcu nie zdobył się na odwagę. Leżał więc bez ruchu i płakał.

Nie wie, czy chłopcy na łodzie tego żalowali. Dla tych dupków wszystko zaczyna się jako żart, w ten właśnie sposób bronią ich potem rodzice. To takie szczeniackie wygłupy. Wiesz przecież, jakie są dzieci. To było na żarty. Matteo nie był pewien, czy się śmiali czy krzyczeli, bo płakał zbyt mocno, z ustami przyklejonymi do lodu. Z odrętwienia wytrącił go wrzask:

– CO WY, KURWA, WYPRAWIACIE?

Ostrożnie, bardzo ostrożnie podniósł drżącą brodę i mrużąc oczy, spojrzał w kierunku łądu. Dwóch nastolatków w wieku jego siostry zatrzymało przy drodze swój skuter i zbiegało teraz ze zbocza. Chłopcy przy brzegu rozbiegli się na wszystkie strony, jeden z nastolatków rzucił się za nimi z uniesionymi pięściami, ale drugi go zatrzymał, wskazując na Matteo. Lód zaskrzypiał i w tym momencie Matteo po raz pierwszy krzyknął. Nastolatkowie desperacko rozejrzeli się wokół siebie za czymś, czego mogliby użyć jako liny, a gdy nic nie znaleźli, ściągnęli kurtki i bluzy i powiązali je ze sobą. Lżejszy z nich doczołgał się jak najbliżej Matteo, rzucił w jego stronę zaimprovizowany sznur i wolnymi ruchami, niespiesznie wciągnął chłopca na ląd.

Matteo prawie nie pamięta, co do niego mówili, za bardzo szczękały mu zęby i dzwoniło w uszach. Zapytali, gdzie mieszka, i mimo wyziębienia udało mu się wskazać właściwy kierunek. Jeden z nastolatków jechał na jego rowerze, a drugi przytrzymał go na skuterze. Rodzice brali udział w jednej z prac dobroczynnych na rzecz kościoła, w domu była więc tylko Ruth. Widząc ich podjeżdżających pod dom, wybiegła pędem i przytuliła Matteo tak mocno, że o mało się nie udusił, a zaraz potem zapytała, co się wydarzyło. Nastolatkowie opowiedzieli. Matteo nie wiedział wtedy, że pochodzą z Hed i że czerwone kurtki, które noszą, symbolizują klub hokejowy. Jeden z nich wyciągnął dłoń do Ruth i się przedstawił.

W ten właśnie sposób poznała swojego mordercę.

Biwakowanie

Dorośli idą do domu pierwsi. Wiedzą, że magię w hali pełnej śmiejących się nastolatków łatwo zepsuć, jeśli tylko inne pokolenie zbliży się do nich zbyt mocno, tak jak śmiech, który zamienia się w proch, gdy tylko otworzy się wieko. Maya, Ana i Bobo czekają na parkingu przed halą, aż Benji, Amat, Gęba i Stolyca przebiorą się i do nich dołączą. Pies Sunego ociera się o ich nogi, od szczeniaka przyzwyczajony, że to jego królestwo, odkąd Sune przeszedł na emeryturę, odwiedzali halę tak często, że psiak widnieje nawet na ostatnim grupowym zdjęciu drużyny. Gęba się z nim bawi, wszystkie zwierzęta go uwielbiają, może dlatego, że czują, że jego również nikt nie rozumie, chociaż tak bardzo tego pragnie.

– Podwieźć cię do domu? – pyta Bobo, ale Gęba jedynie potrząsa głową i rusza w stronę przystanku autobusowego.

– Trenujemy jutro? – pokrzykuje Amat.

Gęba kiwa bezgłośnie głową, ale z uśmiechem na całą twarz. Rozstają się. Bobo odwozi torbę Amata do Niecki, a potem jedzie prosto do domu, by zadzwonić do Tess. Amat biegnie. Dziś w nocy zaśnie jak zabity, a rano obudzi się głodny.

– A ty? Potrzebujesz podwózki? – pyta Benji niby w przelocie i spogląda na Stolycę.

– Nie... nie... – odpowiada wymijająco Stolyca.

– A czegoś innego? Służę pomocą w każdej sprawie! – Benji się uśmiecha, mrugając do niego bezwstydnie.

Stolyca rzuca wzrokiem na Mayę i mówi skrepowany:

– No więc... być może przydałoby mi się jakieś miejsce, gdzie mógłbym pomieszkać. Nie wydaje mi się, że Peter naprawdę chce, żebym dłużej u nich został. To znaczy to było bardzo miłe, że się zaoferował, ale mimo to jest trochę dziwnie. Mam wrażenie, że w nocy zamknął mój pokój od zewnątrz...

Jego policzki są zaróżowione. Rozpoczynanie tego tematu przy Mai mogłoby być trochę niezręczne. Na szczęście na miejscu jest Ana, tak więc gafę mają już

zagwarantowaną.

– Po prostu się boi, że Maya w nocy zakradnie się do twojego pokoju i się na ciebie rzuci!

– Ana, serio, ale z ciebie CIP... – syczy Maya, a Ana tańczy, śmiejąc się i robiąc uniki przed przyjaciółką, która próbuje ją uderzyć.

– Ooo! Maya Andersson będzie się bić? Nauczyła cię tego twoja nowa najlepsza kumpelka? No chodź! Uderz najmocniej, jak potrafisz! – podjudza ją Ana ze spokojem zawodniczki sztuk walki.

Maya mogłaby oczywiście próbować, ale nawet za dziesięć lat nie podeszłaby do niej wystarczająco blisko.

Stolyca obserwuje je nieco skonfundowany, a Benji mu się przygląda.

– Mam kampera – mówi po chwili.

– Słucham? – dziwi się Stolyca.

– Kampera. Jeśli potrzebujesz się gdzieś zatrzymać.

– Ty tak... serio?

– Ty taaaaak seriooooo? – nabija się z jego dialektu Benji.

Stolyca nerwowo rozkopuje stopą śnieg i okrywa się ciasniej pożyczoną od Petera zimową kurtką.

– Masz na myśli takiego kampera, w którym... że tak powiem... ludzie biwakują? Benji zaśmiewa się do rozpuku.

– Założę się o stówę, że nigdy wcześniej nie byłeś na biwaku, co nie?

– MACIE ZAMIAR BIWAKOWAĆ? TO MY Z WAMI! – woła ucieszonym głosem Ana kilka metrów dalej, gdzie bezceremonialnie przytrzymuje jedną ręką rozzłoszczoną i wymachującą dłońmi Mayę, tak jakby ta była jeszcze małym dzieckiem.

– Jest minusowa temperatura – zauważa Stolyca.

– No i? – zastanawia się Ana, nie rozumiejąc uwagi.

– Mam też trawę i piwo – informuje Benji.

Urządzają więc biwak.

Benji manewruje kamperem po ledwie przejezdnych leśnych drogach, chociaż momentami jest już blisko, w jakiś cudowny sposób udaje mu się, nie tracąc panowania nad pojazdem, dowieźć ich aż do plaży i zaparkować tak, że przed oczami rysuje im się wyspa Mai i Any. Kiedyś była Kevina i Benjiego, ich najsekretniejsze miejsce w całym wszechświecie, ostoja każdego lata, ale te czasy dawno już minęły, i kiedy Kevin wyjechał, Benji podarował wyspę dziewczynom. Teraz już kobietom. Maya opiera koniuszki palców na ramieniu Benjiego, przelotem, i szepcze:

– To bardzo romantyczne miejsce, więc mówię od razu, że jeśli zabierzesz tu mojego przyszłego męża i będziesz próbował zaciągnąć go do łóżka, to cię załukę.

Benji wybucha śmiechem. Razem z Aną robią wszystko, by rozpaść ognisko, aż w końcu Ana grozi mu, że walnie go gałęzią, bo wszystko robi źle, i od tej pory rozpala już ognisko sama. Gdzieniedzie leżą powalone drzewa, ofiary wichury, która przetoczyła się przez okolicę niczym bandyta na gigancie, ale rozdarcia i rany w krajobrazie wolno pokrywają się już śniegiem i zapomnieniem. Wiosną przyroda zapomni o wyciu wiatru tej nocy zeszłego tygodnia, a ludzie pójdą w jej ślady. Nastolatkwie siedzą skuleni w śpiworach przed ogniskiem, piją piwo i palą trawę, spoglądają na gwiazdy i zapadają się w mgłę. To dobra noc, jedna z najlepszych, taka, podczas której nie chce się zasnąć, bo w duszy prawie czuje się spokój. Tak jakby nagle znalazło się odpowiedzi na prawie każde pytanie. Ma się rozumieć, że jutro wszystko przeminie, wiadomo. To właśnie dlatego nikt nie chce położyć się spać. W końcu jednak Maya w śpiworze podnosi się, zataczając, ze składanego krzesła i bełkocze:

– Ożeż kurde. Dawno nie byłam taka pijana. Muszę iść prac. Nie, muszę iść PRAĆ. Nie no, muszę iść prac... KURDE, WIECIE, CO MAM NA MYŚLI!

Pozostali wybuchają śmiechem, tak że aż bolą ich policzki.

– Idź SPAC, pijaczko, bez jaj, twoja nowa najlepsza kumpela w tej szkole muzycznej musi być niezłą cieniaską w picciu, jeśli upijasz się tak łatwo – prycha Ana.

– Jaka nowa najlepsza kumpela? – pyta Benji.

– Ta, dla której Maya mnie porzuciła! – Ana kiwa głową, tak pijana, że źrenice wskazują na przeciwległe miejscowości.

– W takim razie już na pewno prześlę się z jej przyszłym mężem, dla zasady! – obiecuje Benji i pudłuje, próbując przybić z Aną piątkę.

Maya natomiast obiecuje, że jutro, jak już znów będzie mogła normalnie mówić, pośle ich wszystkich do diabła. Zasypia w kamperze, zanim jej głowa zdąży dotknąć poduszki. Ana wytrzymuje jeszcze chwilę, tylko po to, by móc się pochwalić, że Maya odpadła pierwsza, po czym uprzejmym i podniosłym tonem mówi chłopakom, by spadali na drzewo, i idzie położyć się plecami do pleców obok swojej najlepszej przyjaciółki.

Benji i Stolyca zostają przed kamperem, Benji patrzy na Stolicę, a ten w niebo.

– Będziesz teraz jak turyści gadał o tym, jak to nigdy w życiu nie widziałeś tylu gwiazd? – naśmiewa się Benji.

– Tam, skąd pochodzę, też mamy gwiazdy. – Stolyca się uśmiecha.

Benji brzmi, jakby był urażony:

– Nie takie dobre jak nasze. Dokładnie jak z hokeistami.

To oczywiście kłamstwo, widział nadgarstki Stolicy i to, jak dziś podawał, i doskonale wie, jaki jest dobry. Stolyca patrzy mu w oczy i wie, że tamten wie, nie musi więc już nic na ten temat wspominać. Zamiast tego pyta zamyślony:

– Sprawdziłem Petera w internecie, był kapitanem drużyny Björnstad przed dwudziestu laty, nie? Prawie wygrali wtedy najwyższą serię, prawda?

Benji zaciąga się z zamkniętymi oczami.

– To właśnie Björnstad. Prawie najlepsi, prawie cały czas.

Stolyca masuje palce, tak jakby obracał na nich niewidzialne obrączki.

– Powiedział mi coś, gdy razem z Zackell przyjechali zobaczyć mój trening. Zapytałem, po co się fatygował, skoro nawet już nie pracuje w klubie, a on odpowiedział, że... chciał być dobry. Że hokej to jego sposób na ulepszenie świata.

– Jest wyjątkowy – potwierdza Benji, a w sposobie, w jaki to mówi, mieszczą się wszystkie najlepsze i najgorsze cechy człowieka.

Stolyca zaciąga się wolno kilka razy i odpowiada:

– To zajebiście wyjątkowe, że... no wiesz... można być częścią takiej drużyny. Która wszystkich szokuje. To musi być braterstwo, wiesz, co mam na myśli? Że wszyscy starają się prześcignąć samych siebie. To jak dynastie w NHL... nigdy się nie utrzymują... tylko przez kilka lat są niezwyciężeni, a potem się starzeją i zespół

zostaje rozprzedany do innych drużyn. Zastanawia mnie, czy człowiek jest świadomy, że stanowi część czegoś niespotykanego.

Benji na wpeł otwiera oczy i patrzy na niego, rozświetlonego tańczącymi płomieniami ogniska.

– To dlatego tu jesteś? Żeby stać się wyjątkowym?

Stolyca uśmiecha się zawstydzony.

– Może.

Benji patrzy na niego długo, a potem nagle zadaje tak szczere pytanie, że zaskoczony Stolyca aż się krztusi dymem.

– Ile wstrząśnień mózgu już miałeś?

– Ale... ale dlaczego... pytasz? – dziwi się, kaszląc.

Benji wzrusza ramionami.

– Gdy dziś graliśmy, byłeś ode mnie dużo lepszy, dopóki gra toczyła się wokół krążka, nie miałem najmniejszych szans. Ale gdy zacząłem grać ciałem, uchylałeś się za każdym razem. Grałem kiedyś z jednym chłopakiem, też był ode mnie dużo lepszy, ale przez jakiś czas zachowywał się tak samo, gdy mieliśmy po czternaście lat i dostał wstrząsu mózgu. Przez wiele miesięcy unikał każdego uderzenia.

Stolyca odkasłuje i dorzuca kilka gałęzi do ognia, parząc sobie przy tym palce.

– To był ten Kevin Erdahl? – mamrocze potem.

Benji robi zdziwioną minę, po raz pierwszy tego wieczoru.

– Skąd wiedziałeś?

Tym razem to Stolyca wzrusza ramionami.

– Ojciec obserwował wszystkie talenty w całym kraju, gdy byliśmy w tym wieku. Na ścianie zawiesił mi nawet ranking zawodników. W sumie nawet widziałem was kiedyś, jak graliście, ojciec wiozł mnie cztery godziny na mecz, po to tylko, żebym zobaczył, z kim konkuruję. Pamiętam, że strasznie zazdrościłem Kevinowi.

– Był rzeczywiście zajebiście dobry.

– Tak. Ale to nie dlatego. Byłem zazdrosny, bo miał ciebie. Nikt nawet nie odważył się go tknąć.

Benji siedzi cicho przez kilka minut. Potem znów pyta:

– Ile miałeś wstrząsów mózgu?

Stolyca wzdycha.

– Sześć. Pierwszy jako dwunastolatek, ostatni w zeszłym roku. Dostałem kijem po plecach i poleciałem na bandę. Chłopak dostał dwie minuty, a mnie wyautowało na dziewięć tygodni. Przez pierwsze trzy dni rzygałem, nie mogłem myśleć, nie chciało mi się żyć. Nie mogłem nawet wychodzić na zewnątrz, bo głowa pękała mi od słońca, najgorsze, co mnie w życiu spotkało, nie pamiętałem nic z tego weekendu. Nadal mam migreny. Dzwoni mi w uszach, nigdy już nie jest cicho. Czasem po prostu ciemnieje mi przed oczami. Kiedyś widziałem w telewizji mecz, podczas którego jeden zawodnik dostał takiego samego strzała, i wiesz, co powiedzieli komentatorzy? „To odpowiedzialność przyjmującego uderzenie, żeby trzymać głowę do góry!”

Stuka się w skroń. Benji widzi ból w jego oczach i kiwa głową.

– Tak. Czytałem o tym zawodniku NHL, który cierpiał przez to na zaburzenia osobowości i tego typu gówna. Permanentne uszkodzenie mózgu, nikt nie miał jednak o tym zielonego pojęcia, dopóki facet nie umarł i nie wykonano sekcji zwłok...

Stolyca zamyka oczy.

– Gdy wróciłem do zespołu, trener chciał, żebym więcej grał ciałem, przed bramką, ciągle tylko „walcz” tutaj, „walcz” tam. Miał fioła na punkcie fizycznej gry, wiesz, „banda jest twoja” i tego typu gówna...

– „Żryj krążek! Żuj drut kolczasty!” – parodiuje Benji, bo takich trenerów spotkał już w życiu miliony razy.

– No właśnie! – śmieje się gorzko Stolyca.

– I co się stało?

– Nie miałem odwagi. I on to widział. Nie pasowałem już do jego systemu. Więc udupił mnie na ławce, bo „nie miałem jaj”, a gdy się wkurzyłem, poszedł do zarządu klubu i powiedział, że mam „problemy z dyscypliną”.

– A miałeś?

– To był chyba jedyny klub, w którym ich nie miałem. Wiele lat byłem niedojrzałym pyskatym gówniarzem, ale akurat w tym klubie bardzo mi się podobało... chciałem, żeby się udało. Nie mogłem już jednak grać tak, jak chcieli tamci trenerzy...

– A tu?

Stolyca oddycha wolno przez nos.

– Ta Zackell wygląda na... inną.

– To chyba najmniej, co można o niej powiedzieć. – Benji się uśmiecha.

– Może więc pozwoli mi też inaczej grać?

– Jedno, co mogę ci o niej powiedzieć, to to, że zapewne wie już o tobie takie rzeczy, o których ty sam jeszcze gównu wiesz. Czasem to dobre – stwierdza Benji.

– A jak nie jest dobre?

– Większość ludzi nie chce znać prawdy o sobie.

Stolyca trawi to przez dobrą chwilę. Otwiera ostatnie piwo.

– Lubię Petera. Myślałem, że będzie upierdliwym dupkiem, jak to zwykle inni starzy zawodowcy, ale on jest...

– Wyjątkowy?

– Całe to miasto jest wyjątkowe. To przez chów wsobny, nie? – śmieje się Stolyca.

– I trawę.

Obaj zaśmiewają się do rozpuku, samotni pod gwiazdami. Jedna naprawdę dobra noc.

– Jaki był dobry? Peter? – pyta po chwili Stolyca.

Benji odpowiada natychmiast:

– Najlepszy. Serio... opętany hokejem. Opowieści o tym, jak trenował, są wręcz niewiarygodne. Jak byliśmy mali, myśleliśmy, że to wszystko jakieś mity, wiesz, ale widziałem dawne nagrania wideo i tego się, kurwa, nie dało porównać do niczego. Wyglądał na takiego wolnego, ale, kurde, nigdy nikomu nie udało się koło niego przejść. Nikomu!

– Tak jakby spowalniał czas. Zauważyłem, gdy Zackell kazała mi przeciwko niemu zagrać.

Benji kiwa głową z poważną miną.

– Wszyscy myślą, że to talent, ale to tylko trening. I obsesja. To było jedyne, co miał w życiu. Jak myślisz, jaki dobry byś był, jakbyś miał takie życie jak on?

– A dlaczego myślisz, że takiego nie mam? – Stolyca się uśmiecha.

– W weekend masz mecz, a siedzisz tu ze mną, palisz trawę i pijesz piwko w kamperze w środku lasu – zauważa Benji.

Stolyca śmieje się z ulgą. Jednocześnie czuje presję.

– Byłbym co najmniej taki dobry jak ten Amat, co najmniej. On jest ekstremalny. Nigdy w życiu nie spotkałem chyba nikogo szybszego. On trafi do NHL. Ale ja? Nie. Ojciec zawsze tak myślał, ale nie ma pojęcia, czego tam potrzeba. Czegoś, w czym jest się nadzwyczajnym, a ja jestem tylko... dobry. Ojciec dostrzegł, że byłem najlepszy w tej swojej małej bańce, ale wiesz, takich jak Amat to jest po jednym w każdej dziurze. A w NHL? Grają tam przecież sto meczów na rok... wyobrażasz sobie, jakie to poświęcenie? To jest hokej dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez cały rok. Nie sądzę, żebym dał radę. Ojciec się wściekł, wiesz, sam dałby sobie obciąć rękę za jeden sezon w NHL. Miał chęci, ale zabrakło talentu, u mnie może i jest talent, ale czy chęci...

– Chęć to talent – mówi Benji.

Stolicy prawie pęka serce, gdy to słyszy.

– A ty? Dlaczego przestałeś grać? – szepcze.

– Już nie byłem zakochany – odpowiada Benji.

Stolyca długo się nie odzywa, a potem ostrożnie pyta:

– Myślisz, że jeszcze kiedyś będziesz? Zakochany?

Benji patrzy mu prosto w oczy, to taka noc, podczas której wszystko wydaje się możliwe. Mówi więc:

– Może.

Wchodzą do kampera i kładą się nogami w drugą stronę obok Any i Mai. W środku jest cholernie zimno, mimo to Stolyca przesypia całą noc, nie budząc się ani razu. Już dawno mu się to nie przydarzyło. Następnego ranka budzi się wcześniej, wychodzi do lasu i siedzi samotnie, przysłuchując się czemuś, czego nigdy wcześniej nie słyszał, w każdym razie nie w takiej krasie i nie tak przejmującej.

Ciszy.

Rysy

Noc opanowała Björnstad, ale ciemno było już od tak wielu godzin, że prawie nikt tego nie zauważył. Furtka przy kościele skrzypi, gdy przez cienie przedziera się samotna postać, kroczy ostrożnie po śniegu, tak jakby wchodziła bosymi stopami na kawałki szkła. Kilka migających świateł przy grobach to jedyne punkty orientacyjne, ale postać dokładnie wie, dokąd zmierza.

Cmentarze powstały jako swoiste punkty końcowe, jednak dla wielu z nas każdy nagrobek to znak zapytania. Dlaczego? Dlaczego właśnie ty? Dlaczego tak szybko? Gdzie teraz jesteś? Kim mogłaś być, gdyby wszystko potoczyło się inaczej? Albo chociaż jakaś mała drobna rzecz? Jeśli miałabyś innych rodziców, inne imię, mieszkałabyś gdzie indziej?

Prawie nikt nie zapamięta jej imienia. Będą mówić: „A tak, ta w równoległej klasie, to ona zniknęła przed kilkanaście laty, prawda? Słyszałem, że uciekła z domu. Jej rodzice byli jakimiś religijnymi fanatykami czy coś w tym stylu? W tym dziwnym kościele, jakżeż on się nazywał? Słyszałem, że brała narkotyki. Że związała za granicę i zmarła z przedawkowania. Ale, Boże, jakżeż ona miała na IMIĘ? Nie mogę sobie przypomnieć!”.

Ruth. Miała na imię Ruth. To właśnie napisano na nagrobku. I daty pod spodem, nic więcej, żadnego wiersza ani jej opisu. Ale na samej górze, w jednym z rogów nagrobka, starannie wyryto niewielkie rysy. Trzeba podejść naprawdę blisko, żeby zauważyć, że to motyl.

Postać rozgląda się wkoło. Któregoś dnia jego imię również zostanie wyryte w kamieniu i wielu powie: „Kto? Nie kojarzę...”. Wtedy ktoś przypomni imię, pod którym wszyscy go znali, to, które otrzymał, bo prawie nigdy nic nie mówił: „Gęba”.

Przystaje przy nagrobku Ruth, upada na kolana i koniuszkami palców dotyka wyrytych w kamieniu liter. A potem, trzęsąc się z zimna, powtarza bez ustanku te same słowa:

– Przepraszam. Przepraszam przepraszam przepraszam.

Szanse

Jeszcze chwilę temu Maya, Benji, Gęba i reszta stali przed halą lodowiska i bawili się z psem Sunego, tak jakby nie było żadnego problemu, a świat był dobrym miejscem. Matteo stał schowany w ciemności i się im przyglądał. Widział, jak Amat i Bobo żegnają się z resztą, Bobo odwozi mamę Amata do domu, a on sam biegnie. Benji, Maya, Ana i ten nowy zawodnik, którego imienia Matteo nie zna, poszli w stronę starego kampera. Gęba ruszył samotnie do przystanku autobusowego, tak jakby wybierał się do domu do Hed, ale gdy tylko reszta zniknęła z pola widzenia, skręcił na cmentarz. Matteo zaczął się za nim. Teraz siedzi między nagrobkami i słyszy, jak Gęba szlocha przy grobie Ruth.

Sam już nie wie, czy to sprawia, że nienawidzi go jeszcze bardziej czy mniej. Zawsze myślał, że chłopaki, które zamordowały jego siostrę, miały to gdzieś, nie żałowały jej, nie postrzegały jej nawet jako człowieka. To chyba jednak jest jeszcze gorsze, że Gęba patrzył na nią jak na człowieka, bo jeśli byłaby czymś innym, jakimś przedmiotem, który można po prostu użyć, a potem wyrzucić, to przynajmniej dałoby się to jakoś zrozumieć. Ale zrobić coś takiego jak oni innemu człowiekowi? Prawdziwej osobie? To czyste zło. Za które należy się wyłącznie piekło.

Gdyby tylko Matteo miał teraz przy sobie broń, posłałby tam Gębę od razu. Na swoją szansę musi jeszcze jednak poczekać kilka dni.

Kanapki z dżemem

Bang!

Bang!

Bang!

Wielu się niepokoiło, że Sune po przejściu na emeryturę będzie siedział samotnie w domu całymi dniami, nie mając nic do roboty. Sune jednak zastanawia się czasem, jak wcześniej w ogóle wyrabiał się z pracą. Ma psa, który zdaje się mieć totalnie w poważaniu krzyki właściciela, by nie obgryzał mebli, i prawie siedmioletnią dziewczynkę, która bez przerwy strzela krążkami w fasadę domu. „Świetnie współpracują, rozwalą całą budę, każde ze swojej strony” – pomrukuje Sune z kuchni, przygotowując kanapki z pasztetem dla bandziora w domu i kanapki z dżemem dla bandziora w ogrodzie. Podczas ostatniej wizyty lekarz zapytał go, czy czuje większe zmęczenie. Odpowiedział: „Skąd mam to niby wiedzieć?”. Nie byli w stanie doprowadzić pogawędki do końca, bo nagle z poczekalni dobiegł ich huk. Alicia, która dostała za zadanie zająć się psem, wetknęła głowę do gabinetu i zapytała, czy rośliny doniczkowe z poczekalni były drogie. „Wnuczka?” – zapytał lekarz z uśmiechem na twarzy, a Sune nie wiedział, jak mu wyjaśnić, że to nawet nie rodzina. Kiedyś, przed trzydziestoma pięcioma laty, wydarzyło się coś podobnego, tyle że w sklepie spożywczym. Wtedy za Sunem włączył się zniecierpliwiony mały chłopiec z kijem hokejowym w dłoni. „Ależ ma pan słodkiego synka” – usłyszał wówczas. Też nie wiedział, co powiedzieć, chłopiec nazywał się Peter Andersson i nikt nie nauczył go strzelać porządnych bramek, nigdy też nie jadł porządnych kanapek z dżemem, tak więc Sune postanowił zająć się obiema sprawami. Zrodziła się z tego przyjaźń na całe życie. Peter to najpiękniejsze drzewko wiśniowe, jakie Sune widział w Björnstad, w taki właśnie

sposób patrzył na największe talenty: różowe kwiaty, które wbrew wszystkiemu rozkwitają w skutym lodem ogrodzie.

Nie miał własnego potomstwa, pod koniec kariery trenował wyłącznie dorosłych mężczyzn, nigdy dzieci, przestał już nawet całkowicie myśleć o drzewkach wiśniowych, gdy nagle czteroipółletnia Alicia pojawiła się na pierwszym treningu. Najmłodsza w grupie, najmniejsza na lodzie, wyraźnie najlepsza od samego początku. Teraz ma prawie siedem lat i już jest powodem rodzicielskich awantur, odkąd klub pozwala jej grać z chłopcami. „Niektórzy dorośli są po prostu głupi” – wyjaśnił jej z żalem, gdy zapytała, dlaczego nie pozwalają jej już z nimi grać. Tego jednak akurat nie musiał jej tłumaczyć. O dorosłych wiedziała już wszystko. Odkąd Teemu odwiedził dom, w którym mieszkała, i poinformował jej rodziców, pod czyją kuratelą znajduje się dziewczynka, nie miała już tylu siniaków, ale nadal żyła w warunkach, w których nikt nie zwracał uwagi na to, czy wróciła do domu na obiad, a w wielu przypadkach uważano, że to nawet lepiej, jeśli nie pojawiła się przy stole. Po szkole szła więc, jeśli miała trening, bezpośrednio do hali lodowiska lub do Sunego, jeśli treningu nie było. Inne dzieci może i narysowałyby mu jakiś obrazek, który mógłby zawiesić na lodówce, ale Alicię niezbyt interesowało rysowanie, dlatego ślady po krążkach w fasadzie domu spełniały tę samą funkcję: niewielkie akwaforty w czasie, świadczące o tym, że ktoś, kogo się kocha, tu dorastał.

Zaczął się od tego, że Sune uczył ją hokeja, a skończyło na tym, że wpajał jej również inne potrzebne w życiu rzeczy: wiązanie butów, recytowanie tabliczki mnożenia i piosenki Elvisa Presleya. Dziewczynka towarzyszyła mu podczas spacerów z psem w lesie, gdzie Sune uczył ją wszystkiego, co wie o drzewach i roślinach. Od czasu do czasu, gdy już się zmachał i zaczynało go piec w klatce piersiowej, przerywał opowiadanie krótkim: „Weź psa i biegnij przodem, zaraz cię dogonię”. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, tak często, że w ten sposób nauczył dziewczynkę jeździć na rowerze – po prostu biegł za nią po ulicy, trzymając ją za bagażnik, a gdy już nie miał sił, wydusił: „Jedź przede mną”, no i pojechała.

W jeden z pierwszych dni po rozpoczęciu szkoły przyszła do niego do domu i oznajmiła, żeby przygotował prowiant, bo musi iść z nimi na wycieczkę. Sune nie bardzo wiedział, o co jej chodzi, westchnęła więc poirytowana i powiedziała, że Sune jest „dodatkowym dorosłym”. Stary trener dalej nie rozumiał, a wtedy Alicia

złapała kij hokejowy i stwierdziła, że nie ma czasu na takie głupoty i że jeśli dalej nie kapuje, to powinien zadzwonić do nauczycielki. Sune zadzwonił zatem przy akompaniamencie BANG BANG BANG dochodzącym z ogrodu, a nauczycielka po drugiej stronie linii wyjaśniła, że powiedziała dzieciom w klasie, że „na wycieczkę potrzebny jest dodatkowy dorosły”, na co Alicia podniosła rękę i oznajmiła, że zna takiego jednego.

Od tej pory Sune i pies są na każdej wycieczce. Gdy usłyszał, że dziewczynka zaprezentowała klasie psa jako „psa Sunego”, poprawił ją krótkim: „To również twój pies”. Gdy tego popołudnia strzelała krążkami w ogrodzie, miał wrażenie, że będzie jej musiał sprawić dłuższy kij, bo urosła co najmniej dziesięć centymetrów.

Dzisiaj puka do jego drzwi wcześniej, jeszcze przed szkołą. Jest środa rano, w środku tygodnia i w środku miesiąca, w domu nie zawsze ma wtedy śniadanie. Idą więc razem do sklepu po mleko, chleb, dżem i pasztet. Sune wolnym krokiem wraca do domu. Alicia pyta, ile trzeba mieć lat, by móc grać w drużynie narodowej, a trener odpowiada, że wiek nie ma tu większego znaczenia, liczą się umiejętności.

– Ile będziesz miał lat, jak będę grała w drużynie narodowej?

Sune się uśmiecha.

– A jak myślisz, ile lat mam teraz?

– Sto? – zgaduje dziewczynka.

– Hm, racja, czasem rzeczywiście się tak czuję – wzdycha Sune.

– Ponieść siatkę? – pyta Alicia.

Trener poklepuje ją po głowie.

– Nie, nie trzeba, weź psa i biegnij przodem. Zaraz cię dogonię!

Alicia wykonuje polecenie. Wypuszcza psa w ogrodzie, ustawia się na pozycji i wystrzeliwuje krążki w fasadę budynku chociaż jeszcze przez chwilę, zanim zacznie się szkoła.

Bang. Bang. Bang.

Objazdy

Benji dzwoni do siostry wczesnym rankiem w środę i Adri klnie całą drogę nad jezioro. Ten osioł dostał przecież kampera i oczywiście wjechał nim do wody i utknął nocą w śniegu.

– To kamper, a nie terenówka, więc nie ma się co dziwić, że tu utknąłeś, ośle jeden! – informuje Adri, wyskakując z samochodu, ale ten osioł oczywiście nic sobie z tego nie robi.

– To już nie jest żaden kamper, tylko domek letniskowy, pomysł genialny w swej prostocie, jeśli już pytasz mnie o zdanie! – Benji rozpromienia się w szerokim uśmiechu.

Razem ze Stolycą, Mayą i Aną tłoczą się w samochodzie Adri, siostra musi aż zsunąć szyby, bo śmierdzi od nich młodzieżą i kacem tak bardzo, że mogliby odstraszyć nawet lisa. Gdy dojeżdżają do hodowli, śmiech Benjiego wypełnia całą kuchnię w sposób, jakiego siostry i mama nie słyszały od lat. Gdyby Adri go nie знаła, pomyślałaby, że się zakochał. Prawie nie ma siły się na niego złościć. Tylko prawie.

Ana wagaruje, Maya najwyraźniej nie ma żadnych planów, by wrócić do szkoły, dostają więc śniadanie i wracają do lasu. Nie wiedzą dokładnie, dokąd zmierzają, ale jeśli mają to być ostatnie dni, podczas których wciąż mogą udawać, że są dziećmi, a życie upływa im nieskomplikowanie, to daj Bóg, że wykorzystają tę szansę.

Adri i Benji podrzucają Stolycę do hali lodowiska. Gdy macha im na pożegnanie i wchodzi do środka, Benji wodzi za nim wzrokiem, a siostra mu się przygląda.

– Ale od ciebie śmierdzi – mówi z czułością w głosie.

– Ja zawsze mogę się wykapać, a ty za to co zrobisz ze swoją twarzą? – odgryza się Benji z taką samą czułością, a wtedy siostra uderza go z impetem w klatkę piersiową, tak że Benji aż traci oddech.

Jadą okrężną drogą wokół miasta, nie spiesząc się, słuchają muzyki i rozmawiają, nie mówiąc za wiele. Gdy ich ojciec wziął strzelbę i poszedł do lasu, to Adri jako najstarsza siostra przejęła obowiązki, co do których założyła, że wcześniej należały do niego. Nauczyła Benjiego, jak się bić, chociaż może raczej powinna go nauczyć, jak odpuszczać bójkę. Chciałaby mu powiedzieć, że może wybrać i wcale nie być agresywny, ale wie, że brat uda tylko, że wie, że siostra ma na myśli bójkę z innymi. A jej chodzi o agresję wobec samego siebie. Akurat dzisiaj brat śmieje się w sposób, który napawa ją nadzieją, że taka chwila może niedługo nadejść.

– Kocham cię, ty ośle – mówi i pociąga go za ucho, aż brat wybuchą śmiechem i krzyczy:

– Ja ciebie też, siostra. Dzięki, że zawsze przyjeżdżasz i mnie zgarniasz, gdy gdzieś utknę – odpowiada z uśmiechem na twarzy.

Adri nigdy tego nie zapomni.

Plecy

Gdy redaktorka naczelna przychodzi do pracy w środę rano, wszyscy w budynku niespokojnie kręcą się na swoich krzesłach. Połowa personelu nie podnosi nawet wzroku znad biurka, gdy ich mijają. Dopiero wchodząc do swojego gabinetu, widzi, kto czeka na nią w środku, i dociera do niej dlaczego.

– Dzień dobry. Nie mieliśmy jeszcze okazji, ale słyszałem o pani wiele dobrego! Nazywam się Richard Theo! – mówi polityk, podnosząc się z krzesła, z pełną świadomością, że prezentacja jest tu zbędna.

– Szuka pan pracy? – odpowiada mu dziennikarka bez namysłu.

Politykowi w skrytości imponuje, jak kobieta szybko odnajduje się w sytuacji, większość ludzi ma odwagę kpić z niego w ten sposób jedynie za jego plecami. Z dużej, a nawet bardzo dużej odległości.

– Już mam, dziękuję! Ale zobaczymy, jak pójdzie w następnych wyborach. Może jeszcze się zgłoszę! – Theo się uśmiecha.

Dziennikarka również raczy go uśmiechem, nieco słabszym.

– Zakładam więc, że pofatygował się pan tu, żeby nam powiedzieć o tym, jaką fantastyczną robotę wykonujemy w lokalnej gazecie. Czy tak?

– Coś w tym stylu. Wie pani, co najbardziej złośliwego opowiadają ludzie za moimi plecami?

– Słucham? – wybucha dziennikarka, nie kryjąc skonfundowania, co zapewne stanowiło też jego cel.

Theo ma wyraźnie urażoną minę, gdy opowiada:

– Cytują premiera, który powiedział: „Polityka polega na tym, by chcieć”, a potem szyderczo twierdzą, że moją wersją jest: „Polityka polega na tym, by wygrać”. Z całym szacunkiem, ale oczywiście nie uważam, że to prawda. Dla mnie polityka polega na tym, żeby robić. Czynić. To nie tylko puste słowa. Rozumie pani, o co mi chodzi?

– Nie sędzę – mówi podejrzliwie dziennikarka, na co polityk tylko się uśmiecha, tak jakby wszystko, co powiedział, było jedynie spontaniczną paplaniną, podczas gdy każde wypowiedziane słowo niezwykle dokładnie przemyślał.

– A co najbardziej złośliwego ludzie opowiadają za pani plecami? – pyta z ciekawością.

Dziennikarka patrzy na niego, mrużąc oczy, i przez krótką chwilę żałuje, że nie ma tu jej ojca. On jednak jeszcze śpi, bo całą noc przesiedział zakopany w księgowości Björnstad Hockey. Co mówił o Richardzie Theo? Że istnieją dwa rodzaje polityków: prowokatorzy i manipulatorzy. Pierwsi naciskają przypadkowe miejsca, sprawdzając, gdzie znajdują się czułe punkty, natomiast ci drudzy wiedzą dokładnie, czego szukają.

– Nie zwykłam snuć domysłów na temat tego, co ludzie o mnie mówią – odpowiada ostro dziennikarka.

– Naprawdę? Myślałem, że właśnie na tym polega praca dziennikarzy, na czytaniu opinii ludzi.

Theo się uśmiecha, dziennikarka również próbuje, ale jest o wiele gorszym kłamcą niż on. Zauważa na kolanach polityka dzisiejsze wydanie gazety. Otwarte na stronie z komentarzami i opiniami. Redaktorka naczelna doskonale wie, co się tam znajduje, bo sama podjęła decyzję o tej publikacji. Anonimowa matka hokeisty przesłała im palącą krytykę przeciwko „kulturze macho” w Björnstad Hockey. Najwyraźniej złożyła skargę zarówno na trenera grupy chłopięcej, jak i na samą trenerkę pierwszego składu. Obiecano jej, że trener drużyny chłopców zostanie zwolniony, a trenerka zawieszona. W rzeczywistości jednak trenerka opuściła jeden trening, a chłopięcego trenera „spauzowano” na miesiąc i wkrótce będzie on mógł przejść kolejną drużynę. Matka napisała, że to wyraźny dowód na „dziadocen” w klubie.

– Jeśli chciałby pan porozmawiać o tym tekście, to został on przysłany anonimowo – informuje redaktorka naczelna.

Richard Theo w rozbawieniu unosi brew.

– Ten? Nie, nie, to w ogóle nie moja sprawa. Uważam, że to nawet zdrowe, że w klubie panuje tak dobry klimat, że ludzie mają odwagę wyrażać swoją opinię.

– Anonimowo – dorzuca dziennikarka.

Polityk unosi rękę.

– Zawsze powtarzam, że ochrona źródeł informacji to fundament naszej demokracji! Natomiast sam dobór słów jest nieco dziwny, nie sądzi pani? „Dziadocen”, przecież pierwszy skład trenuje kobieta.

Redaktorka naczelna wzdycha, jak to zwykle czyni, gdy ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia, co oznacza „ochrona źródeł informacji”, używa tego sformułowania jako figury retorycznej.

– Myślę, że „dziad” oznacza tu raczej mentalność, a nie płeć – zauważa.

– Aaa! Nowocześnie! – rzuca odważnie polityk.

– Ale to nie dlatego się pan tu pofatygował? – pyta redaktorka delikatnie drżącym głosem, wskazującym na zniecierpliwienie.

Dlatego też Richard Theo tym bardziej przedłuża i na spokojnie poprawia się na krześle, nawiązuje jeszcze do wystroju wnętrza i widoku za oknem, a dopiero potem przechodzi do rzeczy:

– Jestem tu wyłącznie jako zatroskany obywatel. W ostatnich dniach słyszałem wiele plotek o napiętych stosunkach pomiędzy Hed a Björnstad, w których powoli zaczyna przeważać... jak by to nazwać... „frustracja”? Chętnie porozmawiam z panią o tym, co możemy zrobić, żeby nie doszło do niepotrzebnej eskalacji sytuacji.

Redaktorka naczelna przygląda mu się długo, nie do końca wiedząc, jakie są jego zamiary. Dlatego też stara się zyskać nieco na czasie, zgrywając głupią:

– Hm? Proszę wyjaśnić, co ma pan na myśli.

Theo zapewne dobrze zdaje sobie sprawę z tego triku, ale jak i wielu innych mężczyzn u władzy nie jest w stanie przegapić szansy, by pouczyć kobietę. Mówi więc:

– Mamy bójkę pomiędzy zawodnikami drużyny chłopięcej w hali lodowiska w Björnstad. Potem jednemu ze sponsorów Björnstad dewastują samochód w Hed. Następnie ten niezwykle tragiczny wypadek w fabryce, który zapoczątkował awanturę na parkingu przed szpitalem, a potem kolejny zdemastowany samochód w Björnstad. Obawiam się, że to dopiero początek, jeśli nie zdusimy tego w zarodku.

– I mam rozumieć, że pan przyszedł tu, żeby to zdusić? – pyta sceptycznym głosem redaktorka.

Polityk demonstracyjnie bierze głęboki wdech.

– Doszły mnie słuchy, że jeden z pani dziennikarzy zaczął grzebać w księgowości jednego z klubów. I to nawet pani ojciec, prawda? Oczywiście jest znany nam, politykom. Legenda, że tak to ujmę! Chcę, żeby pani wiedziała, że czuję najwyższy respekt przed prawem wolnych mediów do prześwietlania władzy, życzylibym sobie nawet, żebyście się tej władzy przyglądali nieco UWAŻNIEJ w tej gminie, przydałoby się tu zajrzeć pod niejednen kamień...

– Prosiłabym do sedna – przerywa mu redaktorka naczelna.

– Chciałbym się tylko upewnić, że niepotrzebnie nie zaczynacie żadnej nagonki. I nie podkrećcie nastrojów mieszkańców do otwartej przemocy. Nawet przedstawiciele mediów mają chyba jakąś odpowiedzialność społeczną, nieprawdaż?

Redaktorka naczelna odchyła się na krześle. Czułaby się pewniej, gdyby rozmowa odbywała się kilka dni temu, teraz jednak ma wrażenie, że w środku dnia widzi duchy i wszechobecne czarne kurtki o zmroku, a to po jakimś czasie wywiera wpływ nawet na zaprawioną w boju osobę.

– Nie mogę komentować trwających właśnie dochodzeń, którymi zajmują się obecnie moi reporterzy, ale mogę pana zapewnić, że bez względu na to, czy jest to mój ojciec czy ktoś inny, wnioski będą poprawne i sprawiedliwe...

Polityk prawie podskakuje na krześle w udawanej rozpacz, że został opacznie zrozumiany.

– Oczywiście! Oczywiście! Nigdy w życiu nie odważyłbym się proponować, co powinniście publikować, a czego nie. Nigdy w życiu! Jestem tu wyłącznie po to, by podkreślić wagę... tajmingu. W czasach, w których tak wielu martwi się o to, co się stanie z ich klubami hokejowymi, zapewne ani pani, ani właściciel gazety nie chcecie ryzykować, że zostaniecie posądzeni o... faworyzowanie jednej ze stron?

Dziennikarka zwraca uwagę na to, jak polityk akcentuje „właściciela gazety”, niczym subtelną pogrózkę, ale postanawia tego nie skomentować.

– Cokolwiek byśmy robili, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie uważał, że jesteśmy stronniczy. Gdy napiszemy coś pozytywnego o Hed, dostajemy setkę urażonych telefonów z Björnstad i vice versa, ale jak już mówiłam, wszystkie nasze wnioski będą zgodne z prawdą i sprawiedliwe. Za wcześnie jednak na rozmowy o naszych dochodzeniach z politykami, bo akurat TO właśnie może zostać odebrane jako faworyzowanie, prawda?

Richard Theo uśmiecha się z zadowoleniem, tak jakby jeszcze nie zdecydował, czy zostaną najlepszymi przyjaciółmi czy najbardziej zajadłymi wrogami.

– Nie jest pani stąd, prawda?

– Nie. Ale to już pan wie.

– Sam wychowałem się w Björnstad, ale właściwie tego nie słysząc. Dialekt zniknął, gdy mieszkałem za granicą. Po powrocie nauczyłem się patrzeć na rzeczy i jako obcy, i jako miejscowy. Czy wobec tego mogę dać pani radę?

– A mogę pana jakoś powstrzymać? – pyta dziennikarka z udawaną odwagą, ale tak właściwie to wstrząśnięta jego nagle srogim spojrzeniem.

– Niedobrze jest myśleć, że da się radę samemu we wszystkim. Tutaj mieszkamy blisko przyrody. W lesie i na jeziorze potrzebni są koledzy. Może się przecież wydarzyć tyle rzeczy, na które człowiek nie jest przygotowany. Tak jak teraz podczas wichury, w takich sytuacjach lepiej nie być samemu. To niemądre, a nawet niebezpieczne.

Polityk wstaje z krzesła, zanim dziennikarka zdąży coś odpowiedzieć. Wyciąga dłoń tak niespodziewanie, że nawet nie przychodzi jej do głowy, by zignorować ten gest.

– Dziękuję za odwiedziny! – mówi głośno redaktorka naczelna, starając się brzmieć pewnie.

Polityk długo i mocno ściska jej dłoń, a potem wskazuje głową na rozłożoną na blacie gazetę i deklaruje z uśmiechem na twarzy:

– Takie coś nigdy nie miało miejsca, gdy Peter Andersson pełnił funkcję dyrektora sportowego, to mogę pani powiedzieć. To uczciwy facet. Wobec którego zarówno ja, jak i wielu innych żywimy ogromny respekt. Największy respekt.

Na twarzy dziennikarki maluje się wyraźne zdziwienie i wkurza ją, że nie może tego ukryć. Polityk rozkoszuje się jej miną. Spodziewała się, że prześwietlenie Björnstad Hockey wyjdzie na jaw, ale skąd Richard Theo dowiedział się o tym, że na kozła ofiarnego wybrali Petera Anderssona? Może to był ktoś z gminy, ktoś, kto zwrócił uwagę na dokumenty, o które poprosił ojciec, ale równie dobrze wygadać mógł się ktoś z jej własnej redakcji, oczywiście wszyscy są reporterami, ale wielu z nich jest przede wszystkim z Björnstad. Zapewne nigdy do końca nie zrozumie, jak wszystko pozostaje tu ze sobą powiązane. W tym aspekcie Richard Theo ma niestety rację.

Żeby to pojąć, trzeba być stąd.

Drużynowe psy

Adri i Benji podjeżdżają na chwilę do Sunego. Adri ma odebrać stary segregator z ćwiczeniami treningowymi, które chciałyby wypróbować z drużyną dziewczęcą. Nie zamierzała być trenerką, ale ile znaczą zamiary w życiu? Nie zamierzała też hodować psów, po prostu okazało się, że jest w tym dobra. Kilka lat temu, gdy Sune przeszedł na emeryturę, dostał od niej szczeniaka, to Benji wybrał psiaka dla starego trenera, uzasadniając to słowami: „Ten. Bo to będzie wyzwanie”. I się nie mylił, tak więc teraz Adri trenuje Sunego w tym, jak się trenuje psy, a Sune Adri, jak trenować prawie siedmioletnie hokeistki. To właśnie ta dwójka rozpoczęła projekt drużyny dziewczęcej i w ten właśnie sposób odkryli Alicię, chodzili od domu do domu w całym Björnstad, zapytując, czy któreś z dziewczynek nie chciałyby pograć. Nigdy nie znaleźli nikogo, kto chciałby grać bardziej niż Alicia. Adri może nie chce się do tego przyznać, ale nie ma na świecie niczego, co napawa ją większą dumą niż świadomość, że po trosze to dzięki niej.

– Kawy? – pyta Sune, tak jakby w ogóle musiał pytać.

– Przypalona jak zwykle?

– Przepraszam, Waszą Wysokość, nie wiedziałem, że będę miał takich eleganckich gości, w przeciwnym razie wstawiłbym szampana do lodówki! – odpowiada Sune.

Adri go obejmuje, a ona prawie nigdy nikogo nie obejmuje. Sune nie ma już może na tym świecie rodziny, ale w tym mieście ma jej tyle, że sam już nie wie, jak znaleźć czas, by zdążyć ich wszystkich zrużać.

– Widziałaś gazetę? – pyta, wskazując głową na rozłożony na stole egzemplarz, razem z Adri są chyba dwiema ostatnimi osobami w całym wszechświecie, które odmawiają czytania wiadomości na tabletach i tego typu gównie.

– List do redakcji? Jak zwykle anonimowi tchórze – prycha Adri.

Tak, pewnie, że widziała.

– Jak to zwykle mawiasz: to, że jest się idiotą, nie znaczy od razu, że nie ma się racji? – Sune się uśmiecha.

Adri odwzajemnia uśmiech. Wszystko w liście w sumie się zgadza: ciągle kłótnie o środki, rodzice próbujący wpłynąć na skład drużyny, trenerzy, którzy używają języka z prehistorii. Adri wie to doskonale. Wie, co ludzie mówią o projekcie drużyny dziewczęcej, nawet jeśli nie mają odwagi powiedzieć jej tego w twarz. Gdy zaczynali z Sunem, mogli tylko marzyć o sponsoringu wyposażenia, musieli walczyć z całym klubem, by w ogóle dostać jakiś czas na lodzie, ale gdy przychodzi do promocji Björnstad, to nagle wszyscy chcą mieć dziewczynki na każdej ulotce PR-owej. Ma tej hipokryzji po dziurki w nosie, ale tylko mruczy wkurzonym głosem:

– Nie podoba mi się słowo „dziadocen”.

Bo część dziadów jest taka jak Sune, i o tym już nikt nie pamięta, nikt nie zastanawia się nad tym, na czyich barkach zbudowano takie kluby jak ten.

– To, że jest się dziadem, nie znaczy, że jest się idiotą. – Sune się uśmiecha.

W domu jest zaskakująco cicho, Adri zagląda do przedpokoju i stwierdza, że to dlatego, że pies wyszedł na zewnątrz, a Benji zasiadł w fotelu i już usnął. Wokół niego na ścianach wisi masa fotografii, te naprawdę stare, przedstawiające hokeistów, musiały się ścieśnić w kącie, żeby zrobić miejsce nowym z Alicią i psem. Wśród nich znalazł się nawet wycinek z gazety ze wzmianką o „drużynowym psie”, po tym, jak pojawił się on na zdjęciu pierwszego składu.

– Cukru? – pokrzykuje z kuchni Sune.

– Nie.

– Słyszałaś, że Frakowi rozbili samochód w Hed?

– Mhm. O bójce w naszej hali też. Młode chłopaczki. Nie wiem, czego się spodziewano, podejmując decyzję o treningach u nas.

– No i jeszcze ta bójka przy fabryce po tamtejszym wypadku.

– Mhm. Tak.

– A jutro trzynastolatki z Björnstad spotykają się z Hed.

– Słyszałam.

Sune rozmawia tak, jakby kolejne myśli właśnie przychodziły mu do głowy, ale Adri zna go zbyt dobrze i wie, że wszystko prowadzi do kolejnego zdania:

– Słyszałem, że może zjawią się tam chłopcy Teemu. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, sytuacja między nimi a chłopakami z Hed jest dość napięta.

Adri unosi brew nad kubkiem kawy.

– Czy ci idioci naprawdę zamierzają się tłuc podczas meczu... trzynastolatków?

Sune wzrusza ramionami z rezygnacją.

– Jak to zwykle: młodzi mężczyźni i ich rewiry. Ech, może po prostu jestem już starszym i niepotrzebnie się martwię. Ale chciałem ci to powiedzieć, na wypadek gdybyś była w stanie przemówić któremuś z nich do rozumu. Oczywiście tylko jeśli chcesz... utrzymać kogoś z daleka od tego wszystkiego.

Adri kiwa głową w zamyśleniu. Zna Teemu Rinniusa od dziecka, jemu nikt nie jest w stanie przemówić do rozumu. Ale to nie jego Sune ma na myśli. Adri ma dopilnować, żeby Benji się w to wszystko nie wplątał. To przecież taki typ, osioł jeden.

Bang.

Bang?

Bang bang bang?

Sune zawsze zapisywał różne rzeczy. Przez lata były to głównie sprawy związane z hokejem, słowa kluczowe pomieszane z kółkami, trójkątami i kreskami we wszystkie strony. Dopiero gdy zaczął się starzeć, zmienił technikę zapisu. Pisał o tym, co czuł i co czuje. Najpierw zabrał się za aspekt fizyczny, ponieważ lekarz poprosił go o dziennik dolegliwości. Słowa wręcz z niego wyrastały. Ostatnimi czasy sporo pisał o śmierci. Osiągnął już wiek, w którym stała się oczywista, nie tak jak w młodości, gdy się ją neguje, czy też w średnim wieku, gdy się ją wypiera. Ale przede wszystkim Sune pisze listy. Instrukcje obsługi wszystkiego możliwego w domu: które okna się blokują, gdy zmienia się pogoda, z których kontaktów lepiej nie korzystać, jeśli nie ma się ochoty na pocałunek nie do zapomnienia. Jaka część ogrodu podmaka wiosną i które deski na tarasie zostały ostatnio wymienione. No i oczywiście pies. Sune ma cały zeszyt poświęcony wizytom u weterynarza, markom ulubionych pasztetów Banga i przejrzystym instrukcjom na dzień własnej

śmierci, i co wtedy należy zrobić. Próbował go niedawno przekazać Adri, ale jedynie ją tym podenerwował. „Tylko mi tu nie umieraj, dziadeczku!” – ryknęła na niego i odmówiła dalszej dyskusji na ten temat.

To było wyznanie miłości, największe, na jakie było ją stać.

Bang?

Sune nigdy nawet nie próbował pisać o miłości. A może powinien. Ile da się z niej przeżyć, nie mając nigdy żony ani dzieci. I ile było w tym jego własnej, bez słowa, którą całkowicie poświęcił, i ile dostał jej w zamian bez choćby słowa potwierdzenia. Hokej przecież nie mówi, po prostu jest. Psy też nie mówią. Po prostu kochają.

Bang?

To cholerne zwierzę. Nieugięte i niemożliwe, dzikie i szalone, nie daje mu ani chwili spokoju i Sune chyba nie mógłby być za to bardziej wdzięczny. Nie spodziewał się miłości, którą poczuł do psa. Tak go nazywa, mój pies, mimo że to, co czuje, gdy zwierzak na niego patrzy, jest czymś dokładnie odwrotnym: że to on należy do psa. Że Sune jest jego człowiekiem. Pies polega na nim tak bardzo, że czasem wydaje mu się to aż nie do zniesienia, bo nie wie, czy podoła odpowiedzialności. Nie wie, czy da radę być tak potrzebny. Tak kochany. Każdego ranka budzą go te same gorliwe łapy oparte o ramę łóżka, ten sam szorstki język liżący mu twarz i za każdym razem Sune od nowa zadziwia się, jak bardzo pies go akceptuje. Ale z psami jest jak z hokejem, nowa szansa każdego ranka, cały czas wszystko zaczyna się od nowa.

„Jak chcesz go nazwać?” – zapytała Adri, gdy Sune pierwszy raz trzymał szczeniaka w ramionach. Trener długo się zastanawiał. Nigdy wcześniej nie rozmyślał nad imieniem. Imię to przecież odpowiedzialność, a ta mała kulka nie mogła sama wypowiedzieć się na temat tego, które imię przypadło jej do gustu, a które nie. Tak więc w końcu Sune nie wybrał żadnego, wszystkie jego miłości były bez słowa. Wybrał za to dźwięk. Najukochańszy ze wszystkich. Ten, który całe życie otaczał go w hali lodowiska, i ten, który każdego popołudnia słyszy

w ogrodzie. Dźwięk, który mówi, że jest tu jeszcze życie, że Sune jeszcze tu jest, jeszcze jest komuś potrzebny.

„Bang – odpowiedział. – Może nazwę go Bang”.

Bang.

Okrąża dom i woła go teraz, zdyszany, z ręką na klatce piersiowej. Ostatnio przez cały czas czuje się tak, jakby miał zgagę. Pies jednak nie przychodzi. Po chwili Adri zaczyna się niepokoić i wychodzi za nim z domu, nawołując tak głośno, że Benji się budzi i również wybiega na zewnątrz. Bang może i jest upartym stworzeniem, ale nastąpiła pora karmienia, której ten mały grubasek nigdy w życiu by nie przegapił.

BANG? BANG? BANG?

Leży za krzakami pod swoim ulubionym drzewem. Wygląda, jakby spał. Ale małe uszka nie reagują na kroki Sunego po trawie, łapki się nie ruszają, serduszko nie bije. Nie gryzie kapci Sunego. Nie szczeka tak, że Sune ma ochotę krzyknąć, żeby zamknął gębę. Nie liże go po twarzy. Już go nie ma.

Płacz

Weterynarz ponad godzinę siedzi w ciszy obok Sunego. Mimo że nie ma takiej potrzeby, Adri zmywa każdy talerz i każdą szklankę w całym domu, tylko po to, by zająć czymś ręce i nie zacząć rzucać wszystkim, czego dotknie. Benji idzie do lasu z mrocznym spojrzeniem i wraca z pokrwawionymi kostkami u dłoni i sporej wielkości kamieniem, który nada się na nagrobek. Jeden z sąsiadów przynosi narzędzia. Wytną nimi w kamieniu imię i rok. Sune prosi o dopisanie pod spodem jedyne go zdania, jakie jest w stanie wypowiedzieć.

Biegnij przodem.

Adri i Benji czekają na szkolnym podwórku, aż Alicia skończy lekcje. Dziewczynka płacze godzinami, prawie niemożliwe, że w tym małym ciałku mogą się jeszcze znajdować jakieś łzy, ale ona płacze dalej, aż zapada zmrok, siedzi skulona pod drzewem Banga i nie rusza się z miejsca, bez względu na to, co mówią dorośli. Płacze tak długo, aż wyczerpana leży w śniegu i Benji musi ją wnieść do środka, żeby nie zamarzła na kość. Benji wie, że dla dziecka śmierć to niespodziewana napaść pustki, nie mówi więc nic, by pocieszyć Alicię. Nie składa jej żadnych obietnic o niebie ani nie opowiada kłamstw o raj. Robi tylko to, co wie, że pomoże. Wkłada jej w dłoń kij i szepcze:

– Chodź, pogramy.

W środku nocy idą do hali lodowiska. Adri zadzwoniła wcześniej do dozorca, żeby zostawił im uchylone okno, przez które będą mogli wejść do środka. Benji i Alicia grają do utraty tchu. Potem leżą na środku lodowiska, na podobiznie niedźwiedzia wymalowanej pod lodem, i prawie siedmioletnia dziewczynka pyta prawie dwudziestolatka:

– Nienawidzisz Boga?

– Tak – odpowiada szczerze Benji.

– Ja też – szepcze dziewczynka.

Przez chwilę Benji rozważa, jak bardzo nieodpowiedzialne byłoby opowiedzenie siedmiolatce, że z czasem, gdy będzie już wystarczająco duża, by zapalić porządną trawę, te uczucia staną się łatwiejsze do zniesienia, ale zakłada, że Adri połamałaby mu za to nieśpiesznie wszystkie palce, więc odpuszcza ten pomysł. Zamiast tego mówi:

– Będzie zajebiście boleć przez zajebiście długi czas. Niektórzy dorośli powiedzą, że czas leczy rany, ale tak, kurde, nie jest. Człowiek staje się jedynie w chuj twardszy. Boli wtedy, kurde, troszeczkę mniej.

– Strasznie dużo klniesz. – Dziewczynka się uśmiecha, pierwszy raz tego dnia kąciki jej ust się unoszą.

– Wcale że, kurwa, nie. Jest to w chuj nieprawda! – rechocze Benji.

Alicia wybucha śmiechem, który odbija się echem w całej hali, i wtedy pojawia się jeszcze nadzieja w życiu. Leżą na plecach na lodzie i Benji opowiada jej, że u Adri w hodowli jedna jamniczka właśnie się oszczeniła, nie proponuje jednak, że może dostać jednego, pyta tylko, jak jej zdaniem powinny się nazywać szczeniaki. Zamiast więc krzyczeć i się złościć, że nie chce żadnego innego psa oprócz Banga, dziewczynka zaczyna się zastanawiać nad imionami. Przychodzą im do głowy setki, coraz głupsze i głupsze, śmieją się tak, że aż dostają czkawki. Ostatnie pięćdziesiąt ma coś wspólnego z „kupa”, a Alicii najbardziej podoba się „Kupcio”, bo jest zarazem najobrzydliwszym, jak i najmiłym słowem, jakie kiedykolwiek słyszała. Benji czeka tylko, jaką burę zbierze od Adri, gdy dziewczynka wykrzyczy to imię na kolejnym treningu.

– Bałeś się, gdy grałeś mecze? – pyta Alicia po chwili.

– Zawsze – przyznaje Benji.

– Ja aż czasami ze zdenerwowania wymiotuję – mówi Alicia.

Benji ostrożnie przesuwając ogromną dłoń po wielkim niedźwiedziu na lodzie i ściska jej małą rączkę.

– Pokazać ci na to sztuczkę? Gdy byłem mały, leżałem tak dawniej, jak my teraz. Wdrapywałem się tu przez okno nocą przed meczem, ale żebyś mi tego nigdy nie wypaplała dozorczy!

Alicia obiecuje, potakując głową.

– I co potem?

– Potem leżałem tutaj, gapiąc się w sufit, i myślałem: „Teraz jestem jedynym człowiekiem na świecie”. Zapamiętywałem ciszę. Bo nigdy się nie bałem, gdy byłem sam, jedynie między ludźmi.

– Ja też.

Benjiemu aż serce się kroi, że dziewczynka tak dobrze to rozumie. Jest na to jeszcze za mała. Ale odpowiada jej tak, jak jest:

– Gdy jesteś sama, nikt nie może cię skrzywdzić.

Jej palce zaciskają się mocniej wokół jego, pod nimi niedźwiedź, nad nimi wieczność.

– A potem? – pyta dziewczynka cienkim głosem.

Benji mówi niespiesznie:

– A potem podczas meczu, gdy się zestresowałem, patrzyłem w sufit i myślałem o tym, że jestem jedynym człowiekiem w hali. I wszystko w mojej głowie cichło. Nagle mogłem wyłączyć wszystkie dźwięki. Czułem, że jestem sam i że wtedy nie może mi się przydarzyć nic niebezpiecznego. I było już dobrze.

Alicia leży cicho przez dłuższy czas. Czuje ból w tak wielu miejscach w sobie, ale w tamtym momencie nie boli nic, bo obok niej leży Benji, nadeszła jesień, wkrótce rozpocznie się nowy sezon i wszystko nadal może być w porządku. Sufit nad nią nie ma końca i nic nie jest niebezpieczne. Dopiero gdy jej palce rozluźniają uścisk wokół jego dłoni, do Benjiego dociera, że dziewczynka usnęła. Niesie ją całą drogę do Sunego. Ściele jej na kanapie, a sam kładzie się obok na podłodze.

Następnego dnia Adri opowiada mu, że znaleźli pomieszaną z pasztetem trutkę na szczury rozrzuconą wszędzie wokół ogródka Sunego. Nie u sąsiadów, tylko u niego. Żadne z rodzeństwa Ovichów nie jest w stanie ubrać w słowa swoich najciemniejszych myśli, ale nie potrzebują też żadnych filozoficznych zasad, jedynie czystego instynktu, by zrozumieć, że najprostsze wytłumaczenia okazują się też najczęściej tymi prawdziwymi: kibice Björnstad i Hed właśnie rozpoczęli ze sobą wojnę, wszystko jest zemstą za zemstę, wszyscy wiedzą, że Bang był maskotką zielonego klubu. W lokalnej gazecie widniał przecież nawet na fotografii drużyny z podpisem „drużynowy pies”. Jeśli naprawdę chce się dopiec Björnstad, a jest się zbyt wielkim tchórzem, by zaatakować człowieka, to właśnie tak się postępuje.

Głos Benjiego nie jest wzburzony, nawet nie jest groźny, to tylko zwykłe zimne stwierdzenie:

– Zabiję ich. Każdego po kolei.

W każdym innym wypadku Adri by zaproponowała, ale tym razem tego nie robi. Gdy rodzeństwo Ovichów wsiada do samochodu i odjeżdża sprzed domu Sunego, ten przygląda im się przez okno. Ktoś właśnie uczynił tych dwoje swoimi śmiertelnymi wrogami, a w tym lesie nie ma chyba głupszego pomysłu niż ten.

Sune czuje, że coś dotyka go przy nodze, i przez sekundę ma ochotę się schylić i poklepać Banga po głowie, gdy nagle znów to do niego dociera, z całą tęsknotą i rozpaczą, a w oczach pojawiają się łzy. Alicia jeszcze raz pociąga go za nogawkę, wkłada rączkę w jego ogromną dłoń i pyta:

– Możemy zrobić kanapki z dżemem?

Pewnie, że mogą.

Ile tylko będzie chciała.

Uderzenia

Gęba opuszcza grób Ruth na cmentarzu w Björnstad w nocy z wtorku na środę i jedzie autobusem do domu do Hed, tak jakby nic się nie wydarzyło. Matteo nadal stoi, skryty w ciemności, i chciałby móc powiedzieć to samo. W głębi serca czuje, że byłby w stanie go zabić gołymi rękami, ale ma tylko czternaście lat, a Gęba to już mężczyzna. Matteo nie miałby szans. Po fakcie powiemy o Matteo, że chłopcy tacy jak on popełniają przestępstwa, bo chcą poczuć władzę, ale to nieprawda, on po prostu nie chciał już czuć się bezsilny.

Rusza na rowerze w stronę domu, ale opony ślizgają się na śniegu i kilka razy się wywraca. Znowu spada łańcuch i Matteo rani się w palec, próbując go ponownie nałożyć. Krew kapie po nadgarstku, ale chłopiec jest już tak mokry i wyziębiony, że początkowo nawet tego nie zauważa. Jęczy z frustracji i złości, ale co to pomoże? Prowadzi rower ze sobą, czuje takie zmęczenie, że nawet nie zwraca uwagi, którą drogę wybiera. Na wysokości ratusza słyszy starszego mężczyznę nawołującego psa. Wyszli na wieczorny spacer, przyzwyczajeni do tego, że ulice należą wtedy do nich, Matteo się nie chowa, ale oni i tak go nie zauważają.

„Bang! No chodź! No chodź! Dobry piesek! Idziemy do domu i zjemy pasztet!” – woła wesoło starszy mężczyzna.

Matteo go rozpoznaje. To Sune, były trener pierwszej drużyny. A jego pies był nawet w gazecie, wszyscy w Björnstad go uwielbiają.

Matteo nie czuje władzy, chciałby po prostu przestać czuć się bezsilny, chociaż na krótką chwilę. Do głowy przychodzi mu zielona kurtka, którą na cmentarzu miał na sobie Gęba, Sune ma taką samą, chłopiec chce im coś zabrać, tak żeby oni również poczuli, jak to jest. Psa z pewnością oplakiwaliby dłużej niż Ruth. W mieście niedźwiedzi dziewczynki są mniej ważne niż zwierzęta.

Matteo ciągnie rower całą drogę do domu, zakrada się do staruszków w domu obok z zamiarem ponownej próby otwarcia szafy z bronią, poddaje się jednak

i zamiast tego zakrada się do ich schowka. Nie jest pewien, czego szuka, dopóki nie zobaczy etykiet ostrzegawczych na dwóch małych pudełkach na najwyższej półce.

Wczesnym rankiem w środę wraca w okolice ratusza i odszukuje ogród Sunego. W drodze powrotnej mija Alicię, która skręca pod dom trenera, puka do jego drzwi i budzi go, bo chce śniadanie. Idą do sklepu, a po powrocie dziewczynka przytula się całym ciałem do Banga i wypuszcza go do ogrodu. Wtedy widzi psa po raz ostatni.

Ostrzeżenia

W Björnstad i Hed nastaje czwartkowy poranek i wszyscy budzą się źli. Od wichury minął dopiero tydzień, ale ma się wrażenie, jakby to były miesiące. Przed dwoma laty miasta po raz ostatni stały się w brutalnych zamieszkach, które doprowadziły do czyjejś śmierci, ale wkrótce historia się powtórzy. Znajdziemy tak wiele wymówek, zawsze tak jest, będziemy opowiadać, że konflikt pomiędzy miastami to skomplikowana sprawa i że w takich wypadkach nic nie jest ani czarne, ani białe. Westchniemy z lekkim pobłażaniem, wyjaśnimy, że nienawiść pomiędzy dwiema miejscowościami, dwoma klubami hokejowymi i dwiema społecznościami to nic nowego i ciągnie się od wielu pokoleń. Że nie chodzi tu o hokeja, ale o różnice w kulturze, tradycji i sposobie, w jaki od samego początku oba miasta się utrzymywały. Zaczniemy wywody o priorytetach gminy, zasobach finansowych i gałęziach przemysłu, na których może się rozwijać okolica. Wspomnimy miejsca pracy i podatki, i że jedyne, czego chcą miejscowi, to to, żeby ich zostawić w spokoju. Dadzą sobie radę sami, będą żyć w wolności, polować we własnych lasach i łowić ryby we własnych wodach, zachowując dla siebie wyprodukowane towary, zamiast słać je na południe. Dokładnie przedstawimy, ile z lokalnych zamieszek jest wynikiem politycznych decyzji podejmowanych w wielkich miastach, przez ludzi, których stopa nigdy nie stanęła w lesie. W Björnstad powiedzą, że te skurczybyki po drugiej stronie głównej drogi są po prostu zazdrosne, a w Hed się rozniesie, że te skurczysyny za lasem to wyniośli hipokryci, którzy uważają się za lepszych od innych. Ktoś wspomni chłopcę bójkę w hali lodowiska, ktoś inny zniszczony w Hed samochód, potem wrócą pamięcią do wypadku w fabryce, a wtedy nawet najbardziej opanowane głosy wzniosą się ponad granice rozsądku. To, co rozpocznie się jako dyskusja o miejscu pracy i bezpieczeństwie w fabryce, wkrótce przerodzi się w polityczne slogany, a gdy jedna ze stron podniesie argument o dyskryminacji, druga zacznie krzyczeć: „To nie przyjeżdżajcie tu wcale do pracy! Podkradajcie sobie miejsca pracy w swoim pieprzonym mieście!”. Każdy zna kogoś, kto zna kogoś, kto zna albo tę

młodą kobietę, która uległa wypadkowi w fabryce, albo tę drugą, która była wtedy na macierzyńskim, a do której pierwotnie należała ta zmiana. Wszyscy znają albo braci, którzy na parkingu przy szpitalu pobili młodych chłopaków, albo ich samych. Każdy w Hed spotkał kiedyś świnię z Björnstad na jakimś przyjęciu weselnym, w hali lodowiska albo w miejscu pracy. Wszystko najgorsze, co myślimy o sobie nawzajem, można udowodnić opowieścią o kimś, kto gdzieś ją już kiedyś słyszał.

Powiemy, że ma to swoją długoletnią historię. Głębokie intelektualne przyczyny. Że sprzeciw dziedziczymy z pokolenia na pokolenie. Że tego nie rozumiesz, bo nie jesteś stąd. Powiemy, że to skomplikowane, ach, to takie skomplikowane, mimo że wcale przecież takie nie jest. Gdyby Ramona jeszcze żyła, powiedziałaaby: „To, do kurwy nędzy, wcale nie jest skomplikowane. Wystarczy, że przestaniecie się nawzajem zabijać, pieprzeni durnie!”.

Sami już jednak nie wiemy, jak mamy to zatrzymać.

—

„Przecież to tylko pies”.

Nikt tak oczywiście nie mówi, ale Sune ma wrażenie, że tak właśnie myślą wszyscy sąsiedzi. Za oknem, na ulicy, dzień nadal się toczy, a on siedzi w kuchni rozbity na milion kawałków. Ktoś, mijając go przy skrzynce pocztowej, wspomina, że bardzo mu przykro z powodu jego straty, ale Sune nie chce, żeby im było przykro z powodu śmierci, a z powodu życia, które musi teraz wieść bez tego niewychowanego, niezdyscyplinowanego nicponia. Bez łap na ramie łóżka i bez śladów ugryzień na przegubach dłoni. Jak to teraz będzie? Kto zje cały ten pasztet, który został w lodówce? Odbiera kilka wiadomości i telefonów od zarządu klubu i jeszcze parę od trenerów drużyn młodzieżowych, wszyscy składają kondolencje, ale nie tak, jakby był to człowiek. Przykro im, że Sunemu jest przykro, to oczywiste, ale nie do końca rozumieją jego stratę. Bo przecież to tylko pies. Tak trudno wyjaśnić, że to coś o wiele więcej niż zwierzę, gdy jest się człowiekiem tego zwierzęcia. Wymaga to zapewne więcej empatii niż u przeciętnej osoby. Albo też więcej wyobraźni.

Dlatego jest to zarówno całkiem nieoczekiwane, jak i zupełnie logiczne, że jeśli już ktoś dzwoni do drzwi i stoi tam ze łzami w oczach, to musi to być Teemu. A za nim tuzin mężczyzn w czarnych kurtkach. Mają ze sobą ogromny wieniec nagrobny, taki, jakim zwykle dekoruje się groby ludzi.

– Chłopcy chcieli okazać szacunek. Możemy ci w czymś pomóc? – pyta Teemu.

– To miło z waszej strony. Ale to przecież tylko pies – szepcze Sune.

Teemu poklepuje go mocno po ramieniu.

– To nigdy nie jest tylko pies. To rodzina. Wszyscy wiemy, jak bardzo go kochałeś. I my też. Przecież to, do cholery, był pies drużyny...

Jeden z mężczyzn stojących za nim, wytatuowany na szyi i rękach, i pewnie również wszędzie pomiędzy, odzywa się drżącym głosem:

– Nie znałem go za dobrze, ale będzie mi go brakować. Był prawdziwą częścią klubu!

Sune stoi z wieńcem w rękach i śladami tęsknoty na policzkach i nie wie, co ma odpowiedzieć. Jeśli jednak ktoś ma zrozumieć tę niepojętą i niedorzeczną miłość, którą można obdarzyć zwierzę, to będą to zapewne ci, którym całe życie wmawia się, że kochają coś bardziej, niż powinni: „Przecież to tylko hokey”.

Grupa również czuje dokładnie wszystko, przez cały czas. Zdaje sobie sprawę, że ogrom żałoby nie zależy od tego, kogo się straciło, tylko od tego, kim się jest. Mają wyobraźnię. Tak wielką, że czasem czyni ich ona wręcz niebezpiecznymi, gdy tylko pojawia się zagrożenie utraty tego, bez czego nie wyobrażają sobie życia.

– Kawa – mówi Sune, i nie jest to pytanie. Wchodzi do domu pierwszy.

Czarne kurtki ruszają za nim. Piją kawę. Jeden z mężczyzn zauważa, że kran w łazience cieknie, więc go naprawia. Drugi zmywa naczynia. Trzeci wyciera. Przy wyjściu Teemu zostawia na kuchennym blacie kopertę z gotówką.

– Nie ma tego za wiele – przeprasza cicho.

– Zatrzymaj je, jak... – zaczyna Sune, ale Teemu unosi dłoń w uprzejmym geście.

– Nie dla ciebie. To dla Alicii. Wiemy, że to był też jej pies. – Rusza do wyjścia.

Sune woła jeszcze za nim:

– Teemu... nie znamy się za dobrze, ale wiem, że jesteś zły... Chcę, żebyś wiedział, że ja też jestem cholernie zły, ale... nie próbujcie pomścić psa dla psa,

okej? Nie za bardzo poważał ludzi, którzy się biją. I lepiej, żeby Alicia też taka była.

– Mścić się? Na kim? – pyta Teemu, z pozoru nie rozumiejąc.

Sune już z całą pewnością wie, że ktoś w Hed poważnie za to odpowie.

—

Benji i Adri Ovichowie karmią psy w hodowli, sami spożywają posiłek w ciszy przy kuchennym blacie, a potem cały dzień spędzają w siłowni, którą Adri urządziła w stodole. Siostra zauważa, że Benji jest słabszy niż dawniej. Dostrzega również inne rzeczy: jeszcze w zeszłym tygodniu, gdy wrócił ze swoich wojaży, jego oczy miały jaśniejszy odcień, tak jakby wyblakły od plażowego słońca, teraz znów pociemniały. Wygląda na silniejszego i twardszego. Zanim wczoraj złapał Alicię na szkolnym podwórku i musiał jej opowiedzieć o tym, co przydarzyło się jej ukochanemu psu, miotał się po domu niczym ranny ptak. Teraz przetacza się przez niego jak zraniony niedźwiedź. Wczoraj był delikatny, dziś jest śmiertelnie niebezpieczny.

Łyżwy

Peter spędza przedpołudnie na pieczeniu chleba, w nadziei, że zadzwoni telefon. Co pięć minut dotyka palcem ekranu, żeby sprawdzić, czy nie wyczerpała się bateria, ale aparat pozostaje głuchy. Mira chyba nawet nie zauważyła jego nieobecności w biurze. Czyli wcale nie jest taki ważny dla firmy. Sam już nie wie, jak powinien się z tym czuć: zraniony? Zły? Niewystarczający?

Piecze tyle chleba, Boże, ileż z tego wyjdzie dziś chleba, w końcu zajmują cały kuchenny blat. Potem wkłada zieloną kurtkę i rusza w stronę hali lodowiska. Pewnie, że może sobie na to pozwolić, przecież i tak nikt go nie potrzebuje, dziś mecz trzynastolatków, a nie ma lepszego wieku w hokeju niż ten. Wszystko jest wtedy jeszcze jedynie czystym talentem i potencjałem. Z marzeniami.

Dociera do hali wcześniej, nie ma jeszcze zbyt wielu kibiców, ale kilku dziadków kręcących się na trybunach podnosi wzrok, gdy Peter wchodzi do środka.

– Słuchaj no, Peter! – wołają. – Słyszeliśmy o tym nowym zawodniku... jak mu tam? Aleksandr? Będzie coś z tego?

Peter się uśmiecha.

– Mówimy na niego Stolyca. I tak, będzie coś z niego. Jeszcze zobaczycie.

Dziadkom taka odpowiedź się oczywiście podoba.

– „Stolyca”? Hm, no cóż, będziemy pamiętać. A Amat wrócił? Będzie z nich dobrana para?

Peter kiwa głową z zadowoleniem.

– Zackell wie, co robi.

Przez chwilę czuje się prawie jak za dawnych czasów. Dziadki poklepują go po plecach i stwierdzają:

– Już nie bądź taki w trąbkę skromny, wszyscy wiemy, że pojechałeś z Zackell rekrutować nowego! Zapewne miałeś też coś wspólnego z powrotem Amata! Wszyscy chcą cię znów na dyrektora sportowego, żebyś wiedział, jak tylko ci się

znudzi nalewanie żonie kawy czy też czym się tam zajmujesz w biurze adwokackim w Hed...

Peter naprawdę stara się z tego zaśmiać niczym z dobrego żartu. Naprawdę, naprawdę się stara.

Na trybunach dosiada się do niego dozorca. Dopiero od niego Peter dowiaduje się o psie Sunego i o tym, że czarne kurtki wybierają się na mecz.

– Lepiej przygotujmy się na bójkę – mruczy z zadowoleniem dozorca, bo wszystko wygląda jak za starych dobrych czasów.

Może tylko trochę za bardzo.

–

Mira wraz ze współpracowniczką siedzą w biurze zakopane po uszy w segregatorach z dokumentami.

– Jak myślisz? – pyta zmęczonym głosem Mira.

– Na naszą korzyść działa głównie to, że to wszystko jest tak cholernie zagmatwane. Nikt normalny nie załapie, jaki błąd w sumie popełnił Peter – odpowiada współpracowniczka, starając się ją pocieszyć, co oczywiście nie działa za dobrze, bo Mira doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił jej mąż.

– Odwrócenie wzroku w inną stronę w momencie, gdy ktoś popełnia przestępstwo, może być równie straszne jak samo popełnienie go – kwituje.

Współniczka ma jednak rację, dobry adwokat większość tego, co zrobił klub, może przedstawić jako prawne błahostki, dlatego też Mira tak bardzo złości się na Petera, że podpisał właśnie te dokumenty o centrum treningowym. Leżą przed nimi niczym odciski palców na broni z miejsca przestępstwa. Bo to akurat każdy zrozumie: nie można ukraść milionów z pieniędzy podatników ani sprzedać powietrza, ani potem pozwolić gminie na zakup budynku, który nie istnieje. To niemoralne. I jest przestępstwem.

– Powiedziałaś już Peterowi, że o wszystkim wiesz? – pyta współpracowniczka.

Mira kręci głową.

– Nie. Pewnie usłyszę, że nie wiedział, co podpisuje. I mu uwierzę. To będzie mój wybór... żeby mu uwierzyć.

Współniczka uśmiecha się lekko.

– Też bym mu uwierzyła. Ten twój facet może i jest dupą wołową, ale tak głupi to na pewno nie jest.

Mira wzdycha.

– Głupota polega niestety na nieczytaniu tego, co się podpisuje. Co w tym niby mądrego? Nie wiem, czy będę mogła argumentować, że nie popełnił przestępstwa, podkreślając, że jest taki naiwny...

Wspólniczka kiwa głową.

– Wiesz, co myślę? Że gazeta nie odważy się tego opublikować. Ludzie dostaliby szału, gdyby tylko dziennikarze spróbowali puścić to do druku, przecież wszyscy uważają, że Peter jest święty... a nawet jeśli to opublikują, to może wcale nie potrzebują kozła ofiarnego? Może bardziej skupią się na krytyce zarządu i polityków, a nie na jednej konkretnej osobie...

– A jeśli potrzebują kozła ofiarnego? – pyta Mira, chociaż nie chce znać odpowiedzi.

Wspólniczka patrzy na nią z zatroskaną miną.

– Wtedy Peter pasuje idealnie. Idealnie.

Mira próbuje coś powiedzieć, ale płacz zaciska jej gardło. Ma nadzieję, że Frak znajdzie jakiś sposób na uratowanie Hed Hockey, że po jego stronie stanie wystarczająco wielu sprzymierzeńców, którzy pomogą powstrzymać gazetę, i naprawdę ma nadzieję, że to wystarczy, by ukryć to, co zrobił Peter. Bo zamaskować tego nie potrafi nawet ona.

–

Dziecięca drużyna właśnie trenuje. Dozorca sprawdza jeszcze żarówki, okna i wyjścia awaryjne przed meczem trzynastolatków, Peter idzie za nim i pomaga. Gdy jeszcze zajmował stanowisko dyrektora sportowego, niezwykłą dumą napawało go, że nie tylko doskonale orientował się w drużynie, ale również w samej hali lodowiska. Wiedział, co trzeba zabezpieczyć, nasmarować, wymienić lub naprawić. W niewielkim klubie hokejowym nikt nie ma tylko jednej pracy, wszyscy mają co najmniej trzy.

– Kurde... – mruczy z niezadowoleniem, ściągając kurtkę. Zepsuł się w niej zamek.

– Kurtka ci się skurczyła czy urósł brzuch? – śmieje się dozorca.

– Chyba i to, i to – przyznaje Peter.

– W kantorku mam obcęgi. Zaraz ci to naprawię. Przecież nie możesz tak chodzić, chłopaku – pohukuje dozorca, bo choćby Peter miał osiemdziesiąt lat, to dla niego zawsze pozostanie „chłopakiem”.

Przy kantorku spotykają Amata z łyżwami w dłoniach. Na widok Petera jest mu wyraźnie głupio, nie wie, jak się zachować, i w końcu upuszcza jedną łyżwę.

– Do ostrzenia? – pyta dozorca z wyjątkową ponurością, przeznaczoną wyłącznie dla zawodników, których lubi najbardziej.

– Tylko jeśli... ma pan czas... bo w sumie... – wydusza z siebie Amat.

Tak wiele chciał powiedzieć Peterowi kilka dni temu, gdy poszedł do niego do domu, ale nic z tego nie wyszło i teraz słowa jakby w nim ugrzęzły.

– Najpierw muszę naprawić tę kurtkę – informuje dozorca.

Peter pochyla się jednak, podnosi łyżwę i mówi:

– Ja ci je naostrzę. Chodź mi tylko powiedz, jakie chcesz mieć.

W piskach i burczeniu dochodzących z maszyny ostrzącej trzech mężczyzn z różnych pokoleń sprzecza się spokojnym głosem o głębokość rowka. Dozorca uważa, że ostrzenie powinno być płytsze, skoro Amat waży dziesięć kilo więcej, ale Peter mruga do chłopaka i wyjaśnia:

– Tylko się popisuje, nie wie nawet, jak zmienić ustawienia w maszynie, od zawsze ostrzy wszystkie łyżwy w ten sam sposób.

– Twoimi można by przejechać przez żwir, pięć metrów w całym meczu nie przejechałeś... – odcina się dozorca i idzie poszukać obcęgow.

Peter i Amat nadal stoją przy maszynie.

– Zostajesz popatrzeć, jak grają trzynastolatki? – pyta Peter, przekrzykując pisk. – Mam wrażenie, jakby to było wczoraj, gdy sam jeszcze byłeś w ich wieku. To znaczy wiem, że to było dawno temu, ale czasem...

Amat wbija wzrok w łyżwy.

– Wiem, o co panu chodzi. Też tak czasem czuję.

Peter przesuwa delikatnie palcami po płozie.

– Dlatego właśnie całe miasto uwielbia patrzeć na grające dzieci. W tym wieku wszystko jest jeszcze takie pełne nadziei.

Głos Amata prawie się załamuje.

– Powinienem był pana posłuchać wiosną.

Peter kręci delikatnie głową.

– Nie, nie, miałeś rację. Jesteś dorosłym mężczyzną. Nie powinienem był ci prawić kazań o tym, co masz robić w życiu...

– Gdybym pana posłuchał, może grałbym teraz w NHL – wyrzuca z siebie Amat.

Peter odwraca się w jego stronę i wymusza kontakt wzrokowy.

– Będziesz grał w NHL, kiedyś. Ale nie dzięki mnie ani komuś innemu, tylko dlatego, że jesteś cholernie dobrym hokeistą.

Podaje mu łyżwy. Amat je odbiera i ze wzrokiem wbitym w podłogę odpowiada:

– Nie doszedłbym do tego, gdyby nie pan.

– Proszę cię, masz niesamowity talent, miałbyś... – protestuje Peter, lecz Amat przerywa mu cicho, ale zdecydowanym głosem:

– Talent nie wystarczy. Przynajmniej w moim przypadku. Potrzebny jest też ktoś, kto we mnie wierzy. I tu nie chodzi tylko o mnie... to samo zrobił pan dla Benjiego i Bobo, a teraz robi pan to też dla Aleksandra... Nie jesteśmy pańskimi dziećmi, ale zawsze tak się czuliśmy. Zawsze wierzył pan w nas bardziej nawet niż my sami.

Słysząc kroki dozorca. Zamykające się drzwi. Pisk maszyny. Zawstydzony Amat mamrocze „dziękuję” i odchodzi. Peter boi się założyć kurtkę, bo wie, że nigdy nie będzie jej już w stanie zapiąć w klatce piersiowej. Dozorca rzuca mu poirytowane spojrzenie.

– Jak masz tu tak stać bez sensu, to mam jeszcze dwadzieścia par łyżew do naostrzenia – chrząka w jego stronę.

Peter zostaje więc w kantorku na wiele godzin. Tak użyteczny nie czuł się już dawno.

–

Gdy Amat wraca z kantorka, hala lodowiska zaczyna się już wypełniać ludźmi. Tłum go stresuje, dlatego nie zostaje, by zobaczyć mecz. Na parkingu spotyka Gębę, z torbą na ramieniu i taką samą niewyraźną miną spowodowaną nagłą obecnością tłumu widzów. Z nieba spadają kolejne płatki śniegu.

– Gęba! Idziemy gdzieś pograć? Możemy zobaczyć, czy na jeziorze jest już łód –
wykrzykuje Amat, a Gęba oczywiście się zgadza.

Matteo stoi kawałek dalej za drzewami i się im przygląda.

Prowokacje

Jest czwartek po południu i cały dom w Hed wibruje pod ciężarem ciał wędrujących w górę i w dół po trzeszczących schodach. Ted pakuje torbę na dzisiejszy mecz trzynastolatków przeciwko Björnstad. Tobias nadal jest zawieszony w swojej drużynie, więc tym razem może po prostu pojechać i pokibicować bratu, ich mecze od lat pokrywają się w czasie. Tess odprowadza właśnie Turego do sąsiadów. Młodszy brat oczywiście się wścieka, ale mimo że nikt z nich nie wie, jak dokładnie potoczy się ten dzień, to już rano wiedziony instynktem Johnny zdecydował, że najmłodszy syn nie pojedzie na mecz. Zarówno on, jak i Hannah próbują utrzymać uczucia na wodzy, z różnym skutkiem. Wypadek w fabryce bardzo się na nich odbił, nie zdążyli jeszcze nawet o tym ze sobą porozmawiać, a może nawet wręcz unikali tego tematu. Johnny pomagał rozcinać maszynę, w której utknęła młoda kobieta, a Hannah zajmowała się nią w szpitalu. Teraz Hannah jest drażliwa, a Johnny uczuciowy. Hannah się wyżywa, a on dusi to w sobie. W niej aż buzuje, ale to on wybuchnie.

– Idę zapakować samochód – mówi Johnny, mimo że nie mają niczego do zabrania ze sobą, musi jednak wyjść i posiedzieć za kierownicą z Bruce'em Springsteenem na cały regulator.

Hannah pozwala mężowi zniknąć, a sama idzie do pokoju Teda. Trzynastolatek ma już na sobie czerwony dres i jak zwykle od dawna czeka gotowy do wyjścia. W przeciwieństwie do Tobiasa, piętnastolatka, który dopiero co się obudził i jeszcze nie jest w stanie zlokalizować dwóch pasujących do siebie skarpetek. Hannah mu pomaga, mamrocząc pod nosem:

– To twoje skarpetki? Wyglądają jak taty! Jaki ty masz już w sumie rozmiar? Przecież dopiero co musieliśmy ci jeszcze wiązać łyżwy za każdym razem, jak chciałeś grać...

– Mamo, to było jakieś dziesięć lat temu.

Synowie wybuchają śmiechem.

– Nie, raczej jakieś pięć minut temu! Maksymalnie w zeszłym tygodniu – rzuca zaczepnie mama.

„To nie wy urosliście, tylko cały mój świat wokół was się skurczył” – myśli Hannah, tuląc synów. Zostało jej już tylko jedno dziecko, które wciąż potrzebuje pomocy przy wiązaniu łyżew, a i tak ledwie jej na to pozwala. To okropne, że nawet to powoli traci, bo momenty, w których dzieci wyjeżdżają na lód, robią pierwszy ślizg na treningu albo meczu, to w całym ich dotychczasowym życiu niemalże jedyne chwile, w których czuje się dobrą matką. Matką, która ogarnia. Tylko przez sekundę. Teraz wszystko robią same, dokładnie tak, jak sobie tego życzyła, gdy były jeszcze małe i irytujące, ale teraz sama marzy o powrocie do tamtych czasów, bo dzieci już wyrosły i stały się samodzielne.

Całą drogę do Björnstad Ted i Tobias kłócą się o to, jakiej muzyki mają słuchać. Tess puszcza Springsteena, by się z nimi podroczyć, Johnny tłumaczy sobie, że to ze względu na niego, i rozkoszuje się melodią, aż wyjeżdżają z lasu i dostrzegają kolejkę samochodów ciągnącą się do hali lodowiska.

– O kurde, ile ludu! – wykrzykuje Tobias.

– Wszyscy na NASZ mecz? – Ted ledwie łapie oddech.

Johnny i Hannah nic się nie odzywają, rozglądając się uważnie po parkingu i zgromadzonych tam kibicach. Gdzieniegdzie widać już niewielkie grupy mężczyzn w czarnych kurtkach, zwykle nie pojawiają się na meczach trzynastolatków, ale dzisiaj jest inaczej. Nadciągająca przemoc to samospełniająca się przepowiednia: grupa usłyszała plotkę o tym, że faceci z Hed przyjadą się bić, i od razu założyła, że musi obronić swoich chłopców z Björnstad, tak więc faceci z Hed uważają, że teraz to oni już MUSZĄ tu przyjechać, żeby z kolei stanąć w obronie swoich chłopców. Niepotrzebne są tu nawet inne prowokacje. Wystarczy im tylko nienawiść.

„To się dobrze nie skończy” – myśli Hannah, ale zamiast tego mówi:

– Ale super, że będzie taka fajna atmosfera! Z tyloma kibicami z Hed to prawie jak mecz u nas!

– To JEST mecz u nas – pomrukuje niezadowolony Johnny.

Taki przynajmniej miał być. Gdyby dach hali w Hed się nie zawalił, mecz odbywałby się u nich. W obecnej sytuacji przeniesiono go tutaj, i to na czwartek, bo nie było już innych terminów, a dodatkowo ktoś zadał sobie trud i wpisał

drużynę z Björnstad jako pierwszą na tablicy przed wejściem. Tak jakby mecz miał się odbywać u nich.

– To chyba nie jest aż takie ważne, kochanie – zauważa Hannah, ale Johnny milczy ze skwaszoną miną.

Przesuwają się wolno za pozostałymi samochodami pomiędzy masywnymi masztami z trzepoczącymi na wietrze ogromnymi zielonymi flagami z podobizną niedźwiedzia. Na nowym wyremontowanym dachu hali leży śnieg, pobłyskujący teraz w promieniach słońca. Na miejscach parkingowych najbliżej wejścia stoją drogie jeepy hokejowych tatuśków, wszystkie wyglądają tak samo. Na tylnej szybie każdego z nich widnieje naklejka Björnstad Hockey. Johnny przejeżdża obok nich minibusem, którego silnik rzeźi tak mocno, jakby pracował czterdzieści lat w recepcji jakiegoś urzędu i wypalał dziennie co najmniej tyle samo papierosów z żółtej paczki. Karoseria skrzypi, Springsteen zawodzi, a kawałek dalej grupa nastolatków zaczyna podśpiewywać: TO MY, NIEDŹWIEDZIE! TO MY, NIEDŹWIEDZIE! TO MY, NIEDŹWIEDZIE! NIEEEEDŹWIEEDZIE Z BJÖÖRNSTAD! Odpowiada im niewielka grupka dzieciaków ubranych na czerwono: HED! HED! HED! W tym momencie cały parking zalewa buczenie ukoronowane okrzykami: HED – CIPY! HED – CIPY! HED – CIPY!

– Wspaniałe, wspaniałe Björnstad Hockey ze swoimi wspaniałymi „wartościami”... – gdera Johnny ściszoneg głosem i nawet Hannah nie ma już siły zwrócić mu uwagi, by przestał.

Tobias i Ted wyskakują z samochodu, Tobias bez słowa chwyta torbę młodszego brata, tak żeby ten na wypadek bójk nie utknął w tłumie. Kierują się w stronę stojącego wraz z resztą zespołu przy wejściu trenera, a w uszach dźwięczą im jeszcze napomnienia Hannah:

– Skupcie się na hokeju! Nie zaczynajcie żadnych przepychanek! Słyszycie?

Tess stoi zaraz obok niej. Jej wzrok błądzi przy wejściu do hali. Mama patrzy na córkę, wzdycha i pyta:

– Jest tam Bobo?

Tess potakuje radośnie.

– Mogę...

Hannah kiwa głową.

– Tak, leć. Tylko trzymaj się blisko niego! W razie bójki to on oberwie. Jest wystarczająco wielki...

Tess biegnie, beztrosko niczym w parku rozrywki, do którego w sumie można by teraz porównać to miejsce. Śmieje się tak wesoło, że Hannah prawie się rozluźnia, bo jeśli się pominie kilka rozognionych zaśpiewek, ludzie mają raczej dobre humory: oczekiwanie wisi w powietrzu, wszędzie dzieci z ciężkimi torbami, otwarte bagażniki samochodów wypełnione bułeczkami i termosami z kawą. W minionym tygodniu oba miasta nosiły w sobie tyle wzajemnej nienawiści, ale dziś wszyscy pocierają dłonie na zimnie, myśląc już o ciepłe czekającym na nich w hali lodowiska. Obejmują starych znajomych, których nie widzieli od wiosny, minęło całe długie lato, podczas którego wszyscy wyjechali do domków letnich i kempingowych, lecz teraz życie zaczyna się na nowo. Codziennością znów steruje zawożenie i odbieranie dzieci, każdego wieczoru setki rodzin znów będą miały temat do rozmowy, coś wspólnego, bo gdyby te wszystkie dzieciaki nie grały w hokeja, to ich rodzice nigdy nie mieliby w ich życiu tyle miejsca. Ile takich lat zostało jeszcze Hannah w najlepszym wypadku? Wkrótce wszystko się skończy. Niedługo będą już duże. Matki nie mają żadnej zbroi, w której mogłyby iść przez życie, bo całą oddają swoim dzieciom, gdy te są już nastolatkami, matkom nie pozostaje nawet skóra, tak więc każde uczucie straty przesywa mięśnie na wskroś.

– Idę po kiełbaski, zostajesz tutaj? – pyta niewzruszony Johnny i, o Boże, ile Hannah by dała, by właśnie teraz trafił go piorun, ale nie tak, żeby umarł, no może tylko tak trochę.

– Kiełbaski? Teraz? – prycha Hannah, ale w sumie nie powinna się dziwić, ten człowiek to chodzący młynek do odpadków, pół życia spędziła na „chowaniu” taniej czekolady w najwyższej szufladzie w kuchni, tak żeby po piwie mąż mógł ją łatwo znaleźć i nie węszył już za tą droższą, schowaną w niższej.

Kawałek dalej zauważa dwie rodziny z drużyny Teda, rusza więc w ich kierunku. Johnny idzie po kiełbaski. W ten sposób cała rodzina gubi się w tłumie.

Adwokaci

Mimo że nikt nie jest w stanie wyjaśnić dlaczego, wszyscy Anderssonowie znajdują się tego popołudnia w hali lodowiska. Maya i Ana wpadają na chwilę do domu, by skosztować nieco chleba, zastają w nim Stolycę, który właśnie przyszedł odebrać resztę swoich rzeczy przed przeprowadzką do letniego domku, niegdysiejszego kampera. Spał tam dzisiaj sam, z niewiadomych dla niego powodów Benji przeniósł się do siostry, ale Stolicy tak bardzo spodobało się między drzewami przy jeziorze, że postanowił zostać.

– Idziesz na mecz? – pyta niewinnie Maya, gdy wpadają na siebie w kuchni.

– Jaki mecz?

– Trzynastolatki z Hed grają dziś z Björnstad.

– Trzynastolatki? To jakieś... wydarzenie w tych okolicach? – dziwi się Stolyca.

– W przypadku Björnstad i Hed to zawsze wydarzenie – odpowiada Maya.

– A wy... idziecie?

– TERAZ to już tak! – stwierdza Ana.

Przekonują Leo, żeby poszedł z nimi, początkowo udaje, że wcale nie ma ochoty, ale w drodze do hali dzielą się z Mayą i Aną papierosem i Leo czuje się prawie dorosły. Na miejscu Maya wysyła esemesa do mamy:

„Jesteśmy na meczu. Przyjdiesz?”.

Mira wraz ze współpracowniczką siedzą jeszcze w biurze po uszy w dokumentach.

„Trzynastolatkowie? Nie wiedziałam, że cię to interesuje” – odpisuje zdziwiona.

Córka wysyła kolejną wiadomość:

„A kogo to obchodzi, kto gra? Mamo, no chodź!”.

Powodzenia każdej mamie nastolatki, że uda jej się oprzeć takiemu zaproszeniu. Powodzenia.

Johnny tak naprawdę wcale nie ma ochoty na kielbaski, skręcając na parking, zauważył jednak budkę gastronomiczną i rozpoznał sprzedawcę. To młody szczupły chłopak z rozczochną brodą. Johnny widział go wcześniej na złomowisku wśród pracowników Leva. Teraz ustawiło się wokół niego czworo mężczyzn w zielonych kurtkach, kilku nawet stanowczo za blisko, i pokrzykują na niego głośno. Jeden z nich szarpie za wózek, podopieczny Levego blokuje go, ale sam nie uderza, mimo że wygląda na takiego, co by mógł. Znajduje się na gorszej pozycji, zielonych kurtek jest więcej, nawet jeśli uwzględni się ich nadwagę i desperacko ułożone włosy na błyskawicznie łysiejących głowach.

Podchodząc do nich, Johnny rozpiną suwak kurtki, przystaje kilka metrów dalej, odchrząkuje i pyta:

– Jakiś problem, panowie?

Mężczyźni w zielonych kurtkach odwracają się gwałtownie, ale ich złość natychmiast maleje. Oczywiście ma to związek nie tylko z gabarytami Johnny'ego, lecz również z logo straży pożarnej widniejącym na jego koszulce. Nie żeby ci mężczyźni mieli jakiś szacunek dla straży pożarnej, tacy nie szanują nikogo, wiedzą jednak, że jeśli zadrzesz z jednym mundurowym, to prawdopodobnie zaraz będziesz mieć ich wszystkich na głowie. Może i Johnny stoi tam sam, ale w rzeczywistości zawsze otacza go stado.

– Sprzedaż kielbasek jest tu zakazana! – wykrzykuje w końcu jeden z mężczyzn, nieco nachalniej, niż planował.

– Zakazana? Sprzedaż kielbasek? Serio? – Johnny wybucha śmiechem.

– Drużyna chłopięca sprzedaje kielbaski w kafeterii w hali! A ten chujek stoi tutaj i rozdaje za pół ceny! Jakim cudem nasi chłopcy mają coś teraz zarobić?

Chłopak od Leva odwraca się do Johnny'ego i cedzi przez zęby z ledwie powstrzymaną złością:

– Czy to wolny kraj? I wolne miasto?

– W każdym razie nie TWOJE, więc zabieraj się stąd i wracaj, skąd przyszedłeś! Co to w ogóle za mięso w tych kielbaskach? Szczury czy nietoperze? – syczy jeden z mężczyzn.

Johnny mierzy go wzrokiem tak długo, aż tamten się kurczy, jak to zwykle bywa z facetami z wielką gębą, ale drobnymi pięściami. Kolega go odciąga, mamrocząc w stronę Johnny'ego przeprosiny:

– To... przepraszam... nie ma się co nakręcać niepotrzebnie. Nasi chłopcy próbują po prostu zarobić trochę ekstra do drużynowej kasy. A rodzice się denerwują...

Johnny prycha i kiwa głową w stronę podopiecznego Levego.

– Denerwują czym? Myślicie, że to wasz parking? To własność gminy! A on jest jej częścią tak samo jak wy!

– Dobra, dobra, przepraszamy... – rzuca mężczyzna, rozkładając dłonie.

– Nie MNIE masz przepraszać, baranie! Tylko jego! – wybucha Johnny, wskazując ponownie na chłopaka.

Mężczyźni patrzą na niego, jakby nie dowierzali. Po chwili jeden z nich klepie pozostałych po ramieniu i mówi:

– Dobra, chodźmy, panowie. Mecz zaraz się zaczyna. Potem się tym zajmiemy.

Johnny i chłopak Levego dalej stoją na parkingu i się im przyglądają. Johnny czuje skok adrenaliny. Żaden z nich nie był Peterem Anderssonem, ale podczas wymiany zdań zrozumiał, że każdy mu go przypominał. I to najwyraźniej wystarczyło.

– Dziękuję – mówi chłopak Levego.

Johnny się odwraca i kiwa głową.

– Daj znać, gdyby znów cię zaczepiali. Ten parking nie jest ich własnością. Cała gmina nie należy do Björnstad Hockey, nawet jeśli tak im się wydaje.

Chłopak Levego kładzie dłoń na piersi i kłania się z wdzięcznością. Johnny nie ma zielonego pojęcia, jak zareagować na taki gest, w końcu niezdarnie zapina suwak kurtki i podnosi dłoń, jakby miał zamiar zaszalutować. Sprzedawca przygotowuje dla niego kiełbaskę. Johnny grzebie w kieszeniach spodni za gotówką, ale chłopak tylko macha ręką.

– Dla strażaków gratis!

Johnny kiwa głową z uznaniem. Zjada kiełbaskę w drodze do hali. Cholernie dobra, na pewno o niebo lepsza niż ten szajs, który serwują w kafeterii.

–

Ana, Maya, Leo i Stolyca kręcą się przy hali lodowiska, przechodząc od grupki do grupki, Ana znika im z oczu na maksymalnie minutę i wraca z ośmioma mocnymi

piwami w plastikowej reklamówce.

– Ale jak... ty to zrobiłaś? – Leo aż się zapowietrza.

– Zapytałam po prostu jednego koleśka – odpowiada Ana, jakby to była oczywistość.

– Ona wszędzie znajdzie piwo, nawet na pogrzebie! – przekonuje Maya.

– To jest chyba akurat najbardziej oczywiste miejsce na poszukiwanie piwa – wybucha Ana.

Siadają na kamieniach przy parkingu i piją. Maya pozwala Leo na jedno, sama wypija dwa, Ana trzy. Stolyca dziękuje, wieczorem ma trening.

– Boisz się, że trenerka cię opieprzy? – naśmiewa się Ana.

– Nie. Po prostu nie chcę jej zawieść – wyrzuca z siebie chłopak, zanim do głowy przyjdzie mu jakieś pasujące kłamstwo.

Maya poklepuje go po ramieniu, włączając przy tym najsilniejszą wersję swojego dialektu:

– Jeśli nie chcesz nikogo zawieść, to wybrałeś nie to miasto, co trzeba. Nie odpuszczamy, dopóki nie jesteśmy chociaż troszkę zawiedzeni, tak ci tylko mówię.

Stolyca uśmiecha się skonfundowany. Maya nie zna nikogo, kto ma tak niewiele powodów do tego, by być nieśmiałym, a mimo wszystko tak się zachowuje.

– Do tej pory świetnie mi to szło. Ale chciałbym już trochę przystopować.

Piwo okazuje się o wiele mocniejsze, niż Maya zakładała, a w dodatku wypija swoje dwa w szybkim tempie. Właśnie ma powiedzieć coś niezwykle głupiego, gdy Leo mamrocze:

– Niedobrze mi...

– WYPIŁEŚ WSZYSTKIE PIWA, SZCZENIAKU? – krzyczy Ana, odwracając reklamówkę do góry nogami.

Leo za bardzo kręci się w głowie, by mógł odpowiedzieć na to pytanie.

–

Przynajmniej tym razem Mira jest wdzięczna za minusową temperaturę, która daje jej możliwość ukrycia się w dużej kurtce z wysokim kołnierzem i grubej czapce naciągniętej prawie na oczy. Przemyka niezauważona koło ludzi zgromadzonych

przed halą, wysyła wiadomość do córki z pytaniem i doznaje niemałego szoku, gdy zastaje ją razem z Aną w kafeterii, w której z grupą chłopców w zielonych kurtkach sprzedają kielbaski i czekoladowe kulki.

– Cześć, mamó! – woła zdziwiona Maya, tak jakby zapomniała, że sama ją zaprosiła.

– Odbywamy praktyki! – informuje radośnie Ana.

Mira pochyla się nad ladą i szepcze prosto w ich oddechy:

– Piłyście... alkohol?

– Ale tylko troszeczkę! – wykrzykuje Ana, zapewne przekonana o tym, że również mówi szeptem.

– A gdzie Leo? – pyta Mira.

– W toalecie! – chichocze Ana, próbując się opanować, a wtedy Maya wybucha gromkim śmiechem.

Mira naprawdę stara się być zła. Naprawdę próbuje. Dziewczyny są jednak tak wesołe, a ona tak zmęczona i tak bardzo zwyczajnie potrzebuje teraz członków rodziny, o których nie będzie się musiała zamartwiać. Wchodzi więc za ladę i wmusza w Mayę i Anę po szklance wody, a potem sama sprzedaje czekoladowe kulki i kielbaski. Jak za dawnych czasów.

–

Tess i Bobo wchodzą do kafeterii, nie trzymając się za ręce, ale tak blisko siebie, jak to tylko możliwe. Z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż ciała i palcami od czasu do czasu splatającymi się ze sobą niechcący, przez przypadek. Szybkie spojrzenia, umykające uśmiechy, drobne porażenia prądem przy każdym kroku.

Stolyca stoi w kącie i zajada czekoladowe kulki, Bobo przystaje i chwilę rozmawiają, Tess odwraca się i w tym samym momencie wygląda jak jej młodszy brat kilka dni temu, gdy zobaczył Amata.

– Czy to... to Mira Andersson? Ta adwokatka? – szepcze do Bobo, szarpiąc go za rękaw.

– Tak. Mira! MIRA, CZEŚĆ! – woła radośnie Bobo, machając do niej, a wtedy Tess robi taką minę, jaką będzie przybierać aż do starości za każdym razem, gdy Bobo ośmieszy ją publicznie.

Mira podnosi wzrok i również do nich macha, a gdy jej spojrzenie pada na Tess, dziewczyna czerwieni się tak mocno, że Bobo jest pewien, że się zakrztusiła, i już ma zacząć sztuczne oddychanie, gdy spada na niego pierwsza, ale z całą pewnością nie ostatnia w jego życiu bura od dziewczyny. Mira podchodzi do nich, przytula Bobo i wyciąga dłoń.

– Cześć, jestem Mira...

– Wiem, wiem, jest pani adwokatką! – wymyka się Tess.

– Tak, skąd wiesz? – śmieje się zaskoczona Mira.

– Codziennie przechodzę koło pani biura, gdy odbieram młodszego brata ze szkoły. Zauważyłam szyld. I panią... zguglowałam – przyznaje cała czerwona na twarzy Tess.

– Tess też chce być adwokatką! – dorzuca Bobo, który jeszcze się nie nauczył, że w takich sytuacjach ma trzymać gębę na kłódkę.

Jeszcze się wyrobi. Będzie miał na to wiele lat.

– To... jeszcze nic pewnego... ale chciałabym studiować prawo. Wszyscy mi jednak mówią, że to strasznie trudne – wyjaśnia zawstydzona Tess.

– I takie ma być. Dlatego warto to robić. – Mira uśmiecha się przyjaźnie, przypominając sobie własną niepewność w wieku tej dziewczyny i wieczory spędzone na zmywaku w restauracji rodziców, gdy zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała szansę w starciu z tymi wszystkimi bogatymi dziećmi na uczelni.

– Myśli pani, że dam radę? – pyta Tess prosto z mostu, zadziwiając nie tylko samą siebie, ale i Mirę.

Szybko się reflektuje i jękając się, przeprosza za głupie pytanie, ale Mira kładzie jej dłoń na ramieniu i odpowiada:

– Powiem ci to, co powiedziała mi moja mama: jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Oczy Tess błyszczy.

– Chciałabym pomagać innym dziewczynom – szepcze, nie namyślając się długo. – Takim, które zostały zgwałcone albo były maltretowane, albo... to znaczy mnie samej nigdy się to nie przydarzyło! Ale wiem, co spotkało pani córkę! I chciałabym kiedyś... móc pomagać. Tak jak pani!

Mira nie spodziewała się, że straci dziś w kafeterii oddech, tak więc chwilę zajmuje jej dojście do siebie.

– Czasem to niezwykle ciężka praca – mówi cichym głosem.

– Wszyscy w mojej rodzinie mają ciężką pracę – szepcze Tess.

Mira widzi żar w oczach dziewczyny i przychodzi jej na myśl, że to zapewne tak właśnie musiał się przez te wszystkie lata czuć Peter: tak właśnie wygląda kwitnące drzewko wiśni. Uśmiecha się zatem i kiwa głową, sięgając do portfela w wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Tutaj masz moją wizytówkę, na drugiej stronie jest mój numer telefonu. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Albo wpadnij do nas do biura. Jeśli naprawdę chcesz to robić... tak naprawdę chcesz... to obiecuję, że ci pomogę.

Tess ściska w dłoni wizytówkę, jakby był to co najmniej bilet wstępu do fabryki czekolady. Niestety zbyt późno dociera do niej, że brzmi jak jakaś zwariowana stalkerka.

– Słyszałam, że pani córka przeprowadziła się do innego miasta i zaczęła tam szkołę. Jest pani z tego powodu smutno?

Kąciki ust Miry drżą.

– Tak. Ale jestem z niej również niezmiernie dumna.

Słowa wypadają z ust Tess, tak jakby ktoś nimi rzucał.

– Wszystkie uczelnie z kierunkami prawniczymi są megadaleko stąd i moja mama nie chce, żebym się wyprowadzała.

– Mamy nigdy tego nie chcą – przyznaje Mira.

Tess chciałaby jeszcze zapytać o tyle ważnych rzeczy, niestety nie jest jej to dane, bo nagle ktoś na schodach krzyczy:

– BÓJKA! BÓJKA!

Zaraz potem docierają do nich krzyki z dołu. Spanikowanych mężczyzn nawołujących swoich synów i innych wydzierających się na siebie nawzajem w złości. A potem tupot stóp, gdy wszyscy uciekają przed czymś znacznie gorszym.

Trzynastolatki z Hed Hockey wchodzi do szatni dla drużyny przyjezdnej, ale wybiegają z niej szybko, zieloni na twarzy. W środku coś śmierdzi, dławiący i żrący okropny smród uderza ich w nozdrza, tak że trudno powstrzymać odruch wymiotny. Grupa chłopców w zielonych kurtkach i czapczkach z odwróconym do tyłu daszkiem wybucha histerycznym śmiechem, aż dozorca zauważa, co się stało, i z młotkiem w ręku przegania ich na parking. Zawodnicy z Hed stoją na korytarzu, targani mdłościami. Z szatni dochodzi odór kwasu masłowego, a może starych skorupki krewetek lub zepsutego mięsa, to najstarszy na świecie psikus w Björnstad, mający na celu złamanie drużyny przeciwnika.

Wspaniałe, wspaniałe Björnstad ze swoimi PR-owskimi broszurami o tym, że sponsorowanie ich jest właściwe, a zachowują się tak szczeniacko. W Hed zdążyli się już przyzwyczaić, nikogo to nie dziwi, do tej pory jednak ograniczało się to do drużyn dorosłych. A nie trzynastolatków. Ten mecz jest inny od wszystkich.

TO MY, NIEDŹWIEDZIE! – ryczą z trybuny stojącej. TO MY, NIEDŹWIEDZIE! – wtóruje morze czarnych kurtek, tak że ściany w korytarzu, na którym stoi Ted z kolegami z drużyny, aż wibrują. Trener próbuje wyjaśnić, gdzie mogą się przebrać, ale hałas go zagłusza. HED – CIPY, HED – CIPY, ZAŁATWIMY WAS, HED – CIPY! – okrzyki się powtarzają, Tobias stoi z boku i widzi przerażenie w oczach zawodników, to tylko dzieciaki. Wysłać ich dzisiaj na lód to tak, jakby wysłać ich na wojnę. Tobias łapie młodszego brata.

– Ted!

– Tak?

Tobias chwyta go za ramię i krzyczy:

– Myśl o torcie!

Ted wybucha śmiechem, zaskoczony, rozluźnia się w uścisku starszego brata.

– Co?

– Uwielbiasz torty! Myśl o torcie, a wtedy się rozluźnisz!

– Całkiem cię już pojebało...

Tobias kiwa głową z poważną miną.

– Nie bój się tych okrzyków. Tylko bądź za nie wdzięczny! Chcesz grać w NHL? Musisz się w takim razie nauczyć grać przed szaloną publicznością, a bardziej zwariowanej niż ci psychopaci nie znajdziesz nigdzie. Jeśli dzisiaj dasz radę, to potem ogarniesz już wszystko. Po prostu tam wyjdź i graj, i zamknij gębę wszystkim krzykaczom. Za każdym razem, jak się będą darli, ty strzelaj gola. Złam ich. Odbierz im wszystko, co kochają.

Młodszy brat opiera głowę na głowie brata.

– Dzięki, Tobbe.

– Nie dziękuj – rzuca starszy brat. – Wygraj. Wyjdź tam i wygraj. Złam im serducha.

Ich spojrzenia spotykają się na krótką chwilę. Poza lodowiskiem starszy brat zawsze był twardzielem, ale na lodzie często odpuszczał, z młodszym jest dokładnie na odwrót. Jak długo Tobias będzie go chronił poza bandą, tak długo nikt nie będzie w stanie zatrzymać Teda na lodzie. Mają po piętnaście i trzynaście lat, kariera jednego z nich właśnie się kończy, podczas gdy drugiego dopiero zaczyna. Drużyna Teda rusza w stronę drzwi, by przebrać się w samochodach rodziców, Tobias patrzy za nimi z dłońmi wciśniętymi w kieszenie. Młodszy brat przygotowuje się do meczu, a starszy się odwraca i wchodzi na trybuny. Ustawia się w części stojącej przeznaczonej dla kibiców Hed. Kilku starszych chłopaków go rozpoznaje, chodzili do tej samej szkoły, teraz wołają na niego i wskazują rękami, by do nich dołączył.

– To ty załatwiłeś tu tych pedałów z Björnstad parę dni temu i zostałeś zawieszony w drużynie, nie? – pyta jeden z nich.

Tobias nieco niechętnie kiwa głową. Poklepują go po plecach.

– Nie powinni cię byli, kurwa, zawieszać! Tylko dać ci medal!

Tobias oczywiście doskonale wie, co to za jedni, ojciec zawsze mu powtarzał, żeby trzymał się od takich typków z daleka: „Ci idioci tylko szukają kłopotów, jak dorośniesz, to zrozumiesz, że w życiu jest ich wystarczająco dużo i nie ma powodu, żeby jeszcze chodzić i szukać sobie nowych...”. Gdy jednak chłopaki śpiewają

i podskakują na trybunach, serce Tobiasa wali jak oszalałe. Świszczy mu w uszach, adrenalina uderza do krwi. Więc i on śpiewa i podskakuje.

Drużyna Teda wraca przebrana do hali, część ojców idzie za nimi, aż do wejścia dla zawodników. Wkurzają się na dochodzący z szatni smród, który zmusił ich chłopców do przebierania się w urągających warunkach na parkingu. Pokrzykują, że to „niesportowe zachowanie”, jeden z nich popycha trzynastolatka z Björnstad, który odkrzykuje mu coś ledwie słyszalnie. W korytarzu natychmiast pojawiają się więc ojcowie miejscowych zawodników, żeby również bronić swoich, i w ten prosty sposób wszystko się zaczyna. I to w jakim tempie.

—

Benji i Adri przychodzą do hali tuż przed rozpoczęciem meczu. Sune był zbyt przybity, żeby im towarzyszyć. Wyszedł jednak z domu na spacer, tę samą rundę, którą zwykł przechodzić z psem, w tym samym czasie, jeszcze długo będzie tak spacerował. Zgodnie ze starym przyzwyczajeniem, gdy się zasapie i przystanie, łapiąc się za klatkę piersiową, szepnie „biegnij przodem”.

Benji i Adri wchodzi na trybunę stojącą Björnstad. Natychmiast otaczają ich czarne kurtki. Adri wie, że wielu z nich wyjechało już w tym tygodniu na polowanie na łosie, ale wróciło, by obejrzeć mecz trzynastolatków. To nie wróży dobrze. Nikomu.

Teemu stoi zaraz obok nich. PEDAŁY Z BJÖRNSTAD – wrzeszczy gniazdowy Hed, CIPY Z HED – odpowiadają trybuny Björnstad. Jak na razie to tylko słowa, ale Teemu rzuca okiem na Benjiego i Adri, by sprawdzić ich reakcję. Benji nie reaguje wcale, oddycha wolno i patrzy beznamiętnie, tak jakby zwalniał albo się na coś przygotowywał. Adri rzuca mu tylko krótkie spojrzenie.

– Zdziwiał mnie twój spokój – mówi zaskoczona.

Teemu tajemniczo kiwa głową.

– Obiecałem, że dziś się będziemy zachowywać.

– Komu niby?

– Klubowi – odpowiada Teemu.

Nawet swoim najbliższym chłopakom nie wspomniał o rozmowie z Frakiem. Nakazał im jednak, żeby zachowywali się spokojnie, chyba że da im jakiś wyraźny

sygnał. Słuchają, nie ze strachu, ale dlatego, że go uwielbiają. Teemu jest pewien, że tego braterstwa nie może pojąć nikt w okolicy, a jeśli już ktoś, to najbliższym jest Adri. Ale trudno mu teraz odczytać wyraz jej twarzy, pewnie dlatego, że sama do końca nie wie, co czuje, szarpie się pomiędzy dumą z Teemu i jego chłopaków, że jeszcze nie wszczęli bójkę, a przemożną chęcią, by jednak wtłukli przeciwnikowi. W swoim życiu widziała tylu ludzi krzywdzących innych, że już się zahartowała, lecz kiedy krzywdzi się zwierzęta, jej granice pękają. W głowie kłębi się mrok. Jak nigdy rozumie teraz Teemu.

PEDAŁY Z BJÖRNSTAD – wydziera się przeciwna trybuna.

CIPY Z HED – słyhać zaraz po ich stronie.

Okrzyki przelatują przez lodowisko tam i z powrotem. Na meczu trzynastolatków trybuny są zwykle prawie puste, ale to nie jest zwykły tydzień. W sobotę na meczu inauguracyjnym rozpoczęcie sezonu spotkają się pierwsze drużyny z obu miast i Adri się zastanawia, z czym, do cholery, wyskoczą te chłopaki tym razem. Z czołgami?

MORDOWAĆ, PŁĄDROWAĆ, GRABIĆ I PALIĆ! JEBAC WASZE SIOSTRY, BYŚCIE ICH SAMI NIE JEBALI! – wykrzykuje kilku śmiałków na trybunach Hed.

CHCECIE NAS? TO PRZYJDŹCIE PO NAS! ALE KAŻDY Z WAS TO CIENIAS! – skandują wokół niej chłopcy Teemu.

Gniazdowy na trybunach Hed nie jest tak duży jak zielonych, a przede wszystkim nie tak dobrze zorganizowany, śpiew czerwonych to tysiące rozproszonych głosów, ale gdy śpiewają chłopcy Teemu, brzmią jak jeden mężczyzna. Straszliwy, zdolny do wszystkiego. Trybuny Hed oczywiście to czują, zdają sobie sprawę z przegranej pozycji, uciekają się więc do tego, co zrobiłby każdy kibic w ich sytuacji: szukają najsłabszego punktu przeciwnika. Cokolwiek, co można by wykrzyknąć, żeby zaleźć im za skórę, sprawić, by cierpieli, zranić ich dumę. Wpadają na najprostszy, a zarazem najgorszy pomysł.

Podczas gdy Ted i pozostali trzynastolatkowie przedzierają się przez przepychankę, którą ich ojcowie rozpoczęli w korytarzu dla zawodników, i wjeżdżają na lód na rozgrzewkę, na trybunach Hed zaczyna krążyć plotka: coś o Sunem, starym trenerze pierwszego składu. Coś o psie, którego uwieczniono na drużynowej fotografii. O tym, że oplakują go nawet najgroźniejsi członkowie Grupy.

To, co dzieje się później, jest tak proste i tak efektywne, tak spontaniczne i tak oczywiste, tak niesamowicie głupie, i działa tak natychmiastowo i tak destrukcyjnie: chłopiec za Tobiasem zaczyna szczekać.

– Hau, hau, hau – wyrzuca z siebie i początkowo śmieje się tylko kilku chłopaków stojących obok niego.

Nagle ktoś inny zaczyna szczekać głośniej:

– Hau! Hau! Hau!

Teraz szczeka już cała trybuna stojąca. Najpierw żartobliwie, ale po chwili coraz bardziej złowrogo. Sól na otwartą ranę. Bezpośrednia prowokacja. Kibice Björnstad nie odpowiadają przyśpiewką ani wrzaskiem, ale czymś o wiele gorszym: kompletną ciszą. Wszystko inne również milknie.

Trudno wyjaśnić komuś, kto nigdy nie był w hali lodowiska, jak brzmi wypełniona po brzegi, ale nawet zwykli zajadający popcorn rodzice z małymi dziećmi i podgryzający kiełbaski emeryci potrafią po jakimś czasie wyłączyć dobiegający zewsząd hałas. Zwłaszcza w Björnstad. Wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić, że gniazdowi po obu stronach trybun obrzucają się w przyśpiewkach KURWAMI I PEDALAMI, więc równie dobrze mogliby śpiewać w jakimś obcym języku, bo reszta publiczności siedzi już wygodnie oparta na swoich miejscach, rozprawiając o ratach kredytu, wnukach i pogodzie. Może i są nieco rozpuszczeni, w końcu od dwóch lat w hali nie doszło do żadnej porządnej bójki. Zdążyli już zapomnieć dźwięk, który wydaje z siebie Grupa, ruszając do ataku, wszyscy czują się tu bezpiecznie, niczym dzieci z nosami przyklejonymi do szyby wybiegu dla lwa. Wrzaski czarnych kurtek są niczym szumiący nad kuchenką wyciąg, nie zauważa się ich, dopóki nie ucichną.

Ale teraz, w kompletnej ciszy, która nagle na nich spada, kryją się jedynie terror i przerażenie. Ostatni raz wydarzyło się to dwa lata temu, teraz jednak zaraz się powtórzy.

– HAU! – Z trybun Hed dobiega pojedynczy głos, którego właściciel, przytłoczony adrenaliną, najwyraźniej nie zauważył, że reszta już dawno zamknęła usta.

Ktoś syczy „cicho”, ktoś inny próbuje zacząć śpiewać całkiem inną piosenkę, ale na to już za późno.

– Co chcesz zrobić? – pyta jeden z mężczyzn stojących przy Teemu.

Teemu utkwiał wzrok w trybunie przeciwnika po drugiej stronie lodowiska. W jego oczach nie ma nic. Żadnej empatii, żadnego przebaczenia, żadnej łaski. Może rozmyśla o obietnicy, którą złożył Frakowi, że nie rozpoczną bójki, ale właściwie to nie on ją zaczął. To mężczyźni z Hed przyjechali do jego hali, do jego domu, chwając się, że zabili psa Sunego, i on ma to tak zostawić? No chyba ich pojebało. Jego głos jest beznamiętny:

– I chuj. Rozetrzycie każdego na pył.

Czarne kurtki przeskakują przez barierki i biegną niczym jeden byt. Wszyscy kibice na trybunach siedzących biorą głęboki wdech, potem robią szybki wydech i ruszają do ucieczki, rodziny z dziećmi i emerycy potykają się o siebie, by tylko usunąć się im z drogi. Czarne kurtki nadchodzą niczym ciemna fala, depcząc kielbaski i popcorn.

Adri łapie Teemu za ramię i krzyczy:

– CZY TY PRZYPADKIEM NIE OBIECAŁEŚ KLUBOWI, ŻE SIĘ BĘDZIECIE ZACHOWYWAĆ?

Teemu wlepia w nią spojrzenie, bez skruchy, ale prawie ze współczuciem:

– Klubowi? Klub to my.

Po czym rusza przed siebie, a Benji biegnie obok niego. Adri próbuje go powstrzymać, lecz bezskutecznie. W głębi serca może i wcale nie chce. Szczekanie po drugiej stronie trybun już dawno zamieniło się w przestraszony skowyt, ale jej dłonie nadal pamiętają ciężar niewielkiego psiego ciała, które złożyła do grobu. Może i nie pochwała przemocy, ale nie umie już winić innych o odmienne zdanie.

Do ojców w przejściu dla zawodników dociera, że zbliża się zagrożenie, niczym huk nadchodzącej fali powodziowej, krzyczą więc do trzynastolatków na lodzie, żeby natychmiast z niego zeszli, wybucha panika i w jednej chwili cała hala pogrąża się w chaosie.

—

Tobias widzi nadbiegające z drugiej strony hali czarne kurtki, od razu zauważa, że jego własna trybuna natychmiast dzieli się na dwie drużyny: tych, którzy się cofają, i tych, którzy ruszają wprost na nadciągające niebezpieczeństwo. Tobias ma dwoje rodziców, którzy od małego mu wpajali, żeby zawsze biec w stronę ognia, więc nawet się nie zastanawia, przeskakuje przez barierkę kilka metrów w dół i ląduje na

betonie, a potem pochylony biegnie w kierunku lodowiska. Jedyne, o czym myśli, to bezpieczne wyprowadzenie stąd młodszego brata.

Hannah i Johnny zbiegają z trybun z tą samą myślą w głowie, ale tłum i chaos są zbyt duże. Strumień ludzi spycha ich w róg hali, niedaleko szatni, to właśnie tam Bobo udaje się wyciągnąć rękę i złapać Johnny'ego za ramię. Johnny natychmiast się odwraca i rozpada w środku na kawałki na wszystkie możliwe sposoby, gdy słyszy, co Bobo wykrzykuje:

– TESS JEST ZE MNĄ! PROSZĘ SIĘ NIE MARTWIĆ! PROSZĘ TYLKO ZGARNAĆ TOBBEGO I TEDA I WIDZIMY SIĘ NA PARKINGU!

Z drugiej strony Hannah tylko na sekundę puszcza dłoń Johnny'ego, tak jakby oddzieliły ich od siebie podziemne prądy, w mgnieniu oka dzieli ich co najmniej dziesięć metrów. Tobias i Ted pojawiają się znikąd, Ted nadal w łyżwach i całym stroju na sobie, a Tobias wymachujący dziko na wszystkie strony, by mogli przejść. Za nimi Teemu i pierwsze czarne kurtki dobiegają do trybun Hed, kilku czerwonych, którzy postanowili ich bronić, oderwało deski z podłogi i wałą nimi bez opamiętania w próbujących się dostać na górę zielonych. Łamią nosy, szczęki, ale czarne kurtki prą nadal do przodu. „Ktoś tu zginie” – przychodzi jeszcze Johnny'emu do głowy, ale Hannah przedziera się przez morze ludzi i łapie go, zanim ten zdąży do końca sformułować tę myśl.

– CHŁOPCY! WYPROWADŹ ICH NATYCHMIAST!

Ojciec jednego z zawodników z drużyny Teda bije się zaraz obok niej z dwoma ojcami z Björnstad, jeden z nich uderza ją łokciem w skroń tak mocno, że Hannah prawie się wywraca. Johnny rzuca się w jej kierunku, odtrącając każdego po drodze na boki. Dobiegają do niej z Tobiasem w tym samym momencie. Johnny ledwie go rozpoznaje, piętnastolatek wygląda jak dorosły mężczyzna, całkowicie bez strachu. Jedną ręką ciągnie za sobą Teda, a drugą pomaga matce wstać. W tłumie tworzy się niewielka szczelina, rodzina natychmiast ją dostrzega i pędzi do wyjścia. Chłopcy najpierw, zaraz za nimi Hannah. Biegący na końcu Johnny popełnia błąd i odwraca się za siebie. Nie ma szans zauważyć mężczyzny, który w pełnym biegu wpada na niego zza rogu od strony szatni. Uderzają w siebie z całym impetem i przez krótką chwilę w głowie Johnny'ego zalega cisza. Zaraz potem czuje coś lepkiego na czole, ale bez bólu. Zdezorientowany mruga załzawionymi oczami

i widzi, że mężczyzna przed nim upadł na kolana, a z jego rozciętej skroni leje się krew. To Peter Andersson.

Krew

Kafeteria szybko zapełnia się rodzinami z dziećmi uciekającymi przed zamieszkami. Mira nie ma czasu na zastanawianie się, co będzie najlepszym rozwiązaniem, staje więc w wejściu na szeroko rozstawionych nogach. Zapewne przyświeca jej jakaś naiwna idea, że będzie go pilnować, na wypadek gdyby mężczyźni z dołu postanowili się tu dostać, mimo że doskonale wie, że to głupie. „Co ty sobie myślisz? JAK niby planujesz ich zatrzymać?”

Nagle jednak czuje czyjś dotyk po lewej stronie, a zaraz potem po prawej. To Maya i Ana. Maya podeszła, by chronić matkę, Ana, by chronić cały świat. Tylko raz na górę wbiega dwóch młodych mężczyzn, Mira nie ma nawet czasu, żeby się przyjrzeć, czy należą do Hed czy do Björnstad. W rękę trzymają metalowe rurki, a to wystarcza. Ana odczekuje, by pierwszy z nich podbiegł na tyle blisko, żeby mogła wymierzyć prosto w jego klatkę piersiową kopniaka, którego nie zapomni do końca życia. Mężczyzna z impetem leci do tyłu, a jego kolega przystaje w połowie kroku z szeroko wytrzeszczonymi oczami. Następnie podejmuje najlepszą decyzję swojego życia i ucieka.

– KURWA! – wykrzykuje Ana, podskakując na jednej nodze, bo druga stopa boli ją tak, jakby znów ją złamała, że też faceci, których kopie, muszą być tak cholernie TWARDZI.

Mira wciąga ją i Mayę z powrotem do kafeterii i zamyka za sobą drzwi. Mija kilka minut, a potem piekło na zewnątrz się kończy, tak jakby ktoś nagle wyszarpał z kontaktu kabel od głośnika. Gdy drzwi ponownie się otwierają, hala lodowiska jest prawie pusta.

–

Peter klęczy, jęcząc z bólu, a krew zalewa mu oczy. Johnny pochyla się nad nim, nie po to, by go uderzyć, ale by mu pomóc, niestety wygląda to całkiem inaczej.

Teemu widzi ich z trybun. Potem wszystko już biorą diabli.

—

Adri nadal stoi na trybunach Björnstad. Nie może się ruszyć z miejsca. Nie ma zamiaru się bić, ale nie chce też uciekać. Nie przepenia jej nienawiść, strach również nie, jest całkowicie pusta. Dopiero gdy do niej dociera, że ktoś wykrzykuje jej imię, wraca do rzeczywistości i rozgląda się wokół. To Benji. Trzyma na rękach Alicię. Adri nigdy się nie dowie, jak ją znalazł, ale gdzieś w połowie drogi między trybunami Björnstad a Hed Benji usłyszał jej głosik i gdy wszystkie czarne kurtki parły do przodu, on zatrzymał się w pół kroku.

— Co ty TUTAJ w ogóle robisz, szalony dzieciaku? — woła Benji.

— Chciałam zobaczyć mecz, ale Sune nie chciał iść, więc poszłam SAMA! — odpyskuje Alicia, stara się brzmieć odważnie, ale w rzeczywistości jest śmiertelnie wystraszona.

Benji schyla się po nią i wyciąga ją z całego zgiełku, a teraz niesie na rękach, jakby była jego córką. Dziewczynka obejmuje go za szyję, tak jakby zawsze była jego, przyciska się do niego mocno, niczym wodorost przyklejony do mokrego ciała. Wściekłość Adri natychmiast znika, pozostaje jedynie zmęczenie. Prostuje plecy, tak jakby na nowo chciała poczuć wszystkie kończyny, a potem wprawnym krokiem kieruje brata i dziewczynkę ku jednemu z wyjść awaryjnych. Na zewnątrz puszczają emocje i Alicia zaczyna płakać, a wtedy rodzeństwo Ovich nawet przez sekundę nie myśli o rozgrywającym się za ich plecami chaosie, tylko rusza dalej między drzewa. Idą prosto do domu Sunego, odwracają się plecami do całego tego syfu, zamiast wbiec prosto w jego środek, zajmują się kimś, zamiast się na kimś wyżyć. Alicia nie puszcza Benjiego przez całą drogę. W nocy śpi na kanapie obok Adri. Może nigdy w żadnych dokumentach w żadnej instytucji nie będą uznani za rodzinę, ale któregoś dnia za kilka lat podczas swojego pierwszego meczu w reprezentacji kraju dziewczynka zostanie zapytana, jakie nazwisko umieścić na jej koszulce zawodniczki. Poda wtedy ich nazwisko.

—

Peter podnosi wzrok i mruga przez krew, widzi wyciągniętą dłoń Johnny'ego i Teemu zeskakującego z trybun z metalową rurką w ręce. Z całych sił próbuje wydobyć z siebie jakiś krzyk. Udaje mu się jedynie kurczowe jęknięcie:

– Uwaga!

Nie do Teemu, ale do Johnny'ego. Strażak dostrzega niebezpieczeństwo i dosłownie w ostatniej sekundzie robi unik. Teemu się potyka i wpada prosto na Petera, to daje Johnny'emu kilka niezbędnych sekund, by się odsunąć, a gdy Teemu zrywa się na równe nogi i ponownie na niego rusza, ktoś już przed nim stoi. Niski i gruby, zza odchylonych pół jego kurtki wystaje zatknięty za pasek pistolet. Teemu dostrzega go, jeszcze zanim dociera do niego, że to Lev.

– Chodź! – rzuca przygnębionym głosem Lev, pociągając Johnny'ego za sobą. Teraz trzyma już broń w dłoni, na wpół przykrytą drugą ręką i skierowaną ku podłodze, ale ze wzrokiem wbitym w Teemu.

Hannah, Tobias i Ted stoją kilka metrów dalej. Cofają się za Leva, Teemu zamiera w bezruchu, a wszystko wokół niego również zwalnia. Może to reakcja łańcuchowa, gdy kilku członków Grupy dostrzega, co spotkało ich przywódcę, i natychmiast przystaje, potem jeszcze kilku i kolejni, aż w końcu zatrzymuje się tyle czarnych kurtek, że pozostali także przestają się bić. Wszyscy się tłoczą, ale już bez agresji. Ludzie wylewają się na parking, lecz już bez przerażenia w oczach. Ostatni wychodzą z hali z takim spokojem, jakby właśnie wyszli z kina. Prawie nikt poza ludźmi stojącymi najbliżej Leva nie zwraca nawet uwagi na pistolet. Wszystko stało się tak szybko i nagle znów ucichło.

– Pomoc sąsiadka, tak? – pyta rozbawionym głosem Lev, już po wyjściu na śnieg.

Johnny jest w zbyt dużym szoku, by coś odpowiedzieć, oślepiony strachem, że coś mogło się przydarzyć dzieciom, i wdzięczny Levowi, że ich stamtąd wyciągnął, nawet nie myśli o pistolecie, który zaraz znika za paskiem spodni. Rozchodzą się, zegnając krótkim skinieniem głowy, a po chwili Lev ginie pomiędzy samochodami na parkingu.

–

Teemu nie wygląda na wystraszonego, raczej na zdziwionego. Właściwie to zafascynowanego. Jak tylko Lev znika im z oczu, otrząsa się jak gdyby nigdy nic,

jakby to była tylko dziecięca zabawa, w której można się spodziewać właśnie takich zagrań. Pochyliła się nad Peterem i pyta:

– Jesteś cały?

– Sam nie wiem – odpowiada szczerze Peter.

– PETER!!! – dobiega do nich przesywający głos.

– Oż kurwa, teraz to masz przejebane – rechocze Teemu.

Petera nigdy nie przestanie zadziwiać jego spokój. Jakby wytworzył odporność na adrenalinę.

– TATO! – krzyczy Maya, biegnąca obok matki, a za nimi ciągnie się Leo, który wygląda, jakby właśnie zwymiotował, ale to już za długa opowieść, by ktoś miał jeszcze siłę dzielić się nią dzisiaj z Peterem.

– CO SIĘ STAŁO? – wrzeszczy Mira tak zdenerwowana, że nawet Teemu usuwa się jej z drogi, nie mogąc się jednak powstrzymać od przytyku:

– Ach, sama pani wie, takie tam chuligańskie wybryki, no i Peter jak to Peter, oczywiście musiał się zacząć bić! Próbowaliśmy go zatrzymać, ale sama pani wie, jaki on jest, jak się wkurzy...

Teemu nie ma wątpliwości, że Mira zabiłaby go na miejscu, gdyby Peter nie rzucił mu się na ratunek. Kłamstwo przychodzi mu tak łatwo, że aż sam siebie zadziwia.

– Kochanie, po prostu wpadłem na słup. To był zwykły wypadek.

Korzyści

Wśród wszystkich mężczyzn zgromadzonych dziś w hali lodowiska tylko dwóch ma na sobie garnitur i krawat. Siedzą daleko od siebie, może nawet nieświadomi swojej obecności. Jeden z nich to Frak, drugi to Richard Theo, właściciel sklepu spożywczego i polityk, owiani w swoich branżach tak samo złą sławą, bo ich konkurencja uważa, że nie przestrzegają zasad. Oni sami jednak utrzymują, że jest dokładnie na odwrót, że po prostu są w tej grze lepsi niż pozostali. Przyszli dziś do hali lodowiska z różnych powodów. Frak ma nadzieję pokierować wydarzeniami, Theo jedynie je analizuje. Frak przygląda się trzynastolatkom na lodzie, Theo skupia się wyłącznie na publiczności. Jeden patrzy na zawodników, drugi na wyborców.

Cały dzień Frak robił sobie jeszcze w głębi ducha nadzieje, że uda mu się utrzymać pokój pomiędzy Björnstad a Hed tak długo, by uratować oba kluby, ale gdy dociera do niego, jak wiele osób przyszło na mecz, i z trybuny Hed słyszy pierwsze „hau!”, już wie, że wszystko na marne. Przestaje mieć znaczenie, że Teemu obiecał zachować spokój. Nikt nie ma szans.

Gdy wybuchają zamieszki, Richard Theo zachowuje przynajmniej pozorny spokój i nie rusza się z miejsca. Właściciel sklepu spożywczego rzuca się jak szalony w stronę taflı lodu, próbując powstrzymać wszystkich napotkanych przed pozabijaniem się nawzajem, ale zdaniem polityka taki wybuch to dokładnie to, czego rzeczywiście potrzebują: może to, co zdoła ocalić oba kluby, to nie pokój, a właśnie wojna. Teraz musi jeszcze tylko wymyślić, jak może wykorzystać tę sytuację na własne potrzeby.

Odpowiedzią okazuje się Peter Andersson, w tym mieście w ten czy inny sposób to właśnie zawsze jest on. Ta myśl sprawia, że na twarzy polityka maluje się nieznaczny uśmiech. Siedzi on tak wysoko na trybunach, że w końcu jako jedyny ma pełen ogląd sytuacji. Zwykł mówić, że jego polityczne sukcesy wynikają z tego, że gdy wszyscy biegną w jednym kierunku, to on rusza w przeciwnym, tym razem

jednak wystarcza, że spokojnie siedzi w miejscu. Widzi, jak Peter Andersson wybiega z kantorka i zderza się z ogromnym mężczyzną w podobnym wieku, ubranym w bluzę straży pożarnej. Widzi, jak brew Petera zalewa się fontanną krwi, ale dostrzega również reakcję Teemu, który od razu rzuca mu się na ratunek, tak jakby jego obowiązkiem była ochrona Petera, i jak nagle pojawia się tam Lev, by ochronić strażaka. Te przymierza są może nieco niespodziewane, ale całkiem logiczne, zwłaszcza dla polityka, który całą swą karierę oparł na dziwnych przyjaźniach.

Zaraz potem wszystko mija jakby ręką odjął, bójka się kończy i hala pustoszeje. Frak jest cały spocony, Richard Theo całkowicie opanowany. Ten pierwszy myśli tylko o tym, co może teraz stracić, drugi natomiast zdążył już opracować strategię, dzięki której dostanie wszystko, czego chce.

Podczas gdy Frak błąka się po parkingu, sprawdzając, czy nikt nie został poważnie ranny, Richard Theo wolnym krokiem kieruje się do biura. To piękny wieczór, gwieździsty, z opadającymi płatkami śniegu, zimnem kłującym w nozdrza i skrzypiącym pod butami śniegiem. Kocha to miejsce, ludzie, słysząc jego wyznanie, pewnie mu nie wierzą, ale on zjeździł pół świata, a mimo to nigdy nie widział nic takiego jak to. Las i jezioro, dzika przyroda i śnieg, nie do pobicia.

Nie dziwi go, że miasto doprowadza ludzi do przemocy, też by go doprowadziło, gdyby był przekonany, że ktoś próbuje mu je odebrać. Z tą świadomością rozwiąże problemy wszystkich. W ten właśnie sposób wygra.

Chuligani

Bobo i Tess czekają przy minibusie. Johnny i Hannah zostawiają synów z nimi i wracają, by sprawdzić, czy ktoś jest ranny lub potrzebuje pomocy. O dziwo nie. Trzynastoletnim zawodnikom nie stała się żadna krzywda, bo wydostali się na zewnątrz w pełnym stroju, ale nawet wśród rodziców i pozostałych widzów stwierdzono tylko kilka pojedynczych stłuczeń i zadrapań, będących rezultatem ścisku, a nie bójk. Kibice z trybun stojących pobili się między sobą. Z tego, co wiadomo Johnny'emu, niektórzy młodszy strażacy nazywają to „chuligańskim honorem”. Wielu z nich ma wytatuowanego czerwonego byka, jeszcze większego niż Johnny. Są strażakami, ale przede wszystkim są z Hed, i różnią się od niego. Buzuje w nich więcej złości. Albo po prostu Johnny się zestarzał. Czasem odnosi wrażenie, że młodzi chłopcy z jego rodzinnego miasta mają teraz coraz mniej rzeczy, z którymi mogą się identyfikować, mniej, niż on sam miał w swoim czasie. Wszyscy chcą się czuć ważni, szukają jakiegoś znaczenia, ale coraz trudniej je znaleźć. „Bijemy się tylko z Grupą, nigdy z cywilami” – powiedział mu kiedyś jeden z nich i Johnny'emu przeszło wtedy przez myśl, że właśnie w tym problem, że używają słowa „cywil”, tak jakby sami należeli do wojska.

Wszędzie wokół niego zapalają się silniki i parking szybko pustoszeje. W innych miastach, wśród innych ludzi wybuchłaby pewnie o wiele większa panika, tutaj jednak zdaje się to służyć po mieszkańcach już po paru minutach. Prawie wszyscy widzieli już wcześniej chuligańską bójkę, jak tylko dramat dobiega końca, wracają do normalności, a jutro większość nie będzie już o tym pamiętać.

Jedyne, co może się wydawać inne tym razem, to to, że dawno tego nie było. Dwa lata od ostatniej dużej bijatyki, która zakończyła się tym, że kilku kibiców z Hed podpaliło Futro, a Grupa ścigała ich przez cały las, doszło do zderzenia dwóch samochodów, w wyniku którego zmarł chłopiec z Björnstad. Po tym wypadku wszyscy tak jakby zrozumieli, że sprawy posunęły się za daleko i jeśli dalej będziemy dążyć do konfliktu, to wywołamy wojnę. Nawet największe zbóje z Hed opanowały się na tyle, że przy kolejnym meczu z Björnstad odśpiewały

przyśpiewkę przeciwnika: „To my, niedźwiedzie”. To był znak pokoju, który Teemu i jego chłopcy zaakceptowali. Wszyscy zrobili krok w tył. Na dwa lata. Ale teraz? Nawet jeśli dzisiejsza bójka zakończyła się szybko, to Johnny doskonale wie, że albo jest to koniec niewielkiego konfliktu, albo początek czegoś o wiele, wiele większego.

Z drogi dobiegają dźwięk syren, przygłuszony dziecięcy płacz, ale również rozluźnione rozmowy, a nawet śmiech. Johnny idzie przed Hannah do minibusa, Tobias jeszcze ich nie widzi, odwraca się więc do rodzeństwa i woła rozochocony:

– Widzieliście pistolet? Widzieliście miny tych pajaców z Björnstad? Jak się posrali? Teraz już wiedzą, że nie ma z nami co zadzierać!

Tess stoi kawałek dalej, obok Bobo. Kręci tylko ze smutkiem głową i szepcze:

– Nie. Teraz tylko wszyscy uznają, że też muszą sobie takie sprawić.

Hannah nigdy tego nie słyszy. Johnny udaje, że nie usłyszał. Ma jednak nadzieję, że Tess się myli. Boże, jaką on ma nadzieję!

Prawdy

Jest późny czwartkowy wieczór, a na oddziale ratunkowym szpitala w Hed siedzą wszystkie czarne kurtki z Björnstad. Teemu złamał dwa palce na czyjeś szczęce, a kilku jego chłopaków ma połamane nosy od czyichś pięści i łokci. Mimo to, a może właśnie dlatego, mają absurdalnie dobry humor, żartują i śpiewają nieprzyzwoite piosenki. Przede wszystkim jednak nabijają się z Petera, ponieważ dawny dyrektor sportowy musiał tu przyjechać z rozciętym łukiem brwiowym. Pielęgniarki szybko zadecydowały, żeby wszystkich pacjentów z Björnstad ulokować w jednej sali, tym samym zmniejszając ryzyko kolejnych potyczek z kimś z Hed. Za każdym razem, gdy do sali wchodzi pielęgniarka, by wywołać następnego delikwenta, wszyscy członkowie Grupy błagają ją, by „wzięła najpierw szefa!”. Kiwają przy tym głowami w stronę Petera i otwierając szeroko oczy, szepczą: „Proszę nie patrzeć na nas, zwykłych ludzików, proszę się zająć ojcem chrzestnym! To on wydaje wszystkie rozkazy!”. Peter prosi Teemu, by ich uspokoił, ale ten tak bardzo się śmieje, że aż nie może mówić.

– Niczego nie potraficie wziąć na poważnie, serio, nic w życiu nie jest dla was na poważnie... – mamrocze Peter.

– W każdym razie to nie my bijemy się najpierw ze strażakiem i to nie nam grożą potem bronią, więc może czas, żebyś również przestał brać wszystko tak na serio – rechocze Teemu.

Peterowi trudno z tym dyskutować. Jeden z członków Grupy odbiera telefon, kiwa głową na Teemu. Odchodzą na bok i rozmawiają ściszym głosem. Może o facetach z trybun Hed, może o Levie, Peter nigdy się tego nie dowie, bo do sali wchodzi pielęgniarka i zabiera go na zszycie rozciętego łuku brwiowego. Lekarz pyta, co mu się przydarzyło, i Peter odpowiada, że „wpadł na słup”. Jeśli się weźmie pod uwagę posturę tego strażaka, to nie wydaje się to do końca kłamstwem. Lekarz zszywa ranę i bez żadnych ceregieli odsyła byłego dyrektora

sportowego do domu, kolejka jest dziś zbyt długa, by mógł sobie pozwolić na pogaduszki.

Gdy Peter wraca do sali, Teemu nie może sobie odpuścić:

– Witamy z powrotem, ojcie chrzestny. Jak się czujesz?

– Jakbym wpadł na słupek. – Peter się uśmiecha.

Teemu kładzie mu dłoń na ramieniu i mówi cicho:

– Wiesz... chciałbym dziś wieczorem otworzyć dla chłopaków Futro. Tylko dla tych najbliższych. Wypić parę piw i... no wiesz... jak za starych czasów. Czy to dla ciebie w porządku? Obiecuję, że po sobie posprzątam!

– Masz przecież klucze, nie? – pyta Peter, nie do końca rozumiejąc zapytanie Teemu.

– Tak, wiem. Ale nie chcę tego robić, jeśli dla ciebie to nie jest okej. Nie mam... nikogo innego, kogo mógłbym prosić o zgodę.

Peter kiwa głową. Teemu odwdzięcza się tym samym gestem. Potem jeden z chłopaków podaje Teemu bukiet kwiatów, a ten wręcza go Peterowi.

– Dla mnie? Ojej. Nie trzeba było... – zaczyna Peter, ale Teemu oszczędza go, zanim znów znowu zaczną się z niego śmiać, i szepcze:

– Nie dla ciebie. Dla twojej żony.

– Dla... Miry?

Teemu kiwa głową.

– Chłopcy mówią, że jako adwokatka pomaga klubowi. Że było jakieś zamieszanie z dziennikarzami i Mira to załatwia. Więc chcieli podziękować.

Peter mruga zdziwiony.

– Mira? Pomaga klubowi? A gdzie o tym słyszeliście?

W sumie nie musiał nawet pytać, bo przecież odpowiedź jest oczywista.

– No wiesz. Ludzie gadają.

–

Mira siedzi w samochodzie na parkingu przed szpitalem i czeka na Petera. Po drodze podwieźli najpierw Mayę, Anę i Leo do domu, po pierwsze dlatego, że Leo wymiotował w aucie, a po drugie dlatego, że Ana dawała Peterowi tyle

wskazówek, co powinien zrobić „następnym razem, gdy wpakuje się w jakiś fajt”, że naprawdę trudno byłoby z nimi wytrzymać całą drogę aż do Hed. Mira nawet się z tego powodu cieszy, bo nie będzie im się musiała tłumaczyć, dlaczego teraz wokół niej, w ramach ochrony przed ewentualnym zagrożeniem ze strony kibiców Hed, zaparkowali młodzi mężczyźni w czarnych kurtkach. Należą do Grupy, która kiedyś groziła Peterowi, której czarną kurtkę, łamiąc sobie przy tym paznokcie, Mira własnoręcznie zdierała z pleców Leo, gdy ten chciał zostać jej członkiem. I właśnie oni ją teraz ochraniają. Sama nie potrafi tego pojąć. To są jednak dziwne czasy. Okropne dni.

Dzwoni telefon i Mira odbiera z ulgą, gdy widzi na ekranie imię współniczki.

– Słyszałam o zamieszkach! Byłaś w hali? Wszystko w porządku? – krzyczy koleżanka, która zapewne zdążyła już wlać w siebie jakieś dwanaście kieliszków wina.

– Tak, tak, ale Peter ma rozcięty łuk brwiowy i jesteśmy w szpitalu.

– Rozcięty łuk brwiowy?

– Twierdzi, że wpadł na słup.

Współniczka długo nic nie mówi.

– To jest nieźle pojebane, ile pojebanych rzeczy wam się teraz przytrafia.

Mira wzdycha.

– Nawet mi nie mów. A ty jak się czujesz?

– Dobrze. Jestem w domu. Pijaniutka! Ale znalazłam jedną rzecz, którą możemy wykorzystać, jeśli Peter zostanie oskarżony!

Mira natychmiast prostuje się w fotelu.

– Co?

– Powiemy, że ktoś podrobił jego podpis! Tak serio, widziałaś jego podpis? Jak jakiegoś gówniarza.

Współniczka ma rację. Chwilę przed kontraktem w NHL rozdawał na meczach tyle autografów, że wyrobił sobie bardzo prosty podpis, tak aby usprawnić cały proces. Prawdopodobnie każdy mógłby go podrobić po kilku minutach ćwiczeń.

– Genialne!

– No nie? Chociaż... oczywiście, no wiesz... byłoby to totalnie nielegalne – wzdycha koleżanka. – Zarówno ja, jak i ty mogłybyśmy za to trafić do więzienia.

Ale to jakby co... ostateczność. Jeśli wszystko się już posra.

Mira kiwa głową ze łzami w oczach.

– Dziękuję.

– Dla was wszystko, przecież wiesz.

Mira nabiera powietrza.

– Myślisz, że popełniam błąd? Tak czysto moralnie? Że próbuję go bronić w ten sposób?

W słuchawce słychać spokojny oddech współpracownicy, nie dlatego, że ma wątpliwości, raczej naprawdę stara się znaleźć odpowiednie słowa.

– Wiesz, wszystkie moje przekonania dotyczące moralności i etyki można podsumować jednym stwierdzeniem: nie, jeśli chodzi o twoją rodzinę. Możesz mieć tysiąc zasad, ale nie jeśli chodzi o twoją rodzinę. Chronisz ją ponad wszystko, ponad moralność, nawet ponad prawo. Rodzina najważniejsza. Może i masz całą masę ról, ale przede wszystkim jesteś matką. I żoną.

Mira opiera głowę o kierownicę, która w mgnieniu oka wilgotnieje.

– Dziękuję. Jeszcze raz. Wiem, że już to mówiłam, ale dziękuję.

Współniczka brzmi, jakby była urażona.

– Jesteście też moją rodziną.

–

Gdy Peter wychodzi ze szpitala, jest tak oszołomiony, że dwukrotnie mija samochód Miry, nie rozpoznając go. A potem próbuje do niego wsiąść od strony kierowcy.

– Zapomnij, że pozwolę ci prowadzić! Masz więcej plastrów niż mumia! – prychnęła żona.

Peter obchodzi więc samochód od drugiej strony i wciska się na fotel pasażera. Mira cholernie się wkurza, ale tak właśnie ma być. Zawsze się złości, gdy się boi. Jest tym typem, który strofuje dzieci, kiedy się uderzą, w ten sposób daje im znać, że je kocha.

– To był zajebiście twardy słupek – usiłuje żartować Peter, dotykając palcami skroni.

Mira patrzy na niego spode łba, nie zapalając silnika. Ton jej głosu jest miękki, ale słowa niemal tną skórę:

– Możesz mi czasem nie mówić całej prawdy. Ale nie próbuj kłamać. Jesteś w tym beznadziejny, bo nigdy tego nie ćwiczyłeś, i to w tobie uwielbiam. Dlatego też jesteś jedyną osobą na świecie, na której mogę polegać.

Peter zaciska mocno oczy, czuje, jak ból rozchodzi się po całej twarzy.

– To był... wypadek. Zderzyliśmy się z takim facetem z Hed, nie chciałem nic mówić, żebyś tego błędnie nie zinterpretowała...

Mira wybuchła natychmiast niczym woda gazowana we wstrząśniętej butelce:

– BŁĘDNIE to zinterpretowała? Rozejrzyj się dokoła! To są teraz nasi przyjaciele?

Wskazuje dłońmi czarne marynarki w samochodach po lewej i prawej. Prawdę mówiąc, to pytanie dotyczy zarówno jego, jak i jej. Długo nienawidziła chuliganów, ale teraz się cieszy, że stoją po stronie Petera, bo może właśnie to odstraszy dziennikarzy. I jak adwokat może się z tym pogodzić?

Peter wygląda na zawstydzonego i przygnębionego. Po chwili podaje jej kwiaty i mówi jednocześnie oskarżycielskim i przepraszającym tonem:

– Dostałem je od Teemu i jego chłopaków. Powiedzieli, że pomagasz Björnstad Hockey w sprawach prawnych i chcieliby ci podziękować. Powiesz mi, o co w tym chodzi?

Dopiero w tym momencie dociera to do Miry. Mężczyźni w czarnych kurtkach nie są tu po to, by chronić Petera, tylko ją.

– Ja... – zaczyna, w pełni gotowa, by rzucić się w wir wymówek, bo jeśli już miałyby u siebie znaleźć jakąś cechę, której się wstydzi, to właśnie to, jak dobrze potrafi kłamać.

Ale patrzy mężowi prosto w oczy, a on wygląda tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz przekroczył próg restauracji jej rodziców przed ponad dwudziestu laty, po tym, jak przegrał jakiś głupi mecz, a jednak najważniejszy w swoim życiu. Pamięta wszystko, w czym się wówczas zakochała. Szukającego sensu chłopca, dobrego ojca i męża. Mówi więc prawdę. Całą. Naraz.

– Był u nas ostatnio Frak, wtedy, jak pojechałeś z Zackell po Aleksandra. Może to od początku był jego plan. Chciał cię wywabić z miasta, żeby móc ze mną porozmawiać...

Bierze głęboki wdech, od którego aż kręci jej się w głowie, a potem opowiada o tym, że dostała propozycję zajęcia miejsca w zarządzie. I o zleceniach, które dostanie jej firma z Björnstad Business Park, i że w ten sposób Frak i pozostali sponsorzy próbują ją przekupić i jeszcze bardziej związać z klubem siecią lepkich przysług i wzajemności, dokładnie tak jak innych. Tak by musiała uratować klub, jak już będzie ratować Petera.

– Ratować... mnie? – szepcze zszokowany Peter, żałośnie i z takim zdziwieniem, że struny głosowe ledwie współpracują.

Mira spokojnie i rzeczowo opowiada o wszystkich przedstawionych jej kontraktach, o dziurach w księgowości, o nieistniejącym centrum treningowym i o wszystkich dokumentach z nim powiązanych, na których widnieje podpis Petera.

– To, co przez ostatnie lata robiliście w klubie, to... nawet nie wiem, kochanie, jakiego słowa użyć... ogólnie mówiąc, to pranie pieniędzy. Korupcja. Z prawnego punktu widzenia to fałszowanie ksiąg rachunkowych i nadużycie zaufania mocodawcy. Lokalna gazeta sprowadziła dziennikarza z zewnątrz, żeby w tym pogrzebał, i wcześniej czy później doszuka się on wszystkiego, co ukryliście. Jeśli się weźmie pod uwagę, ile gminnych pieniędzy na to poszło... to, kochanie... możesz wylądować w więzieniu!

Brakuje jej powietrza, zanim jeszcze wypowie ostatnie słowa. Stuka palcami o kierownicę, mimo że nie włączyła jeszcze silnika. Peter siedzi obok, błydy jak ściana, spadając tysiąc kilometrów w otchłań. Cała jego tożsamość się rozsypuje. Poci się, hiperwentyluje, tak bardzo chciałby zsunąć szybę samochodu, ale boi się, że w tym samym momencie wszystkie tajemnice po prostu z niego ulecą. W końcu musi oprzeć czoło na schowku po stronie pasażera. Dopiero po kilku minutach z jego ust wydobywa się ciche:

– Centrum treningowe? Nie... wiedziałem, co podpisuję, kochanie, wiem, że to brzmi jak kłamstwo, ale gdybym wiedział, że to coś nielegalnego, to nigdy... nigdy bym tego nie zrobił! Myślałem, że wyświadczam Frakowi przysługę... Podpisywałem przecież tysiące papierów, gdy jeszcze pracowałem w klubie, więc gdy zadzwonił do mnie, po tym, jak już oszedłem, to poczułem wyrzuty sumienia i pomyślałem... Boże, kochanie, wcale nie myślałem. Co ze mnie za idiota. Jestem totalnym IDIOTĄ! Twierdził, że z gminą już wszystko ustalone i że po prostu potrzebują „twarzy do projektu”. Założyłem, że on...

– Wiem – szepcze Mira, ale Peter nie słucha, zajęty podważaniem każdej decyzji, jaką w życiu podjął.

Mirze przychodzi do głowy, że jednak najbardziej niepojęte jest to, że zarówno Peter, jak i Frak naprawdę się zdziwili, że dziennikarze w ogóle się do tego dokopali. Niczym małe dzieci bawiące się w piaskownicy i ze zdziwieniem odkrywające, że ktoś przez cały czas się im przyglądał. Co oni sobie myśleli? Czym niby według nich zajmują się dziennikarze? Czy nikt w klubie nie miał żadnego planu na wypadek, gdyby wszystko zostało wyciągnięte na światło dzienne?

– Nie mogę pojąć, jaki ze mnie idiota – prychnął Peter. – Nie mogę tego POJAĆ. Wiedziałem... wprawdzie, że część kontraktów zawodników to szara strefa. I że zarząd i sponsorzy coś tam kombinują. Ale udawałem, że tego nie widzę. Wmawiałem sobie, że przecież nie znam się na finansach i że moją działką jest hokej. Ale, kochanie... NIGDY, ale to nigdy nie zrobiłbym nic nielegalnego...

– Wiem! Wiem! Wiem, że jesteś niewinny! – przerywa mu ostro Mira.

Peter oddycha ciężko.

– Skąd? Skąd możesz to wiedzieć? Nawet ja tego nie wiem!

Jej oczy są zmęczone, policzki mokre, a usta suche.

– Bo cię znam. Ja mam przed tobą tyle tajemnic, ale ty przede mną praktycznie żadnych. Zaczęłam chodzić do psychologa i nic ci nie powiedziałam, bo miałam nadzieję, że załatwię to sama. Psycholog zapytał mnie jakiś czas temu, jak się czuję, a ja mu odpowiedziałam, że tak, jakbym miała zaraz utonąć, i wtedy on chciał wiedzieć, co mnie powstrzymuje. Odpowiedziałam: „Mój mąż”. Powiedziałam, że... ty. Bo w tobie widzę ład. U ciebie jest powietrze. I jesteś najgorszym kłamcą, jakiego znam. Stąd wiem, że nie mógłbyś z premedytacją popełnić żadnego przestępstwa.

– Kocham cię, jesteś jedyną... ty i dzieci... jesteście jedyni...

– Wiem.

Prawie się już nie widzą, nieważne, ile mrugają.

– Co teraz zrobimy? Muszę iść na policję i do wszystkiego się przyznać, muszę...

– zaczyna desperacko Peter, ale Mira kręci głową.

– Nie. Już rozmawiałam z Frakiem. A on ze wszystkimi swoimi kontaktami, ze sponsorami i politykami. Załatwimy to.

– Jak? – szlocha Peter.

Może i jest zmęczona, ale jej głos już nie drży:

– Jeszcze nie wiem, ale musisz mi zaufać. Coś wymyślę.

– Nie zatrzymasz przecież dziennikarzy, jeśli... – szepcze Peter.

Mira patrzy przez szybę na mężczyzn w czarnych kurtkach i w spokoju zastanawia się, do czego jest zdolna. Jak daleko może się posunąć. Potem słyszy samą siebie.

– Przekonamy gazetę, by o tym nie pisała. Albo stworzymy sytuację, w której już nie będą chcieli o tym pisać.

– Ale gazeta POWINNA o tym napisać, popełniłem błąd... mają RACJĘ... – odpowiada Peter.

– Tu nie chodzi o rację – rzuca Mira.

– A o co? – Peter pociąga nosem.

Mira nie ma na to odpowiedzi. Bo o co w tym chodzi? By stać po właściwej stronie? Wmawiać sobie, że walczy się o właściwe sprawy? Czy też w końcu chodzi o przetrwanie? By zwyciężyć za wszelką cenę? Czy do tego właśnie jesteśmy zdolni, gdy wszystko zostało już powiedziane i zrobione? Sama już nie wie, do końca życia będzie się nad tym zastanawiać, ale teraz odpowiada tylko:

– By chronić naszą rodzinę. Przede wszystkim. Ciebie, mnie i dzieci. Tylko to się teraz liczy. Znajdę sposób, by to załatwić, musisz mi zaufać.

– Ufam ci – szepcze Peter.

Mira podnosi rękę, nieznacznie wolno, jakby sam ruch miał ją złamać, i wyciąga palce, tak że w końcu odnajdują jego dłoń. Na jej twarzy pojawia się uśmiech, delikatny, ale przekorny, mała forma protestu przeciwko chaosowi.

– A gdy to już się skończy... to, do cholery, kochanie, należą nam się wakacje. Chcę przeżyć chociaż jeden poranek, w którym nikt nie będzie ode mnie nic chciał, dobrze? Ze śniadaniem w hotelu i tymi supermalutkimi szklaneczkami z sokiem pomarańczowym, i croissantami. Chce mi się, do cholery, CROISSANTÓW, kochanie, dobrze?

Peter zdobywa się na uśmiech, ledwie, ale obiecuje jej całym sercem. Mira rusza do Björnstad i całą drogę do domu trzyma go za rękę.

Z pokolenia na pokolenie

Karawana samochodów z kibicami z Hed wraca przez las do domu. Rodziny z dziećmi z trybuny siedzącej skręcają w stronę dzielnicy domków jednorodzinnych, a młodzi mężczyźni z trybuny stojącej udają się w drugim kierunku, do Stodoły. Kilku z nich ma podbite oczy i złamane nosy, niektórym przydałaby się wizyta w szpitalu, ale większość z nich poradzi sobie z tym, po prostu się upijając. W przeciwieństwie do dachu hali lodowiska knajpa, którą nazywają Stodołą, zaskakująco dobrze przetrwała wicher. Tak jakby Bóg musiał wybrać, czy pozwolić swoim dziatkom chodzić na mecze czy potem się po nich upijać. Gdyby tego wieczoru zapytać o to miejscowych gości, też trudno by im było dokonać wyboru.

—

Hannah nie upija się już w Stodole, jest na to za stara, pije więc w domu, w kuchni. Johnny siedzi naprzeciwko. Ona trzyma w ręku kubek z winem, on natomiast whisky w szklance, która tak naprawdę jest świecznikiem na podgrzewacz. Hannah nie ma już jednak siły mu tego tłumaczyć. Tess poszła położyć Turego i usnęła w jego łóżku. Tobias padł u siebie w pokoju jeszcze w ubraniu, tak jakby dzięki większej dawce stresu lepiej mu się spało. Robi się późno, za oknem panuje mrok, ale z ogrodu dobiegają uderzenia. To Ted uderza w krążki w blasku wszystkich latarek, jakie udało mu się znaleźć w całym domu. Słysząc go pewnie na kilometr, ale nawet najbardziej upierdliwi sąsiedzi nie przychodzą dziś na skargę. Może mają jakieś ważniejsze rzeczy, którymi się zamartwiają, a może po prostu okazują współczucie trzynastolatkowi, któremu odwołano mecz i który teraz w jakiś inny sposób musi spożytkować adrenalinę.

— Powinienem był to przewidzieć. Od samego początku nie powinniśmy byli jechać na ten mecz – wyrzuca sobie teraz Johnny.

– Kto mógł wiedzieć, że to się tak skończy? – odpowiada przygnębionym głosem Hannah, ale Johnny doskonale słyszy, jak żona zgrzyta zębami, znak, że krótki lont już się zapalił.

– Nie znam tego Leva, jeśli o to pytasz. Kiedyś odebrałem od niego opony dla Bengta i chwilę rozmawialiśmy, to wszystko. Teemu groził mu w związku z jakimś długiem i pewnie dlatego Lev nas obronił.

– Obronił? Tak to widzisz? – rzuca Hannah.

– A ty? – pyta z kwaśną miną Johnny, doskonale wiedząc, że pakuje się w pułapkę.

– Tylko wszystko pogorszył! To był mecz dzieci, a on miał ze sobą pistolet! Gdzie my niby mieszkamy? W strefie wojny?

Johnny wzdycha. Obraca w dłoni szklankę. Właśnie do niego dotarło, że to świecznik, ale za nic w świecie się teraz do tego nie przyzna. To tania whisky, więc trochę stearyny naprawdę nie zrobi tu żadnej różnicy.

– Pogadam z nim...

– To z Tobiasem powinieneś pogadać! Widziałeś jego oczy? Wyglądał jak... – zaczyna Hannah, ale przerywa w połowie zdania, zanim powie „jak ty”.

Bo dokładnie tak było. Tobias wyglądał identycznie jak jego ojciec, gdy jest wkurzony. Johnny zatapia wzrok w szklance i przechyla ją na obie strony.

– Dobrze się zachował. Pierwsze, co zrobił, to odszukał brata. Czy to nie właśnie tego go uczyliśmy?

Hannah wzdycha z kubkiem przy ustach. W sumie tak. Dokładnie to mu wpoili. O co się więc złości? O co jej chodzi?

Zrezygnowana i zmęczona pozwala słowom wydostać się na zewnątrz, tak jakby tylko głośno się nad czymś zastanawiała:

– Od dawna już nie mogę znieść myśli o tym, że Tess miałyby się wyprowadzić na studia do innego miasta. Dziś po raz pierwszy mam nadzieję, że to zrobi. Ucieknie jak najdalej stąd. Chciałabym, żeby jej świat był... większy.

– Na świecie też jest pełno przemocy. I wszędzie znajdzie się jakiś głupek, który będzie się chciał bić – prycha Johnny.

– Tak, ale tam przynajmniej nie będzie musiała się przyglądać, jak ta przemoc przechodzi z pokolenia na pokolenie.

W tym momencie Johnny podnosi głowę i szepcze urażony:

– Bo to ja chciałbym wszystkich pozabijać?

Hannah kręci głową.

– Nie. Bo w tym tygodniu były takie momenty, w których sama chciałam to zrobić.

Cisza sprawia, że kuchnia się kurczy, wysysa cały tlen, Johnny zastanawia się, czy nie rzucić żartem, że to niemożliwe, żeby Tess odziedziczyła po matce skłonność do przemocy, bo Hannah naprawdę beznadziejnie się bije, ale to jednak nie ten moment. Rozumie, o co jej chodzi. Dopija whisky, całuje żonę w głowę i idzie na górę. Przykrywa Tess i Turego, a potem wchodzi do Tobiasa do pokoju i siada przy jego łóżku. Syn głośno chrapie, a jego serce bije miarowo. Na parapecie po drugiej stronie okna leży świeży śnieg, Johnny czuje się, jakby miał sto lat. Tak jak wszyscy inni rodzice marzy o tym, by jego dzieciom powodziło się nieco lepiej niż jemu samemu, żeby było im nieco łatwiej, nie ma jednak sposobu na to, by chronić je przed światem. Nie możemy ich nawet ochronić przed nimi samymi. Zamyka oczy. Jeśli Hannah się nie myli i ten chłopiec w łóżku obok rzeczywiście będzie taki jak jego ojciec, to pozostaje tylko jedna rzecz, którą Johnny może zrobić.

Być lepszym.

–

Ted odbija krążek za krążkiem, coraz mocniej, i w głębi duszy dziwi się, że nikt jeszcze nie wyszedł do niego z krzykiem, by już odpuścił. Gdy więc kątem oka zauważył mamę, puszcza kij bez zbędnego marudzenia. Mimo mroźnego wieczoru jest cały spocony. Mama włożyła kurtkę Tobiasa i czapkę Tess, Ted jest prawie pewien, że na nogach ma jego stare buty. Właśnie otwiera usta, by jej obiecać, że zaraz skończy i pójdzie spać, gdy matka, mrugając, pyta:

– Mogę z tobą pograć?

Pewnie, że tak.

Ślady

Gdy później, już po wszystkim, opowiemy tę historię, oczywiste stanie się zapewne, że była to powolna reakcja łańcuchowa, w której rzeczy działy się po trochu w swoim czasie. Ale część zamieszanych w nią osób już zawsze będzie uważać, że to, co najważniejsze, wydarzyło się w ciągu kilku godzin.

To naprawdę zimna noc, a w piątkowy rano redaktorka naczelna wychodzi z domu do biura jeszcze przed przejazdem pługów śnieżnych. Przebija się przez śnieg w stanowczo nieodpowiednim obuwiu i obiecuje sobie w duchu, że jeśli zostanie tu do końca zimy, to kupi sobie nową parę. Początkowo ogląda się za siebie, jeszcze trochę przewrażliwiona, bo od kilku dni ma wrażenie, że wszędzie wokół siebie widzi czarne kurtki, ale teraz idzie chodnikiem sama. Poza dziennikarzami nikt się jeszcze nie obudził. Wczoraj w hali lodowiska doszło do zamieszek i dwóch z jej redaktorów już jest w pracy i przygotowuje o tym materiał. Gdy przyjęła to stanowisko i po raz pierwszy spotkała się z nimi w redakcji, obaj przedstawili się jako dziennikarze sportowi, później okazało się jednak, że jeden pracuje w wiadomościach, a drugi odpowiada za strony poświęcone rodzinie, ale żart w jej kierunku był prosty: tutaj każdy zajmuje się sportem i najlepiej od razu do tego przywyknąć. Chyba jeszcze jej się to nie udało.

Gdy rano wstawała z łóżka, ojciec nadal się jeszcze nie położył. Wymieniali się niczym na zmianach w fabryce. Stary dziennikarz spędził całą noc pochylony przy kuchennym stole, obłożony dokumentami i segregatorami, większości z nich naczelna jak dotąd nie widziała.

– Co to? – zapytała, ale ojciec odgonił ją ręką, tak jakby znów była małą dziewczynką. – Myślałam, że próbujesz dotrzeć do szczegółów wczorajszych zamieszek – dodała zaraz potem.

– To ważniejsze. Spójrz tutaj! To wszystko dokumenty przedstawiające, jak w ciągu ostatnich dziesięciu lat wypłacano pieniądze z podatków w ramach fałszywych zasiłków i niezgodnych z prawem pożyczek w związku z różnymi

gminnymi projektami budowlanymi. Pamiętasz, jak gminie zamarzyła się sława i starała się o możliwość zorganizowania mistrzostw świata w narciarstwie? Popatrz na te wypłaty od bogatych przedsiębiorców z okolicy do tej firmy budowlanej. Myślę, że to łapówki dla polityków. A przede wszystkim dla polityczki, która stoi na czele największej partii w gminie! A zobacz tutaj, kto pracuje w tej firmie. Jej mąż i brat!

Redaktorka naczelna zaparzyła kawę i starała się uporządkować nieco notatki ojca.

– Tato... możesz mieć rację, to pewnie gruby skandal... ale co to ma wspólnego z naszym dochodzeniem w sprawie centrum treningowego i Björnstad Hockey?

– To o wiele ważniejsze niż Björnstad Hockey! To śledztwo to NIC w porównaniu z tym!

Córka wlepiała w niego zdziwiony wzrok.

– Mogę się dowiedzieć, skąd masz te wszystkie nowe dokumenty?

– Wykonałem odpowiednią robotę, znalazłem nowe źródło informacji, tym się nie przejmuj...

Oczy zamykały mu się ze zmęczenia. Nie dało się już z niego wyciągnąć nic sensownego. Poradziła mu więc, żeby się położył i odpoczął.

Teraz przedziera się przez śnieg, nie mogąc przestać rozmyślać o tym, co powiedział: „To o wiele ważniejsze niż Björnstad Hockey”. Cały tydzień węszyli wokół klubu Petera Anderssona, a tu nagle przez noc ojciec zmienia tor? Niedające jej spokoju pytanie zbiło ją z tropu do tego stopnia, że idzie z pochyloną głową, nie rozglądając się wokół. Gdy dociera do budynku redakcji, nie dostrzega mężczyzn stojących przed nim, aż jest już za późno, by uciec. Odwraca się instynktownie i mimo to próbuje, ale po chwili zauważa, że nie mają na sobie czarnych kurtek. Tylko czerwone.

– Cześć! – mówi jeden z nich i wyciąga ogromną dłoń, tak że spod rękawa kurtki wyziera wytatuowany na przedramieniu sporej wielkości byk.

Drugi uśmiecha się przyjaźnie. Ma podbite oko, prawdopodobnie pozostałość po wczorajszej bójce w hali.

– Jesteśmy tutaj, żeby się trochę rozejrzeć! Słyszeliśmy, że ta jebana Grupa z Björnstad groziła pani i redakcji. Ale spokojnie, nie musi się pani martwić, już jesteśmy i teraz wszystkiego przypilnujemy.

Redaktorka naczelna przygląda się ze zdziwieniem obu mężczyznom.

– Nie mam pojęcia, o czym panowie mówią. Jak to groziła?

Jeden z mężczyzn mruga do niej porozumiewawczo, tak jakby dzielili tajemnicę.

– Rozumiemy, że nie może nam pani nic zdradzić. Ale dostaliśmy cynk, że prowadzicie śledztwo w sprawie Björnstad Hockey i że te głupki z Grupy próbują was uciszyć. Nie dajcie się! Wszyscy wiedzą, że to banda złodziei, miejmy nadzieję, że udupicie ich na dobre! Nasi chłopcy będą tu na miejscu i przypilnują, żeby nic się pani nie stało.

Redaktorka naczelna nie wie nawet, co ma na to odpowiedzieć. Ledwie się, do cholery, obudziła, więc co jeszcze wydarzy się dziś, zanim wszędzie słońce? Całkiem sporo, jak się okaże.

– Nie no, nie wierzę... – mamrocze, gdy wchodzi do biura i dostrzega, kto siedzi wygodnie rozłożony przy jej biurku.

– Dzień dobry! – zaczyna zaczepnie Richard Theo.

Naczelną wzdycha.

– Hmm, czyżby zmienił pan zdanie w sprawie pracy? Może mógłby pan u nas pracować jako rysownik komiksów?

Theo się uśmiecha, pod wrażeniem jej natychmiastowego przejścia do ataku, wielu zachowuje się tak podczas pierwszego spotkania z nim, ale przy kolejnym większość robi się ostrożniejsza.

– Obiecuję, że nie zajmę pani dużo czasu. Zapewne ma pani pełne ręce roboty ze względu na wczorajszy incydent.

Dziennikarka uśmiecha się lekko.

– „Incydent”? Interesujący dobór słów. To były chuligańskie zamieszki.

Polityk wygląda na zaskoczonego.

– A nie, tak bym tego nie opisał. Byłem tam. I nie obawiałem się o własne bezpieczeństwo, innych zresztą też nie. Frustracja pokonała kilku młodych mężczyzn po obu stronach, fakt, ale takie rzeczy zdarzają się wszędzie. Pewnie nawet w wielkich miastach, prawda?

Ostatnie zdanie wypowiada z tak kwaśną miną, że redaktorka nieco mięknie.

– Podczas pańskich ostatnich odwiedzin wspominał pan, że obawia się przemocy pomiędzy kibicami obu drużyn. Teraz twierdzi pan, że wszyscy są dobrymi

przyjaciółmi?

Theo natychmiast rozkłada dłonie w przepaszającym geście.

– Nie chciałbym po prostu, żeby zostało to błędnie zinterpretowane. Żeby ludzie przeczytali w gazetach coś, co opacznie rozumieją. Bo to dopiero mogłoby DOPROWADZIĆ do przemocy, nie uważa pani?

– Raportujemy o tym, co się wydarzyło... – zaczyna dziennikarka.

– Peter Andersson po wczorajszym dniu ma rozcięty łuk brwiowy, słyszała pani o tym? – przerywa jej gładko polityk.

– Nie, nie... nie wiedziałam – przyznaje redaktorka naczelna.

– Zwykły wypadek, mogę zaświadczyć! Zderzył się tłumie z innym mężczyzną. Zapewne jednak znajdzie się w Björnstad paru, którzy pokuszą się o nadinterpretację, twierdząc, że został napadnięty. Sama pani wie, jak uwielbiany jest Peter w swoim rodzinnym mieście. Wielu chce go bronić. Tak... a skoro już przy tym jesteśmy... najwyraźniej wielu chciałoby też chronić panią. Widziałem na zewnątrz pani przyjaciół!

Poprawia krawat na perfekcyjnie wyprasowanej koszuli.

W redaktorze naczelnej narasta irytacja z powodu tego, jak świeżo polityk wygląda tak wcześnie rano.

– Jeśli pije pan do mężczyzn przy wejściu, to ich nie znam... – wyjaśnia.

– Oczywiście, że nie. Zdaje się jednak, że są przekonani, iż potrzebuje pani ochrony. Nie chciałbym, żeby również to zostało błędnie zinterpretowane. – Theo kiwa głową.

Naczelna czuje zimny pot spływający po plecach, gdy dociera do niej, co się właśnie dzieje. I kto rozpuścił plotkę, która sprawia, że u drzwi redakcji pojawili się mężczyźni w czerwonych kurtkach.

– Co próbuje mi pan powiedzieć? – syczy, nie mogąc znieść jego świadczącego o rozluźnieniu uśmiechu.

– Jeśli napiszecie o Peterze Anderssonie zaraz po tym, jak według plotek został zaatakowany i pobity przez kibiców z Hed, tych samych, którzy stoją teraz u waszych drzwi, to nie sądzi pani, że będzie to jednak wyglądać, jakbyście... opowiedzieli się po jednej ze stron?

– Proszę mi nie grozić. Jestem dziennikarką. To bardzo głupi pomysł.

– Grozić? Nie miałem takiego zamiaru! Proszę mi wybaczyć! – wybucha polityk z tak zrozpaczoną miną, że prawie wygląda, jakby naprawdę się przejął.

Wstaje z krzesła. Dziennikarka przechyla głowę.

– Czy to wszystko? Przyszedł pan tu dziś tak wcześnie rano tylko w tej sprawie?

Theo udaje, że się namyśla, tak jakby o czymś zapomniał, po czym uderza się teatralnym gestem w czoło i dodaje:

– Teraz, gdy to pani mówi, rzeczywiście, mam dla pani newsa! Słyszała pani, że Hed Hockey pozyskało nowego sponsora? Może pani wiadomo, że właściciele fabryki sponsorują Björnstad Hockey? Teraz inny właściciel wszedł z pieniędzmi do Hed!

Ciekawość redaktorki bierze górę nad jej czujnością.

– Jaki właściciel?

– Pani.

Wypowiada to z takim namaszczeniem, niczym ojciec czyszczący do zera bank podczas gry w monopol. Wymienia nazwę i redaktorka oczywiście od razu wie, o kogo chodzi. To właściciele firmy, do których należy również jej gazeta.

– Dlaczego mieliby sponsorować klub hokejowy akurat tutaj? – pyta, poprawiając niecierpliwie ubranie przyklejające się do pleców.

– Jeden z moich dawnych kolegów z czasów studiów siedzi tam w zarządzie. Zadzwoniłem do niego i opowiedziałem mu, że Hed Hockey popadło w problemy finansowe i że byłby to dobry uczynek ze strony właściciela lokalnej gazety, gdyby wsparł klub. Bo przecież tak tu działamy w okolicy. Pomagamy sobie nawzajem. Nieprawdaż?

– Czy pański przyjaciel wie, że połowa abonentów mieszka w Björnstad? – odpowiada redaktorka przez zaciśnięte zęby.

Theo kręci głową.

– Nie, nie, on się w ogóle nie zna na hokeju. Myśli, że to tylko sport.

Dziennikarka zaciska usta tak mocno, że jej wargi prawie znikają. Z buntu i jednocześnie ze zniechęcenia.

– Myśli pan więc, że nie odważę się teraz prowadzić dochodzenia dotyczącego Björnstad, bo będzie to wyglądało tak, jakbym robiła to wyłącznie dlatego, że gazeta jest sponsorem Hed?

Jego pewność siebie jest aż przykra.

– Nie, nie, nie zrozumiała mnie pani. Myślę, że odpuści pani śledztwo w sprawie Björnstad Hockey, ponieważ na horyzoncie pojawiła się o wiele lepsza historia.

– Niby jaka?

Theo przewiesza przez ramię elegancki płaszcz i unosi brew.

– Ojciec pani nie opowiadał?

Wychodzi, zanim dziennikarka zdąży mu odpowiedzieć. Mężczyźni z wytatuowanymi bykami nadal stoją przy wejściu, gdy naczelna wybiega z redakcji do domu. W głowie już tyle razy pokłóciła się z ojcem, że gdy ten w końcu się budzi, córka nie ma już na to siły.

– A więc zaprzedałeś całą naszą historię z Peterem Anderssonem w zamian za inną? – pyta tylko niepokieszona.

– O wiele... lepszą – broni się ojciec, ale dziennikarka wie, że mu wstyd.

– Tego bym się po tobie nie spodziewała, tato. Nie sądziłam, że mógłbyś się wycofać z walki.

Ojciec długo na nią spogląda. Córka widzi, że do oczu napływają mu łzy, i tak ją to szokuje, że aż musi usiąść.

– Wybrałem walkę, którą możemy wygrać, moja droga – szepcze doświadczony dziennikarz. – Zadzwoń do starego kolegi, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym Richardzie Theo, i to... niebezpieczny typ. Tak naprawdę niebezpieczny. Potrafi niszczyć kariery tylko dla zabawy. Mnie niełatwo przestraszyć, ale, do diabła, moja droga, co będzie z tobą, gdy ja już wyjadę, a ty zostaniesz tu z takim wrogiem? On nie jest jak inni faceci tutaj. Jest od nich mądrzejszy. Ma całkowicie inną sieć kontaktów. Nie wysłał za tobą bandy chuliganów, tylko prawników, którzy zniszczą ci życie. Tacy jak on ruszą na ciebie z całym impetem i nie zatrzymają się, dopóki nie odbiorą ci wszystkiego, co kochasz...

Jej głos drży, bo czuje zawód, i ojciec nigdy do końca sobie tego nie wybaczy.

– Gdy byłam małą, mówiłeś, że dziennikarz, który nie ma wrogów, to ten, który kiepsko wykonuje swoją pracę.

Ojciec kiwa głową.

– Jesteś jeszcze za młoda na wrogów, moja droga. Za młoda na TAKICH wrogów. Tyle jeszcze przed tobą. A ja... do diabła... jestem już za stary na takie potyczki.

Przynajmniej z typami pokroju Richarda Theo. Dokumenty, które mi wysłał, to, moja droga, nie jest żadna drobnica. Wszędzie udaje mu się przeforsować własne racje. Zdajesz sobie sprawę z tego, ile pieniędzy wytrzepał już dla Hed Hockey jednym pstryknięciem palców?... Pomyśl tylko, co może zrobić tobie... Nie pozwól, by twoja kariera zakończyła się tutaj, na tym pustkowiu, tylko przez twoją dumę. Proszę cię. Nie powtarzaj moich błędów, nie bij się od razu z całym światem. Zaczekaj, aż będziesz w większej redakcji z większym wsparciem, i wtedy się za niego zabierzesz, jeśli jeszcze będziesz miała na to ochotę. Ja jednak przyjechałem tutaj, żeby ci pomóc, i wybrałem najlepszy z możliwych sposobów. Chcesz mojej rady? Weź historię, którą ci daje. Jest lepsza niż ta o Peterze Anderssonie. To pionek, bez większej władzy, natomiast to, co dał nam Richard Theo, dotyczy gigantycznej korupcji, aż do najwyższych stanowisk w gminie...

– A jeśli się okaże, że to wszystko kłamstwo?

– Wtedy nadal będziemy mogli węszyć wokół Björnstad Hockey, będziemy mogli...

Córka chowa twarz w dłoniach.

– Nie, nie, nie będziemy mogli. Tato, wtedy będzie już za późno, zdążą zatrzeć za sobą wszystkie ślady.

Uchodzi z niej cała energia. Ciało opada na stół. To właśnie czuje przegrana.

Wyspy

Robi się ciemno i piątek powoli się kończy. Krążąc między drzewami, Benji prawie nie pozostawia za sobą śladów. Właśnie to zawsze wyjątkowo zadziwiało przeciwników na lodzie, kombinacja zwinności i siły. Według Adri to niesłychane, że z tak miękkimi ruchami można być tak kiepskim tancerzem, na co Benji odpowiada, że to prawie przedziwne, że taka słaba kucharka może być taka gruba. Wtedy Adri zdiela go porządnie przez łeb i chyba tego właśnie najbardziej będzie jej brakować. Razem z Alicią i Sunem przyglądają się teraz w hodowli nowym szczeniaczkom, Benji wyszedł z domu, do końca nie wiedząc, dokąd zmierza, ale nogi niosą go nad jezioro. Nie ma już prawdziwych marzeń, do których tęskni, szuka więc po prostu towarzystwa. Stolyca siedzi na składanym krześle przed kamperem, otulony śpiworem, nauczył się już rozpalać ogień i cieszy się z widoku Benjiego przede wszystkim chyba ze względu na to, że chce mu to pokazać.

– Rozpalasz jak Ana – zauważa skwaszony Benji.

– Jej sposób działa, w przeciwieństwie do twojego. – Stolyca się uśmiecha.

Pojawienie się Benjiego specjalnie go nie dziwi. Taka jest właśnie ich relacja: wyczuwają, jak będzie się poruszał ten drugi. Gdyby kiedykolwiek grali razem w hokeja, byłiby niepokonani. Benji zapada się w jednym z rozchybotanych składanych krzeseł, nie szukając nawet dodatkowego śpiwora, i kiwa z uznaniem głową.

– Nie sądziłem, że dasz radę przetrwać tu samotnie choćby jedną noc. Ale teraz jesteś już człowiekiem lasu.

– Jeszcze kilka dni temu musiałbym powiedzieć, że nie widziałem w życiu prawie żadnego lasu – przyznaje Stolyca.

– To, czy widziałeś czy nie, tak naprawdę nie ma nic wspólnego z lasem – wyjaśnia Benji.

Spoglądają na wieczorne niebo. Benji rozmyśla o tym, co raz usłyszał od Ramony: „Faceci boją się teleskopów, nie możecie patrzeć na gwiazdy, nie

posrywając się przy tym w gacie, gdy nagle do was dociera, że wszechświat może być tak ogromny, a wy przy nim tacy maleńcy. Nic nie napędza strachu facetom bardziej niż myśl o tym, że wszystko, co robicie, może nie mieć żadnego znaczenia”. Jezioro zamarza, położona kawałek dalej wyspa wkrótce zostanie odcięta przez nadchodzącą zimą, może stąd nie wygląda jakoś szczególnie, ale podczas najszcześniejszych letnich pór, jak tylko kończyły się treningi, razem z Kevinem, niczym rozbitkowie, spędzali tam całe wakacje. Wszystko tam było takie niewypowiedziane, ale jednak bez tajemnicy. Benji nigdy się tak nie czuł z nikim innym.

Stolyca długo spogląda w gwiazdy i mówi:

– Masz rację. Wasze gwiazdy są lepsze niż tam, skąd pochodzę. Mniej tu spalin.

Benji powoli kiwa głową.

– Ale więcej elektrowni wiatrowych. A to też gówno. Odstraszaają dziczyznę.

Stolyca wybucha śmiechem i naśladuje jego dialekt.

– „Dziczyznę”. To takie myśliwskie gadki?

Na twarzy Benjiego pojawia się uśmiech, ten, którym potrafi przeszyć na wskroś wszystko i wszystkich.

– Szczerze powiedziawszy, wolę łowić ryby.

– A kiedy niby macie tu na to czas? Jakiś kwadrans w sierpniu? – pyta Stolyca, kiwając głową w kierunku wody, która już zdążyła się zamienić w lód, mimo że w jego świecie to dopiero wczesna jesień.

– Cały rok. Latem siedzisz w łódce, kłamiesz przez dziewięć godzin i nie łapiesz nic. Zimą wycinasz przerębel w lodzie i siedzisz na krzeselku, i kłamiesz przez dziewięć godzin, i też nie łapiesz nic.

– No to powiem ci, że się tu trochę nakłamięcie – zauważa Stolyca.

– Żebyś wiedział. Czasem jest już tak do dupy, że musimy powiedzieć prawdę – odpowiada Benji. Przynosi z kampera piwo i proponuje jedno Stolicy, ale ten tylko kręci głową.

– Jutro mecz.

Benji przytakuje, może to niemożliwe, ale Stolyca ma wrażenie, że kolega mu zazdrości.

– Przeciwno Hed, nie? Nie masz pojęcia, co to tutaj znaczy. To dobrze. Graj tak, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Stolyca przejeżdża dłonią po zarośniętym policzku, zwykle goli się każdego ranka, to część jego rygorystycznego schematu przyzwyczajzeń i detali, które do tej pory kierowały jego życiem. Tutaj jednak ma to gdzieś. Odwraca się w stronę Benjiego i pyta, nie z pogardą, ale z ciekawością w głosie:

– Słyszałem, że na meczach Hed śpiewa „Pedały z Björnstad”. Przeszkadza ci to?

– Gdzie to słyszałeś?

Stolyca odchrząkuje.

– Jeden z chłopaków wspominał coś w szatni.

Benji kiwa beznamiętnie głową.

– Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać?

Stolyca długo szuka właściwych słów. Jego głos jest zachrypnięty i napięty.

– Zastanawiam się po prostu, co robisz, że dajesz radę być... inny.

Benji pali w ciszy tak długo, że Stolyca zakłada, że pewnie nie usłyszał pytania. Odpowiedź jednak nadchodzi:

– Osobiście przeważnie jestem ukopcony i walę ludzi po zębach. Z pewnością istnieją też inne sposoby. Może medytacja? Słyszałem o niej wiele dobrego, ale strasznie trudno jest jednocześnie palić...

Stolyca się uśmiecha.

– A w czasie podróży łatwiej czy trudniej być sobą?

Benji prycha.

– Łatwiej być kimkolwiek, jeśli nikt wokół ciebie nie wie, kim jesteś. Łatwiej też być z Björnstad, jeśli jest się daleko stąd.

Stolyca odchyła się na krześle, chciałby jeszcze o coś zapytać, ale nie ma odwagi, odpuszcza więc, a po chwili dodaje:

– Dziwni z was ludzie. Ale muszę przyznać, że umiecie w zachody słońca. Nigdy w życiu nie widziałem takich jak tu.

– To dlatego, że do tej pory nie widziałeś jeszcze słońca zachodzącego zaraz po lanczu.

– Prawda. To prawda – śmieje się Stolyca.

Benji rzuca nagle cicho, ale z przekonaniem:

– Będziesz tu pasował. Lepiej, niżbyś przypuszczał.

To znaczy dla Stolycy więcej, niż daje po sobie znać. Do tej pory nigdy nigdzie nie pasował.

– A co mam innego do roboty? Jechać jeszcze dalej na północ i znaleźć jeszcze większych wariatów niż wy?

– Jedyne większe wariaty na północ od nas to Święty Mikołaj.

Wybuchają śmiechem. Benji pije piwo i pali trawę, a Stolyca zamyka oczy i wsłuchuje się w kompletną ciszę.

– Jak dawno temu grałeś w hokeja? – pyta po chwili.

– Ponad dwa lata – odpowiada Benji.

– A co robiłeś w międzyczasie?

– Podróżowałem. Palilem trawę. Tańczyłem.

– Gdzie?

– Głównie w Azji.

– Dlaczego właśnie tam?

– Prawie nikt nie słyszał tam o hokeju.

– Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Co masz na myśli?

Głos Stolycy jest miękki, ale pewny siebie.

– Nikt nie wyjeżdża tak daleko, jeśli czegoś nie szuka.

Benji wypuszcza dym przez nos.

– Gdybym to znalazł, to pewnie zapomniałbym wrócić do domu. A ty? Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Gdzie?

– No tu.

Pewność siebie ulatuje ze Stolycy.

– Tak szczerze to nie wiem, co to miałyby być.

Benji otwiera kolejne piwo.

– O to chyba właśnie chodzi w szukaniu.

Stolyca nie odzywa się bardzo długo. A potem szepcze:

- Chciałbym... płacić czynsz za to, że pozwalasz mi tu mieszkać.
- Zapomnij. Wtedy będę twoim wynajmującym.
- A teraz kim jesteś?

Benji odwraca się w jego stronę.

- Twoim kumplem.

Rozpoznaje wzrok kogoś, kto nigdy wcześniej nie miał przyjaciela. Stolyca poświęcił większą część życia na kłamstwa, więc teraz mu się ulewa i wyrzuca z siebie szczere wyznanie:

- Gdyby podobali mi się faceci, to mógłbym się w tobie zakochać. Wiesz to, nie?

Oczywiście, że wie. Ale Benji uśmiecha się szeroko, tym swoim cholernym uśmiechem, który przywodzi na myśl zarówno ptaka, jak i niedźwiedzia, a potem mówi:

- Już jesteś we mnie zakochany. Tylko jeszcze tego nie wiesz.

Stolyca wybucha śmiechem. Benji również. Śpiewają w lesie, nad jeziorem, całą drogę aż do wyspy.

Kozły ofiarne

Frak siedzi w swoim gabinecie w sklepie spożywczym. Odbiera telefon, jeszcze zanim kończy się pierwszy sygnał.

– Rozwiązałem pańskie problemy – informuje krótko Richard Theo.

– Co... już? Jak... – zaczyna Frak, a gdy polityk wyjaśnia, właściciel sklepu jest nie tylko pod wrażeniem, ale również nieco wystraszony.

Nowy sponsor Hed Hockey to takie proste rozwiązanie. Załatwiające wszystko dla Fraka i komplikujące dla lokalnej gazety.

– Dziennikarze nie stanowią już problemu. Nadal jednak trzeba przekonać gminę, by zachowała oba kluby. Potrzebujemy więc jeszcze jednej przysługi od pańskiej przyjaciółki, Miry Andersson – wyjaśnia polityk.

– Od Miry? Co pan chce, żeby zrobiła? – pyta Frak i ściska go w żołądku, bo spodziewa się problemów.

– To, w czym podobno jest najlepsza: przekonała ludzi. Jedyne, co musi pan zrobić, to najpierw przekonać ją samą.

– Do czego?

– Do marszu z pochodniami.

Frak zaczyna zadawać głupie pytania, a polityk nie ma ani czasu, ani cierpliwości, więc tym razem wyjątkowo wyjawia swój plan. Po chwili Frak wybucha entuzjastycznie:

– Mądre! I może zadziałać. Ale jeśli Mira zrobi to w Björnstad, to ktoś jeszcze musi to zrobić w Hed.

– Mam dla pana jeszcze jedno nazwisko i jeden adres, proszę sobie zapisać... – ucina polityk.

– Dobrze, dobrze, który numer, proszę powtórzyć – mamrocze Frak, zapisując długopisem na przedramieniu.

– I jak pan zapewne pamięta, poprosiłem o jeszcze jedną dodatkową rzecz w ramach tej przysługi – przypomina Richard Theo.

– O co chodzi? – pyta zaniepokojony Frak.

– W niedługim czasie gazeta opublikuje wyniki innego dochodzenia, dotyczącego innej korupcji, a żadna dobra historia nie może się obejść bez kozłów ofiarnych.

Frak próbuje przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle.

– Tak?

– Chciałbym móc wybrać te kozły. A pan mi w tym pomoże.

–

Gdy Mira przychodzi do biura, Frak czeka na nią na ławce przed budynkiem. Rozluźnił krawat i rozpiął górne guziki koszuli pod płaszczem.

– Gazeta odpuszcza dochodzenie w sprawie Petera i Björnstad Hockey – mówi bez owijania w bawełnę.

Mira wlepia w niego wzrok. Aż zakręciło jej się w głowie. Czy to może być prawda? Sama już nie wie, czy ma podskakiwać ze szczęścia czy rzucić się na ziemię i robić anioły w śniegu, przez sekundę rozważa nawet, czy nie uścisnąć swojego rozmówcy, ale na szczęście ta myśl szybko jej przechodzi.

– Frak! O Fraczkę, serio? Jesteśmy... jestem... jak ci się to udało załatwić? – pyta podekscytowana.

– Masa przysług. I jeszcze więcej wzajemnych przysług – przyznaje Frak bez cienia dumy.

Mira siada przy nim z taką lekkością, że aż odbija się od ławki.

– Ale jesteś pewny, że Peter jest... bezpieczny? I nic mu się nie stanie?

Frak kiwa głową.

– Całkowicie. Ale teraz ja muszę cię prosić o przysługę.

– Co tylko chcesz!

– Nie mów tak, dopóki nie usłyszysz, o co cię proszę.

Mira spogląda na niego.

– Czy to niezgodne z prawem?

Frak wybucha śmiechem. Świszczącym, serdecznym śmiechem prosto z trzewi, który niesie się echem na całym parkingu.

– Nie, nie, nie, ale cholera wie, czy nie powiesz, że wolałabyś jednak zrobić coś nielegalnego...

Mówi jej, czego potrzebuje. O co poprosił go Richard Theo. Mira wygląda na zdumioną.

– Marsz z pochodniami? To jest ten wasz wspaniały plan na uratowanie obu klubów? Marsz z pochodniami?

Frak kręci wolno głową. Wyciąga dwa palce.

– Dwa. Nie jeden marsz. Dwa.

Potem wręcza jej kartkę.

– Kto to?

– Osoba, którą musisz jeszcze przekonać, żeby wszystko się zgrało.

–

„Jesteś zwodniczo prostą, ale jednocześnie przerażająco skomplikowaną osobą” – powiedział jej raz psycholog. Był to cytat z książki, którą właśnie czytał, a zaraz po nim następował długi wywód dotyczący jakiejś teorii o funkcjach mózgu, która bardzo mu się podobała, ale Mira już tego nie usłyszała. Zatrzymała się na słowach „prosto skomplikowana”. „Skomplikowanie prosta”. Czy istnieją w ogóle jakieś inne typy ludzi?

Po spotkaniu z Frakiem pojechała od razu do domu. Siedzi teraz naprzeciwko Petera, a kuchenny stół pełny jest ich dłoni szukających się nawzajem. Przekazuje wszystko, czego dowiedziała się od Fraka, a Peter oddycha wolniej niż kiedykolwiek. Dopiero teraz czują, jak bardzo są zmęczeni. I wyeksploatowani. Gdy w końcu się rozluźniają, dopada ich ból mięśni, uwolniony stres niesie za sobą łązy. Mają przed sobą jeszcze tyle lat, podczas których będą się nieustannie zmagać z własnymi sumieniami i wciąż na nowo pytać samych siebie: czy ponosi się winę, stojąc cicho i przyglądając się, jak ktoś popełnia przestępstwo? Jeśli nic się z tym nie robi, mimo że jest taka możliwość? Bez oporu, gdy ma się szansę? Czy nadal pozostaje się wtedy niewinnym? I dobrym?

Żadne z nich nic nie mówi, ale oboje myślą o Isaku. O tym, jak po jego śmierci nauczyli się płakać w duchu. Cicho, cichuteńko płakali całymi latami, tak żeby dzieci nie słyszały. Myślą o wszystkim, z czym na co dzień tyle walczą, by nie musieć o tym myśleć wcale, bo inaczej nie mieliby już siły. Samo powietrze sprawia im wtedy ból nie do zniesienia. Jak to chcieli się położyć, przyciskając policzków do ziemi, i szeptać do syna przez trawę. Jak chcieli się rzucić do grobu i podążyć za nim, gdziekolwiek miałyby się teraz udać. Był taki mały, taki maleńki, jak można puścić kogoś tak maleńkiego w samotną podróż w ciemnościach? Przecież był nawet za mały, by zostawić go samego w kuchni, a tu nagle wszyscy się spodziewali, że zostawią go tak po prostu na cmentarzu? Na noc? Kogo by wołał, gdyby coś mu się śniło? Do czyjego łóżka by przyszedł? Na czym obojczyku usnął? Jakżeż nienawidzili siebie samych jako rodziców za to, że nie umarli razem z nim. I że po prostu żyli dalej.

Ile z tego, co od tamtej pory zrobili w życiu, było jedynie próbą stworzenia czegoś ważnego, spektakularnego, czegoś wartego późniejszego dołączenia do Isaka? Tak żeby gdy znów się z nim zobaczą, mogli mu szepnąć do ucha: „Mama i tata musieli uratować cały świat”. Prawie wszystko.

Czy byłby z nich teraz dumny? Czy wiodą godne życie? Czy są wystarczająco dobrymi ludźmi?

Płaczą w duchu. Cicho, cichuteńko. Po chwili Peter wstaje, myje ręce, nastawia piekarnik i piecze croissanty. Mira go całuje, bierze kurtkę i wychodzi do samochodu. Jedzie do Hed.

To prości, skomplikowani ludzie. „Ciągłe coś sobie znajdujecie, a potem walczycie o to aż do śmierci” – powiedziała jej raz współpracowniczka. Mira to właśnie teraz robi.

Kobiety

Hannah odgarnia śnieg z podjazdu i sprzęta w ogrodzie. Johnny jest w pracy, dzieci w szkole, a ich rzeczy leżą wszędzie porozrzucane. Zwykle to ten pomrukujący pedant, jej mąż, chodzi i wszystko zbiera, ale dziś sama się za to wzięła. Nuda to uczucie, za którym tęskni się chyba najbardziej, gdy ma się już rodzinę. Bo z nią już nigdy jej nie ma. Jakiś czas temu Hannah słyszała w szpitalu rozmowę młodszych pielęgniarek o koleżance, która zdradziła męża, i jedyne, co jej wtedy przyszło do głowy, to to, kto, do diabła, ma czas na takie ekscesy. Czy ludzie już w ogóle nie śpią?

Zbiera krążki hokejowe z rabatki kwiatowych, odwiesza do suszenia zapomniane mokre rękawiczki, opiera o ścianę wszystkie kije. Z daleka kątem oka dostrzega samochód, nieco droższy od tych, które zwykle widuje się na tej ulicy, taki, którego właściciel musi już uważać, że jest naprawdę kimś, że sobie go sprawił. Kobieta za kierownicą zatrzymuje auto i z niego wysiada, sprawdza adres zapisany na kartce i spogląda na dom. Ponad niskim płotem napotyka wzrok Hannah i od razu traci pewność siebie.

– Przepraszam, czy może pani to Hannah?

Hannah podchodzi bliżej, nadal trzymając w dłoni jeden ze starych kijów Teda. Wie, kim jest Mira Andersson, ale sama Mira nie ma o tym pojęcia, tak więc Hannah udaje głupią.

– A kto pyta?

Mira uśmiecha się lekko. W Hed nawet kobiety rozmawiają tak, jakby zaraz miały się zacząć bić.

– Mam na imię Mira. Jestem żoną Petera Anderssona. Wydaje mi się, że nasi mężowie wpadli wczoraj na siebie w hali lodowiska i zderzyli się głowami, Peter nawet rozciął sobie łuk brwiowy...

– To był wypadek! – odpowiada Hanna tak ostrym tonem, że Mira aż się wzdryga.

– Tak, tak, wiem! Przepraszam, źle się wyraziłam. Wiem, że to był nieszczęśliwy wypadek. To nie dlatego tu jestem. Chociaż w sumie właśnie dlatego tu JESTEM, ale to... długa historia. Czy mogę... zacząć jeszcze raz?

Uśmiecha się nerwowo, pociera spocone dłonie. Hannah opiera się o kij syna, tak jakby Mira przyszła namawiać ją na zmianę religii.

– Proszę bardzo.

Mira bierze głęboki wdech i próbuje od nowa:

– Okej. Nasi mężowie się wczoraj zderzyli... więc przede wszystkim chciałam zapytać, czy z pani mężem wszystko w porządku.

Hannah nie może powstrzymać uśmiechu.

– Że z głową? Od samego początku nie było tam w porządku. A jak u pani męża?

Mira uśmiecha się ostrożnie.

– U Petera? Gdy jeszcze grał w hokeja, jego trener mawiał, że to twarda głowa chroni kask, a nie na odwrót. Więc raczej z tego wyjdzie.

– To dobrze. Mam trochę pracy, więc proszę wybaczyć... – Hannah odchrząkuje.

Mira kiwa głową ze zrozumieniem i przenosi wzrok na Tedową rampę do strzelania.

– Tak, tak, pewnie, oczywiście. Rozumiem. Ile mają państwo dzieci?

– Czwórkę. Jedno z nich już pani poznała – odpowiada z lekką irytacją Hannah, bo ma wrażenie, że Mira sobie z nią pogrywa.

– Nie rozumiem... – odpowiada Mira.

Hannah przechyla głowę.

– Po co pani tu przyszła? I czego pani ode mnie chce?

– Przepraszam... wydaje mi się, że zaszło nieporozumienie. Które z pani dzieci już... poznałam?

– Córkę. Dziś rano znalazłam pani wizytówkę w kieszeni jej kurtki.

Od razu żałuje ostatniego zdania, nie chce wyjść na matkę, która grzebie córce w kieszeniach, ale Mira nie wygląda, jakby ją oceniała.

– Tess? To pani córka? Nie wiedziałam. Przepraszam. Pytała po prostu o moją pracę. Ja...

– A dzisiaj to pani przychodzi tutaj i wypytuje o mojego męża?

Mira wkłada ręce do kieszeni kurtki i z przygnębieniem kiwa głową.

– Zdaję sobie sprawę, że to dziwny zbieg okoliczności.

Hannah długo jej się przygląda, tak jakby chciała w niej znaleźć coś, czemu nie można ufać. Niewiele znajduje. Mówi więc:

– Moja córka chce studiować prawo. Nie zna nikogo, kto to robił. Zakładam, że właśnie dlatego panią dopytywała.

Mira słyszy ukłucie zazdrości w głosie matki. Od razu go rozpoznaje, sama tak brzmi za każdym razem, gdy Maya wspomina kogoś z nauczycieli ze szkoły muzycznej. Doskonale wie, jak to jest mieć dziecko żyjące w świecie, którego samej się nie rozumie.

– Potrzebowała tylko kilku rad na temat studiów...

– Jestem położną. Też studiowałam, żeby móc wykonywać ten zawód – zauważa Hannah.

Mira zalewa się rumieńcem.

– Wiem. Nie to miałam na myśli. Tess to bardzo inteligentna i dobrze wychowana dziewczyna. To pewnie pani zasługa.

Hannah prychnęła.

– Nie musi mi pani słodzić. Zezłościłam się, gdy znalazłam pani wizytówkę, ale Johnny mówi, że muszę dać dzieciom żyć. I staram się, jak mogę. Pani ma biuro w Hed, prawda? Jeśli Tess wyjedzie na studia prawnicze, będzie mogła wrócić i pracować u pani?

Pytanie pada tak niespodziewanie, że Mira aż traci rezon. Nie do końca tak miała wyglądać ta rozmowa.

– Oczywiście. Oczywiście... to znaczy jeśli będzie wystarczająco dobra.

Hannah odpowiada jak ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o prawie, ale wie wszystko o własnej córce.

– Będzie najlepsza.

Mira się uśmiecha. „Boże, ześlij mi dobrą samoocenę dla jednej matki z Hed”, ale w głębi ducha wie, że sama jest identyczna. Mają z Hannah naprawdę niewiele wspólnego, a jednocześnie tak wiele.

– W takim razie zapraszam ją do nas do biura, jeśli będzie jeszcze miała jakieś pytania.

Hannah kiwa głową, zazdrosna, ale wdzięczna. Zaraz potem pyta, może nie do końca niegościnnie, ale też bez szczególnej zachęty:

– Napije się pani kawy czy od razu przejdzie do rzeczy? Co panią tu sprowadza?

Mira już prawie prosi o kawę, ale nie chce wywoływać niepotrzebnych problemów. Wyjaśnia więc wszystko, najprościej jak potrafi:

– Kilku przyjaciół widziało wczoraj, jak nasi mężowie się ze sobą zderzyli. I trochę się... zaniepokoiłi. Peter jest swoistym symbolem hokeja u nas w mieście, i pani mąż w Hed zapewne też. Moi przyjaciele obawiają się, że ludzie mogą pomyśleć, że się pobili. A to mogłoby doprowadzić do jeszcze większych zamieszek. Jeden z moich przyjaciół wpadł na pomysł, że nasi mężowie w rzeczy samej mogliby... zaprowadzić pokój. Zakładam, że doszły panią plotki o tym, że gmina planuje zamknąć oba kluby.

Hannah wbija kij syna w śnieg, tak jakby planowała go posadzić.

– Słyszałam jedynie o tym, że gmina planuje zamknąć Hed Hockey. I że nie chcą już finansować remontu naszej hali.

– Moi przyjaciele są pewni, że właściwym planem gminy jest zlikwidowanie obu klubów i stworzenie nowego związku sportowego. Chcemy spróbować wpłynąć na polityków, by zmienili zdanie. Tak żebyśmy mogli uratować oba kluby.

Powątpiewające prychnięcie wydobywa się z ust Hannah.

– Dlaczego miałyby pani zależeć na Hed?

Mira wzdycha tak głęboko, że aż się pochyła i opiera dłonie na kolanach. Nawet nie patrzy na Hannah.

– Szczerze? Nie chcę nawet ratować Björnstad! Ale jest jak jest. Próbuję tu tylko, do cholery, wszystkich zadowolić!

Nie chciała wyglądać, jakby była zła, ale jest już zmęczona. Hannah się uśmiecha, bo nigdy nie słyszała, żeby ktoś brzmiał bardziej jak mama.

– Jest pani z południa, prawda? – pyta.

– Mhm – odpowiada Mira, wciąż z dłońmi opartymi o kolana i wzrokiem wbitym w śnieg.

– Słyszać tylko, gdy się pani złości, poza tym brzmi pani jak jedna z nas – mówi Hannah.

To duży komplement. Niewyobrażalnie duży. Mira patrzy na nią spod czapki.

– Tylko ostrożnie. Wkrótce pani córka wróci ze studiów i okaże się, że zmieniła dialekt.

– Jeśli tylko nie przyjedzie takim lamerskim samochodem, to jakoś przeżyjemy – odpowiada Hannah i z dezaprobatą kiwa głową w stronę pojazdu Miry.

– Następnym razem, zanim wpadnę w odwiedziny, rozbiję sobie szybę, żeby się lepiej wpasować – rzuca Mira.

Hannah wybucha gromkim i rozbrajającym śmiechem. Opiera się o płot. Długo się zastanawia, aż w końcu pyta:

– Zna pani może w Björnstad taką dziewczynę o imieniu Ana?

Mira wybucha śmiechem.

– Żartuje pani? To najlepsza przyjaciółka mojej córki!

Oczy Hannah błyszczą z nadmiaru uczuć, które właśnie się przez nią przelewają.

– Podczas burzy pomogła mi w lesie przyjąć poród. Dziękuję jeszcze raz.

– Jaki poród? – dziwi się Mira.

– Nie wspominała... o tym?

– Nie, nie, ale w sumie dokładnie tego bym się po niej spodziewała. – Mira uśmiecha się szeroko.

– Że odbiera w lesie porody czy że się do tego nie przyznaje?

– I to, i to.

Obie kobiety wybuchają śmiechem. Mira się prostuje, a jej plecy od razu krzyczą, ile ma lat. Hannah spuszcza wzrok na dłonie.

– Ana zawsze może przyjść do nas do szpitala, jeśli ma ochotę. Jeśli miałyby pytania dotyczące... mojej pracy.

Mira kiwa głową z uznaniem.

– Obiecuję, że przekażę. Byłaby z niej fantastyczna położna. I przydadzą jej się... silne kobiece wzorce. Jak najwięcej.

W końcu wzrok obu kobiet świadczy o zawieszeniu broni.

– Dobrze. Co chciałaby pani w takim razie, żeby zrobił mój mąż?

– To nie nasi mężowie mają coś zrobić. Tylko my – odpowiada Mira.

Piosenki

Ogień przy kamperze wzbija się w mrok, nieposłuszny jak trzylatek, który odmawia pójścia spać. Telefon Benjiego wibruje. To Ana i Maya. Nudzą się. Pytają, gdzie jest. Odpowiada, że przy kamperze, i natychmiast dostaje odpowiedź: „Zaraz będziemy!”. Benji miałby ochotę spędzić jeszcze ze Stołycą trochę czasu sam na sam, ale jeśli już koniecznie musi mieć towarzystwo, to nie mógł trafić lepiej. Brakowało mu tych dwóch wariatek, które niczym natrzepane wiewiórki wędrują sobie przez życie i sprawiają wrażenie, jakby żyły tylko dla chwili, która właśnie trwa, i Benji ma szczerą nadzieję, że nigdy się nie zmienią. Nigdy nie przestaną się zaśmiewać, oparte o siebie ramionami, ani zasypiać odwrócone plecami. Przyjeżdżają samochodem taty Any, Ana przeklina całą drogę, bo ojciec po pijaku znów zostawił w nim strzelbę. Maya zadzwoniła po Amata i Bobo i nakazała, by również się pojawili, a oni, mimo jutrzejszego meczu, oczywiście nie mieli odwagi odmówić. Tak więc Bobo zatrzymuje swój samochód przy drodze i wraz z Amatem i Gębą przeciskają się między drzewami. Gębie nie może się przecież upiec, jeśli im nie, tak więc najpierw zgarnęli go z Hed. Ostatni taki wieczór, całą paczką. Śmieją się do rozpuku, po fakcie będą za to wdzięczni, bo za każdym razem, gdy wrócą do tej chwili, będą się zaśmiewać, dokładnie tak jak Benji i Ana, gdy już się upalili i zaczęli opowiadać naprawdę katastrofalnie słabe żarty. Późną nocą Benji i Amat odchodzą na bok, żeby się załatwić, i gdy tak stoją oparci każdy o swoje drzewo, Benji mówi do przyjaciela:

- Nie zapominaj nigdy, że jesteś z Niecki.
- Jesteś pijany i naćpany, nie słucham cię – zaśmiewa się Amat, ale Benji łapie go tak mocno za ramię, że Amat prawie kuli się na śniegu.
- Nie zapominaj nigdy, że jesteś z Niecki, słyszysz? Te dupki z miasta nigdy nie pozwoliły ci o tym zapomnieć, więc teraz ty nie daj im o tym zapomnieć. Gdy już będziesz grał w NHL i ktoś cię zapyta, skąd jesteś, powiedz: *I'm from fucking*

Niecka!^[18] Okej? Wiesz, ile to będzie znaczyło dla tych wszystkich dzieciaków, które grają na podwórku na twoim osiedlu?

Amat obiecuje. Obejmują się przy drzewie, przy którym przed chwilą sikali. Amat nigdy nie złamie obietnicy. Rusza w stronę kampera, zostawiając za sobą Benjiego, przyglądającego się jezioru. Chwilę później dołącza do niego Bobo, który również przyszedł się wysikać, i wtedy Benji sika jeszcze raz, tak dla towarzystwa.

– Jakbyś tak odpuścił sobie przerabianie Aleksandra na kolejnego alko, to byłoby, kurde, wspaniale. Potrzebujemy go z Zackell w tym sezonie! – prosi tak ostro, jak tylko potrafi.

– Nic nie obiecuję. Może wóda uratuje go od sportu? – odpowiada Benji.

Bobo się rozchmurza i wybucha takim śmiechem, że jeśli w tym lesie żyło coś dzikiego, to już dawno uciekło.

– Tęskniłem za tobą, przyjacielu. Mam nadzieję, że już zostaniesz. Bo wiesz, któregoś dnia to ty, ja i Amat będziemy jak Peter, Frak i pozostali faceci ze starej drużyny sprzed dwudziestu lat. Będziemy siedzieć w Futrze, grubi i bogaci, rządzić w całym mieście i ciągle gadać o dawnych czasach.

Benji wykasłuje trochę dymu.

– Czas jest względny, Bobo. Jesteśmy tu i teraz, ale to są dawne czasy... TERAZ! To, co właśnie powiedziałeś: już stare.

Bobo drapie się po głowie skonfundowany.

– Ile już wypaliłeś?

– W SAM RAZ! – deklaruje Benji.

– Tym razem już zostań, dobrze? – powtarza Bobo.

Benji kręci głową.

– Nie, nie, nie zostanę. Ale spróbuję nie zapomnieć, by wrócić do domu.

– Kocham cię, kurwa, chłopie – szepcze Bobo i najpiękniejsze w nim jest to, że choćby w najmniejszym stopniu nie próbuje temu nic ująć, mówiąc „ale wiesz, nie w ten sposób”. Potrafi po prostu kochać, bez zastrzeżeń, cudowny olbrzym.

Benji się uśmiecha.

– Też cię kocham. Ale nie w TEN sposób, więc się nie nakręcaj.

Bobo ponownie się chmurzy. Ruszają w stronę kampera. Benji wyciąga jeszcze jedno piwo, Bobo również, to zaleta bycia trenerem, a nie zawodnikiem. Wznoszą toast, patrząc sobie w oczy. Wszystko jest idealne.

–

Ana wymyśla, że musi zejść na jezioro, „żeby sprawdzić, czy lód już trzyma”. Ja zwykle nie może usiedzieć w miejscu. Pozostali oczywiście ruszają za nią, co innego mieliby robić? Benji i Maya zamykają pochód, dzieląc się papierosem. Maya wciska rękę pod jego ramię.

– Wyglądasz na zadowolonego. Cieszy mnie to.

– Ty też – odpowiada Benji.

Maya wciąga głęboko powietrze, z zamkniętymi oczami, ufna, że przyjaciel nie pozwoli jej upaść.

– Myślisz, że w końcu możemy zawrzeć pokój z tym miastem? Po prostu wrócić i żyć tutaj, tak jakby nic nigdy się nie wydarzyło?

– Może – zastanawia się Benji.

– Nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

Benji całuje ją delikatnie we włosy.

– Twoje miejsce jest na wielkiej scenie przed tysiącami ludzi wszędzie na całym świecie.

Maya ściska go mocno za ramię, jakby się obawiała, że to już ostatni raz.

– Możesz robić, co chcesz, ale nigdy więcej nie rób sobie krzywdy. Obiecuj mi.

Jego serce się uspokaja, krew płynie wolniej, jak gdyby w końcu było to możliwe. Pogodzenie się ze wszystkim.

– Gdybym się zakochał w dziewczynach, to już dawno bym się zakochał w tobie – mówi Benji.

– Gdybym się zakochała w osłach, to już dawno bym się zakochała w tobie! – odpowiada Maya, a Benji aż się cały trzęsie ze śmiechu.

– Kiedy wracasz do szkoły? – pyta po chwili.

Maya wzdycha.

– Nie wiem. W sumie przed wyjazdem ze wszystkimi się pokłóciłam.

- Dobrze! – stwierdza Benji.
 - Dobrze?
 - Tak. Piszesz o wiele lepsze piosenki, gdy jesteś zła lub samotna.
 - Najgorszy komplement ever!
 - Dobrze wiesz, że mam rację. Zaśpiewaj coś dla mnie – prosi Benji.
 - Nie mam ze sobą gitary.
 - Nie jestem pewien, czy wiesz, co oznacza „śpiew” – zauważa Benji, a Maya daje mu kuksańca w bok.
 - Przestań już być takim baranem! Wiesz, o co mi chodzi! Nie mogę śpiewać, nie grając. Nie umiem. To jakieś takie... nienaturalne.
 - Cała ty jesteś jakaś nienaturalna.
 - Hm. I mówi to najnormalniejszy człowiek we wszechświecie. Serio.
- Na twarzy Benjiego maluje się ten jego uśmiech. Bez troski idą w stronę plaży. Ana i chłopaki zakładają się o to, kto wejdzie dalej na lód. Przegrywają z nią sromotnie. Maya kładzie głowę na ramieniu Benjiego i obiecuje:
- Zaśpiewam dla ciebie jutro.

Od tej pory będzie już dla niego śpiewać co wieczór.

—

W ciemności kawałek dalej przy plaży na lodzie stoi chłopiec. Dobiega do niego śmiech Any i pozostałych, gdy przesuwają się coraz bardziej w głąb zamrożonego jeziora. Kiedy Gęba się przewraca i zaczyna śmiać, słychać wyraźnie, jaki jest wesoły. Matteo stoi samotnie i się przygląda. Wypełnia go złość. Rozkoszuje się nią. Gdy całą grupą wracają w stronę kampera, Matteo wychodzi na lód tak daleko, że w końcu ma wrażenie, iż stąpa po papierze do pieczenia. Przystaje na nim obiema nogami. Naciska całym ciężarem ciała. W głowie pojawia się spokojna myśl: „Jeśli lód się załamie, zginę. Jeśli wytrzyma, to zginiecie wy”.

Lód wytrzymuje.

Matteo wraca do siebie i prześlizguje się do piwnicy sąsiadów. W domu jest pusto i ciemno, starsza para pewnie gdzieś wyjechała, chłopiec krąży więc po całym budynku i przygląda się ich życiu. Wyobraża sobie, kim sam by był, gdyby miał wokół siebie takich ludzi. Na komodzie w sypialni stoi rząd fotografii ich jedyne go wnuka, blond chłopca, na pozór zawsze zadowolonego i roześmianego. Na najnowszym zdjęciu, z euforycznym spojrzeniem, pozuje w stroju hokejowym, zielona koszulka jest nieco za duża. Najstarsze zdjęcie przedstawia noworodka. Na ramce wygrawerowano datę urodzenia. Matteo długo się jej przygląda. Zapamiętuje. Następnie schodzi do piwnicy i wpisuje ją w zamek szyfrowy. Szafa z bronią się otwiera.

Pochodnie

Pomysł Richarda Theo jest prosty, ale nie zwyczajny. Mira i Hannah ściskają sobie dłoń przez płot, prawniczka i położna, każda ze swojego miasta. Zaraz potem Mira jedzie do domu, a Hannah dzwoni do sąsiadów. Zaczyna od tych, którzy najczęściej plotkują, nie wspomina, czyj to pomysł, w ten sposób wkrótce wszyscy uznają, że wszystko dzieje się spontanicznie.

W Hed rozzwaniają się telefony. Gdy Mira wraca do domu i zaczyna się kontaktować ze swoimi sąsiadami, dzieje się to samo. Proste słowa poruszają wszystko, nie ma w nich jednak nic zwyczajnego:

Gmina chce zlikwidować oba nasze kluby. Nieważne, czy lubisz hokeja czy nie, musisz stawić opór. Kluby to bowiem tylko pierwszy krok, zaraz potem politycy przyjdą po kolejne rzeczy. Zaczną od wyburzenia hali lodowiska w Hed i zastąpienia jej domami, na które nie będzie stać nikogo, kto się tu wychowywał, a niedługo później zaczną budować w lesie i nawet się nie obejrzymy, a oba miasta połączą się w jedno. W końcu nie będzie już Björnstad ani Hed, bo tak jak wcześniej stworzyli jeden wspólny klub, tak teraz stworzą jedno wspólne miasto. Jeśli pozwolimy politykom decydować o tym, jak mamy oglądać hokeja, to za chwilę będą za nas decydować, jak powinniśmy żyć. Nie mają choćby krzty szacunku dla nas ani dla naszej historii, zależy im jedynie na tym, aby cała okolica była ich bankomatem. Nie może im to uść na sucho!

Nikt już nie pamięta, czy pierwsza powiedziała to Hannah czy Mira, czy może jeszcze ktoś inny. Wiadomość przekazywana jest z ust do ust, aż dotrze do wszystkich. Richard Theo czeka w swoim gabinecie. Wszyscy politycy kończą już na dziś pracę, ale Theo doskonale wie, że niedługo przybiegną z powrotem w panice. Wtedy będzie już za późno, przegapią swoją szansę. Wystarczyłoby, żeby zebrała się garstka, ale ludzie nadciągają tabunami. To taki rzadki przypadek, gdy kombinacja wydarzeń ostatniego tygodnia, każdy maleńki fragment reakcji łańcuchowej w jakiś sposób dotyka każdego sąsiada.

Frak zaciąga na samą górę flagi przed halą lodowiska w Björnstad, a karawana samochodów rusza między drzewami. Rząd za rzędem, koledzy z pracy, zawodnicy z drużyny, przyjaciele z dzieciństwa i rodziny. W zaledwie kilka godzin odezwa dotarła do każdego mieszkańca, najstarsi to już emeryci, najmłodszy leżą jeszcze w wózkach. Pojawiają się nawet Teemu i jego chłopaki, pierwszy raz w kurtkach w innym kolorze niż czarny. Wtapiają się w tłum. Kibice hokejowi. Obywatele. Wyborcy. Na skraju lasu samochody przystają, wszyscy z nich wysiadają i ustawiają się w rzędzie. Kilka godzin zajęło im załatwienie pochodni, niektórzy przygotowali swoje własnoręcznie z gałęzi i siatki na kury. Las płonie.

Redaktorka naczelna przygląda się temu wraz z ojcem z dachu budynku gazety. Richard Theo stoi samotnie w oknie swojego gabinetu. Nikt nigdy go nie zapyta, jakim cudem udało mu się złożyć w całość wszystkie kawałki układanki, ale gdyby ktoś jednak spytał, odpowiedź brzmiałaby: „Doświadczenie mówi mi, że większość ludzi ma siłę tylko na jednego wroga naraz”. Tak więc zamiast skłócać ze sobą miasta, dał im wspólnego wroga. Polityków. „Bo wszyscy nienawidzą polityków. Nawet politycy” – powiedziałby, gdyby ktoś spytał. Nikt jednak oczywiście tego nie robi, bo wszystko wygląda przecież tak spontanicznie. Jak pospolite ruszenie. Zwykłych szeregowych obywateli. Wszystkie te słowa, które brzmią teraz niczym zmiana, po prostu wyrastają z ziemi.

Orszak z pochodniami z Björnstad podchodzi pod budynek gminy jak niekończący się płonący wąż. Drugi, równie liczny, z rodzinami i kibicami z Hed, czeka kilkaset metrów dalej. Spotykają się dokładnie przy oknie Richarda Theo, jedynego polityka, który o tej porze jest jeszcze w pracy, i pierwszego, który wychodzi, by się z nimi spotkać.

– Rozumiem państwa frustrację. Proszę mi wierzyć, nawet ją podzielam! – zwraca się do ludzi na samym przedzie pochodu, zanim jeszcze ktokolwiek zdążył przedstawić swoje żądania.

Większość nawet nie zauważa, że właściwie to żadnych nigdy nie przedstawiali, ale to nic nie szkodzi. Richard Theo zrobił to za nich. Teraz wspina się na murek i zaczyna przemowę. W prostych słowach:

– Słyszę was! Obiecuję, że inni politycy też to wkrótce zrobią! Chcieliby jednej drużyny, jednego miasta, a w końcu jednej partii. Chcą, żeby wszyscy mieli takie samo zdanie o wszystkim. Ja jednak wspieram wasze żądania pozostawienia dwóch klubów w dwóch miastach, nie dlatego, że kocham sport, ale dlatego, że kocham

demokrację. Prawem człowieka jest bowiem wybór: nie tylko kogo kocha, ale również kogo nienawidzi! Ludzi można próbować ujarzmić, normować, a nawet więzić, ale nigdy nie uda się wymusić naszej miłości. Mamy prawo nienawidzić ludzi, którzy nie są tacy jak my. Mamy prawo definiować samych siebie. Nasze uczucia i nasze granice nie są na sprzedaż. To nasze miasta i nasz sposób życia. I to są... nasze kluby hokejowe.

Ostatnie zdanie wypowiada wolno, tak jakby dopiero przyszły mu do głowy. Gdy padają słowa „kluby hokejowe”, na tyłach pochodu z Björnstad podnosi się samotny głos, jest zbyt ciemno, by zobaczyć, kto to.

– CHCECIE NAS? TO PRZYJDŹCIE PO NAS!

Po chwili przyśpiewkę skandują już nawet mieszkańcy Hed. To typowe bojowe nawoływanie między miastami, teraz jednak skierowane w całkiem inną stronę. Bo ludzie mają siłę tylko na jednego wroga naraz. Pozostali gminni politycy stanowczo za późno docenili powagę pochodu, niektórzy wcale się nie pojawili, a kilku popełniło taktyczny błąd, próbując wmieszać się w tłum w nadziei, że nie zostaną namierzeni. Zamiast tego zostają kompletnie pominięci. To koniec ich władzy i początek dla Richarda Theo. W kieszeni płaszcza mnie teraz kartkę ze spisaną mową, nie musiał jej nawet wygłosić całej. Zamierzał wspomnieć, że każdy klub jest niczym statek Tezeusza, tego z mitologii greckiej, w którym zbutwiały deski wymieniano jedna po drugiej, aż w końcu nic już nie zostało z oryginału, a wtedy filozofowie zadumali się nad pytaniem: „Czy to nadal ten sam statek?”. Hale lodowisk również remontuje się deska za deską, aż wszystko jest nowe, sponsorzy znikają, trenerzy zostają zwolnieni, a zawodnicy się starzeją, a na ich miejsce przychodzą nowe nazwiska. Wszystko się zmienia. Jedyne, co naprawdę na zawsze pozostaje bez zmian w klubie hokejowym, to kibice. „To wy jesteście statkiem” – w taki właśnie sposób Richard Theo planował zakończyć przemówienie, ale wtedy ktoś z tłumu zaczął krzyczeć: „Chcecie nas?”, i to było o wiele, wiele lepsze. Dużo, dużo lepsze. W końcu po obu stronach pochodu stoją dwa miasta, skandując tę samą przyśpiewkę, o tym, jak bardzo się nienawidzą, wyrażając totalną zgodę na prawo do totalnego rozdziału. Nawet polityk nie mógł sobie wymarzyć takiego rozwiązania.

–

W redakcji lokalnej gazety naczelna i jej ojciec piją piwo. Za kilka dni mają opublikować swoje odkrycia dotyczące korupcji pomiędzy politykami a przedsiębiorcami w gminie. O przywódczyni najsilniejszej partii w okolicy, która, całkiem przypadkiem, jest największym przeciwnikiem politycznym Richarda Theo, i o tym, że zarówno jej mąż, jak i brat pracują w podejrzanej firmie budowlanej. Gazeta opisze szeroko zakrojone machlojki w związku ze staraniami gminy o organizację mistrzostw świata w narciarstwie i o planach budowy hotelu konferencyjnego, które snuto przez ostatnie lata. Ale nie padnie ani słowo o centrum treningowym. Ludzie władzy ją tracą, niektórzy nawet trafią do więzienia, tyle tylko, że nie ci, których od samego początku typowała redaktorka naczelna.

Seria artykułów pojawi się jednak z opóźnieniem. Nie wiedzą o tym ani ona, ani jej ojciec, ani w ogóle nikt. Najpierw będą musieli napisać o innych wydarzeniach. Większych. Straszniejszych.

—

W lesie przy kamperze rozlega się dźwięk przychodzącej wiadomości.

– To twój? – pyta Maya.

– Nie, wyłączyłem, jak przyszłyście z Aną – odpowiada Benji, bo kto fajny oprócz nich mógł mu jeszcze, do cholery, wysyłać esemesy?

Ponowny dźwięk wiadomości, na który Maya reaguje już gwałtowniej:

– No mój w każdym razie też nie! Wszyscy, których znam, są przecież tutaj!

– „Marsz z pochodniami”? – Kawalek dalej słychać zdziwionego Bobo.

Ana pochyła się nad jego telefonem i woła prosto w mrok:

– Słyszeliście coś o jakimś jebanym marszu z pochodniami? Nie no, człowiek wyjdzie z miasta na JEDEN wieczór i właśnie wtedy coś się tam DZIEJE?

Do Amata również przychodzi wiadomość, tym razem od mamy. Zaraz potem do Mai, od Leo: „Mama już całkiem zwariowała i zorganizowała jakąś, kurde, demonstrację. Wszyscy mają ze sobą pochodnie, czaisz? Wracasz?”.

Tak więc Maya i Ana jadą do miasta samochodem taty Any. Maya ma za zadanie trzymać broń ojca. Bobo jedzie za nimi z Benjim, Amatem, Stołyką i Gębą upchniętymi wokół siebie. W Björnstad jest pusto, ale gdy dojeżdżają do Hed,

udaje im się dołączyć do marszu. Początkowo nie mają pojęcia, o co chodzi, ale po chwili, w blasku setek pochodni, zauważają na szybko wykonane transparenty z napisem: „Dwa miasta, dwie drużyny!”. Wszędzie pełno zielonych swetrów, a kawałek dalej stoi czerwony pochód. Maya idzie wśród przyjaciół z dzieciństwa i jeszcze przez chwilę ma wrażenie, jakby mogła uniknąć bycia dorosłą. Jeszcze tylko kilka ostatnich chwil. Przez tę jedną noc czuje się znów jak w domu. Zdaje sobie sprawę, że koledzy ze szkoły muzycznej by tego nie zrozumieli, ale dla ludzi zebranych w tym pochodzie miasto to coś więcej niż tylko miejsce, w którym mieszkają, to miejsce, do którego się należy. Klub hokejowy to nie jakiś tam klub hokejowy, tylko babci i dziadka, mamy i taty, w mieście jest też bar prowadzony niegdyś przez walniętą babę i jej przemilego męża, i to był również ich klub. Jest on własnością sąsiadów i przyjaciół, i dziewczyny w kasie w sklepie spożywczym, i mechanika, u którego zostawia się samochód do naprawy, i nauczyciela ze szkoły, do której chodzą miejscowe dzieciaki. A także prawników, dyrektorów sportowych, strażaków i położnych. Klub hokejowy to ta dziewczyna, z którą bawiło się w lesie i spało przytulonymi plecami przez całe dzieciństwo, ta, która nawet nie lubi hokeja. To ten najpiękniejszy, najdzikszy chłopak, z uśmiechem tak szerokim, że pomieści w sobie wszystko, co najmroczniejsze i najcudowniejsze. Klub hokejowy nie gra dla siebie, ale dla nas. Przyjedźcie tu na mecz przeciwko Björnstad, nie spotkanie na lodzie pięciu rozgrywających i bramkarza, przywita was całe miasto. Dlatego właśnie pochodni jest tak wiele. Wszyscy biorą udział w marszu.

Gdy docierają do budynku gminy, jakiś polityk głośno peroruje o prawie do nienawidzenia się nawzajem, ale pod koniec wieczoru panuje raczej zabawna atmosfera. Ana znajduje gdzieś piwo, Amat musi więc prowadzić samochód jej taty, tak by ona sama mogła się w spokoju napić. Amat próbuje jej wyjaśnić, że nie ma prawa jazdy, ale Ana tylko się odcina: „Może jeszcze potrzebujesz policyjną odznakę, by odważyć się rano zjeść płatki? Przecież to trzy pedały i kierownica! Rozumiem, że jesteś CHŁOPAKIEM, ale przecież takie trudne to znowu nie jest!”. Piwo definitywnie nie wydobywa jej dyplomatycznej natury, ale Amat robi to, co mu każe. Bobo jedzie za nim, z resztą towarzystwa, wypuszczają Gębę przed domem jego matki i wszyscy prawie krzyczą na całą dzielnicę: DO BOJU, BJÖRNSTAD!, ale Mai udaje się im to w ostatnim momencie wyperswadować. Przez okno jej sypialni również wlatywały kamienie, więc doskonale wie, co to robi

z człowiekiem. Gęba wysiada z samochodu i patrzy na nią, nagle w jego oczach pojawia się głęboki smutek, którego Maya nie może zrozumieć, może nawet wstyd.

– Wszystko w porządku? – pyta Maya.

Gęba kiwa spuszczoną głową. Dziewczyna ma na sobie zieloną czapkę taty zaciągniętą na uszy, jej oczy błyszczą, gdy wyciąga do niego dłoń przez opuszczoną szybę.

– Nie wpuść jutro żadnych goli, dobra? Ani jednego, rozumiano?

Gęba kiwa wolno głową. Maya się uśmiecha. Samochody zawracają i odjeżdżają, a Gęba nadal stoi na chodniku, nie powiedziawszy ani słowa z tego, co zamierzał.

–

Gdy wszystkie samochody wracają po marszu do Björnstad, Mira odwraca się do Petera na siedzeniu pasażera i mówi:

– Powinniście dziś z Teemu otworzyć Futro. Dla wszystkich. Ludzie tego potrzebują.

Tak więc robią. Długa kolejka ustawia się aż na zewnątrz. Nawet Mira wchodzi do środka na piwo, jedno, obok Fraka. Peter pije parzoną kawę, a Teemu tańczy na stole z nagim torsem i zielonym szalikiem zawiązanym na czole. Całe rodzeństwo Ovichów staje za barem. Benji wyciera kufle i posyła je dalej do Katii, która pracuje w Stodole w Hed od tylu lat, że nalewała piwo pijaczkom, kiedy jeszcze jej samej ledwie wolno było się upić. Druga siostra, Gaby, przyjmuje zapłatę, podczas gdy jej dzieci siedzą na podłodze i grają w gry na jej telefonie, a trzecia, Adri, chodzi tam i z powrotem i robi to, co umie najlepiej: przypomina facetom, żeby zamknęli gęby, zanim ona sama im je zamknie.

Pod koniec wieczoru Frak siedzi samotnie na końcu baru. Ma jeszcze jedną obietnicę do spełnienia, tę, którą dał Teemu. Mira zostawiła niezbędne dokumenty, sam sprzedał też swój drogi zegarek i włożył pieniądze do koperty. Odczekuje, aż wszyscy pójdą do domu, a Benji pozmywa i wyjdzie na papierosa, i wtedy podchodzi do sióstr Ovich.

– Mam dla was propozycję biznesową – mówi.

—

Złomowisko samochodów w Hed może i leży na uboczu, ale pełno tam oczu i uszu. Zza firanek kilku kamperów dochodzi słabe światło, a od bramki niewielkiego domu stojącego kawałek dalej nadciąga samotny biało-czarny pies, tak stary, że w połowie drogi się gubi i wraca z powrotem, a potem jeszcze raz zawraca. Przed domem zatrzymuje się auto, wysiada z niego Adri i tak długo puka w drzwi, aż otwiera jej Lev.

– Tak?

– To pan jest Lev?

Lev ma na sobie spodnie dresowe oraz zapiętą niezdarnie koszulę flanelową i wygląda, jakby dopiero się obudził, chociaż w jego oczach czai się ciekawość.

– Tak?

– Przyszłam spłacić dług Ramony – mówi Adri i podaje mu kopertę z gotówką od Fraka.

Nigdy by nie pomyślała, że jej partnerem biznesowym okaże się ten wystrojony w garnitur snob albo że do spółki z nim kupi najbardziej sfatygowany bar na południe od koła podbiegunowego, ale życie nigdy nie przestaje jej zaskakiwać. Ramona nie zostawiła testamentu, jednak Frak z pomocą Miry załatwił wszystkie formalności dotyczące spadku, zarówno z wynajmującym, jak i z bankiem. Pozostała jedynie umowa z Levem. Niestety ten nie jest zainteresowany.

– Nie chcę pieniędzy, tak? Chcę mieć bar.

Adri patrzy mu w oczy. Wygląda na szaloną. Levowi bardzo się to podoba, przypomina mu jego bratanice, każda z nich to psychopatka.

– Jeśli chce pan nasz bar, to znaczy, że nie szuka pan baru, tylko problemów – ostrzega Adri.

Dolna szczęka Leva przesuwają się miarowo na boki niczym stary metronom. Rozważa jej groźbę ze szczególnym skupieniem, a po chwili podciąga spodnie nieco wyżej na brzuchu i mówi:

– Alkohol, tak?

Adri patrzy mu czujnie prosto w oczy przez kilka dłuższych chwil. Sama nie ma ze sobą broni, a jednocześnie zdaje sobie sprawę, że Lev ją ma. Mimo to wchodzi

do domu. Lev serwuje alkohol z pozbawionych etykiet butelek. Adri patrzy na niego i pyta:

– Nie ma pan większych szklanek?

Od razu przypada Levowi do gustu. Bardzo, nawet bardzo. Walnięte kobiety.

– Kubki do kawy, tak?

– Pewnie. Lepsze to niż te podstawki na jajko – mruży Adri, wskazując na kieliszki do szotów.

Piją. I to sporo. Rozmawiają towarzysko o tym i o tamtym wokół właściwego tematu, niczym dwóch wojowników sprawdzających wzajemny zasięg. Lev dopytuje o las i miasto, a Adri o złomowisko i pozostawione na nim maszyny. Rozmawiają o złodziejskich szajkach, które pojawiają się tu w równych odstępach czasu, kradnąc wszystko, od paliwa i narzędzi po całe szopy, które potem pod osłoną nocy przewożą na lawetach. Mają wiele wspólnego, oboje nienawidzą złodziei, ale sami wiele razy byli tak nazywani. Nie są czarno-białymi postaciami, wszystko w nich jest szare, zaakceptowali swą naturę. Leva ciekawi, czy Adri poluje, a wtedy Adri robi minę, jakby zapytał co najmniej: „Czy jesz jedzenie?”. Oczywiście, że poluje. Lev wybucha śmiechem i opowiada, że do tej pory polował na całym świecie, poza tym krajem właśnie.

– Tylko przepisy, tak? Wolno polować tylko w tych okresach, tylko na te zwierzęta, tylko taką bronią, przepisy, przepisy, przepisy...

Adri śmieje się gorzko. Rzeczywiście papierologia związana z uzyskaniem pozwolenia na broń każdego może doprowadzić do szaleństwa, a właśnie tego trzeba unikać, bo szalony nigdy pozwolenia nie dostanie.

– Wie pan, jak to jest. Za każdym razem, gdy gangi w dużych miastach strzelają do siebie, jakiś polityk nawołuje do zakazania broni łowieckiej. Tak jakby to z naszą bronią biegały te gangi. Przecież oni mają przeschmuglowane pistolety... – wzdycha Adri.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu uśmiecha się z pobłażaniem, słysząc ostatnie zdanie.

– Myśliwi są w tym kraju najbardziej niebezpiecznymi gangsterami, tak?

Nalewa więcej alkoholu. Adri odchyła się na krześle.

– Jeśli zapytać urzędników, to na to wygląda. Narzekają, że policja nie ma środków, gdy siedemnastolatki bawią się w wojnę we własnych miastach, ale

gdy ludzie tutaj w wolnym czasie wykładają w lesie lizawkę dla łośi, to uzbrojona banda policjantów robi nalot na nasze chaty łowieckie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś z nas nie zapomniał zamknąć na klucz szafy na broń albo, uchronij Boże, nie obraził jakiegoś wilka...

Lev rechocze sucho. Adri milknie, jednym haustem dopija zawartość kubka i uderza nim z trzaskiem o stół, sygnalizując tym samym, że dość tych pogaduszek. Lev to akceptuje i mówi:

– Ramona była moją dłużniczką. To mój dług, tak? Chcę bar.

Adri spogląda w pusty kubek, na granicy dyplomacji i wybuchu gniewu. Raczej tego drugiego. Ale w momencie, gdy już ma coś powiedzieć, przez drzwi tarasu wchodzi czarno-biały pies, przeciska się koło Leva i kładzie mu głowę na kolanie. Mężczyzna czule poklepuje czworonoga po pysku. Adri zna wszystkie plotki o nim, o narkotykach i broni, której podobno pełno na złomowisku, ale Lev głaszcze teraz pupila, jakby to był ostatni kwiat konwalii na świecie.

– Co to za rasa? – pyta Adri.

– To, jak wy to mówicie? „Rasowa kundelka” – zaśmiewa się Lev.

Pies wygląda, jakby miał zasnąć z głową na jego rękach.

– Dobrze się pan z nią obchodzi? – pyta Adri.

– Lepiej niż z ludźmi. Pani też tak ma, tak?

– Tak.

Lev poklepuje psa po głowie.

– Dobry był z niej pies stróżujący. W młodości. Ale teraz? Już prawie nic nie widzi. I nie słyszy. Ale jest taka kochana. Co zrobić? Nigdy nie miałem tak dobrej kumpeli. Rozumie?

Adri kiwa głową. Rozumie. Dopija resztę alkoholu.

– Mam dobrego psa stróżującego. Lepszego pan nie znajdzie. Właśnie się oszczeniła. Przyniosę panu dwa szczeniaki. I mogę je dla pana również wytrenować. Ale przyjmie pan pieniądze i da sobie spokój z barem, i jesteśmy ugadani. Zrozumiano?

Lev uśmiecha się, długo rozważając tę propozycję.

– A Teemu? – pyta.

– Teemu gównu panu robi, jeśli mu powiem, żeby odpuścił – odpowiada Adri.

Lev się śmieje. Piją jeszcze więcej alkoholu. Podają sobie dłonie. A potem bar Futro należy już do rodzeństwa Ovichów, a pierwsze, co robi Adri, to jedzie tam podnieść ceny. Jeśli Ramona siedzi w niebie i to widzi, to zapewne już dźwignęła tyłek i zaczęła tańczyć.

Sprawcy

Tutaj historia o Björnstad i Hed mogłaby się zakończyć, ale jak to bywa z miasteczkami, nigdy się tak nie dzieje. Kończą się jedynie historie o ludziach.

Minęło dwa i pół roku, odkąd Maya została zgwałcona przez Kevina. Dwa lata, odkąd opuściła Björnstad. To od jej historii zaczęło się wszystko, co zmieniło kluby hokejowe, wpłynęło na politykę i wstrząsnęło fundamentem całego miasta i połowy lasu. Maya nie miała motyla wytatuowanego na ramieniu, ale równie dobrze mogła go mieć, bo równie dobrze mogła być Ruth. Były do siebie tak podobne, na tak wiele sposobów.

Jedyne, co je różniło, to wszystko.

Ruth nie żyje, Maya tak. Ruth wyjechała z Björnstad pół roku przed Mayą. Ruth uciekła, Maya się wyprowadziła. Ruth nigdy nie zagra na gitarze przed tysiącami ludzi ani nie zaśnie plecy w plecy ze swoją najlepszą przyjaciółką w kamperze, nie będzie też śmiać się tak głośno, że echo poniesie się o świcie między drzewami jednego z pierwszych dni zimy. O Ruth zapomniano, tak jakby nigdy nie istniała, tak jakby to, co ją spotkało, nie miało żadnego znaczenia.

„Zawsze są dwie strony medalu, jedna widoczna i druga ukryta przed naszymi oczami” – mawiała Ramona. Nie wiedziała, kim jest Ruth, prawie nikt tego nie wiedział. Jej historia niczego nie zapoczątkowała. Ale coś zakończy.

Bo jedną z najgorszych rzeczy, jaką zrobimy w tym lesie, będzie próba wmówienia naszym córkom, że dziewczyny takie jak Ruth to wyjątek. A przecież to nieprawda. To Maya jest wyjątkiem. Nasze córki właściwie nigdy nie wygrywają. Dlatego właśnie te, którym się udaje, te, które uzyskują najmniejsze nawet zadośćuczynienie, albo chociaż odrobinę sprawiedliwości, same siebie nazywają „tymi, które przeżyły”. Bo znają prawdę o innych, takich jak Ruth.

—

Przed wieloma laty w Hed mieszkało dwóch chłopców, którzy zostali swoimi jedynymi przyjaciółmi, bo nigdy nie mieli nikogo innego do porównania. Jeden był dość duży, a drugi całkiem mały, pierwszy nigdy się nie bał, drugi miał stracha przed wszystkim. Małemu dokuczali inni chłopcy, bo jako ostatni na ulicy nauczył się jeździć na rowerze, jako ostatni zaczął czytać i ostatni umiał jeździć na łyżwach. Większy ich przepędzał, ale nie dlatego, że był najsilniejszy czy najniebezpieczniejszy, ale dlatego, że był nieprzewidywalny. Chłopcy na ulicy nazywali małego „mongołem”, ale dużego „psychołem”. Nie miał żadnych zahamowań, już wtedy wszyscy to widzieli.

Chłopcy w ciągu dnia bawili się w lesie, a wieczorami oglądali filmy u małego w domu. Mieszkał sam z mamą i to się dużemu podobało, bo sam miał czterech braci i dwoje rozłuszczonych rodziców, więc u niego w domu nigdy nie było słyhać, co leci w telewizji. Mały marzył o tym, by mieć czwórkę rodzeństwa i dwoje rodziców. Zazdrość udziela się chyba wszystkim dzieciom.

Pierwszego dnia, gdy się spotkali, większy wyciągnął rękę i powiedział: „Jestem Rodri”. Mały złapał go za dłoń, ale nie wiedział, co ma dalej robić, bo nigdy żadne dziecko nie zapytało go o imię. Rodri się uśmiechnął. „Będę na ciebie mówił Gęba, bo zawsze trzymasz gębę na kłódkę! Ale to nie szkodzi! Ja lubię mówić!”

To Rodri nauczył Gębę jeździć na łyżwach. Razem poszli na pierwszy trening hokeja i to Rodri wpadł na pomysł, żeby Gęba został bramkarzem: „Nie będziesz musiał wtedy ani bardzo dobrze jeździć na łyżwach, ani się przejmować, że dostaniesz łomot, bo w hokeju nie można ruszyć bramkarza, wtedy broni cię cała drużyna! To taka sekretna zasada, nawet jeśli uważają, że jesteś mongołem, to na lodzie jesteś tylko bramkarzem!”. Możliwość ukrycia się pod ochraniaczami i kaskiem i uczestnictwo w czymś to był najpiękniejszy prezent, jaki Gęba kiedykolwiek dostał. Grali razem przez wiele lat. Marzenia Rodriego były ogromne, talent za to niestety niewielki, u Gęby natomiast na odwrót.

Spotykali się codziennie po szkole. Podczas wakacji nie rozstawali ani na sekundę. To zawsze Rodri wymyślał, co będą robić. Najczęściej bawili się w wojnę. Marzył o tym, by zostać bohaterem, spędzał godziny na wymyślaniu scenariuszy, w których ratował dzieci z płonących domów albo bezbronne kobiety z rąk krwiożerczych morderców. Często spędzali czas w piwnicy u Gęby,

przeglądając szkolne albumy i rozprawiając o tym, które dziewczyny najchętniej by uratowali i jak okazałyby im potem wdzięczność. Dziewczęta wprawdzie nie wiedziały nawet o ich istnieniu, ale wkrótce miały zrozumieć, ile do tej pory przegapiły, tego Rodri był pewien.

Gdyby radził sobie lepiej w hokeju, to może sport uczyniłby go bohaterem, chłopak jednak czuł, że trener nigdy nie daje mu szansy, żeby się wykazać. Zawsze znalazł się jakiś bogaty, popularny i przystojny chłopak, który grał zamiast niego. niesprawiedliwością nie do wytrzymania, której Rodri nie mógł zaakceptować, było też to, że wszyscy ci chłopcy, z którymi dziewczyny i tak chciały się przespać, na dodatek byli jeszcze najlepsi w hokeja. Na którymś treningu wdał się więc w bójkę z kolegą z drużyny, a gdy wkroczył pomiędzy nich trener, to Rodri uderzył go tak mocno, że złamał mu szczękę. „Ten chłopak nie ma żadnych zahamowań, nigdy nie miał, to zwykły psychol!” – podsumował jeden z trenerów, mieszkający na ten samej ulicy co Rodri, i w ten sposób nastolatka usunięto z klubu. A Gęba został. Siedział tak cicho i zajmował tak mało miejsca, że nikt nawet nie zwrócił uwagi, że nadal był najlepszym kumplem psychola. Poza tym Gęba to przecież bramkarz, a bramkarza się nie tyka.

Rodri nadal przychodził do niego wieczorami. Czekał na niego po treningach przed halą. Gęba stawał się coraz lepszym zawodnikiem, ale prawie nikt tego nie dostrzegał. Rodri robił się coraz niebezpieczniejszy, ale to też wszystkim umknęło. Wyrosli na nastolatków i któregoś dnia Rodri podjechał pod halę na skuterze. Powiedział, że załatwił mu go jeden z braci. Miał też papierosy. Wkrótce nauczył Gębę wszystkiego o narkotykach, mimo że ten sam nigdy nie brał. Rodri zwykł siadać na jego łóżku i jak nakręcony gadać o czymś, co wcześniej widział w internecie: o polityce, spiskach, pornografii, broni i chemii. Marzył o produkcji własnej metamfetaminy. Mawiał, że się na tym wzbogaci, a poza tym to nie potrzebował wiele. Mogli rozpocząć produkcję u Gęby w domu. U Rodriego było to niemożliwe, bo jego czterej bracia od razu wszystko by zeżarli. A potem, jak to zwykle bywa w początkowych klasach szkoły, zmienił temat na dziewczyny. Rodri jeszcze z żadną nie spał, ale był pewien, że wkrótce do tego dojdzie. Słowa, których używał, opisując je, zmieniały się tak wolno i stopniowo, że prawie niezauważalnie. „Ta milusia” stała się „tą ładną”, a potem „tą sexy”, a „ta z ładnymi oczami” ustąpiła miejsca „tej z niezłymi cyckami”, natomiast „ta niemila” stała się „tą małą cipą”. Wkrótce siedział w pokoju Gęby i w szkolnym

albumie wskazywał jedną po drugiej, największe cipy w szkole. Szczegółowo opowiadał o tych, które spały z chłopakami na wszystkich imprezach, na które oni sami nie byli zapraszani. Według Rodriego najgorsze cipy to oczywiście były te hokejowe, bo one spały tylko z zawodnikami. Co już zakrawało na niesprawiedliwość. Przecież oni i tak byli najwięksi, najsilniejsi i najpopularniejsi. I tak mieli już wszystko. Któregoś wieczoru perorował prosto z Gębowego łóżka: „To feminizm zjebał wszystko mężczyznom! Przecież to czysta biologia, wiesz to, nie? Że kobieta powinna siedzieć w domu, rodzić dzieci i zajmować się rodziną, a mężczyźni mają budować społeczeństwa i chronić rodzinę! Kobiety twierdzą, że chcą równouprawnienia, ale tak naprawdę dążą do tyranii, czaisz, nie? Nigdy nie zechcą takich facetów jak my. Bo jesteśmy przegrywami. I w ten sposób wymrzemy. Bo dziewczyny chcą teraz sypiać tylko ze świniami. Tylko tymi najokropniejszymi chłopakami. Mówią, że marzą o wolności, ale mimo wszystko pragną zostać biologicznie zdominowane. To leży w ich naturze. Chcą, żeby je przycisnąć do ściany. Wiesz, ile dziewczyn fantazjuje o złodziejach? Że napadnie je jakiś zamaskowany rabuś? Nie w głowie im bohaterowie. Takie rzeczy to tylko na filmach. W rzeczywistości bohaterowie nigdy nie dostają żadnych dziewczyn!”.

Gęba nie brał tego na poważnie. Albo też nie do końca rozumiał. Próbował jedynie przytakiwać, by zadowolić swego jedyne przyjaciela. Gdy z Rodriego zaczęły wychodzić narkotyki, najpierw się spocił, a następnie zrobiło mu się zimno. Gęba pożyczył mu wtedy jedną ze swoich czerwonych kurtek treningowych i Rodri usnął w niej na podłodze koło łóżka przyjaciela. Następnego dnia też tam nocował, bo jeden z jego braci wplątał się w kłopoty z jakimiś chłopakami z miasta i w domu mogło być nieciekawie. Przed zaśnięciem opowiedział Gębie swoją nową fantazję, w której wspólnie powstrzymują tych chłopaków, zabijając ich, i tym sposobem zostają bohaterami.

Następnego dnia naprawdę zostali bohaterami.

—

Ruth wyjechała z kraju dwa i pół roku temu, zaraz po tym, jak wypłynęła historia z Mayą i Kevinem. Maya poszła na policję i całe miasto zwróciło się przeciwko niej. Z czasem wszystko miało się zmienić, ale wtedy nikt jeszcze o tym nie

wiedział. Ruth nie czekała, by się dowiedzieć, jak będzie dalej. Kilka miesięcy wcześniej przeszła przez to samo, wiedziała doskonale, co ten las robi dziewczynom takim jak ona i Maya.

Zastrzel. Zakop. Milcz.

Przez ostatnie dwa i pół roku życia daleko stąd Ruth najbardziej nienawidziła samej siebie z dwóch powodów: za to, że zostawiła młodszego brata Matteo w tym okropnym domu z tymi okropnymi rodzicami i że zapomniała swojego dziennika. Nie miała odwagi skontaktować się z Matteo, z obawy, że rodzice dowiedzą się, gdzie przebywa. Dziennik prowadziła aż do dnia, w którym uciekła, a gdy wyjechała, było już za późno, by się po niego wracać. Zastanawiała się, czy ktoś go znajdzie, a jeśli tak, to miała szczerą nadzieję, że nie będzie to jej młodszy brat. Marzyła, żeby miał zwykłe dzieciństwo, z jazdą na rowerze i grami komputerowymi. I złem jedynie w komiksach. Odliczała tygodnie i miesiące do osiemnastych urodzin brata, tak żeby mogła po niego wrócić. Nie zdążyła. Sześć lat to spora różnica wieku, za duża. Może wcale nawet by z nią nie pojechał, nawet jeśli by mógł?

Rodzeństwo kochało się od małego, mimo że niewiele ich łączyło. Poza tym Matteo miał coś, czego Ruth brakowało: miłość matki. Zawsze była przy synu, a ponieważ Ruth nie mogła jej znieść, trzymała się od nich z daleka. Matka i wszystkie jej neurozy: fobie zapachowe, które doprowadzały do tego, że całymi dniami wietrzyła dom, aż panowała w nim lodowata temperatura, przekonanie, że sąsiedzi ją szpiegują, strach przed psami z okolicy, które według niej były zwierzęcymi wcieleniami diabła. Trwało to bez końca. Ojciec spędzał całe dnie w innym pokoju, zatopiony w książkach, fizycznie jeszcze z nimi, ale mentalnie coraz dalej i dalej. Tak jakby zmusił się do choroby psychicznej, by w końcu móc stąd uciec. Ruth tego nienawidziła, ale jednocześnie zazdrościła mu tej umiejętności.

W każdy weekend chodzili do swojego kościoła, pełnego innych rodzin, tak odmiennych jak rodzina Ruth. Z taką samą liczbą nakazów i zakazów, w których wszyscy tłumaczyli dzieciom, że Boga należy się bać, ale nikt nie mówił o miłości. Pewnego dnia Ruth wykrzyczała matce: „Mówicie, że mamy być sługami bożymi, ale to tylko inne określenie na niewolników!”. Matka dostała jednego ze swoich

histerycznych napadów, nawet po wielu latach Ruth nie miała pewności, czy były prawdziwe czy mama tylko udawała. Ruth nie żałowała, że na nią nakrzyczyła, było jej jednak przykro, że Matteo zrobił się smutny.

Wyszła z domu, trzaskając drzwiami, ale wieczorem musiała wrócić. Nie miała jeszcze do kogo uciec. Żadnych koleżanek w szkole. Wszystkie dziewczyny zachowywały się jak małe perfekcyjne lalki, z perfekcyjnym ubiorem, perfekcyjnymi rodzicami i perfekcyjnym życiem. Za jej plecami szeptały i plotkowały o tym, że „Ruth należy do religijnej sekty” i że „jej rodzina jest szalona”. Z czasem przywykła tak bardzo, że już nawet jej to nie bolało. Trzymała się z daleka, robiła wszystko, by być niewidoczną, skupiała się jedynie na przetrwaniu w szkole aż do pełnoletności, kiedy to będzie mogła stąd uciec i zacząć całkiem nowe życie. Przynajmniej do dnia, w którym spotkała swoją pierwszą prawdziwą koleżankę i wszystko się zmieniło. Na ironię stało się to w kościele. Dołączyła do niego rodzina, która właśnie sprowadziła się do Hed. Ich córka była w wieku Ruth i miała na imię Beatrice. W mgnieniu oka zostały najlepszymi przyjaciółkami. Tak samo mocno nienawidziły nakazów i zakazów, obie czuły, że żyją na niewłaściwej planecie. Jak tylko Ruth miała okazję, jeździła autobusem do Hed, a gdy w domu nie było rodziców Beatrice, słuchały muzyki, malowały się i oglądały filmy, na które w żadnym wypadku nie dostałyby pozwolenia. To był najlepszy okres w życiu Ruth. Nigdy nie ma się już takich przyjaciół jak w liceum. Nawet jeśli te przyjaźnie trwają do końca życia. To już nigdy nie będzie to samo.

Gdy miały szesnaście lat, Beatrice udało się załatwić dla nich obu zaproszenie na imprezę w Hed. Piły tam i paliły jak pozostałe nastolatki i po raz pierwszy w życiu Ruth poczuła się prawie normalna. Całowała się nawet z jednym chłopakiem, wylądowała z nim na kanapie w ciemnym pokoju, a on próbował się z nią przespać, ale niestety nie był w stanie. Ruth zaśmiała się nerwowo z całej sytuacji, a on okropnie się zdenerwował. Wybiegł z pokoju, a zaraz potem do domu. Następnego dnia Beatrice wyznała Ruth, że rozpowiedział wszystkim w szkole, że z nią spał i że była beznadziejna w łóżku. W ten właśnie sposób Ruth dowiedziała się, że dla chłopców prawda nic nie znaczy. Plotka o tym, że była na imprezie w Hed, dotarła aż do szkoły w Björnstad i przez pewien czas perfekcyjne dziewczyny nie mogły się zdecydować, czy nazywać ją „cipą z Hed” czy „sekciarską kurewką”. Na siedemnaste urodziny Beatrice podarowała jej dobrej jakości słuchawki, żeby w końcu nie musiała ich słyszeć. Wieczorem we dwie piły biber w lesie,

a szczęśliwa Beatrice szeptała jej do ucha: „Cholera, jak ja uwielbiam być pijana! Oj, oj, oj, zaraz się zesikam! Jak wielbłąd!”. Ruth śmiała się do rozpuku, turlając po ziemi. Takiej przyjaciółki jak Beatrice nie miała już potem nigdy, innej zresztą też nie.

Następnego dnia, gdy wracała ze szkoły, dostała niespodziewanego esemesa, napisanego przez przyjaciółkę na szybko, w totalnej panice. Aż zamarła z przerażenia. „Rodzice znaleźli moją skrytkę!!! Już dzwonili do twoich!!!” Ruth rzuciła się pędem do domu, ale było za późno. Matka wywróciła jej pokój do góry nogami i wszystko znalazła. Stringi, papierosy, tabletki antykoncepcyjne, nie miała pojęcia, którą z tych rzeczy matka uzna za najstraszniejszą. Ale u Beatrice sytuacja była jeszcze gorsza, bo jej ojciec znalazł telefon z wiadomościami od chłopaków. W ciągu tygodnia Beatrice wyprowadziła się z Hed i zamieszkała u krewnych w jeszcze mniejszej miejscowości oddalonej o jakiś tysiąc kilometrów. Wtedy Ruth przeszło przez myśl, że dziewczyny w szkole naprawdę miały rację: żyła w jebanej sekcie.

—

To był oczywiście pomysł Rodriga, jak zwykle. „Weźmy skuter i jedźmy do Björnstad! Znajdziemy tam sobie jakieś kurewki! Wiesz, że wszystkie dziewczyny stamtąd lecą na chłopaków z Hed? Bo wszyscy chłopacy z Björnstad mają małe fiuty. To genetyczne!”

Gęba nie chciał jechać, ale też nie chciał odmówić i sprawić przykrości przyjacielowi, który był w tak dobrym humorze. Założyli zatem czerwone kurtki, żeby dziewczyny od razu wiedziały, że są z Hed, i pojechali. Oczywiście nie znaleźli żadnych dziewczyn, na zewnątrz było przecież stanowczo za zimno, zatrzymali się więc na skraju drogi przy lesie. Rodri wypił piwo i opowiadał o rzeczach, o których przeczytał. W tym czasie interesowała go religia, toteż gadał o tym bez ustanku. Długo później Gębie przyszło do głowy, że chyba właśnie to było w nim najgorsze, że był taki inteligentny. I że mimo to mógł robić tak okropne rzeczy.

Zaczęło się robić późno, a do tego coraz ciemniej i zimniej, właśnie mieli zawrócić skuter i ruszyć z powrotem, gdy Gęba rzucił okiem na jezioro i zobaczył na nim dziecko. Nawet nie stało, tylko leżało na lodzie z rękami i nogami

rozpostartymi tak, aby jak najlepiej rozłożyć ciężar ciała. Na brzegu plaży stała grupka starszych dzieciaków i się z niego naśmiewała. Gęba ruszył biegiem, Rodri początkowo nie rozumiał, co się stało, ale po chwili dostrzegł swą szansę na zostanie bohaterem.

– CO SIĘ TU, KURWA, WYPRAWIA? – wrzasnął, a gdy dzieciaki rozbiegły się po plaży, chciał za nimi pobiec i je pozabijać, lecz Gęba go powstrzymał, wskazując na chłopca na łodzi.

To Rodri wpadł na pomysł, by ściągnąć kurtki i swetry i powiązać je w linę. Gęba był z nich dwóch lżejszy, więc to on wyczołgał się na lód jak najbliżej dzieciaka i mu ją rzucił. W ten sposób wciągnęli Matteo na bezpieczną plażę. Był tak wyziębiony i wystraszony, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa, ale jakimś cudem udało im się poprzez szczękające zęby wyciągnąć od niego nazwisko i adres. Gęba jechał na jego rowerze, a Rodri wolno za nim na skuterze, z chłopcem uczepionym pleców.

W domu była tylko siostra Matteo. Wybiegła do nich i objęła brata tak mocno, że aż nie mógł oddychać. A potem z głębi serca podziękowała bohaterom w czerwonych kurtkach.

– Jestem Ruth! – przedstawiła się, wyciągając dłoń.

– Rodri! – Chłopak się uśmiechnął.

Trzy lata później Ruth umiera w kraju oddalonym o tysiące kilometrów stąd. Rodri nigdy tam nawet nie był. Ale to on ją zabił.

Kamienie

Każde miasteczko ma jakieś miejsca o dziwnych nazwach, których pochodzenia już się nie pamięta. W Björnstad są „Niecka” i „Wzgórze”, które z pewnością początkowo były tylko określeniami nawiązującymi do warunków geograficznych, ale po jakimś czasie trafiły na szyldy. Ostatecznie nikt już do końca nie wie, jak to się stało. Ani czyj to był pomysł.

Wczesnym rankiem w sobotę w domu rodziny Anderssonów słychać pukanie do drzwi. Mocne, ale nie agresywne. Zaciśnięta dłoń uderzająca o drewno należy do pokonanej, tej, która prawie wygrała, na tyle jednak jeszcze dumnej, że stoi z wyprostowanymi plecami.

Drzwi otwiera Peter, otacza go zapach świeżo pieczonych croissantów. Redaktorka naczelna trzyma w rękach karton i wygląda na równie zdziwioną zapachem jak Peter jej widokiem.

– Dzień... dobry – wita się były dyrektor sportowy.

Nigdy wcześniej się nie spotkali, ale oczywiście zdaje sobie sprawę, kto przed nim stoi. Las nie jest aż taki wielki.

– Chciałam to panu zostawić – mówi dziennikarka bez ogródek i prawie rzuca mu karton do rąk.

Jest lżejszy, niż mogłoby się wydawać. Wypełniony dokumentami.

– Nie rozumiem...

Redaktorka oddycha wolno, żeby nie zacząć krzyczeć.

– Ma pan dobrych przyjaciół. Potężnych przyjaciół. Nienawidzę korupcji w tych zapomnianych przez Boga miasteczkach, ale teraz chyba sama jestem jej częścią. Richard Theo chciał, bym dostarczyła je panu, tak aby miał pan pewność, że nie będziemy już pisać żadnego artykułu. To wszystko, do czego się dokopaliśmy o panu i o Björnstad Hockey.

Peter spuszcza wzrok na karton. Dziennikarka spodziewa się, że będzie udawał, iż nie wie, o co chodzi, albo zwyczajnie się rozzłości, prawie ma nadzieję, że tak właśnie będzie, to by dobrze zrobiło jej poczuciu własnej wartości. Zamiast tego Peter mruga wilgotnymi oczami i mówi:

– Czyli tu jest cała moja wina.

Redaktorka naczelna mimowolnie przestępuje z nogi na nogę.

– Tak... tak, chyba tak można to ująć. Jeśli to coś zmieni, to cieszę się, że nie musiałam zniszczyć pańskiego życia. Wiem, że pańska córka przeszła przez piekło. Wygląda pan na dobrego ojca, zakładam więc, że panu też nie było łatwo. Słyszałam, że robi pan wiele dobrego dla dzieciaków w tym mieście. Może to... równoważę.

Peter widzi w jej oczach, że to nieprawda. Dziennikarka nadal chciałaby, żeby za to odpowiedział. Trafił za kratki. Dopuszczył się oszustwa, a ona tak naprawdę nigdy nie pogodzi się z tym, że nie poniósł kary. Odwraca się i rusza w stronę samochodu. Peter woła za nią:

– Mogę panią o coś zapytać? Myśli pani, że można odpokutować swoją winę, nie odsiadując kary?

Dziennikarka spogląda przez ramię.

– Co ma pan na myśli?

– Wiem, co było moją winą. Patrzyłem w drugą stronę. Nie zadawałem pytań. Udawałem, że nie czuję, że coś jest nie tak. Nie wtrącałem się. I... siedziałem cicho.

Redaktorka naczelna bierze głęboki wdech. Zimne powietrze ją uspokaja. To wyznanie przypomina nieco zadośćuczynienie, może nawet będzie mogła żyć z taką wygraną.

– Jak to mówicie w klubie? „Wysoki sufit i grube ściany”? – pyta.

– Tak. Tak właśnie mam się odkupić? Sprawić, by ściany były cieńsze? – pyta Peter ze szczerą ciekawością.

Dziennikarka jest całkowicie nieprzygotowana na to, że rozmowa potoczy się w ten sposób. Zastanawia się nad wnioskami i argumentami, aż w końcu mówi:

– Mój ojciec uwielbia historię. Przede wszystkim średniowiecze. Za każdym razem, gdy byłam małą i jechaliśmy na wakacje, zwiedzaliśmy kościoły, tak żeby mógł mi opowiedzieć o każdym kamieniu, który się w nich znajdował. Pamiętam, że mówił, że gdy jakiś bogacz popełnił wiele grzechów, mógł, według księży,

uzyskać boskie wybaczenie, jeśli ufundował katedrę. Oczywiście była to wyłącznie metoda zdobywania funduszy na swoje idiotyczne wystawne katedry, ale niewiele różni się to od sposobu, w jaki obecnie kluby sportowe wykorzystują gminy do budowy hali lodowiska. Jednak gdy byłam mała, to... sama nie wiem... uważałam, że to w pewnym sensie urocze. Że potężni włodarze u kresu swoich dni musieli się ukorzyć i zamienić wszystkie swoje pieniądze w kamień.

Peter spogląda do kartonu. Dokumenty w nim zrobiły się wilgotne.

– Dziękuję.

Redaktorka naczelna zagryza wargę.

– Proszę jeszcze na to zasłużyć – szepcze po chwili.

Odjeżdża zła, ze łzami w oczach i torbą świeżo upieczonych croissantów na siedzeniu pasażera.

Po zniknięciu Beatrice Ruth znów została sama. Tym razem było jeszcze gorzej, bo już poznała smak zakazanego. Rodzice wstydziła się za nią tak bardzo, że nawet już jej nie zmuszali do uczestnictwa w nabożeństwach, może dla zachowania pozorów, że oni również odesłali córkę do krewnych, bo przecież właśnie tak należało postąpić. Gdy angażowali się w dobroczynne prace organizowane przez zgromadzenie, zostawiali też w domu Matteo, z obawy, że mógłby wygadać prawdę o siostrze rodzinom z innych miast, które również się tam pojawiały. Któregoś dnia, pod ich nieobecność, Ruth pożyczyła od brata ukrywany przed rodzicami komputer, by wysłać Beatrice wiadomość. Matteo miał tylko jedenaście lat, ale podpiął się pod wi-fi sąsiadów. Ruth nie wiedziała, jak udało mu się wykombinować ich hasło, ale brat tylko wzruszył ramionami i powiedział, że prawie wszyscy używają imion swoich dzieci albo wnuków, więc odszukał sąsiadów w internecie i sprawdził wszystkich we wszystkich kombinacjach, aż w końcu zadziałało. „Jesteś geniuszem!” – pochwaliła go Ruth, a wtedy chłopiec się zaczerwienił. Potem wsiadł na rower i pojechał na przejażdżkę, tak by siostra mogła w spokoju napisać do Beatrice. Pomyślał, że właśnie tego chciała, zawsze zakładał, że wszystkim przeszkadza, a siostra nawet nie zauważyła, że wyszedł.

Gdy po kilku godzinach zobaczyła, jak wraca do domu, przemarznięty i śmiertelnie przerażony, siedząc za jakimś obcym chłopakiem na skuterze, wybiegła z domu w panice i mocno go objęła. Chłopcy w czerwonych kurtkach opowiedzieli, co się wydarzyło. Wydawali się mili, chociaż nieco dziwni, jeden gadał nieprzerwanie, a drugi wcale się nie odzywał. Pierwszy powiedział, że ma na imię Rodri, a drugiego nazywał Gębą, bo tamten zawsze trzymał gębę na kłódkę.

„Gracie w hokeja?” – zapytała Ruth, wskazując na kurtki. „Tak” – odpowiedział natychmiast Rodri. „Szkoda. Już mam dość hokejowych chłopaków” – uśmiechnęła się Ruth. Rodri natychmiast zwariował na jej punkcie.

W kolejne dni przejeżdżał na skuterze koło jej domu, słyszał, że jej rodzice to jacyś religijni fanatycy, więc nie miał odwagi zapukać do drzwi, ale krążył po jej ulicy tam i z powrotem, w nadziei, że Ruth będzie w domu i go zauważy. Któregoś dnia przestała udawać, że go nie widzi, i się do niego wymknęła. Zawiózł ją do lasu zaraz na skraju Hed, gdzie razem z Gębą znaleźli kiedyś opuszczoną szopę i przerobili ją na swoją bazę. Gęba czytał komiksy, a Rodri zapoznał ją z narkotykami, których wcześniej nie próbowała. Gdy zwymiotowała, obaj się nią zajęli. „Złapałaś bad tripa, spokojnie, zaraz ci przejdzie” – szepnął Rodri, ostrożnie podtrzymując jej włosy, tak żeby ich sobie nie pobrudziła wymiocinami. Potem odwiózł ją do domu, a gdy Ruth zsiadła ze skutera, próbował ją pocałować. Opierała się, a wtedy złapał ją mocno za rękę, że aż krzyknęła. „Zgrywasz niedostępną, podoba mi się to” – rzucił. Nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć, czuła obrzydzenie i nadal kręciło jej się w głowie, poszła więc prosto do domu i od razu położyła się spać.

Zaczął wysyłać jej esemesy, czasem pięćdziesiąt jednego dnia, nie wiedziała, co ma z tym począć. Zapytała o to Beatrice, ale ta odpowiedziała tylko, że przecież chłopaki chyba czasem takie są. Nieco zbyt napalone? Raczej nic w tym dziwnego? Wygląda na miłego i może po prostu nie bardzo wie, jak się zachowywać przy dziewczynach?

Ruth nie była pewna. Kilka dni później zrobiło się tak zimno, że po szkole zamiast wracać do domu piechotą, poszła na przystanek autobusowy. Kilka tych perfekcyjnych dziewczyn, które już tam stały, zaczęło na jej widok chichotać. „Ładne ciuszki, czy to uniform sekty?” – zapytała jedna, a reszta wybuchnęła śmiechem. „Tak się ubierają, bo ich tatuśkowie nie chcą, żeby zainteresowali się nimi chłopcy, bo nadal chcą je pieprzyć sami!” – syknęła druga, a pozostałe zaśmiewały się jeszcze bardziej histerycznie. Ruth najchętniej zapadłaby się pod ziemię i jednocześnie rozwalila im głowy o wiatę przystanku. Nagle usłyszała czyjeś wołanie z ulicy. Gdy podniosła wzrok, zauważyła Rodriego. Zamienił skuter na motocykl crossowy, a przynajmniej Ruth się wydawało, że tak to się nazywa. Powiedział, że dostał go od jednego z braci. „Jedziesz na imprezę do Hed?” – zapytał. Ruth spojrzała na perfekcyjne dziewczyny i na ich przerażone twarze, według nich Rodri wyglądał niebezpiecznie, wskoczyła więc na motor tylko po to, żeby zobaczyć ich głupie miny, a Rodri, nie czekając, odjechał z piskiem opon.

Nie figurował wprawdzie na liście gości, ale zaproszono wszystkich z Hed Hockey, a ponieważ Gęba poszedł z nimi, to nikt nie kwestionował ich obecności. Impreza odbywała się w ogromnym domu jednego bogatego chłopaka i przyszło na nią tyle ludzi, w dodatku pijanych, że nikt nie przejmował się tam nikim. Rodri podawał Ruth drinki, a ona nie zauważyła, że coś jej do nich dosypał. W pewnym momencie dziwnie się poczuła. Rodri szeptał jej do ucha, jaka jest ładna. Że się w niej zakochał. Że chciałby, żeby czuła się dobrze. Nawet nie wiedziała, jak znaleźli się w tym pokoju, i czy to w ogóle było w tym samym domu co impreza, zaczął z niej zdejmować ubranie, a ona krzyczała, że nie chce. Żeby przestał. Ale muzyka huczała tak głośno, a on był taki ciężki. Straciła przytomność, nie miała pojęcia, na jak długo, a gdy się ocknęła, leżała naga. Coś błyskało jej przed oczami. Czuła okropne mdłości, ale gdy próbowała się od niego odczołgać, przydusił ją, sycząc jej do ucha, że zabije ją i jej młodszego brata. Zamarła z przerażenia. Dla niej gwałt trwał już zawsze, dla niego nigdy się nawet nie zaczął. Do końca życia nie zrozumiał, że był gwałcicielem. We własnej ocenie jedynie bohaterem.

Gdy w końcu zrobił wydech i zawył, luzując uścisk, dostrzegła swoją szansę, napięła wszystkie mięśnie i kopnęła go mocno, podrywając się na równe nogi, ale była tak nafaszerowana narkotykami, że ledwie mogła ustać. Pokuśtykała do drzwi, próbując zapiąć bluzkę i wciągnąć majtki. Słyszała go za sobą, chyba się śmiał. Po fakcie nie potrafiła opowiedzieć, jak wyglądał pokój ani jak długo się w nim znajdowała, pamiętała jednak, że gdy z niego wyszła, przy schodach spotkała Gębę. W jego oczach wyraźnie dostrzegła strach i wstyd. Była pewna, że słyszał, jak krzyczała, ale nie miał odwagi, by jej pomóc. Zamarł z przerażenia, dokładnie tak samo jak ona tam w środku, a Rodri mógł zrobić, co tylko mu się podobało.

Zaczęła biec. W głowie jej się kręciło, serce waliło jak oszalałe, a nogi się plątały. Gdy schodziła ze schodów, impreza trwała w najlepsze, ktoś za nią gwizdnął, ktoś inny krzyknął: „Świeżo wyjebana? Sweet!^[19] Masz ochotę na jeszcze jedną rundkę?”. Zrozpaczona przedzierała się przez tłum pijanych nastolatków, dopiero na zewnątrz zauważyła, że jest półnaga, ale zimno ją wręcz uwolniło. Otumaniło. W drodze do domu trzęsła się tak bardzo, że nie miała nawet siły płakać.

W dzienniku Ruth napisała:

W podstawówce chłopaki biją nas, dziewczyny, i na przerwach ciągną za włosy, zwracamy się do kogoś dorosłego i słyszymy: chłopcy tak robią, bo was lubią!! W ten właśnie sposób uczycie ich, że mają do nas prawo. Potem dorastamy, a wtedy oni nas gwałcą, ale przecież to my jesteśmy małymi walniętymi kurewkami, które nie traktują tego jako KOMPLEMENT, co nie? Tłuką nas i zabijają, ale tylko dlatego, że nas lubią. I czego tu nie rozumiemy?

Na następnej stronie:

Nawet się nie pieprzyłam z tym chłopakiem z Hed, ale tak powiedział innym i od razu byłam już kurwą. A kurew nie można zgwałcić.

Na jednej z ostatnich stron zanotowała:

Nie mam szans, skoro nawet moi rodzice mi nie wierzą. Dlaczego miałyby mi w takim razie wierzyć policja? Albo ktoś inny? Uwierzcie mi dopiero, jak Rodri mnie zabije.

Na ostatniej:

Myślicie, że musicie rozmawiać ze swoimi córkami o chłopakach. Nie powinniśmy nosić krótkich spódnic i szwendać się w pojedynkę ani się upijać i ich prowokować, by lubili nas za bardzo. Nie musicie rozmawiać z nami o chłopakach, bo my już to wszystko wiemy, bo to nas gwałcą!!! Zamiast tego porozmawiajcie ze swoimi cholernymi synami!!! Nauczcie ich ze sobą rozmawiać i nauczcie ich powstrzymywać innych. Wychowajcie w końcu jakiegoś cholernego chłopaka, który kiedyś zostanie cholernym dyrektorem w szkole i zrozumie, że jeśli chłopaki ciągną dziewczyny za włosy, to, do cholery, coś jest nie tak z nimi samymi. Wyłumaczcie swoim synom, że jeśli chociaż raz musieli się ZASTANAWIAĆ, czy kiedykolwiek spali z dziewczyną, która tak naprawdę tego nie chciała, to WŁAŚNIE TAK BYŁO!!! Jeśli nie pojmujesz, czy dziewczyna, z którą uprawiasz seks, tego chce czy nie, to znaczy, że nigdy nie spałeś z dziewczyną, która chciała. Przestańcie rozmawiać ze swoimi córkami. My już to wszystko wiemy.

Następnego dnia Ruth tak bardzo wymiotowała, że myślała, że umrze. Prawie miała taką nadzieję. Najchętniej wlałaby sobie do mózgu jakiś żrący kwas, by pozbyć się wszystkich wspomnień z wczorajszego wieczoru. Jego oddechu, jego wszędobylskich rąk, jego w niej. „Kocham cię” – szeptał. „Nie graj niedostępnej! Wiem, że tego chcesz! Wiem, że pieprzysz się z innymi!” – syczał jej do ucha. Potem nadeszły groźby, że zabije ją i Matteo. Wtedy leżała już bez ruchu. Starając się po prostu przeżyć.

Następnego dnia krótko przed lanczem dostała pierwszego esemesa. „Dzięki za wczoraj, ślicznotko!” Nic z tego nie rozumiała. Pogrywał z nią? Groził jej? W następnym esemesie napisał: „Kocham cię. Widzimy się wieczorem? Buziak!!”. I tak przez kilka godzin, aż w końcu Ruth, nadal na kacu, odpisała: „Nie chciałam. Byłam pijana. Nie chciałam, kurwa”. Odpisał: „Przestań!! Oczywiście, że chciałaś! Nie było ci przyjemnie? Mogę potrenować!!! Przyjdź do szopy, to znów to zrobimy!!!”. Na to Ruth: „Zapomnij, ohydny gadzie, pójdę z tym na policję”.

Na kilka minut telefon ucichł. A potem nadeszło zdjęcie. I jeszcze jedno. Miała na nich ubranie, ale dobrze wiedziała, że zaraz potem była już naga. Minutę później zadzwonił Rodri. Początkowo bała się odbierać, ale dzwonił i dzwonił, aż w końcu bała się już nie odbierać. Jego głos był całkowicie pozbawiony uczuć, niczym automatyczne nagranie z komputera w oczekiwaniu na połączenie: „Wrzucę do internetu twoje nagie foty, tak żeby wszyscy mogli się dowiedzieć, że jesteś małą kurewką”. To były właśnie te błyski, gdy ocknęła się w tamtym łóżku. Robił jej zdjęcia, gdy leżała nieprzytomna.

Nie mogła oddychać. Ani myśleć. Wyłączyła telefon i schowała go pod łóżkiem, tak jakby to mogło w czymś pomóc. Nie miała odwagi wychodzić z domu, na wypadek gdyby tam był i na nią czekał. Nie mogła spać. Ani jeść. Leżała tylko na podłodze i przez cały czas płakała.

W nocy zaczął jej wysyłać kolejne esemesy. Żądał spotkania. „Dostaniesz te zdjęcia, nikomu ich nie pokażę, tylko przyjdź!!” Bała się odmówić. Spotkali się w szopie w lesie niedaleko Hed i najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że nagle zrobił się czuły. Niemalże wystraszony. Szeptał, że mu przykro i że ją kocha, i że nie zrozumiał, że nie chciała. W końcu też był pijany. Tłumaczył się, że nie wiedział, co robi. Ale przecież to była również jej wina. Dlaczego poszła z nim na imprezę, skoro go nie chciała? Tylko go wykorzystała? Czy może tak naprawdę

chciała się tam pieprzyć z kimś innym? I czy on jej nie wystarczy? Co jej w nim nie pasuje?

Dotknął jej policzka, zadrżała ze strachu, a on odczytał to jako wyraz miłości. „Możemy mieć tak dobrze. Sprawię, że będzie nam dobrze, obiecuję” – powiedział, całując ją po szyi. „Chcę tylko odzyskać zdjęcia” – szepnęła Ruth. Więc jej to obiecał. Obiecywał i obiecywał. Jeśli tylko prześpi się z nim jeszcze raz, dobrowolnie, to skasuje je wszystkie. Nawet będzie mogła zobaczyć, jak to robi.

Przespała się z nim. Usunął kilka zdjęć. Ale nie wszystkie. W kolejnych dniach wysyłał jej esemesy i wszystko powtarzało się od nowa. Dawał jej narkotyki, a ona je brała, żeby wytrzymać i zapomnieć, i zaraz po biec do domu. Tłumaczył to sobie jako miłość.

W końcu się załamał i się przed nią rozplakał, że to nie jego wina, że tak postępował. To ona go do tego zmuszała. To wszystko jej wina. Złapał ją za nadgarstki, ale się wyrwała i uciekła. Gonił ją przez las, lecz była od niego szybsza. Gdy wróciła do domu, Matteo spał w swoim łóżku i myślała jedynie o tym, że nieważne, czy zdjęcia trafią do internetu, musi odciągnąć stąd Rodriga, chronić brata. Następnego dnia poszła na policję.

Siedziała w niewielkim pomieszczeniu ze szklanką wody, której nawet nie mogła się napić, bo tak bardzo drżały jej ręce. Miała siedemnaście lat. Policjant zaproponował, żeby zadzwoniła po rodziców. Nie chciała. Gadał i gadał, do pomieszczenia wchodziły różne osoby, a potem z niego wychodziły. Ruth miała wrażenie, że unosi się wokół nich w pustce. Ktoś zapytał, czy brała narkotyki. Jeśli powie im prawdę, będą jej mogli pomóc, nic złego się nie stanie. Popełniła błąd i im zaufała. Przyznała się, że brała narkotyki. I że spała z Rodrigem kilka razy. I że prawie przespała się z innym chłopakiem, na innej imprezie, ale że mu nie stanął. Pokazała esemesy od Rodriga, zdjęcia, które jej wysyłał, ale policja zobaczyła jedynie ubraną siedemnastolatkę, pijaną i zadowoloną. Tak jakby chciała. Nic, co napisał, nie wskazywało na to, że jej grozi. Raczej sprawiał wrażenie, jakby miał wyrzuty sumienia? Jakby to było jakieś nieporozumienie?

Ruth oczywiście protestowała, ale sama już nie wiedziała, jak ma to wytłumaczyć. W dodatku nie pamiętała wszystkiego! Nie wiedziała nawet, co dosypał jej do drinka! Policjanci zapytali, dlaczego wcześniej tego nie zgłosiła. Nie miała nic więcej do dodania, poza tym, że się bała. Powiedzieli, że rozumieją, a potem ją przekonali, żeby mimo wszystko zadzwoniła po rodziców. Obiecali, że

z nimi porozmawiają. I że wszystko się ułoży. Ponownie popełniła błąd i im zaufała.

Pamięta wyraz twarzy matki na posterunku policji. Zraniony. Tak jakby Ruth zrobiła jej krzywdę. Pamięta ojca, nieswojego i wystraszonego, tak jakby za wszelką cenę chciał się stamtąd wydostać. „Nie twierdzimy, że kłamiesz, moja droga, ale chyba rozumiesz, jak to brzmi?” – usłyszała i dopiero po kilku minutach dotarło do niej, że to głos matki. Oczywiście, że wiedziała, że matka jej nienawidzi, ale że aż tak bardzo? Nie była w stanie wydusić ani słowa, po policzkach popłynęły jej łzy. „Mamo, on mnie zgwałcił!” Matka westchnęła znacząco w stronę policjantów. „Wydaje mi się, że musimy porozmawiać z córką w domu. I po prostu wrócimy jutro? Trochę z niej mitomanka. I narkomanka, jak sami państwo rozumiecie. Wszystkie szuflady w jej pokoju pełne są stringów i tabletek antykoncepcyjnych, więc to zapewne nie był pierwszy chłopak! Może po prostu po wszystkim okazało się, że nie chce z nią być, i wtedy to wymyśliła? Wicie państwo sami, jakie są dziewczyny w tym wieku!”

Ruth straciła kontrolę nad rzeczywistością. Skończyło się na tym, że zwymiotowała na podłogę. Pamięta, że młody policjant, który, zdaje się, wyczuwał, że coś jednak może być nie tak, położył jej chłodną dłoń na czole, podał wodę i szepnął: „Może jutro, jak już się będziesz lepiej czuła, mogłabyś znów przyjść i spróbować nam to jeszcze raz wyjaśnić? To jednak dość skomplikowane. Ale może jutro lepiej to zrozumiemy, jeśli będziesz nieco bardziej... opanowana?”

Ruth nie pamięta, jak wyszła z komisariatu. Ani jak wróciła do domu. Jedyne, co po fakcie zostało jej w głowie, to słowa ojca, gdy skręcali w swoją ulicę: „Pamiętaj, że ten chłopak może cię oskarżyć o pomówienie. To, co robisz, jest bardzo niebezpieczne. Możesz mu zniszczyć życie”. Gdy wysiedli z samochodu, matka zrobiła coś, co praktycznie nigdy się jej nie zdarzało: wzięła córkę za rękę, ostrożnie i z czułością, niczym prawdziwy rodzic. „Chodź, moja droga, czas coś zjeść. Pomodlimy się do Boga o wskazówki dla ciebie. Bóg nam pomoże, a potem o wszystkim zapomnimy. W weekend możesz pojechać z nami do kościoła. Na pewno się wtedy lepiej poczujesz”.

Ruth nigdy nie wróciła na komisariat. Młody policjant czekał na nią. Może później, z perspektywy czasu, wyrzucał sobie, że nic więcej nie zrobił. A może udało mu się to w sobie zdusić. Wszyscy próbują po prostu wykonywać swoją

pracę. Wszyscy powtarzają tylko, że postępują zgodnie z prawem. Ale prawo nie jest pisane dla takich dziewczyn jak Ruth. Tylko przeciwko nim.

W kolejnych tygodniach Ruth coraz bardziej kurczyła się wśród ludzi. A w domu, w samotności, okaleczała się coraz mocniej. Co dziwne, matka odnosiła się do niej w miłszy sposób, tak jakby miłość miała być łapówką. Jeśli tylko córka nie będzie rozpowiadać tych głupot, to może znów staną się perfekcyjną rodziną? Tak jakby kiedykolwiek taką byli. Ojciec prawie z nią nie rozmawiał, poza zdawkowym: „Cieszymy się, że policja nie skontaktowała się z tym chłopakiem. Bo wtedy pewnie by nas pozwał. I z czego mielibyśmy to opłacić?”.

Gdyby tylko mieli jakichś krewnych, to z pewnością odesłaliby ją tak jak Beatrice, ale już dawno temu, gdy wstąpili do kościoła, zerwali wszelkie kontakty z rodziną. Teraz byli więźniami siebie nawzajem. Nocami Rodri wysyłał nowe esemesy. Zawsze o tym, jak ją kocha. I jak za nią tęskni. Po pewnym czasie zaczął pisać o tym, jak cudownie im było w „chatce”, tak nazywał szopę w lesie, i Ruth zrozumiała, że stworzył sobie równoległy świat, w którym wszystko, co się wydarzyło, było historią miłosną. Któregoś wieczoru zobaczyła go na ulicy przed domem. Innym razem przejechał koło jej szkoły. Zaczęła dostawać wiadomości z anonimowych kont w mediach społecznościowych o tym, że jest „zadufaną w sobie kurewką, która uważa się za lepszą od innych”. Wiedziała oczywiście, że to on, ale jak mogła to udowodnić? Kto miał jej uwierzyć?

Kilka miesięcy później w szkole rozeszła się plotka o tym, co Kevin zrobił Mai. A raczej: co Maya zrobiła Kevinowi. Ruth usłyszała ją w stołówce, wszyscy o tym mówili. Dziewczyna była kilka lat młodsza i Ruth jej nie знаła, ale po imprezie Maya powiadomiła policję i w związku z tym Kevin nie mógł brać udziału w rozstrzygającym meczu. Wszyscy oszaleli, gdy się o tym dowiedzieli.

Ruth nie miała nawet odwagi rozejrzeć się wokół siebie, bo tak się bała, że ktoś się jej przyjrzy i domyśli się, przez co sama przeszła. Oskarżenia policji i rodziców o to, że kłamała, przemieliła już w swej głowie tak wiele razy, że sama zaczęła w nie wierzyć. Może wcale nie było tak poważnie? Może to rzeczywiście jej wina?

W nocy przeczytała komentarze o Mai w internecie. Wszyscy pisali, że jest kurwą. Że kłamie. I że mają nadzieję, że ktoś ją zabije.

Tej wiosny Ruth kończyła osiemnaście lat i nagle dotarło do niej, że musi stąd zniknąć na zawsze. Tak też zrobiła.

Szklanka soku

Jest sobota przed południem. Mira przyjechała do biura, by po prostu posiedzieć i popatrzeć przez okno, podskakuje więc przestraszona, gdy nagle Maya woła ją z recepcji. Wybiega do córki, a dziewczyna wybucha porytowana:

– Nie no, aż takie duże biuro? To się nazywa pycha. Można by tu urządzać koncerty rockowe!

Mira tak bardzo się cieszy, że córka właśnie dziś sprawiła jej taką niespodziankę, przy okazji wyrażając swoją dezaprobatę w sprawie biura, że rzuca się na nią z niezdarnym uściskiem, co tylko jeszcze bardziej rozjusza Mayę, która prawie upuszcza piknikowy koszyk. Ana podrzuciła ją tutaj, żeby mogła zabrać ze sobą termos z kawą i świeżo upieczone croissanty od Petera, i co najważniejsze: malutkie szklaneczki na sok pomarańczowy. Siedzi teraz na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i zajada z mamą, jak wtedy, gdy była mała i Mira zgadzała się, by rozbijały namiot w domu, bo miała wyrzuty sumienia, że za dużo pracuje, a Maya doskonale wiedziała, jak to wykorzystać.

– Muszę wracać do domu po weekendzie. To znaczy... do szkoły... – mówi Maya i od razu jej głupio, że wymknęło jej się „do domu”.

Mama uśmiecha się tylko ze zrozumieniem.

– Będzie ciężko?

Maya kiwa głową z lekkim grymasem na twarzy, takim, który pokazuje się tylko matce.

– Tak. Będzie kupa. Wyjeżdżając, spaliłam za sobą wszystkie mosty. Ale muszę wrócić i to ogarnąć. Pewnie jest tak, jak mówi Benji: piszę gorsze piosenki, gdy cały czas jestem szczęśliwa.

– Przykro mi, że to takie trudne, kochanie – szepcze Mira.

– Ma być trudno, mamo. – Maya się uśmiecha.

– Wiem, wiem... ale... chcę, żebyś cały czas była szczęśliwa!

– Nic się nie martw.

– Jestem twoją mamą, nie możesz mnie powstrzymać!

Maya uśmiecha się w taki sposób, że trudno stwierdzić, czy zaraz rzuci jakimś żartem czy zacznie szlochać.

– Przykro mi, że to, co zrobił mi Kevin, prawie zniszczyło ciebie i tatę.

Teraz szlocha już Mira.

– Kochanie, wcale tak nie by...

Maya kiwa głową, dorosła i silna, tak szczerza i krucha.

– Ależ tak, mammo. Zniszczył. Wasza miłość była niczym oddanie organów. Każde z was, ty, tata i Leo, oddało mi po kawałku swojego serca i płuc, i szkieletu, tak żebym mogła siebie samą naprawić. A teraz sami ledwie macie siłę stać i oddychać. Często o tym myślę i o innych dziewczynach, które was nie mają. Czuję, że LEDWIE to przeżyłam. Jakim cudem innym, bez takiej mamy jak ty, może się to udać?

Powodzenia wszystkim, którzy mają córkę i teraz nie rozpadają się na kawałki.

Powodzenia.

Groby

Gęba wszystko słyszał. I wszystko pamiętał. Na imprezie, na której Ruth krzyczała „nie” i błagała Rodriga, by przestał, stał przed sypialnią, ale nie wszedł do środka. Zanim to wszystko się wydarzyło, Rodri zaprosił go, by do nich dołączył. „No chodź! Podzielimy się nią!” – pokrzykiwał radośnie, ale Gęba pokręcił tylko w przerażeniu głową i Rodri widział, że przyjaciel jest gotowy do ucieczki. Oczy Rodriga natychmiast pociemniały, dłoń błyskawicznie zacisnęła się na szyi Gęby. „Stój tu i pilnuj. Jeśli stąd znikniesz, to cię zabiję” – syknął.

Gęba stał więc tam i nic nie mówił. Ale wszystko słyszał. Gdy Ruth wybiegła z pokoju, odsunął się, a ona przebiegła obok i uciekła. Rodri wyszedł zaraz za nią, stanął przy nim tak blisko, że ich czoła prawie się dotykały, i zagroził: „Jeśli komuś o tym wygadasz, to powiem, że byłeś razem z nami!”.

Po tym zdarzeniu życie Gęby wyglądało jak w półśnie. Zaczął intensywnie trenować i wieczorami padał wycieńczony na łóżko, to był jedyny sposób na to, by nie myśleć, jedyny sposób, by zasnąć. Za każdym razem gdy się budził, nienawidził światła. I wszystkich obrazów, które do niego wracały. Nienawidził swoich słabych strun głosowych i swojego tchórzliwego serca.

Rodri dzwonił do niego cały czas i pisał esemesy, a gdy Gęba nie odpowiadał, wysłał mu wszystkie zdjęcia, które zrobił Ruth. Gęba natychmiast je usunął, ale doskonale wiedział, co to oznacza. W ten sposób Rodri zrobił go współwinnym.

Czasami Gęba szedł w nocy na jezioro w nadziei, że lód się pod nim załamie. Dwa razy próbował się nawet powiesić, ale nie miał odwagi. Jedynie hokej sprawiał, że o wszystkim zapominał, więc całkowicie się na nim skupił i w ten właśnie sposób stał się taki dobry.

Jak wszyscy inni słyszał plotki, gdy na jaw wyszła sprawa z Kevinem Erdahlem i Mayą Andersson. O tym, że Kevina usunięto z drużyny i że całe miasto się zbuntowało. Gęba był kilka lat młodszy, mecz, który jego rocznik miał grać przeciwko Björnstad, został odwołany, bo trenerzy obawiali się zamieszek. Jak

zwykle wszyscy zapomnieli jednak powiadomić o tym Gębę, stał więc samotnie na przystanku, czekając na autobus powrotny do domu. Drugą stroną ulicy szła Ruth. Dla obojga był to szok. Każde z nich na chwilę przestało oddychać.

—

Ruth szła do skrzynki pocztowej w centrum. W internecie znalazła kościół, który przyjmował „młodzież z problemami”. Żeby się tam dostać, trzeba było wysłać list z podaniem. Przechodziła koło hali lodowiska i przy przystanku nagle zamarła, dokładnie tak jak tego wieczoru na imprezie. Od tamtej pory nie widziała Gęby. Nie wiedziała, co miałyby mu w sumie powiedzieć. Nie była nawet pewna, czy uważał, że Rodri zrobił coś złego. Może również Gęba, tak jak i inni, sądził, że zasłużyła na to, by zostać zgwałcona?

Zebrała więc w sobie całą odwagę i krzyknęła przez ulicę: „Możesz powiedzieć Rodriemu, żeby mi dał spokój? Wygrał! Nikt mi nie uwierzył! Może mnie po prostu zostawić w spokoju?”.

Gęba nie odpowiedział. Rozpadł się w środku na drobne kawałki. Ruth wróciła do domu i się w nim zamknęła, a po dwóch dniach zadzwonili z kościoła. Ruth zmyśliła taką historię swoich problemów, że kobieta po drugiej stronie słuchawki zaczęła płakać. Nic nie było w niej prawdą, w tę jednak i tak nikt nie chciał jej wierzyć.

W ten sposób Ruth opuściła miasto, ale oczywiście nigdy nie dotarła do tamtego kościoła. Gdy wszyscy zrozumieli, że uciekła za granicę, musiała się ukrywać do osiemnastych urodzin. Potem była już wolna. Przez wyjazd ukradła rodzicom całą gotówkę. Na szczęście matka uważała banki za siedlisko ateistów i wielbicieli szatana. Nie była to jakaś wielka suma, ale wystarczyło na bilet na pociąg, prom i kilka chwiejnych kroków w nowym dla niej świecie. Przyjechała do obcego kraju, pierwsze noce zapadły jej w pamięć jako nieco chaotyczne, ale udało jej się poznać nowych przyjaciół, okazało się, że wcale nie jest taka dziwna, jak się wydawało w Björnstad. Albo też była dziwna, ale w ten właściwy sposób. Żałowała, że nie może dać znać Matteo i mu o tym opowiedzieć, ale nie miała odwagi, odliczała tylko miesiące, aż również on skończy osiemnaście lat i będzie mogła zabrać go z domu. Spotkała dwie dziewczyny, które pracowały w kawiarni; udostępniły jej swój komputer. Jeden jedyny raz odważyła się wejść na swoją pocztę i zauważyła,

że dostała wiadomość od Beatrice. Przyjaciółka napisała, że pogodziła się z rodziną, ale wystąpiła ze zgromadzenia, poznała chłopaka i się z nim zaręczyła. Mieli kupić niewielki domek. Udało jej się przejść przez ciemność i odnaleźć szczęście i Ruth przeszło przez myśl, że w takim razie to może jednak było tego warte. Jeśli chociaż jednej z nich się udało. Wyłączyła komputer i już nigdy więcej do niego nie zajrzała. Dziewczyny z kawiarni zabrały ją na imprezę. Tańczyły. Dobrze się bawiła, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nieograniczona wymaganiami ani wstydem. Świat się przed nią otworzył. Wszystko było możliwe. Przez dwa i pół roku śmiała się naprawdę często, wymieniła każdą zgniłą część siebie niczym w mitycznym statku, aż w końcu stała się całkiem nową osobą. Jej wszechświat poszerzył się tak bardzo, że dzieciństwo zdawało się wymysłem. Tysiące razy planowała napisać do młodszego brata, ale nigdy tego nie zrobiła. Chodziła na imprezy i tańczyła, a któregoś wieczoru zabrały ją narkotyki. To przyszło tak nagle, w pół ruchu, serce po prostu stanęło pod lampami na środku parkietu. Umarła, zanim jeszcze jej ciało opadło na podłogę. Ratownicy powiedzieli jej przyjaciółom, że zapewne nawet nie zdążyła poczuć bólu.

—

Matteo nigdy nie uzna, że siostra po prostu umarła. Według niego została zamordowana. Gdy znalazł jej dziennik i zrozumiał, dlaczego uciekła z domu, jaki ból tłumiła narkotykami i co się przyczyniło do ich przedawkowania, dotarło do niego, że nie ma odwrotu. W kościele rodziców usłyszał kiedyś kobietę mówiącą: „Zanim wyruszysz na zemstę, wykop dwa groby”. Matka Matteo ją zrugowała, bo tamta myślała, że cytat pochodził z Biblii, a to nieprawda. Może właśnie dlatego chłopak go zapamiętał.

Nie planuje dwóch grobów. Ale trzy. Jeden dla Rodriego, za jego zbrodnię. Drugi dla Gęby, za to, że nie pomógł Ruth, mimo że mógł. I trzeci dla siebie.

—

Historia Mai tak łatwo mogła się skończyć jak ta Ruth. Tylko szczegóły sprawiły, że rozwinęła się w innym kierunku. Walcząca matka, kochający ojciec, brat, który stanął w jej obronie, najlepsza przyjaciółka, która zmierzyła się z całym światem. Stara wiedźma, właścicielka baru, która poszła na spotkanie członków klubu

hokejowego i przemówiła w obronie Mai. I w końcu świadek, który wszystko widział i ostatecznie odważył się powiedzieć o tym głośno.

To wszystko. Tylko to.

Amat opowiedział, co widział, i nawet jeśli Kevin nigdy nie został skazany za swoją zbrodnię ani nie trafił do więzienia, to miasto nie mogło już dłużej przymykać oczu.

Jednakże za każdym razem, gdy opowiadamy tę historię, popełniamy nowe grzechy, udając, że to, co zrobił Amat, było normalne. A przecież tak nie było. Prawie nikt tak nie robi. To właśnie Gęba jest tym normalnym. To on jest tymi wszystkimi pozostałymi.

Któregoś ranka usłyszał pukanie do drzwi. To był Rodri. Zaślepiionym wzrokiem wpatrywał się w Gębę, przystawiając mu nóż do szyi.

– Jeśli komuś o tym opowiesz, zabiję i ciebie, i twoją matkę! Rozumiesz?

Gęba kiwnął głową, nie mając nawet odwagi oddychać. Jego mama siedziała w pokoju obok i rozwiązywała krzyżówki. Rodri łypnął na niego okiem, a potem pobiegł w stronę motocykla stojącego przy drodze i odjechał. Gęba nie słyszał o nim więcej, aż pojawiły się plotki o jego bracie, który wylądował w więzieniu. Rodri, korzystając z okazji, wyniósł się do miasta kilka godzin jazdy stąd, by zamieszkać w jego mieszkaniu.

W ostatnim esemesie wysłanym do Gęby napisał: „Pamiętaj, co się stało z Kevinem. Nikt ci nie uwierzy. Jesteś tak samo winny jak ja. Obaj wylądujemy w więzieniu i już nigdy nie zagrasz w hokeja”.

W kolejnym sezonie, gdy bramkarz Björnstad Hockey zmarł, Gęba dostał szansę zmiany klubu. Pierwszy trening z Zackell jako trenerką był najlepszym momentem życia, którego dotychczas prawie nie doświadczył. Zackell go rozumiała. Widziała to, kim mógł być, zamiast tego, kim był. Gęba nie wiedział nawet, że ma talent, a ona zamieniła go w gwiazdę. Zaczął jako pierwszy przychodzić na halę, wieczorem wychodził ostatni. Trenował bez przerwy. Po raz pierwszy miał prawdziwych przyjaciół. Normalne życie.

Czy sobie na to zasłużył? Czy jeśli nie można mu przebaczyć, to czy chociaż można go... dopuścić? Do życia? Do gry w hokeja? Do śmiechu? Może nawet do

szczęścia, chociaż przez chwilę. Można go oszczędzić? Czy to sprawiedliwe? Właściwe?

Gęba nie wie. Nigdy się tego nie dowie.

—

W nocy z piątku na sobotę, po tym, jak marsz z pochodniami dobiega końca i wszyscy udają się do domów, Matteo odkrywa w szafie na broń u sąsiadów trzy strzelby myśliwskie. Przeszukuje całą piwnicę, ale nie znajduje do nich nabojów. Zamyka więc szafę, wychodzi jak zwykle przez okno i biegnie do domu, gdzie zawija strzelby w stare swetry siostry i chowa je w garderobie. Potem sprawdza w internecie, gdzie może dostać amunicję. Zamiast tego jednak znajduje forum dyskusyjne, na którym ktoś inny zadał dręczące go od dawna pytanie: „Czy da się kogoś zabić ze strzelby myśliwskiej?”. Jedną z najszybszych odpowiedzi pochodzi z anonimowego konta: „Oczywiście, że tak, jeśli jesteś niezwykle dobrym strzelcem. Ale o wiele lepiej załatwić sobie pistolet, byle nieudacznik może nim kogoś zabić. Plus to o wiele efektywniejsze, zwłaszcza jeśli później planujesz sam się zabić. A chcesz?”. Matteo nie wie. Naprawdę nie wie. Chce?

Po długich wahaniach wymyka się z domu z tobołkiem ze swetrów pod pachą i jedzie rowerem przez las aż do Hed, po drodze ze sto razy wpada w poślizg, ale nawet nie przeklina. Nie ma już w sobie bólu. Nie jest nawet zły. Pustka jednocześnie go pożera i jest jego błogosławieństwem.

Gdy dojeżdża do Hed, ze zmęczenia ledwie przebiera nogami, ale gdzieniegdzie na ziemi leżą wypalone pochodnie, a śnieg jest tak rozdeptany, że jazda na rowerze staje się nieco łatwiejsza i obywa się bez kolejnych upadków. Dociera do złomowiska i dostrzega, że w przyczepach kempingowych pali się światło, podchodzi więc do nich bez wahania i puka do drzwi. Otwiera mu brodaty mężczyzna około dwudziestki, ale zanim zdąży się odezwać, zza pleców Matteo dobiega inny głos:

– Już zamknięte, tak?

Matteo się odwraca i patrzy Levowi prosto w oczy. Mężczyzna ma przy sobie czarno-białego psa, który łypie na chłopca i obwąchuje powietrze. Matteo z całej siły stara się, by jego głos brzmiał pewnie:

– Mam trzy strzelby. Chciałbym się dowiedzieć, czy nie wymieniłby mi ich pan na pistolet.

Lev marszczy brwi, zaciska usta i szczękę.

– Pistolet. Tu nie ma pistoletów.

Matteo nie daje za wygraną, z dziecięcym uporem nie przyjmuje do wiadomości, w jakim niebezpieczeństwie może się znajdować.

– Byłem na meczu! Widziałem pana w hali! Widziałem, że miał pan jeden! Chcę po prostu... chcę taki jeden kupić! No co pan! To dobre strzelby!

Lev z zamyśloną miną poprawia złoty łańcuch na szyi.

– A pistolet chcesz do... czego? Kogoś zranić, tak? Zły pomysł, mój drogi. Bardzo zły, moje dziecko, okej? Jedź do domu. Prześpij się. Idź do szkoły. Żyj dobrym życiem.

Matteo szybko traci panowanie nad sobą:

– NIE JESTEM MAŁYM DZIECKIEM! CHCE PAN DOBIĆ INTERESU CZY NIE?

Lev stoi przed nim w spokoju, ale jego wzrok sprawia, że chłopiec się cofa, potyka o rower i upada.

– Żadnych interesów. Już zamknięte, tak? – powtarza Lev i zdecydowanym ruchem wskazuje na furtkę za sobą, a potem przytrzymuje dłoń w powietrzu, tak jakby następnym ostrzeżeniem miał już być wymierzony policzek.

Zdruzgotany Matteo pociąga nosem. Z wysiłkiem podnosi rower ze śniegu i rusza w stronę furtki, ale po drodze traci równowagę na zamarznętej kałuży i upuszcza strzelby. Ostatkiem sił się powstrzymuje, żeby nie zacząć krzyczeć ani płakać. Przychodzi mu do głowy, że jeśli już nie miałyby ustalonego zadania do wykonania, to zabiłby też właściciela złomowiska. Bo nie jest żadnym małym gówniarzem. Wszyscy jeszcze zobaczą. Nagle słyszy inny głos, młodszy niż Leva, kawałek dalej przy płocie.

– Psst. Kolego? Podejdź tu.

Może i Lev odmawia sprzedaży pistoletu czternastolatkowi, ale nie wszyscy jego pracownicy mają takie same skrupuły. Matteo musi wrócić do domu i przynieść ze sobą całą gotówkę rodziców i swój komputer, ale gdy dodaje do tego trzy strzelby, dopina swego i zamienia wszystko na pistolet, z którego, jak wiele wskazuje, będzie się dało kogoś postrzelić, a potem zabić siebie samego.

Wczesnym rankiem w sobotę w dzielnicy willowej znajduje skuter, którego jakiś rozpuszczony nastolatek nie miał siły odstawić do garażu, tak jak prosili rodzice. Matteo włamuje się przez piwniczne okno, zakrada do holu i zdejmuje kluczyki z haczyka. Jedzie wiele kilometrów za Hed, aż do następnej miejscowości, w ciemności skuter ślizga się na lodzie i chłopiec kilkakrotnie prawie w coś wjeżdża. Tak niewiele brakuje, by zginął. O mały włos nie ginie też nikt inny.

Przed świtem wjeżdża na przedmieścia większego miasta. Czeka przed szarym wieżowcem, praktycznie traci czucie w dłoniach i nie ma już siły nacisnąć spustu. Odczekuje, aż Rodri wyjdzie z budynku, zaspany i z rozczochranymi włosami, i usiądzie za kierownicą samochodu. Przez chwilę przychodzi mu na myśl, żeby jeszcze się wstrzymać i za nim pojechać, tylko po to, by się dowiedzieć, dokąd zmierza. Czy ma jakąś pracę? Kolegów? Kogoś, kto go kocha? Tego Matteo nigdy się nie dowie. Żywo pociera palcami o siebie, by odzyskać czucie w dłoniach, a potem wychodzi na parking i odczekuje, aż Rodri zobaczy go przez szybę. Chce być pewien, że morderca jego siostry go rozpozna. Potem oddaje trzy strzały. Czeka, aż Rodri osunie się na fotelu, żeby się upewnić, że nie żyje. Następnie wsiada na skuter i wraca do Björnstad. W połowie drogi pojazd odmawia posłuszeństwa. Idzie więc poboczem drogi, machając w stronę przejeżdżających kierowców z nadzieją na pomoc, ale ci, którzy go widzą, się nie zatrzymują, a ci, którzy może i by się zatrzymali, go nie zauważają. Jeden z mijających go z przeciwnej strony aut to policyjny radiowóz. Jakże inaczej mogłaby się skończyć ta historia, gdyby nie przejechał obok, spiesząc się do zgłoszonej przed chwilą strzelaniny na parkingu w mieście. Może wtedy Rodri byłby jedyną ofiarą.

Po chwili zwalnia ciężarówka, przystaje na poboczu i daje sygnał długimi światłami, a Matteo od razu podbiega. Kierowca jest w takim szoku, że chłopiec ma dopiero czternaście lat i jest tu całkiem sam, że z dobrej woli zbacza z trasy, by zawieźć go do domu. Podrzuca nastolatka aż do samego Björnstad. Nigdy się nie dowie, co tym spowodował.

Matteo wraca do domu chwilę przed rozpoczęciem meczu. Zabiera dziennik siostry i jedzie rowerem przez miasto. Przystaje przy domu Anderssonów. Przez dłuższą chwilę zastanawia się, czy nie wrzucić dziennika do ich skrzynki na listy. Wie, co przydarzyło się Mai, wie, że jej mama jest adwokatką, może to one mogłyby opowiedzieć historię Ruth. W ten sposób uzyskałaby jakieś

zadośćuczynienie. Ale Matteo nie ma aż tyle odwagi, zbyt się boi, że ktoś znajdzie dziennik i zrozumie, co chłopiec planuje, i będzie go chciał powstrzymać.

Poza tym uświadamia sobie ze smutkiem, że nie może tego zrobić własnej matce. Gdy już straci oboje dzieci, będzie musiała zebrać w sobie wszystkie siły, by stworzyć taki świat fantazji, który pozwoli jej to przetrwać. Nie może jej pozbawić tej szansy, zmuszając ją do zrozumienia, co tak naprawdę się wydarzyło.

Znajduje więc niezamknięty na klucz schowek w jednym z ogrodów przy ulicy kawałek dalej, kradnie z niego motykę i jedzie nad jezioro. Wykuwa w lodzie dziurę i wrzuca do niej dziennik. Wraca do domu, zostawia rower i wtapia się w tłum ludzi zmierzających w stronę hali lodowiska. Niewidzialny.

—

Jest sobota przed południem, dzień pierwszego meczu sezonu. Miasta długo na to czekały i w lesie daje się wyczuć dziwnie podniosły nastrój. W powietrzu nie wisi przemoc, wszyscy opuścili ramiona, po marszu znów zapanował pokój. Może i kruchy, ale mimo wszystko jakaś przerwa. Dziś w pewnym sensie stoimy po tej samej stronie. Dziś liczy się tylko hokej.

Amat wychodzi z domu z torbą przewieszoną przez ramię. Mama całuje go w głowę. Chłopak przemierza parking i rusza spacerem z Niecki do hali lodowiska w centrum miasta, tak jak tysiące razy wcześniej. Ile to już kroków? Ile kilometrów? Będzie w stanie zmierzyć odległość do marzenia, gdy już do niego dotrze?

Słyszy, że ktoś woła go po imieniu. Jest tak zaskoczony, że początkowo nie potrafi przyporządkować głosu do osoby. Odwraca się na pięcie, a ciężar niesionej torby sprawia, że prawie traci równowagę.

– Dzień dobry, co pan tu robi? – woła do Petera.

Były dyrektor sportowy stoi z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w horyzont.

– Czekam na ciebie. Masz czas na jedną rzecz?

– Teraz? Zaraz mam odprawę przed meczem...

– Wiem. Przepraszam. Ale mogę cię podrzucić! To zajmie tylko chwilę! Zdamy!

Czysty, niczym nieskażony entuzjazm malujący się na jego twarzy wzbudza ciekawość Amata. Peter prowadzi go za domy czynszowe, dalej w stronę lasu wzdłuż starej żwirowni i zatrzymuje się dopiero przy otwartej polanie, na której według plotek kiedyś miał zostać wybudowany sklep spożywczy. A potem zmieniono plany na przychodnię. Przez chwilę niektórym marzyło się tu nawet centrum biznesowe. Oczywiście nic z tego nie wyszło, to nie ta część Björnstad, w której myśli się o inwestycjach. Samo miasto może i robi się większe, ale w Niece nie rośnie nic.

– Tam! – mówi Peter, wskazując na kompletną pustkę.

– Nie... rozumiem – przyznaje Amat, który dostrzega tylko śnieg i żwir.

Peter widzi coś całkiem innego. Pokutę.

– Dużo rozmyślałem o tym, jak trudno było ci dostać się aż do pierwszego składu. Wydawało się to prawie niemożliwe. Nieprawdopodobne, że dałeś sobie radę, ale jesteś też... wyjątkowy. Twoja determinacja, twoje serce, nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego. Nie chciałbym po prostu, aby każdy dzieciak, który przyjdzie po tobie, musiał być tak dobry jak ty, żeby w ogóle mieć jakąś szansę. Chciałbym, by następny dzieciak z Niecki miał trochę... łatwiej. Chociaż odrobinę.

– A co to ma wspólnego z tym żwirem? – pyta Amat, wzruszony, ale skonfundowany.

Peter się uśmiecha.

– Chcę tu wybudować halę lodowiska. Nie taką dużą, jedynie nowe miejsce do treningów, gdzie będzie można... spędzać czas. Gdzie będziemy mieć szkołę łyżwiarską, drużynę dziecięcą, miejsce, gdzie można potrenować więcej, jeśli ma się ochotę. Gmina chce wybudować supernowoczesne centrum treningowe przy hali lodowiska, ale myślę, że tutaj również może coś powstać. Oczywiście dużo mniejsze, takie klasyczne... lodowisko. Ale dopilnuję, żeby tym razem wszystkie dokumenty były w porządku. Poproszę o pomoc wszystkich swoich przyjaciół. Pewnie ty też masz ich wielu. W tych domach mieszka niejeden rzemieślnik, prawda? Ja także znam kilku. Myślę, że się zgodzą, jeśli ich poprosimy. Może nam się to udać, jeśli zbierzemy się ty, ja i jeszcze kilka osób. No nie wiem, może któregoś dnia Niecka będzie miała własną drużynę? Może warto marzyć? Brzmi głupio? Naiwnie?

Klatka piersiowa Amata unosi się i opada pewnie ze dwadzieścia razy, zanim chłopak w końcu wyciąga z torby telefon i kieruje go w stronę żwiru.

– Nie. Wcale nie głupio.

– Co robisz? – pyta Peter.

– Zdjęcie. Żebym za kilka lat mógł pokazać wszystkim rozpuszczonym dzieciakom ze swojego podwórka, skąd pochodzę, gdy już będą miały swoją halę lodowiska i zaczną uważać, że wszystko im się od życia należy...

Nagle Amat wygląda na tak wysokiego, jakby przez noc przerósł Petera o głowę. Peter wybucha śmiechem. To dopiero marzenia. Nie wie, czy ma odwagę wierzyć w to, że uda mu się to wszystko doprowadzić do końca. Ale Björnstad to wyjątkowe miejsce na ziemi. Cholerne miasto. Tak wiele miejsc i rzeczy nosi tu dziwne nazwy, których pochodzenia nikt już nie pamięta.

Za kilka lat prawie nikt nie będzie pamiętał, dlaczego halę lodowiska za czynszówkami i żwirownią w najbiedniejszej dzielnicy miasta zawsze nazywano „Katedrą”. Ale mężczyzna, który ją sobie wymarzył, wie. Wie też chłopiec, który pewnego dnia strzeli swojego pierwszego gola w NHL. Po meczu udzieli wywiadu w telewizji:

Do you want to say something to everyone watching in your hometown? How do you pronounce it? Bjoernstat?^[20] – zapyta dziennikarz po drugiej stronie Atlantyku.

Amat spojrzy prosto w kamery i powie: *No. I'm from Niecka*^[21].

Najlepsze przyjaciółki

Piknik Miry i Mai jest cudowny, wypełniony głupimi żartami i beztroskim śmiechem. Nagle na dole przy wejściu słychać jakieś brzęczenie, a potem dźwięk rozbijanego szkła i głośne przekleństwa. Matka z córką zrywają się na równe nogi i zbiegają na dół, w powiększającej się czerwonej kałuży stoi współpracowniczka Miry, która właśnie potknęła się na progu.

– To moje NAJLEPSZE wino! Po co nam takie wysokie progi?

Mira nie jest pewna, czy bardziej się niepokoi czy dziwi:

– Co ty tutaj robisz? Przecież masz dzisiaj wolne.

Współniczka demonstracyjnie unosi reklamówkę z trzema butelkami wina, które jeszcze się nie rozbiły.

– Nie mam zamiaru pracować. Czasem tu przychodzę, gdy chcę mieć czas dla siebie.

– A czy pani nie mieszka przypadkiem... sama? – pyta ostrożnie Maya.

– Mimo to chyba mogę mieć czas dla siebie, nie? – oburza się współpracowniczka.

Maya wybucha śmiechem.

– Mogę też trochę dostać?

Może. Mira nie, bo przecież, jak to zauważa współpracowniczka, ktoś musi prowadzić. Gdy pierwsza butelka jest już pusta, Mira pyta niepewnie:

– Mogę wam coś powiedzieć? Trochę... rozmyślałam.

Maya i współpracowniczka podnoszą na nią wzrok po butelce wina i mówią:

– Hm?

Mira odpowiada wolno, tak jakby słowa próbowały jej się zerwać ze smyczy:

– Rozmawiałam z jedną młodą dziewczyną. Nieco młodszą od ciebie, Mayu. Ma na imię Tess. Chce studiować prawo i jej mama zapytała, czy potem będzie mogła wrócić i dla nas pracować. Odpowiedziałam, że oczywiście, ale to kłamstwo. Bo

Tess chciałyby pomagać maltretowanym i zgwałconym kobietom. Chce bronić tych, którym nikt inny nie chce pomagać. Chce walczyć o... o...

Maya wyciąga dłoń, kładzie mamie na ramieniu i kończy:

– O kolejną taką dziewczynę jak ja.

Mira kiwa głową, przytulając policzkiem dłoń córki.

– Ale my się tym nie zajmujemy. Już nie. Teraz pracujemy dla pieniędzy. Dla dużych firm i przedsiębiorców. Nie... chcę już tego dłużej robić.

– O czym ty gadasz? – wybucha z przerażeniem współniczka.

Mira patrzy jej w oczy.

– Kocham cię. Gdyby nie ty, to nie wiem, skąd wzięłabym siłę, żeby codziennie przychodzić do pracy. Ale muszę zacząć robić coś... innego. Zostawię ci wszystko, przepiszę swoją część, Frak przekazał nam właśnie obsługę prawną budowy Björnstad Business Park... nie będziesz miała żadnych problemów finansowych. Obiecuję.

– A co TY będziesz wtedy robić? – pyta zdruzgotana współniczka.

Z Miry wylewa się wszystko naraz:

– Otworzę mniejsze biuro adwokackie. Gdzie takie Tess będą mogły przyjść po studiach i zacząć walczyć w imieniu następnej Mai. Tak żeby wszyscy przestali się zachowywać, jakby Maya była... tą ostatnią. Tak żeby wszyscy faceci przestali się zachowywać, jakby wszystko już załatwili, wrzucili do jednego worka nową deklarację wartości, kilka zgłoszeń dotyczących nieodpowiednich zachowań i parę PR-owych ulotek przeplatanych pochwałami w lokalnej gazecie, i to ma wystarczyć? Chciałabym, żeby takie osoby jak Tess chciały razem z nami pracować i walczyć. I żeby faceci zrozumieli, że ta praca jest na zawsze. Nie ma końca. Chcę, żeby ktoś tu stał i krzyczał: „Jaka sprawiedliwość? Czyja niby?”, gdy broniąc swoich synów, winią „sprawiedliwość, która musi mieć swój bieg”. Chcę, żeby ktoś się wydzierał: „Jak długo? JAK długo jeszcze będzie to trwać?”, gdy zaczną z tekstami, że „musimy też chronić naszych chłopców, to nie może też pójść za daleko w drugą stronę”. Nie chcę, żeby dostali... kurde... ktoś musi im przez cały czas przypominać, że to nie dziewczyny są problemem! Że to nie był ostatni raz! Kevin nie był ostatni!

Maya i współniczka kiwają głowami i Mira wcale już nie rozumie, dlaczego nie wyglądają na zaskoczone.

– Dobra, wchodzę w to – mówi krótko współpracowniczka.

Mira z rezygnacją kręci głową.

– Nie, nie, nie rozumiesz. Na tym nie da się zarobić. Zostawiam ci całą firmę, ze zleceniem dla Björnstad Business Park będziesz...

Współpracowniczka przygląda się jej z rozbawieniem.

– I co mam tam niby robić? Zostać i się bogacić? Mnie nawet nie smakują drogie wina. Idę z tobą. Wszędzie.

Maya siedzi obok i patrzy, jak te dwie ciotki klotki padają sobie w ramiona, i ma nadzieję, że gdy już będzie stara, taka naprawdę, naprawdę stara, to będzie dokładnie tak samo walnięta jak one. Mira, nie zważając na konsekwencje, wypija kieliszek wina, tak więc w końcu Maya dzwoni po Anę, żeby mogła je wszystkie porozwozić do domów. Ana przyjeżdża natychmiast, o nic nie pytając. Żadna z nich nie lubi hokeja, ale decydują, że jednak pojedą na mecz.

Mira zamyka biuro. Za parę miesięcy odda klucze do budynku, przekaże firmę kilku pracownikom i sprzeda swój drogi samochód. Pierwszym biurem jej nowej kancelarii adwokackiej będzie jej własna kuchnia. Któregoś dnia będą o nich wiedziały kobiety w całym kraju. To również będzie swego rodzaju katedra.

–

W Hed Johnny sprząta minibusa. Sam już nie jest pewien, kto brudzi w nim najwięcej, dzieci czy Hannah. Każdy poranek z nimi to jakby obudzić się na wysypisku śmieci po trąbie powietrznej. Hannah przychodzi do niego i szczypie go w pośladek, gdy stoi pochylony i odkurza.

– Bądź dziś ostrożny – szepcze mu prosto do ucha. – Nie pakuj się w żadne bójki, żebyś mi się nie uszkodził, bo jak już wrócisz do domu i dzieci usną, to będziemy uprawiać seks, a jedyną osobą, która może cię uszkodzić, jest twoja żona. Słyszysz?

Johnny wybucha śmiechem. Hannah to cholernie piękna kobieta. Piękna cholerna kobieta. Zalotnie kręcąc biodrami, wraca do domu, by przygotować dzieci do wyjścia, wspólnie z ojcem jadą na mecz, ona sama ma dyżur w szpitalu. Gdy Tess wychodzi, mama ją zatrzymuje i podaje jej wizytówkę Miry Andersson.

– Chyba... ją zgubiłaś. Wypadła ci z kurtki.

Tess się uśmiecha, odpuszcza mamie to kłamstwo.

– Mhm, „wypadła”.

Hannah oddycha z zaciśniętymi ustami.

– To... dla mnie niezwykle trudne, że imponują ci inne kobiety poza mną. To... cholernie trudne. Ale Mira powiedziała, że możesz zajrzeć do niej do biura. Któregoś dnia może nawet będziesz tam pracować. Ja...

Więcej nie jest już w stanie z siebie wydusić, bo niezmiernie trudno mówić, gdy ktoś ściska tak mocno, że ledwie można oddychać.

– Mamo, głuptasie, nigdy nikt nie będzie mi imponował tak jak ty! – fuka Tess.

–

Adri jedzie przez las i zatrzymuje się na pagórku powyżej kampera. W samochodzie jest z nią Alicia, która wybiega teraz między drzewa i rzuca się Benjiemu w ramiona.

– Cześć, kumpelko – szepcze Benji.

– Cześć, kumplu. – Dziewczynka chichocze.

Razem jadą na mecz. Podwożą też Stolycę, który już po chwili nieco tego żałuje, bo jeszcze nie zdążyli wyjechać z lasu, a Alicia zadała mu już z pół miliona pytań. „Dobry jesteś? Jak dobry? Jak mocno strzelasz? Jesteś szybszy niż kot? Taki zwykły, nie jakiś tam kot superbohater, zwykły taki dachowiec! Jak szybki jesteś? Benji, jak szybki jest kot? Możemy kiedyś razem potrenować? Może dziś? Możesz dzisiaj? Ile masz lat? Pięćdziesiąt? Benji, a Hed jest dobre? Wygramy z nimi? Ile? Nie no, jak to nie wiesz, tak MNIEJ WIĘCEJ!!!” I tak bez końca. Stolycę zaczyna boleć głowa. Benji śmieje się i mówi do Alicii:

– Chcesz iść do szatni i przywitać się z Amatem i pozostałymi?

Alicia wlepia w niego wzrok i otwiera usta, tak jakby właśnie ktoś ją zapytał, czy chce się przywitać ze Spider-Manem albo Wonder Woman. Gdy wchodzi do hali lodowiska, Benji trzyma ją za rękę. Początkowo Alicia jest pewna siebie, ale trybuny są już wypełnione kibicami i szum dudni jej w uszach. Zaraz przed drzwiami szatni dziewczynka zastyga z przejęcia i szepcze:

– Nie, lepiej jednak nie, nie chcę, nie trzeba!

Benji mocniej zaciska jej dłoń.

– Spójrz na sufit. Jesteśmy tylko ty i ja. Sami. Nikt nam nic nie zrobi – mówi powoli.

Stoją tak, aż w końcu Alicia przestaje słyszeć publiczność. Wszystko milknie. Nie ma się czego bać. Gdy wchodzi do szatni, nadal trzyma Benjiego za rękę. Mocno, tak jakby to był ostatni raz.

–

Zackell siedzi w gabinecie, dopinając jeszcze ostatnie rzeczy przed meczem. Słyszy lekkie pukanie, w drzwiach stoi Stolyca.

– Tak? – Trenerka podnosi wzrok.

Stolyca nie jest pewien, jak wyrazić to, co chce powiedzieć.

– Chciałem tylko powiedzieć... dziękuję. Dziękuję, że pani we mnie uwierzyła i dała mi szansę, nigdy... nie myślałem, że będzie mi się podobać w takim miejscu. Ale czuję się tu bardziej w domu niż... w domu.

– Tak? – powtarza Zackell ze swym niezwykle perfekcyjnym wyczuciem dla tego typu wyznań.

Stolyca odchrząkuje.

– Mam grać dziś w jakiś szczególny sposób? Chodzi mi o taktykę.

Zackell zastanawia się przez chwilę, a potem mówi:

– Zaskocz mnie.

Nigdy mu tego nie powie, bo to nie jej styl, ale niewielu zawodników w karierze sprawi jej tyle radości co on. Zaskoczy ją tyle razy. Wyróżni się na tle reszty.

Stolyca idzie do szatni. Na razie wszystko jest jeszcze dla niego nowe, ale zostanie w tym mieście na wiele lat. Kupi niewielki dom niedaleko miejsca, w którym Benji postawił kampera, i będzie przesiadywał w łódce, nie łowiąc przy tym ani jednej ryby. Nauczy się porządnie kłamać, ale już nigdy więcej o sobie. Po pewnym czasie przeprowadzi się tu też jego mama. To znaczy przeprowadzi, po prostu przyjedzie w odwiedziny i nigdy już nie wróci do domu. Okaże się, że również jest człowiekiem lasu. Czasem dowiadujemy się o tym dopiero wtedy, gdy otacza nas las, w którym tym człowiekiem można być.

–

Bobo stoi na korytarzu przed szatnią. Tess całuje go w przelocie, zanim mecz rozpocznie się na dobre. Za jakiś czas wyjedzie na studia do większego miasta daleko stąd, ale gdy je skończy, wróci, by pracować u Miry. Hannah ma rację, będzie najlepsza. Bobo zostanie w warsztacie, razem z ojcem. I jeszcze przez kilka lat przy boku Zackell jako trener pomocniczy, ale gdy się pobiorą z Tess i urodzi im się pierwsze dziecko, Bobo zakończy współpracę z pierwszą drużyną i przeniesie się do dziecięcej, bo ich treningi będą się odbywać dużo wcześniej i dzięki temu Bobo zawsze będzie miał czas, by ugotować obiad, zanim jego żona wróci z pracy. Któregoś dnia zacznie trenować własne dzieciaki, wszystkie.

—

Dumny jak paw Knur siada na trybunach. Oczywiście po stronie Björnstad, ale jeden z mężczyzn z Hed i tak do niego podchodzi. Johnny wyciąga ogromną dłoń, Knur ściska ją z lekkim wahaniem.

– To dobry chłopak, ten twój Bobo – mówi Johnny.

Knur kiwa głową, najpierw z lekkim zdziwieniem, a potem z uznaniem.

– Mimo to nie zasługuje na Tess.

Johnny uśmiecha się lekko.

– No nie. Ale żaden z nas nie zasługuje na kobietę, którą przy sobie ma.

Knur robi mu miejsce, obaj są tacy wyrośnięci, że ledwie mieszczą się na trzech miejscach. Pół życia temu robili, co mogli, by pozabijać się na lodzie, ale teraz mają być rodziną, więc jakoś muszą się zaprzyjaźnić. Przydałoby im się trochę pomocy. Na szczęście kilka miejsc dalej siedzą Ana i Maya, więc Knur pochyla się, by zapytać, czy nie mają jakiegoś piwa. Mają. Oczywiście piwo podczas meczów jest zabronione, ale jeśli Anie nigdy nie byłoby wolno robić niczego zakazanego, to równie dobrze mogłaby nie wychodzić z domu. Knur i Johnny piją ukradkiem z kubków na kawę, nie dlatego, że Johnny obawia się strażników, ale dlatego, że boi się Hannah.

– W takim razie czas, żebyście przyszli do nas na obiad – stwierdza Johnny nieco przybitym głosem.

– Bobo się ucieszy – odpowiada krótko Knur.

– Mam nadzieję, bo to on będzie gotował – śmieje się Johnny.

Knur również wybuchł śmiechem. Wznoszą toast. Siedzą obok siebie, rozmawiają o hokeju i dopiero po dziesięciu minutach zaczynają się sprzeczać. Któregoś dnia będą dziadkami tych samych dzieciaków. Powodzenia w przekonaniu wnuków do wyboru ulubionej drużyny hokejowej.

—

Amat idzie korytarzem w stronę szatni z torbą przewieszoną przez ramię. Przystaje przy Bobo, długo się obejmują.

– To nasz ostatni wspólny sezon, potem będziesz już zawodowcem – mówi Bobo z rosnącą w gardle gulą.

– Mówisz tak co sezon. – Amat się uśmiecha.

Bobo ma jednak rację. Pozostali członkowie drużyny są już w szatni, Amat siada pomiędzy Stolycą a Gębą i gdy się przebierają, pyta:

– Chcecie jutro potrenować ekstra?

Kiwają głowami.

– Albo dziś wieczorem? Macie jakieś plany po meczu? – dorzuca Stolyca.

Nie mają. U góry na trybunach tysiąc głosów rozbrzmiewa niczym jeden wspólny: CHCECIE NAS? TO PRZYJDŹCIE PO NAS! Trybuny stojące po obu stronach śpiewają tę samą przyśpiewkę, cały las jest wzburzony. Twarz Gęby pozostaje niewzruszona, ale kolana nieustannie drżą.

– Denerwujesz się? – pyta Stolyca.

Gęba kiwa głową zawstydzony.

– Nie ma o co. Hed nawet nie dotknie krążka. – Stolyca uśmiecha się szeroko, tak jakby pycha ludzi lasu już zaczęła w nim kiełkować.

CHODŹCIE PO NAS! CHODŹCIE PO NAS! NIE MACIE JAJ, BY PRZYJŚĆ PO NAS! – ryczą trybuny stojące do polityków, włodarzy i całego świata naraz.

– Już zapomniałem, jak głośno potrafią się drzeć – mówi Amat.

– Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego – przyznaje Stolyca.

– Poczekaj, aż wyjdziemy na lód. To będzie jak huragan – wyjaśnia Amat.

– Jakież wskazówki, jak sobie z tym radzić? – pyta Stolyca.

Nagle Gęba zaskakuje ich wszystkich, a siebie samego chyba najbardziej, uśmiechając się szeroko i odpowiadając:

– Wygrać.

Wybuchają śmiechem. W tym momencie do szatni wchodzi Benji z Alicią. Dziewczynka ma kilka pytań.

Wiele, wiele pytań.

–

Zackell schodzi z biura i przechadza się tam i z powrotem przy drzwiach szatni. Jest podenerwowana, a to raczej rzadki widok. Pali więc więcej niż zwykle. Dozorca klnie i idzie otworzyć tylne wyjście awaryjne, tak żeby nie włączył się alarm przeciwpożarowy. I zapomina je potem zamknąć.

–

Ojciec Any siedzi w rzędzie przed nią. Jest trzeźwy. Ana zadzwoniła do jego kolegów z drużyny łowieckiej, którzy potwierdzili, że wczoraj nic nie pił, bo wiedział, że dziś idzie z córką na mecz. „Miejmy jednak nadzieję, że przed następnym polowaniem coś sobie łyknie, bo jak nie pije, to jest najlepszym myśliwym w Björnstad i to trochę niesprawiedliwe względem nas” – mruknęli faceci z drużyny. Ana mimo to pochyła się do niego i pyta:

– Tato, przyjechałeś autem?

– Tak, tak – przytakuje z wawo ojciec i od razu zapewnia: – Ale nic nie piłem! Przysięgam!

Tak bardzo się boi, że ją skompromituje, tak bardzo nie chce, żeby córka myślała o nim, że jest żaloszny. Ale Ana się uśmiecha, więc on również, tak jak uśmiecha się tylko do niej.

– Tato, nie zostawiłeś strzelby w samochodzie, nie? – pyta po chwili Ana.

Jego oczy robią się wielkie jak dwa talerze.

– To nie... nie byłem pijany... tylko się śpieszyłem!

Ana z rezygnacją kręci głową.

– Zamknąłeś chociaż auto na klucz?

Ojciec natychmiast się podnosi i przeciska w tłumie, by wrócić na parking. Ana woła za nim. Ojciec się odwraca, przygotowany na kolejne wymówki, ale córka krzyczy tylko na całe trybuny:

– Kocham cię, tato!

Może i nie jest idealny. Ale jest jej. Nigdy nie będzie się tego wstydzić.

Pytania

Mecz ma się zaraz zacząć, ale nigdy nie zostanie rozegrany. Teraz natomiast zaczyna się coś, czego nigdy nie przestaniemy żałować. Nadchodzą minuty, które każdy z nas będzie rozpamiętywać do końca swoich dni, zastanawiając się w duchu: „Czy mogłem coś zrobić inaczej? Coś niewielkiego, mikroskopijnego, w ogóle coś? Czy mogłem go powstrzymać?”.

Ruszamy w kierunku nocy, podczas której podamy w wątpliwość wszystko, co do tej pory zrobiliśmy, wszystko, czym jesteśmy i na czym zbudowane jest nasze społeczeństwo. Bo czymże to jest? To wszystko? Jedyne sumą naszych wyborów. Wynikiem nas wszystkich. Zniesiemy to, do czego nas doprowadziło?

Ten mecz nigdy nie zostanie rozegrany i wielu poczuje, jakby nigdy do końca nie opuściło hali lodowiska. Na zawsze pozostaniemy już w tym koszmarze. Jesteśmy ludźmi, którzy opowiadają historie, próbują wykorzystać opowieści do znalezienia jakiegoś kontekstu dla własnych przeżyć, wyjaśnienia, o co walczyliśmy, w nadziei, że to usprawiedliwi to, do czego doprowadziliśmy. Opowieści jednak odkrywają nie tylko nasze najlepsze strony, ale również najgorsze, czy jedne kiedykolwiek będą w stanie przeważać te drugie? Czy nasze zwycięstwa są większe od naszych błędów? Za co jesteśmy odpowiedzialni? I czemu winni? Czy będziemy mogli jutro spojrzeć na siebie samych w lustrze? Albo sobie nawzajem w oczy?

Nie.

Nie po tym.

Poczucie winy

Lev siedzi na tarasie przed domem przy złomowisku samochodów w Hed. Białoczarny pies leży na jego stopach. Wieczór jest zimny, powietrze rześkie, w piersi kłuje go samotność. Przed swoimi pracownikami dobrze się z nią kryje, w innym wypadku nie byłby ich w stanie kontrolować. Zawsze zadziwiali go dorośli mężczyźni, którzy pokazywali, że się boją, to taki niesamowity luksus zachowywać się niczym domowe króliki, które nie obawiają się drapieżników, bo nigdy ich nie spotkały. Tam, gdzie Lev się wychował, nie można było okazać strachu, nawet jeśli pękało serce. Dlatego właśnie wybrał Hed. Mieszkał już w wielu miejscach, ale to tutaj zdecydował się osiąść na dobre, bo okoliczni mieszkańcy potrafią przetrwać, tak jak on, i są tylko trochę mniej niebezpieczni niż on sam. Miał nadzieję, że tu nie będzie tak bardzo odstawał od reszty, jak w innych miejscach, z których go przegoniono, że może tu pozwolą mu żyć w spokoju wśród nich. Coś zbudować.

Jest agresywnym mężczyzną, ale jeśli zapytasz go dlaczego, odpowie ci, że dlatego, że nienawidzi przemocy. Ma pistolet, by nie musieć nikogo zabić. Woli kogoś odstraszyć, niż pozwolić mu podejść zbyt blisko. Dzięki temu przetrwał, ale to też sprawiło, że jest samotny. Nieczęsto dopuszcza do siebie to uczucie, ale ta Adri, która przyszła, by wykupić Futro, coś w nim obudziła, z impetem otworzyła w jego klatce piersiowej jakieś drzwi. Przypomniała mu o bratanicach. To dla nich buduje. I dla ich dzieci. Lev nigdy nie miał własnych, prawie cała jego rodzina zginęła w wojnie, której reszta świata nawet nie nazywała wojną. Widział dobrych ludzi, zdolnych do ogromnego zła, ale również złych, którzy znaleźli w sobie niesamowite światło. Wszędzie jest tak samo: prawie wszyscy kochają za bardzo, nienawidzą zbyt łatwo, zbyt mało wybaczą. Ale większość chce tego samego co on: życia w spokoju, lżejszego serca, gdy nadchodzi noc, wystarczającej sumy pieniędzy, by utrzymać tych, których się kocha.

Rozwija swój biznes wokół złomowiska, by móc wysłać pieniądze bratanicom i ich dzieciom. Może któregoś dnia wybuduje dom, w którym wszyscy się pomieszczą. Czy jest dobrym człowiekiem? Nie. Wie o tym. Zrobił wiele rzeczy,

których powinien żałować, ale nie żałuje prawie niczego, i czy to samo w sobie nie stanowi definicji zła? By ochronić rodzinę i to, co dla nich zbudował, człowiek jest zdolny do okropnych rzeczy, nawet do przemocy. Lev ma taką nadzieję, że może któregoś dnia dzieci bratanic też zostaną prawnikami i szefami. Może któregoś dnia będą częścią takiego miejsca jak to, w tak samo oczywisty sposób jak Peter Andersson, nie musząc przeproszać ani cały czas dziękować, nie kradnąc ani nie prosząc o jałmużnę. Ale do tego czasu? Do tego czasu Lev musi robić to, co robi.

Wyrzuty sumienia? Tak, jest jedna rzecz, której żałuje. Chłopca. Amata. I tego, co się wydarzyło przy drafcie do NHL. Amat przypominał mu młodszego brata, gdy ten był jeszcze dzieckiem, w innym lesie, w innych czasach, tak samo grali w hokeja. Cokolwiek więc mówiliby Peter Andersson i pozostali, nie kierowała nim chciwość. Przynajmniej nie większa niż ta u Petera Anderssona. Lev pomógł Amatowi, bo widział w tym chłopcu kogoś, kogo kiedyś kochał, a teraz żałuje, że nie patrzył na niego właśnie w ten sposób: jak na chłopca. Tam, skąd pochodzi Lev, w wieku Amata nie było już chłopców, zaliczano ich do mężczyzn, ponieważ w niebezpiecznym miejscu dzieciństwo to zaledwie mrugnięcie okiem. Jeśli już. Lev nie należy do ludzi, którzy łatwo przyznają się do błędów, ale teraz już wie, że powinien był zapytać Amata, czego chciał najbardziej: pochwał czy pieniędzy. Dla Leva było oczywiste, że tylko bogaci zabiegają jeszcze o pochwały, ale u chłopca mogło być inaczej. Może oczekiwał czegoś, czego Lev nawet nie był w stanie zrozumieć.

Wyrzuty sumienia? Pewnie mimo wszystko jakieś się tam znajdują i u Leva. Żałuje, że nie słuchał. Że nie jest teraz na meczu. Chciałby jeszcze raz zobaczyć, jak gra Amat. Jak prze do przodu, tak jak kiedyś robił to brat Leva. To zagadkowa gra. Cudowna.

Zamyka oczy. Słyszy kroki na żwirze przed domem. Ciężki oddech.

Jeden z mężczyzn pracujących na złomowisku wychodzi z przyczepy z przerażeniem w oczach. Najszybciej, jak umie, biegnie przez bramkę i prosto do domu Leva. Wali pięścią do drzwi, aż mocno poirytowany Lev otwiera mu w końcu z kieliszkiem alkoholu w dłoni.

W ten właśnie sposób dowiaduje się o tym, co zrobił inny z jego podwładnych. Co sprzedano czternastolatкови, który był tu niedawno z zamiarem kupna

pistoletu. Jeden z pracowników złomowiska zauważył dziś Matteo w Björnstad. Mężczyzna sprzedawał kiełbaski pod halą lodowiska i widział chłopca zmierzającego na mecz. „Wyglądał jak samo zło” – wyznał mężczyzna. Chyba jeszcze nikt nie jechał przez las takim pędem jak Lev. Ani wcześniej, ani później.

—

Ojciec Any wychodzi na pusty parking. Mecz zaraz się zacznie, kawałek dalej na drodze widać stary amerykański samochód, który jedzie stanowczo za szybko, pewnie kierowcy spieszy się na początek rozgrywki. Ojciec Any sprawdza drzwi własnego auta i zalewa się wstydem, gdy dostrzega, że zostawił je otwarte. Broń jest oczywiście w środku, zapomniał o niej, dokładnie tak jak przewidziała córka, ale nie po pijaku, tylko ze starości. A to nawet gorsze.

Właśnie ma zamiar schować strzelbę pod siedzeniem, zamknąć samochód i wrócić na trybuny, gdy dostrzega samotną postać skradającą się wzdłuż ściany budynku. Początkowo to tylko ruch w kąci oka, tak jak w lesie, gdy coś zauważa i nie od razu wie, czy to zwierzę czy człowiek, ale zawsze może zaufać swojemu instynktowi. Wie, gdy coś jest nie tak i gdy coś porusza się nienaturalnie. Całe życie spędzone w lesie nauczyło go, jak wyglądają strach, ucieczka i polowanie.

Robi kilka kroków między samochodami i przygląda się postaci, młodemu chłopcu, zaglądnącemu przez każde okno i sprawdzającemu każdą klamkę. Nagle chłopak zauważa otwarte drzwi awaryjne na końcu korytarza przy szatni. Powinny być zamknięte i możliwe do otworzenia jedynie od środka, ale dozorca zostawił je otwarte, żeby wywietrzyć dym z cygara.

Chłopiec rzuca się biegiem w ich kierunku i dopiero teraz ojciec Any zauważa pistolet w jego rękę. Nawet nie zdąży krzyknąć ani nikogo ostrzec, a dzieciak już jest w środku. Wszystko rozgrywa się tak szybko, tak niewiarygodnie, bezlitośnie i strasznie szybko.

Amerykański samochód z piskiem opon wjeżdża na parking. Ojciec Any łapie za strzelbę i biegnie w stronę hali.

—

Gęba siedzi na ławce w szatni. Matteo wchodzi do środka. Początkowo nikt nie widzi pistoletu, ale po chwili wszyscy zauważają go w tym samym momencie. Na początku myślą, że to żart, w dłoni czternastolatka broń wygląda przecież tak nienaturalnie, wtedy jednak dostrzegają jego oczy. Nic w nich nie ma. Jeśli kiedyś w tym ciele istniał jakiś człowiek, to już go nie ma. Nadchodzi pierwszy strzał.

BANG

Drugi i trzeci.

BANG BANG

Wszyscy krzyczą. Biegną. Rzucają się pod prysznice i do toalet. Gdziekolwiek. Chowają pod umywalkami i za drzwiami. Nikt w środku nigdy nie zapomni uczucia, gdy przestaje się myśleć, że kiedyś się umrze, i odkrywa się, że nastąpi to właśnie teraz. Że to koniec. Wielu uważa, że całe życie przelatuje im przed oczami, ale większość z nas zdąży jedynie pomyśleć o drobnostkach: o jednej osobie, o małej rączce ściskającej naszą. O chichocie. Oddechu w naszej dłoni.

BANG

—

Gęba wie, że umrze. To do niego mierzy Matteo. W tym samym momencie, w którym chłopiec wchodzi do szatni, do Gęby dociera, że to koniec, więc teraz siedzi bez ruchu, zaciskając mocno oczy w nadziei, że wszystko pójdzie szybko. I że nie będzie bardzo bolało. Nie boli wcale. Czeka, aż eksploduje mu klatka piersiowa i ciało osunie się na podłogę, ale nic takiego się nie dzieje. Gdy otwiera oczy, wszędzie jest pełno krwi, a na podłodze leżą dwa ciała.

—

Alicia kręci się po całej szatni niczym mały bączek. Pytania, pytania, pytania. Chce, żeby jej podpisać koszulkę, dowiedzieć się więcej o konkretnym modelu

łyżew i o tajemnicy, która się kryje za pewnym sposobem owijania taśmą kija. Amat ściska ją mocno i wtedy dziewczynka prawie mdleje z wrażenia. Benji siedzi na ławce po drugiej stronie szatni. Już się rozluźnił, odchylił nieco i prawie przysnął. Nie zauważa wchodzącego do środka Matteo. Nie widzi, że Alicia stoi na środku szatni. Dokładnie przed Gębą.

BANG

—

Hannah jest w szpitalu. Nie słyszy krzyków na korytarzu, nie wie, że wezwanie przyszło z hali lodowiska, gdzie znajduje się jej rodzina, nie słyszy, jak załamują się głosy współpracowników. W każdej pielęgniарce i w każdym lekarzu przekazującym dalej informację dusza roztrzaskuje się na kawałki. Hannah nawet o tym nie wie, bo siedzi tu w środku i wykonuje swoją pracę. Nawet dwa razy.

To niczym okrutny żart, tak jakby Bóg chciał nam dać znać, że i tak robi z nami, co zechce. A może jest wręcz na odwrót: może to jego pokuta.

W tym samym momencie, gdy w hali lodowiska kończą się dwa kochane życia, w objęciach Hannah zaczynają bić serca bliźniaków. Rozpoczynają się dwa dzieciństwa. A kuku. Gilgotki i chichoty, aż nie można złapać tchu. Wspinaczki na drzewa. Kałuże i za duże kalosze. Łód na jeziorze. Tysiące lodów. Rękawiczki na kaloryferze. Upomnienia rodziców rozmawiających przez telefon, gdy gra się w piłkę w domu. Huśtawki. Najlepsi przyjaciele. Pierwsza miłość.

Ten dzień dostarcza niewyobrażalnej przemocy i niekończącej się łaski. Największego strachu i najmniejszych ludzi. Wszystko to nasze.

—

Jak mamy opowiedzieć o Alicii?

Wszystkie nasze opowieści traktują przecież o niej. Te, które się tu kończą, i te, które się tu zaczynają, to ona jest ich przyczyną.

>BANG

Alicia nie rozumie, co trzyma w dłoni stojący w drzwiach Matteo. Widzi tylko ciemność, która oplata ją niczym dym, słyszy krzyki i huk wywracanych rzeczy. Wszyscy wokół niej biegają.

BANG BANG

Pierwszy strzał leci za wysoko. Odrzut jest zbyt mocny, a Matteo trzęsą się ręce, obniża więc pistolet i ponownie naciska spust. Drugi i trzeci strzał są już celne. Prosto w klatkę piersiową. Ciało jest martwe, zanim jeszcze opada na podłogę.

BANG

Wszyscy mężczyźni w szatni biegną. Niektórzy w stronę toalet, inni pod prysznicę, jeszcze inni próbują wypełznąć przez okno. Wszyscy poza Benjim. On należy do tych, którzy biegną w stronę ognia.

Zawsze taki był.

—

Ojciec Any biegnie przez parking prosto do wyjścia awaryjnego i zdyszany zagląda do ciemnego wnętrza. Widzi, jak Matteo oddaje pierwszy strzał w szatni, widzi, jak przestępuje próg, by oddać kolejny, ale wtedy ktoś ze środka rzuca się na niego z całej siły. Matteo wypada na korytarz przygnieciony o wiele większym od siebie ciałem.

BANG BANG

To te dwa strzały odbierają Benjimu życie. Oba prosto w serce. W cóż innego można by go trafić? Był przecież chodzącym sercem. Matteo odpycha jego ciało na bok i podrywa się na równe nogi, dziko rozglądając naokoło, gotowy, by dalej zabijać.

—

Powiemy, że to niemożliwe, że odbyło się to w ten sposób, w jaki opisały to policja i media. Powiemy, że nikt nie byłby w stanie trafić z takiej odległości, w takich warunkach, nawet najwytrawniejszy strzelec nie dałby sobie rady z tym zadaniem. Nawet najlepszy myśliwy w całym Björnstad, przysięgamy! To nieprawda.

Ana stoi na trybunie i słyszy pierwszy strzał. Jak wszyscy inni myśli, że to jakieś dzieciaki odpaliły petardy. Ale potem docierają do niej krzyki. Na dole w korytarzu przy bandzie rysują się drzwi do szatni. Ana widzi, jak Benji rzuca się przez nie prosto na pistolet i powala Matteo na ziemię. Dwa kolejne strzały przeszywają mu serce, ciało i uderzają w sufit. Gdy Matteo się podnosi, następna kula trafia go w głowę. Ana, nawet nie patrząc, domyśla się, kto strzelał. Nikt inny nie potrafiłby tego dokonać.

Biegnie ku wyjściu awaryjnemu, bo wie, że jej ojciec stoi właśnie tam z bronią w ręku. Matteo jest martwy, zanim jeszcze jego ciało upada na podłogę.

Benji również.

—

Wszyscy, którzy znali Benjamina Ovicha, a w szczególności my, którzy znaleźliśmy go na tyle dobrze, by nazywać go Benjim, życzyliśmy mu naprawdę długiej opowieści. Spokojnego życia. Szczęśliwego zakończenia. Robiliśmy sobie nadzieje, Boże drogi, jakież my robiliśmy sobie nadzieje, ale w głębi serca wiedzieliśmy, że nie będzie mu to pisane. Zawsze bowiem był tym, który stawał na czyjejś drodze, tym, który bronił, tym, który biegł. Zawsze uważał, że w każdej opowieści to on jest łotrem, prawdziwi bohaterowie tak już myślą, dlatego właśnie opowieści o chłopcach takich jak Benji nigdy nie kończą się tak, że dożywają oni sędziwego wieku. Opowieści o chłopcach takich jak Benji kończą się jedynie tak, że przestajemy marzyć o wehikule czasu, bo jeśli gdzieś kiedyś w odległej przyszłości ktoś by go wynalazł, to ktoś, kto kochał Benjiego, od razu użyłby go, żeby wrócić do przeszłości.

Ktoś z wielu z nas, którzy go kochali.

—

Nie możemy walczyć ze złem. To jest właśnie najokropniejsze w świecie, który zbudowaliśmy. Zła nie da się wyplenić, gdzieś zamknąć, im więcej przemocy przeciwko niemu stosujemy, tym silniejsze się staje, gdy wślizguje się pod drzwiami i przez dziurki od kluczy. Nigdy nie zniknie, bo rośnie w nas, czasem nawet w najlepszych z nas, czasem nawet w czternastolatkach. Nie mamy na to żadnej broni. W zamian za to dostaliśmy miłość, która pomaga nam w tym wytrwać.

Wszyscy rozpierzchają się w różne strony, szukając drogi ucieczki. Ale Ana i Maya zbiegają z trybun i przeciskają się przez tłum. W pewnym momencie stopa Mai się klinuje, dziewczyna krzyczy, a Ana rzuca wszystko i odpychając od niej przebiegających wokół ludzi, pomaga przyjaciółce się uwolnić. Potem biegną w kierunku szatni. Pierwsze, co widzą, to Amat i Bobo cali w krwi Benjiego. Bobo trzyma przyjaciela w ramionach i kołysze, tak jakby ten po prostu spał. Ale jego już nie ma. Już nie ma.

Instynkt podpowiada jej tysiące rzeczy, które powinna teraz zrobić, ale jedyne, co Maya słyszy, to krzyk. Nie swój własny, ale małej dziewczynki. Stoi jakieś trzy metry od Benjiego i krzyczy wniebogłosy. Nikt oprócz Mai jej nie słyszy. Wszystkich ogarnął paraliż, wlepiają jedynie wzrok w krew i ciała, nikt nie zauważa dziecka. Może Maya widzi w Alicii samą siebie. Może dziewczynka właśnie w tym momencie staje się dorosła, nie wiadomo. Zamiast jednak pochylić się, tak jak pozostali, nad Benjim, podnosi z chaosu Alicię i biegnie z nią na zewnątrz, przez wyjście awaryjne, obok ojca Any, przez parking i do lasu. Tam siada z nią w ramionach, tak by dziewczynka mogła się wypłakać i wykrzyczeć, nie musząc przyglądać się temu, co dzieje się w hali. Maya chce ją tylko ochronić przed krwią, obrazami i wspomnieniami, to jedyne, o czym myśli. Nawet do własnej głowy nie chce dopuścić myśli, że Benji nie żyje. Nie potrafi. „Chroń dziecko, chroń dziecko, chroń dziecko”, to jedyne, co kołacze jej się w głowie. Może jest tam więcej mężczyzn z bronią, może będzie jeszcze więcej strzałów, więc chroń dziecko chroń dziecko chroń dziecko. Ludzie wybiegają na parking. Krzyki i syreny grzmiały w ostatnich promieniach światła. Tak bardzo chciałyby

przestać się trząść, tak bardzo chciałyby przytulić dziewczynkę jeszcze mocniej, tak mocno, by zniknęły szok i desperacja, i ta okropna ciemność, która nigdy już nie opuści żadnej z nich. Nie wie jednak, jak to zrobić, nie jest jeszcze taka dorosła ani taka silna. Nie może oddychać, z trudem wciąga powietrze, stara się nie myśleć o krwi ani śmierci na podłodze w hali, bo teraz musi być silna dla tej dziewczynki. Ale jak ma to zrobić? Skąd wziąć na to siłę? Sama jej nie ma. Jest prawie pewna, że zaraz wywróci się tu na śniegu, gdy nagle obejmują ją czyjeś ramiona. To jej mama. Mira nie pobiegła w ogień, pobiegła za dziećmi. Za nią pojawia się Tess, a zaraz potem kolejne kobiety, ze wszystkich stron, w czerwonych i zielonych kurtkach, a kilka nawet w czarnych. Obejmują się ramionami, tworząc koło za kołem, budując wokół Alicii mur.

Nic gorszego niż to nie przytrafi się już tej małej dziewczynce w całym jej życiu. Ale w najgorszej chwili, w największym strachu matki i siostry z całego lasu przybiegły do niej, by ją chronić.

Nie możemy walczyć ze złem. Ale jeśli ma ono teraz pochłonąć Alicię, to musi się najpierw przedrzeć przez każdą z tych kobiet.

—

Prawie wszyscy biegną, jakby nie rozumieli, co się wydarzyło. Adri Ovich biegnie, jakby już wiedziała.

Słowa? Nie ma na to słów.

Wszystko to tylko szok.

Wszystko to tylko ciemność.

Wszystko to tylko pustka.

Przyzwyczailiśmy się do tylu rodzajów przemocy, ale czegoś takiego nigdy byśmy nie przewidzieli. Nigdy tego nie zrozumiemy. Nigdy też o tym nie zapomnimy. Adri podnosi brata, w jej ramionach wydaje się taki mały. Wynosi go przed halę lodowiska i całe miasto traci oddech. Dziura w każdym sercu.

Czy słońce ma jeszcze po co jutro wstać? Po co ma jeszcze istnieć światło dzienne? Jaki jest w tym sens?

–

Lev wyskakuje z samochodu, zanim pojazd zatrzymuje się na dobre. Ojciec Any stoi samotnie w wyjściu awaryjnym ze strzelbą w dłoniach. Wszyscy w środku krzyczą. Gdy Lev widzi krew i ciała na podłodze, potrzebuje tylko kilku sekund, by zrozumieć, co się wydarzyło. Zauważa pistolet, mógłby podbiec i go zabrać, bo tylko to może doprowadzić policję na złomowisko i do niego. Ale teraz zbyt wielu rzeczy już żałuje, przed nim jeszcze wiele bezsennych nocy z twarzą Matteo w ciemnościach. Dobrzy ludzie mogą być zdolni do wielkiego zła, a źli do odnalezienia w sobie niesamowitego światła. Dlatego zamiast myśleć o tym, by ratować własną skórę, odwraca się i ratuje kogoś innego. Widzi nadbiegającą Anę, łapie więc pod ramię stojącego obok myśliwego i pyta:

– Pańska córka?

Ojciec Any kiwa głową zdezorientowany, tak jakby stracił przytomność, ale jego ciało jeszcze tego nie zrozumiało. Lev macha histerycznie ręką na Anę, by się pospieszyła, ta biegnie, przeskakując przez krew. Nigdy tego nie zapomni, nigdy sobie tego nie wybaczy. Nawet jeśli Benji już nie żyje, nawet jeśli robi to, by ratować żyjących, nawet jeśli Benji dokładnie tego by sobie życzył.

Ani ona, ani ojciec nie wiedzą w sumie, kim jest Lev. Słyszeli plotki, jak i inni, ale nic więcej. Chyba jako jedyny tutaj wygląda, jakby nie był w szoku, widział już zbyt wiele w innych lasach.

– PANA SAMOCHÓD? KTÓRY TO PANA SAMOCHÓD? – krzyczy.

Dopiero w tym momencie do Any dociera, o czym myśli Lev i w czym musi mu pomóc, i jak źle może się to w innym wypadku skończyć dla jej ojca. Ciągnie go za sobą niczym przerośnięte dziecko przez parking. Ojciec już płacze, ona nie może sobie na to pozwolić. Prowadzi samochód, ojciec siedzi obok. Lev jedzie za nimi. Zatrzymują się w lesie przy jeziorze, gdzie nikt nie może ich zauważyć z drogi, Ana przynosi narzędzia z przyczepy i wycinają w lodzie dziury. Wiele dziur, w sporych odstępach od siebie. Następnie rozbierają strzelbę na części i wrzucają je do przerębli.

Potem jadą do domu ojca Any, Lev, nie pytając nawet o pozwolenie, wchodzi do kuchni. Psy obwąchują go z zainteresowaniem, ale go nie zatrzymują. Przeszukuje szafki i znajduje poukrywane butelki z alkoholem, które ojciec trzyma na wypadek powrotu do nałogu, mając nadzieję, że Ana ich nie znajdzie.

– Pijemy, tak? – pyta Lev, nalewając do trzech szklanek.

– Czy pana już totalnie pojechało? Chce pan teraz CHLAĆ, gdy... – syczy Ana, ale Lev podaje jej szklankę i mówi:

– Co powie policja? „Alibi”, tak? Alibi. Nigdy nie byliśmy w hali lodowiska. Byliśmy tutaj, tak? Pijani. Twój ojciec nie mógł nikogo zastrzelić po pijaku, tak? Alibi.

Ana i jej ojciec z przygnębieniem wypuszczają powietrze z płuc, przyznając mu rację. Nie mają wyboru. Wypijają do dna. Lev nalewa jeszcze więcej alibi. Nie rozmawiają ze sobą i po chwili piją już samotnie: Lev na podłodze w korytarzu, ojciec na krześle przy kominku, Ana w kuchni. Nie może przestać płakać. To ostatni raz, kiedy jest pijana.

Nigdy nie miała pojęcia, co chce robić w życiu, ale teraz poświęci je ratowaniu innych. Jeszcze o tym nie wie, ale od tego właśnie się zacznie, bo nie mogła uratować Benjiego. Nie może sobie więc potem pozwolić na picie alkoholu. Kocha ojca, ale nie może ryzykować, że podczas następnej wichury uśnie na krześle przy kominku i nie usłyszy, że ktoś wali do drzwi. Gdy następnym razem ktoś zawoła o pomoc. Następnym razem może będzie mogła uratować świat.

–

„Jakie to jest jednak niesamowite miejsce” – stwierdziła kiedyś mama Mai. Tata odpowiedział: „Niesamowite jest to, że jeszcze istnieje. I że są w nim jeszcze ludzie”.

Maya zapamięta, jak bardzo niewyobrażalne było to, że po śmierci Benjiego kolejny dzień w ogóle nadejdzie. Że ona, Maya, nadal będzie żyć. Że da radę. Ale po raz pierwszy rozumie swoich rodziców, tak dogłębnie. Rozumie, jak po śmierci Isaka nauczyli się płakać w sobie. Cicho, cichutko płakali latami, tak by Maya ani Leo nie słyszeli. Nawet powietrze sprawiało ich skórze ból. Jak bardzo pragnęli przyłożyć policzek do ziemi i szeptać przez trawę do niego tam w grobie. Jak bardzo musieli nienawidzić samych siebie, że nie mogli umrzeć razem z nim.

Jak wiele z tego, co potem zrobili, było próbą stworzenia czegoś ważnego, doniosłego, czegoś, co byłoby warte tak późnego przybycia do nieba? Prawie wszystko.

To nie do zniesienia, że słońce znów wstaje, że Maya jeszcze tu jest, a Benji już nie. Całe życie, prawie codziennie, będzie się na chwilę zatrzymywać, myśląc: „Czy byłby ze mnie dumny? Czy wiodę godne życie? Czy jestem wystarczająco dobrym człowiekiem?”. Bo właśnie taka jest, jak każda inna osoba, z którą dorastała w Björnstad: zwodniczo prosta, ale przerażająco skomplikowana. Zwyczajnie niezwykły człowiek. Niezwyczajnie zwykły człowiek. Staramy się po prostu żyć swoim życiem, z innymi, z samymi sobą. Przyjmować radość, gdy ją czujemy, unieść żalobę, gdy nas pochłania, zadziwiać się szczęściem swoich dzieci, starając się nie wykończyć, gdy dociera do nas, że tak naprawdę nie jesteśmy w stanie ich ochronić.

Maya nigdy nie czuła, że przynależy do tego miejsca, ale w końcu to miejsce przynależy do niej bardziej niż do kogokolwiek innego. Niewielkie miasteczko w niekończącym się lesie. Opowie o ludziach stąd, z wyprostowanymi plecami i pewnym głosem, opowie, że większość z nas nie żąda niczego spektakularnego: po prostu pracy, domu, dobrych szkół. Długich spacerów z psem. Polowania na łosie. Kubka kawy na początek dnia i zimnego piwa na koniec. Radosnego śmiechu. Dobrych sąsiadów. Bezpiecznych dla rowerzystów ulic. Jeziora, na którym zimą można się nauczyć jeździć na łyżwach, a latem spędzić dziewięć godzin w łódce, nie łowiąc przy tym ani jednej ryby. Bitwy na śnieżki. Drzew do wspinania. Nowego sezonu hokejowego. Wszystkiego. Żądamy jedynie tego wszystkiego.

Opowie, że ludzie stąd uwielbiają prostą grę, nawet ci z nas, którzy wcale jej nie kochają. Po kiju, dwie bramki, my przeciwko wam. Bang, bang, bang. Opowie, że próbujemy tu, do cholery, po prostu żyć. Żyć mimo siebie nawzajem. Żyć dla siebie.

Żyć dalej.

Wkrótce miliony ludzi poznają imię Mai, ale ona każdego wieczoru będzie śpiewać tylko dla Benjiego. Nie wszystkie piosenki są o nim, ale w jakiś sposób wszystkie są jego, nawet te należące do Any. Któregoś wieczoru za kilka lat Maya będzie tak

sławna, że zaśpiewa na jednej z największych aren w kraju. Z całkowicie wyprzedanymi biletami. Dopiero po wejściu na scenę dotrze do niej, czemu służy to miejsce, gdy nie odbywają się tu koncerty. To hala lodowiska. To najważniejszy moment jej kariery i w trakcie występu przepłacze wszystkie piosenki.

Drzewa

Pogrzeb Benjiego nie odbywa się w otwartym na oścież kościele, ale pod gołym niebem. Uczestniczą w nim całe dwa miasta. Nekrolog w gazecie jest w sumie zbędny, wszyscy i tak wiedzą, gdzie i kiedy, nawet fabryka jest w tym czasie zamknięta. Ale w nekrologu Benjamin napisał to, co czuje każdy:

To zbyt bolesne, by opisać to słowami.

Cytat zaproponował siostrze Ovich pracownik biura pogrzebowego. „To jedna z moich ulubionych poetek, Bodil Malmsten” – powiedział nieco zawstydzony własnym wyznaniem. Teraz to również ulubiona poetka sióstr Ovich.

Ich brat zostanie pochowany tuż obok ojca, niedaleko Ramony i Vidara. W tych okolicach mawiamy, że chowamy swoje dzieci pod najpiękniejszymi drzewami, ale nikt nie jest w stanie znaleźć tu wystarczająco pięknego okazu, który czuwałby teraz nad Benjaminem Ovichem. Sadzimy więc nowe, wszędzie wokół kamienia z jego imieniem, Alicia i pozostałe dzieciaki wkopują je w ziemię, tak by wyrosły nad nim. Aż nie będzie już spał na cmentarzu, tylko tam, gdzie zawsze czuł się najbezpieczniejszy i najszcześniejszy. W lesie.

Słowa?

To zbyt bolesne.

—

Alicia przychodzi na pogrzeb, trzymając za rękę Adri i Sunego. Widząc Mayę, puszcza ich i do niej podbiega, nie dla siebie, ale ze względu na nią.

— Boisz się? – pyta dziewczynka.

– Bardzo. I bardzo mi smutno – odpowiada Maya, przytulając ją mocno.

– A Benji? Myślisz, że on też się boi? Czy tam w grobie jest ciemno i zimno? – chce wiedzieć Alicia.

– Nie, nie, Benji się nie boi. Jego tu nawet nie ma – tłumaczy Maya.

– Nie ma? – dopytuje Alicia, uśmiechając się po raz pierwszy od tysiąca oddechów.

Maya mruga milion razy.

– Jest teraz gdzieś na lodzie i się śmieje. Gra w hokeja z przyjaciółmi. Leży na plecach i wpatruje się w gwiazdy. Nie boi się. Za sto lat znów go spotkasz i wtedy opowiesz mu o wszystkim, co przeżyłaś. O całym swoim fantastycznym życiu. O wszystkich przygodach. On już na to czeka.

Alicia biegnie z powrotem do Adri, a Maya siada w kącie kościoła i piórem pisze coś na ręce. Zapisuje całe przedramię. Potem pyta mamę i siostry Benjiego, czy może zaśpiewać na pogrzebie. Przystaje na schodach. W lesie nigdy jeszcze nie było tak cicho. Powoli, niespiesznie wychodzi z niej wszystko, co chciała mu powiedzieć:

Ktoś, kto cię kocha, pyta, czy się boisz.

Mówię, że nie, że się tak tylko w kamień stroisz,

Bo nagrobek to zakątek do wspomnienia,

A ziemia wokół trumny to nie miejsce twojego przebywania.

W to, gdzie jesteś, nie wierzę,

I jestem w rozterce.

Rozkładane krzesło przy starym kamperze,

Siedzisz tam, uśmiechasz się i tracisz serce.

Masz ze sobą łyżwy, a wyspę skuł lód,

Jedzie po nim chłopiec, który umrzeć nie mógł.

Grasz w tę swoją grę, krążkiem odurzony,

A tam bawi się chłopiec, w końcu spełniony.

Jesteś tym, kim zawsze chciałeś,

Wesoły, spokojny i wolny.

Nie wiem, gdzie teraz jesteś, przyjacielu,

Ale za sto lat widzimy się znowu.

—

Istnieje wiele rodzajów przywództwa. To, co zwykle budzi najszczęśliwy podziw, zawsze dotyczy oczywiście odwagi w prowadzeniu swoich zwolenników w nieznaną, męzną wyprawę tam, gdzie jeszcze nikt się nie udał, do góry i do przodu. Jednak to, co najbardziej pozwala powrócić miastu do poranków, w których, po tym wszystkim, co się wydarzyło, jeszcze w ogóle możemy oddychać, jest znacznie zwyczajniejsze. Bobo i Amat wraz z całym pierwszym składem wychodzą do miasta i zbierają dzieciaki. Grają z nimi do upadłego. W hali lodowiska, na jeziorze, na podwórkach pomiędzy czynszówkami. Bawią się z nimi do utraty sił. To jedyne lekarstwo, jedyny znany im sposób na to, by świat stał się chociaż trochę lepszy.

Stolyca idzie razem z nimi, początkowo się nie odzywa, ale po pewnym czasie dzieje się z nim coś dziwnego, coś całkiem dla niego nowego: zaczyna mówić. Kładzie rękę na czyimś ramieniu, podnosi tego, kto upadł, niesie kogoś, kto się zranił. Po pewnym czasie dostrzega, że gdy idzie, ludzie podążają za nim, a nie w drugą stronę. We wszystkich innych drużynach postrzegano go jako skomplikowanego, upartego i nielojalnego. Tutaj jest dokładnie odwrotnie.

Któregoś wieczoru, gdy grają z dziećmi, przypatruje się im kilkoro rodziców. Następnego dnia jeden z ojców pyta, czy też może zagrać. Wkrótce grają wszyscy, wszędzie.

To ten rodzaj miasta, gdzie wszystko może się zmienić, ludzie też. Gdzie mamy siłę się bawić, mimo że płuca rozrywa ból. Może dlatego, że przywykliśmy do mroku, zarówno tego na zewnątrz, jak i tego w nas samych. Może dlatego, że mamy blisko do natury. Ale najbardziej chyba dlatego, że po prostu jesteśmy jak wszyscy inni ludzie w każdym innym miejscu: jaki mamy wybór, jeśli nie będzie jutra?

Istnieją różne rodzaje przywództwa, ale to, które tego roku reprezentują Stolyca, Amat i Bobo, nie ma na celu pójścia do przodu, lecz cofnięcie się. Do tego wszystkiego, czym jesteśmy. Czasem najcenniejszym, co ma przywódca, jest wiedza, jak znaleźć drogę do domu.

—

Za kilka miesięcy Hannah znów będzie trzymać w rękach nowo narodzone dziecko. To dobry dzień, niebywale, że takie dni znów nastaną, ale to prawda. Wraca do domu i wraz z Tess pakuje koszyk piknikowy. W budynku straży pożarnej Johnny i Bobo naprawiają samochód przy użyciu części zamiennych od Leva. Gdy skończą, wychodzą na podwórko przed budynkiem i razem z innymi strażakami i ich dziećmi oraz rodzeństwem rozpoczynają bitwę na śnieżki.

Tobias też tam jest, już teraz wygląda jak strażak, będzie dokładnie taki sam jak ojciec, więc Johnny stara się, jak może. Tess wyprowadzi się stąd na kilka lat, ale w końcu wróci. Ma w sobie za wiele z ludzi lasu, by móc mieszkać w innym miejscu, zrozumie to dopiero, gdy zobaczy, jak wygląda świat.

Któregoś wieczoru do Johnny'ego i Hannah zadzwoni trener Teda z informacją, że większe kluby, gimnazja hokejowe, a nawet agencje zaczęły już wypytywać o ich syna. Trener poradzi im, że „powinni się przygotować na to, że życie chłopaka niedługo się zmieni”. Ted już wtedy jest jednym z największych talentów, jakie miało Hed. Kiedyś będzie największym.

Po tej rozmowie Johnny kilka godzin spędza w kuchni nad szklaneczką whisky, która tak naprawdę jest świecznikiem. W końcu jej nie wypija. Zamiast tego wsiada do samochodu i jedzie do Björnstad. Puka do drzwi. Zajadając croissanty w kuchni Petera, wyznaje cicho:

– Ludzie mówią, że mój syn może zająć daleko. Może nawet na sam szczyt. Chciałbym zapytać, czy masz jakieś... rady.

Były dyrektor sportowy kiwa z żalem głową.

– Nie wydaje mi się, że mogę ci dać jakieś rady dotyczące jego kariery. Nie mam pojęcia ani o pieniądzach, ani o kontraktach i tego typu rzeczach. Ale mogę dać ci numer telefonu do kilku swoich dawnych przyjaciół, oni może...

Strażak po drugiej stronie stołu podnosi niepewnie wzrok. Wydaje się jeszcze mniejszy, gdy szepcze:

– Nie... nie, nie to miałem na myśli. Nie dla niego. Miałem na myśli siebie. Chciałbym wiedzieć, co powinienem zrobić, żeby być dobrym ojcem. Czego tobie brakowało, czego byś sobie życzył, gdy byłeś w jego wieku i telefony nagle się rozdzwoniły...

Peter długo się nie odzywa. Potem opowiada o swoim dzieciństwie więcej, niż kiedykolwiek opowiedział drugiemu mężczyźnie. Kilka lat później Ted zostanie najmłodszym kapitanem drużyny w historii Hed. Za kolejnych kilka lat kapitanem drużyny w NHL. Na pytanie dziennikarzy, skąd wzięły się jego zdolności przywódcze, odpowie krótko.

„Z domu”.

—

Teemu i czarne kurtki znów chodzą na mecze. Znów śpiewają. Teraz już nieco cięższym głosem i z nieco większą pustką, zawsze z piwem w dłoni, gdy po meczu spacerują prosto na cmentarz. Siedzą tam potem i rozmawiają z Vidarem, Benjim, Ramoną i Holgerem, i wszystkimi, którzy nie mogli przyjść, tak żeby wiedzieli, jak poszło podczas rozgrywki. Ze szczegółami. Każdy strzał. Każdy gol i każdy niesprawiedliwy wyrok cholernego sędziego. W niebie piwo jest drogie, a narzekania te same co zwykle, prawie nic się nie zmienia, ale któregoś dnia Teemu zabiera ze sobą swojego nowo narodzonego syna, by go przedstawić.

Syn dorasta i postanawia, że wcale nie lubi hokeja, woli piłkę nożną, i ach, ileż jest z tego w niebie śmiechu. Oj, oj, oj, wszyscy się śmieją do rozpuku.

—

Elisabeth Zackell staje się znaną trenerką. Wygrywa setki meczów. Serie, tytuły i puchary. Jedyne, czego nie udaje jej się na nowo wygrać, to ta pierwsza naiwna radość. Hokej nigdy nie będzie już dla niej zabawą. Ale któregoś dnia za wiele lat zostanie trenerką drużyny narodowej, w której zagra Alicia, i wtedy Zackell zrobi wyjątek od swojej najbardziej restrykcyjnej zasady.

Znów pozwoli komuś zagrać z numerem szesnaście. Jeden jedyny mecz.

Alicia podniesie się z ławki w szatni i szturmem poprowadzi drużynę na лёд, a wtedy Zackell spojrzy za nią i na jedną krótką chwilę zapomni, że to nie on.

—

Kilka dni po pogrzebie Benjiego Leo siedzi w swoim pokoju pogrążony w grze. Gra nieprzerwanie, wieczór za wieczorem wyczekując, że na ekranie wyświetli się konkretny nick. Gracz, którego nigdy nie spotkał w rzeczywistości, ale którego przez ostatnie miesiące w grze poznał tak dobrze, jakby znali się naprawdę. Nieznajomy zabijał Leo za każdym razem, prawie tak, jakby specjalnie go szukał i ścigał. Leo nie może przestać myśleć o tym, że w końcu chciałby się odegrać. Jeśli tylko będzie nieco szybszy, nieco bardziej skoncentrowany, to na pewno załatwi tego dupka. Kimkolwiek jest.

Ale przeciwnik się już nie pojawia. Nigdy więcej. Leo nigdy się nie dowie dlaczego, ale jeszcze przez lata, na długo po zarzuceniu gier, będzie się od czasu do czasu logować w poszukiwaniu właśnie tego nicka. Gdyby sprawdził go w internecie, dowiedziałby się może, że w innych językach ten nick oznacza imię „Matteo”, ale Leo nigdy tego nie sprawdza.

Ktoś puka do drzwi jego pokoju. Maya wchodzi do środka z gitarą w ręku.

– Mogę tu z tobą posiedzieć? – pyta cicho, tak jak sam zwykł to robić w jej pokoju, gdy był mały i śniły mu się koszmary.

Leo kiwa głową. Siostra siada na łóżku i gra na gitarze, a on siedzi przy komputerze pogrążony w rozgrywce. To ostatni wieczór przed jej powrotem do szkoły muzycznej. Przez jakiś czas będzie tam sama i zła, ale dzięki temu napisze najlepsze piosenki swojego życia.

– Jestem z ciebie dumna – szepcze do brata.

– Ja z ciebie też – odpowiada Leo.

Leo będzie robił w życiu wielkie rzeczy, zajdzie daleko i rzeczywiście da jej powody do dumy. Ona po prostu jest już dumna zawczasu. Tak właśnie robią starsze siostry.

Gdy rodzeństwo Anderssonów będzie już miało własne rodziny i dzieci, zasiądą któregoś wieczoru po wigilii w domu podobnym do tego. Zarówno starsze, jak i młodsze pokolenie położy się już spać, a oni zaczną rozmawiać o tym, kim by byli, gdyby od samego początku mieli gorsze warunki. Nawet jeśli tylko trochę. Gdyby urodzili się trochę biedniejsi. Zostali doświadczeni przez życie dotkliwiej, wcześniej, przez ludzką przemoc. Gdyby nie mieli matki i ojca, którzy walczyli dla nich z całym światem, którzy rzucili się przez las na chuliganów i na całe miasto, jeśli zaszła taka potrzeba. Którzy nigdy się nie poddali, jedynie robili krok w tył,

żeby nabrać rozpędu, którzy nie mieli granic i byli gotowi na wszystko, by chronić swoje dzieci. Nawet wiedząc, że to niemożliwe.

Leo się uśmiechnie i delikatnie pogłaszcze siostrę po głowie.

– Bez mamy i taty? Ty i tak dałabyś sobie radę. Ty przetrwasz wszystko. Ale ja? Nie miałbym szans.

–

Policja nigdy nie odnajdzie broni, z której zastrzelono Matteo. Nikt też nie jest w stanie potwierdzić, skąd pochodził pistolet, z którego chłopak zabił Benjiego. Policja puka do drzwi od najdalszych zakątków Björnstad po najdalsze zakątki Hed, ale wszyscy milczą. Znajdą się tacy, którzy po fakcie wypomną funkcjonariuszom, że doprawdy bardziej starali się znaleźć broń niż wszystko inne. Tak jakby człowiek, który zabił mordercę z broni myśliwskiej, był większym przestępcą niż ten, który dał mordercy przeszmużowaną nielegalnie broń.

Ta kłótnia między nami a ludźmi, którzy stąd nie pochodzą, tak naprawdę nigdy się nie skończy. Już takim jesteśmy miastem.

–

Lev nadal mieszka w Hed. Prowadzi złomowisko. Każdej zimy jedzie daleko stąd, do innego lasu, z walizkami wypełnionymi zabawkami i maskotkami. Tam ze swoimi bratanicami pije mocny alkohol z małych kieliszków i gra w hokeja z ich dziećmi.

Wszystko, co ludzie o nim mówią, to prawda. To też. Dlatego właśnie tak dobrze pasuje do miast w głębi lasu. One również są zdolne do bycia jednocześnie najgorszymi i najlepszymi.

–

Może właśnie żałoba zabiera Fraka. Albo w końcu dogania go sumienie. Richard Theo zgłasza się do niego tydzień po pogrzebie i opowiada o serii artykułów, które wkrótce opublikuje lokalna gazeta. Ujawni ona skandal korupcyjny, który pogrąży jego politycznych przeciwników, ale oszczędzi kluby hokejowe i Petera

Anderssona. Theo zbudował sojusz przedsiębiorców, którzy mają z niego pożytek, i polityków, którzy się go boją. Jest niezniszczalny. Niestety jednak, wyjaśnia, sprawiając wrażenie szczerze przejętego, jego sojusznikom nie podoba się, że obu klubom ujdzie na sucho. Wszyscy potrzebujemy chociaż małego zwycięstwa. Wszyscy muszą poczuć, że coś wygrywają. Tak więc Theo przedstawia najprostsze rozwiązanie: podrzucić im kilka z umów, które podpisał Peter. Nie te o centrum treningowym, nie te najgorsze, ale jakiś prosty szwindel, który da im poczucie, że coś odkryli. Ale wtedy oczywiście potrzebny też będzie kozioł ofiarny i jeśli to nie może być Peter, to cała historia musi się opierać na tym, że został oszukany. Theo rozkłada ręce.

– Proponuję Ramonę. I tak już jej nie ma. A z tego, co o niej słyszałem, wnioskuję, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby w ramach ostatniego uczynku na ziemi uratować Petera Anderssona. Jeśli zrzucimy na nią całą winę, to skandal ucichnie w ciągu kilku tygodni i wszyscy wrócą do swojego życia, tak jakby nigdy nic.

Frak siedzi przy biurku i długo przygląda się własnym dłoniom. Potem szepcze:

– Wie pan, że od dzieciństwa Peter jest moim najlepszym przyjacielem? Już przed NHL był tak dobry, że zdarzało się, że przeciwnicy, którzy przyjeżdżali tu na mecze, prosili o autografy dla młodszego rodzeństwa. Nauczyłem się więc podrabiać jego podpis, tak żeby móc sprzedawać karty z piłkarzami, które niby on „sygnował”. Peter nic o tym nie wiedział. Do tej pory potrafię podrobić jego podpis.

Theo unosi brwi, a na jego twarzy maluje się nieczęste u niego zdziwienie.

– Co ma pan na myśli?

– Że zrobimy, jak pan mówi – odpowiada spokojnie Frak. – Zapewnimy gazecie i pańskim sojusznikom małe zwycięstwo. Damy im kilka z umów Petera i powiemy, że go oszukano. Ale nie przez Ramonę. Powiem, że to ja podpisałem te umowy, używając jego nazwiska.

Richard Theo wygląda nie tylko na zdziwionego, ale również pełnego uznania. Zanim jeszcze historia ukaże się w prasie, dowie się o niej policja. Frak zostanie skazany za oszustwo. Dostanie kilka miesięcy więzienia. Nie pozwoli nikomu innemu wziąć na siebie chociaż części winy. Po odbyciu kary pojedzie prosto do Björnstad i zacznie budować, jednak ani nie Björnstad Business Park, ani nie

supernowoczesne centrum treningowe, które planował. Zamiast tego pomoże najlepszemu przyjacielowi z dzieciństwa zbudować katedrę. Za dach zapłaci z własnych pieniędzy i położy go własnymi rękami. Potem wypije z Peterem piwo, siedząc u góry i spoglądając na setkę dzieci bawiących się na dole. To nie będzie jakaś luksusowa hala, raczej zwykłe kryte lodowisko, podobne do tego, które przed ponad siedemdziesięcioma laty wybudowali w Björnstad pracownicy fabryki, a w którym potem stworzono klub. Gdy w okolicy nie było niczego innego poza wichurami i tęsknotą, miłością i marzeniami, nadzieją i walką. Może i nie ma za bardzo na co patrzeć, ale ta Katedra to będzie początek czegoś.

Nie udałoby się jej ukończyć bez pomocy Fraka, ale nikt poza Peterem nigdy się nie dowie o jego wkładzie. Frak nigdy nikomu o tym nie opowie. To jego pokuta.

—

Redaktorka naczelna i jej ojciec wyjeżdżają na wakacje. Córka zabiera go do ciepłych krajów. Rozkoszują się jedzeniem, dużo spacerują, oglądają kościoły i zasypiają na zacienionych tarasach. To ich ostatnia wspólna podróż. Ojciec umiera niedługo później.

Redaktorka naczelna powraca do Björnstad i Hed, ale wkrótce dostaje pracę w większych gazetach i większych miastach. Więcej władzy. Trochę to trwa, dłużej, niżby sobie tego życzyła, ale któregoś dnia pojawia się szansa na zabranie się za Richarda Theo. Nie przegapia jej.

On również mieszka już wtedy w większym mieście, zajmuje wyższy stołek, co sprawia jedynie, że upadek boli bardziej. Dziennikarka dokopuje się do tyłu skandali z jego udziałem, że w końcu udaje się jej zniweczyć całą jego karierę i zrujnować mu życie.

Nie robi tego dla sprawiedliwości. Ani dla własnego zadowolenia. Robi to, bo może. Robi to, by tacy jak on nie czuli zawsze, że mogą wygrać.

—

Amat w końcu trafia do NHL. Mimo różnic czasowych w nocy, gdy strzela pierwszego gola, każdy w Björnstad jest na nogach. W Hed w sumie chyba też.

A nawet jeśli nie, to i tak wszyscy się obudzą, bo gdy Amat trafia do bramki, cała Niecka eksploduje.

—

Kilka lat później, daleko stąd, na imprezie siedzi na kanapie młody mężczyzna. Wokół niego wszyscy tańczą i wrzeszczą, ale on wlepia wzrok w telewizor. Na ekranie pojawia się migawka z koncertu z jedną z najbardziej znanych artystek w kraju. Mayą Andersson. Młodemu mężczyźnie zawsze się podobała. Ta prostota. Zwyczajność. Nigdy nie zastanawiał się nad jej dialektem, nie rozmyślał nad tym, skąd go zna. Teraz jednak widzi ją w telewizji śpiewającą piosenkę o kimś, kogo kochała, z okazji jego urodzin, a na ogromnym ekranie za nią przez sekundę miga jego zdjęcie. Piosenkarka wie, że nikt nie zdąży się mu nawet przyjrzeć, tysiąc innych fotografii pobłyskuje zaraz po nim, dołożyła je tam tylko dla siebie.

Ale mężczyzna na kanapie natychmiast je rozpoznaje. Pamięta bowiem koniuszki palców i spojrzenia. Szklanki na zniszczonym barze i dym w cichym lesie. Śnieg spadający na skórę, gdy chłopak ze smutnymi oczami i dzikim sercem uczył go jeździć na łyżwach.

Mężczyzna z kanapy prawie nic ze sobą nie zabiera. Pakuje jedynie małą walizkę i futerał gitary basowej i jedzie do następnego miasta na trasie koncertowej Mai. Przeciska się przez jej ochronę i gdy już prawie zostaje powalony, krzyczy:

– Znałem go! Znałem Benjiego! Też go kochałem!

Maya przystaje w połowie kroku. Ich spojrzenia się spotykają i widzą w nich tylko jego, chłopaka z lasu, smutnego i dzikiego.

– Grasz? – pyta Maya.

– Jestem basistą – odpowiada.

Od tej pory jest jej basistą. Nikt nie gra jej piosenek tak jak on. Nikt nie płacze też równie mocno każdego wieczoru.

—

Gęba gra w hokeja. To w sumie jedyne, co ludzie o nim zapamiętają. Jest w hali lodowiska albo w domu u mamy. Nigdy nikomu nie opowie, dla kogo właściwie przeznaczone były kule z pistoletu Matteo. Jak miałyby to wyjaśnić? Kto pozwoliłby

mu opowiedzieć tę historię do końca? Za bardzo się boi. Jest zbyt mały. Nic więc nie mówi, nikomu nie zawadza, w ciszy żyje dalej, starając się wyłapać każdy krążek za każdym razem, gdy Björnstad Hockey wystawia go do gry. Publiczność go uwielbia, zarówno ci z miejsc siedzących, jak i ci z trybuny stojącej, w pewien sposób staje się prawdziwą legendą tego klubu. Nigdy nie gra w innym, tylko tutaj, jest najprawdziwszym niedźwiedziem. Może i urodził się w Hed, ale to Björnstad jest jego miejscem na ziemi. Z powodu kontuzji musi zakończyć karierę, mając niewiele ponad trzydzieści lat. Minęła prawie połowa życia od wydarzenia, które tak bardzo starał się zapomnieć. Cały ten czas grał tak, jakby chciał, by mu wybaczone. Tak jakby wierzył, że gdyby tylko był wystarczająco zdolny i wartościowy, i może nawet trochę kochany, mógłby w końcu żyć bez ciągłego poczucia, że na to nie zasługuje. Gra tak, jakby lodowisko było wehikułem czasu. Oczywiście nie jest. Po ostatnim meczu klub zawiesza jego koszulkę wysoko przy suficie hali lodowiska i urządza dla niego wystawne przyjęcie. Następnego dnia Gęba wsiada do autobusu z torbą treningową przewieszoną przez ramię. Jedzie wiele kilometrów do innego miasta i przemierza je, kierując się na niewielki cmentarz. Spacerując między nagrobkami, odnajduje jeden niewielki, postawiony w kącie. Pod solidnym drzewem dającym schronienie w zimie i cień w lecie. Usuwa chwasty w rogu nagrobka i kładzie kwiaty pod tabliczką z napisem „Matteo”. Nie ma na niej nazwiska, bo rodzice obawiali się, że ludzie, którzy nigdy nie przestaną nienawidzić, mimo sporej odległości od Björnstad mogliby tu przyjechać i zniszczyć nagrobek. Gęba dotyka opuszkami palców liter na kamieniu i szepcze:

– Wybacz mi. Powinieneś żyć moim życiem. Przepraszam...

Następnie otwiera torbę treningową i ładuje broń, którą w niej przywiózł. Ociera łzy, bierze strzelbę i idzie do lasu.

Czy to wystarczająca kara? Nikt nie zna na to odpowiedzi. Nikt jej nie pozna.

—

Czym jest życie, jeśli nie chwilą? Czym jest śmiech, jeśli nie małym zwycięstwem nad smutkiem? Sekundą, tą jedną jedyną, gdy nie wszystko w nas jest zepsute.

Ktoś puka ostrożnie do domu, w którym wychowywali się Ruth i Matteo. Gdy rodzice otwierają drzwi, na ganku stoją starsi sąsiedzi z domu obok. Kobieta trzyma w rękach jabłecznik, a mężczyzna termos. On mówi cicho, może z powodu wstydu, że tak niewiele wie o ludziach mieszkających zaraz obok niego.

– Jeśli mają państwo ochotę, możemy porozmawiać. A jeśli państwo wolą, będziemy siedzieć cicho. Pomyśleliśmy jednak, że w takich chwilach niedobrze jest być samemu.

Siedzą wspólnie w niewielkim salonie.

– Mają państwo wiele pięknych książek – zauważa sąsiadka z domu obok.

– Chyba lepiej idzie mi czytanie niż życie – odpowiada szeptem ojciec Ruth i Matteo.

Chwilę później znów ktoś puka do drzwi. Po drugiej stronie stoi ksiądz, który pochował ich córkę. Nie mieli odwagi na tym samym cmentarzu pochować syna. Ksiądz i tak się jednak pojawia. Taka praca, ale też taki typ człowieka. Siedzą wspólnie w salonie, duchowny wodzi wzrokiem po grzbietach książek.

– Widzę tu Biblię. Czy mógłbym coś z niej przeczytać?

Matka Ruth i Matteo wstaje, sięga po księgę i drżąc na całym ciele, podaje ją księdzu. Ten trzyma ją za rękę, odczytując rozdział piąty Ewangelii św. Mateusza:

Błogosławieni, którzy się smęcą, albowiem pocieszeni będą.

Błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię.

[...]

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.^[22]

Potem już wśród szlochów czyta kolejny fragment u dołu tej samej strony:

Nie może się miasto ukryć na górze leżącej

Ani zapalają świecy i ustawiają ją pod korzec

Ale na świecznik

I świeci wszystkim, którzy są w domu

Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi

Aby uczynki wasze dobre widzieli.^[23]

Resztę życia rodzice Ruth i Matteo poświęcają na pracę charytatywną. Wyjeżdżają na drugi koniec świata i ciężko pracują w biednych wioskach, tworząc

i budując rzeczy dla innych. Największą z nich jest dom dla dzieci. Budzą się każdego ranka i wydaje im się, że słyszą śmiech własnych. Chociaż przez sekundę.

Niewielki dom, w którym wychowywali się Ruth i Matteo, przez wiele lat stoi pusty. Z czasem jednak znów zapełnia się ludźmi. Remontuje go młoda para, deska za deską, aż w końcu wszystko w nim jest nowe. Bliźniaki bawią się w ogrodzie. Sąsiedzi ucinają sobie pogawędkę przez płot. Krążki hokejowe uderzają o fasadę domu.

—

Życie mamy Benjiego toczy się dalej, z trudem, ale bez kompromisów. Nie ma wyboru, dni na nas nie czekają. Ratuje ją wnuki, bo one też nie czekają. Urodziny i wakacje, ferie świąteczne, otarcia kolan i ugryzienia komarów, i chichot. Lody do zjedzenia, jazda na łyżwach i niezwykle przygody do przeżycia. Tak to już jest, że mija wystarczająco dużo czasu i ból czuje się już tylko prawie ciągle. Tak że da się wytrzymać. Można tęsknić, nie krzycząc za każdym razem. Przytulać, nie płacząc co rusz. Śmiać się i nie czuć przy tym wyrzutów sumienia.

Życie toczy się dalej. Nie daje nam innego wyboru.

—

Alicia ma łóżko, w którym śpi, i miejsce, w którym mieszka, ale prawie nigdy jej tam nie ma. Jest zawsze albo u Sunego, albo u Adri. Wychowuje się w trzech domach, jednym naprawdę złym, ale w dwóch fantastycznie dobrych. Poza tym ma halę lodowiska, ludzi, którzy ją kochają, i sport, który ją wielbi. Mama i siostry Benjiego tulą ją tak mocno, aż cała ich żałoba po nim zamienia się w szepty miłości do niej. Niczym drobne diamenty powstałe z węgla.

Któregoś dnia Alicia przychodzi do Sunego ze szczeniakiem od Adri. Stanowczym głosem wyjaśnia, że to jej pies, nikogo innego, ale że zwierzę musi mieszkać u Sunego.

— Chodzę przecież do szkoły i na treningi! Nie mogę więc mieć psa całkiem sama! W związku z tym musisz mi pomóc! — stwierdza.

— Ach tak, no tak. W takim razie co zrobić. — Stary trener kiwa głową.

– Mogę kanapki z dżemem? – pyta Alicia.

Pewnie, że może. Ile tylko chce.

–

Siostry Ovich odwiedzają grób brata każdego dnia. Gdyby tu był, powiedziałyby pewnie, że teraz rozmawiają z nim więcej, niż gdy jeszcze żył. Najchętniej walnęłyby go natychmiast, gdy tylko o tym myślą, i wtedy najbardziej im go brakuje.

Nadal prowadzą Futro, chociaż teraz wszyscy nazywają je U Benjiego. Nad drzwiami nie ma jednak żadnego szyldu. Bo i po co. Kontynuują tradycję Ramony, serwując zwykłe piwo i słabe jedzenie, przynajmniej na początku, z czasem jednak jedzenie staje się coraz lepsze, bo Katja w przeciwieństwie do Ramony wie, jak zrobić użytek z książki kucharskiej. Dzieci Gaby odrabiają zadania domowe w barze, ona sama nie może się pozbyć uczucia, że przez większość czasu jest złą matką, ale gdy dzieci już dorosną, powiedzą jej, że nie zamieniłyby swojego dzieciństwa na żadne inne. Ich ciotka Adri odpowiada w barze głównie za straszenie facetów, że zdzieli ich po gębie, albo za walenie ich po gębie, w zależności od pory dnia albo nocy. Któregoś razu przychodzą Teemu i kilku jego chłopaków w czarnych kurtkach, żeby zaproponować im nowy stół bilardowy, który „wypadł z transportu”. Wnoszą go do środka i paru największych idiotów z Grupy próbuje nawet kilku rund, ale oczywiście są tak słabi, że Adri rozważa nawet, czy nie lepiej będzie spalić ten stół, po to tylko, żeby nie musieć patrzeć, jak się męczą. Ale któregoś dnia, wczesnym przedpołudniem, gdy jest w lokalu całkiem sama i sprząta, ktoś puka do drzwi. Po drugiej stronie stoi grupka zapalonych i naiwnych chłopaczków, pytając, czy mogliby zagrać rundkę. Adri wpuszcza ich do środka. Następnego dnia wracają natychmiast po otwarciu. Adri odgrzewa im w mikrofalówce pizzę, a oni grają bez przerwy i stają się coraz lepsi. Któregoś dnia jeden z nich zostanie pewnie mistrzem świata, Adri jest tego pewna.

To przecież właśnie takie miasto.

–

Ana ma urodziny. Nie spodziewa się, że ktoś będzie o tym pamiętał, ale tata jest trzeźwy i nie spał całą noc, bo przystrajał dół domu balonami. Psy zerwały dosłownie każdy z nich. Ana nigdy nie czuła się bardziej kochana.

Słychać dzwonek do drzwi, po drugiej stronie stoi Hannah. Zawstydzona Tess kawałek dalej. Minibus przy ogrodzeniu.

– To dla ciebie – mówi Hannah, mrugając oczami, żeby było w nich trochę mniej czułości.

To karnet do szkoły jazdy. Ana wybuchła śmiechem. Hannah pyta, czy wraz z ojcem nie chcieliby się przejechać na „wycieczkę szkolną”. Chcą. Ojcu udało się nawet nie zostawić strzelby w samochodzie. Jadą kilka godzin do większego miasta. Wystarczająco daleko, by znajdowała się tam wyższa szkoła, ale też wystarczająco blisko, żeby Ana mogła nadal mieszkać w domu i dojeżdżać na studia, jeśli zrobi prawo jazdy.

– To... no... to niewielka szkoła. Może nie każdy o takiej marzy. Tess nie chce tu studiować, bo nie ma tu wystarczająco dobrego wydziału prawniczego, ale może dla ciebie... to znaczy... mam na myśli: mają tu położnictwo. Najpierw musisz zostać pielęgniarką. Ale mogę ci pomóc. Mogę... chcę ci pomóc. Jeśli i ty chcesz.

Tess stoi obok i wywraca oczami do mamy. Ana nie do końca wie, co ma powiedzieć. Nie jest taka jak Maya, nie wie, jak używać słów, by brzmieć tak, jak się chce. Idzie więc do samochodu, przynosi z niego dużą kopertę i niewprawnym ruchem podaje ją Hannah, unikając jej spojrzenia.

– To tylko taka głupota. Każdego roku w szkole przygotowywałam kartki na Dzień Matki, bo wszystkie dzieci tak robiły, ale po tym, jak moja odeszła, nie miałam nikogo, komu mogłabym je dać. Pomyślałam jednak, że pani pomaga wszystkim mamom, więc... kurde. To głupie, nie?

Hannah nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa, więc Tess mówi za nią:

– Nie, to wcale nie jest głupie. To cudowne. Ty jesteś cudowna!

Ana patrzy w jedną stronę, Hannah w drugą, bo żadna z nich nie wie, co zrobić z tym wszystkim, co przez cały czas nosi się w sobie, a czego nikt nie widzi. Na szczęście rzut beretem od szkoły znajduje się szpital i obie są wielce wdzięczne, że nagle ktoś przy wejściu zaczyna się głośno kłócić:

– Trzeba go przeparkować! Blokuje wjazd dla karettek!

To pielęgniarka, nieróżniąc się wiele od Hannah, wściekła niczym rój os. Zaraz przed wejściem stoi ciężarówka z przyczepą, której kierowca przyjechał tutaj z atakiem wyrostka robaczkowego. Nie mógł wziąć taksówki, czy też wszystkim się wydaje, że sra pieniędzmi? Nie miał już jednak siły porządnie zaparkować, bo ledwie dojechał przed wejście, wypadł z szoferki wycieńczony bólem. Tak więc ciężarówka nadal tu stoi. Pielęgniarka wydziera się na strażnika, który odpowiada rozdrażniony:

– Wydaje się pani, że JA potrafię prowadzić ciężarówkę z przyczepą? Czy pani już do reszty zwariowała? Kto to niby potrafi, do cholery?

W tym momencie odzywa się Ana:

– Na przykład ja.

Strażnik, mężczyzna w kwiecie wieku, ale ze sporymi zakolami, odwraca się i patrzy na nią krytycznym wzrokiem.

– TY? Ciężarówkę z przyczepą? TY?

Ana wzrusza tylko ramionami, ale jej ojciec potwierdza zdecydowanym głosem.

– Moja córka potrafi wszystko. Proszę jej dać kluczyki.

Strażnik drapie się początkowo po szczęce, ale potem zbiera ją z ziemi. Hannah i Tess stoją obok i żadne z nich nie widziało, żeby ktoś parkował kiedyś ciężarówkę z przyczepą na kopercie. Gdy Ana wyskakuje z szoferki, strażnik rzuca jej komplement, ale nikt go już nie słyszy, bo wszystko ginie w huk. Potężny huk wypełnia powietrze i rozchodzi się falami po całym trawniku. Ana podnosi głowę, a zaraz potem podbiega do Hannah, ciągnie ją za rękaw i krzyczy:

– A co trzeba studiować, żeby móc prowadzić coś TAKIEGO?

Hannah unosi głowę, wodzi wzrokiem za helikopterem medycznym i się uśmiecha. Maszyna lata do potrzebujących, rannych i wzywających pomocy, do tych, do których nie jest w stanie dotrzeć nikt inny. Tam, gdzie nikt inny nie ma odwagi. Prosto w ogień, jeśli jest taka potrzeba.

—

W dorosłym życiu Maya zaśpiewa dla tysięcy ludzi na setkach aren, głównie jednak śpiewa dla siebie i swoich przyjaciół jako dzieci. Któregoś dnia Ana zabiera ją ze sobą helikopterem i unosi wysoko do nieba. Biorą ze sobą dziewczynki,

którymi kiedyś były, śmiejące się dzieciaki, które tak bardzo chciałyby móc ochronić w przeszłości. Unoszą je z lądowiska w lesie i chowają pod kurtkami, a śmigło uderza coraz mocniej i wyżej ponad ziemią. Coraz wyżej, ku wolności.

Maya widzi Kevina jeszcze jeden jedyny raz, dziesięć lat po gwałcie. Właśnie wysiada z koncertowego autobusu na parkingu przy arenie, on wraca z żoną z zakupów z centrum handlowego obok. Odwraca się, by wycofać niewielki zardzewiały samochód, i w lusterku dostrzega Mayę. Przytył, wygląda inaczej, bardziej niepewnie. Jego żona jest w ciąży. Kładzie dłoń na jego ręce i wygląda na szczęśliwą. Udało mu się zbudować całkiem nowe życie. Czy powinno mu to być dane?

Maya zmiażdży go wzrokiem. Zszokowany, gwałtownie zatrzyma samochód. Dla Mai ta chwila potrwa tylko kilka sekund, dla niego jednak nie skończy się nigdy. Potem Maya po prostu się odwróci i pomaszeruje w stronę areny, na której zaśpiewa tego wieczoru. Basista będzie stał kawałek dalej i na nią czekał.

– Kto to? – zapyta.

– Nikt – odpowie Maya i rzeczywiście tak będzie czuć.

Nie wybaczy, nie zapomni, ale nie używa przemocy, tylko dlatego, że może. Nie niszczy mu życia, mimo że Kevin na to zasługuje. Oszczędza go.

Jednak żona Kevina zapyta go, kim jest ta kobieta. Przerażony Kevin nie będzie mógł złapać oddechu, ale w końcu kłamstwo stanie się dla niego za ciężkie i szeptem wyzna prawdę. Całą. Rzeczywistość, którą budował wokół siebie od tamtej nocy w Björnstad, rozpadnie się w tym momencie w samochodzie. Straci wszystko.

Czy można mu wybaczyć? Czy można mu zezwolić? Zezwolić na życie?

Teraz mogą się już o to kłócić inni. Maya unosi się już wysoko ponad wszystkim.

—

Nadejdą wiosna i lato. To prawie nie do zniesienia. A potem jesień, krótka niczym mrugnięcie okiem, zanim zima znów zapanuje na nowo. Życie nie toczy się dalej, zaczyna się od nowa, znów wszystko jest możliwe. Wszystko może się wydarzyć, wszystko, co najlepsze i najpiękniejsze, największe przygody świata.

Wczesnym, bardzo wczesnym rankiem dozorca otwiera drzwi do hali lodowiska i zapala światła. Gdy Alicia wyjeżdża na lód, wygląda na taką małą i samotną, ale to nieprawda, jest największa ze wszystkich i już nigdy nie będzie sama. Kładzie się na środku lodowiska i spogląda w sufit. Gdy zamyka oczy i wyciąga ręce, czuje ból w tylu miejscach, lecz właśnie w tym momencie nie czuje nic, bo Benji leży obok niej, a wkrótce zaczyna się nowy sezon i wszystko nadal może być dobrze. Podczas całej swojej długiej kariery, w każdej hali lodowiska, na każdym meczu drużyny narodowej będzie robić to samo, za każdym razem, gdy poczuje strach lub niepokój, zwróci twarz do sufitu, rozłoży ręce, wiedząc, że on tam jest. Benjamin Ovich nie leży bowiem w żadnym grobie. Benjamin Ovich jest na meczu ze swoją kumpelą.

Na trybunach siedzą dozorca, Sune i Adri, a cała hala pachnie kwiatem wiśni. Tak łatwo wtedy kochać hokej, bo nie ma przeszłości, nie ma wczoraj, a jedynie to, co się wydarzy. Następna zmiana, następny mecz, następny sezon, następne pokolenie, następna przedziwna sekunda, gdy dzieje się cud, o którym już nawet nie marzyliśmy. Następna okazja, by poderwać się z miejsca i krzyczeć z radości. Następna.

Któregoś dnia Alicia będzie najlepsza na świecie. Pochodzi z miasta ze smutkiem w sercu i przemocą wiszącą w powietrzu, a na jej plecach widnieje nazwisko „Ovich”. Nie wyjeżdża na lód. Bierze go szturmem. Powodzenia tym, którzy spróbują ją zatrzymać. Powodzenia.

Za każdym razem, gdy zdobywa bramkę, ci, którzy ją kochają, unoszą się kilka centymetrów nad ziemią i przez parę błogosławionych chwil czują, że wszystko to było warte poświęceń. To całe życie. Któregoś dnia tu wróci i nauczy inne dzieci jeździć na łyżwach. Któregoś dnia to ona będzie Spider-Manem i Wonder Woman.

Jej sto lat będzie naszą najlepszą, najbardziej uwielbianą i najczęściej opowiadaną historią. To wiele tłumaczy, jesteśmy przecież, do cholery, miastem hokeja. Nie mamy tu nic ponad historie. Jednak wszystkie nasze opowieści dotyczą w sumie jednego: od tej pierwszej o chłopcu, który doszedł na sam szczyt do NHL i wrócił potem z rodziną, o jego córce, która znalazła najlepszą przyjaciółkę na świecie, o strasznej zbrodni i miłości, która zadziałała niczym przeszczep organów. O łzach i walce, uściskach i śmiechu, o scenie i gitarze, i tysiącu ludzi na trybunach. O chłopcu, który urodził się w miejscu, gdzie nigdy nie widziano lodu, ale który któregoś dnia stał się najszybszy ze wszystkich na łyżwach, i o innych

dzieciakach, które były najlepsze w inny sposób, o tym, który został trenerem, i o tych, którzy zostali rodzicami, o tej, która leci helikopterem na ratunek światu. O młodym człowieku, który nigdy nie widział w sobie bohatera, a umarł jak bohater, rzucił się w ogień, by ratować dziecko. O rodzinach i kolegach. O wspinaczkach na drzewo i przygodach. O rozległym lesie i dwóch małych miastach, i o wszystkich ludziach tutaj, którzy po prostu próbują żyć. Siedzieć w łódce. Kłamać. Nie złowić ani jednej ryby.

Wszystko to dotyczy tylko jednego: Alicii. Każdy człowiek, o którym opowiadamy, każda usłyszana od nas historia, wszystko prowadzi do niej. To tu kończą się opowieści innych. A jej własna zaczyna.

Któregoś dnia sprawi, że znów poczujemy się jak zwycięzcy.

Bo to ona jest niedźwiedziem.

Niedźwiedziem z Björnstad.

Podziękowania autora

Mojej żonie i moim dzieciom. Jesteście moją drużyną, zawsze, wszędzie. To my przeciwko reszcie. Kocham was. (Szczególne podziękowania dla naszego szalonego owczarka, który w moich najmroczniejszych momentach pod koniec redakcji tekstu przypominał mi o tym, że nie ma nic ważniejszego niż spacer i porzucanie piłeczką w parku). Mojej wydawczyni **Helenie Ljungström**, która podczas całego procesu pisania przyglądała się wszystkiemu czujnym okiem i z niezwykłym spokojem trzymała w ryzach moją chwiejną samoocenę, inaczej zapewne nigdy bym, do cholery, nie skończył. **Niklasowi Nattowi och Dagowi**, z którym dzielę biuro, za to, że zawsze, ale to zawsze jesteś, twoja przyjaźń to jeden z największych przywilejów mojego życia. Mojej dodatkowej redaktorce **Vanji Vinter**, która jest ze mną od początku, myśląc, rozważając, a przede wszystkim oddając pracy całe serce, mam nadzieję, że wiesz, że zawsze byłaś niezastąpiona. Mojemu agentowi **Torowi Jonassonowi**, który zawsze walczy o to, bym mógł być sobą. Mojej agentce prasowej **Marie Gyllenhammar**, która rozumie, że wraz z rodziną jesteśmy tylko ludźmi, i to wrażliwymi, i zawsze nas chroni.

Następnie z całego serca chciałbym podziękować tym z was, którzy z różnych względów prosili, by nie wymieniać ich z nazwiska. Dziękuję, że mieliście się podzielić się ze mną swoimi najstraszliwszymi historiami. Mam nadzieję, że was nie zawiodłem.

Za wszystko, co związane z hokejem, chciałbym przede wszystkim podziękować **Johnowi Lindowi**. To by się nie udało bez twojej hojności w dzieleniu się czasem, myślami i znajomościami. **Claesowi Elefalkowi**, który nie tylko odpowiadał na wszystkie pytania, ale również zrobił korektę obszernych fragmentów. **Tobiasowi Starkowi** za długie rozmowy telefoniczne. **Andersowi Kallurowi** i **Johanowi Hemlinowi** za cierpliwe odpowiedzi na wiele głupich rozważań. Dziękuję również **Petterowi Carnbro**, **Ericie Holst**, **Andreasowi Haarze**, **Ulfowi Engmanowi**, **Fredrikowi Gladerowi**, **Johanowi Forsbergowi** i wszystkim pozostałym w szwedzkim hokeju, którzy tłumaczyli, wspierali i pomagali mi przy tym projekcie. Mam nadzieję, że wiecie, że to od samego początku do samego końca miało pokazać moje uwielbienie dla sportu.

Dziękuję **A**, która była wzorem dla Hannah, i **M**, bo dzięki tobie powstał Johnny. Dziękuję wszystkim w Salomonsson Agency, za to, że pokazujecie moje małe pomysły na całym świecie. Wszystkim w Atrii i Simonie & Schusterze w USA i Kanadzie, którzy od samego początku tak bardzo wierzyli w te książki. (Przed wszystkim **Peterowi Borlandowi, Kevinowi Hansonowi, Ariele Stewart i Ricie Sheridan**, którzy uczynili Amerykę Północną drugim domem dla mnie i mojej rodziny). **Alexowi Schulmanowi** za długie, długie lancze i wciąż niesamowite nowe spojrzenia na to, co można zrobić ze słowami. **Marcusowi Leifby'emu**, za duże milkszejki i zakręcone rozkminki. **Isabel Botenstern i Jonatanowi Lindquistowi**, byliście jednymi z pierwszych, którym powiedziałem o Björnstad. **Philipowi de Giorgio** za słodkie bułeczki i pozytywne wałkowanie w kółko. **Jakobowi Kakembo Anderssonowi** za długie spacerunki wokół jezior.

Negarowi i Danielowi, za waszą przyjaźń i za to, że bez mrugnięcia okiem pomogliście, gdy wszystko się waliło. **Marysi**, która, gdy potrzebujemy pomocy, nigdy nie jest dalej niż na odległość jednego telefonu. **Amadowi**, za wszystkie narzekania na technikę, której nie rozumiem.

Wszystkim w wydawnictwach Forum, Bonnier i Piratförlaget, którzy w różny sposób przyczynili się do powstania tej serii (szczególne podziękowania dla **Håkana Rudelsa, Adama Dahlina, Johna Häggbloma i Sofii Brattselius-Thunfors**).

Wszystkim fantastycznym ludziom pracującym przy serialu *Miasto niedźwiedzia*, ale w szczególności **Bonnie Skoog i Mattiasowi Arehnowi**, którzy zapalili się do tej historii i walczyli o to, by żyła dalej. Oraz **Peterowi Grönlundowi**, niesamowitą przygodą okazało się patrzeć na to, jak z miasta, które sobie wymarzyłem, budujesz cały wszechświat. (Dodatkowa piątka dla **Adama Torbjörnssona, Alexii af Kleen, Sophie Smirnakos i Cecylia Imberg Karabollaj**, którzy złożyli to w całość).

Szczególnie ciepłe podziękowania dla **Lindy Hedenljung**, która zawsze znajdowała czas, by odpowiedzieć na moje pytania, twój wkład w tę serię jest nieoceniony. Dla **Joakima Zandera i Johana Zilléna**, którzy czytali, rozmyślali i pomagali mi w dodatkowych rozmyśleniach. Dla **Johana Szymanskiego**, który poświęcił wiele czasu, tłumacząc mi wszystko, czego nie wiem o ogniu, lesie i życiu. Dziękuję **Andersowi Daleniusowi**, najlepszemu towarzyszowi lanczów i najlepszemu nauczycielowi od psów, broni i jedzenia. **Ivarowi Arpiemu**, który

opowiedział mi o sile napędowej ludzi w taki sposób, że w końcu ją zrozumiałem. **Erikowi Thunforsowi**, który tak wspaniale stworzył klubowe logo Björnstad. **Riadowi, Junesowi i Erikowi**, jesteśmy przyjaciółmi od dwudziestu pięciu lat, ale to właśnie teraz najbardziej odczułem waszą lojalność. **Mamie i tacie**, którzy całe moje dzieciństwo podrzucali mnie do bibliotek i na treningi, a teraz każdego dnia wspierają swoje wnuki w ich własnych marzeniach. **Siostrze i P**, i dzieciom, którzy zawsze mi kibicują. **Parham i M**, i **K**, którzy zawsze się z nami śmieją. **Mojej teściowej i mojemu teściowi**, którzy są najlepszymi dziadkami na świecie.

W końcu szczególne podziękowania za inspirację, pomoc i towarzystwo w tym roku dla następujących osób: **Sofii Lundberg. Christoffera Carlssona. Rodziny Tedestedtów. Kajsy Kalaméus. Maxa Bergandera. Fredrika Wikingssona. Miguela Guerrero. Andersa Janssona. Klasa Ekmana. Stiny Jackson. Marjan Svab. Pascala Engmana. Attilii Tereka. Jaya Smitha. Nabili Abdul Fattah. Isobel Hadley-Kamptz. Daniela i Frei L. Johana Brennmo. Björna i Lennarta Nillsona**. I wszystkich, których pominąłem, ale których z pewnością nie zapomniałem. Dziękuję!

Na koniec: **tobie**, który przeczytałeś całą opowieść, chcę tylko powiedzieć, że mam nadzieję, że coś ci ona dała, bo ja oddałem jej absolutnie wszystko, co miałem. Dziękuję, że mi towarzyszyłeś.

Przypisy

[1] Co się dzieje? Która godzina? (ang.)

[2] Muszę iść (ang.)

[3] Dokąd? (ang.)

[4] Do domu (ang.)

[5] Powodzenia jutro, dzieciaku (ang.)

[6] Amat, prawda? (ang.)

[7] Znajdziesz czas na rozmowę? (ang.)

[8] Pozdrów od mnie Petera Anderssona, dobrze? To mój stary przyjaciel. Prosił, żebym miał cię na oku (ang.)

[9] Przykro mi, że nie wyszło, dzieciaku. Naprawdę cię polubiliśmy, ale po prostu nie robimy interesów tak, jak chce twój wujek, rozumiesz? Jedź do domu, pracuj ciężko, poproś Petera, żeby załatwił ci agenta z prawdziwego zdarzenia, i wróć do nas za rok. Dobrze? (ang.)

[10] Co ma pan na myśli, mówiąc „wujek”? Jaki wujek? Jakie interesy? (ang.)

[11] Powiedz Peterowi, że zrobiłem, co mogłem. Mam nadzieję, że się pozbierasz, dzieciaku. Peter mówi, że nigdy nie widział lepszego od ciebie. Na pewno nie kłamał (ang.)

[12] Szukasz czegoś czy przed czymś uciekasz? (ang.)

[13] I to, i to (ang.)

[14] Widziałeś kiedyś prawdziwego niedźwiedzia? (ang.)

[15] Umowa stoi (ang.)

[16] Dość tych bzdur! (ang.)

[17] Pieprzyć to (ang.)

[18] Jestem z pieprzonej Niecki (ang.)

[19] Milutko! (ang.)

[20] Chciałbyś coś powiedzieć tym, którzy zasiadają przed telewizorami w twoim rodzinnym mieście? Jak się wymawia tę nazwę? Bjoernstat? (ang.)

[21] Nie, jestem z Niecki (ang.)

[22] Mt 5,4–5,7. Cytaty pochodzą z Biblii gdańskiej: *Biblia to jest Wszystko Pismo Święte Starego i Nowego Przymierza podług edycji berlińskiej z roku 1810 i gdańskiej z roku 1632 dla pożytku zborów polskich ewangelickich [...] na nowo przedrukowane*, Biblijna Instytucja Kansteińska, Halle 1888.

[23] Mt 5,14–16.